

## Ossendowski Antoni

### Szanchaj

Przeklęte, znienawidzone miasto.

Jedno z tych, gdzie długo nie gasła łuna minionej wojny ludów, gdzie płonie ona dotychczas na skłębionych obłokach.

Niektóre z nich szeroko rozstawiły po świecie okrutne swoje nazwy.

To jednak najstraszniejsze było na pewno, bo przerażająco obce, beznadziejnie dalekie.

Nazywało się Szanchaj.

Anglicy wymawiają to słowo inaczej - Szanghaj.

Jest w tym coś z uderzenia topora, spadającego na chudy kark chińskiego bandyty, coś z drapieżnego chrząknięcia kata przy zamachu. Nasz język nadaje tej nazwie brzmienie beztroskiej obojętności, a może - lekkiego podrażnienia: „Zejdź z drogi!”.

Kto lub co ma zejść z drogi? Przedmiot, który można odrzucić kopnięciem nogi? Pies lub kot bezpieczeństwa? Czy też człowiek głodny, chory, zrozpaczony?

Tak, tak - wszystko razem ogarnia to straszne słowo - Szanchaj.

Bogate, przerażająco ludne, pełne fabryk, biur linii okrętowych wszystkich na świecie bander, okazałych gmachów bankowych, Lloydów, towarzystw ubezpieczeniowych, składów handlowych, agencji eksportowych, ożywione niebywałym ruchem ulicznym i jeszcze większym - w porcie, na Bundzie i w drugim - na Wusungu, od dawna pociągało ku sobie z całego świata rozbitków życiowych możliwością zarobku lub przynajmniej nadzieją na najmarniejsze choćby istnienie.

Tysiące, nie, setki tysięcy szukających dla siebie kawałka chleba wchłonął rozległy, gwarny, zgiełkliwy Szanchaj.

Nikt nie zdołałby zliczyć i jako tako usystematyzować tych, kogo wyrzuciły na jego granitowe wybrzeże i wspaniałą jezdnię asfaltową wzburzone fale dziejowe, wciąż jeszcze przewalające się od Atlantyku do Oceanu Spokojnego!

Przede wszystkim - któż by potrafił policzyć samych Chińczyków?

Co najmniej milion głodnych gardzieli zapędziła tu nieustająca w Państwie Nieba wojna domowa, gdy to niedouczone w Berlinie, Londynie, Paryżu i Nowym Jorku młodzież wielkiego niegdyś i choć

bezbronnego, ale niezwalzonego cesarstwa od roku 1912, nie oszczędzając milionów istnień ludzkich, mienia narodowego i wspaniałej swej kultury tak trwałej, iż można nazwać ją odwieczną, usiłowała pchnąć Chiny konfucjańskie i cesarskie, kraj ładu, dyscypliny i etykiety obywatelskiej, na tory „ekspres cywilizacji”. Panować poczęło bezmyślne marzenie o przekreśleniu jednym pociągnięciem pióra, o obaleniu czczym fajerwerkiem krasomówstwa odrębnej, przez pięć czy ileś tam tysiącleci kroczącej własnymi szlakami kultury i o prześcignięciu we wszystkich wadach i błędach ludów Zachodu, dla których ci wychowankowie uniwersytetów europejskich i amerykańskich czuli bezzmierną pogardę i zimną nienawiść. Wynik okazał się niezmiernie opłakanym dla kraju Synów Nieba, w okresie, gdy ostatnia ich latorośl pędziła monotony żywot więźnia honorowego za szkarłatnymi murami Zakazanego Grodu. Radykalny Kanton wystąpił przeciwko umiarkowanemu Pekinowi i zawrzała wojna południa z północą, krwawa, zaciekła wojna domowa! Ambitni, awanturniczy generałowie-chrześcijanie, podjudzani przez misjonarzy protestanckich; generałowie, wierni dynastii, i wprost hersztowie bandytów, werbując ochotników, tworzyli armie, prowadzili wojnę na własną rękę, pustosząc kwitnące niegdyś prowincje i miasta, leżące w pobliżu nielicznych dróg, przecinających kraj. Ościenna Rosja bolszewicka agitowała wściekle, rzucając złoto, głosząc podstępne hasła i znajdując najemnych awanturników, którzy na czele czerwonych oddziałów od zachodu i północy posuwali się dolinami Żółtej i Niebieskiej Rzeki, wzmagając zamęt i szerząc klęskę. Powtarzał się tragiczny i żalony obraz upadku potęgi Asyrii i Babilonii, Imperium Perskiego, Rzymu i koczowej monarchii Czyngisydów.

Pozbawieni ziemi, mienia i bezpieczeństwa rolnicy, rzemieślnicy, drobni handlarze, a nawet bezdomni, niemający nic do stracenia kulisi szukali bezpiecznego miejsca.

Gdzież znaleźć je można było pewniej jak nie w Szanchaju, gdzie ze-środkowały się interesy kapitału zagranicznego, gdzie na ulicach tkwiły posterunki policji cudzoziemskiej, w konsulatach kwaterowały oddziały angielskie, japońskie, amerykańskie, francuskie i włoskie, na redzie zaś stały, wyciągając drapieżne szyje dział, torpedowce, krążowniki i pancerniki pod banderami obcych państw?

Pół miliona, a nawet, jak znawcy twierdzili, cały milion takich bezdomnych, pozbawionych wszystkiego uciekinierów przekroczyło mury chińskiej dzielnicy - Czapei, wsiąkło w małe, brudne jej domy, wyciągnięte szarozłotymi szeregami wzdłuż ulic i kanałów, zabagnionych zawsze, cuchnących gnijącym moczem, padliną i - śmiercią.

Wsiąkło i czekało na coś, czego nie umiało sobie uświadomić.

Żywiły się te setki tysięcy ludzi nie wiedzieć jak i czym. Wybierano wszystko, co się dało wybrać ze śmietnisk miejskich, wyłapywano gołębice, wrony, żaby, myszy, szczury i krety po polach i ogrodach, wykopywano korzenie jakichś, głodnym ludziom tylko znanych roślin jadalnych, łowiono ryby po brzegach morza i w rzece, zbierano mięczaki i wodorosty, wyrzucane podczas przypływu, żebrano i kradziono. Za miseczkę spleśniałego i skisłego ryżu ludzie bez wytchnienia pracowali po osiemnaście godzin po to, by po miesiącu tego piekła gdzieś za miastem, dumnym ze swego bogactwa i przepychu, skonać z przekleństwem na ustach w ohydnej gliniance lub w rowie przydrożnym.

Tej wezbranej fali, napływającej z Mandżurii, Dżeholu, z prowincji południowych i zachodnich liczonej najwięcej, chociaż nikt w przybliżeniu nawet nie wiedział, ile zropaczonego materiału ludzkiego zgromadziło się w Szanchaju i po wioskach okolicznych.

Krocie! Prawdziwa nawąfa! Powódź nędzy i obłądu!

Nikt nie troszczył się o los przybyszów i bezpieczeństwo samego miasta. Myślał o tym tylko konsul angielski i żądał od chińskich władz niezbędnych zarządzeń, aby ochronić cudzoziemców od możliwych epidemii cholery, dżumy, trądu i zaburzeń ulicznych.

Sprzedajni i powolni rozkazom angielskich i amerykańskich rezydentów ojcowie miasta wykonali żądanie obcokrajowców i w pobliżu Sicha-Wei zbudowali olbrzymi piec, przypominający indyjskie wieże milczenia. Zwożono tam znalezione trupy nieboszczyków i palono na stosach, układanych z łodyg gaolianu. Oszałała z głodu i strachu biedota, która na razie pozostawała jeszcze przy życiu, z radością powitała to zarządzenie władz miejskich.

Całe tłumy głodomorów - półnagich, owrzodzonych i owszonych - mogły teraz grzebać w popiołach i wyciągać kości z ochłapami niedopalonego mięsa.

Rada municypalna poszerzyła, rozbudowała stare więzienia i wzniosła gmachy dwu nowych. Spokój zapanował w Szanchaju.

Tysiące ludzi, ginących z wycieńczenia, duru i szkorbutu, w milczeniu, cierpliwie, z tępym uporem oczekiwało jakichś nieznanym zmian, które nadążały, nadążały.

Tymczasem w hotelach, arystokratycznych kawiarniach i na dancjach biali dżentelmeni i strojne ladies flirtowali, tańczyli i bawili się, jak mogli i umieli najlepiej. Patrząc na to życie białych przybyszów - aroganckich i pogardliwych, wydać się mogło, że to jakieś ćmy kreślą swój nieopatrny, szaleńczy lot kolisty nad niszczącym płomieniem lampy, że to odurzeni haszyszem derwisze i obłądne, historyczne bajadery miotają się w tańcu śmierci w mieście zadżumionym, od świata odciętym.

Do morza bezrobotnych i głodnych Chińczyków po zagarnięciu Syberii przez bolszewików wpłynęły nowe potoki. Zupełnie odmienne niosły one w swoich wirach odłamki społeczeństw.

Niezmiernie barwne było to nowe zbiegowisko ludzkie. Niemcy, Łotysze, Madziarzy, Austriacy, Czesi, Polacy, Gruzini, Ormianie i inni z tej wieży Babel, z tej nieprzerwanej melee des nations, dezertrzy z oddziałów amerykańskich, angielskich, francuskich, przysłanych jako posiłki dla krótkotrwałego rządu niezależnej Syberii republikańskiej. Byli też tacy, którzy, spędziwszy kilka lat w obozach dla jeńców z wielkiej wojny, zapomniani przez swoje władze ojczyste, tułali się po Sybirze; część ich dla kawałka chleba i ciepłego kąta założyła „przygodne gniazda rodzinne”, nie czując bynajmniej dla tych „cichych przystani” miłości ani wdzięczność i nie wysilając się nawet na zrozumienie duszy kobiety, z zaufaniem, a nieraz i prawdziwym uczuciem marzącej o zgodnym i szczęśliwym pożyciu; jedni jako fachowcy znaleźli zatrudnienie dla siebie na kolejach i w kopalniach, drudzy znów, przekradając się ku wschodowi, gdzie spodziewali się znaleźć opiekę swoich konsulów, zarabiali na każdy etap męczeńskiej włóczęgi pracą u chłopów na porębach, przy budowie domów, przy naprawie narzędzi rolniczych, zegarków, broni, imali się rybołówstwem, a nawet wróżbiarstwem i znachorstwem. Tych już nic nie łączyło z krajem - ani wspomnienia, ani sentyment dla łagodnego i wyrozumiałego ludu syberyjskiego. Cała ich wola i energia skierowane były jedynie na powrót do tej czy innej „ojczyzny”, która, jak wierzone powszechnie, po wstrząsie wojennym cudownym sposobem kwitnąć zaczynała, wzbogacać się i cieszyć niebywałym dobrobytem i trwałym pokojem.

Za tymi ptakami wędrownymi przybyli tu też wkrótce i Rosjanie - emigranci, uchodzący przed bolszewikami, sunącymi ku Pacyfikowi. Wyższa biurokracja przedwojenna, niedobitki arystokracji, której nie udało się zawczasu umknąć na zachód, oficerowie białej, walczącej z czerwonymi, armii, inżynierowie, lekarze, adwokaci, kupcy, a nawet duchowieństwo - tak to się przedstawiał unoszony wartkim potokiem wydarzeń ów miał z gruzów do niedawna jeszcze wielkiego i potężnego, zda się, gmachu, gdzie stał tron dynastii, z krwi i ducha obcej Rosji i do rdzenia ziemczajej.

Na bruku szanchajskim znalazły się całe nieraz liczne rodziny - mężczyźni, kobiety, młode dziewczyny i dzieci.

Wszyscy przybywali do Szanchaju z promienną nadzieją, niby do Ziemi Obiecanej, przeświadczeni, że dawni konsulowie rozporządzają znacznymi sumami, dostatecznymi dla przewiezienia emigrantów do Francji, Włoch lub Jugosławii, gdzie zbiegowie spodziewali się odnaleźć krewnych i przyjaciół, słyszano bowiem o tych, co zawczasu wraz z posiadanymi kapitałami wynieśli się z ogarniętej krwawym szałem Rosji; inni pokładali jeszcze nadzieje w bankach rosyjskich.

Przecież - rozumowały miotające się przerażone mózgi biedaków - skoro nie stało Rosji carskiej, pieniądze jej należą do obywateli wiernych tradycjom caratu? Nastąpi podział kapitałów, zgromadzonych w kasach bankowych, każdy otrzyma sumę, dostateczną na przetrwanie roku lub dwóch, bo dłużej wszak ta wichura trwać chyba nie może!

I oto rozpoczęło się poszukiwanie konsulów i obijanie progów banków.

Konsulowie jednak od dawna już doręczyli posiadane przez nich pieniądze skarbowe rządowi syberyjskiemu i generałom, resztkami sił szalonych ochotników podtrzymujących wojnę dywersyjną z sowietami.

Banki likwidowały interesy i zdążyły już przekazać wszystkie depozyty do centrali, tworzących się w Paryżu, Londynie, Berlinie i Zurychu.

Pewnego marnego, burzliwego dnia, gdy na Wusungu aż ponad skarpy przystani z sykiem i hukiem wylały wspięte bałwany, a porywczy wiatr jesienny potrząsał konarami starych drzew w parku na Bundzie, podmuchy jego rozwiały ostatnie widma nadziei i obaliły marzycielskie, efemeryczne plany co do przyszłości nowych przybyszów do miasta, którego nazwa tak bardzo przypominała chrząknięcie kata, ścinającego głowę skazanemu na śmierć nędzarzowi.

Przyszłość bowiem jedynie w okresach trwałej ideologii poddaje się ujęciu w ramy liczb stałych lub przynajmniej prawdopodobnych. W dobie zaś, kiedy kościoły zdobywały się jedynie na błogosławieństwo dla poszarpanych odłamkami szrapneli bohaterów, broniących wiary, państwa, króla jednogłowego - czyli monarchii, lub wielogłowego - inaczej - demokracji, na kropienie wodą święconą dział, karabinów, pocisków gazowych i łodzi podwodnych; gdy myśl elity, rządzącej narodami, skierowana została na grabież i rozbój, które miały być wykonane rękami spokojnych wieśniaków i spracowanych robotników - wszelkie plany musiały zawieść, ponieważ nie znaleziono by w owych czasach centymetra bodaj stałej powierzchni, gdzie by można je było na czymś pewnym oprzeć i ugruntować.

Toteż w kołach emigracji wybuchła od razu panika i rozpacz. Opustoszały hotele, zajmowane przez zamożniejszych ludzi; biedniejsi szukali przytułku w chińskiej dzielnicy. Najbiedniejsi, to znaczy -

zupełnie nic nieposiadający, przenosili się na dżonki i krypy rybackie, gnijące na cuchnącej Huangpu i Wusung-Kiangu, lub głodni i ponurzy wałęsali się po streetach, parkach i po okolicach Szanchaju, na Nanking czy Fuczou Road, godzinami wystawali przed szybami zakładów jubilerskich, gdzie chińscy kupcy umieszczali milionowej nieraz wartości złote przedmioty, drogie kamienie i srebro.

Mieszkania bardziej zasobnych emigrantów oblegane były od rana do wieczora przez tych, którym głód i rozpacz skręcały kiszki, wysuszały język i wykrzywiały twarz.

Coraz częściej padały tam surowe, gorzkie, obraźliwe, a nawet groźne słowa. Z dniem każdym rozlegała się coraz śmielej jadowita mowa nienawiści.

Tak trwało całe dwa miesiące, aż wreszcie stało się to, co stad się musiało, gdyż podobne okoliczności niezmiennie do nieuniknionych, a zawsze tych samych doprowadzają wyników.

Nieżłomne i logiczne prawo nędzy!

Pewnej nocy nieznani sprawcy przedostali się przekopem z jadłodajni, utrzymywanej przez Greka, Archistratiga Podypulosa, do sąsiedniego sklepu słynnego złotnika Wu-Czang-Hsina i wynieśli na pięć tysięcy dolarów towaru. Ponieważ jednak przy tym włamaniu zginęła oddana do naprawy kolia żony wicekonsula Wielkiej Brytanii, w sprawę tę wdała się policja angielska i z całą bezwzględnością i zawodową systematycznością przeprowadziwszy dochodzenie, ustaliła, że pewien były wysoki urzędnik rosyjski zaproponował Grekowi spółkę na ograbienie Wu-Czang-Hsina. Właściciel jadłodajni Iliada, a z nim dawny biurokrata osiedli w ponurej Lousa - więzieniu karnym.

Czcigodny Podypulos wpadł w taką rozpacz, że powiesił się na własnych szelkach; biurokrata zaś odsiadywał swój termin spokojnie, zadowolony z ciepłego przytułku i codziennej polewki ryżowej z suszoną na słońcu rybą lub cuchnącymi krabami. Myjąc ustępy, uśmiechał się tajemniczo, żywiąc nadzieję, że odnajdzie kiedyś ukrytą przez siebie zdobycz, o czym teraz wiedział jedynie tylko on, gdyż wisielec-Grek już się nie liczył. Spółka została rozwiązana w sposób naturalny i kategoriyczny.

Drobne kradzieże, napady bandyckie, wymyślne i dowcipne w swej prostocie oszustwa, zuchwałe szantaże, szulerka wszystkich możliwych odcieni, fałszowanie czeków i weksli, stręczycielstwo wszelkiego, najohydniejszego nawet rodzaju, podejmowanie się krzywoprzysięstwa w sądach zdarzały się codziennie, bo stały tu się takim samym zawodem jak adwokatura, praktyka lekarska, fach inżyniera, budowniczego i rzemieślnika, jak odprawianie modłów nad nieboszczykiem, kropienie wodą święconą konających i dawanie ślubów.

Nie minęło nawet pół roku, a nikt już się nie gorszył tymi zbrodniami i nie pogardał rodakami, którzy staczali się coraz niżej i niżej.

Co prawda - różnice poziomów etycznych również uległy zmianie. Zbliżały się one coraz bardziej ku sobie. Wszystko, czego zmuszony był imać się człowiek, uważano już za normalną i niezbędną walkę o byt, za spryt życiowy, za ową will of life, za zdolność przystosowywania się do warunków istnienia.

W pogłębiającym się upadku upatrywano nawet jakąś aureolę i świętość męczeństwa, a genezy i przyczyn zbrodni i występku doszukiwano się w niezrozumiałym, drażniąco tajemniczym tekście Apokalipsy.

Lepiej nieco działało się w kołach wojskowych i duchowieństwa. Oficerowie otrzymywali jeszcze skromne zasiłki z pozostałych sum, znajdujących się w rękach dawnych dowódców białej armii, korzystali z zapomóg, a nawet stałego uposażenia od agentów japońskich, trzymających w rezerwie tych trzy tysiące bojowych oficerów na wypadek wojny z Rosją Sowiecką; niektórzy wreszcie potajemnie szpiegowali na rzecz bolszewickiego poselstwa w Pekinie i otrzymywali od niego stałe wynagrodzenie za robotę.

Duchowieństwo natomiast znalazło przytułek w prawosławnej, niegdyś bardzo hojnie uposażonej przez rząd carski, misji w starej stolicy Chin i opuściło Szanchaj z rodzinami na zawsze.

Obie te grupy emigrantów rosyjskich zamknęły się w granicach swego zawodu i stroniły rygorystycznie od reszty rodaków, ginących w zgiełkliwym Szanchaju, rozzuchwalonym przez milionowe afery, rozbawionym, żyjącym w ustawicznie trawiącej go gorączce i pościgu za złotem i szalonymi, zawsze niezdrowymi uciechami, gorszącymi Chińczyków. Żółci ludzie w milczeniu i pogardliwej nienawiści przyglądali się obłędowi najeźdźców, zdobywających ich ojczyznę podstępem, przekupstwem, bezczelnością i stałą groźbą, która wiała od opancerzonych burt milczących krążowników i zwróconych na miasto paszcz armatnich.

I widziałem niewiastę, siedzącą na czerwonej bestii, pełnej słów bluźnierstwa, mającej siedem głów i rogów dziesięć. Niewiasta owa przyobleczona była w purpurę i karmazyn i ułożona złotem, drogim kamieniem i perłami, mając kubek złoty w ręce swej, pełny obrzydliwości i plugastwa wszeteczeństwa swojego. A na czole swoim - imię napisane: Tajemnica, Babilonia Wielka, matka wszeteczeństw i obrzydliwości ziemi. Widziałem niewiastę ową pijaną krwią świętych, krwią męczenników - zaczytywali się głodni, śmiertelnie przerażeni emigranci rozdziałami Objawienia Jana Apostoła w widzeniu jego na pustynnym Patmosie.

Coraz częściej i chętniej stosowali do siebie tajemniczy tekst Apokalipsy.

Wszetecznicą, okrutną Wielką Babilonią to Szanchaj! - myśleli. - On to pije krew męczenników - naszą krew!

Nienawidzili nierządnic, drżeli przed nią i bestią, na której siedziała.

Ich chora wyobraźnia utożsamiała potwora apokaliptycznego z Chinami o siedmiu głowach - wielkich miastach z Pekinem, Nankinem i Kantonem na czele, a rogów dziesięć bestii - toć dziesięć najwyższych pagód i świątyń, gdzie stały bóstwa przerażające, o kłach i rogach straszliwych.

Wielka Babilonia, niby to olbrzymia pajęczycza, coraz chciwiej wysysała krew męczenników i zatruchiwała mózgi ich i wole.

Kilka rodzin wymarło już z głodu. Znajomi, przyjaciele i krewni jeden po drugim odeszli, wyzwoleni wreszcie i na zawsze ukojeni.

Zapomniano o nich niebawem w beznadziejnym borykaniu się o każdą godzinę życia.

Ten i ów zastrzelił się z pożyczonego rewolweru lub otrął się karbolem. Kilku młodzieńców, ograbiwszy przechodzącego kupca, urządziło sobie pijatykę we wspaniałym Carltonie, podbijając serca Amerykanek i Angielek niezrównaną sztuką taneczną, a potem, zakradłszy się do zapasowej

szatni, powiesiło się na hakach, zadzierzgnąwszy sobie na szyjach stryczki z porwanych na paski koszul.

Jakaś zrozpaczona matka porozbijała młotkiem główki swym dzieciom na parapecie Creeku, sama zaś z mostu skoczyła do brudnego kanału. Wpadłszy w nagły szal, jakiś mąż udusił głodną, chorą żonę, a potem rzucił się pod pociąg. Ale najgorzej bodaj i najniebezpieczniej układało się tu życie młodych kobiet. Umierały one coraz częściej, w sposób zagadkowy przerywając nikłą nić zohydzonego nędzą życia. Inne znów zatłaczały chodniki na ludnych ulicach i nawiązywały znajomość z przechodniami; w wyzywających, kuszących pozach przesiadywały w parku na Bundzie i po kawiarniach, w objęciach podpitych Amerykanów - brutalnych dla kobiet, nieposiadających paszportu amerykańskiego, i zimnych, drapieźnych Anglików; ślizgały się po mahoniowych posadzkach Astor House'u, Splendid Hotelu i Carltonu, nad ranem powracały do ubożego barłogu na łono rodziny - milczące, znękanie i zrozpaczone, rzucając ojcom i matkom banknoty, mające obieg na tej giełdzie walut, towarów, sumień, dusz i ciał ludzkich, życia i śmierci. Ojcowie i matki bez wahania już i wstrętu brali te pieniądze hańbiące i czym prędzej wybiegali z domu, aby zapłacić za brudne legowisko, kupić chleba, ryżu, mięsa.

Krew i łzy męczenników nikogo już nie wzruszały i nie przerażały, tyle ich bowiem wypłynęło we wszetecznym, okrutnym Szanchaju - więcej niż wody w jego cuchnących kanałach i deszczu zimowego. Jedynej pociechy doszukiwano się w mętnych prorocत्वach twórcy Apokalipsy. I znaleziono ją, bo oto samotnik patmoski napisał był: Z wina gniewu porubstwa Wielkiej Babilonii piły wszystkie narody, królowie ziemi wszetecznicтво z nią płodzili a kupcy ziemscy z mocy rozkoszy jej bogaczami się stali.

Nienawiścią przesiąkli przeto ci wygnańcy do wszystkich ludów, królów i bogaczy świata i zemstę im zaprzysięgli do śmierci, jako że sam Jan, umiłowany apostoł Chrystusowy, rozkazywał, mówiąc w swym Objawieniu: Oddajcież jej, jako i ona wam oddawała, a w dwójnasób dwójako oddajcie wedle uczynków jej, w kubku, którym nalewała, nalewajcie jej w dwójnasób! Jako się wiele wynosiła i w rozkoszach była, tyle jej dajcie męki i udręczenia.

Piekło rozwierało się coraz szerzej z dniem każdym. A jednak i tu czekano na coś, co powoła do jakiegoś czynu i przyniesie wyzwolenie. Nadśłuchiowano i wypatrywano czegoś niecierpliwie, obłądnie i namiętnie. Czego? Kogo? W całym tym mrowisku nędzarzy, w wirze przerażenia, obłądzenia i nienawiści nikt na te pytania odpowiedzieć nie mógł. Tak przed nieuniknioną zagładą, stojącą już na progu legowisk ludzkich, broniła się ostatnia reduta - nadzieja ponuro mistyczna.

Do tego to piekła - do Wielkiej Babilonii przybył bohater tej opowieści.

## II. SYNU CZŁOWIECZY, W POŚRODKU DOMU DRAŻNIĄCEGO TY MIESZKASZ

(2 Pror. Ezech.)

Bohater nasz, jeśli w ogóle można zaliczyć go do osobników o tak pompatycznej nazwie rodzajowej, nie mógł w owych czasach liczyć sobie więcej jak trzydzieści lat. Jednak - trzydzieści lat w pewnych okresach, nawiedzających ludzkość, stanowi epokę o takiej rozpiętości przeżytych wrażeń i zmienności psychiki, że z trudem daje się ona ogarnąć umysłem. Mózg w tych wypadkach wikła się w

labiryntie wątpliwości, zaczynając od najbardziej zdumiewającej, gdy to człowiek nie jest pewny, czy nie pomieszał różnych ludzi i czy nie przypisuje jednemu osobnikowi przeżyć kilku lub kilkunastu, i - kończąc wreszcie na najtrudniejszej - kiedy to sam sobie zadaje pytanie, w jaki sposób wszystkie te wypadki można było przeżyć i czy istotnie przeżyło się je. A może był to tylko zły sen, ciężka zmora lub chorobliwe majaczenie człowieka, pod wpływem nieznanymi pobudek wchłaniającego nagle fizyczne i emocjonalne przeżycia dziesiątków pokoleń?

Toteż każdy rok takiego wytężonego, powikłanego, nieprawdopodobnego życia równał się kompleksowi kilku bytów. Zacierają się granice poszczególnych okresów, kolejność zjawisk wymykała się spod kontroli pamięci, cała zaś linia życiowa - łańcuch przyczyn i skutków - stapiały się w chaotyczne zbiegowisko faktów, które traciły już swoją ostrość i nie wzbudzały jakichkolwiek emocji, z wyjątkiem chyba pewnych momentów szczerzego zdumienia niezainteresowanego zresztą w nich obserwatora. Obiektywność i obojętność wyczerpanej emocjonalności - takie tylko wyniki pozostawia po sobie podobne życie - bogate w nieznośnie ostre wrażenia. Nic więc dziwnego, że trzydziestoletni zaledwie człowiek, jakim poznajemy naszego bohatera, choć miał młodą, pociągłą twarz, gęste, jasne włosy, białe, zdrowe zęby, wysoką i muskularną postać, zdradzającą niepospolitą siłę fizyczną i jakąś przyczajoną drapieżną zwinność zwierza, gotowego do skoku, mógł powiedzieć o sobie (a w rzadkich chwilach szczerości nawet mawiał), że jest już stary - stary spadającym nań doświadczeniem kilku naraz generacji różnych, niepodobnych do siebie okresów dziejowych.

Wprawny zresztą obserwator spostrzegłby u niego zapewne nieomyślne oznaki starości. Na czole, pomiędzy brwiami i od kącików warg, umięających mocno się zaciskać, aż do mocnego podbródka wyźłobiły sobie zawiłe łozyska głębokie zmarszczki, które już niczym złagodzić się nie dają; w bladoniebieskich, szeroko rozwartych oczach, patrzących twardo i zimno, jakaś wewnętrzna, mętna mgiełka przysłaniała źrenice, ukrywając dokładnie wszelkie uczucia i wrażenia. Spod energicznie zarysowanych łuków brwi patrzyły te oczy przenikliwie, czujnie i groźnie; zdawało się, iż widziały wszystko, przebijając potęgą tysięcy ukrytych w nich źrenic mury gmachów, tkaninę ubrań, mięśnie i kości oglądanego człowieka. Małe, rasowe ręce o długich, cienkich palcach zdolne były do nagłego i mocnego chwytu, chociaż zachowywały spokój, dowodzący wielkiej równowagi duchowej lub siły woli; małe stopy mocno wpierały się w ziemię, jak gdyby każdym krokiem swoim podkreślając stanowczość i niezłomność zamierzeń ich właściciela. Na zimnej, spokojnej, prawie nieruchomej twarzy błąkał się chwilami szyderczy uśmiech, jak gdyby zadając komuś pogardliwe pytanie:

N-no! Co będzie dalej?

Bohater nasz przybył do Szanchaju jakoś dziwnie raptownie i od pierwszych chwil, ledwo podszwami żółtych trzewików dotknął granitowych kostek jego ulic, miał wygląd człowieka, od dawna tu zamieszkałego i nieoczekującego żadnych już niespodzianek. W kołach emigrantów rosyjskich, uczęszczających do tych samych tanich restauracji i drugorzędnych kawiarni, pojawienie się nieznanego wzbudziło ostre zaciekawienie i pewien niepokój. Większość Rosjan wyrażała nawet przekonanie, że jest to tajny agent policji angielskiej.

Może ktoś z naszych rodaków w tak wielką wplątał się aferę, że aż z Londynu przysłano tu urzędnika Scotland Yardu? - domyślali się dawni ministrowie i szefowie różnych departamentów.

Wojskowi, obejrawszy bacznie nieznanego, mruzcili do siebie:



Trudno nas nabrać! Cha, cha! Tego ptaszka podestali nam bolszewicy! Przekonacie się, że dla zamydlenia oczu powąłęsawszy się kilka dni samotnie, pocznie nawiązywać kontakty na modłę szpiegów sowieckich... Znamy już te sztuczki!

Pomylili się jednak wszyscy, gdyż nieznamy, siedzący właśnie przy stoliku w kawiarni i bezceremonialnie przyglądający się obecnym gościom, wstał nagle i podszedł do okna, gdzie zasłonięty gazetą ukrył się stary senator, tajny radca Ableuchow.

Ekscelencjo, Piotrze Pawłowiczu, nie poznaje mnie pan?

Senator nasunął okulary na nos i odłożywszy dziennik, przyjrzał się uważnie stojącemu przed nim nieznanemu.

Przepraszam - mruknął niechętnym głosem, obawiając się nieuniknionego zawsze w takich wypadkach ataku na kieszeń z powołaniem się na znane szerokiemu ogółowi miłosierne serce ekscelencji i na wspólnych znajomych, a nawet krewniaków - przepraszam, ale...

Stojący przed nim człowiek o skrzepłej twarzy nie dał mu jednak skończyć zdania. Pochyliwszy się nad stolikiem i czując zwrócone na siebie spojrzenia wszystkich obecnych, powiedział tak cicho, że tylko sam radca mógł go posłyszeć:

-Jestem Sergiusz Wagin. Nie mam zamiaru o cokolwiek prosić pana, Piotrze Pawłowiczu, niech się pan nie obawia!

Przez twarz mówiącego przemknął szyderczy uśmiech.

Na szczęście życie nauczyło mnie obchodzić się bez czyjejkolwiek pomocy - dodał natychmiast. Sergiusz Wagin, syn - wyszeptał Ableuchow z jakimś przerażeniem w głosie.

Syn pańskiego kolegi z Senatu - kiwnął głową Wagin, ale spostrzegłszy lęk w starczych oczach biurokraty, mocniej zacisnął wargi i syknął: - Przepraszam, że ośmielam się przypomnieć ekscelencji, ale po tylu latach tułaczki i, doprawdy, niebywale ohydneho życia chciałem spędzić choć pół godziny w dawnym towarzystwie! Odejdę zaraz, ale skoro nazwisko moje aż tak przeraziło pana, proszę o dyskrecję! Czy przyrzeka mi to pan?

Starzec prawie nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w groźną w tej chwili twarz Wagina, aż wreszcie z trudem wyjąkał:

- Jeżeli pan tego sobie życzy, owszem, zachowam nazwisko pana w tajemnicy!

Dziękuję! Nie tyle chodzi mi, oczywiście, o nazwisko, ile, o komentarze do niego, ekscelencjo - powiedział z naciskiem.

Wagin uklonił się i powróciwszy do swego stolika, z obojętną miną usiadł przy nim. Nic nie zdradzało w nim wzruszenia, tylko trzy głębokie bruzdy na czole poruszyły się gwałtownie raz i drugi, ale znieruchomiały wkrótce.

Wypił podaną mu herbatę, przerzucił ogłoszenia w rosyjskim świstku, wydawanym w Szanchaju przez jakiegoś bezczelnego rekina żółto prasowe go, zapisał sobie coś w notesie i zapłaciwszy kelnerce, opuścił kawiarnię.

Wtedy dopiero znajdujący się na sali emigranci otoczyli starego senatora, wypytyując go o nieznanego.

Ableuchow marszczył czoło i wzruszał ramionami, mrużąc niezadowolonym głosem:

Nie wymienił mi swego nazwiska. Omylił się, wzięwszy mnie za kogoś innego.

-Ale czy to nasz — Rosjanin? — rozległy się pytania.

Sądzę, że tak! W każdym razie biegle i czysto mówi po rosyjsku - odpowiedział Ableuchow, znowu zasłaniając się gazetą i zsuwając szkła na czoło.

No, jeśli tak - mówili rozczarowani Rosjanie - to nic innego, tylko przybył tu nowy szpieg bolszewicki, aby nas śledzić i o wszystkim donosić do Moskwy.

Wygnańcy, tchórzliwi zbiegowie omamiali się szczególną uwagą, jaką musiał zwracać na nich czerwony rząd proletariatu. Tymczasem w Moskwie nikt o nich nawet nie wspominał. Sprytni i doświadczeni macherzy rewolucyjni wiedzieli, że te odłamki caratu muszą się rozsypać jak stara cegła gmachów średniowiecznych; inni zaś, jeśli wymrzeć nie zechcą, powrócą, skamtać będą, kajać się i błagać o litość i kawałek chleba. Komisarze ludowi znali przecież dokładnie historię Rosji, a zagarnięte przez nich tajne archiwum polityczne niejedną odstoniło przed nimi nędzną i ohydą nikczemność. W Kremlu więc nikt nie wątpił, że jedno tylko słowo o amnestii i jakiej takiej możliwości istnienia przyciągnęłoby do nowej Rosji dziewięć dziesiątych całej emigracji, lecz ta powrotna fala niepotrzebnych, ogłupiałych do reszty niedobitków przeszłości nie była wcale pożądana. Kilka tysięcy głodnych gąb i dwa razy tyle nigdy nieimających się ciężkiej, istotnej pracy rąk - na co i po co to było rządowi, burzącemu podwaliny caratu? Co mogli dać z siebie ci dawni ludzie zuchwałemu Leninowi i jego Międzynarodówce, zmierzającym po skończonej wojnie domowej ku gorączkowej budowie czegoś zupełnie nowego, nigdy niewidzianego, a ogromnego i powstającego szybciej od oślawionych piramid egipskich? Nie były to czcze i brutalnie reklamowe zamiary, gdyż nie jakichś tam nędznych sześćdziesiąt tysięcy, jak w Tebach, Karnaku i Gizeh, ale miliony niewolników pokornych i niczego nieżądających, oprócz kawałka chleba i cuchnącej, suchej ryby, można było w każdej chwili pchnąć na najzuchwalszą, najniebezpieczniejszą i najfantastyczniejszą robotę.

Agitacja zagranicą, skierowana przeciwko nowym gospodarzom Rosji, a więc - szkodliwa opinia, urabiana przez emigrantów? Lenin i jego towarzysze, przez szereg lat głodujący zagranicą, poznali dokładnie, do najgłębszych tajników zmaterializowaną, amoralną duszyczkę współczesnej cywilizacji, gdy to ilością złota w bankach i wartością koncesji oceniano i mierzono „kulturę” ludów! Wszelką agitację przeciwko nim i najgorszą o nich opinię można było w ciągu jednej doby zmienić i rozproszyć, dając Europejczykom i Amerykanom opcje na naftę, węgiel, żelazo, mangan, azbest i złoto syberyjskie! Czy warto było zatem przejmować się starym zrządzeniem jakichś tam umarłaków, z głodu, chorób i zimna padających na ulicach wspaniałych stolic Zachodu, i gdzieś - aż w Szanchaju lub na rozszalałym, puchącym od bogactwa Manhattanie? Nikt w Moskwie o tym nie myślał i żadnych obserwatorów do Szanchaju nie posyłał. Kontrrewolucja od roku już zachłysnęła się w morzu krwi i odrodzić się nie miała sił i woli.

Wagin szedł Bundem, zatłoczonym korowodem tramwajów, autobusów, samochodów i małych wózków, popychanych przez rikszów, a skręciwszy wspaniałą Nanking Road, nie zwracał uwagi na przepych olbrzymich sklepów i składów drogiej kamieni, złotych i srebrnych cacek i naczyń, jedwabiu,

artystycznych wyrobów z czarnej i czerwonej laki. Dążył tam, gdzie na koncesji francuskiej asfaltowa jezdnia Avenue de deux Republiques urywała się nagle przed bramą w murze dawnego Szanchaju i gdzie biegła dalej ulica Fu-Tien-Koo, przecinająca całą dzielnicę chińską.

Tam dopiero zaczął się rozglądać z zaciekawieniem.

Tuż za murem brukowana już ulica biegła ku małemu sztucznemu jezioru, otoczonemu drzewami i trawnikiem. Czerwono lakowany, połamany w zygzaki mostek prowadził do malowniczej, uczęszczanej przez Europejczyków herbaciarni „Pod Wierzbami”, gdzie po południu przychodzili też Chińczycy, za którymi słudzy nieśli klatki ze skrzydlatymi śpiewakami, osładzającymi dulce far niente żółtoliczych dżentelmenów. W pobliżu kawiarni stały domy chińskich bogaczy i jeszcze wspanialsze domy publiczne, oznaczone czerwonymi latarniami z zachęcającymi niezmiernie romantycznymi napisami. Wiśniowa i złota laka biła zewsząd w oczy, powyginane fantastycznie, okryte emaliowanymi płytkami dachy ulubionego w kraju stylu tin jarzyły się w słońcu. Tam i sam jakiś dumny milioner wybudował dla siebie siedzibę z kilkupiętrową basztą gu, ozdobioną po rogach złożonymi głowami smoków. Przepych ten urywał się jednak koło świątyni, stojącej w środku dzielnicy.

Dalej, jak okiem sięgnąć, na olbrzymiej płaszczyźnie rozparło się na wszystkie strony stłoczone zbiorowisko szarozółtych, małych domków tubylczych. Ulepione z gliny lub ziemi, zmieszanej z nawozem i słomą, o strzechach z badyłów gaolianu, mętnie wyzierając oknami, zaklejonymi szarym, przetłuszczonym papierem, chronione lekkimi drzwiami z ram bambusowych i mat słomianych - domki ciągnęły się, zda się, w nieskończoność, przerywaną tam i sam wąskimi poprzecznikami. Oko nie miało na czym spocząć, gdyż wszędzie wokół ciągnęła się ta szarozółta jednostajność i tylko w trzech miejscach jaskrawymi plamami odcinały się fałdowane wymyślnie dachy świątyni, a gdzieś daleko ponad bezbarwnym zbiegowiskiem ubogich i smutnych budowli, niby straż lub jakiś znak ostrzegawczy, tkwiła czerwona siedmiopiętrowa baszta pagody Loonghwa, smukła, o dziwacznie powyginanych, pogarbionych okapach z barwnych dachówek porcelanowych. Obok tej świątyni cieszyło wzrok kilka burozielonych drzew, które nie zdążyły jeszcze zrzucić wszystkich liści; za to w reszcie dzielnicy chińskiej - na całej jej szarej palecie — nie biła w oczy żadna barwniejsza plama - ani zielonej korony lub czarnych konarów drzew, ani nawet badyla jakiegokolwiek rośliny - nic, tylko te szarozółte domki - fanze i bure, cuchnące błoto miasta przyrodzonych, odwiecznych gospodarzy Szanchaju. Gdzieś tam, na końcu Fu-Tien-Koo powiewała trójkątna czerwono-czarna chorągiew i majaczył jakiś maszt z deską, zapisaną czarnymi hieroglifami. Idący ulicą cudzoziemiec nie wiedział, że zbliża się do chętnie i tłumnie odwiedzanego przez obcokrajowców jaomynia, gdzie sędziowie chińscy wykonywali wyroki śmierci, wraz z łapówką podsuwane im przez rezydentów europejskich.

Wyboistą, pełną wyrw i kałuż ulicą ciągnęły tu nieraz ukradkiem rozkołysane na resorach limuzyny, wiozące piękne ladies i dżentelmenów, wystrojonych już na dancing poobiedni. Dążyli tu oni na widowisko niepospolite. Kat oczekiwał już gości i co chwila obcierał swój szeroki miecz. Gdy zaś spadały głowy nikomu nieznanym i z rzadka tylko na gorącym uczynku pochwyconych bandytów, a wrony i jastrzębie w oczekiwaniu stypy rozsiadały się po krawędzi glinianego muru, dżentelmeni uprowadzali swoje lekko drżące, a czasem nawet roznamiętnione damy do aut i wieźli je do Astor House'u i Carltonu na kieliszek koktajlu i niezbędną porcję tańców, po których razem znikali w przytulnych, dyskretnych gabinetkach w tea-house, gdzie, podobna do cienia, przesuwają się milcząca służba chińska o zagadkowych, nieruchomych żenicach.

W pobliżu jaomynia Wagin odnalazł mały, jak zresztą i wszystkie inne, domek pod numerem tysięcy siedemset pięćdziesiąt.

To tu - mruknął do siebie, sprawdzwszy zapisany w notatniku adres, i zapukał do drzwi zalepionych papierem, wzmocnionym skrzyżowanymi deskami z czarnym napisem na nich: Standard Oil Company.

Opasły Chińczyk w czarnym, zatłuszczonym straszliwie chałacie i jedwabnej czapeczce na głowie, szczerząc rzadkie, żółte kły i mrużąc przebiegłe oczy za grubymi szklami okularów w śmiesznie dużej oprawie rogowej, spytał łamaną angielszczyzną:

Czego życzy sobie wielce czcigodny cudzoziemiec?

Chciałbym wiedzieć, czy tu mieszka pani Wiera Somowa - spytał Wagin.

Chińczyk zaczął trząść głową i bełkotać:

Tak, tak! Mieszka na podwórku, w bardzo pięknym domku!

Sergiusz przeszedł sień, pod pułap wypchaną worami z soją i skrzyniami z olejem bobowym, i przez przeciwległe drzwi wy dostał się na podwórko, malutkie, czyste, po bokach obsadzone niskimi krzaczkami herbacianymi; w środku jego, na tle grubej warstwy żwiru, bił w oczy okrągły klomb, pełen jakichś jesiennych fioletowych kwiatów i podobnych do kling szabel liści irysowych. Na końcu podwórza stał schludny domek o trzech rozsuwanych okienkach, z ganeczkiem o cienkich, rzeźbionych filarach i wymyślnym daszku z rynnami w kształcie głów żurawi.

Tu dawniej miał mieszkanie syn mój - mówił Chińczyk - ale odnająłem je teraz czcigodnej pani.

Na odgłos kroków idących ludzi, drzwi otworzyły się. Na ganeczek wyszła bardzo dostojna, siwa już dama i spytała po angielsku:

Czy pan z ogłoszenia? Szuka pan pokoju?

Tak jest! - odparł po rosyjsku Wagin, zdejmując kapelusz. - Czy mógłbym obejrzeć lokal?

Pani Somowa ruchem ręki zaprosiła go do wnętrza domku.

W małej izdebce z żelaznym łóżkiem, jednym stołem, umywalką i trzema krzeselkami usiedli i patrzyli na siebie tym dziwnie ostrym wzrokiem, jakim patrzeć umieją ludzie, którzy nieraz już widzieli przed sobą śmierć. Długie milczenie mogłoby ciążyć komu innemu, lecz tych dwoje ludzi uważało je za niezbędne. Musieli przypatrzeć się sobie, porobić własne spostrzeżenia i wyciągnąć wnioski, kierujące dalszym postępowaniem. W tej wnikliwej i szczegółowej obserwacji, zda się, brały udział nie tylko znane, codziennie przez ludzi używane zmysły, lecz jakieś inne jeszcze, budzące się w nadświadomości, wyostrzone w ciężkiej niewymownie i zawsze tragicznej walce o byt. Wyczuwali oboje, że w tej chwili jak gdyby wymotywiają z siebie jakieś nici tajemnicze, oglądają je milimetr po milimetrze, niby trwałość ich i forma zabezpieczyć miały sprawne czynności niewidzialnej maszyny, tłącej możliwość współżycia.

Milczenie, długie i przesycone prądami intuicji, nie krępowało ich bynajmniej i nie nużyło.

Za cienką ścianą ktoś zanosił się od suchego, duszącego kaszlu, a gdy na chwilę urywał, dobiegało głośnie tykanie ściennego zegara i lekki zgrzyt jego mechanizmu, starego zapewne i zardzewiałego. W kuchence za drugą ścianą pobrzękiwały metalowe kociołki czy kubki i pluskała woda.

Pierwszy przemówił Wagin. Z lekka wykrzywiając usta i odsłaniając białe, ostre zęby, powiedział: - Jeżeli pani nie będzie miała nic przeciw temu - wynajęłbym te pokój. Na wszystkie możliwe pytania postaram się dać jak najszczerzą odpowiedź. Nie jestem zamożny, cha, cha - mam właśnie tyle tylko pieniędzy, ile mi starczy na miesiąc, więc ten czas ma pani bądź co bądź zabezpieczony... Miesiąc w naszym życiu to wszak dużo. Nieprawdaż?

To mówiąc, położył na stole banknot i ciągnął dalej zimnym i obojętnym tonem: Zresztą przekonany jestem, że dam sobie radę w Szanchaju, jak dawałem ją sobie wszędzie, gdzie tylko od roku 1915 rzucał mnie los, doprawdy, dość kapryśny, nieszczędzający mi przykrych nieraz niespodzianek. Mam nadzieję, że pozostanę lokatorem na czas dłuższy.

Zaśmiał się z jakimś gorzkim szyderstwem, a zmarszczki głębiej wcięły mu się w skórę czoła.

Czym się pan trudni? - spytała bez szczególnego zresztą zainteresowania, raczej po to tylko, aby wziąć udział w rozmowie i nie pozostawać bierną słuchaczką.

Obecnie? Tu? - uśmiechnął się złośliwie prawie. - Zapewne tym samym, czym i pani - zamierzam walczyć o życie, jak umiem i mogę. Różnymi się drogami chodziło i różnych, powiedzmy nawet bez przesady, wszystkich zawodów się próbowało. Ale, o ile sądzić mogę, to i pani łyknęła emigranckiej biedy?

Skinęła tylko głową i uniosła nieco ciemne brwi. Po chwili wyciągnęła do Wagina rękę.

Więc w szczęśliwą godzinę - proszę się wprowadzić! - powiedziała spokojnym głosem.

Uścisknąwszy podaną mu dłoń, wyszedł na podwórko, mruknąwszy dość głośno, żeby pani Somowa mogła go usłyszeć: Miło tu i zacisznie.

- A tak! - odpowiedziała natychmiast. - Gospodarz Jun-cho-san - bogaty kupiec. Handluje soją, olejem i makuchami. Lubi porządek i czystość. Uważam, że trafiłam bardzo szczęśliwie, wynajęwszy tę chałupkę.

Istotnie! - zgodził się Wagin i raz jeszcze ukłoniwszy się pani Wierze, skierował się ku wyjściu.

Wkrótce po tej wizycie przed dom Jun-cho-sana zajeżdżała dwukonna dorożka chińska, a z niej wysiadł Wagin i z pomocą furmana wniósł do pokoju dwie walizki skórzane. W pół godziny później był już rozlokowany w nowej siedzibie.

Pani Somowa, zajrzawszy do pokoju, zapytała:

Może potrzebuje pan czego? Czy nie dać wrzątku na herbatę?

Dziękuję! - odparł krótko, urywając nikły wątek możliwej rozmowy.

Po chwili wyszedł z domu. Miał jeszcze bardziej skupioną twarz i niezwykle ostry, baczny wyraz oczu. Przypomniawszy mu się nagle przestrach na szerokiej, steranej twarzy senatora Ableuchowa. Zaciśnięte wargi i syknął:

- Tchórze! Nędznicy! Krety! Zdrajcy!

Posłyszał własny syk i zdumiał się. Od dawna niczym tak bardzo się nie przejął.

Zmusił się do wyrzucenia z pamięci przerażonego oblicza ekscelencji. To go od razu uspokoiło. Ruszył przed siebie, rozglądając się na wszystkie strony. Chciał dokładnie poznać dzielnicę, w której zamieszkał, i zajrzeć możliwie wszędzie.

### III. I UPALENI BYLI LUDZIE UPALENIEM WIELKIM

(Obj. Jana Apostoła XVI, 9)

Fu-Tien-Koo ciągnęła się na przestrzeni dobrych dwu kilometrów. Wagin, przeszedłszy ją od czerwonej bramy paj-lou do jaomynia, a potem dalej - aż do ostatniego przysiółka, gdzie widniały już tylko chińskie ogrody warzywne - spostrzegł, że dzieliła się wyraźnie na trzy odcinki, zupełnie odrębne.

Pierwszy - bliższy do wielkiego, międzynarodowego Szanchaju posiadał świątynie, skwery i herbaciarnie. Stały tu bogate domy kupców, dostarczających towarów i surowców firmom eksportowym, które bez tych pośredników, ustosunkowanych we wszystkich prowincjach i kołach producentów, nie byłyby w stanie nabyć ani litra oleju bobowego, ani kilograma soi, pszenicy, ryżu, prosa, wosku drzewnego, herbaty, kamfory, santalu, ani też kawałka węgla lub rudy żelaznej, antymonowej i cynowej, ani nawet metra tkaniny jedwabnej. Dalej od tego ośrodka usadowili się mniej zamożni kupcy; ci w szarozółtych szopach od ulicy mieli swoje skromne biura handlowe. Sami mieszkali z rodzinami w schludnych domkach, ukrytych w głębi posesji, ze wszystkich stron otoczonej długimi, niskimi budynkami, gdzie mieściły się ich składy towarowe. Jun-cho-san, jeden z najruchliwszych kupców przy ulicy Fu-Tien-Koo, miał na swojej posesji dwa domy. W jednym z nich przed trzema laty jeszcze mieszkał syn jego, Fu-Sai-Ti z młodą żoną i dzieckiem, lecz podczas rewolucyjnych rozruchów w Szanchaju, idąc na ślub przyjaciela, młody kupiec trafił na Szeczuan Road pod ogień kulomiotów angielskich i zginął wraz z żoną i synkiem. Jego to właśnie domek dzierżawiła teraz emigrantka rosyjska - pani Wiera Somowa.

Za jaomyniem rozpoczynał się drugi odcinek ulicy. W jeszcze mniejszych i nędźniejszych szopach, nieposiadających nawet podwórka, gnieździł się chałupnicy, pracujący dla wielkich domów handlowych, kapiących od złota, laki, srebra i masy perłowej. Szewcy, krawcy, złotnicy, tkacze, hafciarze, tokarze, lakiernicy, malarze, snycerze, rzeźbiarze, stolarze, cieśle i jubilerzy mieli tam swoje drobne warsztaciki, gdzie pracowali w zaduchu i półmroku po czternaście godzin na dobę, gdzie zmieniały się całe generacje wielkich nieraz majstrów i artystów, przechowujących zazdrośnie sztukę dziadów i pradziadów i również tradycyjne i trwale stosunki z wielkimi starymi firmami.

Odcinek ten kończył się w miejscu, gdzie stała mała kapliczka z tablicą jakiegoś tekstu z księgi Konfucjusza, wiązką kwiatów i palącymi się we wnętrzu świeczkami ofiarnymi.

Dalej aż do samych ogrodów ciągnęła się ostatnia, końcowa część Fu-Tien-Koo.

Znalazły tu dla siebie przytułek domy zajezdne, hoteliki o przechodzących wyobraźnię ludzką brudach i nigdy niemilkącym zgiełku; jadłodajnie, herbaciarnie, domy gry, palarnie opium, jakieś w półrozwalone, pozbawione dachów i drzwi rudery, skąd w dzień i w nocy dobiegały jęśliwe zawodzenia fletów i jednostronnych skrzypiec, warkot bębenków, obłądne, piskliwe krzyki kobiet, ponure, dzikie przekleństwa mężczyzn i śmiech, w tych zwaliskach i ohydnych norach brzmiały dziwnie złowrogo.

Na ladach przed jadłodajniami widniały stopy prażonych w oleju bułek, makaronów i obwarzanków, które tuż na brudnym parapecie spoconymi, czarnymi dłońmi rozwałkowywali z ciasta półnaczy piekarze; stały blaszane półmiski z kawałkami smażonych ryb i ociekającej tłuszczem wieprzowiny, zaprawionej lepkiem, ostrym sosem na miodzie z imbirem; misy z zupą z mięczaków i wodorostów morskich, całe góry ryżu, okraszonego aromatycznymi ziołami, berberyssem i papryką; kosze z gotowanymi krabami i krewetkami, stoje z muszlami, wymaczanymi w słonej wodzie z czosnkiem i liśćmi pachnącej potem końską pietruszką chińską. Ogromne, baniaste gąsiorzy z sosem sojowym i grzybowym i mniejsze, smuklejsze - z mai-go-lo i han-szinem - dwiema odmianami wódki: ryżowej z anyżem i zwykłej - gorzkiej i palącej gorzałki - z prosa.

Przechodnie stawali przy ladach, jedli z małych miseczek porcelanowych i pili wódkę z drobniejszych jeszcze - podobnych do małego kieliszka, płacili przedziurawionymi czochami, nawleczonymi na sznurki, i znikali w innych legowiskach, wedle upodobania, chwilowej zachcianki lub stałego nałogu.

Wagin zajrzał wszędzie i wszystko dokładnie zapamiętał. Ostre zapachy kuchenne wzbudziły w nim poczucie głodu. Wstąpił wreszcie do restauracyjki, nad którą widniał ogromny szyld chiński, głoszący, że najwykwintniejsza restauracja w świecie W Locie Siedmiu Jaskółek czcigodnego Mao-Lu-Pao, naczelnego kucharza ostatniego Syna Nieba, słynie ze swych potrawek z gołębi w sosie szy-kai-ni i z boczków jagnięt, nadziewanych kasztanami, gotowanymi w rosole z trepangów.

Wagin nie mógł rozumieć stylizowanych misternie hieroglifów chińskich tak samo, jak uwięziony już wówczas Syn Nieba, ostatni, młodociany cesarz, nie był w stanie sprostować pewnej nieścisłości, a mianowicie, że czcigodnego skądinąd Mao-Lu-Pao nie oglądał nigdy swymi boskimi oczami i nigdy w Zakazanym Grodzie nie miał takiego szefa kuchni. Sergiusz ze smakiem jednak zjadł podaną mu wyborną potrawkę i tłusty kawałek faszerowanej baraniny. Przekonał się, że ceny były tu dostępne, jedzenie - dobre, a porcje - obfite. Postanowił więc, o ile pozwoli mu na to okoliczności, zaliczyć się do stałych bywalców restauracyjki Mao-Lu-Pao, chudego jak szczapa, dziobatego diabelnie Chińczyka, coś niecoś bełkocącego po angielsku.

Nowego gościa zaciekała niezmiernie publiczność restauracji. Niezawodnie, klienci dziobatego Mao nie byli ani kupcami, ani rzemieślnikami. Pierwsi jadał wyłącznie w domu i w dzień mieli na sobie wyświechtane, przetarte na łokciach ubrania, niby szyldami, poznaczone plamami lub kurzem artykułów swego biznesu: ten - oliwą, tamten - mąką, inni - oczeskami bawełny, jedwabiu, juty lub też przepojone wonią skór, surowych i garbowanych, korzeni, herbaty. Dla rzemieślników znowu stanowczo za drogie to było miejsce. Siedzący przy stolikach Chińczycy mieli dobre, jedwabne

chałaty, nowe obuwie i mycki lub kapelusze europejskie. Naradzali się ze sobą po cichu, rzucając podejrzliwe spojrzenia w stronę nieznanego cudzoziemca. Do tego lub innego z nich podchodzili raz po raz jacyś ludzie z ulicy, szeptali coś tajemniczo i znikali pośpiesznie, otrzymawszy rozkazy.

Wagin nieznacznie krzywił usta, jak gdyby ciesząc się wewnątrz. Po posiłku odwiedził kilka hotelików pod pozorem, że szuka dla siebie pokoju. Mogło mu się to przydać na przyszłość. Ujrzał tu przerażająco ohydne barłogi, cuchnące, zarażone, zdawało się, wszystkimi istniejącymi na świecie chorobami, hałaśliwe, zatłoczone niemożliwie, bo w niektórych izbach przedsiębiorczy hotelarze pobudowali aż trzy piętra prycz, niczym nieosłoniętych, wyslizganych, okrytych grubą warstwą brudu, zmieszanego z łojem potu lub resztek tłustego jedzenia i olejem bobowym - tą nieuniknioną przyprawą kuchni chińskiej, farmakopei i kosmetyki.

Korytarze, wszelkie zakamarki, parapety okien i małe ganeczki, prowadzące na podwórza, zalane czarnym błotem, zanieczyszczone kałem ludzkim i zwierzęcym, zatłoczone mułami, końmi, wielbłądami i ciężkimi dwukołowymi arbami, zavalone były stosami skrzyń i worków z towarami, przywożonymi tu aż z Mongolii i nadmorskich, wschodnich prowincji.

Składy pierwszego odcinka Fu-Tien-Koo pochłaniały to wszystko, by w parę dni później przewieźć posortowany już towar do żelazobetonowych stores potężnych eksporterów.

Zwiedzając zajazdy, hotele, a nawet domy noclegowe, Wagin dłużej i uważniej oglądał budynek jakiejś znaczniejszej gospody, przypominającej znane na Wschodzie muzułmańskim karawanseraje. Stawali tu wyłącznie poganiacze mułów i wielbłądów, robotnicy z kryp, płynących kanałem i rzekami, majtkowie wielkich dżonek morskich, furmani wozów ciężarowych i różni biedacy, ciągnący zewsząd do bogatego Szanchaju, szukając i spodziewając się znaleźć w nim chleb, a znajdując - śmierć.

Sergiusz ze skupionym wyrazem na twarzy przyglądał się czworobokowi, podzielonemu na duże izby ogólne o dwu kondygnacjach prycz, malutkim, ciemnym klitkom na poddaszu, pozbawionym sufitów i okien, gdzie zawieszono maty trzciniowe zastępowały drzwi i pułap, a niska skrzynia - łoże, krzesło i stół. Całe podwórze roiło się od zwierząt pociągowych, czarnych świń o nastroszonej szczerbinie, głodnych, parszywych psów, owiec i ludzi, roznoszących wodę w blaszankach od nafty amerykańskiej i worki z obrokiem. Na werandzie przed izbami tłoczyli się mieszkańcy tej ohydnej, zgiełkowej dziury. Niebawem hazardowni Chińczycy grali w karty, w kości, domino i mahjong, inni słuchali jakiegoś wędrownego baśniarza, przyglądali się przedstawieniu trupy akrobatów i sztukmistrzów, jedli i pili.

Dobiegał straszliwy jazgot i ciężkie uderzenia młotów. To kowale na oczekaniu naprawiali zerwane na wyboistych drogach żelazne okucia kół, wyrabiali podkowy i nabijali je na poranione i potrzaskane kopyta mułów i koni. Rzęziły, kwiczały i charczały zarzynane przez kucharza barany i świny, gryzły się i szczekały psy, walczące o ochłapy mięsa, skrzypiał jękliwie żuraw studni, zgrzytały żarna młynka, mielącego pszenicę, gaolian i czumizę, łomotały obuchy, rozbijające na opał stare, zużyte do reszty skrzynie od oleju bobowego i konopnego. W jednym kącie podwórka, skacząc sobie do oczu, wymachując rękami i skrzeczącym głosem ciskając niewymownie ohydne, Chińczykom tylko znane przekleństwa, kłóciło się kilku żebraków o zniekształconych, zżartych trądem twarzach.

Wagin spostrzegł galeryjkę, biegnącą wzdłuż całego czworoboku budowli po dachu, krytym deskami. Zwykła drabina prowadziła stąd na pusty plac, gdzie zapewne po pożarze pozostały rumowiska, doły i kupy opalonej gliny.



Gdy tak stał i podświadomie niemal utrwał sobie w pamięci sytuacyjny plan zajazdu, zbliżył się do niego jakiś dziwny typ. Wyrósł przed Waginem jak spod ziemi. Olbrzymi był to drab, o szerokich barach, kudłatej głowie i czerwonej, obrośniętej czarną szczecinią, od dawna niegolonej twarzy. Łypał przekrwionymi oczyma i kurczył węzłowate palce ogromnych łapsk.

- Mogę służyć za przewodnika, sir - zaryczał po angielsku bezczelnym, ochrypłym basem - za przewodnika po tym istotnie wyjątkowo pouczającym i budzącym filozoficzne myśli zakątku Żółtego Piekła!

Akcent jego zdradzał Rosjanina. Wagin wydobyl z kieszeni paczkę papierosów i częstując draba, spytał po rosyjsku:

- Pali pan?

Drab zdębiał i wybałuszył na niego pijackie oczy. Po chwili splunął i wybuchnął śmiechem.

- Do diabła! - zamruczał. - Wziąłem pana za Anglika! To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Żeby aż tak się pomylić, no, no! A wszystko od tej przeklętej hanszy!

Obciągnąwszy na sobie jakieś łachmany, wyprostował się po wojskowemu i huknął:

- Pozwoli pan się przedstawić, szanowny rodaku! Lejtenant Morskiej Gwardii Jego Cesarskiej Mości - Michał Miczurin!

Wagin, burknąwszy niewyraźnie swoje nazwisko, spytał:

Co pan tu robi w tym zajazdzie? Ale, ale! doskonała nazwa - „Żółte Piekło”!

Drab zaśmiał się na całe gardło i odpowiedział natychmiast:

Nazwa to mój wynalazek, bo pospolicie ta buda nazywa się „Gospoda Czterech Stron Świata”. W niej to piastuję niezbędną tu godność psa łańcuchowego!

Nie rozumiem.

-Ja bym na pańskim miejscu też nie zrozumiał! - ryknął znów śmiechem Miczurin. - W tym Splendid Hotelu różne gnieźdzą się typy, do bandytów - owych sławetnych hunhuzów - włącznie. Nieraz tu mają miejsce nożowe rozprawy, ba, nawet całe batalie ze strzelaniną, wtedy więc ja występuję w roli, że tak powiem, superarbitra, zaczynam swoje urzędowanie i wykonywam czynności, powierzone mi niepisany dekretom właściciela zajazdu! Niech pan raczy spojrzeć na mnie. Kawał chłopca, co? Średniej wagi bliźniego z łatwością mogę przerzucić, jak worek z sianem, przez mur, a uderzenia mego nie wytrzyma najtęższy muł!

To mówiąc, pokazał ogromną piegowatą pięść, kosmatą od rudych włosów.

No więc. Robię porządeczek, przeprowadzam gwałtowną i radykalną pacyfikację i abgemat. Za to mam kąt, żarcie, a po burzliwej nocy mogę wlać sobie do gardzieli miarkę hanszynu. Wlewam zresztą znacznie więcej, bo musi pan wiedzieć, że łaknę ciągle, nostalgia bowiem i wspomnienia dawnej świetności dokuczają mi i gryzą. Ech, i my kłusakami byliśmy niegdyś - zanucił ponuro znany romans cygański. Urwał po chwili i pochyliwszy się Waginowi do ucha, szepnął:

- Może przydałbym się panu na jakąś robotę?

- Co pan ma na myśli, mówiąc o robocie? - pytaniem na pytanie odpowiedział Wagin.

Drab skrzywił twarz obleśnie i zachichotał skrzecząco:

- Hm, hm. Pytanie obcesowe, a nawet - żenujące! Ale, cóż? Jeżeli się powiedziało a, należy powiedzieć b i tak do ostatniej litery alfabetu. Ułożyć jak gdyby curriculum vitae!

Śmiejąc się wciąż i dysząc w twarz Wagina oparami cuchnącej okowity, zwierzał się z całą bezczelnością i cynizmem:

- Bo to widzi pan, z konieczności stałem się mistrzem od różnych pożytecznych w naszym głupim życiu zawodów, że tak powiem specem sztuki stosowanej.

- Na przykład?

- Ha! Słynę jako magik w arkanach szulerki. Nie? Nie potrzebuje pan tego? Próbowałem nie bez pewnego powodzenia rzemiosła włamywacza. Znawcy twierdzą, że mam genialne zdolności mechanika i że ginie we mnie... wielki wynalazca. Umiem też znakomicie naśladować każde pismo. Potrafię podrobić podpis gubernatora Banku Angielskiego i mr Vanderbildta. Nie? Nie fasonuje to panu? Jakiś mocno wymagający z pana facet! Tyle talentów rzucam panu pod nogi, a pan wciąż nosem kręci! Umiem być wiernym i oddanym pomocnikiem i współnikiem w każdym, najbardziej szalonym nawet przedsięwzięciu. Ręczę za to słowem oficerskim! Umiem być wdzięczny. Ba, nawet dla swego terażniejszego chlebobdawcy czuję wdzięczność, choć ten żółty wyga woła na mnie jak na psa: Tshao, ty rosyjska świnio!. Nauczyłem się już puszczać takie drobne zgrzyty mimo uszu. Bądź co bądź ciepły kąt, jaka taka strawa, wódka, a nieraz to i parę groszy się zarobi. Zdarza się to wtedy, gdy zajdzie potrzeba ukryć jakiegoś gościa, zakatrupionego w naszej Gospodzie albo też. Zresztą nie może to pana interesować.

W ochrypłym głosie Miczurina poprzez ogólny ton szyderstwa przebijać się poczęły jakieś nuty gorzkości. Wagin uświadomił sobie nagle, że ciągnie go coś do tego rozbitka życiowego, pozbawionego, zda się, wszystkich cech człowieka cywilizowanego. Był to pociąg poniekąd uczuciowy, a zarazem instynktownie wyrozumowany, oparty na przeświadczeniu, że ów pijany, bezczelny drab jest mu potrzebny i że w jego życiu odegra on jakąś rolę.

- Sergiusz ruchem ręki przerwał dalsze jego wynurzenia, mówiąc żartobliwie i przyjaźnie: Nie zapij się pan tylko na śmierć, lejtenancie, bo zdaje mi się, że wkrótce będzie mi pan potrzebny jako współnik pewnego przedsięwzięcia akcyjnego. Może za jakiś miesiąc lub za dwa.

Miczurin chrząknął, przykrywając usta dłonią, i najpoważniej w świecie odpart:

- Muszę pana uprzedzić, że nie posiadam kapitału obrotowego!

Na potwierdzenie tego oświadczenia wyrzucił natychmiast kieszenie połatanych spodni, od dołu ozdobionych frędzlami, mrużąc przy tym:

- Uczciwy, ale ubogi szlachcic i oficer. Moje uszanowanie! Sługa powolny! Au revoir! Goodbye, sir!

Odprowadził Wagina do bramy i długo patrzył w ślad za nim, dziwiąc się, że ten tak wytworny i zapewne bogaty rodak szybkim krokiem skierował się ku wylotowi ulicy, gdzie zaczynały się już hoszuny - ogrody warzywne.

Wagin tymczasem szedł ścieżką, wydeptaną przez piechurów na jednym zboczach błotnistej, grząskiej drogi, pociętej głębokimi koleinami i zaśmieconej liśćmi różnych jarzyn. Stado czarnych i ponurych świń spokojnie żerowało na środku drogi. Wagin przeszedł spory już kawał koło żywopłotu - burego w zimie i pozbawionego liści. Przyzwyczał się już przez kilka lat rozpaczliwie beznadziejnego życia do pewnej strategii. Chciał i musiał do gruntu poznać to miejsce, gdzie rzucił go los. Dlaczego - tego ściśle nie wiedział; pamiętał tylko, że nieraz już było mu to potrzebne i ratowało życie. Uśmiechnął się mimo woli i przypomniał sobie pewien wypadek w Moskwie, gdy ukrywał się przed patrolami Czerwonej Gwardii bolszewickiej. Wszyscy inni - przypadkowi towarzysze tej nocy, dostawszy się do sutereny, uspokoili się od razu. Kryjówka wydawała im się pewną. Kto by tam szukał po suterenach oficyny w niego przedostał się do kanałów ogrzewania centralnego. Tej samej nocy w suterenie na czwartym podwórzu marynarze-bolszewicy powystrzelali wszystkich ukrywających się w niej wrogów proletariatu. Jedynie Wagin wyszedł cało i zniknął jak kamfora, a przecież o niego to właśnie chodziło czerwonej milicji proletariackiej. Na to wspomnienie uśmiechnął się raz jeszcze i rozejrzał się wokół. Na ogromnej przestrzeni ciągnęły się grędy. Sterczały i chygotały na wietrze jakieś suche, szerniałe badyle, zalatywała cliwa woń gnijącej kapusty; świny ryjami przewracały miękką ziemię, szukając ziemniaków, rzodkwi i marchwi, pozostawionych przez ogrodników. W oddali stał z podwiniętym ogonem biały, widocznie głodny pies i wyciągnąwszy szyję, wył przeciągle. Długimi rzędami ciągnęły się wszędzie kupy nawozu i liści kapuścianych, przygotowanych do spalania. W oddali widniały czarne, dziurawe strzechy prawie zburzonych, wałujących się już szop. Rozwarte na oścież drzwi z hałasem uderzały o framugę i ścianę, miotając się za każdym silniejszym podmuchem wiatru. Ktoś wyjrzał z czarnego wnętrza szopy, ale spostrzegłszy nieznanego, cofnął się szybko w głąb budynku. Wagin zawrócił i zapaliwszy papierosa, podążył ku miastu. Szedł teraz inną stroną ulicy.

Jego cienkie, drapieżne nozdrza pochwytywały różne zapachy. Poznawał je od razu lub z pewnym wysiłkiem i, niby chemik, doszukiwał się różnych składników. Słodkawy zaduch przepalonego oleju bobowego, ostry - ryb, wodorostów i raków morskich, ciężki i gorzki - dymu opiumowego i drażniący powonienie aromat hanszynu - trującej wódki z prosa. Wagin odróżniał każdy zapach wyraźnie i wiedział już, co się dzieje za glinianymi ścianami tych niskich, brudnych lepianek. Reszty dopowiadały mu dochodzące go dźwięki i głosy - nieprzytomne mruczenie, obłudne okrzyki, brzęk naczyń, głuche uderzenia tasaków, rozrąbujących mięso, klaskanie kart, turkot rzuconych na stół kości, bezczelny chichot kobiet, wysokie, nosowe nuty ochrypłego śpiewu, czasami - warkot bębena lub jęśliwe zawodzenie jakiegoś instrumentu strunnego. Wszystko to przejmowało Wagina wstrętem, a zarazem pociągało go ku sobie tętnem niezliczonych serc ludzkich, szukających wytchnienia, zapomnienia, majaków szczęścia. Znał przecież te dzielnice zakazane z ich życiem tragicznych efemeryd.

Doszedłszy do domu i przechodząc przez podwórko, zobaczył na ganeczku młodą kobietę. Stała na stopniach i ścierką strzepywała kurz z trzewików. Nie spostrzegła Wagina, który zatrzymał się w pół drogi i uważnie jej się przyglądał. Nie była może ładna, ale od całej jej postaci wiało jakąś świeżością. Coś swojskiego wyczuł w niej Sergiusz. Powiew pół wsi rosyjskiej, trochę melancholijnej, trochę dzikiej, a zawsze niby to zaczajonej i drażniąco zagadkowej. „Nie! - pomyślał. - Stanowczo nie! To raczej mistyczny półmrok cerkwi, zapach wosku i kadzidła, wyzierające z ciemności, blade, surowe oblicza świętych bizantyńskich, chodzących na pograniczu namiętnego prozelityzmu

chrześcijańskiego i najmroczniejszego pogaństwa, aż do kaleczenia siebie i innych, do krwawych orgii, z udrękami, wyczytanymi z ponurej Czetji Mineil. Coś z mniszki w czarnej szacie i ciemnej chuście, nasuniętej na oczy. A zresztą - zaraz dowiem się sam.

Szybko zbliżył się do schodków i uchylając kapelusza, powiedział:

- Przepraszam, kogo pani tu szuka?

Drgnęła i wyprostowała się. Ciemne, głębokie i jakieś niezwykle tęskne oczy ślizgnęły się po twarzy Wagina, wbiły się w jego źrenice i ukryły się spłószone pod powiekami.

Ach! - wyszeptła, wyciągając przed siebie ręce, jak gdyby przed grożącym jej napadem.

Wagin usiłował uspokoić ją, mówiąc żartobliwym tonem:

- Choćby pani była nawet zbrodniarką, proszę się mnie nie obawiać! Nie jestem agentem policji, broń Boże!

Przyglądał się jej bacznie. Spozregł bladą twarz o wystających nieco kościach licowych, szerokich ustach i wysokim, wypukłym czole, obramowanym falistymi, kasztanowatymi włosami. Byłaby może zupełnie brzydka, gdyby nie ciemne, piękne oczy o głębokim, rozumnym, a jednocześnie tragicznym niemal spojrzeniu.

- Ach! - wydała znowu cichy jęk. - To okropne! Straszne, niemożliwe!

Zachowanie jej zirykowało go. Krzywiąc usta w nieszczerym uśmiechu, spytał:

- Niechże pani powie wreszcie, co panią tak przeraża i po co pani tu przyszła.

Dziewczyna, ochłonąwszy ze wzruszenia, opanowała się trochę i odpowiedziała:

- Jestem Ludmiła Somowa i domyślam się, że to właśnie pan u nas zamieszkał.

Wagin skłonił się i patrząc na nią badawczo, powiedział:

- Nie spodziewałem się, że nazwisko moje wywoła u pani taki przestrah!

Zaśmiał się sucho. Ludmiła podniosła na niego oczy i tym razem

wytrzymała jego wzrok.

- Nazwisko pana obce mi jest - szepnęła.

- W takim razie nic już nie rozumiem! Staje się pani dla mnie zagadką, powiedzmy - chińską! - zaśmiał się znowu.

Ludmiła patrzyła na niego nieruchomym, niemal surowym wzrokiem, a oczy jej przypomniały mu istotnie męczeńskie, prawie nieprzytomne oczy świętych, od dzieciństwa widywanych na obrazach w cerkwiach.

Zapanowało milczenie.

Wreszcie dziewczyna poruszyła wargami. Padł cichy, ledwie przez Sergiusza pochwyciony szept:

- Boję się pana! Boję się.

Wagin odsunął się gwałtownie, lecz po chwili śmiać się począł:

- Nie spodziewałem się takiej komplikacji mieszkaniowej! Nie chciałbym, aby pani, panno Ludmiła, w dzień i w nocy miała jakiegoś upiora za tą cienką ścianą swego pokoju. Widzę, że muszę zabrać manatki i...

Ludmiła brata właśnie z ławki wypchaną dziennikami czerwoną teką tekturową, lecz posłyszawszy jego słowa, wypuściła ją z rąk i składając dłonie, wyszeptwała:

- Na miłość Boską! Niech pan tego nie robi! Mama jest taka szczęśliwa, że wynajęła wreszcie pokój i dostała od pana pieniądze!

- Czy aż tak krucho w tym małym chalet chinoid? - spytał ironicznie.

- O, tak! Czyż tu może być komuś dobrze?! Mama tak się cieszy, że będzie mogła coś zrobić dla brata.

- Cóż mu jest? Czy to ten, co tak straszliwie kaszle?

Skinęła głową i nie patrząc na Wagin, szepnęła:

- Roman zapadł na gruźlicę. Klimat szanghajski jest zabójczy dla niego!

Wagin milczał. Ludmiła podniosła oczy na jego skrzepłą jak maska

twarz i znowu szepnęła:

- Niech pan nie robi nam krzywdy i pozostanie tu! Jestem głupia histeryczka, ja się przyzwyczaję do pana i nie będę się już bała. Proszę, bardzo proszę pozostać u nas!

Sergiusz milczał i przemówił dopiero wtedy, gdy Ludmiła dotknęła jego dłoni.

- Nie wiem, jaka jest przyczyna pani lęku wobec mnie, bo przecież nie znamy się wcale. W każdym razie nie dam pani powodu do nawrotów tego strachu, bo nie będziemy się wcale widywać. Pozostanę u państwa pod jednym warunkiem. Pani musi mi powiedzieć, co właściwie wzbudza w pani taki strach przede mną.

Panna Somowa drgnęła i cofnęła się o krok.

- Nie, nie! - szepnęła prawie z rozpaczą.

- A więc i ja na prośbę pani zmuszony jestem odpowiedzieć - nie! - syknął Wagin.

- Po co pan ma wiedzieć, co ja czuję, co - nie dokończyła zdania, prawie płacząc.

- Lubię jasne sytuacje i stosunki ściśle skryształizowane! - odparł zimnym tonem.

Ludmiła bezwładnie opuściła ręce i usiadła na stopniach ganeczka. Wagin wpatrywał się w jej pochyloną głowę i opalony, złocisty policzek.

- Gdy zobaczyłam pana, uprzedzam, że jest to zapewne obłąkanie, takie życie, jakie pędzimy od trzech lat, każdego może doprowadzić do psychozy.

- Przypuśćmy, ale w każdym razie chcę wiedzieć, co się pani przywidziało, czy jak to tam nazwać - nalegał Sergiusz.

- Gdy zobaczyłam pana, wyczułam wyraźnie, ach, to takie straszne, wprost okropne! - poczęła wzdychać i łamać sobie ręce, niby w rozpacz.

Milczała długo, potrząsając głową i wzdrygając się cała.

- Wyczułam, że pan, pan...

Urwała nagle i byle jak zgarnawszy dzienniki, wbiegła do domu Sergiusz, zaciskając wargi i chmurząc czoło, pozostała na ganku. Ociężałym, powolnym krokiem wszedł do pokoju i usiadł przy stole, zapomniawszy zdjąć kapelusz i płaszcz. Opuścił głowę na wsparte na stole ręce i znieruchomiał. Jakieś przykre niezadowolenie z czegoś, to znów niby jakaś obawa wpełzły mu do serca. W piersi i w mózgu czuł sączące się zimne strugi. Spoza cieniutkiej ściany dobiegał go z sąsiedniego pokoju suchy, szczekający kaszel chorego chłopaka, odgłosy rozmowy, prowadzonej szeptem, cichy płacz, westchnienia trwożne i zgrzytliwe tykanie zegara. W końcu nie słyszał już nic. Myśli jego odbiegły daleko. Twarz poszarzała mu i stała się znacznie starszą i steraną. Zmarszczki na czole i dokoła ust wcięły się jeszcze głębiej.

#### IV. OAZA NA BUBBLING WELL

W restauracji rosyjskiej Wołga, mieszczącej się przy Bubbling Weil, jak zwykle w niedzielę, tłoczno było i gwarno. Emigranci, nie dojadając przez cały tydzień, przychodzili tu w niedzielę, aby znaleźć się wśród znajomych, choć na tych parę godzin oderwać się od beznadziejnej nędzy i bezcelowości istnienia, posłyszeć jakieś nowiny, najczęściej fantastyczne, z palca wyssane, ale dające błyski otuchy, co znów pozwalało tym ludziom wykrzesać z siebie nikłą iskrę wesołości, wygrzebać cień nadziei z samego dna serca, które codziennie umierało, kołocząc w piersi bezwładnie, jak rozbity wóz na wybojach i koleinach bezdroża. Wtedy stawał się cud! Na bladych wargach pojawiał się uśmiech, w głosie drgały zapomniane nuty beztroskiej wesołości, na policzkach wykwitwały rumieńce. W tym zbiorowisku nędzarzy i skazańców od dawna znikły już różnice stanu i ślady etyki sytych i bogatych ludzi, ale za to z niebywałą pedanterią przestrzegano tam form towarzyskich. Gdy ktoś z emigrantów nie miał już sił ani chęci do zachowania tych form - to przestawał bywać w Wołdze. Nikt tu nikogo nie oszukiwał, nie prosił o pożyczkę, nie robił żadnych wyrzutów. Niechętnie przyjmowano tu złośliwy żart lub cierpki, wisielczy humor. Jak Anglicy, którzy podczas podróży w dżungli lub na lodowcach Himalajów gola się codziennie i choćby symbolicznie przebijają się do wieczornego posiłku, tak i ci emigranci rosyjscy zachowaniem swoim w towarzystwie usiłovali nawiązać coraz bardziej zrywające się nici z przeszłością i społeczeństwem. Usiłowania te były rozpaczliwe i tragiczne, gdyż każdy z odwiedzających Wołgę gości w świadomości swej niósł nieodstępne pytanie: Czy będę jeszcze mógł przyjść tu w następną niedzielę?.

Coraz częściej zdarzało się istotnie zauważyć nieobecność jakiegoś stałego bywalca i dowiedzieć się, że „wyższa siła” stanęła na drodze znajomemu lub przyjacielowi. Więzienie, choroba lub śmierć na

zawsze wytrącały ludzi z tego środowiska, gdzie potrafił przechować się pomimo wszystko skrawek cywilizacji i echo życia towarzyskiego.

Sama właścicielka jadłodajni i skromnego pensjonatu nadawała też wszystkiemu należyty ton. Raczej nawet - ton sztywny, przesadnie etykietalny. Niestara jeszcze, może czterdziestopięcioletnia pani Maria Ostapowa owdowiała niedawno. W okresie istnienia syberyjskiego rządu, gdy to jego armia wschodnia zwycięskim marszem dotarła daleko w głąb Rosji europejskiej, mąż pani Marii - generał dostał się z rodziną za Ural i będąc człowiekiem przewidującym, natychmiast wyemigrował z pewnym kapitałem do Szanchaju. Rozejrzawszy się po terenie, wraz z żoną wynajęli koło Bubbling Weil przytulną willę i urządzili w niej pensjonat i restaurację. Na Rosję, zwalczającą czerwonych zbirów, jak się wtedy pisało o bolszewikach, istniała w owych czasach moda, więc do restauracji państwa Ostapowów chętnie zaglądało bawiące się towarzystwo cudzoziemskie, spragnione wszelkich nowości w Szanchaju, znanym już do najdrobniejszych szczegółów - od jaomynia, gdzie rąbano głowy kuliskom za urojone najczęściej zbrodnie, herbaciarni dzielnicy chińskiej i pałacyków na Suczou Creeku, zamieszkałych przez międzynarodowe zbiorowiska pięknych i dostępnych kobiet wszystkich narodów i ras - do palarni opium, podejrzanych domów schadzek, dancinów i wspaniałych salonów konsulatów. Poza nowością lokalu, urządzonego z wytworną prostotą, pociągała ku sobie wyborna kuchnia moskiewska. Obiadami z kulebiaką, prosiakiem w sosie chrzanowym, jesiotrem po rosyjsku i guriowską kaszką zachwycono się nie mniej niż zupą z gniazd jaskółczych, potrawką z trepangów, sałatką z młodych pędów bambusowych i leguminą z ocukrzonej szarańczy. Przedsiębiorstwo Ostapowów rozwijało się błyskawicznie. Małżonkowie rozmyślali już zupełnie poważnie nad nabyciem willi na własność. I nagle wszystko wzięło w łeb.

Pewnej nocy policja szanchajska wtargnęła do pensjonatu na Bubbling Weil i przeprowadziła rewizję. W pokoju słynnego w swoim czasie inżyniera Griszina wykryto nowocześnie urządzonej fabryczkę niebywale artystycznie wykonanych, lecz... fałszywych banknotów rosyjskich. Areszt lokatora, przymusowe przez tydzień zamknięcie restauracji i atmosfera plotek, krążących od tego czasu dokoła pensjonatu rosyjskiego, w okamgnieniu odstraszyły cudzoziemców. Na tę klientelę nie można już było liczyć. Przepadła na zawsze. Należało więc cały byt przedsiębiorstwa i rodziny oprzeć jedynie na rosyjskiej emigracji. Wydawało się to zupełnie niepewną podstawą, gdyż zubożenie rodaków katastrofalnie postępowało naprzód i prędzej czy później można było oczekiwać, że i ta też klientela wyczerpie się do reszty.

Tak czarne perspektywy doprowadziły generała do anawryzmu serca. Pewnego wieczora, przeglądając księgi rachunkowe, obsunął się na nie stroskaną teraz, a do niedawna jeszcze dziarską, marsową twarzą. Pan Maria Ostapowa znalazła męża w biurze wtedy dopiero, kiedy już zdążył zeszywnieć. Wdowa, wyprawivszy mężowi wspaniały pogrzeb z udziałem licznych delegacji kół wojskowych i zważywszy wszystkie możliwości, postanowiła wszakże przedsiębiorstwa nie zwiijać. Zniżyła tylko znacznie jego poziom. Wołga stała się właściwie zwykłą, skromną jadłodajnią, a duży salon z werandą w ogrodzie - niezarejestrowanym nigdzie klubem. Za wstęp do niego płacono drobną sumę, płacono też za przeglądanie pism, za korzystanie z małego bilardu, za zielone stoliki i stare karty. Za to wszystko generałowa i jej piękna, sztywna, jak zaczarowana królewna (tak ją określano w kołach elity emigracyjnej) dwudziestodwuletnia córka - Marta stwarzały nastrój, podtrzymywały wysoki ton i iluzję dawnego, świetnego życia. Rentowało się to wcale, wcale nieźle. Wyniosła, spokojna i dostojna pani Maria śledziła baczenie, aby w jej salonie wszystko odbywało się *comme il faut*, a gdy ktoś z gości, zdziczały w ustawicznym lęku o jutro, stroskany o los rodziny, pozostającej w

rękach bolszewików, wrywał się z jakimś słowem nieodpowiednim i zbyt dosadnym, generałowa prostowała się, sztywniała i suchym głosem rzucała w przestrzeń niby ważkie upomnienie:

- Kiedy bywaliśmy z nieboszczykiem mężem na przyjęciach dworskich.

Wszyscy wiedzieli, że państwo Ostapowie nigdy nie byli na dworze, bo - i skądże znów? Wszakże cała kariera oficerska Ostapowa przeszła na głuchej prowincji - na Uralu i w Turkiestanie, zresztą za czasów carskich znano go tylko jako pułkownika intendentury, którego jeden z licznych wodzów armii partyzanckich nie wiadomo jakim prawem i za jakie zasługi ozdobił szlifami generalskimi. Wszystko to było znane powszechnie, ale nikt na te przechwałki i piękne kłamstwo pani domu nie reagował. Przeciwnie - każdemu z bezdomnych, zdeklasowanych rozbitków życiowych chciało się wierzyć, że ta przystojna jeszcze, postawna i dostojna Maria Piotrowna dotykała potyskującej, palisandrowej i mahoniowej posadzki Zimowego Pałacu carów - ceglatego, surowego i olbrzymiego gmachu Rastrellego. To podnosiło wszystkich tych nędzarzy w ich własnych oczach i wdzięczni byli generałowej za jej cudowną improwizację. Zawstydzony swoim nietaktem i tak elegancko skarcony gość kulił się i chichocząc obleśnie, biegł do pani Ostapowej, aby ucałować jej rękę i przeprosić.

W pierwszą niedzielę po zamieszkaniu Wagina u pani Somowej - w Wołdze zgromadziło się sporo gości. Wszyscy siedzieli przy dwóch długich stołach. Nawiązała się rozmowa o różnych najbardziej obchodzących zagadnieniach i nowinach z Rosji. Jak prędko przemienie zniechęcony bolszewizm? Kiedy wreszcie zostaną poskromieni i powieszzeni rozzuchwalone i rozpanoszone chamy i Żydy, wodzący rej w nowej Rosji proletariackiej? Wszyscy, pomimo że minęło już trzy lata, wmawiali sobie, że lada chwila życie powróci do dawnego łożyska. Ta ślepa, bezmyślna wiara była też jedną z potęg, podtrzymujących te rzesze nieszczęśliwców, wyrzuconych, jak ryby na piaszczystą łachę, na obcy im, nieznany brzeg, stający się z dniem każdym coraz bardziej wrogim. Utrata tej dziecinnie naiwnej wiary stałaby się kresem rozpaczki, upadku i zagłady. Każdy z tych ludzi uświadamiał to sobie zupełnie jasno.

Adwokat Lubicz, wysoki, zgrabny, mimo iż miał srebrzystą, niezwykle bujną czuprynę, niedbałym ruchem owijając dokoła palca czarny sznurek binokli, opowiadał płynnie, umiejętnie akcentując ważne ustępy swego przemówienia:

-Jak by tam nie było, a fakt faktem, że ochotnicze armie na południu trzymają się jeszcze i kto wie, czy po reorganizacji nie stały się silniejsze ideowo i moralnie? Co do mnie, to muszę się przyznać, że pokładam szczególną nadzieję w baronie Wranglu. Jest to systematyczny, zimny, pozbawiony wszelkiego romantyzmu Niemiec. Takiego właśnie potrzebowaliśmy dawno! Rosjanin, czy to Denikin, czy Kornilow i Kaledzin, czy Kołczak - zbyt dużo sentymentalizmu, marzycielstwa i szkodliwego, bo prawie biernego i fatalistycznego mesjanizmu wkładali w całe to przedsięwzięcie walki z czerwoną Moskwą, z tymi bandytami i Żydami. Wrangel będzie bił, a sentymenty swoje pozostawi w taborze, na później! Cha, cha, cha! Ale i oprócz Wrangla coś innego jeszcze grozi teraz bolszewikom! I to dla nich - najstraszniejsze, najniebezpieczniejsze.

- Co takiego? O czym pan mówi, Grzegorz Szymonowiczu? - rozległy się niecierpliwe pytania.

- A to dopiero katarynka adwokacka! - oburzał się ktoś półgłosem, ale spotkawszy się z pełnym wyrzutem wzrokiem pięknej Marty, zakrztusił się nagle i zaczął kaszleć.

- Proszę państwa - ciągnął triumfującym i uroczystym głosem adwokat - miałem wczoraj w rękę Vorwaert i przeczytałem obszernie sprawozdanie o zamachu na Lenina.



- Zamach na Lenina? Zamach na tego antychrysta? - posypały się zewsząd nerwowe pytania. - Jakże to było?!

Adwokat opowiedział treść artykułu, umieszczonego w niemieckim dzienniku socjalistycznym, i mówił dalej:

- W szeregach swoich bolszewicy mają już zdrajców albo raczej - opozycję terrorystyczną i to właśnie musi ich zgubić bardzo prędko. Dwa - trzy nowe zamachy i Żydy drapną z Rosji, a bez nich cała ta krwawa feeria skończy się od razu. Nasz kmiotek, nasz robotniczek rosyjski nie jest skory do rozlewu krwi. Spokojny, cierpliwy i cichy jest nasz naród, po bożemu żyć pragnie. Dowiódł nam tego nasz wielki Lew Tołstoj.

W końcu drugiego stołu rozległ się nagle cienki, przenikliwy chichot. Śmiał się chudy jak szczapa, blady, o oczach, podkrążonych ciemnobrunatnymi cieniami, Klimów, dawny rotmistrz żandarmerii, dogorywający w Szanchaju, bo go zżerał rak na wątrobie.

- Rotmistrzu! - zaczęła generałowa, zamierzając umitygować Klimowa, gdyż wiedziała już z doświadczenia, co znaczy ten zgrzytliwy, przykry chichot żandarmski. Klimów jednak nie był dziś w usposobieniu, by ulegać dostojnej pani Ostapowej. Chichotał długo, a coraz piskliwiej i ze wzrastającą arogancją. Wreszcie przemówił. Miał miękki baryton, jakiś podstępny, niby skradający się.

- No, no! Panie adwokacie! Grzmiał tu pan przed chwilą przeciwko sentymentalizmowi rosyjskiemu, a sam wpadł pan w niedopuszczalny, babski, łzawy sentymentalizm, który przede wszystkim zgubił Rosję! Nasz kmiotek i robotnik spokojny jest, cichy i pragnie żyć po bożemu? Co za naiwność! Co za zbrodnicza ślepotą? Co za bezczelne oszustwo? Mówi pan zapewne o robotniku, który w moskiewskim mieszkaniu pana zawieszał jedwabne draperie na drzwiach gabinetu? Kmiotka zaś widzi pan przed sobą w chwili, gdy ten stoi bez czapki i kłania się panu w pas, bo coś chce od pana wycygnąć? Nie, mój panie! Mnie proszę zapytać, co to za bydlę ten kmiotek i ten robotniczek rosyjski z jego życiem podług przykazań boskich! Tyłu ich nawysyłałem w najdalsze kąty Sybiru, aby czym prędzej bez krzyku i hałasu powyzdychały te kanale od mrozu, skorbutu, głodu, biegunki i febry! Nasz lud to dziki, pogański lud, dziksz od ludożerców afrykańskich!... Tamci to przynajmniej załatwiają się krótko i węzłowato! Nożem po gardle i już! Krew oddaje się fetyszom w ofierze, wątroba i nerki - kapłanom, śledziona i żółć - znachorom, a reszta - całemu towarzystwu. Rosyjski zaś cichy i spokojny, boży człowiek nie zjada bliźniego, ale lubuje się w jego konaniu w mękach, których nauczył się z kościelnych ksiąg, krzywo i głupio przez ciemnych analfabetów pojętych. Zabić to mało dla niego! Nie! Ty, bracie, pomęcz się do ostatniej chwili, aby tylko dłużej, aby tylko jak najwymyślniej! Stąd to powolne wyciąganie trzewi, zaciskanie głów pomiędzy deskami, zdzieranie skóry, wyłupywanie oczu, wrywanie języka, podsmażanie na węglach, oblewanie wodą na mrozie.

- Rotmistrzu, dość tych ohydnych, przerażających szczegółów! - zawołała wreszcie generałowa. - Do czego pan właściwie zmierza?

- Do tego, czcigodna pani, że to nie Żydzi, Łotysze i Chińczycy zmienili Rosję w krwawe piekło, tylko nasz rodzimy, cichy, boży kmiotek i jego synalek - robotniczek uświadomiony i rodzony brat tegoż, najemnik - ciemny jak noc! Tego nikt nie chciał w Rosji zrozumieć i zdyskontować, a zresztą może nawet najtęższe umysły nie były w stanie uświadomić sobie całej nagiej, strasznej prawdy. Przynajmniej twierdzić to można stanowczo odnośnie naszych pisarzy, zwracających nam i zagranicy

głowy, tych wszystkich - Gleba Uśpieńskiego, Terpigorewa, Mujżela, Korolenki, a nawet przestawnego Lwa Tołstoja! Chi, chi, chi!

- Przesada! Samobiczowanie! Sadyzm poniżenia własnego narodu i ojczyzny! - zawołał adwokat, błyskając szklami.

Aj, aj, aj! - przeciągnął szyderczym głosem Klimów. - Panie Lubicz, pan musiał się jednak czegoś uczyć w uniwersytecie, więc nie wolno panu przeciwstawiać się prawdzie historycznej.

- Żandarm, broniący prawdy historycznej! - szepnął jakiś zbłąkany na wygnaniu młody docent uniwersytetu, pochylając się nad stołem i zerkając w stronę panny Marty Ostapowej.

Panienka uśmiechnęła się kącikami zmysłowych warg i nieznacznie potrząsnęła ufryzowaną główką.

Wyrażała tym wszystko - aprobatę dowcipnej uwagi docenta, lekką ironię, zalotny wyrzut i niejasną zachętę.

- Jak to? - spytał Lubicz.

- Tak to! - natychmiast pochwycił wyzwanie rotmistrz. - Raczej pan zajrzeć do historii buntów chłopskich w Rosji od epoki Bułatowa, Razina, Pugaczowa aż do roku 1918! Tam znajdzie pan wszystkie cechy bóstwa naszego ludu, wszystkie! Ujrzy pan dzieci, wieszane na rzemyku, uwiązane do szyi matki, dziewczynki nieletnie, gwałcone w oczach związanych rodziców, patroszenie ciężarnych bab i wypychanie ich słomą, podpalaną później przy pijanym ryku i śmiechu „cichych, spokojnych kmiotków” pana mecenasa! To, co się dzieje w Rosji, to, państwo moi mili, nasze, rodzime, rosyjsko-tatarskie, z krwi naszej i z kości wyroste! Na to nie targnąłby się ani Żyd, ani żaden innoplemieniec, bo rura by mu nie wytrzymała, struchlałby i odpadł. Ale my! Oho - my to lubimy czerwonego kura puścić i wszelkiej mokrej imać się roboty, my najeżdźcy, my - dzicz metysów mongolskich, my, którzy ukochaliśmy Chrystusa za to tylko, że Go gdzieś tam bądź co bądź porządnie umęczyli, choć my, gdyby On wpadł w nasze łapy, zrobilibyśmy to może lepiej, wymyślniej i głównie na wesoło, pijąc, śpiewając nasze sprośne, chamskie piosenki narodowe i klnąc tak, że aż niebo nad Golgotą szcerniałoby na wieki wieków! Wiercie mi, rodacy naiwni, że ponieśliśmy karę zasłużoną i cierpieć ją będziemy długo, aż ostatecznie zatrujemy się rozpaczą i krwią, niby wódką, gdy to już przez gardło nie przechodzi... Klin klinem, piękne panie i szlachetni panowie! To mówi wam ten, który niebawem już zamieni się w cuchnącą padlinę, w siarczek wodoru i amoniak, a więc mydlić wam oczu nie potrzebuje!

Zapadło długie i ciężkie milczenie.

- Ależ niezmiernie ważnych nowin dowiedzieliśmy się od Grzegorza Szymonowicza! Istotnie - nieoczekiwaną, a brzemienną w skutki nowinę!

Tak odezwała się generałowa, robiąc raz jeszcze próbę skierowania rozmowy na inną drogę - bardziej spokojną i radosną.

- Właśnie, właśnie! - zawołały obecne panie. - Ogromnie ważne, doniosłe wypadki!

Lubicz znów spoglądał na wszystkich triumfującym wzrokiem, który, gdy zwracał się ku pani domu, stawał się dziwnie ciepłym i wnikliwym. W kolonii rosyjskiej nie było tajemnic. Sekretem poliszynela

więc nazywano zabiegi Lubicza o pozyskanie serca i, co miało jeszcze ważniejsze znaczenie, ręki zabezpieczonej materialnie wdowy, mającej dobrze mimo wszystko prosperujące przedsiębiorstwo. Takim też sekretem była jak najdalej posunięta rezerwa generałowej i prowadzony przez nią wywiad co do cywilnego stanu reprezentacyjnego adwokata, powszechnie uchodzącego za kawalera. Serce wdowy podszeptowało jej skrajną ostrożność, bo któż to teraz potrafi rozgryźć i przejrzeć bliźniego? A nuż pewnego dnia zjawi się nagle wiernie i wytrwale dążąca do małżonka współczesna, przedsiębiorcza Penelopa i... ach, wielki Boże, ileż to już razy ożywali nieboszczycy i powracali w objęcia żon, które zaznały już prawnych objęć nowych małżonków! Ostrożność i czujność były przeto ze wszech miar wskazane, więc pani Maria Ostapowa udawała, że nie spostrzega zmiennych odcieni w pięknych jeszcze i wyrazistych oczach Lubicza i nie bierze na swój karb jego westchnień, nagłego smutku lub zdenerwowania. Co do obecnego jego życia i konduity - miała o nim zupełnie zadowalające informacje. Żył jak inni, z dnia na dzień, z przypadkowych zarobków, w innych czasach, być może, niezupełnie, all right (pani Ostapowa wyrobiła już sobie na tułaczce dość tolerancyjny żargon!). Lubicz po przybyciu do Szanchaju osiągnął pewien rozgłos jako zręczny doradca pokątny, umiejący wyciągać rodaków z niebywale nieraz zawiłych sytuacji, organizować skrupulatnie i pomysłowo wyreżyserowaną trupę świadków, ustalać niemożliwe, zda się, alibi i zbijać z tropu władze śledcze i policję.

A la guerre, comme a la guerre! - myślała pani Maria, ożywiając w swej pamięci ostatnią rozmowę lub przypadkowe spotkanie z adwokatem, dobrze grającym rolę zakochanego.

Czuła zresztą dla Lubicza wdzięczność podwójną. Zaczęło się to jeszcze za życia generała, gdy to policja chińska, nasłana przez konsulat angielski na ich willę, przyparła Ostapowów do muru, oskarżając ich o ukrywanie fałszerza. Trudno było istotnie przypuszczać, żeby w pensjonacie nie zauważono tajemniczej maszyny drukarskiej i nie słyszano jej stuku podczas fabrykacji nowiutkich sturubłówek z portretem Katarzyny, w pokaźnej ilości dość długo i bezkarnie kursujących po Szanchaju. Ostapowom groził proces o współudział w zbrodni. Musiało to skończyć się ruiną. Wtedy to po raz pierwszy na horyzoncie stadła Ostapowów pojawił się Lubicz. Przyszedł i z miną tajemniczą, zimny, wytworny, zaproponował swoje usługi jako obrońca, od razu bez ogródek wymieniając żądane za to honorarium - pokój i pełne utrzymanie na cały czas swego pobytu w Szanchaju. Małżonkowie zgodzili się natychmiast, bo przez głowę im nie przeszło, że tak znany adwokat ugrzęźnie w bagnie emigranckiem bez nadziei wydostania się z niego. Lubicz pokazał wkrótce, co umie. Nazajutrz już zażądał nowej rewizji w pokoju fałszerza, opatrzonym w pieczęcie policyjne i sądowe. Władze, stwierdziwszy, że pieczęcie są nienaruszone, zerwały je i otworzyły pokój. Przy rewizji znaleziono walizkę dziwnego kształtu, ukrytą w piecu nad paleniskiem. W niej to maszyna pomysłowego inżyniera Griszina mieściła się tak dokładnie jak binokle Lubicza w futerale aluminiowym.

- To dziwne! - kręcił głową sędzia śledczy. - To dziwne, że walizka ta nie została znaleziona przy pierwszej rewizji!

- Istotnie - bardzo dziwna i karygodna nieudolność policji - najspokojniej w świecie wtórował mu adwokat - lecz to nie może dotyczyć moich klientów, tylko panów...

Drwiący ton Lubicza wyprowadził z równowagi sędziego. Mrużąc oczy i zacierając ręce, spytał:

- Czymże jednak wytłumaczy pan fakt, że państwo Ostapowowie nie słyszeli stuku puszczonej w ruch maszyny drukarskiej? Co pan na to powie?

Lubicz, zdejmując binokle, odpowiedział natychmiast:

- Moi mocodawcy byli zaskoczeni niesprawiedliwie spadającym na nich podejrzeniem i nie wskazali pewnej ważnej okoliczności...

- Cóż to za okoliczność?

- Mieszkający w tym pokoju Griszin miał zwyczaj (przynajmniej tak twierdził!) trenować się w wiosłowaniu, w tym celu mając u siebie specjalny aparat. Podczas rewizji nie znaleziono go dlatego, że popsuł mu się i został oddany do naprawy. Dziś właśnie dostarczył go niejaki Miczurin. Niech pan sędzia przekona się, że łomot tego przyrządu przypomina bardzo stuk jakiejś maszyny w ruchu.

Sędzia przekonał się i od tego czasu Ostapowowie mieli spokój.

Taka była jedna z przyczyn wdzięczności generałowej dla Lubicza, druga zaś była intymniejsza, głębsza i z kobiecej natury wypływająca jak wiecznie żywe źródło. Pani Maria Ostapowa, choć liczyła sobie dopiero czterdzieści pięć wiosen, po przeżyciach swoich z okresu wojny i rewolucji, czuła się znużoną i znacznie starszą. W pewnym momencie zaczęła nawet zaniedbywać się, uważając się już za kobietę *passeei* oto nagle spostrzegła zainteresowanie się nią takiego wytwornego i wybrednego mężczyzny, jakim był istotnie Lubicz.

To dodało jej sił i chęci do otrząśnięcia się z bierności i ogarniającego ją pogodzenia się z losem starzejącej się kobiety, poczuła się znów dawną Marią Piotrowną, piękną, pożądaną i, jak mówiono, nieraz w przeszłości otwierającą tym drogę mężowi do kariery. Odżyła też jak motyl, gdy po zimnej nocy poczuje ciepłe promienie słoneczne. Za to właśnie najgłębiej wdzięczna była Lubiczowi, a tak szczerze, że nawet nie krzywiła się na niego za zbyt długo przeciągający się pobyt w pensjonacie Wołga, gdzie adwokat na trzecim piętrze miał ów bezpłatny, wąski jak kiszka, ciemnawy pokoik - tuż obok niezbędnej ubikacji i wejścia na strych.

#### V. UCHYLONY RĄBEK ZASŁONY

Tak właśnie pewnej niedzieli wyraził się zawsze opanowany i wytworny mecenas Lubicz, gdy w saloniku generałowej Ostapowej zgromadził się cały komplet bywalców. Kilku starszych panów, a wśród nich mrukliwy senator Ableuchow, zasiadło do zielonych stolików. Młodzież, posunąwszy stół ku ścianie, urządziła dancing przy dźwiękach płyt gramofonowych, reszta gości podzieliła się na większe i mniejsze grupy i gwarzyła na przeróżne tematy. Szczególne jednak zainteresowanie budziły opowiadania i domysły, dotyczące kilku niedawno przybyłych z Syberii osób. Istotnie mogły one wzbudzić zaciekawienie, gdyż nowi emigranci przybywali już bardzo rzadko. Granice Syberii zostały od dawna szczelnie zamknięte, więc ci, którzy przekraczali kordon, należeli do najzuchwalszych śmiałków i musieli nieraz przebywać daleką i niebezpieczną drogę. Pozazdrościć by jej mogli najzuchwalsi nawet podróżnicy. Niektórzy bowiem musieli sforsować Pamir i Tian-Szan, a potem na wielbłądach lub konno wlec się poprzez całą Azję Środkową, zahaczając, a nieraz i przecinając martwą pustynię Gobi, zanim mogli dotrzeć do Chin właściwych i oprzeć się wreszcie o Szanchaj - ów wymarzony raj, ten wylot ku nieistniejącej już ojczyźnie.

W kółku, otaczającym panią domu, szeroko i elokwentnie o tym wszystkim rozprawiał mecenas, z niezrównaną elegancją bawiąc się binoklami na szerokiej, czarnej tasiemce.

- Muszę państwa ostrzec - mówił Lubicz tajemniczym, przyciszonym nagle głosem, co właśnie zmusiło wszystkich do tym większej uwagi - muszę ostrzec przed zbytnią szczerością i niedyskrecją wobec nowych przybyszów z ostatnich czasów! Pewien mój znajomy oficer z wywiadu generała Siemionowa pokazywał mi w kawiarni na Creeku dwóch osobników, od dwu tygodni myszkujejących po Szanchaju. Są to agenci-komuniści, posyłani zagranicę w szczególnie ważnych sprawach. Mój znajomy nie wątpi, że ścigają kogoś z nowo przybyłych. Należy zachować wielką ostrożność, aby komuś nie wyrządzić krzywdy!

Zapanowało milczenie. Każdy z obecnych usiłował przypomnieć sobie, czy nie spotkał gdzieś przypadkowo podejrzanych osobników, zdemaskowanych przez Lubicza.

- Czy nie należy czasem do tej dwójki ten wysoki, milczący blondyn, co to parę razy pokazał się w kawiarni Greena, a nawet raz podchodził do senatora? - zapytała jakaś młoda dama, zapalając papierosa. - Ten to rzeczywiście miał złowrogi i tajemniczy wygląd!

- Ależ nie! - zawołała z ukraińskim akcentem siedząca naprzeciwko panienka - czarnooka i smagła. - Nie! Ten, co rozmawiał wtedy z senatorem Ableuchowem, przestał już być zagadką. Wiem to od Ludmiły Somowej, gdyż pokazała mi go na ulicy i powiedziała, że właśnie zamieszkała u nich w pokoiku, wiecie państwo, w tym - na prawo od sieni, nazywa się Wagin, Sergiusz Wagin.

Nikt nie zwrócił uwagi na rozmowę pań, ale stojący koło okna rotmistrz Klimów pochylił nad nimi bladą, wychudzoną twarz i spytał z nagłym ożywieniem:

- Jak pani powiedziała, panno Nino? Wagin? Sergiusz?

- Tak nazywała go Ludmiła - potwierdziła zdziwiona nieco smagła panienka.

Klimów zatarł ręce i zaśmiał się cicho.

- No, no - zaczął chrapliwym, urywanym głosem. - Ten to jest gorszy od każdego agenta bolszewickiego! Pomyśleć tylko, że tu w Szanchaju, gdzie zebrano się tylu oficerów i innych uczciwych Rosjan, może przebywać bezkarnie taki Wagin!

- Cóż to za człowiek? - rozległy się pytania, a powstrzymać się od niego nie mógł nawet Lubicz.

Klimów zachichotał po swojemu, niby ptak, wydający drapieźny skwir, i kaszląc, począł wymachiwać rękami. Uspokoiwszy się nieco, zaczął mówić, wpatrując się z pogardą i złośliwością w spokojną twarz adwokata, którego od pierwszego spotkania organicznie nie znosił:

- Że ci państwo mogą nie wiedzieć o Sergiuszu Waginie - to nic dziwnego, bo nazwisko jego, dzięki przedsięwziętym zawczasu środkom zapobiegawczym, nie obito się o uszy szerokiego ogółu, ale żeby pan, mecenasie, pan, który, jak twierdzi, miał tak bardzo rozległe stosunki w Petersburgu, mógł nie słyszeć o Waginie, to mi się wprost w głowie nie mieści i budzi podejrzenia, że albo pan stracił pamięć, albo całe to gadanie o stolicy i pańskich znajomościach w najwyższych sferach jest pospolitą bujną i błądą.

Wszyscy wiedzieli od dawna o niechęci, którą żywił chory żandarm do adwokata, i przyzwyczaili się już do ciągłych jego docinków, ale mimo to tym razem powiedzenie Klimowa przekraczało wszelką miarę i zakrawało już na obelgę.

Zrozumiała to też natychmiast pani Ostapowa i surowym, niedopuszczającym żadnego sprzeciwu głosem zaczęła swój sakramentalny frazes, druzgocący, jak wszystkim się wydawało, niestosownie i niekulturalnie zachowującego się gościa:

- Pewnego razu, kiedy z nieboszczykiem mężem byliśmy na przyjęciu u ich cesarskich mości w Carskim Siole.

Klimów chrząknął niecierpliwie i nie zwracając już uwagi na adwokata, zatrzymał na generałowej ostry, szyderczy wzrok wypłowiących oczu w czerwonych obwódkach przypuchniętych powiek.

Zwracając się do niej, powiedział ze śmiechem:

-Właśnie, właśnie! Carskie Sioło. Wagin ma bezpośredni z nim związek!

- O czym pan mówi, rotmistrzu? - spytała mimo woli zaciekawiona pani Ostapowa, ale w tej samej chwili wstała z kanapy i skierowała się ku drzwiom, aby przywitać wchodzącą panią Somową i jej córkę.

- Trafiacie panie na ciekawą rozmowę - powiedziała śpiwnym głosem.

- Czym mogę służyć? Kawą czy herbatą? Marto, powiedz, aby podano paniom herbaty! Proszę przysiąść się do nas!

Panie witały się ze znajomymi i wreszcie, znalazwszy wolne miejsca, usiadły.

Rotmistrz, patrząc na panią Somową wzrokiem inkwizytora, spytał:

- Słyszałem, że u pani zamieszkał Sergiusz Wagin?

- Tak jest! - odparła spokojnie. - Bardzo dobrze wychowany człowiek i idealny sublokator! Wychodzi z domu rano i powraca późno wieczorem. Jeszcze ani razu niczego nie żądał, nawet imbryka z gorącą wodą do herbaty.

Klimów znowu wybuchnął śmiechem.

- Skoro nic nie wiecie państwo lub macie tak fatalnie krótką pamięć, przypomnę wam coś niecoś o Waginie! - powiedział świszczącym głosem.

- Nazwisko to powinni pamiętać wszyscy, a już szczególnie ci, którzy, jak twierdzą, mieli szczęście bywać na przyjęciach cesarskich - he, he, he!

Goście aż się skulili z przerażenia. Zuchwały rotmistrz cisnął kamyczek do ogródka samej pani Ostapowej. Wszyscy wiedzieli, że robi to umyślnie i śmiali się w duchu, że przecież generałowa zrozumie wreszcie akcenty wątpliwości co do tego, o czym z takim natchnionym patosem opowiadała, wzdychając do dawnej świetności swego życia. Wyczuwała się burza, wisząca w powietrzu. Pani Ostapowa zmarszczyła lekko brwi i mocniej zacisnęła wargi. Lubież pośpiesznie włożył binokle i wyprostował się. Miał minę i postawę rycerza, występującego w obronie swej damy.

- Żandarmowi lejc dziś pod ogon trafił! - mruknął ktoś z gości do sąsiada, ale ten tylko westchnął i nic nie odpowiedział.

Generałowa, osoba sprytna, zrozumiała, że nie czas teraz na jakieś repliki i obrazę, więc z całym spokojem i łagodnością powiedziała:

- Czekamy zatem, czekamy na przypomnienie nam o tym Waginie. Może to osobiwie zainteresować panią Somową.

Klimów usiadł i zaciskając cienkie, prawie przezroczyste palce, rozpoczął swe opowiadanie:

- Pamiętacie państwo rok 1915? Rosnący wpływ cesarzowej, wtrącanie się chama i oszusta Rasputina do polityki? Straszne, hańbiące były to czasy! Rosję popychano ku zdradzie sojuszników i ku zawarciu pokoju z Niemcami. Pamiętacie, państwo? No - chwała Bogu, bo myślałem, że i to już wywietrzało wam z głowy! Otóż w tym czasie niektórzy wielcy książęta i metropolita moskiewski Makary prosili cesarza, aby oddalił od siebie małżonkę - Niemkę. Car nie usłuchał. Książęta musieli pojechać na wygnanie, a metropolicie zakneblowano czymś usta. Wkrótce potem syn senatora Wagina - Sergiusz, korzystając ze znajomości wśród dworaków, uplanował zamach na cesarzową w Carskim Siole. Wykryto to przypadkowo, ale Wagin zniknął, chociaż przed ucieczką zdążył jeszcze wykonać zamach na Rasputina i w niezrozumiały wprost sposób ukazał się we Francji, gdzie posłani za nim ludzie zgubili wkrótce ślad. No! My wiemy, jak się to robi! He, he, he! Dopiero w rok później jeden z agentów policji politycznej spotkał go przypadkowo w Evians i nie powrócił już stamtąd. Podobno zwłoki jego po kilku tygodniach wyłowiono z Jeziora Lemańskiego i nie rozpoznano.

- Ach! - rozległ się przerażony okrzyk Ludmiły Somowej. – Mamo, słyszysz?

Zainteresowanie słuchaczy było jednak tak wielkie, że nikt nie zwrócił uwagi na ten okrzyk ani na pobladałą straszliwie twarz panienki.

- Wagin zniknął bez śladu - ciągnął żandarm. - Nie wykryto żadnych stosunków jego z partiami rewolucyjnymi. Nikt o nim nic nie słyszał i nagle teraz Wagin przybył do Szanchaju! Jaką drogą? Dobrze ubrany, spokojny i zapewne materialnie zabezpieczony.

- Powiedział mi, że ma pieniędzy na jeden zaledwie miesiąc - cichym głosem wtrąciła pani Somowa.

- Łgał! - stanowczym głosem zawołał rotmistrz. - Niewątpliwie jest agentem bolszewickim i wszyscy niebawem przekonamy się o tym!

- Dlaczego pan z taką pewnością to twierdzi? - spytała rotmistrza generałowa, chcąc uspokoić strwożoną panią Somową. Klimów wzruszył ramionami niecierpliwie i prawie krzyknął:

- Dlatego, że był on prekursorem czerwonych katów! Rosja może istnieć, jęcząc pod batem absolutnego cara-despoty, albo miotać się i konać w drgawkach anarchii. Wagin zadał cios urokowi carskiej rodziny i ośmielił innych zdrajców targnąć się na władzę despotyczną, którą wykończył Lenin.

- Cesarz i następca tronu żyją! – zaprotestowały jakieś starsze, zwiędłe panie. - Na własne oczy widziałyśmy orędzie, podpisane przez nich.

Klimów rechotał, trzęsąc się cały:

- Zwyczajne mrzonki emigrantów bez ojczyzny. Szantaż polityczny! Z cesarskiej rodziny kości już nie pozostało. Ja to wiem najlepiej, bom przesłuchiwał uczestników morderstwa. O wy - łatwowierni, naiwni i nędzni!

Kaszel jął go dusić i wstrząsać całym ciałem. Zastaniając sobie usta chustką, Klimów szybko opuścił pokój.

- Odszedł wreszcie! - westchnęła Ostapowa. - Bardzo przykry człowiek. Ciągłe kracze.

- Już niedużo mu pozostało! - powiedział Lubicz. - Ledwie dusza w nim kołacze, dlatego nie chciałem odpowiadać na jego niestosowne docinki i insynuacje. Zresztą - jestem wyższy ponad to. Ale bądź co bądź uchylił on rąbek tajemnicy co do tego Wagina.

Nawiązała się wspólna rozmowa niezmiernie ożywiona. Opowiadanie Klimowa podnieciło wszystkich. Mówiono wyjątkowo o Waginie, zapominając zupełnie o innych przybyszach, o których wspominał adwokat.

- To dziwne, zupełnie dziwne, jak ty potrafiłaś, Ludo, przejrzeć Wagina? - szepnęła pani Somowa, pochylając głowę ku córce. - Jak teraz mamy postąpić?

Ludmiła siedziała blada, z przymkniętymi oczami. Podniosła je wreszcie na matkę i powiedziała cicho, ledwie poruszając wargami:

- Nie, nie! Czułam coś innego, coś zupełnie innego. On zabił kobietę. To okropne! Żyć pod jednym dachem z mordercą to męka!

- Ludo, uspokój się! Pamiętaj o naszej sytuacji.

Dziewczyna, zaciskając ręce, odpowiedziała natychmiast z tłumionym wybuchem podrażnienia:

- Przecież milczę, chociaż cierpię straszliwie! W naszym mieszkaniu obawiam się dotykać klamek, drzwi i przedmiotów, by nie czuć śladów rąk Wagina!

Umilkła, bo podszedł do nich senator Ableuchow.

- Jak się panie miewają? - zapytał, witając znajome.

Pani Somowa, odprowadziwszy starca na bok, opowiedziała mu o tym, co przed chwilą posłyszała o swoim lokatorze.

Senator drgnął i z przerażeniem patrzył na wylękłe i zgnębione panie.

- Sergiusz Wagin zamieszkał u pani? - bełkotał. - Sergiusz Wagin.

- Wiemy już, że jest niedoszłym mordercą cesarzowej i Rasputina, który tak skutecznie, wprost cudownie leczył następcę tronu - szepnęła pani Somowa. - Co robić? Niech pan poradzi! Wymówić mu mieszkanie? Czyż znajdziemy nowego lokatora? Przecież ten wynajmowany przez nas pokój jest jedynym źródłem dochodu poza skromnym zarobkiem Ludy. Muszę leczyć synka, gaśnie mi z dniem każdym.

Miała łzy w oczach i wargi jej drżały. Ableuchow zsunął okulary na czoło i ujawszy panią Somową pod ramię, pochylił się do jej ucha i szeptał począł:

- Znam Sergiusza, przyjaźniłem się z jego ojcem - moim kolegą z Senatu. Znam całą tę sprawę. Sergiusz poświęcił się dla Rosji. Gdyby zamach jego udał się - nie mielibyśmy bolszewizmu, bo w



zwalczeniu jego w zarodku samym dopomogliby nam alianci. A tak, wyszliśmy z wojny napiętnowani zdradą! Po zamachu Sergiusz znikł i rodzice jego nic o nim nie wiedzieli. Senator miał tysiączne przykrości po ucieczce syna. Podczas bolszewizmu starzy umarli w więzieniu. Jak panie wiedzą - głód, tyfus plamisty. Tak, tak! Ale żeby Sergiusz był agentem bolszewickim - temu nie uwierzę nigdy!

Westchnął ciężko i uściśnawszy dłoń obu paniom, odszedł zgarbiony i smutny. Wspomnienia strasznych czasów przytłoczyły go do ziemi. Czuł się wzburzony do głębi i oddychał ciężko, porywczo. Pani Somowa powtórzyła córce rozmowę swoją z Ableuchowem i patrząc na Ludmiłę z niepokojem, spytała:

- Rozumiesz, że to inaczej się przedstawia niż oskarżenie, rzucone przez tego obrzydliwego Klimowa?

Dziewczyna długo milczała, zaciskając wargi, aby nie wypowiedzieć miotających się w niej myśli. Rozumiała przecież, że matka chwytła się słów senatora jak tonący - deski. Pani Somowa pragnęła za wszelką cenę zatrzymać u siebie lokatora. Robiłaby to zapewne nawet w tym wypadku, gdyby lokator ten był notorycznym zbrodniarzem, aby tylko płacił i nie powodował zatargów z policją szanchajską. Walczyła, jak mogła i umiała, o życie umierającego na gruźlicę synka. Wiedziała już bowiem, że nie może znikąd oczekiwać pomocy. Musiała borykać się, odrzucając od siebie zasady i przesady rodzinne, społeczne, towarzyskie i religijne. Ludmiła wiedziała o tym wszystkim, milczała więc, nie podnosząc oczu na matkę.

- No, widzisz, kochanie moje, no, widzisz, że nie jest tak źle - szeptała pani Somowa. - Taki czcigodny i poważny człowiek jak Ableuchow znalazł przecież usprawiedliwienie dla Wagina!

Dziewczyna mocniej zacisnęła palce i skulona poczęła małymi łykami pić herbatę. Matka uspokoiła się i z wdzięcznością spojrzała na ciemną, pochyloną nad stołem głowę córki. Ucieszyła się, gdy do Ludmiły zbliżyła się Marta Ostapowa.

- Jak ci się powodzi, Ludo? - spytała piękna panienka obojętnym głosem, jednocześnie szukając wzrokiem młodego docenta.

Panna Somowa obejrzała się na nią i odparła:

- Nic się nie zmieniło! Pracuję w biurze ogłoszeń Henry Weffers and Co. Robię wycinki ze wszystkich gazet angielskich i amerykańskich. Znam już na pamięć firmy eksportowe całego świata, rejsy statków, taryfy celne i przewozowe.

- I wszystko to za pięć dolarów tygodniowo? - uśmiechnęła się Marta.

- Za cztery - poprawiła ją Ludmiła. - Cztery dolary tygodniowo za osiem godzin pracy biurowej. Ależ jestem bardzo zadowolona! Zarobek dzienny i stosunek szefów i kolegów do mnie - dobry.

- Jeszcze by miało być inaczej? - oburzyła się Marta. - Gdzież by za te grosze znaleźli ci żydowscy Jankesi taką inteligentną i sumienną pracownicę? Oni to wiedzą! Znam ja te rekiny. Sami łajdaczą się po Carltonach lub na Creeku, a ty ślęczysz nad stosami gazet i robisz swoje wycinki! Wyzyskiwacze!

- Szesnaście dolarów miesięcznie to opłacone komorne! - szepnęła dziewczyna. - Mamy więc zabezpieczony dach nad głową. To, co się zarobi dodatkowo - idzie na wyżywienie, ubranie i

lekarstwa dla brata. Robię wieczorami korektę w piśmie rosyjskim i przekłady z włoskiego dla dodatku niedzielnego. Mama wynajmuje, pokój.

- Ach, prawda! Zapomniałam cię spytać - czy interesujący jest ten wasz Wagin? - ożywiła się nagle panienka. - Bardzo romantyczny typ, coś z tajemnic dworu madryckiego lub z Pałacu Dożów! Opowiedz, moja droga, bo to bardzo ciekawe!

Ludmiła znowu pochyliła głowę i cichym, niechętnym głosem odpowiedziała:

- Widziałam go tylko raz jeden!

- Jeden raz? To niemożliwe!

- Tak! Wychodzę z domu wcześnie, a gdy wracam wieczorem, jego jeszcze nie ma. Przychodzi późno. W porze obiadowej jesteście w domu sami, bo Wagin cały dzień spędza na mieście.

- Cóż on robi?

- Nie wiem. Nikt o niego nie pyta. Nikt go nie odwiedza. Mamusia twierdzi, że zdobyła sobie idealnego lokatora, i jest z tego stanu rzeczy zadowolona.

Romantyczny młodzieniec, pędzący zagadkowy tryb życia - to wprost niebywałe! - zawołała Marta. - Muszę go poznać koniecznie. Powiem swemu docentowi, aby go do nas zaciągnął!

Ludmiła milczała, z niepokojem słuchając paplaniny przyjaciółki.

W tym samym czasie do domku na posesji Jun-cho-sana wchodził ten, o którym mówiono we wszystkich pokojach pensjonatu i restauracji Wołga. Wagin, otworzywszy swoim kluczem drzwi do sieni, zatrzymał się nagle. W pokoiku pani Somowej spoza cienkiej ściany doszły go jęki, suchy, rozdierający kaszel i urywane łkanie. Domyślił się, że płacze i jęczy chory chłopak. Pochyliwszy się, szukał już kluczem dziurki w swoich drzwiach, gdy za ścianą rozległo się ciężkie rżenie, ostry, pełen przerażenia krzyk i cisza, budząca nagły niepokój i zgnębienie.

Wagin wyprostował się i nasłuchiwał przez chwilę. Nieraz już słyszał te odgłosy i nagłą ciszę, co przytłaczała i trwożyła. Za ścianą panowało milczenie, przerywane tylko znanym mu już od kilku dni zgrzytliwym tykaniem zegara. Podszedłszy na palcach, przyłożył ucho do drzwi. Nie pochwycił żadnego dźwięku, tylko zegar z jakąś złowrogą, tępą obojętnością odliczał sekundy.

Nikogo nie ma przy chorym, czy co? - mignęła Waginowi myśl, więc ostrożnie zapukał do drzwi.

Nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął klamkę i przez szparę zajrzał do wnętrza. Na tapczanie, z którego spadła poduszka, zwisało bezwładne ciało młodego, może piętnastoletniego chłopca. Twarzy jego nie mógł widzieć, bo chory miał zwieszoną głowę, a długie kasztanowate, jak u Ludmiły, włosy opadły mu na czoło i policzki. Na prześcieradle rozplątała się duża krwawa plama; czerwone krople ściekały z niego i padały na podłogę, okrytą zieloną bambusową matą. Wagin uniósł chłopca, położył na wznak i zaczął cucić go, nacierając wodą czoło, skronie i blade, kościste ręce o żółtawych, węzłowatych palcach. Obejrząwszy się, spostrzegł na stole buteleczkę z lekarstwem i łyżkę. Napełnił ją i do otwartych ust ostrożnie wlewał płyn. Chory po chwili otworzył głęboko zapadnięte, ciemne i przerażone oczy. Syczącym, ledwie pochwytanym przez Wagina szeptem spytał:

- Zemdlałem? Gdzie mama? Kto pan jest?

Wagin uśmiechnął się do chłopaka i pogroził mu palcem.

- Nie wolno dużo mówić! - powiedział. - Mieszkam tu, w pokoju obok. Posłyszałem, że zaczęłeś kaszlać, i chciałem pomóc, bo widzę, że wszyscy wyszli.

Chory odpowiedział mu słabym uśmiechem i szepnął:

- Siedziała przy mnie Bi-nań, alem odesłał ją, bo mi się spać zachciało. Przypomniałem sobie teraz, że to dziś niedziela! Mamusia z Ludą poszły do cerkwi, a potem miały wstąpić do Ostapowych. Czułem się dziś znacznie lepiej, aż tu nagle przyszedł ten krwotok.

Przerażenie wykrzywiło mu nagle mizerną twarz.

- Panie, panie, ja umrę? Prawda?

Wagin odczuł śmiertelny strach tego dziecka i żał tak mu ścisnął serce, że aż się sam sobie zdziwił, a potem ucieszył się nawet. Zdziwił się, bo przecież tyle już widział nieszczęść i mąk, że zdążył przyzwyczać się do najpotworniejszej nędzy ludzkiej i z filozoficznym spokojem spoglądać na tży, rozpacz i śmierć. Uświadomił już sobie od dawna, że żyje w okresie wielkiego kataklizmu, żądającego i pochłaniającego miliony ofiar. Stwardniało mu więc serce i zobojętniało na wszystko, co nie miało bezpośredniej i najbliższej styczności z nim samym i z jego walką o własne życie. Ucieszył się więc szczerze, poczuwszy ściskający mu serce żał na widok rozpaczliwego umierającego chłopca. Znaczyłoby to, że dusza jego powraca do dawnego stanu, że sam przestaje powoli być tylko ściganym i zagrożonym ze wszystkich stron zwierzęciem ludzkim, bo ożywa już w nim współczucie dla kogoś innego, a nawet pragnienie niesienia pociechy i pomocy. Było to coś zupełnie nowego od wielu, wielu lat - i to właśnie jak gdyby niewątpliwy znak uzdrowienia ucieszyło Wagina i podnieciło. Uśmiechnął się wesoło i zawołał:

- Taki sobie zuch, a o śmierci coś głądzi! Aż wstyd słuchać! Myślałem, że komuś mądrym składam wizytę, a tu znajduję głuptasa, który jakieś brednie plecie od rzeczy! No, co się to stało?

Chłopak, który od kilku miesięcy widział tylko smutne, strwożone oczy matki i siostry, wpatrywał się teraz chciwie, z jakąś budzącą się w nim nagle nadzieją w wesołą twarz nieznanego i po chwili znowu już syczał:

- Mama mówi, że choruję na przewlekły bronchit, ale ja wiem, ja wiem, że to gruźlica i śmierć! Dziś dostałem krwotoku, to już czwarty w tym miesiącu.

- Jeżeli ktoś sam siebie za życia grzebie, no to cóż innego ma do roboty, jak tylko umrzeć? - przerywając choremu, zaśmiał się beztrosko Wagin. - Bronchit czy gruźlica - to wszystko jedno, można wyjść zwycięsko i z tego, i z drugiego, ale trzeba borykać się z chorobą, a nie poddawać się jej. Coś tam zaradzimy. Urwał, bo chłopak chrząknął kilka razy i wypluł do chustki ciemny skrzep krwi.

- Poczekaj no chwilkę, przyjacielu! - powiedział Wagin i wybiegł z pokoju.

Wyszedłszy na Fu-Tien-Koo, szybkim krokiem zdążył w stronę Gospody Czterech Stron Świata.

Odszukawszy w jakiejś dziurze zaspanego Miczurina, wstrząsnął nim kilka razy i obudził.

- Wstawaj, panie lejtnancie! - mówił do zdumionego draba. - Mam pilny interes do pana. Z rozmowy naszej wywnioskowałem, że pan tu dobrze zna wszystkich i wszystko.

- Istotnie - zamruczał Miczurin - znam każdego jak łysą kobyłę. I nie bardzo mam wygórowaną opinię o naszych współrodakach, nie wyłączając sfery wojskowej. Wywalili mnie ci — z łaski Bożej i samozwańców - generałowie i pułkownicy ze swej bandy za to, że uważam za zbrodnię podtrzymywanie wojny domowej i wysługiwanie się naturalnym wrogom Rosji - Japończykom. Bo to widzicie, czcigodny rodaku.

- Czekaj pan! Później mi pan o tym opowie, a teraz potrzebuję mieć natychmiast lekarza - dobrego i taniego, bo na drogiego eskulapa nie mam forsy! - przerwał mruczenie lejtnanta Wagin i szarpnął go za ramię.

Miczurin spuścił wreszcie nogi ze skrzyni i przeciągnął się potężnie. W pijackich, mętnych oczach świeciła mu jakaś myśl, z trudem przedzierająca się przez opary okowity. Wreszcie spojrzął na Wagina i zamruczał:

- Że też ma pan czelność dla takiego drobiazgu budzić spracowanego człowieka! Jeżeli ktoś z pańskich przyjaciół zamierza wykopyrtnąć się, to radzę zwrócić się do miejskiego szpitala chińskiego. Do dziesięciu nie zdąży zliczyć, jak już stanie na sąd Boży, opuściwszy ten padół też, westchnień i zgrzytania zębów.

Uderzył się brudną dłonią w czoło i mrużąc oczy, spytał:

- A może to panu wypadło niepożądanego bliźniego wysłać w nadziejską krainę, bez rozgłosu i wzmianek w rubryce Zmarli? Tedy...

- Mów pan!

- Tedy mam ja tu przyjaciela, doskonałego lekarza. Mogę powiedzieć – sławę, raczej - dawną sławę! Pływał ze mną na krążowniku „Smaragd”. Znacomity lekarz. Zarzucił tu kotwicę w Szanchaju na zawsze i...

- Rozpił się jak pan, lejtnancie - domyślił się Wagin.

- O, za pozwoleniem! - oburzył się Miczurin. - Mój przyjaciel, doktor Oskar von Plen, bynajmniej nie jest pijakiem. Jak to zwykle Niemiec. Zna pan nasze rosyjskie przysłowie - co Moskalowi na zdrowie, to Niemcu - śmierć. Cienkie mają i delikatne flaki! Von Plen innym sposobem uprzyjemnia sobie żywot.

- Dobrze już, dobrze! - przerwał mu Wagin. — Czy daleko stąd mieszka ten pański przyjaciel?

- Może ze sto albo sto pięćdziesiąt kroków, zaraz za jaomyniem — objaśnił Miczurin.

- Chodźmy do niego! Obyśmy go tylko zastali w domu! - westchnął Sergiusz.

- Zastaniemy, nie ma o to obawy! - zaryczał, wybuchając śmiechem, drab i począł wciągać na szerokie bary połataną i przykrótką kurmę chińską.

Wkrótce po tej rozmowie wchodzili już do długiego, ciemnego budynku. Pod niskim pułapem, gdzie widniały na zakopconych belkach misterne rzeźby chińskie, snuły się smugi gorzkiego dymu. W mroku z trudem można było dojrzeć szeroką pryczę i leżących na niej ludzi. Stary Chińczyk, siedzący przy drzwiach, zimnym i pogardliwym wzrokiem ślizgnął się po twarzach wchodzących gości i nawet nie poruszył się. Wagin z Miczurinem szli po grubej macie, zagłuszającej odgłosy ich kroków, aż się zatrzymali przy samym końcu pryczy, gdzie pochylony nad małą lampką olejną jakiś niezmiernie wysoki i chudy człowiek o nieprzytomnych oczach i wypiekach na twarzy pykał grubą bambusową fajkę. Stali przy nim i długo mu się przyglądali. Leżący na pryczy człowiek kilka razy spojrzął na nich, lecz zdawało się, że nie widzi ich. Gorejące oczy o rozszerzonych źrenicach widziały zapewne coś innego, gdyż na twarzy zjawiał mu się co chwila szczęśliwy, pełen zachwytu uśmiech, a dziwnie czerwone i świeże jak u dziewczyny, małe, pięknie wykrojone usta szeptały coś bezdźwięcznie.

- Oskarże Wilhelmowiczu! Doktorze! - zwrócił się do niego Miczurin.

Von Plen nie odpowiedział. Łysiejąca głowa ciężko upadła na brudną poduszkę. Wagin zobaczył teraz dokładnie chudą twarz, okoloną jasną, z lekka rudawą brodą, piękne, łagodne usta, długie wąsy i niezdrowe, ciemne rumieńce na zapadłych policzkach.

- Chory, czy co? - szepnął Sergiusz.

Miczurin wzruszył ramionami i śmiejąc się cicho, odpowiedział:

- Zdrowie majak żelazo! To działanie opium. No, ale musimy go wyciągnąć z tej nirwany! Doktorze von Plen! Hej, doktorze!

Widząc, że ten się nie rusza, lejtnant ze stojącego na pryczy kubka chlusnął mu wodą w twarz. Lekarz zamruczał coś i otworzył oczy.

- To ja, Miczurin! Wstawaj prędko! Mamy do ciebie interes. Pilna sprawa!

Von Plen znowu przymknął oczy, a wtedy lejtnant pochylił się nad nim i powiedział mu do ucha:

- Chorzy czekają!

Te słowa podziały jak strumień lodowatej wody lub jak prąd elektryczny. Lekarz poruszył się i uczynił wysiłek, aby usiąść. Ciało jednak bezwładne było jeszcze i ciążyło jak bryła ołowiu. Wszakże obudzona już świadomość poczęła działać. Von Plen z trudem przewrócił się na plecy.

Wyprężył się cały, skurcz przemknął mu po twarzy, paznokcie zgiętych palców wpiły mu się w dłoń. Rumieńce znikły nagle, zdawało się, że cała krew odbiegła od głowy, a rzęsisty pot okrył piękne, wysokie czoło. Drgnęły sinawe powieki i uniosły się powoli. Trwało to kilka sekund zaledwie. Niby pchnięty jakąś niewidzialną siłą, von Plen zerwał się z pryczy, zgasił lampkę i obciążając na sobie dziwnie wyglądający na jego kościstej figurze watowany strój chiński, nieco ochrypłym głosem spytał z niepokojem:

- Zapewne Wan-Mo-Lin dostał znowu ataku sercowego, co?

- Nie, nie! - mówił Miczurin. - Słuchaj uważnie. Przyprowadziłem do ciebie pewnego rodaka. Ma do ciebie interes, a powiada, że pilny.

- Co znów za interes? - spytał lekarz, z niezadowoleniem przyglądając się Waginowi.

Sergiusz, wymieniwszy swoje nazwisko, poprosił go o pomoc dla chorego na gruźlicę chłopaka. Von Plen potrząsnął głową i nachmurzył czoło.

- Nie praktykuję nigdzie poza tą palarnią - mruknął.

Wagin jednak począł go prosić twardym, nieustępliwym głosem. Lekarz nagle przyjrzał mu się bacznie i zgodził się, dowiedziawszy się, że nie potrzebuje wychodzić poza obręb chińskiej dzielnicy.

Gdy weszli do pokoiku chorego chłopca, von Plen podniósł głowę i wciągnął powietrze w płuca.

- Źle - szepnął do Wagina - czuję tu śmierć. A teraz proszę mnie zostawić z pacjentem. Nie lubię bowiem przedstawień publicznych.

Podczas gdy von Plen badał Romana, powróciła do domu pani Somowa z córką. Ujrawszy Wagina, stojącego w sieni, zdziwiły się i nieufnie spoglądały na niego. Ludmiła, opuściwszy głowę, zamierzała przejść do pokoju, lecz Sergiusz zatrzymał ją i zaczął opowiadać, co tu zaszło przed półgodziną. Ledwie skończył swoją relację, do sieni wyrzała blada, chuda twarz von Plena.

- Ach, mesdames! - zawołał zażenowany. - Proszę mi wybaczyć mój strój, ale ten pan, przepraszam, zapomniałem nazwiska, tak, tak, pan Wagin wyciągnął mnie z łóżka w tej chińskiej piżamie.

Wysunął się wreszcie z pokoju i stanął przed paniami - niezwykle wysoki i chudy. Oczy mu pałały, skurcz raz po raz krzywił usta, drgały niebieskawe powieki. Garbiąc się, mówił przyciszonym głosem:

- Stan jest bardzo ciężki, gruźlica zajęła oba płuca, jednak nie widzę bezpośredniej groźby katastrofy. Przeglądałem recepty, banalne środki patentowane. To nie uratuje chorego. Poleciłbym środki proste, a skuteczne, używane przez lekarzy chińskich, którzy na przestrzeni siedmiu tysięcy lat historii Chin po trzykroć już zwalczali plagę gruźlicy.

Wyczuwam lęk przed śmiercią i rozpacz tego chłopaka, więc, jeżeli państwo możecie mieć do mnie zaufanie, przychodziłbym do chorego codziennie. Mam nadzieję, że dobrze mu to robi, a wtedy trzeba będzie pomyśleć o wysłaniu go na kurację.

- Nie mamy na to pieniędzy! - westchnęła z rozpaczą pani Somowa.

- Ach, prawda! - jak gdyby dopiero teraz uświadomiwszy to sobie, odpowiedział von Plen. - Takie czasy, podłe! Myślę jednak, że będzie można coś wykombinować, bo w Szanchaju niewskazane jest przebywanie z tą chorobą. Gdyby można było wysłać chłopaka do Stepów Czacharskich.

- Panie doktorze! - zawołała przerażona pani Somowa. - Syn mój nie może o własnych siłach wstać z łóżka, jakżebym go samego gdzieś wysłać miała?

Von Plen uśmiechnął się łagodnie i powiedział głośno:

- To tylko chwilowo Roman nie może sam wstawać z łóżka, ale za jakie dwa tygodnie będzie już chodził na spacer do parku na Bundzie -jestem tego pewny! Za godzinę przyślę pani lekarstwo i instrukcje, jak i kiedy należy je dawać choremu.

Zajrawszy do pokoju, uśmiechnął się do chłopaka i kiwnąwszy w jego stronę ręką, zawołał wesoło:

- Bądź dobrej myśli! Jutro zobaczymy się, a bacz, aby pan Wagin nie ściągał mnie więcej z łóżka, w piżamie, bo się pogniewamy!

Pośpiesznie i niezgrabnie skłoniwszy się paniom i pochylając się nisko, jakoś bokiem, nieśmiało przecisnął się przez drzwi. Wagin dogonił go na podwórzu i włożył mu do ręki pięć chińskich dolarów.

Von Plen spojrział na banknot i zwrócił go.

- Po co mi pieniądze? - mruknął. - W palarni opium mam ubranie, wikt i mieszkanie, a niedługo już dojdę do kresu mojej ziemskiej pływanki. Cieszę się, że mogę być jeszcze potrzebny komuś innemu, nie tylko żółtym poczwarom bezdusznym, trującym się dymem opium i tym skazańcom. Nie! Niech mi pan nie robi tej przykrości. Jeżeli ma pan jakieś zbywające pieniądze, to proszę je oddać Miczurinowi. Ten dziwak ma jeszcze jakie takie iluzje, porywy i tęsknoty, co zmuszają go do walki o życie, ale ja, ja już wyzbyłem się tego balastu. Śmieszne, doprawdy śmieszne! Walka o byt? Co za tchórzostwo i brak poczucia estetyki?!

Kiwnąwszy głową i stawiając olbrzymie kroki, oddalił się szybko. Wagin powrócił i wszedł wreszcie do swego pokoju. Zdjąwszy ubranie, położył się na łóżku. Nie lubił niedzieli, bo wytrącała go z równowagi i przerywała mu poszukiwanie pracy. W powszedni dzień obchodził biura, dyrekcje, redakcje, wielkie firmy, proponując wszędzie swoją pracę. Miał coś do sprzedania, gdyż w mowie i w piśmie władał sześciu językami, jako absolwent cesarskiej szkoły prawa, orientował się we wszelkich kodeksach, posiadał łatwość pióra i umiejętność gładkiego wystawiania się, mógł też pochwalić się różnymi pomysłami, niezwykłą zaradnością, energią i rzut-kością, którym zawdzięczał, iż ręką obronną wyszedł z wiru rewolucji i... Coś przypomniał sobie w tej chwili i skrzywił usta w uśmiechu, w który włożył tyleż cierpienia, ile nienawiści i jak gdyby wstrętu.

Wagin postyszał czyjeś kroki na ganku. Pomyślał, że to jakiś Chińczyk stąpa w miękkim obuwiu. Za ścianą rozległy się głosy: jeden - cichy i melodyjny - pani Somowej, drugi - jazgotliwy, charczący, jaki wydać mogła jedynie gardziel chińska.

Tak - pomyślał - to przyniesiono lekarstwa od doktora von Plena. Jakież to dziwny, zupełnie już zdruzgotany typ. Walkę o byt nazywa tchórzostwem i czymś bardzo nieestetycznym?

Przypominając sobie rozmowę z lekarzem, usnął. Wkrótce obudził go cichy stuk do drzwi.

- Kto tam? - spytał, zrywając się z łóżka.

- Ktoś z pańskich znajomych chciałby się widzieć z panem - rozległ się wyraźnie niespokojny głos pani Somowej.

- Wagin szybko ogarnął wzrokiem cały pokój i nagle, schyliwszy się, otworzył walizkę. Błysnęła niklowa lufa rewolweru, wciśniętego pośpiesznie do kieszeni marynarki. Czynności te wykonywał automatycznie, podświadomie, czy też z nabytego przyzwyczajenia.

Dopiero obciągnąwszy na siebie ubranie i przyglądziwszy włosy, zdumiał się, że zwykłe pukanie do drzwi wywołało w nim ten właśnie odruch.

- Proszę wejść! - powiedział spokojnym głosem, z ręką w kieszeni stając przy ścianie, na prawo od drzwi.

## VI. DAWNE ŻYCIE ODZYWA SIĘ BRUTALNIE

Wagin, ujrzawszy wchodzącego gościa, skrzywił usta drapieźnie, ale wnet poczuł, jak zerwało się w nim serce i z zawrotną szybkością padać poczęło, pozostawiając w piersi pustkę, strach i rozpaczliwą zawziętość.

Poznał gościa. Ba - znał go od dawna, może już od roku albo i dłużej.

Ten łysy człowiek o czarnych, biegających oczach, wzierających chciwie spod nabrzmiątych i zaczerwienionych powiek, o wydatnych, zawsze wilgotnych wargach i odstających uszach nietoperza, pętał się za nim wszędzie - od Petersburga do Archangielska i przez całą Syberię aż do Władywostoku. W oczach jego - załamanych i niespokojnych - Wagin widział śmierć. Człowiek ten w ciągu ostatnich kilku miesięcy zmienił go w ścigane i coraz bardziej osaczane zwierzę, zmuszane do ciągłej ucieczki, męczącego ukrywania się i czuwania w dzień i w noc. On to doprowadził go do rozpacz i ostatecznego znużenia, aż Wagin zmuszony był przejść do ataku i na własną już rękę rozpoczął polowanie na tego człowieka o setce imion i nazwisk. Postanowił go zgładzić, aby nie być straconym. Ta walka trwała prawie rok, walka równie przebiegłych przeciwników z przewagą inteligencji na korzyść Wagina, gdyż, ścigany i tropiony przez swego wroga, jednocześnie kierował nim i z wolna co prawda, lecz nieprzerwanie posuwał się ku obranemu przez siebie miejscu ucieczki lub rozstrzelaniem, powieszeniem albo nawet z bardziej wyrafinowaną karą śmierci. Wagin nienawidził swego prześladowcy za to, że zmuszał go do postępów wstrętnych dla siebie i poniżających go we własnych oczach, za to, że z biegiem czasu, pod wpływem ustawicznego strachu przed śmiercią, zanikał w nim poczęły cechy człowieka inteligentnego o ustalonych zasadach moralnych. Bolało go, że nie mógł bronić się otwarcie, jak mężczyzna. Musiał ciągle kryć się, uciekać, tułać się po różnych wsiach i zapadłych kątach, z dala od większych zbiorowisk ludzkich, gdzie ścigający go szpieg mógł na jego ślad naprowadzić policję i żołnierzy. Krył się więc po opuszczonych, straszliwie zapluskwionych, ohydnych szałasach łowców syberyjskich, w gąszczu leśnym przy ukrytym starannie ognisku, w rozbitych krypcach, wyrzuconych na pustynne lachy, wśród sekciarzy, uchodzących gdzieś w przestrzeń i bez żadnego wyraźnego kierunku i celu, aby tylko być jak najdalej od bezbożników - „sług Antychrysta”, nocował wśród trupów ludzi, powystrzelanych przez bolszewickie oddziały karne, tułał się po nieznanym nikomu osiedlach, gdzie w każdej chacie panoszyła się śmierć, a ludzie, jak muchy, umierali na tyfus plamisty i cholere. Gdy zaś dojrzał w nim protest i cały, bez reszty, zamknął się w nienawiści, wtedy dopiero poznał Wagin naturę ludzką i zrozumiał, jakie dziwne kryją się w niej możliwości, odruchy i potęgi pierwotne, kiedyś tam w zaraniu życia ludzkości wykorzystywane dla obrony i napadu. Te właśnie nieznanne mu przedtem cechy zwierzęcia ludzkiego wywoływały w duszy Wagina dreszcz wstrętu. Przekształcona w ciągu tysiącleci postępu dusza jego te pierwotne sposoby i chwytaki walki o byt kwalifikowała jako dzikie okrucieństwo, nikczemność i tchórzostwo, a jednak trwoga o życie zmuszała go do wyzyskania wszystkich możliwości, nie oglądając się na nic i z niczym się nie licząc. W szalonym, błyskawicznym pędzie myśli rodzące się nagle wspomnienie ożywiło wszystko w nieuchwytnym ułamku sekundy, szczególnie jeden z ostatnich epizodów walki z tym łysym szpiegiem o wydętych, śliskich wargach. Wagin, nie wiedząc który już raz wytropiony przez niego, wymknął się z potrzasku i jak mu się zdawało, ostatecznie i bezpowrotnie. Było to w małej osadzie kozackiej nad rzeką Amurem. Władza bolszewików dopiero od niedawna tam sięgała,



ostrożnie próbując utrwalić się w tak niepewnym środowisku jak bogate, konserwatywne, monarchicznie nastrojone, rządzone własnym prawem obyczajowym społeczeństwo kozackie. Wagin przybył do stancy, mając fałszywe dokumenty na imię jakiegoś technika. Tego samego dnia Amurem przepływał statek parowy, należący do kopalni złota, kierowanej przez inżyniera - Anglika. Wagin podpłynął czołnem do parowca i rozmówił się z właścicielem, został przyjęty na pokład. Oddalwszy się o jakie sto kilometrów od osady, pewnej nocy, gdy statek stał przy brzegu, oczekując świtu, Wagin wślizgnął się do kajuty kapitana, grającego w karty z Anglikiem w messie, wykradł z jego biurka paczkę banknotów, spory worek złotego piasku, przewożonego z kopalni, i - co było celem jego wyprawy - karabin z torbą, pełną naboju. Rozumował, że bez pieniędzy i bez broni nie da sobie rady, więc z całym spokojem porwał innym potrzebne mu środki do walki, odrzucając wszelką myśl o etyce, wdzięczności, a nawet możliwości nowej zbrodni, gdyż gotów był zabić każdego, kto ważyłby się zatrzymać go. Potajemnie porzuciwszy tej samej nocy parowiec Anglika, odszedł daleko od rzeki i koło południa natrafił na małą chatkę smolarza. Mieszkali w niej mąż z żoną i pies, zły, kudłaty, nieufny kundel. Jego to szczekanie zwabiło Wagina ku samotnej chacie. Zamieszkał z leśnymi ludźmi, pomagając im w karczowaniu pni i układaniu mielerzy. Smolarze polubili go. Pewnego razu zbudziło Wagina ujadanie psa, lecz kudłacz, poszczekawszy, zamilkł. Nazajutrz smolarz spostrzegł na błotnistej ścieżce wyraźne ślady dwu ludzi, którzy długo, zapewne, stali w tym miejscu, skąd smolarnia widoczna była jak na dłoni.

- Któż by to mógł być? - pytała zaniepokojona nagle kobieta. - Dlaczego nie przyszedł tu i zawrócił? Przecież od nas do najbliższej osady będzie z pół dnia drogi?!

Wtedy to Wagin zmyślił coś takiego, co najsilniej podziałać mogło na proste umysły gospodarzy. Opowiedział im, że jest mnichem, który bronił domu bożego w klasztorze wałamskim przed bezbożnymi bolszewikami, Żydami, Łotyszami i Chińczykami, którzy teraz panują w Rosji i ścigają go. Po krótkiej naradzie z Waginem, smolarz i jego żona zaczęli działać. Skrzyknęli sąsiednich smolarzy, łowców tunguskich, kryjących się w puszczy zbiegów więziennych i urządzili zasadzkę. Dziesięciu żołnierzy, przyprowadzonych przez szpiega, zginęło, padło też kilku ludzi leśnych, a uciekającego wroga swego, biegnącego brzegiem potoku, postrzelił sam Wagin i z radością spostrzegł, jak wpadając w nurt, plusnęło ciało zabitego i popłynęło.

Po zgładzeniu swego prześladowcy mógł już spokojnie ruszyć dalej ku wschodowi. W tydzień później od przypadkowego znajomego dowiedział się, że oddział czerwonych jeźdźców powystrelał wszystkich smolarzy i spotkanych w puszczy ludzi i podpalił las. Za to właśnie, że broniąc swego życia, świadomie narażał na śmierć ludzi uczciwego i dobrego serca, za to pogardzał sobą i coraz płomiennie nienawidził człowieka o biegających, chwytnych oczach, skradającym się krokiem wchodzącego teraz do jego pokoiku.

Wagin szybkim ruchem stanął za nim i spostrzegł pytające spojrzenie zdumionej pani Somowej. W głębi ciemnej sieni na chwilę zamajaczyły też przed nim oczy Ludmiły. Uśmiechnął się do nich z przymusem i powiedział:

- To mój stary znajomy. Pogubiliśmy się z nim w drodze.

Gość tępnał tylko oczami i wyduł wargi. Wagin zamknął drzwi, milcząc, pokazał szpiegowi rewolwer, po czym położył palec na ustach i spytał sztucznie podniesionym głosem:

- Jak się pan miewa, Abramie Izaakowiczu? Niech pan siada! Opowiemy sobie nasze przygody. Miał pan ich zapewne pod dostatkiem, bo ja - i owszem, aż mi zbrzydły! W ogóle, mówiąc szczerze, los nie szczeni nam ostrych i interesujących przeżyć. Co do mnie, to marzę, żeby się trochę ponudzić i zakosztować wreszcie jednorodności i monotonii życia! Cha, cha, cha!

Gość wprawnym okiem w tej chwili, zapewne raczej z zawodowego przyzwyczajenia, jakimś lepkiem spojrzeniem macał każdy rys twarzy siedzącego przed nim Wagina, jego ubranie i wszystkie przedmioty w pokoiku.

Hm, hm - chrząknął w końcu w kułak. - Zgubiłeś mnie wobec...

Wagin zmrużył oczy i pogroziwszy mu palcem, szepnął:

- Mów o czymś innym, obojętnym.

Powiedziawszy to, szybko wyjął notatnik i napisał na czystej stronie: Tu rozmawiać nie możemy... chyba rozumiesz? Pomówimy w innym miejscu.

Dał mu to do przeczytania, lecz po chwili dopisał: Przychodźcie o ósmej do jadłodajni w Gospodzie Czterech Stron Świata. Przy tej samej ulicy - za jaomyniem siódmy dom.

Gość skinął głową i zapalając papierosa, spytał ze wstrętnym uśmiechem na mokrych wargach:

- Gdzież to pan wylądował po tym, jak widzieliśmy się po raz ostatni? Szukałem pana na obydwu statkach japońskich, ale...

- Nie znalazł mnie pan? - zaśmiał się Wagin. - Nie miałem wówczas zaufania do japońskich szyprów! Woląłem coś pewnego. Wsiadłem na żaglówkę koreańską. Była to przemytnicza łupina - przywoziła okowitę, a do swego kadłuba naładowała rogi jelenie, kły morsowe i skórki fok z Komodorów aż po burty. Ledwie znalazło się na niej miejsce dla jedyne go pasażera, którym właśnie ja byłem.

Wagin ze zdziwieniem teraz słuchał brzmienia własnego głosu. Nikt nie odnalazłby w nim fałszywej nuty lub sztucznych odcieni. Drgała w nim naturalna wesołość, wzbudzona wspomnieniem o szczęśliwie zakończonej ponurej epepei. Spoglądał na gościa prawie bez odrazy i zwykłej obawy. Poszperał w swym sercu i zdumiał się. Nie znalazł w nim już dawnej zawziętości ani jeszcze tak niedawno wszystko przed nim zasłaniającej nienawiści, ani lęku przed tym potworem - strasznym w swym uporze i talencie tropicielskim. Teraz był poza jego zasięgiem. Siły ich zrównały się. Nie obawiał się pojedynku, gdyby go szukał towarzysz Abram. Mógł to być tylko pojedynek, gdyż szpieg mógł teraz polegać jedynie na własnej przebiegłości i sile.

Gość tymczasem uderzył się dłonią w czoło i mruknął:

- Do diabła! A przecież chciałem już płynąć ze strażnikami ku tej krypie, ale właśnie przyszła do mnie jakaś dziewucha i szepnęła, że w szynku siedzi jakiś nieznajomy i wciąż przez okno wygląda.

- Cha, cha! - zaśmiał się cicho Wagin. - Był to podstęp wojenny! To ja do was posłałem tę dziewczynę!

- A ja - tym samym tonem zaczął szpieg, ale urwał nagle i w leżącym na stole notatniku napisał niezgrabnymi, koślawymi literami, robiąc straszliwe błędy ortograficzne: przekonawszy się, że mnie oszukała, strzeliłem jej w głowę!

Wagin zacisnął zęby i spuścił oczy. Po chwili, wzięwszy ołówek, rzucił na papier jedno tylko słowo: Nikczemnik! - i nerwowym ruchem podkreślił je dwukrotnie.

Gość podniósł na niego okrągłe, drapieżne oczy i spytał, chichocząc bezdźwięcznie:

- To niby ja? A dlaczegoż to nie szanowny pan?

Wagin zacisnął szczęki z taką siłą, że mu aż zęby zgrzytnęły.

- W najgorszym razie obaj - rzucił, nie patrząc na gościa.

- Więc na tej to krypie dołynął pan do Szanchaju?

- Nie, do jednego z portów koreańskich, gdzie przesiadłem się na jakieś japońskie Maru i oto jestem tu - odpowiedział Wagin, czując, że jego chwilowa i dziwna wesołość i jak gdyby obojętność dla człowieka, który przypominał mu ohydną przeszłość, prysnęły bez śladu.

On musi zginąć! - podszeptała mu myśl chyża i sycząca, wyslizgując się niby wąż z nieznanym zakamarków mózgu.

- Może napije się pan herbaty? - spytał Wagin, aby przerwać nagle zapadłe zbyt długie milczenie.

Szpieg spojrział na niego ni to z przestachem, ni to z szyderstwem i przecząco potrząsnął głową.

- Pozostawmy to na wieczór - odpowiedział charczącym głosem.

- Czy sam przyjdiesz, czy z przyjaciółmi? - mrużąc oczy, zadał pytanie Wagin.

- Sam, sam tu tymczasem nie mam jeszcze przyjaciół - szepnął gość i wstał.

Wagin odprowadził go na ganek i powtórzył z naciskiem:

- A więc o ósmej?

- Tak! - kiwnął głową szpieg. - Musimy się rozmówić, ratować się wzajemnie.

Nie skończył, bo na ganek wyszła pani Somowa i pytającym, badawczym wzrokiem patrzyła na obydwu.

- Do widzenia, Abramie Izaakowiczu! - zawołał Wagin, wybuchając suchym, nieszczerym śmiechem.

Powrócił do swego pokoju i zaczął chodzić tam i z powrotem. Teraz dopiero poczuł się nad wyraz wzburzonym i musiał się uspokoić i zebrać myśli. Złe widmo minionych miesięcy, które wydawały mu się długim korowodem lat, zjawiło się przed nim na nowo. Co miało mu przynieść? Jakie zamiary czają się w ohydnej i strasznej głowie towarzysza Abrama? Przecież przybył tu tylko dla niego i coś już zapewne obmyślił. Czekać nie wolno! Należy działać, nie zwlekając, skończyć raz na zawsze z tą zmorą. Ach!

Wagin wydał bolesny syk i ukrył twarz w dłoniach. Poczuł, że są zimne i drżą. Z dna jego duszy zrywała się rozpacz.

„I tu i tu - niby to ścigając się, szeleściły trwoźnie myśli - ma być wszystko tak, jak działo się tam - we Francji, Szwajcarii, a potem - w Rosji?! Znowu ucieczka, ukrywanie się, szpiegowanie i tropienie, zasadzki i nagłe napady, czy starczy ci sił, człowieku znękany? Czyż nie lepiej skończyć od razu, jednym zamachem przeciąć tak Nielitościwie napiętą nić życia swego lub tego Abrama? Wybieraj! Nie zwlekaj!"

Znowu syknął i usiadł przy stole, na którym biała karta notatnika, a na niej podkreślone dwa razy słowo Nikczemnik.

Kto? On czy ty? - podszeptała mu natrętna myśl. - Więc chcesz zacząć na nowo?

Wagin poruszył się gwałtownie. Skrzypnęło lekkie krzeselko bambusowe. Ktoś podszedł do drzwi i cichy głos Ludmiły dobiegł uszu Wagina:

- Mama prosi pana bardzo do siebie na herbatę! Jest u nas doktor Plen.

Sergiusz otworzył drzwi i prawie rozkazującym ruchem ręki zmusił Ludmiłę wejść do pokoju. Patrząc na nią surowym wzrokiem, powiedział ponuro:

- Jestem zdenerwowany i nie będę zbyt przyjemnym gościem. Wie pani, myślałem długo o naszej pierwszej dziwnej bądź co bądź rozmowie, i przyznaję słuszność, istotnie - można i powinno się mnie bać. No, a teraz chodźmy, skoro panie sobie tego życzą!

Przepuściwszy ją przed sobą, zamknął drzwi i siedł za nią, patrząc roztargnionym, nieobecny wzrokiem na jej wiotką, miękką, jak gdyby pozbawioną kości postać i olbrzymi węzeł kasztanowatych warkoczy, nisko opuszczonych na smagły kark.

Ludmiła zatrzymała się nagle i obejrzawszy się na Wagina, szepnęła dobitnie:

- Niech pan wystrzeż się tego człowieka, który wyszedł od pana przed chwilą!

Sergiusz podniósł na nią oczy, a w nich natychmiast błysnęła groźba. Pochylił głowę i powiedział z naciskiem:

- Aby się obronić przed nim, należy...

Nie dokończył, bo Ludmiła wydała jakiś bezdźwięczny krzyk i wyciągnęła ręce przed siebie, jak wtedy - na ganku, przed domem.

- Zrozumiała pani? Jeszcze raz, nie wiedzieć po raz który?

Ludmiła, potrząsając głową, drżała na całym ciele, przyciskając ręce

do piersi jak przerażone dziecko.

- Chodźmy wreszcie, bo w ten sposób nigdy nie dojdziemy! - szepnął opryskliwie i szyderczo Sergiusz i wnet dodał: - Niech się pani nie boi! Ten Abram Izaakowicz nigdy już tu więcej nie zajrzy.

Wybuchnął suchym śmiechem i pchnął drzwi, mówiąc:

- Jesteśmy, wedle rozkazu!

Słowom jego odpowiedział radosny okrzyk Romana. Chłopak, siedząc w łóżku, oparty o wysoko ułożone poduszki, wyciągał ku niemu obie ręce.

- Niech się pan uśmiechnie do mnie! Tak jak dziś! - syczał żałośnie i namiętnie zarazem.

Wagin wielkim wysiłkiem woli zdławił w sobie wzburzenie i nagle porywczym ruchem podniósł głowę. Nikt by go w tej chwili nie poznał. Młoda twarz powlokła mu się rumieńcem. Skrzępy jej i zimny wyraz zniknął bez śladu w wesołym, beztróskim, zdawało się, uśmiechu. Błyskały białe, mocne zęby, roziskrzyły się tysiącem ogników i błysków baczne zawsze, czujne oczy o niezliczonych źrenicach. Mgiełka, okrywająca je, rozwiała się bez reszty i odsłoniła niebieskie oczy, szczerze i łagodne. Rozłożywszy szeroko prężne ramiona, skłonił się nisko i zawołał żartobliwie:

- Przyniosłem ci tyle uśmiechów, ile zechcesz! Mam u siebie w pokoju dwie walizki, w jednej z nich pełno jest uśmiechów i dlatego jest najlżejsza!

Chłopak porwał małą, mocną dłoń Wagina i przycisnął się do niej płonącym policzkiem, poruszając czerwonymi, suchymi wargami. Coś szeptał, lecz dźwięk nie wydobywał się z przeżartych płuc i gardła. Wagin pochylił się nad chorym i przycisnął jego głowę do piersi. Ledwie to uczynił, gdy jakaś zimna struga pobiegła mu po grzbiecie. Przypomniawszy sobie w tak nieodpowiedniej chwili towarzysza Abrama i oczekujące go spotkanie w zajeździe Miczurina. Był w tym wszystkim tak wielki rozdźwięk, że sprawił mu wyraźnie wyczuwany ból fizyczny. Znowu, jak zawsze, zacisnęły mu się wargi, a trzy głębokie zmarszczki pofałdowały pogodnie przed chwilą czoło. Przekleństwo! - mignęła myśl. - Dopóki nie skończysz z tym, nie zaczniesz nowego życia.

Wagin przymknął powieki, lecz po chwili podniósł je i natychmiast spostrzegł skierowane ku sobie ciemne, głębokie oczy Ludmiły, która patrzyła na niego, nie słuchając prawie tego, co mówił do niej doktor Plen. Otrząsnąwszy się z ogarniających go myśli, Wagin zaśmiał się i powiedział do chłopaka:

- Jeśli potrzebne ci są uśmiechy, będę ci je przynosił codziennie w woreczku?!

Roman począł się śmiać, ale wkrótce napadł go atak kaszlu. Lekarz szybkim krokiem podszedł do chorego i położywszy mu rękę na czole, zmusił go położyć się na wznak i gładząc chłopaka po piersi, wstrzymał suchy, szczekający kaszel.

- Dobrze, dobrze - mrucał Plen. - Teraz napijesz się mleka z ziółkami, łykniesz pigułkę i będziesz spał. Będziesz spał! - powtórzył twardym, rozkazującym głosem. - O, widzę, jak ci się już kleją powieki. Świetnie! Powiadasz, że nie smakują ci ziółka? Ee, bracie! Dla nas - mężczyzn nie ma niesmacznych lekarstw i rzeczy. My przecież - wojownicy, łowcy, pasterze. Jemy i pijemy, co się da, aby mieć zdrowe mięśnie i wolę do zwycięstwa. Słyszałeś o tym kiedyś? Nie śpij jeszcze, bo masz zjeść żółtko z cukrem. To już dobre, prawda? Teraz z ostatnią łyżeczką - pigułką! Tak, doskonale! Teraz Romeczek śpi, śpi, śpi!

Głowa chłopaka obsunęła się z lekka na poduszki, oczy się zamknęły. Usnął.

- To dziwne, wprost nie do uwierzenia! - szepnęła zdumiona i jak gdyby uradowana pani Somowa. - Romek tak długo już cierpi na bezsenność, która go męczy i wycieńcza.

Plen kiwał głową, przysłuchując się oddechowi chorego chłopca.

- Teraz będzie spał długo i spokojnie, prawie bez kaszlu, aż - powiedział cichym, poważnym głosem.

Wagin postyszał coś w jego brzmieniu, bo podniósł oczy na doktora i spytał:

- To dobrze zrobi temu biedakowi, nieprawdaż?

Nie odpowiadając wprost na pytanie, von Plen mruknął:

- Sen koi bóle duszy, serca i ciała, niezawodnie i najlepiej...

Waginowi wydało się, że zrozumiał ukryte znaczenie tych słów, więc zaczął dość beładnie opowiadać o znanych mu wypadkach leczenia gruźlicy przez znachorów syberyjskich. Mówił długo, starając się odwrócić uwagę stroskanych kobiet od niepokojącej myśli, którą musiała poddać im przypowieściowa niemal odpowiedź doktora.

- Ma pan rację, znachorzy mogą wiele dobrego zdziałać - przytaknął Plen. - Ich sposoby oparte są na sugestii różnego rodzaju. Istnieje cała jej skala o wielkiej rozciągłości. Na przykład sławetny czarny duch Rosji - Grzegorz Rasputin, ten szaman syberyjski.

-Ach! - wyrwało się Ludmile, która z przerażeniem jęła się wpatrywać w twarz Wagina.

Von Plen postyszał jej cichy, jak westchnienie, okrzyk i ze zdumieniem spojrzął na nią. Sergiusz najmniejszym nawet skurczem mięśni nie zdradził swego wrażenia, gdy padło nazwisko Rasputina. Spokojnie patrzył na doktora i słuchał uważnie.

- Powiedziałem - szaman - ciągnął Plen, siadając przy stole i pijąc duży łyk ostygłej już herbaty - to znaczy, taki znachor, który poza wiedzą natury ludzkiej, umie wykorzystać stan otaczającej nas przyrody, działającej na psychikę i system nerwowy człowieka. Słyszałem z wiarogodnego źródła, że Rasputin nigdy nie zgadzał się ratować carewicza w dni dżdżyste lub mgliste.

- Ma pan zupełnie ściśle informacje - spokojnym tonem potwierdził Wagin i dodał: - Dziękuję pani, proszę o jeden tylko kawałek cukru. Tak! Najlepsze dla jego praktyki były dni pogodne, słoneczne lub czasem - znów przeciwnie - gdy przed burzą w powietrzu gromadziła się elektryczność. W innym czasie posiłkował się hipnozą indukcyjną, posyłając chorym swój portret, koszulę lub obrazek święty, wiszący na piersi. Znam te rzeczy, wyolbrzymione do rozmiarów cudów. Ale i to można zrozumieć, jeżeli się zważy, w jakim niezwykle wysokim, niedostępnym dla zwykłego śmiertelnika otoczeniu działał smutnej pamięci Rasputin.

Ludmiła nie mogła wyjść z podziwu. Tak spokojnie i obojętnie nie mógł mówić człowiek, zamierzający zgładzić nadwornego znachora i jego protektorkę - cesarzową.

Chyba to, co opowiadał Klimów, jest tylko plotką? - pytała siebie.

Postanowiła zrobić jedną próbę. Spuszczając oczy i do nikogo poszczególnie nie zwracając się, spytała:

- Wydaje mi się jednak rzeczą nieprawdopodobną, jak mogła cesarzowa.

- Mój Boże! - przerwał jej Wagin. - Ciągłe się słyszy to pytanie! A przecież jest to takie łatwe do zrozumienia! Kochająca matka, drżąca o swego syna, który może każdej chwili umrzeć, jak tonąca -

deski ratunku, czepiała się tego znachora, jednym słowem lub spojrzeniem przerywającego krwotoki cesarzowicza, czego nie mogli uczynić najświetniejsi lekarze. To takie zrozumiałe i tragiczne zarazem! Proszę spytać swojej mamy, czy nie uwielbiałaby pierwszego lepszego znachora, który umiałby przerywać ataki kaszlu u Romka?

- Ależ naturalnie! - zawołała pani Somowa. - Stopy bym mu całowała!

Von Plen zaśmiał się cicho i zamachał rękami.

O, to już straszne! - powiedział. - Niechże pani przynajmniej mnie nie uważa za znachora-cudotwórcę. Ja w tym wypadku pomagam tylko naturze, jak by to wyrazić się ściśle? Łagodzę brutalność natury.

Umilkł i poruszył się niespokojnie na krześle. Ani pani Somowa, ani też Ludmiła nie dostrzegły dziwnego tonu ostatnich słów Plena i tego, że oczy mu zgasły nagle, twarz pożółkła i zwiotczała, a palce ręki, trzymającej filiżankę, zdrząły. Spozrzegł to jednak wciąż baczny na wszystko Wagin i pytającym wzrokiem ślizgnął się po całej postaci doktora. Jednocześnie uczuł na sobie badawcze spojrzenie Ludmiły i zrozumiał, po co rozpoczęła rozmowę o cesarzowej.

Widocznie w rosyjskich kołach mówią już o mnie! - domyślił się z goryczą.

Pani Somowa wyszła tymczasem do kuchni.

- Dziwne jest życie ludzkie! - uśmiechnął się Wagin. - Któż z nas mógłby dawniej pomyśleć, że kiedyś, ot tak będziemy sobie siedzieli w chińskim domku przy ulicy Fu-Tien-Koo, pili herbatę i gwarzyli o rzeczach strasznych, ponurych, ale, na szczęście, dawno już minionych?

Von Plen potrząsnął głową i dodał z naciskiem:

- Kto też mógłby przewidzieć, jakie w nas zajdą zmiany? Tak głębokie i nieprawdopodobne, że staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, jak gdyby po raz drugi przychodzącymi na świat, lub też, że tak powiem, wyjąłowionymi do dna!. Bez tych doświadczeń przeszlibyśmy od kolebki do trumny, nie podejrzewając nawet, co za możliwości, moce, talenty, cnoty i zbrodnie tkwią gdzieś w tajnikach naszych dusz, serc, mózgu i krwi.

Pani Somowa powróciła, wnosząc półmisek z szynką i zielonym groszkiem. Panie zakrzętnęły się koło stołu. Zjawiła się biała serweta i nakrycia. Z zażenowanym wyrazem twarzy uprzejmie częstowały gości, mówiąc do nich:

- Przepraszamy za tak skromne przyjęcie, ale, doprawdy, ze szczerego serca.

- Nie pamiętam już, kiedy miałem tak wspaniały podwieczorek! - upewniał von Plen, krając kawałek tłustej szynki. - Nie przypuszczałem nawet, że w Szanchaju można mieć tak wyborne rzeczy!

- Szynkę kupiłam na Nanking Road u Tillera - mówiła z uśmiechem zarumieniona Ludmiła. - Ta firma eksportuje podobno swoje wyroby nawet do Anglii.

Wagin milczał. Krajał mięso na drobne kawałki i jadł powolnie. Nie miał apetytu. Odbierała mu go teraz najwstrętniejsza myśl o tym, co ma zająć w Gospodzie Czterech Stron Świata i czy w ogóle musi tam coś zająć. Na to pytanie nie mógł sobie jeszcze dać stanowczej odpowiedzi. Myślał o towarzyszu

Abramie, przypominał sobie niektóre słowa jego i daremnie szukał w duszy dojrzałego ostatecznie postanowienia.

- Ma pan jakieś kłopoty, widzę? - spytała go nagle pani Somowa, spostrzegłszy skupiony wyraz w jego oczach.

- Któż ich nie ma? - wzruszył ramionami i zaśmiał się z goryczą. - Chcę zacząć nowe życie po moich przejściach i ani rusz - nie mogę. Odbija mi się życie tamtejsze - niby po nieświeżej rybie.

Powiedział to szyderczym tonem i znowu spostrzegł utkwiony w sobie wzrok Ludmiły.

- To dzisiejszy gość popsuł panu humor zapewne? - zauważyła pani Somowa. - Muszę się przyznać, że nie podobał mi się wcale. Jakiś wstrętny i do tego niezawodnie Żyd.

Wagin wybuchnął głośnym śmiechem.

- Po części, po części! - zawołał ubawiony nagle. - A co do jego rasy, to cóż państwo chcecie? Ma na imię Abram, jest synem Izaaka, nazwisko zaś jego brzmi Chackeles! Nie może on być, nawet gdyby pragnął, patriarchą Wszechrosji!

- Istotnie, znajomość mocno kompromitująca! - uśmiechnął się Plen.

- Któż z nas w tych czasach nie był zmuszony do podobnych kompromitujących stosunków i znajomości? - odparł Sergiusz. - Do kompromitujących znajomości i jeszcze bardziej kompromitującej przeszłości... A la gierre comme a la guerre!

Wszyscy zamilkli. Przypominali sobie zapewne niedawne dzieje i własne przeżycia.

Wagin wstał. Zrobiwszy kilka kroków po pokoju, usiadł znowu i porozumiewawczo patrząc na Ludmiłę, powiedział:

- Opowiem państwu pewne zdarzenie, ilustrujące to, o czym mówiłem przed chwilą. Gdybym nie widział tego niemal we wszystkich szczegółach własnymi oczami - przysięgam - nie uwierzyłbym nigdy, że to jest możliwe! Proszę sobie wyobrazić młodzieńca z dobrej rodziny, niezupełnie czystej krwi rosyjskiej, gdyż matka jego była Angielką. Człowiek wykształcony, zupełnie zrównoważony, z pewnych - powiedzmy - zasadniczych, ideowych powodów zmuszony był nagle opuścić Rosję i całkowicie zerwać z rodziną. Na obczyźnie, pozbawiony wszelkiej pomocy i ścigany zawzięcie przez policję polityczną, przeszedł wszystkie możliwe ciężki. Głód, nędzę, chorobę, jednak przetrwał wszystko to, zaszył się w małym miasteczku francuskim nad brzegiem morza i ten, któremu przedtem przepowiadano najświetniejszą karierę, czuł się zupełnie szczęśliwy, pracując w fabryce konserw rybnych. Miał zarobek, a w domu - ciszę i spokój, przed sobą - kojący go bezmiar oceanu. Dobrze mu było! Zdawało mu się, że po jakimś sztucznym, przymusowym życiu, rozpoczyna nowe, prawdziwe, w którym może i musi wywalczyć sobie stanowisko własnymi siłami. I nagle...

Urwał, aby napić się herbaty. Wszyscy słuchali, wpatrzeni w jego spokojną, jak gdyby rozmarzoną w tej chwili twarz. Zmienił pozę i ciągnął dalej przyciszonym głosem:

- Minęła zima i wiosna. Z cuchnących tranem i wodorostami morskimi hał przeniesiono mego znajomego do biura. Awans i nowe, jeszcze lepsze warunki życia? Ale oto w lecie do miasteczka nadmorskiego przybyło z Paryża kilka rodzin naszych rodaków, a wraz z nimi młoda wychowawczyni -



Rosjanka. Aby nie znudzić państwa, nie będę jej opisywał, wspomnę tylko, że była to bardzo przystojna, rozumna dziewczyna i miała najidealniejsze poglądy na ludzi, życie i na cały świat. Państwo już domyślają się zapewne, co dalej nastąpiło. No, oczywiście! Przypadkowe spotkanie, pierwsza krótkka, ale decydująca o dalszym biegu wypadków rozmowa - niespodziewanie szczerą i serdeczną, nieprzepartry pociąg wzajemny, głębokie, jak się to mówi, mocne uczucie i narzeczeństwo.

Wagin zaczął śmiać się cicho i złośliwie.

- Banalna, nieprawdaż, jak dotychczas historia kinematograficzna, która mogłaby mieć typowy dla filmów amerykańskich tego gatunku the very happy end, gdyby nie siła wyższa? Cha, cha, cha! Jakżeż mogła przeciwstawić się jej niemądra, młoda, naiwna miłość mego przyjaciela, gdy pod ciosami tej siły druzgoczącej padły wszak takie potęgi jak imperium carów, Kościół i armia?!

Wagin wstał i zaczął chodzić po pokoju, co chwila spoglądając na zegar. Dochodziła godzina szósta. W pokoiku ginęły już w zmroku poduszki chorego chłopaka, majaczyły niewyraźne zarysy sofy, malej szafki i kilku obrazków chińskich, tuszem malowanych na jedwabiu. W kącie, koło pieca, w zgęszczonych cieniach występowały blade plamy twarzy ludzi i wpadający z podwórza promyk latarni rozpryskiwał się na mosiężnej pokrywie samowaru.

- Nudzę państwa swoim opowiadaniem? - zapytał Sergiusz.

- Ależ przeciwnie! - zaprotestowała pani Somowa i zapaliła lampę naftową. Chory poruszył się i westchnął. Ciężkie to było, syczące westchnienie. Chłopak nie obudził się jednak.

Wagin usiadł i marszcząc czoło, coraz bardziej niespokojny i podrażniony, jakoś dziwnie szybko zakończył rozpoczęte opowiadanie:

- Wybuchający bolszewizm rzucił bawiącą we Francji rodzinę na bruk. Narzeczona mego przyjaciela pozostała bez pracy. Na próżno biedak namawiał ją, aby się pobrać, nie czekając na poprawę jego sytuacji materialnej, bo wszak jako tako dadzą sobie radę. Idealna panienska pewnego dnia znikła. Inny, na miejscu mego przyjaciela, postawiłby w tym miejscu kropkę i przeboleałby ten zawód. Nie taki to jednak okazał się człowiek! W postępkach panny dopatrzył się czegoś przerażającego, czego nie mógł na razie uświadomić sobie. Tchórzostwo? Zdrada? Obawa przed skromnym życiem ciężko pracujących ludzi? Postanowił jednak wyjaśnić to, wyraźnie zrozumieć wszystko, gdyż nie był w stanie tak od razu, w jednej chwili porzucić swego ideału, który nieopatrznie i naiwnie on - człowiek obracający się niedawno w najświetniejszym towarzystwie i obserwujący setki kobiet, umieścił w tej tak mądrej, poważnej i skromnej nauczycielce. Rzucił więc wszystko i wyruszył na poszukiwania. Znalazł ją wreszcie w Paryżu... w biurze propagandy bolszewickiej w roli kochanki wpływowego komisarza - młodego, aroganckiego Żydzia, pełnymi garściami rzucającego proletariackie złoto na przekupywanie i judzenie w kołach robotniczych organizacji francuskich, no i na szerokie, wystawne życie. Mój znajomy długo miał pod obserwacją mieszkanie Żydzia, bo ciągle jeszcze wątpił, jeszcze chwycił się strzępów nadziei, ale gdy już wszelkie złudzenia przysły, odnalazł w sobie zupełnie nowego człowieka, a ten, inaczej już myśląc i odczuwając, innych też użył sposobów załatwienia sprawy.

Wagin wstał i prostując barki, śpiesząc się jeszcze bardziej, zakończył swoją opowieść:

- Wszedł do mieszkania bolszewika i strzelił celnie do zbyt praktycznie patrzącej na życie panny i przerażonego Żydzia. Świadkiem tego morderstwa był jeden tylko człowiek, który na odgłos

strzałów wypadł z sąsiedniego pokoju, ale ukrył się natychmiast. Ściągał on potem mego przyjaciela, aż ten dał nura, wstąpiwszy na ochotnika do pułku cudzoziemskiego, i zniknął. Bitwy, jak słyszałem potem, otrzeźwiły go znakomicie i zaleczyły blizny jego głupiego serca. Późno już, a tymczasem mam jeszcze coś do załatwienia na mieście.

Poczuł dreszcze i skurcz mięśni w szczękach, gdy mówił:

- Muszę już pożegnać panie i pana, doktorze, i uciekać! Dziękuję za uprzejme i zaszczytne dla mnie zaproszenie dzisiejsze!

- To i ja ruszę razem z panem - powiedział von Plen i zaczął prostować swoje długie, kościste ciało.

Wyszli razem. Idąc już ulicą, Wagin zapytał lekarza:

- Czy pan dobrze zna odcinek Fu-Tien-Koo za jaomyniem? Chodzi mi o to, aby dostać się do Gospody Czterech Stron Świata nie od strony ulicy, ale z jakiegokolwiek bądź innego miejsca - choćby z powietrza lub spod ziemi!

Von Plen wcale się nie zdziwił, bo odpowiedział najspokojniej w świecie:

- Ależ to moja domena! Znam tam każdą dziurę i norę. Wprowadzę pana od pogorzelska składów wojskowych. Musimy jednak skręcić w ten ciemny zaułek. Nie obawia się pan zapuścić do takiego kretowiska, bo nie zawsze to bywa bezpieczne?

Wagin zamiast odpowiedzi skrzywił usta pogardliwie. Weszli w wąski, pełen załamania i nagłych skrętów zaułek, biegnący pomiędzy glinianymi murami. Panował tu zmrok, a kroki idących ludzi budziły echa. Na skrzyżowaniu z inną uliczką, tonącą w błocie, stał mały domek. Na werandce przed nim paliły się dwie duże czerwone latarnie papierowe; odbicie ich majaczyło na powierzchni dużej kałuży.

Wagin, dotknąwszy ramienia Plena, oczami wskazał na dom, skąd dobiegały ochryple zawodzenia skrzypiec i również ochryple śpiew kobiety.

- Dom pod czerwoną latarnią wszędzie, bodaj, ma to samo znaczenie

mruknął doktor.

- Ach tak! - kiwnął głową Sergiusz i nagle drgnął, ze wstrętem cofając się o krok.

Czyjaś zimna, lepka ręka dotknęła jego dłoni, a potem wczepiła mu się w rękaw płaszcza. Wyteżył wzrok i przyjrzał się ciemnej, drobnej postaci, człapiącej obok niego po gęstym błocie. Mała Chinka - stara czy młoda - tego nie można było rozpoznać pod grubą warstwą bielidła i różu

- w jakimś fantastycznym czepku ze srebrnych kwiatów i dzwoneczków dreptała przy nim, uśmiechając się i mizdrząc zawodowo. Coś mówiła do niego, o coś, niezawodnie, pytała. Wagin nie mógł zrozumieć ani słowa z jej ptasiego, piszczącego szczebiotu, ale w końcu do świadomości jego poczęły docierać pojedyncze wyrazy angielskie. To go zastanowiło, więc zatrzymał się i spytał:

- Czego chcesz ode mnie?

Chińska kurtyzana, szczebiocząc i łasząc się, mówiła już wyraźniej:

- Dżentelmen, biały dżentelmen - bogaty i hojny - przyjdzie do gniazdka śpiewających ptasząt miłości. Mam tam pewną rosyjską miss, prawdziwą księżniczkę, ona dżentelmenowi.

Padło kilka ohydnych, wyuzdanych wyrażań, ale Wagin strząsnął ze swego ramienia czepną dłoń kobiety, poczuwszy do niej nagle nieprzewyciężony wstręt i ni to nienawiść. Długo szedł w milczeniu obok Plena, który sapał ciężko i porywcz.

- Zmęczył się doktor? - zagadnął go Sergiusz.

- Nie! - zaprzeczył lekarz. - Przyszedł czas, abym wypalił fajkę opium

ów dym siedmiu marzeń i siedmiu snów. Dawno nie paliłem, więc czuję się słaby i zgnębiony.

- Słyszałeś, doktorze? Rosyjska dziewczyna z dobrej rodziny w tym barłogu? To straszniejsze od wszystkiego, co można sobie wyobrazić!

Von Plen machnął ręką obojętnie i słabym głosem odpowiedział:

- Gdzie ich tylko teraz nie ma?! Mężczyźni wszystkich barw i ras próbowali miłosnych uciech z pańskimi rodaczkami. Pełno ich w lupanarach szanchajskich na Creeku i w Kantonie na galerach miłości. Na międzynarodowej giełdzie kobiecego ciała białe niewolnice - Rosjanki stały się najtańszym towarem; w zakazanych dzielnicach w Fezie, Trypolisie, Marakeszu, Mzabie, Timbaktu, po wszystkich spelunkach portowych całego świata posłyszec można smętne romanse cygańskie, śpiewane przez rodaczki pana - najdostępniejsze, najbardziej bezprawne i bezbronne prostytutki. Pewien marynarz holenderski, który za każdym rejssem zagląda do palarni opium, gdzie urzęduję i cicho dogorywam, opowiadał mi, że gdzieś w Adenie, zdaje mi się, czy też Surinamie jakiś bogaty przemysłowiec, schławszy się rumem, koniecznie chciał kogoś uśmiercić. Przyprawiono mu wtedy Rosjanę z pobliskiego domu publicznego no i...

- Co się dalej stało? - spytał niecierpliwie Wagin, widząc, że Plen nie ma zamiaru czy sił dokończyć swego opowiadania.

- No i dźgnął ją nożem marynarskim pod serce - syknął Plen. - Udało się jej, na szczęście, dostać śmiertelny cios, bo w przeciwnym razie diabeł jeden wie, co by się z nią potem działo!

Zapanowało milczenie. Pod nogami soczyście cmokało lepkie błoto. W mroku od czasu do czasu przesuwali się i ocierali o nich jacyś przechodnie. Nagle Wagin zastąpił drogę doktorowi i spytał:

- Czy Roman umrze?

Plen, śpiesząc się i głośno sapiąc, odparł:

- Chłopak umiera. Zrobiłem tak, że będzie ciągle spał, skona bez agonii, we śnie. To było jedyne, co w tym stanie choroby mogłem dla niego uczynić.

Już nic nie mówiąc do siebie, szli krętym zaułkiem, aż w końcu wyszli na pusty plac. Sterczały na nim okopcone kominy i resztki ścian jakichś spalonych budynków.

- No, już jesteśmy u celu - mruknął Plen. - W tamtym murze znajdzie pan wyłom i dostanie się na dziedziniec Gospody. Dobranoc! Muszę się śpieszyć, bo słabnę coraz bardziej. Stanowczo za długą

miałem przerwę. Muszę palić co dwie godziny, inaczej serce zaczyna mi się buntować, ale, ale, jedną chwilkę, jeszcze małe pytanie, niedyskretne; zresztą może mi pan nie odpowiadać. Dla kogo to i w jakim celu mówił pan u Somowych o sobie i o tym zamordowaniu jakiejś tam panny, co z taką łatwością zamieniła naiwnego i zakochanego w niej inteligentnego młodzieńca na Żydowina - komunistę i komisarza? Czy wiedziała ona, dlaczego ów błyskotliwy niegdyś młodzieniec klepał biedę w małej mieścinie francuskiej? Był pan dziś wspaniały z tym swoim spokojem olimpijskim i epickim tonem obrony Rasputina i cesarzowej! Podziwiałem pana szczerze. Sergiusz Wagin broniący cesarzowej to coś niewiarogodnego! Niech mi pan wierzy i zapamięta moje słowa. Daleko pan jeszcze zajdzie.

Wagin słuchał go w roztargnieniu i nic nie mówił.

Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Wysoka sylwetka von Plena w okamgnieniu znikła w mroku. Dobiegało tylko człapanie błota pod jego stopami. Sergiusz ruszył ku Gospodzie.

## VII. KTÓŻ ODGADNIE DUSZĘ LUDZKĄ?

Doktor Oskar von Plen, wzdychając i z wysiłkiem chwytając powietrze suchymi ustami, dobrze sobie znanym labiryntem dążył ku Fu-Tien-Koo. Cała sieć krzyżujących się i biegnących w różnych kierunkach uliczek, zaułeczków, jakichś krzywych, załamujących się ostro szczelin wśród glinianych, osypujących się ścian, nisko zwisających okapów i strzech trzcinowych, była mu znana dokładnie. Szedł szybko, omijając większe kałuże, głębokie wyboje i wrosnięte w ziemię kamienie. Spoza nagłych załamań murów i rogów ślepych uliczek wynurzyły się przed nim dwa razy jakieś ciemne, pochylone postacie, lecz przyjrzawszy mu się, cofnęły się, mrużąc coś do siebie.

Wyszedł wreszcie na ulicę. Rzadkie naftowe latarnie rzucały na wyboistą jezdnię, czarne kałuże i wąskie, garbate chodniki żółte plamy skąpego światła. Tam i sam stały gromadki Chińczyków, rozmawiających półgłosem. Przyciskając się do ścian domów i płotów, gdzie biegła nieco suchsza ścieżka, przesuwały się, niby się skradając i czając, ciemne sylwetki przechodniów. Środkiem ulicy, chrapiąc i kręcąc głowami, szły wielbłądy, smagane porywczym wiatrem zimowym. Poganiacz-Mongoł, w szerokim kożuchu baranim i uszatej czapie, pędził zwierzęta z wodopoju i klnąc przeraźliwym głosem, walił je po nogach bambusowym kijem.

Von Plen, szczelnie otulając się w długi, watowany płaszcz chiński, szedł chodnikiem, tupiąc miękkimi pantoflami na grubych podszewkach filcowych, aby strząsnąć przyklepione do nich grudki żółtego, lepkiego błota. Przez szpary okiennic przenikały smugi światła z wnętrza domów i ciągnęły się przez chodnik. Nad całym tym zbiorowiskiem siedzib ludzkich płynęła niemilknąca fala dźwięków. Był to najbiedniejszy odcinek dzielnicy Czapei. Obok męki, nędzy i rozpaczy gnieździły się ich zdradliwe koicielki i opiekunki - nałóg, rozpusta i zbrodnia. W kłębowisku trzystu tysięcy istot ludzkich, wtłoczonych tu, ani jedna nie czuła się spokojną o jutro i szczęśliwą choćby radością sytości. Wiedział o tym doktor Plen i z uczuciem niepoddającym się łatwo ścisłemu określeniu, a które, zdawało się, przekształciło się w jakąś dręczącą go chciwość, wchłaniał dźwięki rozmaite. Rozróżniał w pogwarze Czapei tysiące składających je głosów, okrzyków, jęków, łkań, rżeżeń i przekleństw. Wydało mu się nawet, że pochwytuje cichy szmer ostatniego w życiu westchnienia i do westchnienia podobny szelest zropaczony, ponurej duszy, opuszczającej znękaną i zbiedzone ciało. Wyprostował się nagle,

podniósł głowę i stanąwszy w miejscu, jął się wpatrywać w ciemność, wiszącą ponad czarnymi zarysami dachów i kominów, sterczącymi tam i sam masztami, na których pod smaganiem wiatru miotwały się wściekle flagi reklamowe, skrzypiały i łomotały o słupy wiszące szyldy kupców.

Zdawało się, że w tym napięciu wzroku i słuchu zapomniał o niepokojącej go słabości z powodu braku nowej dawki trucizny, o zamierającym co chwila sercu, dziwnej, przerażającej pustce wewnętrznej i drzeniu w nogach. Zamienił się nagle w nieznany przyrząd o wrażliwości bezkresnej, w odbiornik napływających zewsząd odgłosów, które były dźwiękowym uosobieniem tych lub innych wrażeń i zjawisk, w jakiś przeczulony transformator, gdzie każdy z tych dźwięków przeistaczał się w rodzącą go realną przyczynę.

— Gehenna życia - warknął nagle. - I o nią to tyle zużyto woli, zabiegów, walki i tęsknoty!

Poruszył wargami, żując jakieś przekleństwo, i powłókł się dalej, zgnębiony i jeszcze bardziej osłabiony.

- Jedno pociągnięcie słodko-gorzkiego dymu opium, jedno tylko pociągnięcie! - wybijała takt namiętnego żądania tętniąca w skroniach krew.

Niczego już nie pragnął poza haustem dymu i chwilą samotnego skupienia. Marzył o jednym na razie zaciągnięciu się - głębokim, zagłuszającym wszystko, co - niezatrute opium - podnosiło nagle setki głów i syczało jak zaniepokojone kłębowisko żmij. Wiedział, że po pierwszym już pociągnięciu z fajki odżyje od razu, zbierze myśli i wolę, ujarzmi to, co nieproszone zbiera mu się w duszy, ilekroć nieopatrznie opuści swój kąć na pryczy w palarni lub tę izbę o dużym oknie, wychodzącym na podwórze, gdzie właściciel zakładu trucicielskiego hodował irysy, wiecznie zielone drzewka laurowe i tuje. Przypomniał sobie coś widocznie, bo potykając się na kamieniach i wądołach i ślaniając, jak tylko mógł najszybciej, zdążył do domu. Nagle jęknął i zatrzymał się pełen wahania i rozpaczliwej walki ze sobą. Mrużył oczy, poruszał wargami i kurczył palce. Wreszcie zawrócił i skierował się w przeciwną stronę. Ujrzał niebawem długi, piętrowy budynek. Na trzech masztach, ustawionych na chodniku przed frontem jego, z łoskotem uderzały o cienkie słupy miotające się na wichurze czerwone drewniane deski z czarnymi hieroglifami. Krzyczały one bezczelnie o tym, że w długiej, obszarpanej, od dawna pozbawionej tynku szopie mieści się Gospoda Czterech Stron Świata z jadłodajnią, składem, stoiskami dla wielbłądów, mułów i koni, warsztatami, niezbędnymi dla poganiaczy karawan i dostawców towarów z dalekich kresów olbrzymiego państwa, które, chociaż Chińczycy nie słyszeli o tym lub słysząc, w dumie swej i pogardzie dla obcokrajowców nie wierzyli, kurczyło się szybko i rozpadało tragicznie i beznadziejnie.

Doktor znał gospodę, gdyż nieraz już wzywano go tam, aby zlepił rozbite podczas bójek łby, wkładał wypadające trzewia w miejsca, przeznaczone dla nich, i zszywał pokrajaną brudnymi nożami skórę dzikich, wściekłych od nieludzkiego wysiłku i znużenia ludzi, obsługujących wielbłądy juczne i ciężkie, dwukołowe, skrzypiące arby z towarami. Rzucił więc okiem na ciemny parter o oknach zasłoniętych deskami i matami i oświetlone piętro, gdzie tłoczyli się mieszkańcy zajazdu w dusznych izbach, przegrodzonych dwoma rzędami prycz, lecz nie zatrzymując się i nie zwalniając kroku, szedł dalej.

Uważnie rozglądał się wokół i spostrzegł wkrótce niezwyklego w tej dzielnicy przechodnia. Człowiek ten, w ciepłym, kraciastym palcie i miękkim kapeluszu filcowym, nie wynurzając się z cienia, w którym ginęła przeciwległa strona ulicy, chodził, uważnie przyglądając się Gospodzie i ludziom, wchodzącym i

wychodzącym z czarnej czeluści na oścież rozwartej bramy. Minąwszy zajazd, Plen przeszedł na drugą stronę, aby z bliska przyrzeć się nieznanemu. Mijając go po chwili, spostrzegł jego okrągłe, biegające oczy, wydęte, mokre wargi i mięsisty, krogulczy nos.

Żyd! - pomyślał doktor i nieznaczny uśmiech przemknął mu koło ust. - Tak, to jest ten sam, o którym wspominała pani Somowa. Teraz rozumiem, dlaczego Wagin wolał krążyć w sieci zaułków niż iść zwykłą drogą. Widocznie podejrzewał, że ten Chackeles będzie tu na niego czatował? W jakąż to jednak grę wdał się ten Wagin? Zuchwały jest i stanowczy - wiem to już z jego opowiadania, ale żeby tak od pierwszych niemal kroków w Szanchaju zaczynać jakieś sztuki tajemne? Czym się to wszystko skończy? Może jednak lepiej będzie, jeżeli uprzedzę go?

Chwiejnym krokiem przeciął znów ulicę i znalazłszy się na dziedzińcu Gospody, po skrzypiących schodkach wszedł do jadłodajni, a nie znalazłszy tu tego, kogo szukał, ruszył w głąb podwórza, przeciskając się pomiędzy zwierzętami pociągowymi i stosami złożonych towarów. Koło studni ujrzał Miczurina. Olbrzym, wyciągnąwszy kubek zimnej wody, pluskał się w nim, prychnąc głośno.

- Lejtnancie! Za chwilę ma tu do ciebie przyjść Wagin, powiedz mu.

On już przyszedł! - parsknął Miczurin. - Czekaj na mnie w mojej norze. Muszę jednak otrzeźwieć nieco. Wczoraj miałem ciężką robotę, a potem...

Gwizdnął przeciągle i wykrzyknął z udanym patosem:

- Wino, hazard, kobiety!

- No, no, no! - mitygował go Plen. - Dobrze już, dobrze! Powiedz natychmiast Waginowi, że jego gość dzisiejszy mocno podejrzanie czai się w pobliżu Gospody.

- Dobra, zamelduję! - zamruczał Miczurin lodowatą wodą zlewając sobie rozczochraną głowę. - Ale cóż to za heca?

- Nie wiem - odparł doktor. - Zapewne dowiesz się sam wszystkiego od Wagina.

Skinął przyjacielowi ręką i poszedł ku bramie. Mógł teraz, nie zatrzymując się już nigdzie, iść do domu. Siły opuściły go zupełnie. Szedł, opierając się o ściany domów. Dobrnął w końcu. Wdychając chciwie gęste i gorzkie od dymu powietrze palarni, padł na prycę. Drżącymi rękami zapaliwszy lampkę, rozgrzał nad nią sporą kulkę brunatnej smoły opiumowej, szybko włożył do grubej fajki i pociągnął z niej dwa razy. Długo nie wypuszczał dymu, leżąc na boku i wpatrując się w nikły płomyk olejnej lampki, drgający w okrągłym kloszyku z grubego szkła. Bładość szybko ustępowała z chudej twarzy doktora, w oczach zapalały się isierki zadowolenia, na pięknych ustach wykwiłał uśmiech rozkoszny.

Po chwili poruszył się żwawo i wstał, szepcząc do siebie żartobliwie:

- Dość na teraz! Dość! Do pracy, doktorze von Plen! Do pracy! Melduję, że pacjenci czekają od dawna!

W korytarzu obmył sobie twarz, zwilżył włosy i obciągnąwszy kurkę, wszedł do oficyny, gdzie miał swoje ambulatorium - muzeum nędzy i zbrodni, jak je dosadnie określał doktor Oskar von Plen. W małej sieni ujrzał kilka skulonych postaci kobiecych. Na twarzy lekarza pojawił się uśmiech lekko ironiczny, a może to cichy smutek nadał mu taki wyraz? Stosował go przede wszystkim do samego siebie, i to za każdym razem, gdy wchodził do swojej lecznicy przy palarni. Nie mógł wyzbyć się tej

ironii czy smutku, bo nieodzownie przypominał sobie w takiej chwili swój gabinet i klientelę w Rosji. Robił wówczas wspaniałą karierę, w której dopomagali mu bliżsi i dalsi krewniacy - liczni baroni kurlandzcy, zajmujący stanowiska przy dworze i rządzie. Co prawda Plen był z nimi związany luźno, pochodząc z niezamożnej szlachty niemieckiej, od dawna w Kurlandii osiadłej i poświęcającej się wyłącznie wolnym zawodom lekarzy, adwokatów, rejentów i inżynierów. Jednak wszystkie rody Niemców nadbałtyckich były związane ze sobą tradycją przeszłości i przyszłości. W dawnych czasach zdobyły one i broniły tej ziemi, walcząc z Moskwą, Litwą i Polską o prawo germanizacji całego kraju; w przyszłości zaś miały uczynić Rosję powolnym narzędziem w zaborczych rękach Berlina i rzucić na jej najżyźniejsze i najbogatsze ziemie fale wojskowych osadników niemieckich, przesiąkniętych światowładczym instynktem Drang nach Osten. Toteż szlachta nadbałtycka trzymała się mocno, nie zrywała pomiędzy sobą więzi i protegowała swoich członków na wszystkich polach.

Młody lekarz - Oskar von Plen, syn skromnego ziemianina z okolic Libawy, po ukończeniu uniwersytetu w Dorpacie i praktyki w Berlinie, za poradą dalekiego a możnego kuzyna - Roberta Ikskula von Hildebrandta, szambelana dworu cesarskiego, przybył do stolicy i rozpoczął praktykę. Krewniacy i znajomi zrobili mu potężną reklamę jako asystentowi pewnej znakomitości berlińskiej, a ponieważ poza tym wszystkim młody lekarz posiadał rzeczywiście nieprzeciętne zdolności i, co miało większe jeszcze znaczenie, umiejętność wyczuwania ludzi i wywierania psychicznego wpływu na pacjentów, na horyzoncie petersburskim zajaśniała nowa gwiazda - doktor medycyny Oskar von Plen, nadworny lekarz wielkich książąt Leuchtenberskich i Meklemburg-Strelitz. Zastąpił jako akuszer i neuropatolog, ale wzywano go często i w innych też wypadkach, aby uspokoił pacjenta i dodał mu energii do zwalczania trawiącej go choroby. W najwyższych sferach towarzystwa petersburskiego żadne konsylium nie mogło się odbyć bez udziału doktora Plena. Ubiegano się o niego, rozrywano na wszystkie strony. Nużyło to niewymownie młodego lekarza. Z natury skromny i skłonny do kontemplacji, czuł się źle, zmuszany do bezwładnych i bezplanowych czynności i bywania na zebraniach towarzyskich, gdzie go ciągle zapraszano. Wreszcie postanowił zerwać z tak nieodpowiednim dla siebie trybem życia. Na razie zamierzał wyjechać do Wiednia na studia do kliniki chorób nerwowych, gdy nagle nawinęła mu się nieoczekiwana sposobność odbycia znacznie bardziej nęcącej go podróży.

Jeden z admirałów - Niemców kurlandzkich, von Brandt, zaproponował mu zastępstwo pewnego chorego lekarza na krążowniku Aurora, który miał odbyć ćwiczebną podróż dookoła świata. Na pokładzie tego okrętu Oskar Plen przybył do Szanchaju, gdzie Aurora, doznawszy poważnej awarii, musiała długo stać w doku. Lekarz, korzystając z wolnego czasu, odbył podróż po Chinach i w małym miasteczku Czung-Wang ugrzązł na tak długo, że zapomniał zupełnie o Aurorze, która odplynęła do Nagasaki bez swego lekarza, nie czując zresztą zbyt dotkliwego braku akuszera i neurologa specjalisty, najmniej potrzebnego dla tęgich marynarzy.

Na usprawiedliwienie roztargnionego Plena należy wspomnieć, że Czung-Wang służyło z dwóch osobliwości. Po pierwsze - istniało w nim najstraszniejsze w Chinach więzienie, częściowo opisane przez Oktawiusza Mirbeau w jego Ogródzie udręczeń, a istniejące od dwóch tysięcy lat w swej pierwotnej grozie; po drugie, miasteczko to - ustronne, oddalone od wszystkich „wielkich dróg”, obrali sobie za siedzibę najstawniejsi lekarze, poczynając od Ko-su-huna sprzed tysiąca pięciuset lat. Dlaczego właśnie w tak nieodpowiedniej pozornie mieścinie pracowali uczeni lekarze i niektórzy przyrodnicy, przez ogół chiński, dwór i zacofaną naukę oficjalną źle zresztą widziani? Zagadkę tę rozwiązał von Plen, dowiedziawszy się, że uczeni z strasznego więzienia hojną ręką czerpali martwy,

a nawet żywy materiał ludzki dla doświadczeń swoich i badań. W Czung-Wangu od lekarzy chińskich i przybywających z Tybetu i Mongolii uczonych łamów - turdzy, europejski lekarz przejął metody diagnozy, sposoby leczenia, szczególnie jednak praktykę hipnotyzera. Tam to zapoznał się Plen z magnetyzmem ludzkim, oddziaływującym nie tylko na układ nerwowy, ale jeszcze potężniej na funkcje gruczołów, wydzielających te lub inne hormony, o których wówczas medycyna Zachodu prawie nic jeszcze nie wiedziała, a o czym tybetańscy i chińscy lekarze mówili, jak o rzeczach dawno już zbadanych i sprawdzonych. Plen powracał z Chin do Petersburga na krążowniku Szmaragd, gdzie w roku tym służył młody oficer marynarki - Miczurin, powracał zaś w innym zupełnie nastawieniu psychicznym, cały pod wrażeniem nieznanymi, utajonymi prawdami, wykrytymi przez dziwnych, milczących ludzi Wschodu, nieszukających sławy, rozgłosu ani majątku. Przejęty nowymi ideami, mimo że krewni i przyjaciele odradzali mu ten krok, Plen poczynił niezbędne starania i przy rozległych stosunkach swoich z łatwością przeniósł się na stałą posadę lekarza do floty, stacjonowanej na Dalekim Wschodzie. Mieszkając we Władywostoku, nawiązał bliskie stosunki z Chińczykami i Koreańczykami, a poznawszy dobrze ich język, przejął też jednocześnie tak bardzo w tych krajach rozpowszechniony nałóg palenia opium. Mając jednak siłę woli, palił systematycznie i ostrożnie, uważając codzienną dawkę trucizny za podniecie nerwową. Palił otwarcie, wieczorem, po kolacji, dowodząc, że jest to mniej szkodliwe niż cygara, koniak, arak i likiery. Doktor Plen był lubiany przez wszystkich, a nawet przez prostych majtków, chociaż ci - straszliwie maltretowani przez ciągle znęcających się nad nimi oficerów - nienawidzili wszystkich na statku. Taki stan rzeczy znalazł swój epilog w krwawym 1917 roku, gdy to załogi okrętów wojennych niemal w pień wycięły lub wyrzuciły za burtę swoich oficerów. Na krążowniku Plena, w owych trwożnych czasach po powrocie spod Salonik stojącym na redzie Kronsztatu, straszną śmiercią zginęli wszyscy - od dowódcy do najmłodszego miczman. Oszczędzono jedynie lekarza okrętowego, gdyż, jak zawyrokowało kolegiálny sąd marynarski, był on ludzki dla załogi. Plen stał się mimo woli świadkiem okrutnej rzezi i ponurych aktów zemsty osobistej, co wywarło na nim głębokie wrażenie i spowodowało silny wstrząs nerwowy. Stan jego zdrowia pogorszyły wieści o nowych rzeziach w Libawie, Rewlu, Wyborgu, Odessie i Batumie, gdzie zginęło wielu jego przyjaciół i krewnych. Jedyne ukojenie dawało mu w tym czasie opium, do którego uciekał się już znacznie częściej. Łagodny, zamyślony, spokojny zawsze doktor nienawidził rewolucji i jej krwawych sprawców. Z uczuciami swymi nie zdradzał się jednak przed nikim i po długiej, opieszale kierowanej przez niedoświadczonych bosmanów podróży, dotarł wreszcie na pokładzie wysłanego na Wschód pancernika do Szanchaju, gdzie okręt zmuszony był stanąć na kotwicy dla naprawy steru, uszkodzonego przez sztorm.

Pod jakimś pozorem wyszedłszy na brzeg, von Plen nie powrócił już więcej na rewolucyjny okręt, a w dzień jego odpłynięcia dawny bosman, podniesiony do godności dowódcy pancernika, otrzymał od doktora list, napisany w obraźliwym i szyderczym tonie, zdzierającym sztuczny urok z nieokrzesanego dowódcy, jego rozpanoszonej i niesfornej załogi - zbuntowanych chamów i niewolników, z proletariackiej Rzeczypospolitej Lenina, i z różnych innych świętości, wtedy jeszcze świeżych i nietykalnych. List ten doprowadził bosmana dowódcę do takiej wściekłości, że towarzysza, który podał mu ten list, sprzął po opasłym pysku lepiej, niż to czynili niegdyś oficerowie cesarskiej marynarki wojennej. W pierwszych dniach rewolucji październikowej doktor Plen przekazał swoje oszczędności do jednego z banków szanchajskich, więc teraz wynajął mieszkanie w pobliżu hotelu Astor, uzyskał prawo praktyki lekarskiej i począł zdobywać sobie klientelę. Wkrótce jednak doszły go wieści hiobowe, że włościanie napadli na dwór jego ojca. Stary Plen i młodszy brat doktora, student prawa - Artur, bronili się jak lwy, pokrywwszy podwórze trupami biegnących do szturmów Łotyszów,



rozagitowanych przez komunistów. Jednak cóż mogli znaczyć ci dwaj odważni przeciwko setkom pijanych od krwi i chciwości napastników? Ojciec i syn zginęli więc pod siekierami i kłonicami chłopów okolicznych i robotników portowych; matkę Oskara Plena utopiły w stawie jakieś rozjuszone, wściekłe baby; obie siostry - młode panienki zostały zgwałcone przez dwóch Żydów-agitatorów i oddane na poniewierkę rozbewziewionemu tłumowi, który, nasyciwszy się hańbą baronówien, wrzucił je do palącego się już dworu. Wtedy to po raz pierwszy załamał się Oskar von Plen i z rozpacz i nienawiści odchodząc od zmysłów, szukał już w opium nie tylko podniety, lecz i całkowitego zapomnienia i ucieczki od rzeczywistości. Była to ucieczka w nicłość. Szybko postępujący nałóg i niezwykle silne działanie trujących alkaloidów na organizm pozbawiły go niebawem klienteli. Pieniądze rosyjskie, leżące w banku, straciły wkrótce swoją wartość. Otumaniony ciągle, nieprzytomny Plen znosił do palarni na Fu-Tien-Koo ostatnią swoją majątność i zapewne zginąłby w tej speluncie lub o głodzie i chłodzie błękałby się po mieście, aż dopóki nie zmarłby gdzieś na ulicy lub na ławce, zakradłszy się z wieczora do parku. Nauczył się już tego od zawodowych żebraków i włóczęgów tubylczych, którzy lubili tego mauza za to, że biegle i pięknie mówił po chińsku, znając kilka narzeczy; umiał palcami wyrywać bolące zęby, a wzrokiem i lekkim dotykiem długich palców uśmierzać tak rozpowszechnione w Chinach bóle głowy, które były nieuniknioną konsekwencją palenia opium. Z pomocą Plenowi przyszedł jednak najnieoczekiwanej szczęśliwy dlań wypadek.

Właściciel palarni na Fu-Tien-Koo, kupiwszy u jakichś nieznanymi osobników sporą partię opium, został następnie przez nich napadnięty. W walce dostał cios nożem w bok. Jakiś przechodzień poznał leżącego w kałuży krwi Chińczyka i zaalarmował jaomyrń. Policja, pobierająca stały haracz od zakazanego przedsiębiorstwa, z którego oprócz niej ciągnęli zyski gubernator, radni miasta i sędziowie, przywiozła umierającego, nieprzytomnego Chińczyka do domu. Powstał zgiełk, który obudził śpiącego na pryczy Plena, zatrutego dużą dawką opium. Oprzytomniawszy, wszedł do mieszkania właściciela i objaśniwszy, że jest lekarzem, namówił rodzinę, aby oddała chorego pod jego opiekę. Ranny niespodziewanie prędko wyzdrowiał i nie miał słów dla wyrażenia doktorowi swej gorącej wdzięczności. Wreszcie, skombinowawszy, że jego dobroczyńca, z takim zapałem oddający się zgubnemu nałogowi, długo nie pociągnie, ofiarował mu bezpłatny, dożywotni kąk na pryczy, osiem pełnych porcji opium dziennie, pożywienie i ubranie - istotnie chińskie, znoszone już poprzednio przez olbrzyma - opasłego szwagra właściciela palarni. Wkrótce przebiegły i praktyczny Czeng-Si zrozumiał, że zrobił na Pienie świetny interes. Lekarz bowiem umiał w sposób niepojęty doprowadzać do przytomności umierających na paraliż serca klientów palarni i to tak gruntownie, że ci odnajdywali w sobie nawet siły, aby opuścić zakład, ujsć kilkadziesiąt kroków i dopiero na ulicy paść bez życia. Zemdlonych Plen cucił radykalnie w ciągu paru minut, a znów tych, którzy wpadali nagle w szat, uspakajał wzrokiem i obezwładniał, po czym dwaj tędzy posługacze bezkarnie mogli już wyrzucić niepożądanego klienta na zbity łeb. Pewnego razu, gdy na sofie w znajdującej się w drugiej połowie domu luksusowej izbie niespodziewanie zakończył życie znany na Nanking Road Włoch, eksporter herbaty, a rodzina energicznie upomniała się o niego, nastawszy na palarnię i jej właściciela angielską policję i sędziego śledczego, Plen przewidział tę możliwość i uprzedził o tym swego przyjaciela. Ten w ciągu kilku godzin zmienił lokal w skromny dom zajezdny, z pryczami dla noclegów, doktor zaś z pomocą siarki i chloru wytepił charakterystyczną, wszystkim na Wschodzie znaną, cikliwą, słodko-gorzka woń trującego dymu. Policja nie znalazła nic podejrzanego w zamaskowanej na poczekaniu palarni, Plen zaś, przedstawiając się sędziemu jako lekarz dyplomowany, dowiódł, że śmierć nastąpiła w sposób naturalny od przewlekłej dusznicy, podczas gdy zmarły kupiec szukał w zajęzdzie przybyłego podobno z południa plantatora. Czeng-Si został uratowany i najzupełniej

usprawiedliwiony, tym bardziej że cały jaomyń przysięgał, iż, jak długa jest Fu-Tien-Koo, żadnej palarni od cesarskiego jeszcze dekretu przeciwko opium z roku 1903 nigdy na niej nie wykryto. Eksportera wyeksportowano z lokalu i w dwa dni potem chowano; w kondukcje pogrzebowym zwracał na siebie powszechną uwagę cudzoziemców smutny, poważny Chińczyk w tradycyjnych białych szatach żałobnych. Był to właściciel palarni, w której kupiec włoski wyzionął ducha, wypaliwszy jedną po drugiej trzy porcje trującej smoły makowej.

Później wyjaśniły się inne możliwości eksploataowania Plena. Stało się to wtedy, kiedy zaczęli przychodzić do niego chorzy po porady i ratunek: Czeng-Si, namyśliwszy się poważnie i wszechstronnie, zaproponował Plenowi założenie małej lecznicy dla przychodnich chorych. Opuszczający się coraz bardziej na dno bezwładowi woli Plen uchwycił się tej myśli jako deski ratunku, spodziewając się, że ulubiona praca, być może, podźwignie go z ostatecznego i uświadomianego wyraźnie upadku, dopomagając mu do wyrwania się z władzy nałogu. Istotnie praca ustaliła na razie pewien ład w jego życiu i nawet uregulowała nabyte już nawyki nałogu. Zaczął palić określone ściśle dawki w surowo przestrzeganych odstępach czasu i nie nadużywał nadmiernych porcji. Wkrótce jednak powrócił na nowo do dawnego trybu życia. Złożyły się na to dwie przyczyny. Przede wszystkim bezsenność i szalone bóle głowy, pozbawiające go panowania nad sobą, kiedy poczynął jęczeć, krzyżeć, wic się w męce nieznośnej. Jako lekarz rozumiał, że jest to objaw rozstroju w procesie oddechowym i zwapnienia mózgu, przyspieszonego i spotęgowanego przez truciznę - zwykły los i pospolity koniec palaczy opium. Poza tym istniała jeszcze jedna przyczyna, z praktyką lekarską Plena ściśle związana.

Oprócz Chińczyków, przychodzących do lekarza po pomoc w wypadkach reumatyzmu, gruźlicy, febry, chorób skórnych i przede wszystkim wenerycznych, w poczekalni z osobnym wejściem od strony bocznego, wąskiego zaułka poczęły się przewijać na razie pojedyncze, a wkrótce po kilka naraz kobiet europejskich - przeważnie Rosjanek. Spieszyły tu zgnębione i zażenowane w dwu wyłącznie wypadkach. Młode kobiety - dziewczyny i mężatki, dla których na emigracji pozostały tylko trzy drogi: śmierć głodowa, samobójstwo lub wykorzystanie swego młodego i powabnego ciała, uciekały się najczęściej do samobójstwa. Znikały nagle z domu i nie powracały już nigdy. Ginęły w brudnych, zarażonych nurtach Huangpu i jeszcze bardziej zanieczyszczonego kanału, gdzie na wybrzeżach stały wspaniałe rezydencje konsulów, więzienie, świątynia Nieba, szpital i kilkupiętrowe, znane każdemu Europejczykowi, Amerykaninowi i bogatemu Chińczykowi lub Japończykowi pałace miss Margaret, madame Elise i innych dostawczyń młodego ciała kobiecego. W obfitości bowiem przepełniało ono to targowisko międzynarodowe, nieuznające żadnej moralności i innego prawa, poza bezwzględną ochroną bezpieczeństwa białej rasy, bronionej przez konsulów, okręty wojenne, zbrojnych kawasów i przekupne władze chińskie, zdeprawowane przez przybyszów. Desperatki rzucały się również często pod koła pociągów, a rozszarpane przez nie, obojętnymi, szklącymi się oczami patrzyły potem na chińskich robotników z przeraźliwym, drapieżnym śmiechem oglądających ich skrwawione, nagie ciała i wykrzykujących ohydne, sprośne słowa. Takich kobiet było najwięcej, ale były też i inne. Po długim i beznadziejnym głodowaniu, spostrzegłszy, że wiotczeje już im skóra, wędzną piersi i biodra, a zmarszczki cienką siatką zasnuwają powieki i skronie, przychodziły do smutnego wniosku, że znika przed nimi ostatnia możliwość ratunku. Wtedy to rozpoczynało się dla nich nowe, nieczyste, wstrętne, po tysiąc razy przeklinane życie. Gdzieś w modnej kawiarni lub na dancingu zawierały znajomość z angielskimi i amerykańskimi clerckami lub kokietowały zblazowanych urzędników konsularnych, a nawet - europeizowanych młodzieńców o żółtych twarzach i skośnych oczach, w

nadziei, że urzędzą się wreszcie, że potrafią przywiązać do siebie przygodnych kochanków, wzbudzić w nich jakieś głębsze dla siebie uczucie i, niestety, myliły się wszystkie - wszystkie bez wyjątku.

Anglicy i Amerykanie z całą brutalną prawdomównością i lekceważeniem bezbronnej istoty ludzkiej kupowali je sobie na krótszy lub dłuższy czas, nie zadając sobie trudu, a może nawet nie umiejąc wnikać w ich przeżycia i zohydzone przez nielitościwą rzeczywistość zalety serca, duszy i umysłu, gdy zaś mijał czas i ostrość pierwszych uniesień, gdy przytępiało się zmysłowe zainteresowanie, dawali zlecenie jednej z licznych rajfurek na wyszukanie nowej, świeżej przyjaciółki. Nie powracali już nigdy do dawnej kochanki i wkrótce przestawali ją poznawać i nawet kłaniać się przy spotkaniu. Bo też i po co? Nie myśleli przecież nigdy o znoszonej rękawiczce, poplamionym krawacie lub o innym przedmiocie codziennego użytku, nabytym niegdyś i wykorzystanym całkowicie. Żółci zaś dżentelmeni wykańczali ostatecznie karierę częściowo chociażby niezależnej kobiety. Z każdego słowa i ruchu Chińczyków i Japończyków biła zimna pogarda dla tych białych kobiet, dostępnych dla nich, żółtych samców, płacących dolarami i jenami. Zachowywali się też z nimi jak z niewolnicami, które ich dalecy przodkowie wlekli za sobą po podbojach dalekich, wrogich krajów. Rozmawiali z nimi i postępowali z dziką brutalnością i rozpasaną arogancją. Publicznie całowali je, szczypali boleśnie i targali za włosy, obnażali je znienacka przy drażniącym, chrapliwym śmiechu - zupełnie takim samym, jaki zgrzytał na plancie kolejowym, gdy chińscy robotnicy znajdowali białą kobietę, zabitą przez pociąg, i patrzyli drapieżnie na jej nagie ciało skrwawione i poszarpane.

Związek białej kobiety z żółtym kochankiem stawał się dla niej wyrokiem, pozbawiającym ją na zawsze klienteli angielsko-amerykańsko-francuskiej. Stawała się towarem wyklętym i pogardzanym przez białych konsumentów. Zamykały się przed nią drzwi najwykwintniejszych lokali rozrywkowych. Niedługo już potem bywała kariera kobiet, w ten sposób walczących o życie. Dwa miesiące, najwyżej pół roku, bo gdy już przeszły przez kilka rąk, każdy mężczyzna z własnego doświadczenia lub z opowiadań przyjaciół znał je we wszystkich najtajniejszych szczegółach. Siadywały więc samotnie w kawiarni i na sali drugorzędnych restauracji nocnych, próżno czekając na amatora i ponuro myśląc o niezapłaconych rachunkach za mieszkanie i stroje. Cóż miały robić te tragiczne biedaczki? Nadchodziła chwila, gdy zadzwoniwszy do pałaców miss Margaret, madame Elise lub mademoiselle Lisette, stawały się mieszkankami ich tajnych lupanarów, nie wiedząc nawet o tym, że czeka na nie niebawem nieunikniona podróż do Buenos Aires, Limy i pięknego Rio - do tych central handlu białymi niewolnicami, z jego standardami, taksami i nieubłaganym kodeksem, w krótszym lub dłuższym terminie prowadzącym nieodwołalnie do ohydnych barłogów ostatecznej rozpusty i nędzy po portach całego świata, aż oprzeć się miały w trzciniowych chatkach w Somali, Grand Bassamie, czatować na spóźnionych przechodniów w szczelinach potężnych murów Kasby Algieru, Bejrutu i Mulej-Abdallah - pogardzanej i zakazanej dzielnicy Fezu, gdzie jeden mały tylko krok oddzielał ją od śmietnika za miastem.

Takie to pacjentki szukały pomocy lekarskiej u doktora von Plena. Jedne z nich przychodziły z prośbą, aby zwolnił je od ciąży, bo cóż poczną w tym stanie te nędzarki, sprzedające swoje ciało i miłość. Przerwa w ich czynnościach zawodowych groziła przecież głodem i śmiercią. Inne nabawiły się wstrętnej choroby wenerycznej; były i takie, które wskutek wyczerpania i kilkakrotnych sztucznych poronień zapadły na gruźlicę lub przewlekłe choroby kobiece. Doktor von Plen zmuszony był wysłuchiwać szczerych i długich spowiedzi pacjentek. Wiało od nich grozą i ostateczną nędzą, która nie miała już nawet sił do rozpaczki i miotari podeptanej duszy, lecz zastygła w zimnej, niezwalczonym niczym nienawiści i bezsilnym pragnieniu zemsty. Plen pomagał wszystkim, rozumiejąc dobrze, że na

nic nie zdałyby się jego upomnienia, dobre a nieziszczalne w tych wypadkach rady i słowa częściej pociechy. Robił więc poronienia, leczył lub raczej zalecał różne choroby, dodawał otuchy, działając na biedne istoty przede wszystkim swym potęgującym się z dniem każdym wpływem hipnotycznym i zdobywając ich zaufanie darem jasnowidztwa, gdyż wewnętrznym wzrokiem zrozpaczonej i podnieconej trucizną duszy otwierał najgłębsze tajniki kobiet, staczających się coraz niżej i szybciej na dno upadku bez kresu i bez wyjścia.

Pewnego razu, a było to przed rokiem, ujrzał w poczekalni pacjentkę - dziecko prawie, bo miała zaledwie szesnasty rok. Dziwna to była istota! Tak jeszcze młoda, a już zbuntowana do ostatnich granic! Uciekła przed bolszewikami do Szanchaju ze znajomymi, którzy wkrótce zmarli w szpitalu chińskim, zaraziwszy się w drodze tyfusem plamistym. Dziewczynka, pochodząca ze znanej arystokratycznej rodziny, od której oderwała ją burza rewolucyjna, po długiej i beznadziejnej głodówce usłuchała wreszcie rady jakiejś starszej, już doświadczonej osoby, i wstąpiła do słynnego w Szanchaju Pawilonu Nenufarów. Był to pomysłowo zorganizowany dom rozpusty, dostępny wyłącznie dla najzamożniejszych ludzi spośród kupców i urzędników chińskich. Przyjmowano tam tylko najmłodsze białe dziewczyny, a mogły one korzystać z pobytu w Pawilonie wyłącznie do czasu, aż jakiś nabab skośnooki i żółtolicy potrafił zdobyć za zwykle bardzo wysoką sumę prawo pierwszej nocy. Klient, płacąc hojnie wygórowane ceny za wstęp, poczęstunek i czas, spędzony w Pawilonie Nenufarów, musiał jednak umieć zdobyć obraną przez siebie dziewczynę.

Wiera (tak się nazywała pacjentka Plena) po miesiącu uległa ubiegającemu się o jej względy i miłość bankierowi. Był to bogacz, o którym mówiono, że mógłby wybrukować srebrnymi płytkami drogę z Kałganu do Szanchaju, człowiek trzydziestopięcioletni, elegancki, obyty, często bywający w stolicach europejskich, dowcipny i wesoły. Po długich zabiegach i błyskotliwych, a podstępnych obietnicach udało mu się nie tylko pozyskać sympatię niedoświadczonej dziewczynki, ale nawet wzbudzić poważniejsze uczucie Wiery, olśnionej wystawnością życia i pochlebionej uwielbieniem adoratora. Po upadku nie ujrzała już więcej nigdy rozkochanego w niej bankiera. Zaspokoiwszy swoją zachciankę, zniknął, by z czasem powrócić do Pawilonu po nowy nenufar, gdyby jakiś niezwykle cenny okaz rozkwitnął w tym nieczym zakładzie. Właściciel jego, bardzo delikatnie i bez zatargu wypłaciwszy swej ofierze dwieście dolarów chińskich, pozbył się jej natychmiast. Nie była już bowiem towarem godnym jego przedsiębiorstwa. Wiera, zrozpaczona i zgnębiona, w podświadomym przeczuciu jakiejś klęski, zamieszkała sama. W kilka tygodni potem zjawiła się w poczekalni Plena, skulona, nieszczęśliwa i zawstydzona. Jąkając się i płacząc, opowiedziała mu swoje krótkie dzieje i zaśnaniając twarz rękami, błagała lekarza, aby ratował ją, gdyż dzieje się z nią coś strasznego i ohydneho. Doświadczony lekarz, jakim był Oskar von Plen, przyglądając się jej bacznie, domyślał się już, z jakiego rodzaju pacjentką będzie miał do czynienia. Nie pomylił się oczywiście i gdy po długich namowach pozwoliła się zbadać, przekonał się, że mała, nieszczęśliwa Wiera została zarażona luesem w najgorszej postaci, spotykanej wyłącznie w Chinach i Japonii. Uporczywie borykał się doktor Plen z nieustępliwą chorobą, która z błyskawiczną szybkością niszczyła młody organizm, nieodporny ani na zarazki jej, ani na stosowane w tych wypadkach środki zaradcze. Dziewczyna ginęła, bo rozkład postępował niezwykle gwałtownie. Ratunku dla niej nie było, chyba, gdyby chora mogła gwałtownie zmienić klimat. O tym jednak nie mogło być nawet mowy. Pieniądze Wiery wyczerpywały się, chociaż Plen wymógł na Chińczyku, właścicielu palarni, aby nie żądał od niej zapłaty za leczenie. Plen, przewidując nieuniknioną katastrofę, zmusił się do wielkiego w jego stanie wysiłku. Udał się pewnego razu do mieszkania Czeng-Si i począł go prosić o pożyczanie mu pieniędzy, potrzebnych na bilet okrętowy dla Wiery. Żądana suma wydała się Chińczykowi zbyt wygórowaną. W jego handlarskiej,

kombinatorskiej głowie nie pokrywała się ona możliwością odrobienia jej przez Plena, który wyglądał nędznie i coraz częściej leżał na pryczy z fajką w ustach, pochylony nad lampką i otoczony kłębamii ciężkiego dymu. Mógł przecież lada dzień skończyć swoją wędrówkę życiową. Czeng-Si wymówił się złymi interesami i nie dał ani jednego czocha.

Plen nie bawił się w iluzje co do swego chlebobdawcy, więc, wbrew swemu zwyczajowi, powlókł się na miasto, aby odwiedzić dawne i nowe pacjentki i wyżebrać od nich ofiary na uratowanie Wiery. Każda coś złożyła na rzecz chorej koleżanki, lecz same z trudem z dnia na dzień przebijały się przez życie, nie miały żadnych oszczędności, więc zebranej przez Plena sumy nie starczyłoby nawet na ćwiartkę biletu. Wtedy lekarz postanowił wzruszyć sumienie bogatych stręczycielek i handlarzy żywym towarem. Znał tę bandę z opowiadań kobiet, leczących się u niego, odwiedził więc wszystkich i nikogo nie pominął. Byli to przeważnie angielscy, wiedeńscy i portugalscy Żydzi i Żydówki, doskonale zakonspirowani niewinnymi przedsiębiorstwami, jak salony mód, instituts de beaute, zakłady fryzjerskie, sklepy z artykułami toaletowymi, bronieni eksterytorialnością obcych poddanych i paragrafami sławetnej umowy „otwartych drzwi”. Właściciele i właścicielki tych przedsiębiorstw, dowiedziawszy się, co skłoniło tego dziwnego człowieka kołatać do ich sumienia, oburzyli się niewymownie i zaskarżyli go w swoich konsulatach o obrazę czci i honoru. Konsulowie wytoczyli bezprawnemu lekarzowi rosyjskiemu sprawę w trybunale szanchajskim. Zawdzięczając jedynie temu, że Plen znał dobrze język chiński i bronił się z całą szczerością i prawdomównością, zasądzony został tylko na dwa tygodnie więzienia. Nie odsiadywał jednak kary, gdyż po niedawnych zaburzeniach antyjapońskich więzienia nabite były aresztowanymi jak beczki śledziami. Ostatnim aktem wystąpienia Plena w sprawie uratowania życia Wiery było skomplikowane i godne najlepszych detektywów odnalezienie bankiera - winowajcy choroby dziewczyny, chociaż prawdziwe imię jego i nazwisko nie było jej znane. W tej wyprawie bezinteresownie i energicznie pomagał doktorowi Miczurin. Dotarłszy wreszcie do bankiera, zostali wraz z nim w jego gabinecie, przy czym baczną na wszystko i doświadczony lejtnant strategicznym manewrem odciął bankierowi tyły, pozbawiając go możliwości zrobienia użytku z sygnałów alarmowych. Ani Plen, ani nawet Miczurin nie przewidzieli jednak pewnej okoliczności, a mianowicie konstrukcji wewnętrznej współczesnych gmachów chińskich. Ledwie bowiem oznajmili przerażonemu bankierowi, z czym przyszedli do niego, prosząc go o pieniądze na wyjazd zniszczonego przezeń nenufara i grożąc w przeciwnym razie nieprzyjemnym skandalem, w którego możliwym przebiegu i rozgłosie porywczy i krewki Miczurin mocno przeholował, Chińczyk, uśmiechając się obleśnie i kłaniając się służalczo, zbliżył się do kasy ogniotrwałej, aby natychmiast złożyć na ręce czcigodnych i litościwych dżentelmenów żądane przez nich pięćset dolarów dla biednej, pięknej miss, chociaż, jak przysięgał uroczyście, nigdy jej w życiu na oczy nie widział. Stanąwszy przy kasie, wzrokiem zmierzył odległość, dzielącą go od podejrzanych gości i nagle pchnąwszy nogą niewidzialne, jedwabną tapetą oklejone drzwiczki, zniknął za nimi.

Posłyszawszy suche klaśnięcie zatrasku, Plen spojrzął na Miczurina, stojącego z wybałuszonymi oczyma.

- No, bracie, zwiewajmy! - ochłonąwszy ze zdumienia, mruknął lejtnant. - Nie wiem, czy zdążymy, bo zapewne ten skośnooki satyr już alarmuje policję i swoich clercków!

Udało im się jednak godnie i dość spokojnie przedelfilować przez ogólną salę banku, po czym, wyszedłszy na ulicę, śmignąć w pierwszą boczną i znanymi dobrze Miczurinowi labiryntami łączących się z sobą dziedzińców domów chińskich zniknąć w tłumie, zgromadzonym na jakimś

placu, gdzie odbywała się licytacja starych gratów, ubrania i zużytych do ostatniej śruby aut ciężarowych.

Na tym utknęły wszystkie zabiegi Plena, usiłującego uratować życie Wiery. Miczurin, widząc rozpacz przyjaciela, namyślał się długo, aż pewnego dnia zamruczał do niego:

- Jeżeli już wpadłeś w taki beznadziejny sentyment i nie jesteś zdolny do myślenia o czymś innym, mogę uczynić coś dla ciebie, stary romantyku.

Plen podniósł na mówiącego smutne oczy.

- Posłuchaj, eskulapie! Czuję, że jest w tym coś poważnego. Znam tu paczkę wisielców, którzy dawno kuszą mnie i namawiają, aby na Wan- -Fo-Lia włamać się do składu skór, bo tak się stało, że jakiś głupi eksporter kazał umieścić tam kasę pancerną, rozumiesz? Co by tam na mój dział przypadło, oddałbym ci i basta! Przynajmniej wiedziałbym, dlaczego skusili mnie te oczajdusze! Gadaj że!

Doktor przecząco potrząsnął głową i szepnął:

- Nie chcę, zła to droga.

Miczurin parsknął głośnym śmiechem i klepnął przyjaciela po ramieniu.

- Dziwaku jeden! - powiedział. - To widzę, że wybierasz jeszcze dla nas złe i dobre drogi?

- Nie chcę! - powtórzył z uporem Plen.

- Ee, mój drogi! - oburzył się lejtnant. - Jeżeli chcesz uratować swoją pannę, a przebierasz w środkach, to mam dla ciebie jedną tylko radę. Tę dziewczuchę tak czy inaczej zgryzie syfilis do ostatniej kostki - nie oszukuj więc siebie ani mnie! Zmiana klimatu - powiadasz? Może to przeciągnąć proces konania i tyle. Ty to wiesz i ja wiem! A więc najlepiej zrobisz, jeżeli skrócisz jej cierpienia i rozpacz. Ot tak - raz, dwa i reguiescat in pace. Pamiętasz, jakieś to uczynił, gdy ci przysłał z Gospody poganiacza Kara-Kurczyna z rozłupanym łbem i wypadającym mózgiem. Przez dwa dni i trzy noce rzeźił ten drab i nie chciał rozstać się z tym padołem, gdzie przez całe życie tłukł wielbłądy, a wszy i świerzby drążyły mu skórę. Widząc, że próżno się męczy, uspokoiłeś go na wieki jednym zastrzykiem. Nikt, oprócz mnie, nie spostrzegł tego nawet. Radzę ci po przyjacielsku, dopomóż tej dziewczyninie przenieść się w lepszy świat, a może nawet dostać się do nieba, bo po pierwsze - piekło przeszła za życia, a po wtóre...

- Milcz! - syknął Plen, przymykając oczy i boleśnie krzywiąc usta. - To, co mówisz, przeraża mnie.

- Jeżeli tak, to wracaj na swoją pryczę i zachłyśnij się tym wstrętnym kurzywem, sentymentalna tyko!

- krzyknął Miczurin i splunął, odszedł od zgnębnego przyjaciela.

Radę lejtnanta przypomniał sobie doktor nazajutrz, gdy przyszła do niego na zastrzyk trupio blada, chuda i pomarszczona jak starucha Wiera - nikomu już niepotrzebny łachman ludzki. Plen raz jeszcze z wielką starannością zbadał cały organizm pacjentki i nieznacznie zacisnął zęby, aby nie syknąć rozpaczliwie.

- Zrobię pani dziś zastrzyk - powiedział po długiej chwili jakimś dobitnym, przenikliwym szeptem - ale musi pani po zabiegu czym prędzej wrócić do domu, wypić szklankę gorącej wody lub herbat i natychmiast położyć się do łóżka!

- Dobrze! - odpowiedziała obojętnym, syczącym głosem. - Przed domem czeka na mnie dorożka. Jestem dziś tak bardzo osłabiona.

Nie patrząc na chorą, nalał do kieliszka jakiegoś płynu, napełnił nim pompkę i nie namyślając się już, wbił igłę w udo dziewczyny.

- Pomoże to pani, będzie pani spokojnie i długo spała - szepnął. - Tak, bardzo spokojnie. Teraz proszę natychmiast się ubrać i do domu!. Do domu!

Po jej odejściu Plen przez dwie godziny chodził pomiędzy pryzami palarni, wpatrzony w białą matę i w snujące się nad nią siwe smugi dymu, opadającego leniwie. Wreszcie zatrzymał się, podniósł głowę, jak gdyby nasłuchując, i zadrżał cały, gdyż wydało mu się, że dobiegł go z daleka żałosny, nabrzmiaty skargą i trwogą jęk.

- Odpuść, Boże, grzechy sługi Twojej udręczonej, Wiery, i przyjmij ją w Królestwie Twoim, albowiem, choć grzeszne było to dziecko opuszczone, jednak nie wiedziało, co czyniło! I mnie, Panie na wysokości, przebac, przebac!

Nie skończył. Zzymając się cały i czując nieznośny dreszcz, skurczem zaciskający mu gardło, stanął przed starym sługą, z obojętną twarzą bożka Szo, siedzącym przy piecu. Śmiejąc się zgrzytliwie, krzyknął do niego przeraźliwym falsetem:

- Czy ty wiesz, So-hai, że życie ludzkie zdmuchnąć można jak świeczkę?!

Chińczyk wyszczerzył rzadkie, żółte zęby i z sardonicznym uśmiechem na zwiędłej twarzy odburknął:

- Nie krzycz, panie, bo zbudzisz ludzi, co odchodzą w kraj złotych snów. Przyniosę ci fajkę.

- Przynieś! - syknął Plen.

Trzy razy w nocy zapalał lampkę i pykał fajkę, wchłaniając dym opium, ale nie mógł zmorzyć go sen i nie miały nad nim mocy promienne, kojące majaki. Widział przed sobą cień dawnej Wiery - drobną, przezroczystą, białutką istotkę, siedzącą na olbrzymim łożu, gdzie widniała w nieładzie rzucona czarna kupa jakichś zaropionych, cuchnących szmat. Patrzyła na niego i szeptała przenikliwie:

- Odchodzę, ach, odchodzę! Boję się śmiertelnie.

Nazajutrz rano stanął przed nim strwożony Czeng-Si i szepnął do niego:

- Przychodź prędko, czekają tam na ciebie.

Plen zwlóknął się z pryczy. Na werandce przed ambulatorium zobaczył pacjentkę, mieszkającą w jednym z Wierą domu. Miała zapłakane oczy i trzymała w ręku zmięty rachunek praczeki.

- Doktorze! - powiedziała drżącym głosem. - Mała Wiera umarła dziś w nocy. Znalazłam ją rano bez życia w łóżku. W ręku zaciskała ten oto papierek.

Plen wyrwał go z ręki pacjentki i przeczytał ledwie widzialne, słabnącą już ręką skreślone wyrazy: Czuję, że odchodzę na zawsze. Boję się śmiertelnie.

Opuścił głowę i przymknął oczy. Długo milczeli oboje. Wreszcie doktor podniósł rozjaśnioną nagle twarz i zażawionym wzrokiem spojrzął na stojącą przed nim kobietę.

- Ona teraz jest szczęśliwa i wyzwolona! - począł szeptać gorąco. - Bóg nie odtrąci tej duszy umęczonej! Musimy ją pochować przyzwoicie i nabożeństwo żałobne zamówić, za duszę męczennicy. Wstawi się ona przed Bogiem i Zbawicielem i za nas grzesznych.

Istotnie koleżanki wszystkie zebrane na wyjazd Wiery pieniądze ofiarowały na jej pogrzeb i nabożeństwo. Pochowano ją na cmentarzu prawosławnym. Na grobie jej stanęła nawet skromna kolumienka z krzyżem złożonym na szczycie. Przez kilka lat na tym grobie widniały świeże zawsze kwiaty, składane przez borykające się jeszcze z życiem kobiety, których dżentelmeni nie poznawali na ulicy i w kawiarni, a które w chwili rozpacz i rozterki duchowej przychodziły tu i modliły się żarliwie i namiętnie. Być może, że i teraz jeszcze ta lub inna z emigrantek, co przetrwała najgorsze czasy i wywalczyła sobie miejsce w zbiegowisku ludzkim w Szanchaju, przychodzi czasem na grób małej Wiery, przynosi wiązankę irysów lub wisterii i wzdycha pobożnie za duszę dziecka, zbłąkanego na rozstajnych drogach życia.

Po pogrzebie małej Wiery Plen załamał się ostatecznie i przez długie tygodnie nie wychodził ze stanu odurzenia. Doprowadziły go do tego wyrzuty sumienia i oskarżenia samego siebie, bo dręczyć go poczęły wątpliwości, czy miał prawo pozbawić życia to w męce konające dziecko. Przed oczami stawała mu dziwnie mała postać Wiery i wyciągając rączki, pytała go z surowym uporem:

- Po co? Po co?

Wtedy to pożółkła mu i poszarzała twarz i ręce, głęboko zapadły się jak gdyby zmęczone, pozbawione wyrazu oczy, drzeć poczęły i uginać się nogi, a zsiniałe palce kurczyły mu się raz po raz ni to z bólu wewnętrznego, ni to z rozpacz. Doszedł do tak groźnego stanu, że Czeng-Si w obawie, że mu umrze w palarni, zmuszony był uciec się do pomocy lekarza chińskiego, który postawił Plenowi pijawki na skroniach i karku, synapizmy na piersiach i grzbiecie, zrobił bolesne masowanie kręgosłupa, puścił krew i przypalił na węglach podeszwy stóp. Zabiegi te poskutkowały. Plen odzyskał przytomność i znalazł w sobie resztki woli, aby przeciwstawić się nałogowi, który, zdawało się, już zawładnął nim całkowicie. Słaniając się, zawlókł się wtedy do ambulatorium, zaciskając w rękę blaszankę z opium i mruczając sobie pod nosem:

- Poczekaj no, poczekaj, to jeszcze nie koniec!

Przez dwie doby, z rzadka tylko podniecając się paleniem, pracował Plen, wyciągając jakiś znany mu składnik z czarnobrunatnej masy opiumowej. Wreszcie doszedł do celu, bo uśmiechnął się i przelawszy do buteleczki niewielką ilość przezroczystego płynu, starannie zakorkował naczynko i owinął w papier. Nie był to bynajmniej wynalazek doktora Plena, który powtórzył tylko doświadczenie Helda, długo przebywającego na Wschodzie. Plen wydobył z opium, używanego do palenia, wchodzący w skład jego alkaloid - gnoskopinę, która stanowiła odtrutkę na inne jadowite części opium, będąc jednocześnie najgwałtowniejszą zapewne trucizną pośród innych alkaloidów. Z pomocą tego tak bardzo ryzykownego i niebezpiecznego środka doktor Plen w znacznej mierze zdołał osłabić fatalny wpływ szkodliwego nałogu, rujnującego jego organizm.



Plen, idąc teraz przez werandkę, rzucił okiem na pacjentki. Znał je wszystkie, więc powitawszy skinieniem głowy, wszedł do małej izdebki, gdzie mieściła się jego pracownia. Z biegiem czasu urządził sobie ambulatorium, dość dobrze zaopatrzone w instrumenty i środki lecznicze. Miał tam całą aparaturę, niezbędną dla ginekologa, środki dezynfekcyjne, mikroskop i materiał opatrunkowy. W pewnych okresach, gdy udawało mu się ovladnąć nałogiem, doktor długie godziny spędzał w swojej pracowni, czytając i robiąc potrzebne mu badania. Okresy te jednak stawały się coraz rzadsze i Plen leczył już konwencjonalnymi metodami, w niektórych tylko wypadkach postępując się hipnozą. Tego wieczora śpieszył się z zabiegami i badaniem chorych, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, dopiero gdy odeszła ostatnia pacjentka, Plen usiadł w trzcinowym fotelu i wpadł w zadumę, nie spostrzegłszy nawet Czeng-Si, który wślizgnął się do pokoju i zatrzymał się na progu. Dopiero gdy Chińczyk chrząknął ostrożnie, wtedy dopiero doktor podniósł głowę i zauważył właściciela palarni.

- Ta-je1, mądry, uczony ta-je - zamruczał Czeng - mam do ciebie prośbę! Ta złotowłosa pani o czarnych oczach, co przed chwilą wyszli od ciebie.

- Ach, biedaczka! - westchnął Plen. - Zapadła na gruźlicę. Może uda mi się ją uratować, jeżeli uciufa sobie trochę grosza, aby pojechać na dwa miesiące do Ku-Cho-To.

- Ja dam tej pani pięćdziesiąt tael i list do znajomego kupca w Ku- Cho-To, dostaniesz też ode mnie nowe ubranie dla siebie, ta-je - mówił proszącym głosem - ale ty też musisz załatwić mi jeden interes z tą złotowłosą panią.

Plen skrzywił się z niesmakiem i odrazą.

- Panie Czeng, ja w podobne sprawy nie wdaję się nigdy! Zresztą znamy się nie od dziś i wiem, że doskonale dajesz sobie radę z moimi pacjentami. Bogatych Chińczyków zaciągasz do luksusowych pokoiów palarni, sprzedajesz im najdroższe opium - to żółte, suche, w jedwabnych torebkach.

- Tak! To zagraniczny, najwyższy gatunek z Jezdu - mruknął Czeng-Si. - Najlepszy do tykania!

- Wiem też - ciągnął Plen - że stary So-hai przywozi do tych pokoiów niektóre z pań, które leczą się u mnie, a tobie, panie Czeng, płacą za to.

Chińczyk poruszył się niespokojnie. Chytre, biegające oczy jego trwoźnie szukały na twarzy doktora oznak buntu. Uspokoił się jednak od razu. O buncie lub jakimkolwiek proteście nie mogło być mowy. Na skamieniałej, zwiędłej twarzy Plena nie drgnął ani jeden mięsień, nieruchome oczy pozostawały bez wyrazu, więc uspokojony już zupełnie Czeng przystąpił do sprawy:

- Złotowłosa pani ma nowego przyjaciela - bogatego przyjaciela - von Tildena. Jest on dyrektorem holenderskiej linii okrętowej, ma biuro w wielkim białym business buildingu. Bundzie. Młody jeszcze, ale na Jawie przywykł już do opium i uczęszcza do palarni Liang-Cze, ale ten nicpoń nie może dać białemu džentelmenowi ani rzetelnego towaru, ani komfortu i dyskrecji. Niech więc piękna pani namówi von Tildena, aby przeniósł się do mnie.

Plen uśmiechnął się ironicznie.

- Twoja palarnia ma wygląd wstrętnej budy, żaden porządny człowiek nie zechce tu zajrzeć! - powiedział tonem obrzydzenia.

- Od strony zaułka odnowiłem wejście i mur! - zaprotestował Czeng. - Pomów, ta-je, ze złotowłosą.

Doktor potrząsnął głową i wstał.

- Nie! - powiedział stanowczym głosem. - Moja sprawa - leczyć, a nie zatruwać ludzi dymem rozkoszy i snów, panie Czeng-Si. Pomów sam z moją pacjentką. Przyjdzie tu w środę.

Zaczął się nagle śpieszyć, ponieważ uświadomił sobie wreszcie, co go nurtuje od chwili powrotu do palarni. Wybiegł z ambulatorium, pozostawiając w nim zaniepokojonego i zdumionego Czenga, szybko nałożył watowaną kurtkę i czapkę z nausznikami i wyszedł na ulicę. Wkrótce zbliżał się do Gospody Czterech Stron Świata. Naprzeciwko, na nieoświetlonym chodniku wciąż jeszcze stał nieznamy w kraciastym płaszczu i filcowym, nasuniętym na oczy kapeluszu.

- Nie spóźniłem się! To dobrze! - mruzczał Plen, wchodząc do jadalni Gospody.

Przy stoliku w kącie pod piecem dojrzał Wagina. Doktora uderzyła jego wyprostowana, pełna woli, jak gdyby drapieżna postać. Niebieskie, stalowe w tej chwili oczy patrzyły czujnie i twardo, na ustach błąkał się prawie radosny uśmiech człowieka, który wie, co ma robić i już się nie cofnie.

Plen zbliżył się do niego i usiadł na ławce.

- Prosiłem Miczurina, aby uprzedził pana, że dzisiejszy gość pański, ów Abram, o ile pamiętam, stoi przed domem i na coś czeka.

Sergiusz uśmiechnął się szyderczo i odpowiedział bez zmieszania:

- Zaprosiłem go tu na pogadankę, ale, zapewne, nie odważy się wejść do tak obskurnej dziury.

Plen położył mu rękę na dłoni i pochyliwszy się, szepnął:

- Przez cały ten czas od herbatki u Somowych mającą przede mną postacie pana i tego Żyda. Mającą bez przerwy.

Zniżył głos i szeptał dalej:

- Wiem, że czasem nie ma innego wyjścia jak, usunięcie zawadzającego nam człowieka na zawsze, ale nie rób tego, nie rób, bo wspomnienie, obleczone w formę zjawy żywej, stawać będzie przed tobą i pytać, pytać w dzień i w nocy: Po co? Po co?.

Głos drgnął mu i załamał się żałośnie. Wagin obawiał się, że doktor wybuchnie spazmatycznym płaczem. Było mu to nie na rękę, bo lada chwila mógł nadejść towarzysz Abram - straszna zjawa, prawdziwa zmora, której ohydna, lepka ręka nie pozwalała mu wyzwolić się z rozstawionych wszędzie siatek i wyjść na nową drogę. Marząc o takiej drodze, myślał nieraz, że niechby nawet okazała się bardziej ciężką, byle na niej już nie był zmuszony walczyć, mając się sposobów i środków, przeciwko którym buntowały się zasady, odziedziczone po kulturalnych przodkach, wykształcenie, wychowanie, wreszcie osobiste cechy usposobienia i charakteru.

Postanowił zmieść Chackelesa ze swej drogi jako jedyną najniebezpieczniejszą zawadę, postanowił i musiał spełnić, co zamierzył. Nie czuł się na siłach raz jeszcze przeżyć i przetrwać przerażającego go na samo wspomnienie, straszego okresu włączy, ucieczki, pościgu i codziennych niemal,

narzuconych mu przez surowe wymogi walki czynów zbrodniczych. Zaciskając szczęki i mrużąc zimne oczy, mruknął tedy opryskliwie:

- Zdaje mi się, że nie upoważniłem pana do wtrącania się w moje sprawy i do wypowiedania luźnych zresztą i obrażających domysłów co do moich zamierzeń? Pan doktor wybaczy, ale w tej chwili nie mogę o tych kwestiach rozmawiać z panem.

Powiedziawszy to, powstał. Uściskawszy rozpaloną, spoconą dłoń Plena, z lekka potrącił go ku wyjściu i patrzył na jego pochyloną, kościstą postać, chwiejnym krokiem sunącą przez zaśmieconą izbę jadłodajni, gdzie już rozsiedli się przy stołach roślin, barczyści Mongołowie znad Dołon-Noru, dopiero co przybyli do Szanchaju z karawaną wełny i surowych skór. Plen minął się w drzwiach z wchodzącym Chackeusem, lecz, zmieszany, ogarnięty niepojętym strachem i zgnębieniem, nie spostrzegł go. Wagin siedział już na dawnym miejscu, wyprostowany i zdumiewająco spokojny.

#### VIII. OKO ZA OKO, ZĄB ZA ZĄB...

Odnalazszy przed godziną Miczurina w jego legowisku w Gospodzie Czterech Stron Świata, Sergiusz Wagin przeprowadził z nim krótką naradę. Pijany jak zawsze lejtnant w okamgnieniu otrzeźwiał i okazał się człowiekiem bystrym i szybko się orientującym. Rozmowa tych dwóch prawie nieznanym sobie ludzi trwała kilka minut zaledwie i zakończona została następującym powiedzeniem Wagina:

- Nie wątpię, że znajdzie pan przy szpiegu znaczną sumę pieniędzy. Należy ona wyłącznie do pana, lejtnancie, bo ja do niej nie zgłaszam żadnych pretensji.

- Bardzo szlachetne ustosunkowanie się do sprawy! - pochwalił go ironicznie nieco Miczurin. - Biegnę zatem i naprędce wyreżyseruję swoją trupę. Odegramy ją w stylu comedia deli arte — trochę makabrycznie, trochę na wesoło. Będzie pan czekał na epilog czy też zadowolni się samym prologiem?

- Owszem, ciekaw jestem całej sztuki aż do spuszczenia zasłony - dziwnym jakimś tonem odpowiedział Sergiusz.

Pozostał sam i całą godzinę jeszcze czekał na gościa. Przez ten czas przeżył raz jeszcze kilka lat ostatnich i w miarę tego, jak myśl jego dążyła od etapu do etapu jego dziejów, twarz mu starzała, głębokie bruzdy żłobiły sobie koryta koło ust i na czole, a oczy gasły i otwierały się szeroko, zapatrzone w dręczące wizje niedawnej przeszłości. Jakiś chaos kotłował się w mętnej, zimnej mgle, a z niej wyzierały czyjeś twarze blade i oczy pełne śmiertelnego przerażenia. Wagin poznawał każdą twarz, każdą parę oczu i szeptał bezdźwięcznie:

- I ta, i ten, i ten, i ta.

Długa to była i męcząca litania, a może spowiedź przed samym sobą i bolesna próba usprawiedliwienia jakichś czynów – niezgodnych z sumieniem lub przekonaniem, aż w końcu otrząsnął się z ciężkiego, obezwładniającego go nastroju, pomyślawszy z rozpaczliwą rezygnacją: Dla

człowieka najwyższym prawem jest własne życie! Może więc walczyć, aby nie stratowano go i nie zniszczono. Co tam długo rozwodzić się nad tym, co już minęło?! Ale właśnie, że nie minęło, bo oto znowu muszę zmierzyć się z najniebezpieczniejszym i ciągle czyhającym na mnie wrogiem!

W tej samej chwili ujrzał tego, do którego, jak pływająca na zatłuszczonej powierzchni wody stalowa igła do magnesu, niepowstrzymanie dążyła jego myśl, zatruta lękiem, ale pełna już zrywającego się buntu. W spojrzenie swoje włożył natychmiast całą nienawiść i wolę wykonania zamiaru, śledząc czujnie każdy ruch Chackelesa. Trzymając rękę w kieszeni płaszcza, zaciskał rękojeść browninga. Jednocześnie instynkt ściganego człowieka zmusił Wagina po raz ostatni rozejrzeć się po terenie możliwych wypadków. Na prawo, o kilka kroków od zajętego przezeń stolika, ciągnęła się długa, na czerwono pomalowana lada. Widniały tam stosy białych, niby ucięte głowy niemowląt, okrągłych chlebów - mento i innych - długich i splecionych w warkocz, prażonych w oleju bobowym - kosa. Gliniane garnki z chińskimi aromatycznymi piklami; woniejące czosnkiem, pieprzem i drażniącą nozdrza pietruszką poćcie słoniny; zwoje kiełbas - szarych, okrytych już plamami pleśni - i porcelanowe misy zjadłem. Na samym końcu lady stał dziwny przyrząd - rodzaj samowara, a jednocześnie piecyka do podtrzymywania w gorącym stanie jakichś plats du jour. Bufetowy - wysoki, chudy Chińczyk w brudnej, białej kurcie, co chwila drapiąc się w ostrzyżoną najeża głowę, spoglądał obojętnym okiem na gości.

Mongołowie, sapiąc i zgrzytając zębami, z chrzęstem pożerali baraninę, długimi nożami odcinając zręcznie duże kawały tłustego mięsa i trzonkiem rozbijając kości, z hałasem wysysali szpik, starannie oblizując palce lub ocierając je o poły straszliwie brudnych jedwabnych chałatów. Trzech Chińczyków, drobnych przekupniów ulicznych zapewne, gdyż pod stołem leżały ich toboły - poręczne do noszenia na ramieniu, sprzeczało się głośno, popijając herbatę z małych miseczek i zagryzając każdy łyk przyniesionym ze sobą ciastem. Dwie prostytutki zajęły ławkę w pobliżu drzwi. Siedziały zapewne na swojej zwykłej placówce, milczące, sztywne, jak jaskrawo pomalowane lalki drewniane, w pstrych, krzyczących zielono- -koralowych kurmach i niebieskich szarawarach, zwężonych koło drobnych stóp, obutych w czarne, haftowane pantofelki o białych podszewkach. Sługa - kulawy Chińczyk z zabawnie poskręcaną, rzadką, kozią bródką, stał oparty o ścianę i bezmyślnie przyglądał się kobietom. Nie zwracały na niego żadnej uwagi. Ich czarne, nieruchome źrenice wpatrywały się chciwie i pogardliwie zarazem w rosłe, barczyste postacie Mongołów, łapczywie zaspokajających wilczy głód i nic poza stołem mięsiwa niewidzących dokoła. One jednak czekały cierpliwie. Już zapewne dowiedziały się zawczasu lub może zawodowa spostrzegawczość przekonała je, że nie są to zwykli poganiacze wielbłądów, lecz pasterze lub nawet książęta stepowi - ludzie majątni i spragnieni rozrywek wielkiego miasta, do którego przybywali z pogranicza wielkiej pustyni raz na kilka lub nawet kilkanaście lat. Po pewnym czasie jeden z Mongołów odsunął się z hałasem od stołu, otarł nóż o poły czerwonego chałatu i głośno cmokając, rozejrzał się po izbie. Po chwili utkwiał bystre oczy jeźdźca i pasterza stepowego w barwnych postaciach prostytutek, a koło uszu poruszyły mu się natychmiast guzy potężnych mięśni. Po chwili wstał i podszedł do kobiet. Opartszy łokcie na ich stoliku, przyglądał im się z bliska. Wreszcie szybkim i silnym ruchem odsunął, a raczej odrzucił jedną z dziewczyn i usiadł na jej miejscu, śmiejąc się chrapliwie. Wągin nie patrzył już na niego i przypomniał go sobie dopiero wtedy, gdy olbrzymi Mongoł niósł dziewczynę przez jadłodajnię, odprowadzany charczącymi okrzykami i śmiechem ubawionych towarzyszy.

W tej chwili przed stolikiem Sergiusza stanął od dawna oczekiwany gość.

- Ależ wybraliście wspaniałą restaurację! - syknął stary szpieg i zaśmiał się cienko i obleśnie.

- Siadaj! - wbijając surowy wzrok w okrągłe oczy Chackelesa, odpowiedział Wagin. - Tu przynajmniej nikt nas nie wyśledzi.

Obejrzawszy się na sługę, rzucił mu jedno słowo:

- Caj - i podniósł nad głową dwa palce.

Chińczyk pokulał do kuchni i po chwili już stawiał przed gośćmi tacę łąkową z dużymi i małymi imbryczkami, dwiema miseczkami porcelanowymi i talerzykiem, na którym leżało kilka zlepionych kawałków brunatnego cukru trzcinowego i garść suszonych daktyłów.

- Czego ty wreszcie i tu chcesz ode mnie? - z pozornym spokojem, nalewając sobie herbaty, spytał Sergiusz, gdy sługa powrócił na swoje miejsce.

Towarzysz Abram, zdawało się, nie zdziwił się wcale brutalnemu tonowi Wagina i tylko w ptasich oczach jego miotać się poczęły zmienne ogniki strachu, szyderstwa i nienawiści.

- Swoją ucieczką odebrałeś mi możliwość istnienia tam, w Rosji - szepnął po chwili. - Mnie - dawnego szpiega i prowokatora carskiej policji politycznej - nie stracono na razie tylko dlatego, że przysięgłem bolszewikom oddać w ich ręce Sergiusza Wagina - żywego lub martwego - mordercę towarzysza Marka Chaciejewa.

Wagin wpatrywał się w biegające oczy swego wroga i krzywił usta,

niby gotując dla niego druzgoczącą i obelżywą odpowiedź. Opanował się jednak i przemówił spokojnie, akcentując każde słowo.

W tym momencie tak ważnym i stanowczym, w momencie, który miał się zakończyć czynem, wzbudzającym w duszy Wagina wstręt i gorący, choć bezsilny protest, gdyż czuł się jak człowiek porwany przez lawinę, bezbronny wobec jej potęgi i pokorny - w tym momencie, rozstrzygającym wszystko na zawsze, chciał być szczerym i zrozumianym dokładnie. Nie myślał o tym, że coś się może odmienić i odwrócić grozę sytuacji, pragnął raczej znaleźć usprawiedliwienie i uprawomocnienie dla swych dalszych postępów. Patrząc śmiało w oczy wroga, w każdy wyraz włożył całą prawdę tak, jak gdyby wygłaszał ostatnie swoje słowo na sądzie, po ogłoszonym już na siebie wyroku śmierci, od dawna przeżytym i złowrogo obojętnym już dla skazańca.

- To prawda! Zabiłem! Zabiłem Chaciejewa, bo zabrał mi i zożydził moje szczęście. Tak myślałem wówczas, choć teraz nie uczyniłbym może tego, gdyż to nie on był winien. Ta dziewczyna poszłaby za każdym, aby tylko żyć spokojnie i w dostatku. Miała ona tak małe serce, że tylko dla troski o siebie znalazła w nim miejsce. Dawne to dzieje, dawne wzruszenia i fałszywe, zupełnie niepotrzebne kroki!

Umilkł i natychmiast uświadomił sobie, że wspomnienie tych przebrzmiałych już wypadków, które wstrząsnęły całą jego istotą i stały się źródłem przerażająco męczeńskiego życia, nie sprawiło mu bólu. Po chwili wyraz zdumienia zjawił mu się w oczach. Zrozumiał, że wypowiedziawszy prawdziwy stosunek swój do dokonanej niegdyś zbrodni i szczerzy pogląd na jej istotę (nachmurzył czoło i dodał w duchu: „pierwszej zbrodni!"), niby nie odczuwał już zaciętej nienawiści do szpiega i pragnął, aby ten nawet zapytał go o coś, zażądał wyjaśnień i wszystkich szczegółów morderstwa.

Spokojnie popatrzył w okrągłe, zaczerwienione oczy Abrama i przeraził się nagle, spostrzegłszy w nich łzy, przez które, niby z dna odmętu, błysnęło coś, ni to rozpacz, ni to wściekłość. Szpieg zaciskał szczęki i kurczył palce, jak gdyby chciał rzucić się na wroga i nie śmiał. Milczenie trwało długo.

- Więc cóż mi masz do zaproponowania? - zapytał wreszcie Sergiusz, nerwowym ruchem zapalając papierosa i kładąc na tackę paczkę chienmenów.

Towarzysz Abram oparł się łokciami o stół i wpatrując się w bladą twarz Wagina, syczącym szeptem jął wyrzucać zdanie po zdaniu:

- Z jaką to zdumiewającą łatwością i szatańskim spokojem przeszedłeś do porządku nad tą sprawą! Cha, cha, cha! Żałujesz, zdaje się, nawet szczerze swego fałszywego kroku i zapomniałeś już o zamordowany przez siebie człowieku? Może także i mnie żałujesz - mnie, którego dwa razy przedziurawiłeś kulami? Mówże, mów, czy żałujesz mnie?!

W głosie szpiega drgnęły nuty namiętnego rozkazu. Sergiusz zmrużył oczy i potrząsnął głową.

- Ciebie nie żałuję, boś zmusił mnie zatracić samego siebie i w piekło zamienił moje życie! Nienawidzę ciebie, gdyż przez ciebie popełniłem czyny nikczemne i żyłem w nieprzerwanym strachu przed tobą! Stałeś się dla mnie widziadłem śmierci! Odetchnąłem spokojniej dopiero tu, choć nie wiem jeszcze, co się ze mną stanie. Ale ty znów odnalazłeś mnie i nawet wiedząc, że tu zaszkodzić mi już nie możesz, zamierzasz.

Wagin umilkł nagle, gdyż stary Żyd zaczął chichotać cicho, trzęsąc się cały i kurcząc krótkie palce o ogryzionych paznokciach.

- To dobrze! Doskonale! I ja tak myślałem! Myślałem, że dopóki starczy mi życia, nie przestanę ścigać ciebie, Sergiuszu Waginie, nigdzie nie dam ci zaznać spokoju. O, ja potrafię szkodzić ci wszędzie i na udrękę zmienić twoje życie!

- Milcz, bo łżesz! - uderzając pięścią w stół, szepnął Wagin i podniósł głowę.

Przez izbę przechodził właśnie Miczurin. Miał na sobie kozuch i chińską czapkę futrzaną. Obok niego szedł wysoki, zwinny Chińczyk, o śniadej, śmiałej twarzy. Cienki nos i duże, ciemne oczy zdradzały południowca - kantończyka może lub mieszkańca Yunnanu, pogranicznego z Tonkinem. Obaj przelotnie tylko spojrzeli na Wagina i jego towarzysza i stanąwszy przy ladzie, kazali nalać sobie po czarce ciepłej wódki anyżowej. Szepcąc coś do siebie, nieznacznie przyglądali się tysej głowie i sterczącym uszom nieznanego człowieka o wydętych mokrych wargach. Szpieg, wbijając wzrok w pociemniałą twarz Wagina, nie spostrzegł ich.

- Nie łżę i spełnię, com przysiągł! — zacharczał nagle. - Żywy czy martwy - będziesz w rękach komisarzy. Ja ci to mówię, bo oko za oko, ząb za ząb. Takie to nasze - izraelskie prawo odwieczne! Oko za oko!

Sergiusz ze zdumieniem podniósł na niego oczy i stał się w jednej chwili podobny do nagle zbudzonego ze snu ptaka, zrywającego się do lotu. Milczał i czekał jeszcze na coś.

- A widzisz? Coś zaczynasz już podejrzewać? Zabiłeś Marka Chaciejewa i jak sam się przyznałeś przed chwilą - zabiłeś na próżno. Powiedziałeś: fałszywy krok! Marek zginął przez tę podłą dziewczkę! A czy wiesz, kto był ów Chaciejew? Marek Chaciejew?

Zdławiony głos szpiega zgrzytnął prawdziwym bólem. Nie czekając na odpowiedź, sepleniąc i bryzgając śliną, której białe kulki i nici osiadały i przeciągały się między wilgotnymi wargami, charkotał: Myślisz, że obchodziłby mnie jakiś tam czerwony komisarzyna? Ze nadstawiałbym swoją skórę za parszywego rewolucjonistę? Zapewne nieraz zaprzętałeś swój ciasny, chrześcijański mózg myślą, że tak uparcie tropię cię dlatego, aby zasłużyć się nowym władzom, rozpierającym się w Kremlu! Pluję na nich wszystkich od mongolskiej mordy Lenina aż do ostatniego chamskiego pyska zbuntowanego majtka? Po cóż miałbym powracać do oszalonej Rosji, ja - dawny agent policji, prowokator, który dopomagał sądom tylu rewolucjonistów powiesić lub wysłać na wygnanie? Czyż ja - konfident Azefa, Łopuchina, Kurłowa i Manasewicza potrzebowałbym wyjeżdżać z Paryża do Moskwy, aby powiedzieć tym wszystkim katom: Macie starego Chackelesa, znęcajcie się nad nim, męczcie zdrajcę rewolucji!. Nie, nie taki to człowiek ten Abram, postrach głupich rewolucjonistów, szukających bezpieczeństwa zagranicą! A ty, ty tak właśnie myślałeś! Czyż nie tak? Nu? Wagin, nie spostrzegając coraz zuchwalszego i wyzywającego już tonu Żyda, słuchał go z wzrastającą uwagą. Jakieś domysły poczęły świtać mu w głowie i niepokoić. Zaciskając rewolwer, gdyż w chwili tak silnego podrażnienia mógł spodziewać się nagiego wybuchu i napadu szpiega, wpatrywał się w jego mięsistą, czerwoną twarz i nos krogulczy, starając się nie opuścić ani jednego słowa i żadnej zmiany w głosie czy wyrazie oczu.

Chackeles jednak opamiętał się raptownie i spokojniejszym już głosem ciągnął:

- A jakże! Jestem Żydem, więc mógłbym spokojnie żyć wszędzie, z dala od wszelkich wrogów... Nadarzała mi się nawet doskonała sposobność! Pewien dyrektor kopalni nafty proponował mi wyjazd do Indii Holenderskich, ale do mego życia wtargnął już pan Wagin, wtargnął jak burza, i od tego czasu wszystko się zmieniło.

- Łżesz znowu! Ja nie wtargnąłem do twego życia! Co za podłe wykręty! Co za bezczelne brednie! - z oburzeniem i wstrętem przerwał mu Sergiusz.

- Ja, Ja się wykręcę?! Tak, ty wtargnąłeś, Sergiuszu Waginie! - syczącym, rozpaczliwym szeptem smagnął stary Żyd i zbladł straszliwie. - Tyś zdruzgotał moje życie i życie mojej rodziny, bo to ty zabiłeś Marka Chaciejewa! Tyś go zabił. A przecież był to mój jedyny syn! Dla wykształcenia tego chłopaka i powodzenia jego uczyniłem wszystko, co było w mocy biednego, bezprawnego Żyda. Nie zawahałem się nawet stać się agentem policyjnym i pogardzanym przez wszystkich prowokatorem, dla niego tylko narażałem codziennie życie swoje! Rozumiesz teraz, ty, ty morderco?!

Wagin poczuł dreszcz w całym ciele i nieznośny chłód, zakradający mu się do piersi i obezwładniający jego myśl i wolę.

- Marek Chaciejew, Marek Chaciejew - powtarzał, patrząc osłupiałym wzrokiem na Abrama.

- Markus Chackeles! - jak echo poprawił go szyderczo i namiętnie szpieg. - Mordercy syna poprzysiągłem zemstę. Oko za oko, ząb za ząb - rozumiesz?

Wagin długo nie odpowiadał, zgnębiony i przytłoczony tym, co postyszał przed chwilą. Cała jego długa męczeńska epopeja nabierała teraz w jego oczach zupełnie innego znaczenia. Z cierpiącego i pokrzywdzonego w jednej chwili przeistoczył się w krzywdziciela i winowajcę wobec znieprawionego wroga. Instynktowna, gwałtownie się odbywająca praca mózgowa z jakiegoś bezładnego i odpornego tworzywa wydobywała i mozolnie kształtowała szkielet uczuciowego i logicznego wyводу, który mógłby oblec się w żywe ciało nowego postanowienia, planu lub, być może, zaledwie wycucia tego, co stało się niegdyś i co zaszło przed chwilą. Z wściekłego zmagania się przebłysków świadomości wyłonił się wreszcie cień zrozumienia, że popełniona niegdyś przez niego zbrodnia zażądała wyroku losu i wymiaru jakiejś absolutnej sprawiedliwości. Wyczuwał w tym tyle przerażającego zgnębienia, że zapomniawszy o Abramie i nie widząc go prawie przed sobą, zaczął mówić do siebie, z trudem wydobywając głos:

- Rozumiem. Rozumiem. Gdybym zabił wroga mego kraju - komisarza Chaciejewa - byłbym w porządku i nie mógłbym mieć żadnych wyrzutów sumienia, ale ja zabiłem swego osobistego wroga, który nie był nawet winien, gdyż krzywdę wyrządziła mi jedynie kochana przeze mnie kobieta.

- Dziewka! - wypluł pogardliwe słowo Abram.

Głos jego zmusił Wagina oprzytomnieć i zebrać myśli. Milczeli obaj, wpatrując się w siebie, jak gdyby po raz pierwszy spotkali się oko w oko. Wagin zrozumiał nagle, co powodowało szpiegiem w jego uporczywym, obłądnym częstokroć pościgu, tak śmiałym, a nawet nieraz bohaterskim, że nigdy o to nie mógłby posądzić Żyda, człowieka o przebiegłej i tchórzliwej zwykle psychice. Teraz wszystko stało mu się jasne. Walczył z nim ojciec zabitego, walczył na życie czy śmierć, zapominając o własnym niebezpieczeństwie, porwany obłądnym pragnieniem ujrzenia męczarni swego wroga, zrozpaczony człowiek, przed którym zgasł nagle cel życia i ciężkich ofiar. Wagin przypomniał sobie raptem czytaną w dzieciństwie powiastkę o jakimś drobnym ptaszku, broniącym piskląt przed żmiją. Potrzęsnał głową i powtórzył raz jeszcze:

- Rozumiem.

Przejrzał całą prawdę do dna i tak bardzo się jej przeraził, iż zapomniał o wszystkim, czym żył, chociaż była to nieprzerwana udręka.

Z dniem każdym coraz bardziej utrzymywał się w nim przekonanie, że nie wytrzyma dłużej niepewności i ciągłego oczekiwania tragicznej i ostatecznej rozgrywki z ciążącą nad nim zmorą. Wiedział, że gdyby go zmuszono rozpocząć dawne życie, zatrute zwierzęcym strachem i zwierzęcą drapieżnością obronną, nie znalazłby już w sobie siły, aby trzymać na wodzy wolę, rozsądek i zmysły, a tymczasem, chociaż zbiegł i ukrył się zagranicą, widmo nieodstępnego szpiega szło za nim, wyczuwał jego obecność i to odbierało mu chęć do rozpoczęcia walki o nowe życie. Jeżeli robił jakieś wysiłki, by znaleźć zarobek dla siebie, czynił to automatycznie i obojętnie, podświadomie przekonany, że wszystkie zabiegi jego i starania są niepotrzebne. Chwilowe błyski nadziei i słabej radości, że nie kryjąc się, może chodzić ulicami Szanchaju, mówić głośno i nie kurczyć się w strachu, postyszawszy swoje nazwisko - zatruwało i zabijało górujące ponad wszystkim gnębiące go przecucie nadążającej katastrofy. Tymczasem Wagin pragnął tego nowego życia tak namiętnie, że gotów był chwycić się wszelkich sposobów - od morderstwa do obłądnego, poniżającego kajania się i błagania o litość - byle żyć, nie słysząc skradających się kroków przerażającej go zmory, byle żyć! Ale w chwili, gdy stary szpieg szeptał mu o swoim prawie zemsty, zapomniał o wszystkim, i o tym, że postanowił zgładzić



Chackelesa, żeby po jego śmierci dopiero poznać upragnioną słodycz wolnego życia, w którym odnajdzie wreszcie siebie. Wagin zapomniał o wszystkim, a nienawiść i zimna zawziętość rozwiały się bez śladu. Uświadamiał to sobie wyraźnie i musiał powiedzieć o tym Abramowi, bezwiednie przekonany, że jest to najistotniejsze i najważniejsze w tej chwili napięcia instynktu zachowawczego.

Już usta otwierał, gdy w tej samej chwili poczuł na sobie ostry wzrok stojącego przy ladzie Miczurina. Spojrzał w jego stronę. Lejtnant podniósł ramiona ruchem, wyrażającym zdumienie i pytanie, oczami wskazując mu na drzwi. Wagin wstał i poszedł ku niemu. Miczurin wybałuszył oczy.

- Lejtnancie, widzi pan tego Abrama Chackelesa? - spytał go Sergiusz.

- Jest to ten sam właśnie, który miał być dziś zamordowany.

Miczurin wytrzeszczył oczy i dyskretnie chrząknął w kułak. Zdawało się, że chciał tym powiedzieć: Czyżby? Nic o tym nie słyszałem! Kto by mógł myśleć?! Nic zresztą dotychczas nie rozumiał i dziwił się tylko, zirytowany i zły na Wagina, iż niepotrzebną rozmową może popsuć mu dobrze przygotowaną rozgrywkę. Zdumienie jego przeszło w paniczny niemal strach, gdy spojrzął na Żyda. Ten, zaciskając głowę dłońmi, patrzył na nich i zataczał się od śmiechu. Miczurin nie mógł wymówić ani słowa, tylko sapał głośno i mruczał beładnie.

- Niech to cholera napadnie! - burknął ostatecznie przerażony lejtnant, nie będąc w stanie oczu oderwać od nabrzmiałej krwią twarzy szpiega. - Co się tu dzieje? Zwariowaliście, widać, obaj! To żydowskie ściervo drwi sobie z was! Hej, bo nie wytrzymam i zrobię porządek. Tak pięknie wszystko się zarządziło! Chłopcy moi gotowi odegrać ciekawą komedijkę rodzajową z lekkim a skutecznym puszczaniem krwi, a tu raptem w milczeniu muszę patrzeć na te zgniłe semickie kły i roześmianą judaszową gębę! Nie! Ja nie wytrzymam.

Miczurin zacisnął włochate pięści i parsknął jak rozwścieczony odyniec. Wagin spojrzął na niego przenikliwie i powiedział stanowczym głosem:

- Nie wahałbym się ani chwili, gdyby nie pewna okoliczność, bardzo ważna i do gruntu zmieniająca mój pierwotny zamiar. A teraz, lejtnancie, zaniechaj napadu na Żyda! Muszę zakończyć z nim rozmowę, gdyż, mówiąc ściśle, przed chwilą dopiero rozpoczęliśmy ją. Pozostało nam sporo jeszcze rzeczy do omówienia.

Miczurin zamruczał niezadowolonym głosem:

- Ech! Myślałem, że dziś stypę wyprawię temu łyseму psubratowi! Ciężkiego doznałem zawodu, bardzo ciężkiego! Widzę, że z panem niełatwo mi będzie robić większe interesy!

Odszedł i stanąwszy obok Chińczyka przy ladzie, objaśniał mu coś szeptem, wymachując rękami. Drapieżna, ciemna twarz bandyty ani drgnęła. Słuchał obojętnie, od czasu do czasu zezując ku nieznanemu, siedzącym przy stoliku pod piecem. Wagin tymczasem, borykając się z nawałem myśli i sprzecznych uczuć, mówił do szpiega roztargnionym głosem:

- Wspomnieliście dziś u mnie, że musimy się obaj ratować. Jak to mam rozumieć?

Towarzysz Abram, służalczo już i przytomnie zaglądając Sergiuszowi w oczy, odpowiedział pośpiesznie, jak gdyby rozpoczynając rozmowę handlową:

- Już wiecie, że skoro na własną rękę przedarłem się za wami zagranicę, nie mam już powrotu do Rosji, chyba że podejmę się wykonania jakiegoś poważnego zlecenia z Moskwy czy też z bolszewickiego poselstwa w Pekinie.

- Po co macie tam wracać? - zdziwił się Wagin. - Czyż nie możecie i tu przeczekać czasu panowania komisarzy? W Szanchaju Żydów więcej jest niż potrzeba. Potraficie przecież nakłonić ich, aby wam dopomogli?

- Po co potrzebuję wracać? - ożywił się nagie szpieg. - Muszę koniecznie wrócić, bo bolszewicy mają w swym ręku moją żonę. Czyż myślicie, że chcę, aby oni dręczyli starą, chorą Żydówkę, która w dzień i w nocy opłakuje syna? Mam ją porzucić i poświęcić jej życie, jak wy to uczyniliście z tą dziewczyną z szynku i z żoną smolarza? Muszę zdobyć sobie prawo na powrót i mam już plan! Tylko wy możecie mi pomóc w tym, a zarazem i sobie zabezpieczyć spokojny byt w Szanchaju.

Wagin nie przerywał staremu Żydowi, nie wiedząc jeszcze, do czego on zmierza. Abram, charkocząc i pluąc z pośpiechu i podniecenia, wyrzucał słowa jak pociski z kulomiotu, nie nadążając za tokiem zawsze czynnej myśli:

- Moskwa ma w pięcie wszystkich tutejszych emigrantów! Co oni znaczą dla niej? Tam są przekonani, że za dwa lata cała ta głupia, nędzna banda powydzicha lub gdzieś wsiąknie bez śladu. Po cóż więc mają komisarze zaprzętać sobie głowę tą gadatliwą i bezsilną hołotą? Potrzebna im jest głowa na inne, bardziej niezbędne i ważne rzeczy, które nie kleją się im tak, jak by chcieli! Trzeba wam wiedzieć, że to nie rewolucję robić, nie burzyć, bo przyszedł już czas, aby budować i rządzić, ażeby zapanował jakikolwiek ład, niech sobie nawet głupi i szaleńcy, ale ład! Tymczasem bałagan tam panuje straszliwy! Nieokrzesane chamy rozwalają Rosję jak starą ruderę i gdyby nie my - Żydzi wszystko dawno by się rozleciało i byłby koniec! Jednak i tu zachodzą wypadki niepożądane. Niepokoją one coraz bardziej komisarzy. W Mongolii jakiś zwariowany baron Ungern von Sternberg i pułkownik Kazagrandi zamierzają ogłosić świętą wojnę buddystów i muzułmanów przeciwko komunizmowi i Żydom. Ach, te Żydy ciągle wzbudzają nienawiść, bo maczają palce w każdej ruchawce! Tak błagałem mego Markusa, aby trzymał się z dala od Trockiego, ale ten diabeł potrzebował zdolnych ludzi, więc skusił Markusa i posłał go do Francji na niebezpieczną robotę. Wiecie przecież, że była to bardzo ryzykowna placówka! Gdybyście wy go nie zabili za tę dziewczkę, Markus mógłby paść od kuli jakiegoś kontrrewolucjonisty.

Urwał i jął wpatrywać się w twarz Sergiusza.

- W Chinach zgromadziło się kilka tysięcy białych oficerów. Istnieje podejrzenie, że Japonia utrzymuje ich, zamyślając napaść na Władywostok i odciąć Syberię od morza. Ministrowie w Tokio radzą nad sposobami podtrzymania wariackiego projektu Ungerna. Posyłają mu broń i oficerów do Urgi. Gdyby tak można było - domyślacie się - tego okrutnego i niebezpiecznego barona Ungerna, sprzątnąć, unicestwić? Byłaby to wielka zasługa!... Poselstwo moskiewskie nie poskąpiłoby na ten cel sporo złota, sporo. Żylibyście potem spokojnie i dostatnio w Szanchaju lub gdzie byście tylko zechcieli, a ja powróciłbym do mojej biednej, starej żony, która drży teraz o mnie i rozpacza, wspominając jedynaka i przeklinając jego mordercę.

Chackeles wyciągnął rękę i nieśmiałym ruchem dotknął dłoni Wagina.

Pochylając twarz ku niemu i świdrując go biegającymi oczyma, począł kusić i przekonywać:

- Wy nie możecie dopuścić, aby dzicz mongolska oderwała część waszej ojczyzny! Wy krew z krwi i kość z kości szlachty swego narodu! Byłaby to zdrada! Niech sobie trwa wojna domowa, bo to rozumiałe. Biją się bracia o różnych poglądach na losy swego państwa, ale żeby mieli z tego skorzystać ludzie innej rasy i wiary.

Wagin targnął głową i wyrwał swoją dłoń z ręki Chackelesa.

- Z tej wojny domowej korzystają najwięcej ludzie waszej wiary i rasy - Żydzi, cała plejada Trockich, Apfelbaumów, Rosenbergów, Wałachów, Nachamkesów, Radków, Kohnów, którzy puszczają krew Rosjanom. Ale macie słuszość, nie chciałbym, aby z rewolucyjnej zawieruchy mogli skorzystać Japończycy i Chińczycy lub jakikolwiek inny naród.

Chackeles ucieszył się, posłyszawszy ostatnie zdanie Sergiusza, i spytał:

- Więc jak będzie? Nu-u?

Wagin zaśmiał się niespodziewanie głośno. Towarzysz Abram, aż drgnął i wylękłym głosem powtórzył:

- Nu-u?

- Skoro ja was nie sprzątnąłem, to zapewne nikogo już nie sprzątnę. Ja w żadne sprawy tego rodzaju mieszać się nie zamierzam, a szczególnie w związane z Moskwą czerwonych komisarzy! - stanowczo i dobitnie odpowiedział Sergiusz. - Gdyby wybuchła wojna Rosji z obcym zaborczym państwem, wstąpię do szeregów armii.

- Czerwonej Armii?! - wykrzyknął Abram.

- Tak!

- Bohater! - pozwolił sobie na szyderstwo Żyd, lecz nie dodał już ani słowa, gdyż Wagin utkwiał w nim ostre spojrzenie swych mglistych oczu.

Po chwili Sergiusz przeciągnął się leniwie i powiedział jak gdyby od niechcienia:

- Uważam, że załatwiliśmy ostatecznie nasze sprawy. Darowałem wam życie za śmierć waszego syna. Nie mam już do was ani żalu, ani nienawiści, Abramie Izaakowiczu! Róbcie, co chcecie, ja wam przeszkadzać nie będę i postaram się zapomnieć o was. Zapomnijcie też i wy o mnie, gdyż, po naszej szczerzej rozmowie, rozumiecie chyba, że nieszczęśliwe i niezależne od nas okoliczności skrzyżowały nasze drogi. Niechże teraz każda z nich idzie we właściwym kierunku! Późno już, chodźmy stąd!

Szpieg wpatrywał się w Wagina z podziwem i niemal zabobonnym strachem. Wszystko w nim imponowało Abramowi i jednocześnie przerażało. Uczynił jednak jeszcze jedną próbę.

- Obawiam się, że czeka was głód i nędza. Nie wytrzymacie!

Odpowiedział mu beztronski śmiech Sergiusza i prawie już wesoły jego głos:

- Moje to przecież kiszki piszczeć będą - nie wasze! A co do tego, że nie wytrzymam, to przypomnijcie sobie, jakem wam zginął z oczu na Zei?! Dwa tygodnie bodaj tropiliście mnie wtedy z oddziałem karnym, ale w końcu, na moje szczęście, śnieg wypadł i ślady moje przyprószył! Czatowaliście wtenczas na mnie, na wszystkich drogach i przesmykach urządziliście zasadzki. Cha, cha, i wszystko -

na nic! Poszliście sobie, a ja tymczasem, o głodzie i chłodzie przesiedziawszy dwa tygodnie na dnie wyrzuconej na łachę krypy, wywinąłem się wam i dałem nura do puszczy. Nie lada pracy i pomysłowości kosztowało was potem odnalezienie mego śladu.

- Wtedy to po raz pierwszy postrzeliliście mnie w ramię - westchnął Chackeles. - Tak, wiem, że macie mocne zdrowie.

- I jeszcze mocniejszą wolę, Abramie Izaakowiczu! - dodał Wagin. - Dopnę każdego celu, jeśli zapragnę! Upewniam was, że i tu nie zginę, chyba że wy gdzieś zniecka dźgniecie mnie nożem lub, jak ja dzisiaj, wynajmiecie płatnego zbója. Ale nie myślę, żebyście się na to targnąć mieli, bo wiecie, że poczułem dla was litość, a raczej zrozumienie rozpaczki ojca i gdybyście byli w ciężkiej potrzebie, dopomogę wam. Zresztą, czyja wiem, co wy myślicie w tej chwili?

Machnął ręką i zapinając płaszcz, rzucił:

- Wszystko mi jedno! Róbcie, co chcecie, ale tak, bym nie wiedział, bo inaczej.

To powiedziawszy, zajrzał w zażawione, ptasie oczy Chackelesa. Skurcz przemknął po spochmurniałej nagle i poszarzałej twarzy Wagina. Skinął na sługę, położył mu na wyciągniętej dłoni kilka drobnych monet i mruknął do szpiega:

- Odprowadzę was do bramy miejskiej, gdyż w Czapei mogłaby was spotkać jakaś przykra przygoda. Bądź co bądź jesteście dziś zającem, który wymknął się chartom!

Z głośnym śmiechem wyszli na ulicę. W pobliżu gospody nikogo nie spostrzegli. Z rzadka tylko mijali ich przechodnie, spiesząc się na ustronny, pusty plac, gdzie tego dnia zainstalował się teatr wędrowny. Dobiegało stamtąd huczenie bębnow, jazgot piszczałek, przenikliwe głosy aktorów i ryk widzów. Sponad czarnych zarysów dachów w mglistym mroku strzelały ku czarnemu niebu smugi reflektorów, ustawionych przed rampą. Doszli w milczeniu do czerwonej bramy, za którą zaczynała się już jezdnia asfaltowa i współczesne gmachy koncesji francuskiej. Elektryczne latarnie rzucały snopy niebieskiego światła. Przy chodnikach, otulając się w ciepłe płaszcze, tkwiły posterunki policyjne.

- Nie spodziewałem się nigdy, że takie będzie nasze spotkanie -

- szepnął Abram, gdy Wagin zatrzymał się w cieniu potężnego portalu bramy.

- Ani ja też! - zgodził się Sergiusz. - Widocznie przy sumiennym i szczerym rozważeniu okoliczności i istotnych pobudek każda najzawilsza i najtragiczniejsza sprawa może być wyjaśniona i załatwiona. Ludzie jednak rzadko uciekają się do tego jedynie ludzkiego sposobu, a co z tego wynika - wiemy już o baj z własnego doświadczenia!

Znów zapadło milczenie. Wreszcie Wagin podniósł ramiona, jak gdyby zrzucając z nich ciężar, i powiedział:

- Życzę wam rychłego powrotu do pani Chackeles! A powtórzcie jej wszystko, wszystko!

- Szpieg stał jak zaczarowany i nie mógł oczu oderwać od ciemnej sylwetki Wagina. Poruszał wargami, niby żując coś gorzkiego i piekącego, marszczył czoło, mrużył oczy i to rozkładał, to wciskał w rękawy czerwone, spocone dłonie. Zdawało się, że bał się rozstać z Waginem, że chciał mu powiedzieć coś

niezmiernie ważnego, co nie przychodziło mu na pamięć lub może było tak bezmiernie wielkie, że myśl starego, mściwego Żyda ogarnąć tego nie mogła. Wreszcie jakimś rozpaczliwym ruchem zamachał rękami i wydawszy charczący okrzyk, szybkim krokiem poszedł w stronę miasta. Odgłos jego kroków zginął w jęklwym trąbieniu klaksonów trzech aut straży pożarnej. Wypadły właśnie z bocznej ulicy i do czerwonych potworów podobne pomknęły dalej. Wagin rozejrzał się po niebie. Na zachodniej jego połaci pełgać i płaszać poczyniała luna, a na jej szkarłatnym tle, niby fantastyczny krzew, wykwit! ciemny zwał dymu z migoczącymi w nim iskrami i odblaskami płomieni.

- Gdzieś się pali! - pomyślał Sergiusz. - Ogień, dym, żagwie i węgle czerwone, krzyki, zgiełk i szloch. Lecz za godzinę zgaśnie wszystko, rozwieją się dymy i na pogorzeliisku cisza zapadnie.

Wydało mu się, że oddał ścisły obraz tego, co zaszło w duszy jego i w duszy starego szpiega o wydętych, oślinionych zawsze wargach i sterczących uszach nietoperza. Zaciskając zęby i czując dreszcz wzruszenia czy też nagłe odprężenie nerwów, podniósł kołnierz płaszcza i pochyliwszy się, szedł jezdnią, borykając się z gwałtownymi podmuchami lodowatego wiatru, pędzącego przed sobą obłoki kurzu. Nie zwracał na nic uwagi, nie czuł nawet smagania wichru, ciskającego piaskiem w twarz, nie słyszał jego poświstu i zawodzeń w labiryncie bocznych zaułków. Niósł w piersi jakąś dziwną, zatrważającą go chwilami ciszę i od wielu, wielu miesięcy - spokój i radość, że mógł ować nadnąć uczuciem nienawiści, ostrą żądzą zemsty, że zwalczył w sobie obudzone znowu zwierzę i zerwał z przeszłością na zawsze.

Od jutra - nowe życie! - pomyślał i powtórzył na głos:

- Nowe życie!

- Dochodził już do domu Jun-cho-sana, gdy nagle zjawilo się w nim inne, na pozór dziwne i zupełnie niepotrzebne postanowienie. Minął więc dom kupca, gdzie na podwórku stał domek z pokojkiem, z którego przed trzema godzinami wyniósł na zawsze coś gnębiącego i ponurego. Szedł szybko, chwilami nawet biegł w stronę jaomynia. Obszedłszy go, wchodził już wkrótce do palarni. Wszystkie miejsca na pryzkach zajęte były przez klientów. Jedni zatruwali się dymem opium, drudzy leżeli nieruchomi, pogrążeni już w ekstatycznych marzeniach, inni znów miotali się we śnie i bełkotali coś leniwie poruszającymi się wargami.

Stary So-hai spytał go, czy nie przejdzie do luksusowego salonu, gdzie znajdzie wolną sofę, lecz Wagin, potrząsnąwszy głową, zbliżył się ku końcowi pryczy. Doktor Plen przed chwilą dopiero skończył palenie i leżał oparty na łokciu, wpatrzony nieruchomymi źrenicami w nikły płomyczek lampki i snujące się dokoła falujące płachty i nici dymu. Ujrzawszy Wagina, z wysiłkiem usiadł na macie i przetarł oczy. Poznał go wreszcie, a wtedy upadł na wznak i wyprężył wszystkie mięśnie, że aż mu żyły nabrzmiały na czole, które natychmiast uperliło się kroplami potu. Uniósłszy powieki, uśmiechnął się i szepnął:

- Jakżeż jestem szczęśliwy, że pan przyszedł do mnie w takiej chwili i w takim właśnie nastroju! Jestem bardzo szczęśliwy i bardzo wdzięczny!

Wyciągnął do Wagina rękę i uściskał jego dłoń.

- Przysięgam panu na wszystko, co jest na ziemi istotnie piękne i wzniosłe, że zabić człowieka świadomie, z namysłem, to straszny, żądający pomsty grzech! Niech mi pan nic nie mówi, nic! Proszę teraz iść do domu. Jest pan tam bardzo potrzebny!

Plen mówił z trudem. Trucizna poczyniała działać na nowo. Wagin w milczeniu uśmiechnął się do niego łagodnie i wyszedł, cicho stąpając po grubej macie.

Gdy wchodził na podwórko Jun-cho-sana, wydało mu się, że ktoś przed chwilą stał na ganku i szybko wślizgnął się do sieni, nie zdążywszy zamknąć za sobą drzwi. Jednak w pokoju za ścianą panowała cisza i tylko zgrzytał mechanizm zegara, popychając wskazówki po cyferblacie.

- Od dziś inny człowiek zamieszka w tym pokoju! - z rozkoszą szepnęła do siebie Wagin.

W tej samej chwili spoza ściany dobiegł go stłumiony głos pani Somowej:

- Czy wszystko się panu udało?

- Dziękuję pani! — odpowiedział wesołym głosem. - Znakomicie, niespodziewanie szczęśliwie! Jestem bardzo zadowolony, bo wyjaśniłem różne zawiłe kwestie. Proszę powiedzieć pannie Ludmile, że mój gość dzisiejszy, do którego poczuła taką odrazę, nigdy już tu nie przyjdzie. Spotka go, być może, kiedykolwiek na ulicy, no, ale kogóż nie widuje się na Nanking Road lub na Bundzie?

Zaśmiała się żartobliwie i szczerze.

- No, to i chwala Bogu! - powiedziała pani Somowa, a jednocześnie Wagin postyszał czyjeś westchnienie, jak gdyby pełne ulgi. Nie wątpił, że wyrwało się ono z piersi Ludmily i ucieszył się, że słowa jego uspokoją ją wreszcie. Po chwili cisza zapanowała w małym domku. Wagin, zrzucając płaszcz, usiadł przy stole. Nie chciał i nie mógłby zasnąć. Uśmiechał się wciąż i o niczym nie myślał. Podświadomie tylko wyczuwał, że wszystko, co go teraz oczekuje, będzie drobnym, słabym przeżyciem w porównaniu z ponurą przeszłością.

Zegar zgrzytał i, niby zdyszany, usiłował rytmicznie wybijać sekundy.

Tyk-tak, tyk-tak, tyk-tak!

Pierwsze sekundy nowego życia człowieka.

## IX. NIE ZAZNASZ RADOŚCI BEZ GORYCZY

Człowiek nie posiadał jeszcze rozwiniętego zmysłu krytycznego w stosunku do samego siebie. Wydaje się wprost być pozbawionym ściślej i nieomyślnej orientacji w wypadkach kolizji pomiędzy psychiką własną a działającymi na nią zjawiskami zewnętrznymi. Jedni przeceniają swoje siły, drudzy nie doceniają, a wszyscy razem robią fatalne błędy i nigdy nie są w stanie przewidzieć, jak zareaguje ich dusza na emocje o charakterze psychiki uczuciowej. Stają się wobec tego igraszką tajemnych sił. Rozumiał to już nieznany mędrzec, który na frontonie świątyni delfickiej umieścił sławetną radę: Poznaj samego siebie, a cały tragizm niepoznanej natury człowieczej zgłębiła namiętna w swym

surowym mistycyzmie karmelitanka hiszpańska, święta Teresa od Jezusa, przeorysza klasztoru Alba de Tormes. Człowiek, zastanawiając się nad stosunkiem swoim do różnych rzeczy i zjawisk, wyznać musi wraz z Epiktetem, że niepokoją nas nie rzeczy, lecz nasze mniemania o nich. Jakżeż często jakaś rzecz lub zjawisko przedstawiają się jako niezmiernie ważne, zawite, drogie lub groźne, a tymczasem, przy bezpośredniej z nimi styczności, maleją one, powszednieją i stają się błahe, szare, nikłe i niezmiernie proste.

Wagin, siedząc przy stole i wpatrując się w żółtą rozetkę lampy naftowej, myślał właśnie o tych rzeczach i dziwiąc się, dlaczego te myśli nie przychodziły mu dawniej do głowy, przysięgał sobie w duchu, że nigdy już nie pozwoli się powodować fantastyką i pozostanie zawsze w granicach zimnego rozsądku. Mylił się jednak znowu i jeszcze niebezpieczniej. Zapomniał w tej chwili, że każda istota ludzka to zupełnie odrębny i z każdą chwilą zmieniający się świat. Nikt nie potrafi ściśle obliczyć i zmierzyć swych sił duchowych i fizycznych, potrzebnych mu w jutrzejszym wysiłku. Zmiany bowiem zachodzą głębokie i częstokroć błyskawiczne. Od tego zjawiska, którego człowiek przy wszelkich swoich obliczeniach nie chce uznać za najgłówniejsze, zależą dobrobyt jego, spokój i powodzenie w życiu. Dwóch ludzi, dziś równych sobie pod każdym względem, jutro może stać na przeciwległych biegunach, gdzie jeden stanie się potężniejszym, drugi stoczy się do kresu nędzy i słabości. Gdyby Wagin, siedząc w jadłodajni Gospody Czterech Stron Świata, wdał się w rozmowę ze stepowymi jeźdźcami znad Dołon-Noru, dowiedziałby się od nich rzeczy mądrych, niezmiernie życiowych. Opowiedzieliby mu Mongołowie anegdotę, znaną na stepach pomiędzy Murenią a Orchonem. Nie ma tam ani słupów kilometrowych, ani przewodników drukowanych, ba - nawet map szczegółowych nie sporządzono jeszcze. Toteż podróżnicy, przecinający ten kraj, pytają ogólnikowo tkwiącego na pagórku pastucha, jak daleko do tego lub innego koczowiska. Mongoł nigdy nie odpowie bez namysłu. Podjedzie, obejrzy konie, a potem starannie obmaca nogi, ramiona i piersi jeźdźców i mrużąc oczy, mruknie:

- Dla jednego blisko, dla drugiego daleko!

Wagin widział przed sobą jasny cel - spokój, lecz nie przeczuwał, że cel ten, dziś taki bliski, już prawie osiągnięty od chwili pożegnania Chackelesa za murem Czapei, jutro stanie się tak daleki jak górski szczyt, widzialny niby na dłoni - od podnóża do śnieżnego wierchu, a niedościgniony i niezdobyty. Nie myślał też o tym, że jutro mgła i ciemność mogą pochłonąć ów cel, budzący w duszy uczucie szczęścia, że może zaświtać inny, jeszcze bardziej ciągnący ku sobie, lub roztoczy się dokoła jedynie mrok i nic z niego nie wyłoni się i nic nie rozbłyśnie, jak na wzburzonej powierzchni morza w ślepią noc jesienną. Dziś jednak był szczęśliwy i ukojony, więc nie mógł i nie chciał myśleć o niczym, co miałyby moc przygasić blask i ostudzić żar tego uczucia i nastroju.

Wszystko tak świetnie się ułożyło! - myślał chwilami, przeżywając lekkie zamieranie serca i jakąś słodką niemoc. - Skończyłem wreszcie szarpaninę z Abramem, nie mam już w duszy nienawiści i obawy, sprawiłem przyjemność temu jasnowidzącemu cudakowi - Plenowi i temu dziecku umierającemu, pragnącemu widzieć wesołą twarz; wreszcie przekonałem się, że lubią mnie w tym domu i troszczą się o mój los, przecież nie tylko dlatego, ażeby w terminie płacił za pokój? Miczurin! Ach, ten musi być zły na mnie i zapewne leży teraz pijany i klnie, jeżeli jeszcze potrafi poruszać językiem. No, z tym to dam sobie radę! Zaproszę go jutro do restauracji W Locie Siedmiu Jaskótek! Niech sobie...

Myśl urwała się nagle. Z twarzy Wagina spętał uśmiech szczęśliwy. Uniósł głowę i począł nadśłuchiwać. Za ścianą powstał ruch. Dobięły go strwożone, stłumione głosy pani Somowej i Ludmiły. Sergiusz pochwycił wkrótce inne jeszcze dźwięki. Było to głuche rzężenie, a raczej - bulgot, jak gdyby na powierzchni gęstej cieczy pękały bąble powietrza.

Coś się dzieje z chłopakiem! - domyślił się.

Istotnie rozległy się głośnie i pośpieszne kroki obydwu pań, urwane zdania, plusk wody i brzęk szkła.

- Weź z sieni - tam zimniejsza. Przyniesź cały kubek, ręcznik. Może pobiegnę po doktora? Daj mu trzydzieści kropel. Gdzie postawiłaś amoniak?

I znowu głośniejszy już, jakiś złowrogi bulgot i rzężenie. Wagin szybko wyszedł do sieni i zapukał do drzwi sąsiadek. Wyjrzała blada twarz Ludmiły. Oczy jej płonęły, usta drżały.

- Czy nie mogę być w czymkolwiek pomocny paniom? Romkowi gorzej zapewne? Mogę sprowadzić doktora Plena, bo widziałem go przed godziną. Zdaje mi się, że będzie w stanie przyjść.

- Niech pan wejdzie! - posłyszał Wagin głos pani Somowej. - Coś strasznego dzieje się z Romkiem!

Sergiusz ujrzał panią Somową w szlafroku, pochyloną nad synem. Widział ją z profilu. Nad czołem jej oświetlony od góry wiszącą lampą poruszał się siwy kosmyk miękkich, falistych włosów. Zdawało się, że to jakaś żywa istota - półprzeźroczysta ćma - lekka, powiewna, miota się nad białym czołem i usiłuje wtargnąć do mózgu, wykonywując jedno i te same, uporczywe ruchy. Z oczu pani Somowej od czasu do czasu kapwały łzy. Sergiusz spostrzegł kilka razy ich błysk, gdy padały, przełamując nikłe promienie lampy. Wagin postąpił kilka kroków i stanął w nogach chorego chłopaka. Ujrzał najpierw jego wychudzone dłonie, niespokojnie sunące po prześcieradle. Romek podniósł je aż do twarzy i opuszczał do środka piersi, jak gdyby ściągając z siebie niewidzialne nici. Usta miał otwarte i z nich to wydobywał się ów bulgot straszny, rodzący się w głębi zżartych płuc, z czarnej mieszaniny ropy i świeżej krwi. Zaostrzone rysy twarzy odcinały się sinawą barwą od bieli poduszki; pod otwartymi, zapadłymi już oczami przeciągały się brunatne cienie.

Chłopak był przytomny. Z przerażeniem i błaganiem wpatrywał się w matkę, owijającą mu rozpalone czoło namoczoną w wodzie płachtą. Chory spostrzegł Wagina i rozpaczliwym ruchem wyciągnął do niego drżącą, słabą rękę. Opadła natychmiast na pierś i znowu poczęła w straszliwym, powolnym rytmie ściągając z siebie te przekłete nici. Wagin uśmiechnął się do niego, całą wewnętrzną radość swoją wkładając w ten uśmiech pełny łagodności i współczucia, a po chwili przemówił cichym głosem:

- To tak? Doktor kazał grzecznemu chłopczykowi spać i nie robić awantur, a tymczasem chłopczyzna - niegrzeczny i wyrabia jakieś hece? Cóż to za nowa moda? Powracam właśnie od doktora. Kazał powiedzieć ci tylko trzy słowa: Spać! Spać! Spać!.

Ręce chorego zwolniły ruch i znieruchomiały. Powieki zwały się mocno. Usta zacisnęły się szczelnie. Chłopak usnął i tylko w wynędzniałej, wąskiej piersi jego kotłowało się coś, zgrzytało i syczało. Pani Somowa uklękła przy łóżku i oparłszy czoło o materac, płakała bezdźwięcznie i gorzko. Siwiejąca jej głowa trzęsła się, ramionami wstrząsał dreszcz. Serce matki przeczuło już grozę i straszne znaczenie długich godzin nieprzerwanego snu synka. Jęła wpatrywać się w chudą twarzyczkę Romana i ustami dotykać jego bladych dłoni. Żegnała go, zapewne, rozumiejąc już, że ten dziwny sen jest konaniem.



- Mamo! Mamo! - szepnęła Ludmiła, dotykając ramienia matki. - Pan Wagin jest jeszcze u nas.

Pani Somowa wstała z klęczek i rozejrzała się po pokoju.

- Roman umrze -jęknęła, spostrzegłszy Sergiusza, stojącego w cieniu koło drzwi. - Roman umrze!.  
Wiem to na pewno.

Wagin milczał. Nie odzywała się też Ludmiła. Nie mieli sił zaprzeczyć prawdzie, a może pragnęli, aby zrozpaczona matka do tej strasznej myśli przywykła i łatwiej już znieść mogła ciężki i nieunikniony cios.

- Do ostatniej chwili nie należy tracić nadziei - wypowiedział wreszcie Wagin słowa banalnej, nic nieznaczącej pociechy i uczynił ruch ku drzwiom.

Pani Somowa z opuszczoną głową usiadła w fotelu. Ludmiła stała oparta o piec.

- Dobranoc! - szepnął do niej Sergiusz. - Jeżeli będę potrzebny, proszę stuknąć w ścianę, natychmiast przyjdę. Radzę jednak pani ułożyć mamę do łóżka, bo będzie potrzebowała jeszcze dużo sił.

Porozumiewawczo zajrzał w jej ciemne oczy i wyszedł z pokoju.

Co znaczy moje drobne, samolubne szczęście wobec tej głębi rozpacz i bólu? - pomyślał z westchnieniem i natychmiast uświadomił sobie, że mimo całego współczucia dla nieszczęścia sąsiadek nie jest dziś w stanie podzielić ich cierpienie. Ponad wszystko górowało w nim poczucie osobistego ukojenia i jakaś namiętna żądza pozostania w tym nastroju jak najdłużej. Było to uczucie - podobne do radości marynarzy, gdy po długim i ciężkim sztormie na morzu, wypoczywają w zacisznym parku portu, gdzie nic nie przypomina im o walce z żywiołem. Wagin czuł się tak jak żołnierz powracający do domu do zwykłego dłań otoczenia po miesiącach męczeńskiego życia i bitew w okopach, gdzie dziczały i tępiały zmysły, gdzie w obliczu śmierci w duszy i we krwi budziło się zwierzę ludzkie - okrutne i podstępne. Przed chwilą wyrwano go z jego radosnego i cichego nastroju, postawiono wobec męki i nieszczęścia, zmuszono wyczuć zimne, nielitościwe tchnienie śmierci. Skrzywił wargi i nachmurzył brwi. Poczuł coś, ni to niechęć, ni to żal do tych zawsze smutnych kobiet, z największym, zdawało się, wysiłkiem podtrzymujących w sobie ledwie tlejącą chęć do życia.

Tam w palarni - dogorywający opiumista - Plen, tu znów - konający chłopak i te dwie - o umarłych duszach istoty bez uśmiechu, bez woli do walki - innej niż ta pierwotna o najbliższą godzinę istnienia!  
- pomyślał z goryczą.

Pochwyił siebie na tej myśli i stosunku do ludzi, z którymi przypadkowo związał go los, i zzymnął się ze wstrętem.

- Bardzo nikczemnie zaczynam reagować na biedę ludzką! - zamruczał do siebie. - Podła jest nasza natura - nieszczęście osobiste czyni z nas egoistów, a znów szczęście jeszcze bardziej odsuwa nas od otoczenia, jeżeli nie odpowiada nastawieniu naszych nerwów i myśli i wymaga od nas jakichś odchyień i ustępstw myślowych i uczuciowych! Podła natura ludzka!

Pomyślał to z całą szczerością i bezwzględnością wobec samego siebie. Sprawiał mu przykrość ten proces psychiczny, a jednocześnie zawstydział i jak gdyby budził sumienie, uśpione zachłanną radością, że oto wreszcie, po tylu trwoźnych dniach brzemiennych w zbrodni, strach o siebie, głód i

nienawiść, cisza wstąpiła do jego zmęczonej duszy, że zakończył się ponury, obłądny okres jego życia, a on sam stanął na progu przyszłości - odmiennej do głębi i wcale go nieprzerażającej, bo rozplomieniła się w nim nagle wiara w swoje siły i nadzieja.

Stąpając na końcach palców i krzywiąc się boleśnie, gdy pod stopami skrzypnęła deska podłogi i zgrzytnęły zawiasy otwieranych drzwi, wyszedł do sieni. Drzwi pokoju Somowych natychmiast się uchyliły i przez szparę wyjrzała Ludmiła.

- Romek się uspokoił. Mama usnęła. Co się stało? Pan wychodzi? - spytała, z trwogą patrząc na niego.

- Byłem niespokojny o Romana i chciałem się dowiedzieć, jak się ma - odpowiedział cicho. - Bardzo żałuję tego miłego biedaka i szczerze współczuję z paniami.

- Dziękuję! - szepnęła. - Nie wiem, czym zasłużyliśmy na tyle serca ze strony pana. Doprawdy, to takie dziwne...

Wagin zamierzał już z całą szczerością odpowiedzieć, że wzruszyło go ich milczące, nikomu nieznanie cierpienie samotnych kobiet, pozbawionych przyjaciół i pomocy, ale powstrzymał się, żeby nie pogłębić zgnębienia zawsze smutnej dziewczyny. Zmienił więc treść swej odpowiedzi:

- Z własnego doświadczenia wiem, że czasem nawet takie bierne i, właściwie mówiąc, do niczego niezdatne współczucie wydaje się niby potrzebnym.

- O, tak! - szepnęła Ludmiła. - Nie mamy tu zupełnie bliskich i przyjaznych serc. Stosunki nasze z kolonią emigrancką są bardzo luźne. Nie chcemy pokazywać im naszych udręk i smutnych twarzy. Bezcelowe to i przykre.

Umilkła i zajrzała do pokoju. Wagin postąpił krok naprzód i z prostotą powiedział:

- Po co mamy rozmawiać w zimnej sieni? Proszę bardzo, niech pani wejdzie do mnie. Porozmawiamy sobie. Z mego pokoju posłyszycie pani wszystko, co się dzieje za ścianą.

Zaśmiał się cicho i zażartował:

- Dobrze się stało, że znalazły panie takiego lokatora, co nigdy w domu nie siedzi, bo inny to znałby wszystkie tajemnice domu!

Ludmiła usiadła przy stole. Światło lampy padało na jej twarz. Wagin z ciekawością przyglądał się jej. Właściwie mógł przyjrzeć się jej po raz pierwszy i natychmiast zdał sobie sprawę, że poprzednie, przelotne wrażenie było mylne. Chociaż Ludmiła nie można było uznać za ładną, jednak miała ona wybitną, przykuwającą do siebie twarz, budzącą niewyraźny niepokój. Dość szeroka, o lekko zaznaczonych kościach licowych, mimo pewnej złocistej smagłości zdumiewała niezwykłą delikatnością, zdawało się, fosforyzującej cery, podkreślonej otokiem ciemnych, kasztanowatych, obfitych i miękkich włosów. Nieco przygruby i z lekka zadarty nos harmonizował doskonale z resztą rysów, nie szpecąc całości. Zresztą, jak musiał przyznać obserwujący ją Sergiusz, cała twarz służyła za tło dla ust i oczu. Usta miała dość szerokie, lecz świeże, a bardzo czerwone wargi wykrojone były pięknie i przy każdym ruchu odstaniały białe, zdrowe zęby. Pod łukami prawidłowo zarysowanych brwi, prawie zrosniętych ze sobą, niby z głębi tajemniczych wnęk świeciła para najdziwniejszych oczu. Ciemne i głębokie (Waginiowi znowu przypomniały się obrazy świętych męczenników bizantyńskich)

patrzyły z jakimś napięciem czy zaciętością, tak obcą wyrazowi tęsknoty, nakładającej swe piętno na całą twarz i postać dziewczyny. Istotnie - opuszczone bezwolnie, miękkie ramiona, pochylona nieco szyja, słabo rozwinięte, dziewczęce piersi, których ruchu pod cienką tkaniną bluzki nie mógł pochwycić wzrok Wagina - wszystko świadczyło o tym, że tęsknota wycisnęła na całej fizycznej i duchowej istocie Ludmiły Somowej głębokie, niezatarte ślady.

Sergiusz posunął bliżej krzeselka i natychmiast spojrzenia ich skrzyżowały się. W oczach Ludmiły ujrzał niepokój i pytanie. Uśmiechnął się do niej i powiedział cicho:

- Chcę wypalić papierosa, ale po sztubacku - do pieca, żeby nie zaszkodzić Romkowi.

Wstał i usiadł na macie przed piecem, puszczając dym przez otwarte drzwiczki. Spojrzała na niego z wdzięcznością i po chwili szepnęła:

- Czuję się w obecności pana skrępowaną. Byłam głupia, z pierwszego wrażenia robiąc niestosowne wnioski. Pan nie jest taki, jakim mi się pan wydał wtedy na ganku. Głupia jestem i raz jeszcze przepraszam pana.

Wagin zaśmiał się cicho i odparł natychmiast, usiłując wywołać uśmiech u Ludmiły, bo nie mógł jej sobie wyobrazić choćby przez chwilę wesołą:

- Myśli pani, że będę się wybijał z sił, dowodząc mądrości i spostrzegawczości pani! Ani mi się śni!

Obejrzała się na niego, lecz nie uśmiechnęła się nawet.

- Opowiadał mi pan o swoim znajomym, który miał tak tragiczne przejście ze swoją narzeczoną, czy - zaczęła Ludmiła, lecz Sergiusz przerwał jej skwapliwie:

- O sobie opowiadałem to - dla pani! Pani to zrozumiała i jak się wkrótce przekonałem, doktor Plen również. Dziwny to człowiek - jakiś czarodziej, jasnowidz!

Ludmiła odwróciła się i Wagin widział teraz tylko czarną jej sylwetkę i migotliwy obłok włosów nad głową.

- Po odejściu pana myślałam długo o tym, co pan przeżył - odezwała się po chwili. - Rzeczywiście - można było oszaleć!

Sergiusz zaśmiał się i wrzucił niedopałek do pieca.

- Toteż i oszalałem! - powiedział, siadając naprzeciw niej. - Gdybym nie oszalał, to bym ani do niej, ani do tego Bogu duszy winnego komisarzyny nie strzelał! Niewarta była tej kuli i samej intencji zabójstwa!

Ludmiła poruszyła się cała, jak gdyby poczuła zimny powiew.

- To okropne, co pan powiedział o zabitej przez siebie i niegdyś kochanej kobiecie!

- Okropne, ale prawdziwe! - odparł, wruszając ramionami. - Byłem głupi od początku i do końca całej tej historii! Pokochałem nieznaną mi i nie wiedzieć dlaczego wyidealizowaną dziewczynę, o poziomej duszy, zręcznie dekorującą się inteligencją i taktem życiowym, a potem zemściłem się na niej za to,

że była taka, jaką ją uczyniła natura. Gdybym mógł, prosiłbym ją szczerze o przebaczenie. Fatalne nieporozumienie z tragicznym epilogiem, jak to określają dziennikarze od sensacji kryminalnych!

Zaśmiał się znów, patrząc w tęskne oczy Ludmiły. Ponieważ nic nie mówiła, zamierzał nawiązać rozmowę na inny, mniej drażliwy temat.

- Wie pani, że doktor Plen wprowadził mnie dziś w zdumienie? Ten człowiek widzi i słyszy na odległość!

Ludmiła obojętnym głosem odpowiedziała:

- Jest to wynik chorej psychiki, w naszych czasach niezmiernie rozpowszechniony. Podobne zdolności chwilami i u mnie się objawiają. Sprawdził to pan przecież na sobie. Ludzie przechodzą teraz takie piekło, czyha na nich dokoła tyle niebezpieczeństw, że muszą być czujni, przewidujący i wrażliwi. Stąd jeden tylko krok do nadwrażliwości i jasnowidzenia.

- Zapewne ma pani słuszność! - ożywił się Wagin. - Podczas swego pobytu w Rosji mieszkałem u pewnego uczonego. Mniej więcej tak samo objaśniał podobne właściwości. Twierdził poza tym, że zjawiska tego rodzaju stają się dość pospolitymi w okresach wielkich przewrotów i kataklizmów historycznych. Podobno w dobie działania świętej inkwizycji - Hiszpania i Holandia miały tysiące jasnowidzów, astrologów, wróżbiarzy, których gorliwi mnisi wlekli na stosy. To samo, tylko bez stosów, bo wtedy dla odmiany działały gilotyny - obserwowano we Francji w czasie wielkiej rewolucji, a i u nas za naszego Iwana Groźnego i prześladowania sekciarzy przez Piotra jasnowidztwo było podobno rozpowszechnione niebywale.

- Teraz takich typów byłoby jeszcze więcej, gdyby nie wzmagający się nawrót do Boga - zauważyła Ludmiła.

- Raczej do tajemniczego tekstu Apokalipsy! - uśmiechnął się z politowaniem Sergiusz. - Napatrzyłem się i nasłuchałem tego aż do obrzydzenia w Rosji! Cięży na nas jakieś przekleństwo. Mamy we krwi pociąg do okrutnego mistycyzmu. Lud nasz zaczytywał się dawniej Żywotami męczenników - tą straszną, krwawą księgą, i wyrobił sobie i do obłędu doprowadził dzikie, ponure okrucieństwo, teraz znów komentuje bezmyślnie, niepoddające się komentowaniu Objawienie świętego Jana i przekształca się w dzikich, ponurych, biernych męczenników.

Ludmiła długo milczała, wreszcie szepnęła:

- Już pojawiają się ludzie, którzy nawołują do połączenia się z Bogiem innymi drogami.

- Nie słyszałem o tym! - wzruszył ramionami Wagin. - Niech mi pani opowie: cóż to za ludzie i co to za drogi?

Jak gdyby nie słysząc jego pytania, dodała:

- Na ruinach trzeciego, jak wierzyli teologowie moskiewscy, niezłomnego Rzymu - Kościoła rosyjskiego, musimy wznieść czwarty Rzym, który przeczuwamy w nadświadomości i widzimy opromieniony niewidzialnym światłem.

Mdłą wonią spleśniałych ksiąg sekciarskich wiało od mglistych myśli tej dziwnej, tęsknej dziewczyny. Patrzyła w przestrzeń i jak gdyby widząc cudowną zjawę, uśmiechała się do niej, porwana milczącym

zachwytem i cichą ekstazą. Był to pierwszy, podpatrzony przez Wagina uśmiech na twarzy Ludmiły. Mimo woli uświadomił sobie, że ta smutna twarz stała się nagle piękną rozpromienionym w duszy natchnieniem i jak gdyby namiętnością, zapalającą krew, która okryła żywym rumieńcem jej policzki i ożywiła tęskne, nieruchome źrenice. Jednocześnie jednak Sergiusz spostrzegł coś, co go zastanowiło i sprawiło mu bolesny zawód. Ta rozpromieniona twarz, płonące oczy, rozpalone i gorące wargi podkreśliły jeszcze bardziej głębką, żrącą tęsknotę, co niepodzielnie władała sercem i duszą dziewczyny. Usiłując mówić żartobliwie, zauważył z cichym śmiechem:

- Rychło w czas nawołują ci dziwni ludzie, o których wspomniała pani, do szukania czwartego Rzymu! Po pierwsze zapomnieli, zapewne, że ihumen pskowski Filoteusz jeszcze za czasów Iwana III twierdził, że czwartego Rzymu nigdy nie będzie, a po drugie - mamy szukać nowego Rzymu, wówczas, gdy musimy objąć nogi na poszukiwanie chleba?

- Nie tylko chlebem żywić się powinien człowiek! - szepnęła.

- A tak, a tak! Słyszałem o tym nieraz, ale co do mnie, to mogę być głodomorem nie dłużej od miesiąca! - odparł wesoło.

Ludmiła milczała. Oczy jej gały, rumieńce jak gdyby wsiąkały w skórę, nie pozostawiając po sobie śladu, uśmiech zniknął. Wagin nie wiedział, jak nawiązać nową rozmowę, i po chwili pogrążył się we własnych myślach i przeżyciach tego wieczora. Zegar za ścianą, zgrzytnąwszy przeciągle, wybił jeden raz, ale długo jeszcze rozlegało się basowe, powoli słabnące brzęczenie sprężyny. Nagle oboje jednocześnie unieśli głowy i spojrzeli na siebie. Poprzez drżący cichy głos metalu przebił się jakiś inny dźwięk - szelest czy westchnienie.

- Proszę zajrzeć do pokoju, może Roman się obudził - szepnął trwożnie Wagin i poszedł za dziewczyną do sieni, zatrzymawszy się na progu przed wpółotwartymi drzwiami. Pani Somowa widocznie usnęła w fotelu. Przyćmiona lampa słabo oświetlała pokój, rzucając mętną plamę na okrytą matą podłogę. Ludmiła wślizgnęła się do pokoju. Wagin nie mógł jej widzieć, bo przeszkadzały mu drzwi. Długo nie powracała, aż Sergiusz posłyszał ciche, zduszone łkanie. Starając się stąpać bez szmeru, wszedł do pokoju i z wolna posuwał się do łóżka chorego chłopca. Ludmiła, trzymając w ręku lusterko, stała pochylona nad bratem. Zaciskając sobie gardło, płakała, nie mogąc oczu oderwać od przezroczystej, bladej twarzyczki Romana. Wagin zrozumiał od razu, że chłopak umarł we śnie, więc dotknął jego czoła i rąk. Przykry, wilgotny chłód ich, mocno zaciśnięte powieki i wpółotwarte usta dopowiedziały reszty.

Doktor Plen uczynił wszystko, co mógł - pomyślał Sergiusz i dotknął ramienia Ludmiły, oczami wskazując na drzwi.

Podtrzymując ją, popychał ku sieni. Pani Somowa z lekkim chrapnięciem poruszyła się w fotelu. Spała. Wprowadziwszy Ludmiłę do siebie, usadowił ją na krześle i nalał szklanek wody. Wypiła kilka kropel, dzwoniąc zębami o szkło i opuściła głowę na złożone na stole ręce. Łkania wstrząsały nią. Wagin usiadł obok i mówił łagodnym głosem: Na szczęście chłopak miał lekką śmierć. Gdy wezwaliśmy doktora, rozpoczynała się już agonia. Świeć, Boże, nad jego duszą. Niech pani nie budzi mamy. Bóg zesłał jej sen, aby pokrzepić, dodać sił. Lepiej, że się tak stało, niż gdybyście miały być świadkami długiego, ciężkiego konania. Co miało się stać, to się już stało.

- Ach, mama tego nie przeżyje! Żyła ona tylko dla Romka, zawzięła się, że uratuje go - wzdychając i płacząc, urywanym głosem szeptała dziewczyna. - Cóż teraz z nami będzie?

Pochylił się nad nią tak nisko, że jej miękkie włosy musnęły go po twarzy.

- Panno Ludmiło - rzekł twardym, poważnym głosem. - Człowiek ma w sobie niespożyte siły i może przetrwać najgorsze, nawet hańbę, nawet palące wyrzuty sumienia. Wszystko minie i my kiedyś miniemy, a nic się nie zmienia.

Długo siedzieli, milcząc, aż Ludmiła, pożegnawszy go spojrzeniem, wysunęła się z pokoju.

Wagin, nie zdejmując ubrania, położył się na łóżko i chociaż był wzburzony i smutny, od razu zapadł w głęboki sen. Odprężone nagle nerwy, znużone innymi już wrażeniami, żądały wypoczynku. Obudził go głośny płacz pani Somowej i cichy, smutny głos Ludmiły.

Dziewczyna mówiła:

- On już przebywa w Królestwie Niebieskim. Nie płacz, mamo, bo duszyczka jego rwać się będzie ku ziemi i cierpieć straszliwie. Pomódlmy się razem za duszę Romeczka i uprośmy go, aby nas też zabrał do siebie jak najprędzej, jak najprędzej!

- Wagin obmył sobie twarz i ręce i posłyszawszy kroki za ścianą, spytał, czy może wejść. Pomodliwszy się za zmarłego, zwrócił się do stroskanych i rozpaczonych kobiet. Pani Somowa, blada i jak gdyby jeszcze bardziej posiwiała, łamiąc ręce, płakała i rozpacziała:

- Nie byłam przy jego ostatnim tchnieniu. Podła jestem, usnęłam jak zabita, a on - synek mój, umierał tymczasem samotny!

- Romek umarł we śnie, nic nie czując - pocieszała ją córka.

Wagin zaczął działać. Rozejrzał się po pokoju i powiedział stanowczym głosem:

- Panie wydobędą czystą bieliznę i ubranie, a ja już nieboszczyka oporządzę. Muszą panie uzyskać zapomogę na pogrzeb. Przy cerkwi naszej istnieje fundusz na ten cel. Żyjącym z niego nic nie dają, ale w podobnych wypadkach towarzystwo dobroczynności dopomaga. Może panie mają jakich zamożnych znajomych?

- Chyba senator Ableuchow, chociaż nie wiem, czy to wypada? - przez łzy szepnęła pani Somowa.

- W takim wypadku można prosić o pożyczkę - doradzał Sergiusz.

- Zwrócimy mu ją wspólnymi siłami. Proszę się spieszyć, bo w chińskiej dzielnicy nie wolno trzymać w domu nieboszczyków. Władze, zaniepokojone wypadkami dżumy, będą żądały natychmiastowej eksportacji. Proszę się spieszyć! Panna Ludmiła musi jeszcze wpaść do swego biura i wziąć urlop na dwa dni. Radzę ubierać się i natychmiast iść. Proszę mi powiedzieć, gdy panie będą wychodziły. Do powrotu pań będzie tu wszystko przygotowane.

Obejrzał się na umarłego chłopaka, przeżegnał się trzykrotnie i wyszedł z pokoju.

## X. GŁÓD

Minęło już trzy miesiące od pogrzebu Romana.

Wagin wciąż jeszcze mieszkał u pani Somowej, chociaż teraz tak rzadko widywał się z nią i Ludmiłą, że nie miały one sposobności spostrzec, jak bardzo zmienił się jego wygląd zewnętrzny. Znikła wyprostowana, wyniosła postawa, zgrubiały i szczerniały ręce, na których coraz częściej dostrzec można było sińce i krwawiące blizny; zniszczone ubranie wisiało na nim, a zdeptane trzewiki przyozdabiały się coraz to nowymi łatami. Twarz Wagina nie miała już dawnego skrzępego i drapieżnego wyrazu; oczy straciły mgliste spojrzenie tysiąca niewidzialnych, a czujnych źrenic. Na twarzy jego widniał najczęściej uśmiech spokojny i nawet wesoły lub smutny, cichy i pogodny. Zdawało się, że ani rozpacz, ani żadne inne namiętności nie mogłyby wyrycić na niej swych śladów - prócz tych, które wycisnęła już i utrwaliła na zawsze przeszłość, powoli odchodząca w zapomnienie.

Lokator pani Somowej nie uczęszczał na zebrania emigrantów rosyjskich, a przedsiębiorcza i ciekawa panna Marta Ostapowa nie zdołała wciągnąć go do towarzystwa, gromadzącego się każdej niedzieli w restauracji Wołga. Po śmierci syna pani Somowa z córką również przestały tam bywać, wymawiając się żałobą i tym, że wszystkie niedziele spędzają na cmentarzu. Wagin w dni świąteczne nie wychodził z domu i spał. Tak przynajmniej mówił pani domu, zaznaczając, że wyczerpuje go obecna praca akwizytora, którego, jak wilka, karmią nogi.

Sergiusz, nie mając żadnej stałej pracy, mógł sobie pozwolić tylko na trzy obiady tygodniowo, żywienie się herbatą z chlebem w resztę dni, z wyjątkiem niedzieli, kiedy zastosował zupełną już głodówkę, nie opuszczając przy tym łóżka, co w znacznym stopniu ułatwiało mu przeprowadzenie podobnej kuracji, jak nazywał w duchu swój niedzielny tryb życia.

Co prawda, gdyby nie dość znaczna dla jego kieszeni suma za zajmowany u Somowych pokój, miałby się znacznie lepiej, nie śmiał jednak pozbawić wychudłej, zapłakanej i zgnębionej pani Somowej lokatora, więc musiał oszczędzać na wszystkim, aby wytrwać przy swoim mieszkaniu w najlepszej części Fo-Tien-Koo. Poza wszystkim jednak miał szczęście i bez pracy nie pozostawał, chociaż pobili by zapewne każdy rekord jej różnorodności. Pracował jako tragarz przy ładowaniu okrętów, przeglądał korekty w pewnym angielskim piśmie popołudniowym, pakował ryzy papieru, wysyłanego do Kanady, kontrolował bilety w kinie Alhambra, sprzedawał japoński dziennik reklamowy, wydawany w języku angielskim i chińskim, i zbierał dla niego ogłoszenia, a nawet przez kilka dni był szoferem auta ciężarowego, rozwożącego trzy razy na dobę pieczywo amerykańskiej mechanicznej Wheat Products Company Ltd. Jak dotychczas jednak nadarzała mu się wyłącznie praca dorywcza, przypadkowa. Zawdzięczał ją we wszystkich niemal wypadkach Miczurinowi, z którym zaprzyjaźnił się, poznawszy lepiej tego pijanego zawsze rodaka. Gospoda Czterech Stron Świata od dawna już stała się giełdą mięśni ludzkich i... ludzkiego życia. Przez jej brudne izby, boczne oficyny, po brzegi wypchane ludzkim materiałem, i przez zatłoczone dziedzińce przewijały się codziennie tysiące Chińczyków, załatwiających niezliczone, a nieraz niemożliwe, zda się, sprawy. Szukano tam wielbłądów i poganiaczy dla karawany pielgrzymów, udających się do Tybetu, aby złożyć ofiary i zanieść modły u stóp Potali, gdzie na szczycie świętej góry przebywał ukryty przed całym światem Żywy Budda - dalajlama, arcykapłan buddystów - lamaitów; wynajmowano tamże karawany dla przemytników, wybierających się do Indii, Afganistanu i Persji, namawiano głodnych kulisów, aby wyruszyli na brzeg

morza dla wyładowywania zatoniętych i porzuconych przez właścicieli dżonek z towarami; tworzone partie, które za nędzną zapłatą posyłano potem do gór Sichote Aliń na poszukiwanie czarodziejskich korzeni leczniczej rośliny żeń-szeń, chociaż obydwie te przedsięwzięcia groziły pewną śmiercią - bądź to od wzburzonych fal morza, bądź też od kul rosyjskich strażników granicznych; hersztowie bandytów werbowali w Gospodzie ochotników do swoich organizacji, mających nawet własnych świętych patronów; kupcy zakontraktowywali marynarzy dla na wpół zgniłych kryp, płynących po Jangcy-Kiangu i kanałach; agenci rozlicznych wodzów wyszukiwali tam żołnierzy do armii, biorących udział w wojnie domowej i plądrujących kraj; sędziowie szukali desperatów, którzy za kilka sztuk srebra i przyzwoity pogrzeb zgadzali się zastąpić bogatego hunhuza, skazanego na ścięcie; w pewnych godzinach odbywały się tam nawet targi niewolnikami, bo Wagin nie mógł tego nazwać inaczej, widząc, jak rodzice sprzedawali obcym ludziom swoje dzieci, a jakieś stare wiedźmy przeraźliwymi głosami zachwalały niewinność i drażniące rozpustną wyobraźnię zamożnych kupców osobliwe właściwości swych córek i wnuczek, znajdując w końcu nabywców. Niepodobieństwem byłoby wyliczyć wszystkich możliwości tego zbiorowiska ludzkiego, gdzie ocierali się o siebie kupcy, przemysłowcy, lamowie, pomysłowi żebracy o strasznym nieraz wyglądem, znachorzy, trędowaci, prostytutki, bandyci, prawie dzicy poganiacze zwierząt pociągowych z dalekiej prowincji Kansu, pasterze z Ordosu i Sin-Kiangu, marynarze i piraci, sztukmistrze, wędrowni aktorzy, agitujący przeciwko Europejczykom i Japończykom, zrujnowani, bezrolni wieśniacy, profesjonalni, należący do kasty złodzieje, a wreszcie - jacyś obłąkańcy ni to od choroby umysłowej, ni to z głodu i rozpacz.

Na dziedzińcach i w zakamarkach Gospody gromadziły się wszystkie wiadomości z Szanchaju i całego kraju - wiadomości najświeższe i najściślejsze. Wiedzano tu o każdym wypadku, który można było wykorzystać w ten lub inny sposób. Gdzieś zawalił się niedawno wzniesiony gmach, w innym miejscu postanowiono budować nową siedmiopiętrową żelbetonową siedzibę dla związku towarzystw asekuracyjnych; z Hongkongu płynie kilka okrętów, które rzucą kotwicę na Wusungu, aby ładować bawełnę, skóry i papier; przygotowuje się napad na składy eksportowej firmy ryżu, a jednocześnie jacyś szaleńcy mają wybić szyby i porwać, co się da, ze sklepów japońskich; misjonarze amerykańscy werbują nowych prozelitów i dają za to po dwa tael i komplet nowego ubrania; słynny Mo-Sing, przywódca bandytów z Chinganu, został rozbity przez wojska rządowe pod Tsycykarem i przysłał zaufanego hunhuza, szukającego zuchwałych ochotników do nowego oddziału herszta; na Wusungu, na przystani Tientsin-Pukouskiej Kolei zerwała się żelazna klatka kranu i przygniotła na śmierć kilku tragarzy; na Bundzie zdarzył się inny wypadek - chiński kupiec Li-na-cho pokłócił się z dyrektorem agencji transportowej i ten nie dał mu lichtuga ani holowca do przewiezienia bawełny i jedwabiu, chociaż duży angielski parowiec od wczoraj już oczekuje ładunku na pełnym morzu; Li-na-cho złożył swoje bele na przystani i teraz wynajmuje wozy i ludzi, aby przewieźć i przenieść swój towar do portu; w okolicach Nankingu wybuchła dżuma i władze poszukują rąk roboczych do zbierania i palenia trupów; policja z jaomynia myszkuje wszędzie, szukając piratów, którzy na Wielkim Kanale ograbili koleję kryp i zabili dwóch strażników; wesóły dom Śpiewnych Kielichów Miłości zmienia wszystkie kobiety i poszukuje nowych i młodych - cała ta powódź wiadomości niezmiernie nieraz ważnych objęła się o uszy Wagina, gdy, nie mając pracy, odwiedzał lejtnanta. Postyszawszy to lub owo, natychmiast robił z tego użytek, a zawsze z dobrym wynikiem, gdyż umiał rozmawiać z ludźmi krótko, poważnie i zrozumiale i przekonywać ich zawsze. Zarabiał więc na mieszkanie i na ubogie, półgłodne życie, wierząc niezłomnie, że musi zajść jakiś wypadek, który pozwoli mu twardą stopą stanąć wreszcie na gruncie tego strasznego miasta, wrzącego stale niby lawa w kraterze wulkanu. Niespodziewanie nastąpiły jednak czasy niezwykle ciężkie. Napad na firmy japońskie i miejscową



josziwarę, o czym od dawna szeptano sobie po różnych kątach Gospody, został dokonany i udał się nadspodziewanie. Japońskie poselstwo i konsulowie z arogancką stanowczością zażądali natychmiast przeprowadzenia śledztwa i ścisłej ochrony miasta. Zwyczajem chińskim władze długo dawały mgliste przyrzeczenia i zawile, wymijające odpowiedzi, lecz gdy przed Szanchajem stanęły na kotwicy japońskie kontrtorpedowce, a od strony Mandżurii posuwać się zaczęły zmotoryzowane oddziały wojsk, gubernator zmuszony był otoczyć handlowe i cudzoziemskie dzielnice kordonem żołnierzy i policji, aby odciąć środek miasta i cały Wusung od dzielnicy chińskiej i okolicznych miasteczek i wiosek. Od tej chwili przerwały się wszelkie źródła zarobku i na nic już nie zdały się obfite wiadomości, różnymi drogami napływające wciąż do Gospody Czterech Stron Świata. Trwało to już cały tydzień, a końca tak opłakanej sytuacji nikt przewidzieć nie mógł. Japońscy dyplomaci, poparci przez dowódcę eskadry kontrtorpedowców i konsula Italii, gdyż podczas zamieszek kilku obywateli włoskich, spędzających miłe chwile w objęciach malutkich, szczebiotliwych musme, zostało poturbowanych i ograbionych przez motłoch, domagali się wykrycia i surowego ukarania sprawców napadu, mającego, według opinii rządu tokijskiego, wyraźne cechy wystąpienia politycznego, a wrogiego Państwu Wschodzącego Słońca.

Idąc za radą konsulów angielskiego i amerykańskiego, zaniepokojonych z jednej strony stratami firm swych obywateli, pozbawionych kulisów do ładowania okrętów, z drugiej - wzrastającą agresywnością Japończyków, chińscy sędziowie oskarżyli o udział w tej politycznej awanturze kilku zbrodniarzy, od dawna już skazanych i zamkniętych w więzieniu, naprędce zorganizowali proces i oddali w ręce kata biedaków, w tym wypadku Bogu ducha winnych i o całej sprawie niemających najmniejszego pojęcia. Japończycy jednak, poinformowani przez swoich szpiegów, nie ustępowali, żądając wykrycia wszystkich nici spisku i ujęcia prawdziwych winowajców.

Szanchaj pozostawał odcięty i izolowany od peryferii, gdzie około miliona ludzi tak czy inaczej, lepiej lub gorzej istniało wszakże, czerpiąc środki do życia z jego niepowstrzymanego, zdawało się, szalonego pędu interesów, zachcianek, nawyków, ambicji, rozpusty, chciwości i współzawodnictwa. Po zajazdach, jadłodajniach i herbaciarniach Czapei tłoczyli się Chińczycy i ponurymi głosami podawali sobie z ust do ust smutne, niepokojące nowiny, opowiadając o zdarzających się już wypadkach śmierci głodowej i o wybuchających tam i sam epidemiach. Za miastem, na pustych placach, gdzie wkrótce już miały się zazielenić ogrody, widniały większe i mniejsze zbiorowiska ludzi i odbywały się burzliwe nieraz narady. Coraz częściej rozlegały się głośnie przekleństwa, warczące, wściekłe charczenia podburzonych, zięjących nienawiścią gardzieli i miotają się w powietrzu pięści i kije, grożące niezmiennie w kierunku przystłoniętych mgłą wielkich gmachów, kopuł i wież świątyń europejskich. Opowiadano sobie, że pięciu głodnych, zrozpaczonych żebraków z przedmieścia Li-Tao usiłowało przekraść się na Nanking Road, ale nie powróciło już.

- Policja miejska i patrole Hindusów, wysłane przez Anglików, zastrzeliły kilku! W Szanchaju rządzą już cudzoziemcy i mordują nas! - rozlegały się przeraźliwe, judzące okrzyki.

Wtórował im zwykle ponury, głośny pomruk tłumu, po czym zapadało milczenie, jeszcze bardziej ponure i wymowne.

Wagin, jak cała niezliczona ludność dzielnicy, położonej dokoła jaomynia, nie mógł ani przedostać się poza kordony policyjne, ani też znaleźć jakiegokolwiek zarobku w samym Czapei. Głód zajął mu w oczy. Głód, o którym nikomu nie mógł i nie chciał mówić. Miał tyle sił i odporności, że gdy nie udawało mu się uniknąć spotkania z panią Somową, Ludmiłą lub Mieczurinem, którego przestał teraz

odwiedzać, udawał dobry humor, śmiał się beztrudno i żartował. Analizując swoje samopoczucie, zdawał sobie sprawę, że tymczasem dokuczała mu tylko fizyczna strona jego sytuacji - głód, za to duchowy świat jego nie uległ żadnej zmianie. Zasnął i budził się z uczuciem sprawiającej mu rozkosz ulgi, że nie jest zmuszony oglądać się podejrzliwie, oczekiwać napadu, kryć się lub czyhać na wroga; nie opuszczała go świadomość radości i spokoju, że nie ma tu już nieprzyjaciół, i głębokie przeświadczenie, że nic mu już nie grozi. Nic! Głód? Tak! Dokuczał mu bardzo, sprawiał cierpienie fizyczne, chwilami nawet osłabiał, ale na krótko. Raz po raz zmuszał on Wagina do teoretycznych rozmyślań nad tak przykrym położeniem i niemającą tymczasem żadnego wyjścia sytuacją człowieka bezrobotnego. Po trzech dniach głodu - tych najtrudniejszych do zniesienia i najprzykrzejszych - oswoił się z uczuciem palącej czczości, goryczy i suchości w gardle, napadami zamierania serca i lekkim dreszczem. Pomyślał sobie, że błędne jest przekonanie, iż uczucie głodu łatwiej się znosi, gdy nie ma pokus. W chińskiej dzielnicy żadnych pokus nie spotykał istotnie, bo na ulicach znikł nawet nieodstępny zapach przepalonego oleju bobowego, świadczący o tym, że gdzieś jacyś szczęśliwcy mogą się nasycić świeżymi, rumianymi ko-sa, pieczoną wieprzowiną z czosnkiem, sałatą z fasoli, kapusty i zimnego mięsa, obficie polaną oliwą i ostrą, brunatną soją. Tak - tego już nie widziało się od dawna na całej rozciągłości Czapei! Właściciele karczem i jadłodajni, obawiając się napadów głodnych tłumów, przewalających się chodnikami i jezdnią, nie otwierali okiennic ani drzwi, wpuszczając do wnętrza swych przedsiębiorstw tylko znanych im osobiście klientów, ograniczywszy się do najskromniejszego i, co w tych warunkach było najniezbędniejsze, nieuchwytnego dla powonienia jadłospisu, przygotowując wyłącznie dania gotowane jak: mięso baranie, ryby, ryż, jarzyny i zaparzone na parze mento, unikając wszelkich ostrych i wonnych przypraw, jak pieprz, ocet na grzybach, pietruszka i inne korzenie, nadające kuchni chińskiej właściwy jej bukiet.

Na każdym kroku spotykając ponure, ciemne twarze głodnych Chińczyków, Wagin mimo woli ostrzej przeżywał swój własny męczący stan i przyszedł wreszcie do przekonania, że czułby się lepiej, węsząc obecność jadła lub przyglądając się na wystawie zapasom żywności. Głodował już nie po raz pierwszy, ale nigdy nie zdarzało mu się dotychczas, żeby nie tylko nic nie mieć, ale nawet nie móc rzucić okiem najedzenie. Gdy bardzo głodny człowiek zatrzymuje się przed wystawą sklepową i przygląda się leżącym za ladą czy szybą zapasom, zaczyna przeżywać szereg procesów fizjologicznych i psychicznych. Pierwsze z nich porównać można do wspomnień smakowych. Jedynie absolutnie głodny człowiek posiada tę pamięć w niebywale zaostrej i niemal pochłaniającej go formie. Dokładnie odtwarza ona smak każdej składowej części, każdego o innym zabarwieniu kawałka oglądanego pożywienia, co wywołuje wydzielanie się soku żołądkowego w odpowiednio zwiększonej lub zmniejszonej ilości i spotęgowane działanie organów trawiennych, podrażnionych emocją wzrokową. Być może, że na razie sprawia to cierpienie, lecz po pewnym czasie - czy to wskutek wzmożonego zużycia własnego tłuszczu, a nawet tkanek, czy też znużenia żołądka i całego systemu trawiennego, poruszonego nagle i pobudzonego do działania, następuje odprężenie przykrych wrażeń głodowych. Wtedy następuje pewna ulga, a nawet jak gdyby dopływ energii. Wagin raz jeszcze sprawdził to zjawisko na sobie, gdy powróciwszy do domu wieczorem, przypadkowo przez otwarte drzwi spostrzegł w pokoju sąsiadek - kosz z chlebem, jakimiś jarzynami i kawałkiem surowego mięsa. Była to sobota, więc następny dzień mógł spędzić beczynnie w łóżku i w ten sposób przedłużyć swój stan ukojenia głodu. Leżąc, słyszał urywki rozmowy, toczącej się pomiędzy panią Somową a córką. Ludmiła skarżyła się na brutalność i niezaradność policji, której dwa razy dziennie - idąc i powracając z miasta - zmuszona była pokazywać przepustkę, wydaną jej jako urzędnicze firmy amerykańskiej; matka jej natomiast wyrażała radość, że blokada chińskiej dzielnicy spowodowała

szybki spadek cen na żywność, na którą nagle zabrakło nabywców. Ta okoliczność w znacznym stopniu poprawiła skromny budżet domowy. Sergiusz mimo woli uśmiechnął się, myśląc nad tym, jak wszystko na świecie jest względne. Gdy on sam od kilku już dni czuje w żołądku i kiszkiach przerażającą chwilami pustkę, przechodzącą coraz częściej w bolesne spazmy i tępy ból, ogarniający pierś i ściskający mu gardło, taka dobra i współczująca każdemu kobieta, jak pani Somowa, bezwiednie cieszy się, że źródło jego cierpień fizycznych stało się jednocześnie źródłem chwilowego choćby polepszenia jej sytuacji. Zapomniał o tym wkrótce, bo w obecnym swoim stanie nie miał sił (dziwiło go to i niepokoiło coraz bardziej) na dłuższy czas zastanawiać się nad jedną myślą, pogłębiać ją i rozwijać. Nieraz już w ciągu dwóch ostatnich dni, usiadłszy na ławce koło świątyni Wung-Tsang, gdzie z rzadka tylko rozlegały się kroki przechodniów, Wagin postanawiał sobie skupić się, rozważyć spokojnie wszystko i ułożyć jakiś plan ratunku. Dręczyła go najwięcej myśl, że los nielitościwy zmusi go opuścić pokój u pani Somowej, gdyż nie będzie już miał czym zapłacić za następny miesiąc. Należało zastanowić się jak najpoważniej nad swoim położeniem i znaleźć wreszcie jakieś wyjście. Tymczasem za każdym razem, ledwie zaczynał grupować wszystkie okoliczności i wysnuwać z nich wnioski, do prądu jego myśli, niby niesforne, zrywające się zniemacka ruczaje, wtargać poczynały jakieś chaotyczne odłamki wspomnień, mgliste i bezładne marzenia, jakieś przebłyski coraz bardziej obłądnej nadziei, odtwarzającej przed nim fantastyczne niemal obrazy, z których ani jeden wszakże nie miał nic wspólnego z podświadomością w takich chwilach odczuwaną męką głodu. Nie mógł o niczym długo myśleć, nużyło go to i powodowało nieład psychiczny.

Źle ze mną - myślał, leżąc w łóżku - zaczynają się już pewne zaburzenia mózgowie. Czytałem niegdyś, że długa głodówka wywołuje podobne zjawiska przecież nie jadłem już osiemnaście dni, chociaż i przedtem odżywiałem się zbyt higienicznie. Trzy obiady tygodniowo, a poza tym - sucha niedziela i półsuche trzy dni, kiedy zabijałem uczucie głodu szczyptą suchego ryżu, co prawda, idealnie za to przeżutego, lub kilkoma orzechami soja. Musiałem być już znacznie wyczerpany i osłabiony, a te prawie trzy tygodnie zupełnej głodówki.

Westchnął, przypomniałszy sobie trochę krótszy okres ascetycznego postu w Petersburgu. Wydało mu się, że wtedy czuł się znacznie lepiej. Zapewne dlatego, że, błąkając się po mieście, stawał od czasu do czasu przed oknami sklepów i przyglądał się artykułom żywnościowym - pieczywu, kielbasom, rybom wędzonym i ogromnym, ciemnozielonym arbuzom o czerwonym, soczystym mięszu. Oglądał te specjały z niezwykłym zainteresowaniem, w najdrobniejszych szczegółach, jak gdyby widząc je po raz pierwszy, wyobrażał sobie ich smak, postanawiał też, że gdy będzie miał pieniądze, kupi sobie ten właśnie gatunek kielbasy, wybierze arbuz mniej wodnisty od wystawionego w sklepie, ale za to słodszy zapewne, a więc - pożywniejszy. W miarę tego, jak przyglądał się przysmakom, budziło się w nim i wzrastało zdumienie, że to on - Wagin wpatruje się w tak zwykłe rzeczy i nie może nabyć ich, choć przecież są niezbędne dla podtrzymania jego sił i, być może, życia. Zdumienie jego przechodziło w szyderstwo, w pogardę dla siebie - słabego i bezbronno, w oburzenie i wreszcie we wściekłość, żądającą jakiegoś ujścia. Gdyby urodził się proletariuszem, niezawodnie zapalałby nienawiścią do klas majątnych i do wszystkich burżujów całego świata, zapragnąłby zemsty i, oszalały z głodu i żądzy krwi wrogów, ciskałby się na barykadach lub szedł z czerwonym sztandarem na czele pochodu i ryczał na całe gardło, śpiewając Międzynarodówkę. Świetnie! Wszystko to, razem wzięte, znakomicie uśmierzało męki głodowe. Ale nawet tak skromnej pociechy nie mógł znaleźć w odciętej od Szanchaju dzielnicy chińskiej. Tłumy jej mieszkańców przewalały się wszystkimi ulicami, demonstrując swoje ponure, wynędzniałe twarze z pałającymi jak u wilków ognikami głodu w ślepiach, ale domy, zamknięte szczelnie i zaopatrzone w mocne

okiennice, wyglądały jak wymarłe i opuszczone na zawsze. Tak, tu nie znajdował podniet psychicznych, wzbudzanych samym widokiem jadła!

Zapewne na Nanking, Fuczou i Honan Road za grubymi szybami sklepów i restauracji pociągają ku sobie oczy przechodniów - szynki, zaszyte w płótno, blaszanki z konserwami, ogromne, świeże ryby morskie, białe i rumiane pieczywo, złocistoróżowe banany i długie, wonne melony kantońskie? - pomyślał nagle Wagin i straszliwy, skręcający wewnątrz bólem zmusił go jęknąć cicho i skulić się pod kocem, podginając kolana aż pod brodę. W tej pozycji poczuł się lepiej i marzył o tym, aby mógł usnąć nareszcie, gdyż od trzech dni ostatnich oka nie zmrużył, niepokojony i podrażniany przez kalejdoskop różnych myśli, najczęściej urwanych, nielogicznych, niemających żadnego związku z tym, co go gnębiło. Nagle przypomniał sobie słyszane za ścianą skargi Ludmiły na policję szanchajską, kontrolującą jej przepustkę i czyniącą różne trudności. Coś, jakaś jedna myśl, może jedno tylko słowo z opowiadania dziewczyny utkwilo mu w mózgu, ale od razu zawieruszyło się gdzieś bez śladu. Długo wyęczał pamięć, szepcząc coś sobie pod nosem, usiłował słowo po słowie odtworzyć wszystko, na co żaliła się matka Ludmiła, marszczył czoło i zaciskał szczęki, ale nie był w stanie przypomnieć sobie czegoś, co raptem stało się dla niego jak gdyby celem życia.

Leżał, wpatrzony gorejącymi oczyma w mrok, i próżno usiłował przerzucić most przez niepokojącą go wyrwę w pamięci. Nie spostrzegł nawet, że do pokoju zaczęła się zakradać mętna szarość przedświt, że ktoś, szurgając nogami po żwirze, przeszedł przez podwórko. Oprzytomniał dopiero wtedy, gdy za ścianą rozległy się ciche głosy sąsiadek, a po chwili plusk wody i brzęk miednicy.

- Mamo - postyszał cichy szept Ludmiły - postaraj się wypytać Wagina, co mu jest. Wracając wczoraj z biura, spotkałam go. Szedł zamyślony i nie spostrzegł mnie. Wyglądał bardzo mizernie. Gdzież to ja schowałam tę nieszczęśliwą przepustkę?

Wagin ledwie nie krzyknął z radości. Miał już to, czego z takim mozolem i męką szukał przez całą noc. Przepustka! Przepustka, aby się wyrwać wreszcie z tego śmietnika ludzkiego, z tego zbiorowiska czołgających się trupów! Musi ją mieć, aby przedostać się do Szanchaju i... Przypomniały mu się słowa Ludmiły. Wyczuł w nich niepokój i troskę o siebie, ale jednocześnie wydało mu się, że otrzymał policzek. Ktoś ośmiela się czuć litość dla niego?! Być może, uważać go za niezdolnego nawet do walki, bezsilnego i upadającego na duchu?! Zerwał się z łóżka, szybko się ubrał i prawie wybiegł z domu. Czuł się podnieconym i silnym, lecz nie zdążył jeszcze dojść do jaomyńia, a już zmuszony był stanąć i odetchnąć. Serce tłukło mu się w piersi z taką siłą, że sprawiało mu to ból; cały złany zimnym potem, chwiał się na nogach. Wypocząwszy chwilę, powlókł się dalej i coraz to przystawał, posuwając się powoli, aż doszedł wreszcie do Gospody Miczurina i odnalazł lejtnanta. Tym razem, ku wielkiemu zdumieniu Sergiusza, cerber nie był pijany. W oczach jego wyczytał nawet jak gdyby trwogę czy oburzenie.

-Jak się pan miewa, lejtnancie? - spytał Wagin, wysilając się na wesoły ton.

- Ja się już nie miewam, ale męczę się jak potępieniec! - odparł z zupełnie już ponurą miną Miczurin. - Mój chlebodawca oszalał! Powiada, że dochody jego gwałtownie spadły do zera, bo, nie wiem, czy wiadomo panu, że te przeklęte makaki japońskie wymogły na dyrekcjach kolei, aby do Szanchaju nie przewożono Chińczyków. Statki z Ankinu, gdzie podobno na dobre rozegrała się dżuma i biegunka, od dwóch tygodni już nie kursują. Karawany, idące z zachodu, zwąchawszy, co się tu dzieje i co jeszcze z

tego wyniknąć może, zatrzymały się w Kałganie. Z tutejszych głodomorów nikt ani zajrzy do jadłodajni mego patrona, a jego lokatorzy nic mu nie płacą i nic nie jedzą.

Jak ja - pomyślał, krzywiąc usta, Wagin.

- Albo też żrą, czart ich wie, jakie świństwa! W rezultacie ten burżuj oświadczył mi, że mogę u niego pracować za bartóg, gdzie sypiam, i dwie misy kaszy z czumizy. Niech się pan zgodzi, że jest to nawet mniej niż owa biblijna polewka z soczewicy! O hanszynie ani mru-mru! Dawniej człowiek o moich zdolnościach coś tam sobie na uboczu dorabiał i mógł jako tako istnieć, ale teraz w głowę zachodzę, co tu robić! Co tu robić?!

- Czasowe przesilenie, po którym nastąpi era szczęśliwości i powodzenia - odpowiedział drwiącym głosem Sergiusz.

- Aha, właśnie! - krzyknął lejtenant i wypluł kilka długich, zawitych, ohydnych przekleństw. - Era szczęśliwości, a tymczasem ckno mi i pusto w dołku. Tyle już lat człek zapijał się tą śmierdzącą siwuchą, co pozwalało mu mieć dobry humor, a teraz nic, tylko ckno i ckno!

Nowa porcja jeszcze bardziej wymyślnych powiedzonek zakończyła przemówienie lejtenant.

- Zdaje mi się, że owe ckno stało się pospolitym samopoczuciem całego Czapei, drogi panie? - zaśmiał się Wagin. - Mam jednak nadzieję, że niebawem już poprawimy tę optakaną rzeczywistość sytuacji. Obmyśliłem pewien plan.

Miczurin skrzywił się i z ukosa zerknął na gościa.

- Pańskie plany mogą być bardzo wspaniałe, ale, jak spostrzegłem już, lubi pan się cofać! - mruknął. - Zresztą może wreszcie namyślił się pan i postanowił przeciw tego (jak go tam wabia?) Żydowina posłać na łono Abrahama, Izaaka i Jakuba? Ale gdzież my go teraz zdybiemy, gdy jesteśmy tu niby w oblężonej twierdzy? A ileż to razy mówiłem niektórym z tych drabów, że w ten sposób nie można robić napadu na japońskich kupców i dziewczynki, bo będzie chryja!

- Masz sobie! To widzę, że mój zacny przyjaciel i w tej historii maczał palce? - zawołał zdumiony Sergiusz.

- Robi się, co można! - wzruszył ramionami Miczurin. - Słynę z mądrych, światłych rad, więc te skośnookie mały przychodzą do mnie w najtrudniejszych chwilach życia.

Wagin nic nie odpowiedział. Siedział blady z przymkniętymi powiekami. Przeżywał prawdziwe katusze, bo straszliwy skurcz żołądka i kiszek nieomal pozbawił go przytomności. Uspokoiwszy się trochę, spytał drżącym, co chwila urywającym się głosem:

- Czy nie mógłby pan w jakikolwiek sposób uzyskać dla mnie przepustki do miasta?

Miczurin patrzył na niego uważnie, obserwując każdy szczegół na jego twarzy.

- Hm - zamruczał wreszcie, a w oczach jego przemknął wyraźny niepokój. - Zdaje mi się, że i panu źle się powodzi, a może... o, do stu diabłów, może nic pan dziś jeszcze nie jadł?

Wagin przemilczał i tylko wzruszył ramionami, unikając zbyt badawczego spojrzenia lejtenanta. Miczurin zerwał się z miejsca i pobiegł gdzieś, rękami dając znaki, aby gość czekał na niego. Powrócił po chwili, niosąc coś pod połą kurty i oglądając się na wszystkie strony.

- Jestem stuprocentową świnią - najczarniejszą ze wszystkich czarnych chińskich świń! - mówił z jakimś zakłopotaniem. - Śmiem się skarżyć na swój los! Niech no pan wciśnie czumizy - pożywne to jadło, choć mocno chamskie. Dla dramatyczności sytuacji wyłącznie powiedziałem o dwu misach tej kaszy, bo właściwie mogę wepchnąć w siebie choćby i pięć. Z kucharzem jesteśmy w zażyłych stosunkach, gdyż pomagam mu grać szczęśliwie w karty z niezawodnymi szansami. Wcinaj pan, a potem pogadamy. Pójdę jeszcze na zwiady, może uda mi się wycygnąć kubek herbaty.

Dyskretnie wycofawszy się z zamieszkałej przez siebie klitki, pozostawił Wagina samego, by go nie krępować. Sergiusz chciwie rzucił się na kaszę, obficie okraszoną kawałkami słoniny. W mgnieniu oka zawartość misy znikła, a natychmiast potem Wagin poczuł żar w żołądku i straszliwą senność. Z wysiłkiem, z co chwila opadającą na pierś głową, wypił kubek przyniesionej przez Miczurina herbaty, zjadł kawałek suchego chleba i nagle zasnął jak kamień, osunąwszy się na okryte matą legowisko lejtenanta. Gdy otworzył oczy - zdumiał się i przeraził. Zmrok już zapadał. Przed okienkiem siedział Miczurin i zagryzając wargę, naszywał nową łątę na stare, wyszargane portki. Uśmiechnął się do Wagina i zmrużył oko.

- W takich wypadkach słodko się śpi - wiem coś i ja o tym! - wybuchając śmiechem, powiedział dziwnie radosnym głosem. - Bardzo proszę wpadać do mnie na czumizę! Niecelegancki to poczęstunek, ale zawsze można gruntownie nabić sobie brzuch. Ale teraz przystąpmy do rzeczy! Po co wam przepustka?

Wagin szczegółowo i logicznie począł rozwijać powstający w jego głowie plan. Podczas wypraw swoich po różnych biurach w poszukiwaniu pracy spostrzegł, że przeważna część clercków, subiektów i robotników- Chińczyków zamieszkiwała peryferie. Władze, przerażone natarczywością Japończyków, nie śmiały zatwierdzać przepustek, wydawanych im przez pracodawców. Z tego przywileju korzystali tylko urzędnicy-Europejczycy, zamieszkujący odcięte od miasta dzielnice. Niezawodnie odczuwano tam teraz dotkliwy brak rąk roboczych, a być może nawet i wykwalifikowanych pracowników umysłowych. Wagin, z całą trzeźwością oceniając stan, wytworzony przez izolowanie miasta od przedmieści, liczył na to, że prawdopodobnie mógłby znaleźć zarobek w firmach i biurach, na nieokreślony czas pozbawionych pracowników. Kto wie - może udałoby mu się nawet otrzymać stałą posadę? Dlatego też marzył o przepustce, gdyż przekonany był, że od tego zależy jego los i cała przyszłość.

Miczurin zrozumiał plan gościa i uznał go za słuszny i trafny.

- Myślałem już o takim świstku papieru przez cały czas, gdyście spali - mruknął. - W każdym innym wypadku mielibyście jutro przepustkę, choćby z podpisem prezydenta tego bałaganu, który ma czelność nazywać się Rzeczypospolitą Chińską, albo z autografem samego nawet cesarza, bo znam tu takich grawerów, o jakich nie śniło się nikomu w Europie, kopistów niezrównanych, ale to - na szmelc! Tu trzeba tak zrobić, żeby nikt nie mógł nic zakwestionować. Hm, hm. Wiecie co? Złożmy wizytę doktorowi Plenowi! Ucieszy się nam to wędzone dziwaczydło tym bardziej, że, podobno, czuje się nieświeżo. Napadają go czasem jakieś zmy, a wtedy zatruwa się tym świństwem makowym! Nadali też diabli, że ten niemądry nałóg niszczy tak zacnego chłopca!

Doktora Plena zastali w ambulatorium. Ponieważ i na nim odbiło się zamknięcie Czapei, gdyż pacjenci z dzielnic i koncesji europejskich nie mogli dotrzeć do niego, Chińczycy zaś, przerażeni zastojem w handlu i z godziny na godzinę oczekiwanyymi rozruchami głodnych ludzi, zapomnieli o swoich chorobach - Plen, korzystając z wolnych chwil, porządkował swój szpital, robił zapasy leków, ostrzył igły do szpryc i naprawiał zużyte przyrządy i instrumenty. Wyglądał bardzo nędznie - sinoblady, pomarszczony i przygarbiony jeszcze bardziej. Ucieszył się szczerze, ujrzawszy przyjaciół, i jął częstować ich papierosami.

- Porzuciłem palenie tytoniu, doktorze - wymawiał się Wagin. - Przyszło mi to z łatwością, gdyż przeprowadziłem długą kurację odtłuszczającą. Surowa głodówka dobrze mi zrobiła, szczególnie na jasność i ścisłość myślenia!

Plen podniósł na mówiącego poważne, wnikliwe oczy i uśmiechnął się nieznacznie.

- Wcześniej czy później każdy z nas musi to przejść - powiedział cicho, odpowiadając raczej na własną myśl niż na przemówienie gościa.

Miczurin, rozwalony na tapczanie, wmieszał się do rozmowy:

- Słuchaj, najdroższa fajo bambusowa, poradź i dopomóż, bo coś mi się widzi, że w naszej sprawie ty, stary dziwolągu, możesz wiele zdziałać!

-Ja? Cóż ja mogę? Salwarsanu wam zastrzyknąć, ząb wyrwać, leczyć gruźlicę i febrę, a nawet wyrostek robaczkowy usunąć, jeżeli nie obawiacie się infekcji w mojej sali operacyjnej, ciężarną prostytutkę od płodu nieszczęsnej miłości uwolnić - to mogę, ale poza tym? Na cóż innego mógłbym być wam potrzebny? Przeceniasz moje siły, druhu!

- Krygujesz się jak emerytowana kokota z Su-czou-Creeku, drągalu!

- zaśmiał się Miczurin i przedstawił mu plan Wagina, zakończywszy swe opowiadanie zupełnie realnym projektem: - Wiem, że twój obrotny Czeng-Si podtrzymuje zażyłe stosunki z policją. Przekonaj go, że powinien dla własnego interesu wyrobić panu Waginowi urzędową przepustkę z pieczęcią jaomynia, powołując się na nieodzowną potrzebę załatwienia swoich interesów w mieście. Zapewne stary lis ma tam niejedną sprawę, gdyż...

Plen klasnął w dłonie i zawołał:

- Jakbyś słyszał jego skargi dziś z rana! Ma jakieś ważne interesy do Fen-Cziena przy ulicy Czing-Juen-Li.

- Ha! Stary handlarz opium, morfiną, heroiną i innym paskudztwem, które niektórzy dżentelmeni uważają za dar nieba! - przerwał mu lejtenant.

Przepuściwszy mimo uszu docinek przyjaciela, Plen opowiadał dalej:

- Czeng-Si dostał przepustkę, ale poza mury naszej dzielnicy przedostać się nie zdołał. Oznajmiono mu, że ani jeden Chińczyk z tej strony do dzielnicy europejskiej nie może być wpuszczony. Błagał mnie tedy, żebym poszedł i spełnił jego zlecenie, ale ty wiesz, że ja tak daleko od swego leża odejść nigdy się nie odważę. Doskonale się składa! Bardzo pomyślnie! Zaraz idę do swego Amfitriona i będę go skłaniał, aby przepisano mu dokument na nazwisko pana Wagina.

Doktor niezwłocznie opuścił pokój.

- Niesłychana rzecz! - wołał Miczurin. - Miałem dobre przeczucie, żeśmy tu przyszli! Co to znaczy intuicja wybitnego intelektu!

Mówiąc to, klepnął się w czoło i wybuchnął śmiechem, lecz natychmiast spoważniał i spytał:

- Jeżeli pan urządzi swoją sprawę, to czy pan powróci do Czapei?

Wagin zrozumiał myśl lejtenanta. Podszedł więc do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- Powrócę, choćby tylko po to, aby zabrać was ze sobą - szepnął wzruszonym głosem. - Pragnąłbym, aby miska czumizy rentowała się wam lepiej niż owa soczewica biblijnemu Ezawowi!

Uśmiechnął się serdecznie do Miczurina, który z mocą ścisnął mu dłoń i szepnął z wdzięcznością:

- Przekonacie się wtedy, że ze mnie mogą jeszcze być ludzie.

Dalszą rozmowę przerwało wejście Plena i właściciela palarni. Czeng-Si zaskakująco szybko, jak na Chińczyka, lubiącego mitręgę, kręctwo i ciągłe zwlekanie z decyzją, omówił sprawę, wyłuszczył treść zlecenia do Fen-Cziena i ruszył do jaomynia, sownie opłacanego za tolerowanie i obronę zgoła nielegalnego przedsiębiorstwa, którego nie były w stanie zlikwidować ani najsurowsze dekrety cesarza i wszystkich prezydentów chińskich, ani cyrkularze władz szanchajskich i wściekła kampania prasowa, ani nawet protesty wszechpotężnych konsulów, zatrwożonych szerzeniem się zgubnego nałogu w kolonii europejskiej. Czeng-Si powrócił do palarni, przynosząc przepustkę. Szef policji oznajmiał w niej, że cudzoziemiec - Sergiusz Wagin, osobiście mu znany, ma wolny wstęp na obszar międzynarodowego terytorium, jako stały urzędnik europejskiej narodowości, zatrudniony w cieszącym się sprawiedliwie zasłużoną opinią i znanym hotelu czcigodnego obywatela i kupca Hai-Czeng-Si przy ulicy Fu-Tien-Koo, numer tysiąc osiemnaście, co przewidziane jest artykułem trzy i cztery cyrkularza numer siedemnaście jego ekscelencji Daotaja trzeciego dnia drugiego miesiąca dziesiątego roku Republiki Chińskiej.

Z takim to dokumentem w kieszeni tużurka powrócił Wagin do domu i po raz pierwszy od kilku tygodni pani Somowa posłyszała głos lokatora. Prosił o gorącą wodę, odrobinę benzyny i jakąś szmatkę.

Do północy pracował Sergiusz, piorąc kołnierzyk, czyszcząc garnitur, płaszcz i kapelusz, aby nadać swej garderobie możliwie przyzwoity i świeży wygląd. Gorzej było z obuwem, ale na łaty i skrzywione obcasy nie było żadnej rady. Poprzestał więc na znakomitym wyglancowaniu trzewików, obiecując sobie, że jutro postara się najbardziej bijące w oczy defekty obuwia przykryć możliwie nisko opuszczonymi nogawicami spodni.

Spał tej nocy mocno. Obudził się rześki i jak gdyby odrodzony.

- Przez całe życie będę jadał na kolację czumizę! - przysięgał sobie żartobliwie, ubierając się dokładnie i goląc z wyjątkową starannością.

Reprezentuję przecież tak czcigodną firmę jak spelunka pana Hai-Czeng-Si! - myślał, uśmiechając się wesoło.



Nie miał ani chwili obawy, żeby plan jego mógł się nie udać. Czuł się tak, jak gdyby załatwił już wszystko, był spokojny i zadowolony z siebie. Pogwizdując, wyszedł na Fu-Tien-Koo i podążył ku bramie, prowadzącej na koncesję francuską. Posterunek przy wylocie ulicy Montauban obejrzał dokument i bez sprzeciwu przepuścił Europejczyka. Z rozkoszą wstuchiwał się Wagin w odgłosy własnych kroków na cementowych płytach chodnika i z nadzieją wpatrywał się w krzyż, połyskujący na kopule kościoła Świętego Józefa. Z radością witał wzrokiem roziskrzonych oczu każdego przechodnia i widział w nim brata, mimo woli uśmiechając się do niego przyjaźnie. Ludzie ci nie spostrzegli go nawet, śpiesząc do swoich zajęć i z niepokojem spoglądając na wskazówki zegara, umieszczonego na dzwonnicy kościelnej. Dochodziła godzina dziewiąta.

Sergiusz postanowił wykonać przede wszystkim zlecenie Czeng-Si i dopiero potem rozpocząć załatwienie własnej sprawy. Gdy znalazł się koło Kalee Hotel na Kiangsi Road, ktoś głośno wykrzyknął jego nazwisko. Obejrzał się natychmiast, czego przed ostatnim widzeniem się z Abramem

Chackeusem nigdy by, zachowując niezbędną wówczas ostrożność, nie zrobił. Dopędziła go Ludmiła. Patrząc na nią, zauważył, że ma lekki, elastyczny i zarazem dystyngowany chód i w ruchu nie garbi się, niosąc głowę wysoko i jak gdyby dumnie. Miała na sobie czarny kostium i takiż beret. Pod pachą trzymała dużą czerwoną tekę, wypchaną wycinkami z pism.

- Spotykamy się na ulicy po raz pierwszy! - powiedziała, wyciągając do niego małą, mocną dłoń, siłą swoją nieharmonizującą z miękkimi kształtami całej figury, którą Wagin dobrze sobie zapamiętał od owego smutnego wieczora, gdy zakończył życie biedny Romek.

Witając ją serdecznie, odpowiedział:

- Teraz zapewne będziemy zawsze razem wychodzili z domu, a może nawet i powracali jednocześnie!

- To znaczy, że wszystko będzie dobrze, bo muszę się przyznać, że obie z mamą byłyśmy o pana niespokojne. Miał pan wygląd ciężko chorego... - powiedziała.

- Istotnie! - uśmiechnął się. - Zapadłem na jakąś chorobę żołądkową. Przykre spazmy, bóle i słabość ogólna, ale to minęło, zawdzięczając doktorowi Plenowi!

Kłamał jak z nut, ale gdyby ktoś zwrócił mu na to uwagę, Wagin uświadomiłby sobie, że kłamstwo to nie było rozmyślnie, lecz płynące z jakiegoś nieznanego mu źródła. Nie obawiał się bynajmniej, że Ludmiła zapyta go, gdzie znalazł pracę, zdawało mu się bowiem, że nie zającąc się, wymieni nazwę firmy i nazwisko jej kierownika. Do pytania tego nie doszło jednak, bo Ludmiła na rogu ulicy Tientsińskiej pożegnała Sergiusza i weszła do dużego gmachu, upstrzonego licznymi szyldami. Patrząc w ślad za nią, wzdrygnął się cały, uprzytomniwszy sobie, że w takiej sytuacji, w jakiej sam znajdował się wczoraj, mogły również znaleźć się Ludmiła i jej matka - dwie bezbronne, tęskne kobiety, zawsze pracowite i milczące jak mrówki. Ta myśl wydała mu się potworną. Wzdrygnął się raz jeszcze i całą siłą woli zagłuszył nagły strach, w zimnych kleszczach trzymający jego serce.

Fen-Czien przyjął Wagina niezwłocznie i łamaną angielszczyzną długo wypytywał go o to, co się dzieje za murami chińskiego miasta, czy wielu już zarejestrowano chorych na dżumę i czy nie mnożą się napady głodnej ludności na domy kupców i większe warsztaty. Wagin uspokoił Chińczyka i wręczył mu list Czenga. Czytanie trwało bardzo długo, a jeszcze dłużej kaligrafowanie, a raczej rysowanie odpowiedzi na pismo i wypełnianie czeku na filię banku Tung-Lu w Czapei. Dopiero wtedy poważny,

niezmiernie ugrzeczniony Fen-Czien począł żegnać interesanta, wyrażając radość, że jego czcigodny przyjaciel zdołał sobie pozyskać tak wybitnie zdolnego i pięknie ułożonego współpracownika. Nie uszła uwagi Wagina okoliczność, że kupiec ani słowem nie zdradził się z tym, iż jest dokładnie poinformowany o rodzaju przedsiębiorstwa czcigodnego Czeng-Si.

Niełatwe to zadanie z takim wyrobionym, spokojnym i przebiegłym narodem dojść do przyjaznego i szczerego porozumienia! - myślał Wagin, przyglądając się uśmiechniętej lisiej twarzy starego, opasłego Chińczyka i żegnając go.

Gdy z ulicy Czingjuen-Li skręcał na Peking Road i wychodził na Bund, zegar na gmachu komory celnej wybił dwanaście razy. Wagin usiadł na ławce i przez kilka minut rozważał dalszy plan działań.

## XI. KONCERN PRASOWY SZUN-PAO

Sergiusz Wagin kwadrans po dwunastej wchodził już do biura pisma, w którym przed miesiącem pracował dorywczo w charakterze korektora i akwizytora. Miał tam kilku znajomych clercków. Postanowił naradzić się z nimi i wypytać o podświadomie przeczuwane możliwości znalezienia pracy. Przyjęli go uprzejmie. Pamiętał, że imponował im zawsze swoją postawą człowieka z najlepszego towarzystwa, co tym młodym Amerykanom wydawało się sztuką nie do osiągnięcia, gdyż jeden z nich był synem zbankrutowanego hodowcy świń w Illinois, drugi zaś rozpoczął samodzielną karierę w preriach w futrzanych portkach kowboja, a trzeci w ogóle nie lubił przypominać szczegółów swego życia w Stanach. Otrzymując po pięćset dolarów amerykańskich, nie wiedzieli, co z takimi pieniędzmi robić w Szanchaju, więc ubierali się jak księżę Walii, mieli własne fordys, nudzili się na dancingach w Astorze, Carltonie i Cafe Parisien, rozreklamowanej, jako the most beautiful cafe of the Far East przy ulicy Edwarda VII, dawali się wyzyskiwać nowym kobietom, lansowanym przez miss Margaret, i grali w golfa, przechowując jednak we wszystkim nawyki i obyczaje świniarza, pastucha i mieszkańca więzienia Sing-Sing.

- Czy dżentelmeni nie macie ogłoszeń z rubryki Ofiarowane posady? - spytał Sergiusz, potrząsnąwszy rękę przygodnym kolegą.

Odpowiedzieli mu chórem:

- Ależ dział ogłoszeniowy znakomicie zarabia teraz na tej właśnie rubryce! Przed chwilą dopiero przyniesiono z drukarni całe cztery kolumny ofert. W firmach, biurach i zakładach przemysłowych - pustka i panika! Nie ma ludzi do pracy. Damm! Wszystko staje powoli, gromadzą się stosy korespondencji, rachunków, konosamentów! Chińczyków zablokowano na peryferiach, Amerykanie i Anglicy, nastraszeni oczekiwanymi wybuchami buntu tubylców i szerzącą się w dolinie Jangcy dżumą, na łeb na szyję wyjeżdżają do kraju. Klęska! Panika! Mógłby pan otrzymać i u nas posadę, bo John Smith (ten kulawy, z myszką na szyi) i Edgar Falthead wyjechali onegdaj do Vancouver, nie podjąwszy nawet należnej im za dwa tygodnie pensji! Bylibyśmy prawdziwie zadowoleni, gdyby pan pracował u nas. Interes - uregulowany, solidny, prosperuje znakomicie, chociaż nasz dyrektor ciągle użala się i

kwęka. Bądź co bądź taki koncern prasowy, jak North China Daily News i Herald to nie pies płakał! W Oriental Press również wakują posady, bo i tam zdarzyły się wypadki ucieczek urzędników i współpracowników.

Wagin słuchał uważnie, ciesząc się wewnątrz. Z usposobienia i wykształcenia najbardziej pociągała go praca w redakcji jakiegokolwiek poważnego pisma.

- Chciałbym przejrzeć te ogłoszenia o ofiarowanych posadach - powiedział i otrzymawszy kilka szpalt druku petitowego, pogrążył się w odczytywaniu kolumn. Przekonał się, że największe zapotrzebowanie było na robotników - tkaczy i ślusarzy, na pomocników szoferów przy ciężarowych samochodach, a także clercków w składach i biurach i rachmistrzów bankowych, ale znalazł też kilka ogłoszeń, bardziej go nęcących. Poszukiwano korespondentów, władających angielskim, francuskim, niemieckim i włoskim językiem, buchalterów drugiej klasy, pomocników inżynierów tekstylnych, sanitariuszów szpitalnych, agentów wielkich firm i kierowników działów upakowań i transportu. Jedno z ogłoszeń zwróciło na siebie uwagę Sergiusza, chociaż treść jego nic a nic obchodzić go nie mogła.

Nowo powstająca firma handlowa poszukuje energicznego kierownika karawan do Mongolii Zewnętrznej i Turkiestanu Chińskiego. Propozycje tylko listownie z załączeniem opisu poprzedniej działalności. Skrytka pocztowa trzysta trzysta - brzmiał tekst ogłoszenia.

Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to czyni, Wagin dwukrotnie przeczytał te trzy linie petitu i zapamiętał je dokładnie! Na jednej z kolumn odnalazł ogłoszenie, które, jak mu się zdawało, w zupełności odpowiadało jego żądaniom. Największy koncern prasy chińskiej, słynny Szun-Pao, oznajmiał, że przyjmie wykształconego wszechstronnie, władającego co najmniej dwoma językami, cudzoziemca dla redagowania działu Przegląd prasy zagranicznej, przy czym nie byłaby wykluczona współpraca w innych również działach. Zarząd koncernu reflektował tylko na siły pierwszorzędne, gwarantując ze swej strony wysokie wynagrodzenie.

Wagin, nie namyślając się długo, zapisał sobie adres Szun-Pao i obiecawszy Amerykanom, że postara się wpaść do nich po przerwie obiadowej, wyszedł z biura. Prezes koncernu przyjął go ze zwykłą dla Chińczyka przesadną uprzejmością i powodził pochlebstwami i rozpoczął długą pogawędkę, mającą wszystkie cechy wywiadu policyjnego. Znudziło to w końcu Wagina, więc zapytał prezesa zimnym tonem:

- Czy panu chodzi o wykwalifikowanego kierownika działu, czy o jakiegoś świętego?

Prezes zaczął się śmiać i kłaniać. Przeraził go nieco ton kandydata, którego nie chciał stracić, bo Sergiusz zdołał go już przekonać, że dobrze zna kilka języków obcych, więc klasnął w dłoń i kazał biało ubranemu bojowi podać herbatę i ciastka.

Prezesie - mówił, nie zmieniając brzmienia głosu, Wagin - jestem przekonany, że w Chinach nie znajdzie pan nikogo lepiej ode mnie władającego różnymi europejskimi językami. Mam za sobą skończone studia prawnicze i pewne doświadczenie dyplomatyczne. Pochodzę ze znanej i dobrej rodziny, mam w żyłach krew angielską, referencje o mnie mogą złożyć na ręce koncernu wdowa po słynnym uczonym, pani Somowa, senator Ableuchow, doktor medycyny von Plen, lejtnant marynarki Miczurin i mój przyjaciel, właściciel znanego hotelu, czcigodny Czeng-Si, którego plenipotentem jestem w tej chwili. Ponieważ rewolucja bolszewicka pozbawiła mnie możliwości pracy

w ojczyźnie, wyemigrowałem do Chin i chciałbym urządzić swoje życie odpowiednio, będąc jednocześnie pożytecznym memu pracodawcy i krajowi, który mnie przyjął gościnnie.

Europeizowany pan Liao-Kaj-Fan zacierał ręce, uśmiechał się wytwornie, ale z odpowiedzią zwlekał. Zresztą nie byłby Chińczykiem, gdyby nie trzymał się takiej właśnie taktyki. Sergiusz zmuszony był na poczekaniu przeczytać i streścić prezesowi mowę Lloyd'a George'a z Manchester Guardian, przetłumaczyć wstępny artykuł z La Stampa, opowiedzieć przebieg posiedzenia Korteżów w relacji madryckiego El Sol, przejrzeć ekonomiczną kronikę w Frankfurter Zeitung, zestawić ją z tym, co umieścił w nowinach dnia paryski L'Intransigeant, i wreszcie zreferować artykuły redakcyjne z moskiewskich Izwiestii i Prawdy. Egzamin ten wypadł tak błyskotliwie, że przebiegły Liao-Kaj-Fan nie potrafił nawet ukryć swego zachwytu, więc, żeby osłabić wrażenie, gdyż obawiał się wygórowanych wymagań kandydata co do honorarium, uśmiechając się jeszcze uprzejmie, rzucił:

- Jaka szkoda, że nie zna pan języka japońskiego!

- Muszę uprzedzić szanownego prezesa, że nie znam również języka Bambara i Inków - najpoważniej w świecie odparł Sergiusz - lecz w ogłoszeniu koncertu te piękne skądinąd języki nie były wymienione.

Prezes nie miał pojęcia o jakichś tam Bambara, więc nadrabiając miną, zauważył:

- Te narody nie mają tymczasem zbyt wielkiego znaczenia w polityce światowej.

- Istotnie, pan prezes bardzo trafnie to ujął - z całą powagą odpowiedział Wagin.

Chińczyk jednak widocznie wyczuł ukrytą ironię w głosie klienta, gdyż spojrzał na niego pytająco, a po chwili wzrok jego pobiegł ku beznadziejnie zakurzonym tomom Encyklopedii Brytyjskiej, butwiejącej na niedosiężnej półce reprezentacyjnej biblioteki. Na tym utknął pierwszy, nieskończenie długi akt zabiegów Wagina o posadę. Akt drugi miał również długi przebieg, różniąc się od poprzedniego stosowaniem charakterystycznych chwytów taktyki chińskiej. Pan Liao-Kaj-Fan, wysadzając się na komplementy, uznanie i zachwyty, sypiąc uśmiechami i dowcipami, nie dawał się sprowadzić na drogę stanowczej odpowiedzi. Ślizgał się dokoła ważnych warunków wynagrodzenia za pracę, wywijał się jak węgorz, proponował odroczenie odpowiedzi do jutra, motywując to brakiem upoważnienia do osobistej decyzji, a gdy Wagin stanowczym głosem, spokojnie patrząc na prezesa, oznajmił, że albo wyjdzie dziś jeszcze z podpisaną umową, albo też nie będzie już nigdy oglądał tak sympatycznego oblicza największego w Chinach potentata prasowego, zaczął znowu uciekać się do wymijających, mglistych odpowiedzi, zwlekał, namyślał się, siedząc w sztywnej pozie w fotelu, aby tylko wygrać na czasie i znużyć petenta, prowadził rozmowy telefoniczne, wychodził z gabinetu pod pozorem narady z kolegami i powracał skupiony i tajemniczy, chociaż Sergiusz nie wątpił, że Chińczyk z nikim o jego sprawie nie mówił. Spokój i stanowczość Wagina działały na nerwy prezesa i wreszcie zgnębiły go. Wzdychając i pojękując, szeptem wymienił śmiesznie niską sumę honorarium tygodniowego i zatopił niespokojnie pytające oczy w zimnej twarzy siedzącego przed nim kandydata.

- Mam wrażenie, że pan prezes jednocześnie angażuje nowego boja i pomieszał jego warunki z warunkami kierownika bardzo ważnego działu w swoich dziennikach. Żaden szanujący się inteligent o moich kwalifikacjach nie będzie poważnie się zastanawiał nad sumą, wymienioną przez pana, i nie zgodzi się na honorarium tygodniowe - szyderczym głosem powiedział Wagin i podniósł się z krzesła.

Chińczyk ostatecznie przeraził się i upadł na duchu. Znał się na ludziach i miał wielkie doświadczenie dziennikarskie, więc zrozumiał od razu, jak poważną uzyskałby siłę, angażując tego Rosjanina. Chodziło mu tylko o wyznaczenie możliwie skromnego wynagrodzenia. Przecież emigranci cierpieli taką nędzę, że za grosze podejmowali się najcięższej pracy, bez protestu pozwalając się wyzyskiwać, aby tylko nie przymierać z głodu. Słyszał kiedyś, że chińskie towarzystwo akcyjne tkanin bawełnianych na stanowisku kierownika zakładów miało słynnego inżyniera moskiewskiego, zadawałającego się taką płacą, jaką pobierali ślusarze w kotłowni. Odpowiedź i wyrazisty ruch Wagina przekonał jednak prezesa, że ma do czynienia z człowiekiem twardym i nieprzyciśniętym potrzebą. Na szczęście nie patrzył na nogi interesanta, gdy ten wchodził do jego gabinetu. Czyste ubranie i biały miękki kołnierzyk Wagina nie dawały powodu do nieomylnych wniosków o jego prawdziwym stanie finansowym.

- Zaproponuję panu sto dolarów za próbny miesiąc - wyjąkał, bo tak wygórowana, jak mu się zdawało,

suma nie chciała przejść prezesowi przez gardło. - Sto dolarów!

- Próbę odbyliśmy już w ciągu ubiegłej godziny, inna nic nie da nowego! -jeszcze bardziej sucho i obojętnie zaprotestował Sergiusz. - Poza tym pozwolę sobie zapytać, w jakiej walucie płaci pan honorarium swoim współpracownikom?

Liao-Kaj-Fan zatrzepotał rękami jak przerażone pisklą nieopierzonymi skrzydełkami i zawołał z przerażeniem w głosie:

- Wymieniłem sumę sto dolarów chińskich!

- Taak? - przeciągnął Wagin. - Przychodzę do pan prezesa bezpośrednio z biura North China Daily News and Herald, gdzie za nieporównanie łatwiejszą i nieodpowiedzialną pracę ofiarowano mi tę samą sumę - sto dolarów amerykańskich. Zamierzając na stałe osiedlić się w Chinach, wolę pracować w prasie krajowej, a nie cudzoziemskiej. To znaczy, że nie mógłbym się pogodzić z mniejszym wynagrodzeniem, lecz skoro koncern Szun-Pao nie jest w stanie.

- Kto powiedział, że koncern nie może zapłacić? - przerwał przerażony tym ostatecznie Liao-Kaj-Fan. - Owszem gwarantujemy panu tę sumę na przeciąg sześciu miesięcy z prawem obopólnego wypowiedzenia miesięcznego. Po pół roku ustalimy nowe warunki współpracy. Czy mam sporządzić umowę?

Wagin udał, że namyśla się jeszcze. Po chwili wydobył notesik i począł w nim szukać czegoś, aż wreszcie oznajmił, że ostateczną odpowiedź da za godzinę, gdyż musi jeszcze wstąpić do redakcji Daily News.

- Po co odkładać to, co możemy zakończyć od razu! - wykrzyknął prezes. - Pan jest tak solidny człowiek, że w pięć minut można z panem ubić każdy interes!

Wagin nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i podniósł oczy na stojący na biurku zegar. Chińskie pięć minut w gmachu Szun-Pao trwało prawie dwie godziny!

- Każę wypełnić blankiet umowy - zacierając ręce, kusił prezes - i wypisać czek na trzydzieści dolarów zaliczki.

Sergiuszowi serce zabiło tak mocno, że aż musiał oczy zmrużyć. Opanował jednak wzruszenie i odpowiedział nie swoim, dziwnie głuchym głosem:

- Proszę, skoro pan prezes tego życzy.

Teraz obawiał się, że dalsze formalności będą również powolnie załatwiane. Czuł, że musi opuścić czym prędzej gabinet prezesa. Napięte podczas długiej rozmowy nerwy, odprężone po szczęśliwym jej zakończeniu, domagały się gwałtownie wypoczynku. Było to wprost niezbędne, aby nie zdradzić przed przebiegłym Chińczykiem opanowującej go radości i wzruszenia. Starał się wziąć się w ręce, z dumą myśląc o tym, jak wszystko doskonale przecztał, obmyślił i przeprowadził. Na chwilę zdusił w sobie rosnącą potrzebę tkliwej szczerości i wyrażenia natychmiast czymkolwiek swego radosnego nastroju. Należało się śpieszyć z podpisaniem umowy i odbiorem wspaniałego czeku, więc myśl tę całą siłą woli usiłował narzucić niehojnemu wcale prezesowi. Czekał, aż w biurze przygotują potrzebne dokumenty, od niechcenia zapytał Liao-Kaj-Fana:

- Mam przyjaciela, który poszukuje odpowiedniej posady. Jest to były oficer marynarki, człowiek niezmiernie energiczny, doskonały organizator i mówiący po chińsku zupełnie biegle. Czy nie miałby pan prezes jakiejś dla niego posady w dziale administracyjnym lub w składach przy drukarni? Koncern miałby z niego prawdziwą pociechę!

Prezes tym razem odpowiedział bez namysłu:

- Doskonale się składa! Mamy ciągły kłopot z kolporterami. Kradzieże, awantury i w ogóle - nieład! Tą hałastrą powinien rządzić jeden człowiek, ująć wszystkich w żelazne karby i mieć na nią silny wpływ. Jeżeli ów przyjaciel pana.

- Lepszego wyboru nie mógłby pan zrobić! - przerwał mu Wagin. - Lejtenant Miczurin potrafi wprowadzić taki rygor jak na pokładzie okrętu. A co do jego wpływu osobistego - powiem tylko jedno. Jest to olbrzym, który z łatwością przerzuca dorosłego człowieka przez wysoki mur. Więc prezes pozwoli, że jutro o dziewiątej stawimy się razem?

- Owszem, owszem, jeżeli ten lejtenant nie będzie żądał wygórowanej pensji - począł wywijać się Liao-Kaj-Fan. - Mógłbym mu płacić piętnaście dolarów chińskich tygodniowo.

- Mam nadzieję, że ugodzą się panowie za dwadzieścia pięć - odpowiedział Wagin i zaśmiał się wesoło: - Cieszy mnie, że prezes będzie miał zupełny spokój, a mój przyjaciel - odpowiadającą jego temperamentowi i zamiłowaniom pracę!

W pół godziny potem Wagin wychodził już z potężnego, zajmującego cały kwartał pomiędzy czterema ulicami gmachu największego w Chinach koncernu Szun-Pao, mając w kieszeni półroczną umowę i czek na trzydzieści dolarów amerykańskich. Bojąc się uprzytomnić sobie tak głęboką i niemal cudowną przemianę w życiu, aby nie wybuchnąć spazmatycznym śmiechem lub płaczem, gdyż czuł, że coś go ściska za gardło, a w piersi podnosi się miękka, ciepła fala, zalewająca rozrzucone serce, mocno zaciskając szczęki, a jednocześnie uśmiechając się oczyma, wszedł do pierwszego napotkanego w drodze banku.

Podniósłszy pieniądze, z tym samym wyrazem na twarzy i jak gdyby zastygłym prądem radosnej myśli od chwili ostatniego uścisku dłoni prezesa Szun-Pao, wstąpił do dużego sklepu i kupił sobie nowe

buty i dwa sztywne kołnierzyki. Załatwiwszy sprawunki, szybkim krokiem powracał ku chińskiej dzielnicy. Wylegitymowawszy się przy północnej bramie, wkrótce przeciskał się już przez tłum, wypełniający ulicę Fu-Tien-Koo. Po oddaniu listu Fen-Cziena właścicielowi palarni Sergiusz powtórzył mu ze wszelkimi szczegółami rozmowę swoją z jego przyjacielem, po czym wpadł do Plena, który, wypaliwszy przed chwilą swoją porcję opium, czuł się podnieconym i wesołym. Razem udali się do Gospody Czterech Stron Świata i odnalazłszy Miczurina, we trójkę zjedli prosty, ale wcale niezły obiad. Miczurin, posłyszawszy o wynalezionej dla siebie posiadce, raz po raz porywał się całować Sergiusza po rękach, mruczając przez zęby:

- Dobroczyńco, szlachetny człowieku, aniele z nieba mi zesłany.

Wagin odpowiadał mu ze śmiechem:

- Przepowiedziałem wam przecież, drogi lejtenancie, że na owej misie czumizy zrobicie lepszy biznes, czyli jak wymawiają to słowo Chińczycy - pidżin, niż starozakonny Ezaw, chociaż on, kropka w kropkę jak i wy - lisowaty był i cały, jak skóra, we włosiach.

Plen zaśmiał się i spytał, co znaczą te ekskursje w dziedzinę Starego Testamentu.

Lejtenant zmieszał się i niechętnie odpowiedział, machnąwszy włochatą łapą:

- Prawnik to, więc ma język luźnie podwieszony, no i brzdęka, co mu tam ślina przyniesie.

Wagin, wybuchając śmiechem i klepiąc Miczurina po potężnym grzbiecie, odparł, zwracając się do Plena:

- Trochę przeciągnęła się moja kuracja głodowa, o której wam wspomniałem wczoraj, więc wyglądałem jak nieboszczyk. Pocziwiec ten nakarmił mnie przewspaniałą kaszą z czumizy i wlał dwie miseczki mocnej herbaty. Tak pożądaną nabój spowodował u mnie wybuch energii i rozjaśnienie mózgu i oto widzicie dziś przed sobą potężnego redaktora Szun-Pao w naturalnych wymiarach! Żebyście tylko wiedzieli, jak mi dobrze zrobiła ta misa czumizy! Okręciłem tę szelmę-prezesa dookoła palca niby tasiemkę i podsunąłem mu wspaniały pomysł wypisania czeku na całych trzydzieści dolarów amerykańskich, to znaczy siedemdziesiąt sześć tutejszych. Jestem więc milionerem, a w najbliższej przyszłości zamierzam stać się miliarderem! Żeby już wyglądać na takiego, kupiłem sobie nowe trzewiki, a jutro ujrzeć mnie możecie w śnieżnobiałym, sztywnym kołnierzyku!

- Zawsze mówię, że wygląd zewnętrzny niczego nie dowodzi! Taki sobie zwykły drab, pijaczyna i - niech to pozostanie między nami - trochę nawet bandyta, w gruncie rzeczy zaś najporządniejszy z niego i najlepszy człowiek. Nie udawaj, lejtenancie, że nie rozumiesz, o kim mówię!

Śmiali się wszyscy trzej, a potem rozważali możliwości, otwierające się przed Waginem. W toku rozmowy doktor wtrącił nieoczekiwanie:

- Na gruncie chińskim, niedawno tak niewzruszonym w posiadach, a teraz wstrząśniętym do głębi, zmiennym i płynnym, powinno się być przewidującym i ogromnie ostrożnym. Dochodzą mnie wieści niedobre. Już podobno połowa doliny Niebieskiej Rzeki ogarnięta jest dżumą. Tymczasem nikt nie może mi wyjaśnić ilości wypadków epidemii i samego przebiegu choroby, ale wiem już o kilku żebrakach, którzy zapadli na dżumę w naszej dzielnicy. Chorują również węglarze w osadzie robotniczej, w pobliżu gazowni, położonej za plantem kolejowym. Wypadki epidemii zdarzają się też

w Tungczou i Czin-kiangu, to znaczy, że zaraza sunie z biegiem rzeki. Jeżeli przybierze w Czapei znaczne rozmiary, zostaniemy jeszcze surowiej odcięci od Szanchaju i całego świata. Musicie, mili moi, mieć nad tym pilne oko, bo cóż się stanie z waszymi posadami, kiedy rada miejska i rada konsulów ogłoszą kwarantannę?! Wtedy nie pomogą już żadne przepustki. Wszyscy będziemy zmuszeni siedzieć wśród murów naszej dzielnicy i wróżyć, czy porwie nas dżuma, czy też ominie.

Sergiusz zaniepokoił się nowinami, posłyszanymi od Plena, i spytał go, czy policja została już powiadomiona o żebrakach chorych na dżumę.

- Naturalnie, że jaomyń o tym już wie - powiedział doktor. - Wie, ale dotychczas ukrywa prawdę przed władzami, aby nie mieć kramu i odpowiedzialności za walkę z epidemią.

- Jakżeż można ukryć taką straszną i niebezpieczną zarazę jak dżuma?

Plen i Miczurin zaśmiali się jednocześnie.

-W Chinach to zwykła rzecz! - objaśnił lejtenant, wzruszając ramionami. -Już dwa razy widziałem, jak się z tym załatwia policja. Otrzymałszy wiadomość, że ktoś zmarł na dżumę, bo tak określili znachorzy, wróżbici lub wprost starcy, policja wyprowadza paru aresztantów z więzienia i każe im zanieść nieboszczyka, a czasem i niecałkiem jeszcze trupa - za miasto, obłożyć gaolianem i spalić. Tu o życie ludzkie nikt się nie upomina, bo i słusznie - około pół miliarda żółtego bractwa stłoczyło się w Chinach, więc można się raczej cieszyć, gdy wojna, głód, rewolucja, powódź czy epidemia porządnie przetrzebi to mrowisko. Poznałem w zeszłym roku pewnego inteligentnego Chińczyka, który utyskiwał, że Chiny nie są nawiedzane przez trzęsienie ziemi i wylewy morza, jak Japonia, gdzie kwestię przeludnienia sama natura radykalnymi środkami reguluje znakomicie.

Doktor słuchał spokojnie i potakiwał mówiącemu ruchem głowy. Gdy Miczurin zakończył swoje opowiadanie, dodał:

- Dopiero kiedy epidemia wybuchnie z całą siłą, kiedy ludność zacznie masowo zapadać na dżumę i wyniknie panika, wtedy władze ustanowią kwarantanny i zamkną chorych i zdrowych w ognisku zarazy. O tym trzeba pamiętać, aby zawczasu wydostać się poza mury, bo inaczej - nastąpi generalna klapa dla wszystkich waszych zamiarów i nadziei!

- Doktor nas powiadomi i wymknie się stąd razem z nami! - powiedział Wagin.

Plen wzruszył tylko ramionami i spytał szczerze zdziwionym głosem:

- Ja? A po co? Czyż dla mnie nie jest obojętne, gdzie mam skonać, na mojej przycy czy gdzieś za miastem?

Rozmowa się urwała na chwilę, bo w głosie doktora odezwały się nuty tragicznej rezygnacji. Wszczął ją jednak ponownie Sergiusz, mówiąc z niepokojem:

- Trzeba będzie uprzedzić moje panie, aby miały się na baczności i przygotowały do ucieczki. Nie mogę przecież porzucić ich na łaskę losu?! Gdyby, nie daj Boże, zachorowały, pan, doktorze, nie mógłby już im pomóc!

- Chińczycy nie pozwoliliby mi nawet zbliżyć się do zadżumionych, bo uważają ich za dotkniętych palcem dżosa - ducha choroby! Mam nawet pewne dowody, że nie dążą oni bynajmniej do prędkiego



zlikwidowania epidemii, gdyż po jej wygaśnięciu życie bądź co bądź staje się łatwiejszym - w mieście i na wsi zmniejsza się bowiem ilość współzawodników w walce o chleb, a rodzinie ubywa kilka głodnych gardzieli.

Długo jeszcze trwała rozmowa o dziwnych, straszliwie realnych poglądach Chińczyków na życie, o sprawach bliższych, dotyczących bezpośrednio emigrantów, mieszkających w Czapei, gdzie, tuż za murem, ciągnęły się szerokie, asfaltowane ulice, bulwary, malowniczo rozplanowane ogrody eleganckiej koncesji francuskiej, teraz bardziej niedostępnej niż nawet Zakazany Gród w Pekinie, gdzie w swej dawnej stolicy pędził monotony żywot honorowego więźnia narodu i republiki ostatni cesarz dynastii mandżurskiej.

Pożegnawszy przyjaciół, Wagin powrócił do domu i oznajmił Ludmile, że jutro pójdą razem do miasta i że doprowadzi ją do biura, znajdującego się niedaleko siedziby Szun-Pao. Pani Somowa, posłyszawszy szczęśliwą nowinę, winszowała Sergiuszowi nowej posady i zaprosiła go na filiżankę herbaty. Wagin z wielką ostrożnością uprzedził obie panie o niebezpieczeństwie wybuchu epidemii i o konieczności przeniesienia się w tym wypadku do miasta.

- Niech tylko panie będą przygotowane, a resztę to ja już sam załatwię i wszystko zorganizuję!

- Ma pan tyle własnych kłopotów i będzie pan na dobitkę myślał

o nas! - protestowała pani Somowa. - Nigdy na to nie pozwolę!

Wagin z uśmiechem zauważył:

- Kłopotów, co prawda, miałem co niemiara, ale teraz musi wszystko pójść inaczej! Zresztą, co o tym długo rozprawiać? Nie zostawię pań przecież na pastwę jakiegoś tam dzosa?!

- Cóż to za potwór? - spytała Ludmiła.

- To duch dzumy, poetycka zapewne nazwa bakcyli choroby - zażartował Sergiusz i spojrzawszy na dziewczynę, dodał: - Jutro to ja poniosę tę czerwoną teczkę! Sprawi mi to przyjemność, bo już zapomniałem, jak czuje się człowiek z podobnym godłem użyteczności publicznej!

Ludmiła po raz pierwszy uśmiechnęła się swobodnie, bez przymusu wewnętrznego. Wagin aż zdumiał się na jej widok. Smutna jej twarz złagodniała i rozpromieniła się w jednej chwili; oczy błysnęły żywymi ognikami; cała postać, zwykle opuszczona i przygarbiona, wyprostowała się jak łodyga lotosu, dążąca ku słońcu.

Kiedy nazajutrz wyszli razem na ulicę, przed domem Jun-cho-sana Miczurin już czekał na Wagina. Stropił się bardzo, spostrzegłszy towarzyszkę przyjaciela, z zażenowaniem i zmieszaniem długo kłaniał się jej, szurzał nogami i co chwila obciążał sobie przykrótkie rękawy pożyczonego tużurka, mrucząc nadąsanym głosem:

- Wagin jest zdrajcą, bo nie uprzedził mnie, że będę miał zaszczyt towarzyszyć damie. Gdybym był wiedział, wystroiłbym się w smoking i lakierki!

- Ależ, lejtenancie, któż to w jasny Boży dzień wkłada smok? Shoking, my dear! - śmiał się Sergiusz, widząc zakłopotanie Miczurina.

- Wiem to bez pańskich uwag! - odciął się, udając obrażonego. - Chciałem powiedzieć garnitur sportowy!

Szybko szli ku bramie, ochranianej przez patrol. Wylegitymowali się

i przeszli dalej. Wagin, patrząc na Ludmiłę, spostrzegł, że była ubrana staranniej niż zwykle, a spod berecika nie wymykały się już kosmyki zaniedbanej fryzury.

Aha! - domyślił się. - Dlatego to tak się dziś guzdrała.

Szedł obok niej, dźwigając ciężką tekę z czerwonej tektury, i mówił żartobliwie:

- Pracujemy w pokrewnych instytucjach! Pani firma oszukuje czytelników, zalecając marne towary, nasza z lejtenantem nabiera i ogłupia opinię publiczną bałamutnymi wiadomościami. Jesteśmy zatem kolegami!

- Niewysokiego jednak zdania jest pan o swoim Szun-Pao! - zaśmiała się Ludmiła.

- Czyż nie znam prasy? To piąte wielkie mocarstwo wszędzie jednakowo się przedstawia! - odpowiedział. - Cóż was tak zatkało, lejtenantcie? Zachowujecie milczenie jak posąg Li-Hun-Czanga - pierwszego prezydenta dawnego Państwa Nieba, a teraz, passez moi le mot, Rzeczypospolitej o dwóch oficjalnych i kilku samozwańczych prezydentach, robiących taki galimatias, że sam diabeł nogę sobie złamie!

Miczurin jak gdyby obudził się ze snu i rozejrzał się wokoło.

- Myślałem w tej chwili o smutnych i niepocholebnych dla człowieka rzeczach - mruknął. - Zmuszony byłem od dawna prowadzić okropnie marne i podłe życie w mojej Gospodzie, a tymczasem, państwo nie uwierzcie, zdołałem już przyzwyczać się do niego i uważać je za znośne, a nawet wcale tego... jak by to się wyrazić... słowem wcale niczego sobie, jeśli nie myśleć, nie marzyć i nie mieć żadnych złudnych ani szkodliwych pragnień! Aż tu nagle wszystko odżyło we mnie, wybuchnęło ze straszliwą siłą. Gdy patrzę na tych oto ludzi na ulicy - takich spokojnych, porządnie ubranych, przekonanych, że komuś są potrzebni, czuję, że teraz, gdybym znowu musiał wypleniać z siebie najprostsze popędy ludzkie, to raczej rzuciłbym się do Creeku lub pod którąś najcięższą autocysternę z wodą! A jednak miał rację nasz Dostojewski, gdy twierdził, że człowiek to bydlę, do wszystkiego się przyzwyczajające! Dodam od siebie, że takie bydlę nie tylko przyzwyczajają się z piorunującą szybkością, ale potrafi nawet wyczuwać pewną przyjemność w swym podłym bytowaniu i poniżeniu!

Miczurin splunął zamasyście i nic już więcej nie mówił. Pożegnali Ludmiłę koło wejścia do jej biura i poszli dalej. Wkrótce rozpoczęli pracę w Szun-Pao. Wagin siedział w osobnym pokoju, wśród stosów gazet zagranicznych i czerwonym ołówkiem podkreślał w nich pewne ustępy artykułów politycznych, wiadomości giełdowe i przemysłowe i odrzucał drukowane płachty na sąsiedni stół, gdzie młody Chińczyk zręcznie wycinał oznaczone miejsca i naklejał na długie pasemka papieru, stawiając na nich inicjały pisma. Przejrzawszy wszystko, Sergiusz kazał sprowadzić stenografistkę - młodą, cudownie złocistą, wysportowaną Angielkę i podyktował jej zwięzły artykuł, streszczający najbardziej aktualne zagadnienia światowe i dający przejrzyste ich oświetlenie.

Korzystając z wolnej chwili, gdy miss Eveline Crawl wyszła, aby przepisać stenogram na maszynie, Wagin poszedł na poszukiwanie Miczurina. Znalazł go aż na trzecim dziedzińcu, w biurze rozdzielczym

i transportowym. Olbrzym ujadł się z armią ulicznych sprzedawców dzienników, z dzierżawcami kiosków, z opieszalymi szoferami ciężarówek, rozwożących pliki dzienników na kolej, Wusung i przystanie żeglugi rzecznej, z dostawcami papieru i z tragarzami, przynoszącymi zwrotne egzemplarze. Zdać by się mogło, że czyni to już od kilku lat, a nie od paru zaledwie godzin, spokojnie, stanowczo, systematycznie i szybko. Powiedzonka jego wzbudzały wybuchy śmiechu, a gdy jedną ręką odrzucał, niby lekką szmatę, ogromny rulon papieru, Chińczycy milkli, z podziwem i zachwytem wpatrując się w siłacza. Z równym zdumieniem i zachwytem przyglądał się robotcie Miczurina stojący na uboczu prezes Liao-Kaj-Fan, nieumiejący dać sobie rady ze zgrają łobuzów, złodziejów i nicponiów, trzy razy dziennie wdzierających się na podwórze, skąd wypadali obładowani plikami pachnących farbą drukarską dzienników i z przeraźliwym, dzikim wrzaskiem mknęli ulicami Szanchaju, roznosząc sławę i utwierdzając popularność koncernu Szun-Pao.

Wagin spostrzegł prezesa i zbliżył się do niego, mówiąc:

- Jestem przekonany, że pan prezes ocenia należycie zdolności administracyjne mego przyjaciela?

- Istotnie, nie spodziewałem się.

- Cóż pan chce? Doświadczenie wybitnego bojowego oficera marynarki! - dorzucił Sergiusz. - Co do mnie, to melduję, że przegląd prasy przepisuje się już na maszynie i za kilka minut pójdzie do drukarni.

- Już? - zdziwił się prezes i spojrzął na zegarek. - Dopiero jedenasta, a pan już skończył.

- Mam też pewną wprawę w pracy redakcyjnej - odpowiedział Sergiusz. - Może pan potrzebuje ułożyć jakieś listy? Chętnie dopomogę, zanim nie dostarczą mi korekty i zanim nie nadejdą telegramy agencji zagranicznych.

Liao-Kaj-Fan ucieszył się, gdyż musiał właśnie wysłać list do Francji w sprawie akredytowania nowego korespondenta Szun-Pao przy Quai d'Orsay. Postyszawszy o tym, Wagin zaproponował, że do listu prezesa doda osobisty list do swego dobrego znajomego, dyrektora biura prasowego przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Paryżu. Tak się rozpoczął pierwszy dzień pracy przyjaciół w chińskim koncernie prasowym. Obiad jedli w małej, taniej restauracyjce w jednej z bocznych ulic i już o drugiej byli na swoich placówkach. Po wypuszczeniu wieczornego wydania i załatwieniu wszystkich interesów, wpadli po Ludmiłę i razem z nią powracali do domu, dzieląc się swymi wrażeniami i spostrzeżeniami.

- Pozwolę się nazywać mułem lub wielbłądem - wygrażał się Miczurin - jeżeli nie porozpędzam na cztery wiatry połowy niepotrzebnych w przedsiębiorstwie wałkoniów! Żadnego nie widzę pożytku z tej bandy. Robią zgiełk i wszystko płaczą! Korzystając z zamieszania, dwóch kulisów ściągnęło sprzed nosa magazynierowi ryzę papieru kredowego, alem, na szczęście, spostrzegł, no...

Ludmiła zaśmiała się i spytała, patrząc na Miczurina z zainteresowaniem:

- Cóż pan z nimi zrobił?

Lejtenant chrząknął w kułak i mruknął:

- Wyśpiewałem im pewną litanię chińską najdosadniejszych wyzwisk, a potem z lekka pomacałem po żebrach. Bo i cóż z takimi łobuzami miałem robić? Dziękować im może, uśmiechać się i prawić głupie kazania?

Miczurin tak śmieszył Ludmiłę i Wagina, że nie spostrzegli nawet, kiedy doszli do domku Jun-cho-sana. Lejtenant poszedł już dalej sam, marząc o tym, że może uda mu się dostać na kredyt blaszankę hanszynu, ale wkrótce ogarnęły go wątpliwości, czy nie lepiej będzie, jeżeli wypije jedną tylko, a najwyżej dwie miseczki okowity? Kto wie, co czekało go w nocy? Może wybuchnąć jakaś awantura i będzie zmuszony z urzędu cerbera interweniować, a przecież trzeba się wyspać, bo jutro czeka go znów praca. Postanowił nie rezygnować tymczasowo z roli nocnego obrońcy ładu i ciszy w Gospodzie Czterech Stron Świata. Tak go już zmeły tryby rozpaczliwie nędznego życia, że nie dowierzał niczemu. Wolał więc zachować sobie jaki taki kąt i misę ciepłej strawy, co pozwalało mu śmieiej patrzeć w przyszłość, mieć przynajmniej pewność, że nie spotka go śmierć głodowa. Tej nocy lejtenant Michał Miczurin był wyjątkowo trzeźwy, a gdy na tle kart wynikła jakaś kłótnia w izbie, zajmowanej przez kulisów, przymierających z głodu, cerber, nie puszczając w ruch potężnych pięści, przemówił im do rozumu i sumienia i uciszył namiętności zrozpaczonych ludzi. Obiecywał sobie za to upić się w sztok w sobotę wieczorem, gdyż w tym dniu miał właśnie otrzymać zapłatę za pięć dni - około siedemnastu dolarów! Czuł się Morganem, Rotschildem czy też innym worem złota!

## II. PRZEPOWIEDNIE DOKTORA PLENA ZISZCZAJĄ SIĘ

Zima przeminęła. Ustały wiatry, podnoszące obłoki żółtego, gryzącego oczy kurzu i zdzierające dachówki z domów i pęki trzciny w szop. Rozwiały się ciężkie, szare chmury, płaczące drobnym, zimnym deszczem. Wiosna z dniem każdym odnosiła nowe i nowe zwycięstwa. Zmusiła nabrzmiałe pęki kasztanów wypuścić na wolność uwięzione w nich białe świeczki kwiatów, płatany - okryć się złotymi, lepkiemi listeczkami; kryptomerie, rosnące w parku na Bundzie, rozświetliła bladezielonymi pędami, wywabiła uśpione na dnie stawów łodygi lotosów, zapaliła płomyczki różnego kwiecica na trawnikach, krzakach i drzewach, roznamiętniła ptaki i owady i wślizgnęła się do ich krwi trucizną i szatem miłości; wreszcie uciszyła rwący prąd Huangpu i siwe, syczące fale morza, walczącego z niepogodą i z Jangcy, wylewającą od wieków potężną strugę żółtej, słodkiej wody. Słońce przygrzewało już dobrze, a w południe prażyło nawet. Na ulicach nie można już było dostrzec przechodniów w futrach i ciepłych czapkach; z dniem każdym przybywało coraz więcej białych strojów, a nawet hełmów płóciennych.

Już drugi miesiąc pracował Wagin w redakcji chińskiego koncernu, a w tym samym gmachu na trzecim dziedzińcu rządził Miczurin, zmieniony nie do poznania. Wagin zachował swój zwykły wygląd - człowieka skupionego i zrównoważonego i nikt nie mógłby spostrzec jakiegokolwiek w nim przemiany, chociaż wewnętrznie przemiana nastąpiła. Skupienie Wagina niedawno jeszcze było spotęgowaną czujnością obronną, równowaga zaś duchowa - również obronnym środkiem przeciwko panice, pozbawiającej go możliwości szybkiej i skutecznej reakcji na groźne okoliczności. Teraz skupienie Wagina nabrało zupełnie innych cech. Odbывała się w nim wytężona praca mózgową, gdyż, dzięki wiadomościom, dostarczonym redakcji, poznawał wszystkie strony życia w Chinach, z jego tysiącnymi powikłaniami i chaosem, zrodzonym z przewrotu republikańskiego, obcego, niezrozumiałego i wrogiego potężnej większości narodu, intrygami, zbrodniami europejskich

rezydentów i szerzoną przez nich korupcją w sferach urzędniczych, sądowych, administracyjnych i wojskowych, i patrząc trzeźwo na rzeczy, przychodził do przekonania, że w tym dziwnym, wstrząśniętym do głębi kraju, musi wywalczyć sobie niezależne od nikogo stanowisko. Rozumiał, że nie osiągnie tego, kierując pewnym działem w redakcji Szun-Pao lub pracując w jakiegokolwiek innej firmie. Należało stworzyć coś własnego, co nie podlegałoby obcym wpływom i żadnym koniunkturam. Ta właśnie uporczywa i wytężona myśl stanowiła teraz główną treść i źródło skupienia Wagina. Zrównoważony zawsze nastrój i spokojny wygląd stanowił nadal obronny pancerz, tym razem jednak przeciwko wszystkim, którzy w ten lub inny sposób mogli pokrzyżować wyłaniające się dopiero, jeszcze mgliste zarysy jego planu i pozbawić go warsztatu pracy i zapewnionego bytu. Były to zmiany psychiczne, a raczej odcienie wewnętrzne, dla niewtajemniczonego - nieuchwytnie.

Za to Michał Miczurin przechodził głęboką metamorfozę. Spotykając go codziennie i przyglądając mu się uważnie, Wagin zdumiewał się nieraz, widząc przed sobą coraz to innego człowieka. Ten rozrośnięty, silny okaz męski, jak motyl, przechodził cały cykl różnopostaciowych form. Opuściwszy się na dno nędzy, przeżył już marazm upadku, znajdując w nim możliwości istnienia, oparte zapewne wyłącznie na cechach jego charakteru i potężnym zdrowiu. W takim stanie zimowego letargu przetrwałby do ostatniego dnia ohydneho, nikomu niepotrzebnego życia, lecz wdarł się do niego Wagin. Uśpiona poczwarka, co dnia zmieniając kształty, dążyła teraz do najwyższej formy swego rodzaju. Miczurin używał zarobionych pieniędzy nie na bidony z hanszynem, jak to sobie obiecywał pierwszego dnia w koncernie, lecz na jak najszybszy powrót do możliwie kulturalnych warunków życia. Lejtenant nie tylko zmienił swoją niemożliwą, czyli –jak ją nazywał pogardliwie - sinorussian garderobę, nabywszy u jemu tylko znanych przekupniów przyzwoity garnitur, bieliznę i kapelusz, ale nawet na własny koszt odnowił norę, w której mieszkał na strychu Gospody. Wszyscy lokatorzy tego zajazdu, służba, a niebawem i sam właściciel po kilka razy przychodzili, aby się przyjrzeć pięknym niebieskim tapetom, składanemu połowemu łóżku z poduszką i kocem, grubej macie na podłodze i sztychowi, przedstawiającemu jakiś biały okręt wojenny na przesadnie lazurowym morzu. Ten sztych w wąskiej ramce lejtenant umieścił nad łóżkiem i dowodził, że spojrzawszy na obrazek, czuje się w kabinie okrętowej, gdzie przez iluminator widzi biały krążownik, prujący fale morskie. Miczurin prawie nie pił, a w najniebezpieczniejszym dniu - w niedzielę, żeby uniknąć pokusy, szedł z wizytą do Wagina lub też do doktora Plena, gdzie rozpoczynał kazanie na temat zgubnego wpływu opium i pogardy, jaką wzbudza każdy nałóg.. No, no! - śmiał się Plen. - Gdyby mi ktoś powiedział, że będę zmuszony cierpliwie wysłuchiwać takiego kaznodziei z Armii Zbawienia, to bym kazał staremu So-hai dowcipnisią wyrzucić z palarni! Co się z tobą dzieje, sympatyczny gorylu? Wygrałeś milion tael w mahjonga? Usynowił cię król herbaciany Sun-Y-Li? Czy może przypadkiem upadłeś na głowę?

Przemiany, zachodzące w psychice Miczurina, można było nazwać przebudzeniem zmysłu kultury. Ten okres transformacji trwał dość długo i pochłaniał go całego. Lejtenant szedł etapami - od europejskiego garnituru do sztychu z okrętem, od ogolenia twarzy do czystych paznokci, od gwałtownego zmniejszenia porcji alkoholu do potrzeby modlitwy, od zaniechania ohydnych przekleństw do obcowania z ludźmi kulturalnymi i inteligentnymi. Przeszedłszy niezliczoną ilość etapów - mniejszych i większych, mało znaczących i radykalnych - rozpoczął nową wędrówkę psychiczną i etyczną. Wstydzić się począł swej przeszłości, żałował gorzko, że chwalił się niegdyś przed Waginem swymi talentami, gdyż obawiał się, że przyjaciel nigdy nie będzie go szczerze poważał; odrzucał różne niezmiernie nieraz śliskie i ryzykowne propozycje, zaniechał udzielania fachowych porad w zawiłych sprawach, częstokroć mających posmak krwi i jadowity zaduch celi więziennej; czuł wyrzuty sumienia; całym sercem pragnął dowieść przyjaciołom, że tli w nim jeszcze

iskra szlachetności i w wolnych od pracy chwilach przeżywał ciężkie zgryzoty, niejasne jeszcze i niejasnością swoją dręczące go tęsknoty i dążenia. Stał się chorobliwie wrażliwy na ton, jakim zwracano się do niego, nie lubił żartów, skierowanych ku sobie, w każdym powiedzeniu doszukiwał się aluzji do swojej osoby i cierpiał nad tym, usiłując nie okazywać tego nikomu.

Pewnego wieczora, gdy Wagin czytał w swoim pokoju, zjawił się Miczurin. Sergiusz spostrzegł niepokój w jego oczach.

- Co się stało? - spytał, wpatrując się w przyjaciela.

- Dżuma wybuchła z nagłą siłą - szepnął tak cicho, żeby za ścianą nikt go nie mógł posłyszeć.

- Skąd macie te wiadomości? Może to tylko plotki? - spytał znowu Wagin.

Miczurin potrząsnął głową i poszedł ku drzwiom.

- Chodźmy, przekonacie się sami - mruknął, stojąc już na progu. - Musimy się śpieszyć, bo, jak twierdzi Plen, za parę dni rada miejska niezawodnie ogłosi kwarantannę, a wtedy już nie pomogą żadne przepustki, jak wtedy, gdy nas tu zamknęli po napadzie na japońskie dziewczynki. Strach pomyśleć, co by to było!

Wagin, nic mu nie odpowiadając, narzucił płaszcz, wcisnął kapelusz na czoło i obaj szybkim krokiem wyszli z domu. Już sam wygląd ulicy natychmiast zwrócił na siebie uwagę Sergiusza. Policjanci, krzyżąc i dopomagając sobie batami i kijami, wyganiaли mieszkańców na jezdnię, inni wchodzili do opróżnionych domów i przeprowadzali w nich rewizję. Nic nie znalazłszy, kredą kreślili na drzwiach jakieś hieroglify i przechodzili do następnego domu. Wagin rozumiał, że policja szuka chorych, z różnych powodów ukrywanych po domach. Najważniejszym jednak powodem była zapewne obawa, żeby nie odcięto chińskiego miasta od handlowej i portowej dzielnicy, co dla wielu mieszkańców znaczyło tyleż co wyrok śmierci. W domach, bliższych bramy północnej, obydwu świątyń i herbaciarni Pod Wierzbami, chętnie uczęszczanej przez turystów cudzoziemskich, znaleziono jedno tylko chore dziecko, ale pozostawiono je na miejscu, gdyż urzędnik policyjny rozpoznał pospolitą, nikogo tu nieprzerazającą chorobę - ospę. Gdy jednak oddział policji, świecąc sobie lampkami elektrycznymi i pochodniami, począł zagłębiać się do labiryntu zaułków dalszego odcinka Fu-Tien-Koo, ciągnącego się już za jaomyniem, towarzyszący mu z daleka Wagin i Miczurin stali się świadkami ponurych i wstrząsających scen.

Policja zniecka wpadała do domów, szop, glinianych dobudówek przy murach, przemocą wyrzucała przerażonych mieszkańców i przetrząsała brudne legowiska, zaglądał pod prycze, za piece, na strychy i do każdej dziury i dołu na podwórkach. Coraz częściej znajdowano chorych, ukrytych pod wiązkami trzciny, kupami łachmanów i stosami szczap i makuchów bobowych, używanych na opał. Nikt nie oglądał ich i nie badał. Aresztanci, brzęcząc łańcuchami na nogach, wywlekali chorych na ulicę i rzucali na taczki. Szloch kobiet, przeraźliwe krzyki dzieci, jęki i przekleństwa mężczyzn towarzyszyły tym czynnościom sanitarnym. Jakaś stara, rozczochrana wiedźma, charcząc, wykrzykiwała straszne przekleństwa i co chwila doskakiwała do tego lub innego policjanta i czegoś żądała, wymachując czarnymi, chudymi ramionami. Gdy odepchnięto ją, rzuciła się do taczki, upadła całym ciałem na leżącego już w niej chłopaka i poczęła jazgotać, nogami broniąc się przed aresztantami. Starszy policjant, trzymając nad głową dymiącą pochodnię, zbliżył się do taczki. Czerwone blaski kopiącego płomienia padły na twarz i obnażone do pasa ciało chorego.

Wagin, zaciskając ręce, z przerażeniem mu się przyglądał. Na ciele chłopca widniały czarne plamy, z których tam i sam sączyła się ciemna krew; na opuchniętej szyi, tuż nad obojczykiem z lewej strony wystawał duży, ropiejący guz. Obojętna, tępa twarz chorego, rozpalona od gorączki, płonęła; czarne, obłądne źrenice wpatrywały się w jeden punkt, usta poruszały się z trudem.

Ktoś dotknął ramienia Wagina. Sergiusz aż drgnął. Wydało mu się bowiem, że chwycił go za ramię ten straszny upiór, którego, warcząc i wyjąc, broniła stara Chinka. Wagin obejrzał się. Obok niego stał doktor Plen. Miał pofałdowane czoło i mruczał przez zęby:

- Widzieliście? Najprawdziwszy obraz czarnej śmierci! Dżuma to plaga, a zarazem dobrodziejstwo dla Chin. W wieku czternastym w ciągu roku wytrzebiła ona pięć milionów ludzi, ale i teraz rokrocznie wymiera setki tysięcy ludności, choć rzadko o tym dowiadujemy się. Ale zaczęło się! O ile mogę sądzić - epidemia zbierze obfite żniwo, chociaż lato nie jest sprzyjającą dla niej porą roku.

Wagin słuchał doktora, idąc tuż za policją i karawaną taczek, sunących z głuchym turkotem w stronę ogrodów. Wyszli wreszcie za miasto i minęli zieleniejące już grzędy. W pobliżu niewielkiej kapliczki droga pobiegła ku morzu. Na uboczu w ciemności zamajaczyły długie, czarne szopy, gdzie suszono cegły. Dokoła widniały głębokie wyrwy i kotły, skąd brano glinę i piasek do cegielni.

Policja postanowiła możliwie jak najdłużej odroczyć interwencję władz miejskich i swoje z tego powodu kłopoty. Znalazła ustronny punkt izolacyjny, gdzie wprost na ziemi składano chorych, wszystkich do jednej kupy - i zadżumionych, i cierpiących na inne, nieraz przypadkowe i lekkie choroby. Krewni, szczególnie kobiety cisnęły się do szop, gdzie łkało, jęczało i miotało się w malignie trzydzieści istot ludzkich. Matki i żony obejmowały chorych, żegnając ich czule i obiecując przyjść tu nazajutrz.

- Pić, pić! - drżała i rwała się w powietrzu żałosna, błagalna skarga biedaków, zamkniętych w ciemnej szopie.

Policja kijami rozpędzała tłum, ale dopiero wtedy, kiedy komisarz dał kilka strzałów rewolwerowych nad głowami zrozpaczonych i strwożonych ludzi, miejscowość dookoła cegielni opustoszała wreszcie.

- Musicie teraz przenieść się czym prędzej do miasta, bo jaomyniowi nie uda się zbyt długo ukrywać prawdy przed panami z rady municypalnej! - mówił Plen, gdy powracali do domu.

Wagin skinął głową i odpowiedział:

- Znaleźliśmy już dwa tanie pokoiki w pobliżu dworca kolejowego - jeden dla nas, drugi dla pani Somowej z córką. Mogę mieć trzeci - dla pana, doktorze.

Plen spojrzął na niego łagodnie i zaśmiał się cicho:

- O mnie się nie obawiajcie! Jestem tak dokładnie mumifikowany smołą opiumową, że tego żaden bakcyl nie wytrzyma.

Wkrótce rozstali się koło Gospody. Już dobrze po północy Wagina obudziło łomotanie w ścianę i przerażony głos pani Somowej:

- W mieście coś się zdarzyło! Słyszysz pan? Jacyś ludzie biegną gdzieś, krzyczą i nawołują się. Może napad bandytów albo pożar.

- W tej chwili ubiorę się i dowiem - odpowiedział Sergiusz i wkrótce był już na ulicy, zatłoczonej Chińczykami, krzyczącymi przeraźliwie i gestykulującymi w wielkim podnieceniu. Nad całą dzielnicą za jaomykiem rozedrgała się luna, a spoza wygiętych dachów wyrwały się języki płomieni, kłęby dymu i snopy iskier. Nad strzechami widzialne z daleka unosiły się wysoko w powietrzu i spadały płonące snopy trzciny i buchające ogniem odłamki stropów. Na wschodzie, już poza miastem, palił się jakiś budynek ukryty za domami i murem, opasującym miasto. Sergiusz doczekał się, aż przybyła straż ogniowa i powoli przejechała dalej, w obawie przed połamaniem kół na wyboistej w tej części ulicy. Powróciwszy, uspokoił obie panie i znów położył się. Dopiero nazajutrz dowiedział się od Miczurina, że policja, chcąc ukryć dżumę, odnalazła jednak jej ognisko i wysiedliwszy mieszkańców, podpaliła kilkanaście domów.

- Ale widziałem, że za miastem również szalał pożar? - zauważył Wagin.

Miczurin kiwnął ręką niedbale i zamruczał:

- O tym nie wolno mówić głośno! Policja spaliła szopę na cegielni.

- A co się stało z tymi tam biedakami? - zawołał Sergiusz, przypomniawszy sobie staruchę, broniącą chłopaka o czarnych plamach na piersiach i szyi.

Miczurin chrząknął tylko dyskretnie i uczynił ręką spiralny ruch ku niebu.

- To zbrodnia! - syknął Sergiusz.

- Nie przeczę, lecz nie radzę komukolwiek opowiadać o tym - szepnęła lejtenant. - Podobno zawsze tak się tu zaczyna, a dopiero potem interweniuje cywilizacja europejska, drżąca o własną skórę i własną kieszeń.

W redakcji Wagin został wezwany przez prezesa. Liao-Kaj-Fan przyjął go niezwykle uprzejmie, wysadził się na niezliczone i najwyszukańsze komplementy i poczęstował herbatą.

- Winszuję panu, winszuję! - mówił. - Pańskie streszczenia głosów prasy światowej coraz częściej przedrukowują dzienniki cudzoziemskie, a nawet nasi konkurenci w Kantonie!

- Bardzo się cieszę! - odpowiedział Sergiusz. - Spokojny teraz jestem, że prezes nie żałuje swego wyboru.

- Ależ jak pan może podejrzewać nawet coś podobnego? - aż skoczył Liao-Kaj-Fan. - Jestem niezmiernie uszczęśliwiony, że mam zaszczyt i prawdziwą przyjemność korzystać z pomocy tak wyjątkowo uzdolnionego, uczonego i mądrego dżentelmena! Jeszcze coś panu powiem, ale to już w zupełnej dyskrekcji! Mogę liczyć na to?

- Oczywiście! Najzupełniej!

- Rada koncernu postanowiła o dwadzieścia pięć procent podnieść pańskie wynagrodzenie po terminie pierwszej umowy. Cieszę się niezmiernie z tak sprawiedliwej oceny pańskich zasług przez nasz koncern!

- Zawdzięczałbym to wyłącznie panu prezesowi.



- Nie tylko, chociaż istotnie przy każdej sposobności podkreślam nasze powodzenie, w znacznym stopniu zależne od pracy pana - odpowiedział Liao-Kaj-Fan. - Na przykład pański niedzielny przegląd prasy moskiewskiej wywołał sensację, gdyż umie pan czytać pomiędzy wierszami, a przypuszczenia i przepowiednie pana zawsze się sprawdzają. Ten ostatni artykuł pana zaniepokoił nawet poselstwo bolszewickie, skąd telefonowano do mnie z Pekinu, wypytując o tak wspaniale poinformowanego współpracownika! - zarechotał prezes, mrużąc chytre oczy.

- I cóż - podał im pan moje nazwisko? - z zupełnym spokojem zapytał Wagin.

Liao-Kaj-Fan aż odrzucił się na oparcie fotelu i zamachał rękami, śmiejąc się głośno.

- Albo się jest dziennikarzem, albo się nim nie jest! Nic nie dowiedzieli się ode mnie czerwoni dyplomaci! O nic! - zawołał z dumą żółty dżentelmen.

- Postąpił pan prezes względem mnie zupełnie fair, ale wiemy, że wyjaśnienie tego sekretu poliszynele nie jest rzeczą trudną, a zatem nazwisko moje zapewne jest już znane w pekińskiej placówce bolszewickiej - nie zdradzając żadnego zaniepokojenia, zauważył Sergiusz.

- Może pan obawia się jakiejś przykrości z tej strony? Sądzi pan, że pańskie nazwisko mogłoby wzbudzić wrogie wystąpienia poselstwa przeciwko koncernowi? - dopytywał się nagle zatrwożony prezes.

Wagin wzruszył ramionami i po krótkim milczeniu odpowiedział, obojętnym wzrokiem spoglądając dokoła:

- Nie sądzę, chociaż, jak wiadomo, Moskwa ma długie ręce. Chiny doznały tego na sobie: sprzątnięto im sprzed nosa Mandzurię, osłabiono wpływy w Mongolii i Turkiestanie, w roku 1900 ograbiono stolicę. Powie pan, że to zrobione było przez rząd cesarski? Zapewniam pana jednak, że proletariacko-komunistyczny rząd uczyniłby co do joty to samo.

Liao-Kaj-Fan zamyślił się nad odpowiedzią swego współpracownika i po chwili skinął głową.

- Ma pan słuszność! - mruknął. - To, co robią bolszewicy u nas, komunizując całe prowincje, będzie miało gorsze konsekwencje niż wypadki z okresu zbrojnego powstania Wielkiej Pięści.

- Niezawodnie! - ożywił się Wagin. - Będziecie wcześniej czy później mieli okupację całych Chin przez Japonię, która wymiecie bolszewizm, ale zażąda za to od was tak wysokiego honorarium, że zmuszeni będziecie wasz historyczny wielki mur graniczny z północy przenieść zapewne na prawy brzeg Niebieskiej Rzeki. Będziecie to zawdzięczać Moskwie, która, rywalizując z Japonią, dopomaga jej jak najlepsza sojuszniczka. Obawiam się, że rząd chiński niezupełnie dokładnie zdaje sobie z tego sprawę. Czytając uważnie nasze dzienniki, chwilami przychodzę do tego smutnego wniosku.

- Ach, nasz rząd! - lekceważącym głosem przeciągnął Chińczyk. - Przedstawicielstwo analfabetyzmu politycznego! Władzę muszą ująć ludzie młodzi, o europejskim wykształceniu, wtedy...

- Przepraszam, że nie zgodzę się bez zastrzeżeń ze zdaniem pana prezesa! - przerwał mu Sergiusz. - Pan zapomina, że doświadczenie historyczne, prawne i polityczne Europy wypływa z odmiennych całkiem losów jej ludów, z innej zupełnie psychologii, kultury i cywilizacji i nie może mieć całkowitego zastosowania w waszym kraju.

- Tymczasem Japonia, która w ciągu pięćdziesięciu dwóch lat dogoniła, a może i przegoniła Europę.

- Geograficzna sytuacja Japonii i poprzednie za szogunatu psychiczne nastawienie narodu sprzyjało temu i umożliwiało nagłą europeizację kraju, co zresztą w pewnych okresach sprawia i będzie nadal sprawiało Japonii poważne kłopoty i trudności - odpowiedział Sergiusz. - Należałoby raczej oddać władzę w ręce uczonych chińskich i zażądać od nich, aby w najkrótszym czasie zjednoczyli kraj i doprowadzili go do stanu, w którym możliwe byłoby zgromadzenie narodowe. Moim zdaniem, rządzić powinni staro-Chińczycy, wykonywać zaś młodzi ludzie, choćby nawet europeizowani, europeizowani najczęściej, niestety, powierzchownie.

Liao-Kaj-Fan przysłuchiwał się uważnie i od czasu do czasu potakiwał ruchem głowy.

- Przyjaciel mego ojca, Ku-hung-ming jest to największy z współczesnych filozofów naszych - zaczął po chwili, ale Sergiusz przerwał mu:

- Znam jego rozprawę o Duszy narodu chińskiego. To pan zna tego wybitnego myśliciela?

- Dawniej bywał częstym gościem w naszym domu, ale od czasu republiki usunął się w zacisze swego domu w Pekinie - odpowiedział prezes, z podziwem patrząc na Wagina, który, jak mu się wydało, wszystko wiedział i we wszystkim się orientował. - Otóż stary mędrzec powiedział mi ze smutkiem, że w Chinach jest i będzie źle, gdyż nikt nie chce zajrzeć do historii naszego narodu.

- Od tego zacząłem naszą rozmowę na ten temat! - uśmiechnął się Sergiusz. - To rozumiałe i konieczne! Europejskie państwa również popełniają ten błąd z tą tylko różnicą, że konsekwencje tego są mniej szkodliwe, gdyż historia narodów europejskich ma przynajmniej wspólny czynnik - religię chrześcijańską i dość jednostajny ustrój państwowy i społeczny w wiekach średnich.

Wszedł boj i zameldował jakiegoś interesanta, niezawodnie Chińczyka, gdyż świadczył o tym wymownie czerwony karton jego biletu wizytowego. Wagin powrócił do swego pokoju, a gdy wkrótce wybiła godzina szósta, wyszedł z biura i przed bramą czekał na Miczurina. Nagle spoza rogu wyszła Ludmiła i prawie biegnąc, zbliżała się ku niemu. Poszedł naprzeciwko niej, z daleka jeszcze pytając:

- Co się stało? Dlaczego pani tak się śpieszy?

Dobiegła do niego wreszcie i zdyszonym głosem powiedziała:

- Na bulwarze w koncesji francuskiej znaleziono zadżumionego. Ustalono, że zabrnął z naszej dzielnicy. Podobno wieczorem zbierze się rada municypalna z udziałem wszystkich konsulów.

- Fiu-ut, źle! - gwizdnął Sergiusz. - Musimy wnet zmiatać, bo to nie żarty, gdy nas poddadzą surowym przepisom kwarantanny! Ach, ten Miczurin! Guzdra się i nie wychodzi.

Do chodnika, na którym stali, podjechała taksówka. Wskoczył z niej Chińczyk-reporter i spostrzegłszy Wagina, zawołał:

- Dżuma w Czapei! Rada miejska dziś jeszcze ogłosi kwarantannę! Biegnę do redakcji, żeby zdążyli wypuścić dodatek nadzwyczajny. Mam już cały plan walki z epidemią, który będzie dziś uchwalony.

Wagin, pozostawiwszy Ludmiłę, odnalazł Miczurina. Lejtenant nie mógł wyjść, gdyż zmuszony był czekać na wypuszczenie dodatku i na rozdanie go sprzedawcom ulicznym. Objął tylko przyjaciela, które z jego rzeczy ma zabrać, i pozostał.

Okolo godziny dziesiątej wszyscy zebrali się w pokoju pań już na nowym mieszkaniu. Pani Somowa była wzruszona, przekonawszy się, że Wagin i Miczurin pomyśleli o wszystkim. Na stoliku przy oknie stał primus, parę rondelków aluminiowych i niezbędne naczynia na cztery osoby.

Dziękowała im, ale Wagin machnął ręką i wybuchając śmiechem, powiedział:

- Niech się pani nie wymiguje podziękowaniami! A gdzie kolacja? Przecież nic jeszcze nie jedliśmy! W tym zawiniątku znajdzie pani jajka, kiełbaski, sól, masło, chleb i pomidory, a w tamtym - herbatę i cukier. Nie wiem, czy to wszystko jest dobre, gdyż kupowałem mi to boj redakcyjny, ale od biedy zjemy chyba a la fourchette. Jutro za to przyrządzi nam pani lukullusową ucztę!

- Dwie uczy - poprawił go Miczurin - bo mieszkamy niedaleko od biura, więc w przerwie zamiast do restauracji możemy wpadać do domu. Pannę Ludmiłę też przyprowadzimy. Stawiamy weto na tę bułeczkę z szynką od rana do wieczora! Teraz będzie pani dostawać prawdziwy lunch, bo mamusia zgodziła się wszystkich nas stołować. Proponuję nazwać ten pokój Grand Restaurant des Amis.

- Jak się to awansuje na przyjaciela - zaśmiał się Sergiusz.

- No, przecież pan lejtenant jest chyba pańskim i naszym przyjacielem! - powiedziała pani Somowa.

- A widzicie?! - ucieszył się Miczurin, rozpakowując prowianty i ukradkiem śledząc każdy ruch Ludmiły, która wieszała na ścianie portret zmarłego brata, jakieś rodzinne fotografie w ramkach i sztych chiński.

Wagin rozpałał primus, pani Somowa obcierała ręcznikiem nową patelnię. Gdzieś zupełnie blisko, gwiżdząc przeraźliwie, turkotał pociąg. Ulicą biegł mały Chińczyk, drąc się na całe gardło:

- Dodatek nadzwyczajny!... Dżuma w Szanchaju! Wszystkie bramy w Czapei zamknięte! Doda... nadzwyczajny...

### XIII. DUSZE CZŁOWIECZE.

Już dwa tygodnie minęło od dnia, w którym ogłoszono chińską dzielnicę pod surową kwarantanną. Wagin z zaciekawieniem przyglądał się przyjaciołom. Znał ich dość dawno, lecz dopiero teraz mógł im się przyjrzeć z bliska. Zauważył głębokie, szybko zachodzące w nich zmiany. Przede wszystkim zdumiewała go pani Somowa. Posiwała do reszty i niedawno jeszcze beznadziejnie zgnębiona, po śmierci synka spędzająca większą część dnia na jego grobie, powracała przed obiadem dopiero, zapłakana, ogarnięta szaleńczo rozpaczą i wyczerpana zupełnie. Z wysiłkiem, automatycznie zabierała się do sporządzania obiadu dla córki, sama nic nie jadła, nieludzkim napięciem woli podtrzymując rozmowę, którą Ludmiła chciała ją wyrwać ze stanu odrętwienia i wzmagała się z dniem każdym melancholii. Gdy córka kładła się i zasypiała, pani Somowa bez szmeru ześlizgiwała się z łóżka i klęcząc na podłodze, godzinami modliła się i prowadziła z kimś nieskończone rozmowy głosem serca i

łkaniem duszy. Usprawiedliwiała się przed nieboszczykiem mężem, objaśniając, dlaczego nie potrafiła zachować przy życiu synka. Gdyby ktokolwiek mógł podsłuchać tę niemą rozmowę, przeraziłby się na pewno, zajrzawszy w otchłań rozpaczki matki. Nie poruszając prawie ustami, krzyczała bezdźwięcznie w bezkres zaświatów, że jest nędzarką, jakimś cudem tak długo trzymającą się na powierzchni życia, i to wyłącznie zawdzięczając mizernemu zarobkowi córki i przypadkowemu lokatorowi; że nie posiada już nic do sprzedania, że za lekarstwa zapłacił poczciwy Chińczyk Jun-cho-san, za co ona przez dwa miesiące szła dla sześciu jego córek modne suknie europejskie, aż nabawiła się w końcu choroby oczu, że gdyby nie towarzystwo dobroczynne i nie pożyczka, udzielona jej przez lokatora (Wagin tym celu sprzedał dobrą skórzaną walizkę i paczkę naboju do browninga), nie mogłaby nawet pochować Romana.

- Cóż miałam więcej zrobić - taka biedna, opuszczona, obca wszystkim w tym strasznym mieście? - wzdychała żałośnie, a te westchnienia matki słyszał nieraz na starym mieszkaniu Wagin, nie śpiąc, wpatrzony w ślepy mrok nocy, głodny i jakąś nieznaną siłą podtrzymywany w nadziei. - Cóż mogłam zrobić? Nikt goręcej ode mnie nie modlił się do Zbawiciela i Jego Matki, znającej gorycz bólu i wszystką tęsknotę ludzką, ale sądzone, widać, było, aby błagania moje nie doszły do Ich stóp świętych. W jakimś strasznym porywie wołałam do mocy innych, nieznanym mi, a wyczuwanym wszędzie i zawsze, bo wbijały we mnie źrenice swoje, a ja - grzeszna i obłąkana z bólu - nie wiedziałam, czy dobre są ich spojrzenia, czy złe, nie zastanawiałam się nawet, czy nie popełniam jakiegoś grzechu, gorszego od wszystkich grzechów śmiertelnych, czy dusza moja nie zwraca się w tych chwilach rozpaczki do mocy, przeklętej przez Twórcę, do szatana?! Cóż mogłam zrobić więcej? Zrozum, powiedz coś, daj znak widomy, że przebaczasz!

Czekała, ale cisza panowała w domu. Za piecem poczynał grać i nagle urywał świerszcz. Na podwórzu miauczała ruda kotka Jun-cho-sana. Pod podłogą gziły się, chrobotwały i zgrzytały zębami szczury. Wtedy stroskana kobieta niżej opuszczała siwą głowę i gorącym szeptem, cichszym od szmeru miękkich skrzydeł ćmy, wołała:

- Romeczku, synku, jedyny mój, najmilszy chłopusiu! Słyszysz mnie? Jesteś już w niebie u Boga, wśród aniołów promiennych. Tam widzą oni całą prawdę i nic się tam nie ukryje. Powiedz, czyż mogłam uratować ciebie? Zrobiłam dla ciebie mało, ale naprawdę wszystko, wszystko, co było w mojej mocy! Przysięgam, że myślałyśmy tylko o tobie!

Nagły niepokój ogarniał zrozpaczoną matkę. Wtedy wyciągała dłonie przed siebie i znowu błagała:

- A może źle zrobiłam, że pozwoliłam doktorowi Plenowi, leczyć ciebie, syneczku? Powiedz?! Daj znak!

W takiej chwili niezmiennie na tle ciemnej ściany majaczyła wysoka, przygarbiona postać Plena. Świeciła się jego chuda, blada twarz i łagodne promienie sączyły się z głęboko zapadłych oczu.

Takie męczeńskie dni i noce spędzała pani Somowa w swoim pokoiku w domku Jun-cho-sana. Z chwilą, gdy przeniosła się do nowego mieszkania, życie jej i nastrój gwałtownie uległy zmianie. Jak dawniej odwiedzała codziennie grób synka, lecz nie pozostawała już tam do wieczora. Owszem - śpieszyła się nawet, porządkując na mogiłce kwiaty i usuwając suche liście i pędy, modliła się gorąco, ale krótko, i pocałowała ziemię, prawie biegiem powracała do domu, aby przyrządzić obiad na czas. Krzątała się przez dzień cały i nie miała prawie czasu pozostać wyłącznie ze swymi smutnymi

myślami i dręczącymi ją wyrzutami sumienia. Gdy zaś wszyscy powracali do domu, głodni i żartobliwi, wnosząc ze sobą życie i ruch, mimo woli prostowała się, a zgasłe jej oczy nabierały blasku. Radowało ją to, że Ludmiła stała się żywsza, a nawet uśmiechała się nieraz, słuchając zabawnych opowiadań Miczurina o tym, jak to on dowodzi bandą obdartusów - tych sankiulotów szanchajskich, dziedzicznych i honorowych kulisów, jak ich nazywał lejtenant. Cieszyła się serdecznie, gdy jedli z apetytem, była dumna i w końcu stało się to punktem jej honoru, aby wszyscy troje zachwycali się wytwornym menu i wspaniałą kuchnią Grand Restaurant des Amis. Wieczorem, a nawet w nocy tragiczne rozmyślenia jej przerywało układanie planu na jutro i troska o to, że czegoś jeszcze dziś nie zrobiła.

Wagin wyczuwał, co się dzieje z panią Somową, i starał się jak najwięcej absorbować jej myśli i pamięć, przekonawszy ją zupełnie, że bez jej umiejętnego gospodarowania nie daliby sobie rady. To przeświadczenie zmusiło ją podwoić wysiłki, co zaprzętało jej mózg aż do chwili, gdy sen zmorzył zmęczoną głowę. Wagin wiedział z własnego doświadczenia, jak potężnym lekarstwem na cierpienia duszy jest praca i świadomość swej niewątpliwej, sprawdzanej na każdym kroku użyteczności. Pani Somowa z dniem każdym powracała do życia i pewnego razu nawet pochwyciła siebie na tym, że ze strachem myśli o powrocie do domku Jun-cho-sana. Przejęta swoją rolą i podświadomie uradowana odżywającą w niej chęcią do życia, co było podobne do cichej, łagodnej radości rekonwalescenta po ciężkiej chorobie, nie spostrzegła pani Somowa zmian w wewnętrznym świecie Ludmiły. Cieszyło ją wprawdzie, że córka zaczęła bardziej zwracać uwagę na swój wygląd i że czasami śmiała się wesoło. Objaśniała to jednak szczęśliwą okolicznością podwyżki pensji Ludmiły, wpływem naturalnego komizmu Miczurina i ciętym dowcipem Sergiusza. Jednak najważniejsza okoliczność uszła jej uwadze. Pani Somowa nie spostrzegła, że przychodząc do domu, Ludmiła przy wejściu przyjaciół, bacznie z jakimś nieznanym przedtem na jej twarzy ciepłym wyrazem ogarniała spojrzeniem Wagina, a gdy wszyscy śmiali się, słuchając gawędy lejtenant, ona ni to z uporem, ni to z trwogą wciąż szukała czegoś na spokojnej twarzy Sergiusza, nieznacznie śledząc jej grę i zmieniający się wyraz jego oczu.

Nie tylko jednak pani Somowa, ale i sam Wagin nie zauważył tej zmiany. Za to spojrzenia Ludmiły i to jej jak gdyby niecierpliwe lub trwożne oczekiwanie pochwycił roześmiany zawsze i niby bez troski Miczurin. Pochwycił i zasmucił się. Odczuwając tępą, niejasną gorycz, na krótki zresztą czas stawał się milczący i dziwnie zamyślony. Pewnego wieczora, leżąc już, zwrócił twarz ku czytającemu w łóżku Waginowi i rzucił:

- Czasem zdaje mi się, że zrobiłem fatalne głupstwo, poczęstowawszy was czumizą, gdyście umierali z głodu.

Sergiusz spojrział na niego badawczo i zapytał spokojnie:

- Z jakiegoż to powodu napadły was te spóźnione żale?

Miczurin długo milczał, czując na sobie przenikliwy i szyderczy wzrok przyjaciela. Wreszcie zapalił papierosa i odpowiedział żartobliwie, chociaż w głosie jego Sergiusz nie posłyszał wesołych nut:

- Bo tego dnia marna była kasza, trochę przypalona! Powiniennem być raczej ukraść kucharzowi kawałek słoniny.

-Jeżeli tak, to przyznaję wam rację! - mruknął Sergiusz i zastonił się gazetą.

Miczurin sapał, głośno wypuszczając dym i kręcąc się na łóżku, skrzypiącym pod ciężarem jego potężnego ciała, wreszcie powiedział, dobitnie skandując słowa:

- Człowiek to jest, zaiste, najwstrętniejsze zwierzę!

Wagin starannie złożył dziennik, zdmuchnął świecę, stojącą na krzeselku przy łóżku i patrząc w ciemności na przyjaciela, odpowiedział:

- Niech zwierzę śpi spokojnie, bo w tym pokoju nie ma wroga!

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! - robiąc trzykrotny znak krzyża, szepnął lejtenant przerażonym głosem: - Wy wszystko rozumiecie bez słów!

- Jak to bez słów? - zaśmiał się Sergiusz. - Od kwadransa bodaj gadacie i przeszkadzacie mi w przygotowaniu materiału na jutro!

Więcej już o tym nie mówili, a Wagin, leżąc w ciemnym pokoju i patrząc na smugę światła na suficie, myślał o tym, że zmiany, które od dawna rzuciły mu się w oczy w nastroju i postępowaniu Miczurina, zaszły już dalej, niż nawet mógł przypuszczać, a skierowały się na drogę przez nikogo nieprzewidzianą. Dopiero w tej chwili sam Miczurin otworzył mu oczy na to, co zaszło w duszy dawnego rezydenta chińskiej gospody, i na to, że w tych przemianach i on sam mimo woli odgrywa jakąś czynną rolę, narzuconą mu przez Miczurina.

Lejtenant za wszelką cenę i jak najprędzej chciał wyrwać się i odejść jak najdalej od nędzy, upadku i gnuśnej bierności swej żalostnej egzystencji w Gospodzie Czterech Stron Świata, odnaleźć w sobie wszystko, co utracił, zda się, na zawsze, krocząc męczeńską, tragiczną lub ohydłą drogą zwierzęcej walki o byt, powrócić do powstającego nagle z rumowisk dawnego trybu życia, chociaż przeklął je już stokrotnie i pogardzał nim jako utraconym beznadziejnie i niepotrzebnym pijanemu cerberowi wstrętnego zajazdu chińskiego. Zmiany, zachodzące w Miczurinie jako konsekwencja pragnienia gruntownego zerwania na zawsze z dawnym życiem, miały na razie charakter ewolucji raczej zewnętrznej. Rzuciło się to w oczy Waginowi, który z zadowoleniem śledził przebieg zmartwychwstania tego, jak gdyby bezpowrotnie zgubionego człowieka. Pochłonięty był jednak własnymi sprawami i niemal podświadomie opracowywanym planem dalszej przyszłości, planem coraz bardziej rozszerzającym zasięg w miarę tego, jak Wagin zmuszony był zagłębiać się w treść, szczegóły, a nawet tajniki życia narodu i kraju, gdzie ślepy przypadek lub niewiadome przeznaczenie kazały mu żyć i działać. Toteż Wagin przeoczył ten moment, gdy w duszy lejtenantu żądza przemiany odrzuciła łatwe etapy ewolucji zewnętrznej i przybrała burzliwy rozpęd rewolucyjny.

Miczurin od pewnego czasu zaczął analizować różne odcienia stosunku do siebie swego otoczenia. Było ich niewiele, a wszystkie, jak był przeświadczony, w mniejszym lub większym stopniu zbliżone do siebie, chociaż miały własne, nieuchwytnie rysy. Nie tylko bowiem Wagin, ale i obie panie, pewnego razu spotkawszy go z Sergiuszem w Czapei, pamiętały jego dawny wygląd olbrzymiego draba w chińskich portkach, wyświechtanej kurmie, w dziurawych pantoflach na brudnych, bosych nogach, brodatego, o powichrzonych włosach i wybałuszonych, czerwonych od alkoholu oczach. Nie mogły też, na pewno, zapomnieć jego błazeńskich ruchów pijackich i obleśnych uśmiechów, które z byle jakiego powodu mogły się zmienić w najohydniejsze i najzgnilsze przekleństwa, jakimi rozbrzmiewała w dzień i w nocy kloaka ludzka, nosząca szumną nazwę Gospody Czterech Stron Świata, a nawet w rękoczyn, wchodzący zresztą w zakres jego obowiązków firmowego obrońcy ciszy i porządku. Wyzuty

już doszczętnie z jakichkolwiek złud i nadziei, zerwał z przesądami moralnymi i społecznymi. Trzy czwarte tego życia pędził jako otumanione lub nieprzytomne zwierzę, resztę -jako zwierzę drapieżne. Miał nadzieję, że o tym ani pani Somowa, ani Ludmiła nie wiedziały i nie podejrzewały nawet, ale za to wiedział dokładnie Sergiusz. Uświadamiając to sobie, Miczurin zaciskał potężne szczęki i syczał z bólu. Ze wściekłością robił sobie najcięższe wyrzuty, że temu nieznanemu wówczas człowiekowi wyznał całą prawdę i pokazał mu nagość swej duszy, zdolnej do najbardziej nikczemnych czynów.

- Chciałem przekupić go rąbią szczerością, aby wyciągnąć od niego kilka groszy na swe ohydne życie! - ciskał sobie straszne oskarżenie. - Tchórzliwe, spodłone, przez siebie samego oplute bydlę!

Przychodził do wniosku, że Wagin nie może go szanować, a jego przyjaźń to tylko wdzięczność za pomoc, gdy ślaniający się z głodu i niemal nieprzytomny przywłókł się do Gospody, aby zdobyć przepustkę do miasta. Świadomość tego dręczyła lejtenanta długo, aż pewnego razu, idąc z Waginem, zagadnął go:

- Wyobrażam sobie, jak wy pogardzacie mną, bezczelnym drabem, chwalcym się swymi kryminalnymi uzdolnieniami? Pamiętam, jakem to na wstępie naszej znajomości wyłożył wam bezwstydną, z dumą bosiąka, sankiulota, ciemnego kulisa swoją nędzną autobiografię!

Przypomniał sobie, że Wagin nie zwrócił, zdaje się, uwagi na jego nerwowy ton, bo odpowiedział spokojnie i prosto:

- Naturalnie, pamiętam! Zapamiętałem to sobie dobrze, bo przecież przyszedłem wkrótce do was z zamiarem sprzątnięcia Abrama Chackelesa.

- No i co? Uważacie, że wszystko to było w porządku? Było, minęło i nie powróci? Drobiazg? Epizod życiowy? Ironia losu? Co?

Sergiusz nawet nie podniósł na niego oczu i tym samym spokojnym głosem zauważył:

- Tyle się robiło w ostatnich czasach rzeczy wstrętnych, przeciwnych własnej naturze, że nie warto nawet analizować tego! Robiło się, by nie wiadomo po co zachować to życie. Instynkt ten silniejszy jest od etyki.

- Uważacie zatem, że i ja mogłem, idąc za nakazem instynktu zachowawczego, stosować spokojnie swoje talenty, którymi ongiś chełpiłem się przed wami?

Wagin wtedy dopiero spojrzał na niego uważnie. Upór, z jakim Miczurin powracał do tego samego tematu, uderzył go i zastanowił. Jakaś nagła ostra myśl przemknęła w jego źrenicach, lecz, nic nie powiedziawszy, obojętnie wzruszył ramionami. Takie zakończenie ważnej dla niego rozmowy, nie uspokoiło bynajmniej Miczurina, więc po pewnym czasie zapytał znowu:

- Rozumiem z waszych słów, że ów chciwy instynkt życia usprawiedliwia mnie w moim sumieniu, bo wiem wszystko, co i dlaczego to było.

Wagin kiwnął głową.

- Tak, być może - ciągnął Miczurin. - Jednak, jaką mógłbym dać odpowiedź komuś bardzo szlachetnemu i moralnemu, gdyby ten ktoś zapytał mnie: Jak mogłeś, lejtenancie Michale Miczurinie, pędzić takie życie?.

Wagin nagle zrozumiał wszystko. Zaśmiał się wesoło i spytał:

- Czy ten wasz ktoś ma być rodzaju męskiego?

- Przypuśćmy, że tak.

- Wtedy weźcie notatnik i ściśle do litery na wszelki wypadek zapiszcie odpowiedź! Ma ona brzmieć tak: Zanurz się, moralny i szlachetny mięczaku, w to życie, które przeszedłem, a które było gorsze od piekła, drżij co chwila o swoją skórę, bądź tropionym zwierzęciem, zaciskaj gardło, aby nie bluźniło, wsłuchuj się w rozpacz serca, w miotanie się duszy i w bolesny skurcz skręcanych głodem wnętrzności, a wtedy miej czelność pytać, mięczaku!.

Wagin wypowiedział to wszystko powoli, ale płynnie i spokojnie, jak gdyby formułę takiej odpowiedzi obmyślił od dawna, wynosił ją w sobie i miał w pogotowiu na każde zawołanie.

Szli długo, milcząc, aż Miczurin zadał nowe pytanie, tym razem jakimś zdławionym szeptem:

- A gdyby spytała mnie o to kobieta, kochana kobieta?

- Och, czcigodny lejtenancie! – zawołał jak gdyby zdumiony. - Pan pyta mnie o to? Czyż nie pamiętacie doskonałego rosyjskiego powiedzenia: Pokochaj mnie, gdy jestem czarny, bo białego - pokocha mnie każda!

Zaczął śmiać się na nowo i powtarzać przez śmiech:

- Pokochaj mnie - czarnego! Pokochaj mnie - czarnego!

Miczurin czuł się zmieszany tym wybuchem wesołości przyjaciela i nie spostrzegł, że w przymrużonych oczach jego odbił się głęboki smutek. Wagin nie wszczynał więcej tej rozmowy, a i Miczurin nie powracał już do tak niespodziewanego tematu, który mimo woli zdradził go. Od tego czasu Sergiusz uważnie śledził przyjaciela i wkrótce już nie miał żadnej wątpliwości, że w sercu Miczurina zagnieździła się miłość. Rozumiał też, że była to miłość w tym wypadku najdziwniejsza na świecie, bo nieśmiała, pełna niemego uwielbienia, beznadziejna, daleka od wybuchu namiętności, młodzieńczo wstydliva. Zdając sobie z tego sprawę i zestawiając tych dwoje ludzi - zamkniętą w sobie, tajemniczą, mistycznie nastrojoną, zdolną do ascetyzmu i męczeństwa Ludmiłę i Michała Miczurina, który niedawno jeszcze zły był na niego, że nie pozwolił mu odegrać świetnie zareżyserowanej comedia deli arte z lekkim a skutecznym puszczaniem krwi, Miczurin - pijany, amoralny abnegat, Miczurin - cynik i drab, zdolny do każdej zbrodni - Wagin nie był w stanie wyjść ze zdumienia. A tymczasem ta właśnie tak niestosowna i przeciwna naturze Miczurina miłość porwała lejtenanta niby to jakaś rozpętana maszyna, która swymi trybami poszarpała w nim dawną jego istotę i odrzuciła, jak odrzucała wióry i niepotrzebne skrawki metalu lub drzewa, po tysiąc razy zmeła, sprasowała i uformowała coś zupełnie odmiennego, niepodobnego do cerbera Gospody, najemnego mordercy, fałszerza, szulera i włamywacza. W imię tej to miłości w zewnątrznie odrodzonym człowieku zaszły jeszcze głębsze zmiany wewnętrzne. Miczurin przestał pić, stał się małomówny z obawy, by nie urazić czymkolwiek Ludmiłę, gryźł się wyrzutami sumienia, palił się ze wstydu za niedawne swe życie, usiłował czytać, aby wypełnić wyrwę kilku lat upadku i dojść do poziomu Ludmiły i Wagina, w sumienności i rzetelności dochodził do chorobliwej wprost manii, a jednocześnie



stawiał się coraz wrażliwszy na stosunek przyjaciół do siebie, podejrzliwie analizując każde ich słowo i spojrzenie.

Drażniło go i niepokoiło, a czasem doprowadzało do takiej rozpacz, że chciał wyć i gdzieś biec bez celu i na zatracenie, kiedy wyczuwał, jak mu się wydawało, lekceważenie i milczącą wyrozumiałość dla jego mimowolnych błędów w wypowiedaniu się lub postępowaniu.

Zapewne myślą sobie w tej chwili: czegoż można się spodziewać po pijanym dozorczy Gospody i organizatorze napadu kasiarzy na firmę Lao-Kuna? - myślał chwilami lejtenant, a wtedy serce jego napęniało się goryczą.

Przechodziła ona jednak w żrącą truciznę, gdy opowiadając coś z zapamiętaniem i mówiąc rzeczy niezmiernie ważne, bo przeznaczone wyłącznie dla Ludmiły, spostrzegał nagle obojętność na jej twarzy, a nawet jak gdyby zniechęcenie w oczach, że odrywają od jej własnych myśli, niedostępnych dla niego, i wyprowadzają ze zwykłego skupionego nastroju, którego bał się, jak boi się idący do szturmów żołnierz kulomiotów - niewidzialnych spoza okopu reducty. Spostrzegawczość i podejrzliwość zakochanego człowieka jemu pierwszemu odkryła nowe i tragiczne horyzonty. On właśnie dojrzał dziwnie badawcze, czegoś szukające spojrzenia Ludmiły, skierowane na Sergiusza, i ten wyraz ostrego i niecierpliwego oczekiwania na jej smagłej twarzy.

Ludmiła była dobra i uprzejma dla niego, jak również i pani Somowa, która szczególnie przywiązała się do tej prostej, zrozumiałej w każdym odruchu duszy, ale Miczurin - zatruty już podejrzliwością i wyrzutami sumienia - objaśniał ten stosunek do siebie inaczej, niż było to w istocie.

- Usiłują wyrazić mi swoją sympatię, aby ośmielić i podciągnąć do swego poziomu mnie - ulezonego pijanicę, brutala i bandytę!

W takim to będąc nastroju, rzucił Waginowi owe zagadkowe słowa o żalu, iż nakarmił go - wyczerpanego głodem. Być może, wtedy sam jeszcze nie uświadamiał sobie, że przemówiła w nim zazdrość, jadowita, nieokiełzdana niczym zazdrość męska. Zrozumiał to jednak Wagin i ze zdwojoną czujnością rozejrzał się po ludziach, z którymi związał go los. Porobił wówczas wiele ważnych i niespodziewanych spostrzeżeń.

Zaczął od siebie i musiał ustalić fakt, że przyzwyczaił się już, a nawet przywiązał do pani Somowej, Ludmiły i Miczurina. Czuł się z nimi dobrze i spokojnie. Nigdy go nie nudzili i nie drażnili. Jak wszyscy nadmiernie przewrażliwieni ludzie wiedzieli dokładnie, kiedy i o czym należy mówić, a nigdy nie stawali się gadatliwi i niedyskretni. Nieraz, gdy pili herbatę wieczorną w pokoju Wagin i Miczurina, całe towarzystwo milczało. Nie było to jednak milczenie krępujące i ciężkie, przeciwnie, posiadało pewną wymowę, jak gdyby porozumienie się dusz, emanacja niewypowiedzianych myśli, czego dowodziły spojrzenia, wyraz twarzy i podświadome zadowolenie.

Doprawdy - myślał Sergiusz - polubiłem te ciche kobiety, pełne wewnętrznej, chociaż mało dostępnej treści. Pragnąłbym im nieba przychylić! Zapewne dobrze by to było, gdyby Miczurin poślubił Ludmiłę.

W wyobraźni przedstawiał sobie to projektowane stadło. Na razie parsknął śmiechem, a potem ku wielkiemu swemu zdumieniu przeraził się.

Ludmiła i ten wstydlivy teraz, ciągle niespokojny dryblas?! To wprost niemożliwe! - rozmyślał. - Farsa najprawdziwsza! Chociaż - kto wie? Czego nie dopnie zakochany mężczyzna i czego dla takiego uczucia nie poświęci kobieta?! A i pani Somowa nie miałyby, zdaje się, nic przeciwko temu. Cóż - partia dobra! Miczurin stał się teraz śmieszny z tym swoim pędem do cywilizacji i przypomina mi tego paryskiego studenta-Sudańczyka, który dwa razy na dzień zmieniał garnitur i obuwie, codziennie inaczej się poruszał i starał się innym mówić głosem. Ale to minie! Gdy się oswoi, stanie się naturalniejszy i wyzbędzie się śmieszności. Cóż poza tym można mu zarzucić? Szlachcic, oficer, inteligent i serdeczny, miły chłop! Trafił, jak się zdaje, na właściwą drogę. Posadę ma akurat dla siebie! Może komenderować i być ciągle w ruchu! Zadowoleni są z niego żółci panowie z Szun-Pao, po miesiącu już podwyższyli mu pensję, więc będzie u nich siedział tyle, ile zechce, Ludmiła. Ach, Ludmiła! Tu tkwi zagadka, być może dramatyczna nawet zagadka! Co ona myśli o nim? I czy w ogóle myśli?

Wagin skrzywił nagle usta, przypomniawszy wybuch zazdrości Miczurina.

- Zazdrość o mnie? - pytał siebie. - Skąd mu to przyszło? Ludmiła i ja? Coś fantastycznie niemożliwego. Ona wciąż jeszcze obawia się mnie, a może nawet ma do mnie odrazę, wyczuwam to nieraz zupełnie wyraźnie. Nigdy nie pozostajemy ze sobą sam na sam. Instynktownie, zdaje się, unikamy tego oboje, Ludmiła, zresztą nie pociąga mnie wcale jako kobieta,

Wywołał ją sobie w pamięci i natychmiast ujrzał półciemną cerkiew, z migoczącymi tam i sam płomykami lampek olejnych i cienkich świeczek woskowych; ze ścian wyłoniły się blade, mgliste freski. Wysokie, sztywne postacie świętych. Setki męczenników, ojców Kościoła prawosławnego, pustelników, ekstazyjnych mnichów. Chude, ascetyczne, jak gdyby niczym nieprzejednane twarze i głębokie, tajemnicze, mistyczne oczy-pełne milczącego, surowego wyrzutu i pełnego trwogi pytania. Oczy Ludmiły. Spoza małych drzwiczek w murze, niby z ciemnej czeluści jaskini, czarne wynurzają się postacie i suną niby nieskończony korowód mrówek. Wagin widzi ukryte pod kłobukami z krzyżem i trupimi głowami na nich obce temu światu oblicza ihumenów - nielitościwych dla siebie braci, postami i trudami umęczonych czerńców; kroczą wszyscy, stukając kosturami i dzwoniąc łańcuchami, przeorysze o ponurych, nieprzytomnych oczach i skulone, niby czarne, spracowane mrówki-robotnice, sylwetki mniszek o twarzach i oczach Ludmiły. Biją dzwony ponuro i monotonna, jarzą się czerwone, kopcające języki świec, dobiega woń kadzideł, co smugami snuje się w mroku, szepcą coś zaciśnięte usta, szurgają ciężkie trzewiki i suną wciąż nowe i nowe szeregi czarnych, nieradosnych cieni.

Wzdrygnął się Wagin i ręką przetarł oczy.

Ludmiła - sący się dalej myśl - to wyrzut zbiorowego sumienia, to ucieleśnienie cierpienia, pokory i modlitwy za grzechy świata. Nie mogę nawet wyobrazić sobie, jakim dysonansem rozbrzmiewałoby przy niej słowo kocham.

Uśmiechnął się mimo woli i szepnął:

- Nie wiem, czy przejdzie ono przez gardło Miczurinowi, chyba, że się upije tego i jako tako wykrztusi wyznanie miłosne. W każdym razie nie ma on powodu do zazdrości! Ta dziewczyna to symbol męki czystej duszy, patrzącej na zgniliznę świata. W jej obecności zmysły śpią jak ziarna pod lodową skorupą.

Tak rozumował Wagin, idąc pewnej niedzieli po zalanym słońcem

i pachnącym kwiatami Bundzie i przyglądając się zgrabnym zarysom białego jachtu amerykańskiego, podnoszącego żagle.

Jakaś młoda osoba o puszystych złocistych włosach, wymykających się spod białego berecika, przechodząc koło Sergiusza, przenikliwie zajrzała mu w oczy. Wagin ogarnął ją szybko a szczegółowo, jak to bywa zawsze, gdy działają podrażnione nagle zmysły.

- Niezawodnie Angielka! - zawyrokował. - Powraca z kortu. Piękne ma włosy i oczy niebieskie i śmiałe. Taka to wie, czego chce, i potrafi postawić na swoim.

Jej krótka biała sukienka odsłaniała foremne, silne nogi, a szkarłatny, obcisły sweter uwydatniał małe, okrągłe piersi, zarysowane zuchwale pod cienkim jedwabiem. Wagin ślizgnął się po tej ponętnej postaci ciepłym spojrzeniem, a gdy poczuł lekki, słodki dreszczyk pożądania, świeże usta Angielki drgnęły w ledwie widocznym uśmiechu. Przeszła obok sprężystym krokiem, ale minawszy Wagina, zwolniła go nieco. Sergiusz nie obejrzał się jednak. W tej samej chwili spostrzegł Ludmiłę. Domyślił się, że powracała z cerkwi.

Podszedł do niej i powiedział z uśmiechem:

- A słowo stało się ciałem! Przed chwilą myślałem o pani.

- Pan myślał o mnie? - zapytała, a w jej głosie zadrgały nuty niepokoju, zdumienia i jak gdyby podrażnienia.

- Panią to dziwi? - wzruszył ramionami Sergiusz. - Często myślę o pani.

- To dziwne, to zupełnie dziwne! - zawołała wyraźnie niecierpliwym głosem, zdradzającym zdenerwowanie. - Gdy słucham i patrzę na pana, wydaje mi się zawsze, że pan jest wciąż nieobecny, strasznie daleki i niezmiernie mi obcy, nam, chciałam powiedzieć, i wszystkiemu, co pana otacza!

Wagin spojrzał na nią badawczo. Twarz jej okryła się ciemnym rumieńcem, głębokie oczy błysnęły ponurym i namiętym ogniem.

- Gdybym nawet pragnął, nie ośmieliłbym się narzucać pani. Pamiętam przecież strach pani przy naszym pierwszym spotkaniu. Wyobrażam sobie, jak wiele panią kosztowała przypadkowa rozmowa ze mną i samo nasze przebywanie pod jednym dachem. Jestem przekonany, że obawiała się pani nawet dotknąć przedmiotu, który był w moim ręku. Rozumiem to, bo miałem podobne przeżycia i wrażenia we Francji.

- Skąd pan o tym wie! - prawie krzyknęła, z przerażeniem patrząc na niego. - Czyżby pan słyszał?

Wagin zaśmiał się cicho i odpowiedział:

- Nic nie słyszałem, a mimo to zgadłem! Powracając jednak do pani zarzutu, muszę przyznać, że pani ma słuszność. My - którzy przeszliśmy tyle nieprawdopodobnych, niesamowitych rzeczy - jesteśmy całymi światami, zamkniętymi na siedem zamków i zapieczętowanymi siedmiu pieczęciami, światami zazdrośnie strzeżonymi od wtargnięcia obcych przybyszów. Zresztą, co mam się długo nad tym rozwodzić?! Pani sama jest klasycznym przykładem takiego osobliwego i niedostępnego świata! Wie

pani? Gdy patrzę na panią, widzę za każdym razem nieznaną mi klasztor, stojący na niedostępnej górze, która panuje nad rozległą równiną. Za grubymi, zawsze zamkniętymi furtami klasztoru snują się, niby mrówki milczące, tajemnicze myśli i przeżycia, zupełnie jak mniszki w czarnych chustach, spuszczonej na oczy. Równina - wesoła, zielona, rozświetlona, pełna gwarych wsi, roztańczonych tłumów, spogląda z ciekawością na ciemne, posępne mury klasztorne, ale nikt stamtąd nie wychodzi, milczenie tam panuje wszechwładnie i tajemnicza. Jaka? Smętna, tragiczna, groźna, rozpaczliwa lub zamykająca w sobie całą przepastną głębię życia? To chyba zależy od klasztoru, panno Ludmiło?

Szli obok siebie.

- Gdyby ktoś bardzo zapragnął, mógłby przecież przeniknąć do klasztoru i przekonać się o tym, co się w nim ukrywa - z ciężkim westchnieniem powiedziała nagle Ludmiła. - Wszyscy wolą patrzeć z podziwem i ciekawością, a nikt nie uczyni najmniejszego choćby wysiłku, żeby się dowiedzieć, jakich ludzi i jakie myśli zamknęły w sobie te mury.

- Po co się wdierać tam, gdzie intruz nie jest pożądany? - wtrącił Sergiusz.

- Nie wiem. Być może wraz z takim intruzem wdarłby się jakiś promyk słońca do ponurego życia czarnych mrówek, które nie mają już siły otworzyć siedmiu zamków i złamać siedmiu pieczęci.

Wagin zdumionym wzrokiem przyglądał się mówiącej dziewczynie i po raz pierwszy zaświtała mu myśl, że wcale nie zna Ludmiły. Jakiś niepokój poruszył się na dnie jego duszy i nadał drażniącą ostrości nagłemu zaciekawieniu.

Ostatnie słowa dziewczyny dawały doskonałą sposobność do dalszej rozmowy, lecz coś podszeptowało mu, aby nie czynił tego. Poszedł więc za tym wewnętrznym głosem i o nic więcej nie pytał. Milczeli oboje, a w milczeniu tym wyczuwało się wzajemne oczekiwanie. Wreszcie Wagin, ręką wskazując już sunący po rzece jacht, wesołym głosem powiedział:

- Szczęśliwi są ci tam Amerykanie! Za godzinę wypłyną na ocean i oderwą się od ziemi. Otoczą ich inne żywioły i dumne zmaganie z wichrem i falami.

Ludmiła nic nie odpowiedziała, zamyślonym wzrokiem odprowadzając biały kadłub statku i jego wydęte już wiatrem żagle.

- Skąd pani idzie i dokąd? - spytał Sergiusz.

- Mama, lejtenant i ja byliśmy w cerkwi i u Romka na mogiłce. Lejtenant namówił mamusię odwiedzić panią Ostapową, bo przysłała nam po śmierci braciszka serdeczne kondolencje i kwiaty na grób. Cieszę się, że mamusia trochę się rozerwie!

- Nie poznaję Miczurina! - klasnąwszy w dłonie, zawołał nagle Wagin, jak gdyby nie postyszawszy nic innego poza nazwiskiem przyjaciela. - Pozwolił pani wracać samej?! To wprost nie do uwierzenia!

- Nie jesteśmy przecież w dżungli, a lejtenant nie jest moim valet de gardę - zaśmiała się prawie wesoło.

Valet de gardę! - wtórował jej śmiechem Wagin. - On jest paziem, rozkochanym w pani paziem, o ile za wielkim może na to stanowisko, o tyle też oddanym.

Ludmiła odwróciła wzrok i bezbarwnym głosem zauważyła:

- Powiedział to pan jakby z szyderstwem. Czyż pan nie lubi tego rzeczywiście dobrego człowieka?

- Że też to pani do głowy przyjść mogło?! - oburzył się. - Lubię go serdecznie, a kiedyś to nawet planowałem sobie małżeństwo jego z panią, panno Ludmiło. Aż tak, jak pani widzi, lubię naszego Michała!

Przeraził się sam swoich słów i spodziewał się, że zareaguje na nie natychmiast. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy podniosła ku niemu rozradowaną nagle twarz i ożywionym głosem spytała:

- To ciekawe! Jakżeż ten plan wypadł panu?

Podniósł ramiona i pokiwał głową.

- Czy mam być szczery? - szepnął.

- Najzupełniej!

- Jakoś stało to nie układało mi się! Niestety!

- A dlaczego?

- Wydało mi się niezupełnie dopasowanym - wymijająco odpowiedział Sergiusz, raptem poważniejąc.

- Biedaczyna Miczurin!

Ludmiła śmiała się cichutko, jak gdyby z wdzięcznością patrząc na Wagina.

- Chociaż ja bym panu swoich sercowych spraw nie powierzała, ale w każdym razie dziękuję, bardzo dziękuję!

- Za co? - zdumiał się ostatecznie i przystanął, rozłożywszy ręce.

Nie chciała mu dać żadnych wyjaśnień. Śmiała się tylko dziwnie łagodnym i dźwięcznym śmiechem. Takiego nigdy jeszcze u niej nie słyszał. Wagin przyglądał jej się z coraz większym zaciekawieniem. Ona zaś, nie dając mu czasu do nowych pytań, mówiła:

- Szłam do domu, aby się trochę ogarnąć, bo na cmentarzu kurz i piach, a potem miałam zamiar pójść do Ostapowych. Pan, zdaje się, nigdy nie uczęszcza do Wołgi na Bubbling Weil? Nie! No, to pan źle robi, że unika ludzi, gdyż to daje powód do plotek i najgłupszych domysłów. Proszę pana bardzo - pójdźmy razem do generałowej!

- Oj, panno Ludmiło! - ociągał się Sergiusz. - Five o'clock, taka piła drewniana, z tymi rozmówkami o biedach, z tymi idiotycznymi nadziejami, cytatami z Apokalipsy. Znam to już na pamięć, wszędzie jedno i to samo.

- Jeżeli pan choć trochę nas lubi, spełni pan moją prośbę - cichym głosem nalegała dziewczyna.

- Ależ, panno Ludmiło, ja panią nie tylko trochę, ale nawet bardzo lubię, jednak ta Wołga - toż to tortura, a pani nie może być sadystką - bronił się ze śmiechem Wagin, idąc za Ludmiłą w kierunku domu.

Szła pewnym krokiem, milcząc i już nie patrząc na niego.

- Taka cicha zawsze, zamyślona, łagodna istota, a jakaż Nielitościwa i uparta! - zrzędził. - Nic to pani nie wzrusza, że zaprowadzi mnie tam jak jagnię ofiarne na zabicie. Nigdy bym tego po pani się nie spodziewał! I po cóż poniosło mnie tu - na ten głupi, chamsko-arogancki Bund?

- Żałuje pan tego? - spytała prawie groźnie i obejrzała się.

Zajrzał jej w oczy przyjaźnie, jak nadąsanemu dziecku, i odparł wesoło:

- A wie pani, że nie żałuję! Pani jest dziś kapitalna i zmienna jak te aleksandryty w jubilerskim sklepie Yanga na Nanking Road - z boków rubinowe, od góry szmaragdowe. Była pani dla mnie zagadką, a teraz urosła do potęgi Sfinksa! Nie oglądając się na niego, przyśpieszyła kroku i powiedziała:

- Bo to tak jak w pańskiej malowniczej improwizacji. Na zagadkowe mury klasztorne patrzy pan z równiny, z daleka, z daleka.

Podchodzili właśnie do domu. Ludmiła szybko wbiegła po schodach na piętro. Sergiusz czekał na nią przed domem. Chodząc tam i z powrotem, przyglądał się dzieciom europejskim, bawiącym się pod dozorem statecznych i troskliwych japońskich ama; nie wątpił, że przed chwilą stało się coś niezmiernie doniosłego. Długo nie mógł ująć tego w ramy określonego wrażenia. W końcu jednak zrozumiał, że ma na myśli Ludmiłę. Ta dziwna dziewczyna, z fresków cerkiewnych i spoza zawartych furt klasztornych, poczuła do niego zaufanie, a dawny strach przed nim opuścił ją na zawsze.

Ogarnęła go jakaś rzewna, dawno nieodczuwana radość, zdawało się przypadkowa - taka, co to zajarzy się nagle na widok promyka słońca, pieszczącego okiść czerwonych kwiatów. Klasnął w dłoń i zawołał:

- Panno Ludmiło! Dość tego strojenia się! Podbiła pani serce tego wilka morskiego, a teraz zamierza uczynić to samo z sercem szczura lądowego?

- Już schodzę! - odpowiedział mu ciepły, dźwięczny głos, jakim Ludmiła nigdy nie odzywała się do nikogo.

Od pobliskiego plantu dobiegł urwany ryk manewrowego parowozu, brzęk spieć i łomot buforów przesuwanym wagonów. Szczebotały rozbawione dzieci, koziołkując na gazonie. Chińczyk, popychając potyskujący mosiądzem i szkłem wózek, ozdobiony pstrymi pióropuszcami i małymi flagami, chrapliwie wykrzykiwał, znęcając się nad angielszczyzną i francuszczyzną:

- Soty-whoto! Banbo! Czokoli!

Miało to oznaczać: Soda-water, bonbons, czekolad.

Nie wiedząc dlaczego, Wagin uśmiechnął się do niego życzliwie, na co Chińczyk, szczerząc żółte zęby, odpowiedział mu wesołym rechotem.

#### XIV. W SALONIE PANI GENERAŁOWEJ

W salonach generałowej tłumnie było tej niedzieli. Wypadły właśnie imieniny adwokata Lubicza, który zadomowił się już w pensjonacie na dobre. Stali bywalcy i lokatorzy pensjonatu Wołga od pewnego czasu oczekiwali z dnia na dzień wiadomości, że wahająca się wciąż pani Ostapowa odda wreszcie swoją ciepłą wdowią rękę mecenasowi. Tego dnia miał być lepszy - imieninowy obiad z bezpłatną kawą w godzinach five o'clocku. Już ta materialna przyczyna miała w sobie prawdziwą atrakcję, lecz były też inne powody, dlaczego w jadalni, saloniku i na werandzie tłoczyli się emigranci. Generałowa powiadomiła zawczasu najbliższe swoje przyjaciółki, że tej niedzieli oczekuje nowych gości, podobno bardzo interesujących i, jak chodzą pogłoski, dość zamożnych. Gdyby nawet Szun-Pao otrzymało dobrze płatne ogłoszenie na reklamowanie tej wiadomości, efekt nie byłby bardziej skuteczny. Przyjaciółki bowiem lotem ptaka rozniosły nowinę po całym Szanchaju, więc ze wszystkich dzielnic pociągnęli emigranci na Bubbling Weil i składali serdeczne życzenia jeszcze bardziej tego dnia eleganckiemu adwokatowi i z ciekawością wyglądali zapowiedzianych gości.

Już przed piątą prawie wszyscy się stawili. Wierni klienci Wołgi z zainteresowaniem przypatrywali się potężnej figurze Miczurina i spokojnej, wyniosłej sylwetce Wagina, o którym nieraz już słyszeli rzeczy niezwykle i budzące zrozumiałą ciekawość. Każdy chciał przyjrzeć się z bliska człowiekowi, który mógł odegrać w dziejach ostatnich lat, być może, niezmiernie ważną rolę. Sergiusz wyczuwał te idące ku niemu prądy przeróżnych uczuć i myśli, więc coraz bardziej skupiał się w sobie i nadawał twarzy swojej wyraz skrępej obojętności. Pani Somowa i Ludmiła, które od śmierci Romana nie były na żadnym zebraniu niedzielnym u generałowej, spostrzegły, że skład gości jej uległ znacznym zmianom. Pewna część bywalców odpadła. Jedni zostali wyrzuceni poza ramki towarzyskie, jak na przykład kapitanowa Rogowa z córką, gdyż tym paniom odmówiono nagle zapomogi z funduszków wojskowych, zmuszone więc były chwycić się pracy fizycznej jako zwykłe praczki w Burlington Hotel. Taki upadek na dno wytrącił je na razie z równowagi. Wstydzily się innych rodaczek i zerwały z nimi stosunki towarzyskie. Nie zaglądał też do Wołgi krótkotrwały adorator panny Marty - ów przyjezdny docent - Bystriałow, namiętny apologeta caryzmu i imperializmu rosyjskiego, obrońca dziedzicznych i historycznych praw Rosji do całej Azji. Młodzieniec ów pewnego dnia znikł bez śladu. Panna Marta zmobilizowała swój wywiad prywatny, lecz niczego ścisłego dowiedzieć się nie potrafiła. Ustaliła tylko, że Bystriałow przeniósł się do Pekinu, gdzie go spotkał przypadkowo ojciec Sofroniusz, proboszcz prawosławnej cerkwi w Szanchaju, gdy odwiedzał biskupa, kierującego misją w stolicy Chin. Dopiero rotmistrz Klimów, chichocząc zjadliwie, oznajmił przed miesiącem, że w subsydiowanej przez poselstwo bolszewickie kantońskiej gazecie Chun-Zen pojawił się przekład felietonu miłego docenta, dowodzącego gorąco, że komunizm stanowi odwieczną formę ustrojową w Rosji i zalecającego tę ideologię i system innym państwom, graniczącym ze Związkiem Socjalistycznych Republik Sowieckich od wschodu. Wiadomość ta zgnębiła wówczas wszystkich, ale Klimów tylko machnął ręką i syknął pogardliwie:

- Gad zrzucił skórę! Tym lepiej! Napatrzymy się jeszcze na inne podobne gady i płazy, bo, cóż chcecie, jest to w naszym stylu wielkich pokutników.

Z szeregu stałych bywalców w salonie generałowej wkrótce po gwałtownej metamorfozie docenta wycofał się też rotmistrz Klimów i wycofał na zawsze, bowiem rak zżarł mu wreszcie wątrobę, a wewnętrzny krwotok dokonał reszty. Pochowano go na cmentarzu, niedaleko od czyściutkiej, osypanej kwiatami mogiłki męczennicy, służki Bożej - Wiery. W salonie pani Ostapowej nie widziano też od dawna byłego przemysłowca z Uralu - Awałowa i jego nieodstępного towarzysza i alter ego, marszałka szlachty, księcia Teodora Kruguszewa, o którym zjadliwy Klimów nieraz mawiał, że rosyjska

szlachta orenburska postąpiła zgodnie z historią, obierając na swego wodza Tatarzyna. Kruguszew imponował Awałowowi Gwiazdą Świętego Stanisława i koroną książęcą, Awałow zaś był potrzebny, jak powietrze, Kruguszewowi, bo przemysłowiec miał jakieś akcje i umiał je realizować. Teraz jednak nie mówiono o obu przyjaciółach, gdyż okazało się, że akcje Awałowa były od dawna wycofane z obiegu, więc bankierzy chińscy, potraciwszy na nich sporo pieniędzy, wpakowali obydwu do więzienia, gdzie przedtem starodawnym zwyczajem poddano ich chłóście. Ponieważ wszystkie pisma chińskie i niektóre angielskie skwapliwie całą tę sprawę wywlokły przed forum publiczne, wybuchnął skandal, niezmiernie szkodliwy dla rosyjskiej emigracji, pozbawionej jakiegokolwiek obrony prawnej.

Pani Somowa nie spostrzegła też kilku pań, znanych jej z nazwisk i spotykanych w Wołdze. Zapytała o nie mecenasa, a ten, wciskając w oko monokl, odpowiedział patetycznym szeptem:

- Przekleństwo naszej doli wygnańców, droga pani! Istne przekleństwo. Te panienki zboczyły z uczciwej drogi, zbłądziły i zginęły bezpowrotnie w otchłani rozpusty tego Babilonu!

Pochylając się niżej i zasłaniając sobie usta dłonią, dodał:

- Mamy wiadomości, że bywają po nocach w tych strasznych domach na wybrzeżu Suczou Creek.

Pani Somowa zacisnęła blade wargi. Słyszała ona o niejednej już tragedii zabłąkanych tu bezbronych kobiet. Przerazało ją to zawsze, jednak nie samo zboczenie z uczciwej drogi, gdyż wiedziała, że ta sławetna uczciwa droga w warunkach szanchajskich prawie zawsze była głodem, chorobą, ostateczną nędzą, z której nikt nie usiłował wyciągnąć kobiety, czepiającej się wreszcie ostatniego środka w zmaganiu się ze śmiercią. Przerazały ją te straszne, nielitościwe wypadki, budzące w niej myśl o córce. Strach ten mijał jednak szybko i zastępował go smutek, pani Somowa bowiem wiedziała, że Ludmiła, nawet wobec groźby śmierci, nie szukałaby nigdy ratunku w zamkniętych na dzień pałacykach na Creeku, raczej, ach! Matka przyciskała ręce do bijącego trwożnie serca i starała się nie myśleć już o tym.

Na szczęście przecisnął się ku niej senator Ableuchow i usiadłszy obok, zaczął wypytywać ją, jak dała sobie radę z kwarantanną w tubylczym mieście. Dowiedziawszy się o pomocy, udzielonej jej przez Waginę, ucieszył się szczerze.

- Mówiłem pani przecież, że Wagin jest bardzo porządnym młodzieńcem - powiedział i jął opowiadać o swojej sklerozie i o wspólnych znajomych, od których otrzymał wiadomości z Londynu i Rzymu. Radosnym szeptem w wielkiej tajemnicy powiadomił starą przyjaciółkę, że zapewne wkrótce już wyjedzie do Nowego Jorku. - Mój syn obiecuje, że jak tylko zaoszczędzi potrzebną sumę, przyśle mi bilet okrętowy i pieniądze na drogę! Pracuje on w biurze rosyjskiego adwokata Brazola. Pamięta pani Brazola? Słynny, fenomenalnie zdolny sędzia, który przeprowadził śledztwo w zawiłej sprawie sensacyjnego morderstwa w Lestokowym Zaułku w Petersburgu.

- Pamiętam! - potwierdziła pani Somowa. - O ile się nie mylę, szło tam o otrzymanie sumy asekuracyjnej! Właśnie, właśnie! Jakżeż się cieszę za pana, drogi senatorze!

Rozglądając się po sali, szukała wzrokiem Ludmiły. Nie spostrzegła jej jednak, natomiast zwróciła uwagę na kilka nieznanomych osób i zapytała o nie Ableuchowa.

Staruszek uśmiechnął się i potrząsając siwą czupryną, powiedział z jakąś dumą:



- Oto przykład tężyzny rosyjskiej! Ci panowie, co to trzymają się razem i jak gdyby nieufnie przyglądają się towarzystwu, jeszcze rok temu byli nędzarzami, przymierali z głodu i nikt nie wie, w jaki sposób przetrwali. Robili, co się da, aby z głodu nie umrzeć, ale jednocześnie mądrze i trafnie badali sytuację. Ten czarny, brodaty o głodzie i chłodzie pracował jako majtek na parowej lichtudze chińskiej, a teraz zajmuje stanowisko kapitana na statku Ming-Szui Company, wożąc pasażerów i towary z Szanchaju do Hangczou, Fuczou i Kantonu. Jest to Paweł Bojcow, z wykształcenia leśnik, tymczasem obecnie uzyskał prawa szypra i uważany jest za najlepszego kapitana. Kompanie transportowe ubiegają się o niego, ale on siedzi na swojej Czangszy, bo tam zapewne ma jakieś widoki. Obok niego stoi i pali cygaro - Konstanty Własienko - taki wesoły blondynek z zawadiackimi wąsikami. Dwa lata temu przychodził do mnie po parę groszy w czasie strajku kulisów, a teraz - ho, ho - naczelnym krojczy w sklepie Lih-Funga. Tamten znów do Anglika podobny - skończony inżynier, syn profesora Wasiliewa Szymon - był robotnikiem przy taborze asenizacyjnym, cha, cha! Skarżył się kiedyś mecenasowi Lubiczowi, że jego nowa profesja pozbawiła go powonienia! Czy pani może sobie wyobrazić, co to za wstrętna musiała być praca?!

- Cóż teraz robi ten pan? - spytała pani Somowa.

- Teraz jest kierownikiem budowy rządowej elektrowni w Nankinie! - z jakąś dumą zawołał Ableuchow. - Przez parę lat nikt tych ludzi nie widział. Wstydzieli się zapewne pokazywać w towarzystwie, a teraz, gdy się wybili, przyszli sami i prowadzą rozmowy o konieczności założenia towarzystwa samopomocy ze spółdzielnią i biurem pośrednictwa pracy. Tymczasem jednak są to sporadyczne wypadki, niestety. Inni albo jęczą i narzekają, albo też robią różne kanty, są i tacy, którzy wpadają w niezdrowy mistycyzm.

- Przepraszam! - zaprotestowała energicznie pani Somowa. - Do towarzystwa tych wyjątkowych ludzi musi pan zaliczyć również pana Sergiusza Wagina, który też wybija się szybko, miłego lejtenanta Miczurina, no i moją Ludmiłę, bo ona też własną pracą doszła do lepszych warunków materialnych u swoich Amerykanów i otrzymała wreszcie stałą posadę.

- Noo, Ludmiła to wyjątkowa panienska! - powiedział staruszek, zsuwając okulary na czoło. - Cieszyłbym się niezmiernie, gdybym nie mógł zliczyć wszystkich Rosjan, którzy tu na najcięższej zapewne emigracji zdobyli twardy grunt pod nogami! Daj Boże! Daj Boże!

Tymczasem Wagin, po przedstawieniu go przez Ludmiłę pani Ostapowej, był zaszczycony dłuższą z nią rozmową. Generałowa przyglądała mu się z dość natrętnym zaciekawieniem, a przed jej badawczym spojrzeniem nic, zdawało się, ukryć się nie mogło. Obejrzała wyniosłą, szczupłą, lecz silną postać nowego gościa, nieco szyderczą, ale rozumną i przystojną twarz, jasne, śmiałe oczy, niedostępne jednak do czytania z nich jak w otwartej księdze, małe, prężne dłonie i stopy Wagina, jego skromny, ale dobrze dopasowany szary garnitur, stonowaną z nim barwę krawatu i żółte trzewiki amerykańskie. Powiedzenia Wagina wydały jej się szczere, proste i elegancko ułożone.

Jeszcze bardziej, prawdziwiej dystyngowany niż Gregoire!

Pani generałowa w myśli od dawna już nazywała Lubicza po imieniu, czasami w chwili zrywającej się w niej tęsknoty - nawet spieszczając jego dość nieelastyczne, kanciaste imię, ale że i wtedy nie bardzo pasowało do jej nastroju, wołała wymawiać je z francuska. Gregoire. Ta myśl, nagle błyskająca w kapitalnie praktycznej głowie generałowej, zmusiła ją do natychmiastowego czynu.

- Marto! Dziecko moje! - zwróciła się jak gdyby wzruszonym głosem do córki, przyglądającej się Waginowi spoza dużej, chińskiej wazy. - Chcę ci przedstawić pana Wagina! Niezmiernie wytworny causeuń

- Mama pani pochlebia mi - uśmiechnął się Sergiusz, ściskając rączkę panienki.

Marta zaśmiała się zalotnie, w wypróbowany już kilkakrotnie sposób, który niedawno prawie że usidlił chwiejnego docenta Bystriałowa, zanim nie skusiły go bolszewickie czerwonce.

- Czegośmy tylko nie robiły, żeby pana tu ściągnąć i oswoić - szepnęła, podchodząc bliżej i dotykając ramienia Sergiusza dość wybujałym biustem.

Patrzyła Waginowi w oczy znacząco i demonstrowała przed nim wspaniały sznur oślepiających białą zębów i ponętny doteczek na prawym policzku, szepcząc coraz ciszej i jak gdyby z wyrzutem:

- Pan jest niedobry i zarozumiały! Nie śpieszył się pan w nasze niskie progi. Tyle razy prosiłam Ludmiłę, aby pokazała nam pana na five'ie. Ale nic z tego nie wyszło... Potem wydelegowałam profesora Bystriałowa, aby dostarczył mi pana żywego lub umarłego.

Ujęła go pod ramię i poprowadziła ku werandzie, gdzie gromadziła się młodzież. Wagin czuł na swoim ramieniu jej gorącą dłoń, czarny loczek - rozigrany na lekkim przeciągu, muskał go po szyi.

- Ale, ale! - przypomniał coś sobie Sergiusz, nie odpowiadając na zaczepne wyrzuty panienki. - Wymieniła pani nazwisko Bystriałowa. Czy to ten, passez moi le mot, bęcwał, co na zamówienia poselstwa bolszewickiego rozpisuje się po chińskich gazetach, ogłupiając tych starych dzieciaków, tych politycznych noworodków?

Panna Marta poczuła się dotkniętą lekceważącą odezwą Wagina o tym, tym zdrajcy. Kobieta bowiem zdolna bywa do obrony nawet zdrajcy i innego zbrodniarza, jeżeli udało mu się w odpowiednim momencie zerwać choć jeden tylko całus, nawet po kryjomu, niby przypadkiem, nieobowiązująco. Ale panna Marta miała w sobie dużo drapieżności i odczuł to zaraz na sobie Sergiusz, nieopatrznie budząc w niej potrzebę odwetu.

Wchodzili właśnie na werandę. Marta puściła ramię gościa i robiąc dworski ukłon, zaprezentowała Sergiusza, patrząc na niego spod czarnych rzęs.

- Ladies! Gentlemen! Mam zaszczyt przedstawić wam słynnego carobójcę - pana Sergiusza Wagina!

Na sali w tej samej chwili ustała głośna rozmowa, gdyż wchodzili nowi goście, więc głos panienki rozległ się donośnie. Zapadło milczenie i wszystkie oczy skierowały się na Wagina. Sergiusz najmniejszym ruchem nie zdradził zmieszania. Rozejrzał się spokojnie i wnet spostrzegł wlepione w siebie przerażone oczy Ludmiły. Zaśmiał się głośno i chyląc się w niskim ukłonie, tym samym tonem odpowiedział:

- Ladies, gentlemen! Jestem Sergiusz Wagin, lecz bynajmniej nie carobójca, tylko redaktor działu prasy zagranicznej w koncernie Szun-Pao.

Tam i sam rozległy się szepty:

- A przecież nieboszczyk rotmistrz twierdził...

Sergiusz, wciąż śmiejąc się wesoło, dodał:

- W sowieckiej Rosji chcieli mnie uwiecznić pomnikiem za domniemany zamach na cesarżową i zrobiłbym może błyskotliwą karierę, ale przybył do Moskwy prawdziwy organizator niedoszłej zbrodni i musiałem wiać z Rosji! Obawiając się czegoś podobnego na brzegach Huangpu, wolę od razu sprostować kursujące o mnie fałszywe pogłoski.

Zwracając się do Marty, spytał ją przekornie:

- Nieprawdaż, że straciłem od razu cały urok tajemniczości w oczach pani, i to tak dalece, że ominie mnie na pewno filiżanka kawy z keksem?

Marta, zmieszana i zbita z tropu, podbiegła do boja i sama podała gościowi kawę i tackę z pieczywem. Wągin zbliżył się do Ludmiły i stanął za jej krzesłem.

- Nienawidzę Marty! - szepnęła do niego.

- Pani i nienawiść? - spytał z lekkim szyderstwem. - To dwa bieguny, niepogodzone nigdy antytezy!

Obejrzała się na niego, podniósłszy głowę i z lekka rumieniąc się, powiedziała cicho:

- Ach, prawda! Czarna mrówka. Jak mogła Marta pozwolić sobie na taki nietakt?!

Chciała jeszcze coś dodać, lecz szedł już ku niej Miczurin, stanowczo za duży i za szeroki na wąską, oszkloną werandkę, pełną kwiatów, bambusowych, lekkich mebelków i tanich bibelotów, imitujących arcydzieła starożytnej ceramiki i brązownictwa chińskiego.

- Dobrze, że was widzę wreszcie! - zawołał, zwracając się do Wagina. - Muszę was poznać bardzo ciekawym człowiekiem. Za czasów kadeckich znałem go trochę, gdyż kończył już wówczas Korpus Paziów.

Z saloniku szedł ku nim niewysoki, prawie kwadratowy człowiek w nowym granatowym garniturze i z wstążeczką rosyjskiego Krzyża Walecznych w kłapie tużurka. Skośne, wąskie oczy uśmiechały się życzliwie i chytrze zarazem. Okrągła, ogolona głowa, cienkie, czarne wąsy okalające górną wargę i żółtawa, straszliwie zeszpecona ospą twarz nie pozostawiały wątpliwości, że należały do Mongoła czystej krwi. Nieznajomy ukłonił się Ludmile i wyciągnął rękę do Wagina.

- Pozwoli pan, że się sam przedstawię! Jestem Sulejman Wali-chan Bukrejew, były dowódca Pierwszego Turkmeńskiego Pułku Jazdy...

Wągin uściśnął podaną mu dłoń i odpowiedział radosnym niemal głosem, gdyż sprawił mu przyjemność widok człowieka, który długo mieszkał w jego rodzinnym mieście.

- Doskonale przypominam sobie twarz pana pułkownika z czasów petersburskich! - zawołał serdecznie.

Wali-chan uśmiechnął się i zażartował:

- Trudno istotnie zapomnieć tak wybitnie dziobatego oblicza!

- Poza tym, że tak powiem, bezpłatnym dodatkiem posiada ono inne jeszcze cechy wybitności, które pozostają w pamięci! - odpowiedział Sergiusz z uprzejmym uśmiechem.

- Od dawna pragnąłem pana poznać - mówił Wali-chan. - Doktor Plen obiecał urządzić nasze spotkanie, lecz musiałem wyjechać, a potem przyszła ta nieszczęsna epidemia...

- Czy wiecie - wmieszał się do rozmowy Miczurin - że pułkownik przyjechał do Szanchaju niezwykłą drogą, bo przez Turkiestan Chiński i Gobi.

- Jeżeli interesuje to państwa, opowiem pokrótce swoją odyseję, chociaż przyznaję, że jest ona błada wobec męczeńskiej włóczędzy, jaką zmuszona była odbyć zapewne większa część tu zebranych - mówił spokojnym głosem pułkownik, posuwając krzeselko do kanapki, gdzie siedziała Ludmiła.

W jadalni w tym samym czasie solenizant i pani Ostapowa podejmowali nigdy przedtem niewidzianych tu gości. Właśnie przyjechała z wiązanką czerwonych róż niejaka pani Katarzyna Simicz i przywiozła z sobą dwóch jegomościów o orlich nosach, ognistych, drapieźnych oczach i smagłych twarzach. Wygląd ich i nazwiska - Leopadze i Karszwili - świadczyły o gruzińskim pochodzeniu tych smukłych, zdumiewająco cienkich w pasie, co chwila wybuchających głośnym, prawdziwie końskim śmiechem synów Kaukazu.

Pani Katarzyna, którą generałowa z miejsca poczęła nazywać złocistą Katuszą, ponieważ zapłonęła od razu niepojętą do niej sympatią - malutka, bez zarzutu zbudowana kobietka, o bujnej koronie naturalnie złocistych włosów, wielkich, niebieskich oczach niewinnego dziecka i prześlicznej buzi - świeżej i różowej, okazała się światową, wesołą i dowcipną towarzyszką. Szczebotała bez przerwy, przekomarzała się ze swymi, jak nazywała Gruzinów, satelitami, dowcipkowała i w międzyczasie wtrącała autobiograficzne szczególiki i żartobliwe informacje o sobie, Leopadzem i Karszwilim.

- W Chinach jesteście już od dwóch miesięcy - gaworzyła milutko złocista Katusza - ale satelici, którym mój mąż - naczelny inżynier Kolei Syberyjskiej - oddał mnie pod opiekę, zawieźli mnie do Tientsinu i ukrywali przed ludźmi. Obaj są odważnymi rotmistrzami z dzikiej dywizji wielkiego księcia Michała, ale głowy mają - tu uczyniła rączką nieokreślony ruch w powietrzu - do konnej jazdy. Byli przekonani, słowo daję, że Tientsin jest stolicą Afryki i że mieszkają w niej czerwonoskórzy Indianie! Cha, cha, cha!

Leopadze, rycząc na całe gardło, usiłował coś powiedzieć, ale Katusza zamachała na niego rączkami i tupnęła nóżką.

- Gogio, ani słówka, bo będzie skandal! - zawołała. - Czy pan znowu zapomniał o rozkazie: Jeżeli pan chcesz mówić ze mną, to przede wszystkim - milczeć!. Wreszcie postanowiliśmy zrobić wypad do Szanchaju. Juro Karszwili długo nie chciał się zgodzić, bo mu się podobało w Tientsinie. Mamy tam dancing. Nazywa się Passava. Nad ranem zapuszczają tam fioletowe, grube draperie i wtedy w gęstym półmroku tańczy sześć par mulatek - (imaginezyons, madame, toutes nues!) - i chłopaków w białych frakach. C'est frissonnant, je vous assure. Tęsknię bardzo za swoim grubasem Maciejkiem. Nazywam zawsze męża - Maciejek - Dyrektor! Właśnie w Passavie Juro Karszwili założył swój obóz!

Ani słowa, wschodni człowiecze! Dlatego nie chciał jechać do Szanchaju, ale ja i Gogio zmusiliśmy go wreszcie.

Pani Ostapowa przysłuchiwała się szczebiotowi Katuszy z wylewnym uśmiechem, ale jednocześnie wpatrywała się w piękne brylantowe pierścienie na drobnych paluszkach nowej znajomej, dużą brylantową ze szmaragdami broszkę ażurowej roboty (Zapewne od Faberge? - kombinowała), butony w różowych uszkach, obfitość bransolet, co nie podobało się generałowej, bo spostrzegła wśród nich tanie i tandetne, choć dwie czy trzy - drogie (Czy aby to tylko prawdziwe kamienie? - mignęła jej podejrzliwa myśl), solidnej roboty dobrego jubilera. Za to toalecie pani Simiczowej - prostej i eleganckiej - nic zarzucić nie mogła. Kuta na cztery nogi właścicielka Wołgi spostrzegła porozumiewawcze, bystre jak błysk noża, spojrzenia roześmianych Gogia i Jura i drapieżne ogniki w ich rozmarzonych, ciemnych jak agaty, oczach. Słowa Katuszy pani Ostapowa przesiewała przez sito doświadczenia i krytycyzmu. Nie bardzo się przejęła tym, że grubas Maciejek był dyrektorem Kolei Syberyjskiej. Maria Piotrowna tyle już spotykała na wygnaniu dyrektorów Kolei Syberyjskich, że można nimi było zamiast progów wymościć cały plant od Władywostoku do Uralu. Przyzwyczajona była od dawna, że byle inżynierek na emigracji mógł być jedynie dyrektorem kolei, podporucznik z zapadłego garnizonu - co najmniej kapitanem gwardii, a siwobrody, hemoroidalny urzędniczy powiatowy - wyłącznie gubernatorem. Toteż patrząc wprawnym okiem na Gruzinów, przekonana była, że chociaż istotnie były to chłopy dzikie, lecz nic wspólnego ze słynną dziką dywizją nie miały. I tak to słuchając, przesiewając i rozumując szybko, trzeźwo i cynicznie, zatrzymała się wreszcie na dwu zajmujących ją pytaniach: skąd ta mała złocista Katusza ma takie brylanty i w jaki sposób mogła je zachować?

W pewnym momencie rzuciła niespodziewane pytanie:

- W jakim punkcie przekroczyli państwo granicę naszej nieszczęśliwej ojczyzny?

Widocznie pani Simicz nieraz już słyszała to zrozumiałe, a jednak podstępne pytanie, gdyż z całą swobodą znowu szczebiotać poczęła.

-Jak ty to śpiewasz, Juro? Droga orla od wierchu do wierchu, długa i wysoka, aż zbiegnie w słoneczną nizinę Charloka. Taka to była i nasza ucieczka, kochana pani generałowo! Przeszliśmy Tienszan, przez Dżungarię, Mongolię i Czahar dojechaliśmy częściowo końmi, częściowo wielbłądami do Tafungfu. Pierwsza stacja kolejowa i wreszcie Europa - Tientsin! Z takimi dżigitami, jak moje satelity, można konno przez ocean przejechać! Powiadam pani - żadnego wypadku... i, jak kochana generałowa zauważyła zapewne, ocaliłam wszystkie klejnoty - jedyne pamiątki (Wcale porządne pamiątki! - zgodziła się w duchu pani Ostapowa), jedyne po moim najdroższym Maciejku! Wszystko to zawdzięczam opiekunom i obrońcom mojej cnoty, mienia i życia, tym oto - Leopadzemu i Karszwilemu! Gdyby nie oni, gdyby nie oni, co by się ze mną stało?

Wydeklamowała to z patosem, a Gruzini w tak, zda się, niestosownym momencie ryknęli głośnym śmiechem.

Hm - miarkowała generałowa. - Coś w tym jest, ale co? Szczwane to, widać, lisy, no, ale i nie takich tu widziano. Obaczmy! Najważniejsze z tego wszystkiego, że mają pieniądze.

I zaczęła gorąco namawiać Katuszę, żeby zamieszkała w Wołdze, gdzie będzie miała kulturalne, swojskie otoczenie i prawdziwie matczyną opiekę.

- Przecież jeżeli chcecie państwo rozejrzeć się po Szanchaju - kusia - to któż go wam lepiej sprezentuje niż mój wypróbowany przyjaciel - mecenas Lubicz i moja córka - Marta?! Panowie Leopadze i Karszwili znajdą też u nas przemiłe towarzystwo i spokój do pracy!

Gogio i Juro przy tych słowach zarżeli jak argamaki, a Katusza zawołała, z trudem powstrzymując śmiech:

- A to dopiero droga pani utrafiła: moje dżigity i spokój? Oni przez cztery miesiące podróży tak się zatruli spokojem, że teraz chcą szaleć!

- I to da się zrobić! - szła na wszystko właścicielka pensjonatu, zapomniawszy z kretesem pompatyczną formułę najwyższego tonu: Gdy byliśmy z mężem na przyjęciu dworskim i tak dalej - aby tylko nie stracić majątnych gości. - I to się urządzi! Mamy tu doświadczonych guidów dziennych i nocnych. Gdzie państwo stanęliście?

Pytanie to wywołało lekkie zamieszanie. Katusza pochyliła złocistą główkę, usiłując otworzyć zacinającą się torebkę, Leopadze, udając, że nie słyszał pytania, nakładał sobie na talerzyk kawałek tortu i tylko Juro Karszwili, odchrząknąwszy, zaśmiał się chrapliwie i odpowiedział:

- Przyjechaliśmy dopiero wczoraj i zatrzymaliśmy się czasowo u mego przyjaciela i ziomka, Księcia Bancza Eristowa, mieszka on koło takiego dużego hotelu, jakżeż go tam?

- Pałace? - poddała pani Ostapowa.

- Nie! - mruknął Gruzin.

- Astor? Kalee?

- Nie! Jakie tam Kalee! Zupełnie inaczej.

- Burlington?

- Nie! - opryskliwie już odpowiedział Juro, a w głosie jego zabrzmiał wyraźnie słowami nieujęty okrzyk: Czego się mnie czepia ta baba jak giez łba końskiego?

- Jakiż to mógłby być jeszcze hotel przyzwoity? - głowiła się pani Ostapowa. - Może Hotel des Colonies?

- Tak! Ten! - odsapnął z ulgą Karszwili i z jakąś tęsknotą spojrzął na Gogia, który bez namysłu przełknął nagle ogromny kawałek tortu i wybałuszył oczy.

- Przyjechaliśmy taksówką, która czeka na nas - wtrąciła pani Simicz. - Jutro, jeżeli pani pozwoli, wpadniemy obejrzeć pokoje.

- Ależ jak najchętniej! - ucieszyła się generałowa i skinęła na boja. - Poproś do mnie panienki!

Po przyjsciu Marty nawiązała się nowa rozmowa. Ze zdwojoną werwą szczebiotała rozróżowiona Katusza, co chwila pokładali się od śmiechu dżigity, rechocąc z byle jakiego powodu i zmiatając torty, keksy i biszkopty. Do rozbawionego towarzystwa dołączali się coraz to inni goście, szczególnie ci, co pozostawali z Ostapowymi w najbliższych stosunkach. Przysiadł się też mecenas Lubicz, który jednak, po złożeniu mu powinszowań przez złotowłosą panią i Gruzinów, odszedł do gości w salonie. Gdy całe

towarzystwo bawiło się w najlepsze, podniecane coraz bardziej szampańską werwą i dowcipkami czarującej pani dyrektorowej, a generałowa w tajemnicy przed innymi gośćmi poczęstowała panów nalewką własnej roboty, na progu jadalnej sali stanęli Wagin z Wali-chanem. Rozmawiali z ożywieniem, nie zwracając uwagi na hałaśliwe towarzystwo, otaczające panią Simicz.

Nagle stał się wypadek, o którym długo potem opowiadano sobie na zebraniach w Wołdze. Gogio Leopadze, odrzuciwszy się na oparcie krzesła w wybuchu śmiechu, spostrzegł nagle okrągłą czaszkę i kwadratową figurę pułkownika i skamieniał. Ryczący śmiech jego urwał się w jednej chwili, twarz skurczyła mu się dziwnie i zmrużyły się oczy. Kopnął pod stołem Jura i oczami wskazał mu przed siebie. Karszwili obejrzał się błyskawicznie, zdradzając tym ruchem zawodową sprawność. W jednej chwili zorientował się w sytuacji i zerwał się z krzesła.

- Dyrektorowo, chodźmy! - warknął przez zęby, marszcząc znacząco szerokie brwi.

Nie pytając o nic i nie wyrażając najmniejszego zdziwienia, pani Simicz podniosła się natychmiast z miękkiej kanapki i chociaż uśmiechała się jeszcze, jednak cieniutka, prawie nieuchwytna zmarszczka przecięła ukośnie jej wypukłe, niewinnie pogodne czoło. Cała ta trójka zręcznym manewrem ustawiła się plecami do salonu i w pośpiechu zaczęła żegnać panią domu i jej gości, obiecując jutro wpaść do pensjonatu.

- Mój Boże! - utyskiwała generałowa. - Zrywacie się państwo tak nagle i pozbawiacie nas swego miłego towarzystwa.

- Nie mamy czasu! - dość ordynarnie odburknął Leopadze. - Późno już Dyrektorowo. Juro - marsz!

Pani Ostapowa, chociaż zdumiona, a nawet z lekka przerażona, spostrzegła jednak, że obaj Gruzini, jak na komendę, włożyli ręce do kieszeni tużurków, a złocista Katusza trzymała przed sobą otwartą torebkę.

W chwili, gdy byli już w sieni, Wali-chan obejrzał się i zdążył spostrzec wychodzących. Waginowi, stojącemu obok niego, zdawało się, że nowy znajomy oszalał. Pułkownik jednym skokiem był już przy drzwiach, ale powracający z sieni całym tłumem panowie z generałową i mecenasem na czele, zatarasowali mu drogę. W tej samej chwili z ulicy dobiegł turkot motoru odjeżdżającej pełnym gazem taksówki.

To dziwne, to dziwne! - mówił Wali-chan, uspokoiwszy się nieco. - Simicz ze swymi współnikami w domu pani generałowej? Jak dawno bywają oni u pani?

Zmieszana pani Ostapowa, zapominając tym razem o dystynkcji najwyższego poziomu, tupnęła nogą i wykrzyknęła zgrzytliwym głosem (ktoś z gości twierdził nawet, że chamskim tonem przekupki):

- Zwariowaliście czy co? Do diabła, objaśnijcie wreszcie, co to wszystko znaczy.

Wali-chan zapalił papierosa i powtórzył pytanie.

- Jak dawno bywa pani Simicz z tymi Kaukazczykami w domu pani?

Odparła z niepokojem w głosie:

- Ależ widziałam ich dziś po raz pierwszy w życiu! Mówili nam, że przyjechali wczoraj i dowiedziawszy się od wspólnych znajomych o dzisiejszym five o'clocku, chcieli mi złożyć wizytę.

- Hm, hm. Co by to mogło znaczyć! - mruczał pułkownik, mrużąc czarne, przenikliwe oczy. - Czy przypadkowo wśród gości pani nie ma kogoś bardzo majątnego?

- Skądżeż znów - wzruszyła lekceważąco ramionami. - Sam pan chyba rozumie, że emigrancka publika to bieda z nędzą.

- Tak, tak - myślał na głos Wali-chan. - W takim razie mogę wypowiedzieć tylko jedno przypuszczenie i zapewne nie mylę się. Musieli prawdopodobnie przeczekać tu coś dla siebie niebezpiecznego, mówiąc krótko - zamierzali ukryć się w domu pani generałowej!

Zaśmiał się suchym, syczącym śmiechem i wrzucił papieros do popielniczki.

- Ależ na miłość boską, niech nam pułkownik powie wreszcie, co to za ludzie! - zawołała zaciekawiona Marta.

Wali-chan spojrzał na nią badawczo i odpowiedział jednym słowem:

- Bandydzi!

Wszyscy zaniemówili i pytająco wpatrywali się w dziobatą, zawziętą twarz Mongoła.

Wreszcie pułkownik zaczął opowiadać dość zwykłą w owych krwawych i chaotycznych czasach historię.

- Znam ostatni tylko okres kariery tej trójki - zaśmiał się chrapliwie. - Grasowało ich więcej, ale moi Mongołowie wywieszali resztę. Było to tak! Pani Katarzyna Simicz (nie jestem istotnie pewny, czy jest to jej prawdziwe nazwisko!) przybyła w towarzystwie kilku jeźdźców do obozu oficerów w Czuguczaku, a ponieważ wybuchły tam wkrótce różne epidemie, pełniła znakomicie czynności sanitariuszki. Po pewnym czasie wyjechała bez pożegnania, cha, cha, cha - zabierając ze sobą klejnoty żonom oficerskim. Z nią razem zniknąć poczęli jeden za drugim jej tajemniczy towarzysze. W parę miesięcy dopiero dowiedziano się, że Simicz ze swoją bandą grasuje pomiędzy Ubsa-nor i Kosogotem, mordując i rabując dążących tą drogą uciekinierów. Baron Ungern kazał ją schwytać i przekazać sądowi doraźnemu. Wtedy byłem jeszcze ze swoimi ludźmi u barona. Poleciał mi zlikwidować tę szajkę bandycką. Udało mi się schwytać ośmiu jej członków. Znaleźliśmy przy nich zaszyte w kulbakach złoto i drogie kamienie na znaczną sumę. Jednak Katusza z dwoma jej towarzyszami umknęła nam. Rozstawione aż do granic Gobi pikiety nikogo nie zatrzymały. Mam wrażenie, że złocista czarodziejka, jak ją nazywano w Czuguczaku, gdzie przepadano za nią, ukryła się ze swymi drabami na terenie Syberii, gdzie my iść nie mogliśmy bez obawy natknięcia się na większe oddziały bolszewickie. Teraz, jak widzę, dotarli już tu, no i zapewne nie siedzą z założonymi rękami!

Zaśmiał się jeszcze chrapliwiej i zapalił świeżego papierosa. Nagle podniósł głowę i posłuchawszy chwilę, mruknął:

- Wydało mi się, że posłyszałem echa strzałów rewolwerowych. Czyżby przepowiednia moja już się miała ziścić?



Nikt jednak nic nie słyszał, chociaż pułkownik miał słuszność. Przekonał się o tym nazajutrz Wagin, dowiedziawszy się od reporterów, że detektywi, wysłani z Charbinu i Tientsinu, wytropili bandę, złożoną z kobiety i dwóch Gruzinów, od dawna poszukiwanych przez policję. Ciężyła na nich zbrodnia ograbienia jubilerskiego sklepu pewnego Żyda angielskiego i zamordowanie kilku bogatych bywalców nocnego lokalu Passava, gdzie czarująca Rosjanka miała szalone powodzenie jako fordanserka. Bandytów odstrzelili się policji, uciekając taksówką, lecz w końcu zostali ujęci przez agentów-motocyklistów, ale dopiero po tym, gdy jeden z Gruzinów został zabity, a główny herszt - kobieta, podająca się za arystokratkę i odmawiająca wymienienia swego głośnego historycznego nazwiska, otrzymała ciężki postrzał w plecy. Niezwykle barwne i porywające szczegóły pościgu, strzelaniny i pochwylenia bandytów przeczytała też nazajutrz wieczorem pani Ostapowa w rosyjskim piśmie, bezczelnie okradającym dzienniki angielskie, chociaż każdy jego artykuł miał pochodzić od własnego korespondenta. Dowiedziawszy się o epilogu kariery groźnej trójki, generałowa westchnęła ciężko i jeszcze raz zadała sobie pytanie:

- Dlaczego Katiusza nosiła obok drogich bransolet te tanie i brzydkie? To zupełnie nie pasowało do niej?

Potem zaczęła rozmyślać nad tym, czy Katiusza rzeczywiście była żoną inżyniera i czy ów grubasek Maciejka-Dyrektor istniał kiedykolwiek na ziemi. Wszystkie myśli i domysły swoje zakończyła drugim i ostatnim z powodu Katiuszy, Leopadzego i Karszwilego westchnieniem, gdyż zrozumiała, że tak miłych, towarzyskich i bogatych klientów (oby tylko nie byli bandytami!) fortuna nigdy już jej nie ześle. Życie - niezmiernie trudne - wymagało od pani generałowej ciągłych wysiłków i kombinacji, więc po tygodniu zapomniała już o złotowłosej pani i jej wesołych, beztroskich obrońcach i opiekunach, co to śpiewali o wysokim i dalekim orlim locie. Nie bardzo nawet przejęła się tym, gdy Marta opowiedziała jej, że w szanchajskim Nowoje Wremia umieszczona została wiadomość o zgonie rannej bandytki w szpitalu więziennym.

Ale wszystkie sentymentalne wrażenia i filozoficzne myśli przysły jej w kilka dni później, teraz za to, gdy słuchała Wali-chana i obserwowała na twarzach gości wzruszenia różnego gatunku, pani Ostapowa zaniepokoiła się poważnie. W jej praktycznej głowie śmigały różne myśli.

Tamten paskudny wypadek z fałszerzem banknotów, potem samobójstwo głodnej nauczycielki, którą wyrzuciłam (przecież miałam prawo!), bo mi za dwa miesiące nie zapłaciła za pokój, a teraz znów ta zbójcecka trójka w moim pensjonacie! Nie daj Boże, dowie się o tym policja i zechce mnie do sprawy wmieszać. Cała nadzieja, że Gregoire, ale co robić? Nowi goście pomyślą, że u mnie w domu bywają bandyci!

Generałowa uciekła się do wynalezionej przez siebie i wypróbowanej taktyki. Spoważniała nagle, stała się niebywale dostojną i niedostępną i wycedziła przez zęby:

- Pewnego razu w Gacznynie, podczas garden party u cesarzowej wdowy, kamerjunkrowi, księciu Białożerskiemu, przepadła złota cygarnica z brylantowym monogramem.

Czasy jednak i nastroje emigrantów, widać, gruntownie się zmieniły, czego jednak generałowa nie spostrzegła i nie zdyskontowała w sposób należyty. Nikomu już nie imponowała najświetniejsza bodaj przeszłość historyczna, gdyż stała się dla wszystkich przedpotopową bajką, ginącą w zamierzczłych epokach - bezpowrotnie minionych, trochę rzewnych, trochę cudacznych. Ci, którzy

żyli jedynie wspomnieniami - odeszli już w zaświaty, tych zaś, co przetrwali okres fantastycznych nadziei, życie tak przetało, przekuło i przenicowało, że gdyby mieli czas i ochotę do porównań, nie poznaliby samych siebie. W szybkim, niezwykle szybkim tempie różnorodna walka o byt - to niewybredna, pierwotna, to znów zdradzająca niepospolite zdolności umysłowe, zdążyła już otrzeźwić wszystkich, zracjonalizować i wyrobić w nich własną dumę, swoistą etykę, nową etykietę, formalizm wygnańczy i ciągnął zmienną ideologię, niczym z jakąkolwiek tradycją niezwiązaną. Toteż goście generałowej nie słuchali nawet opowieści o jakimś tam kameijunkrze z zapewne od dawna spalonego lub zamienionego na koszary pałacu gaczyńskiego; podzieliwszy się na grupy, roztrząsali cały wypadek, dzielili się spostrzeżeniami i wrażeniami.

- Ach, ci kaukascy ludzie! - zawołał nagłe jakiś młodzieniec, potrząsając zgrubiałymi rękami robotnika.  
- My - Rosjanie zgnieliśmy ich podczas powstania Szamila i nauczyliśmy siedzieć cicho po ich tam aułach górskich, ale teraz - nie czując już nad sobą pięści - wszędzie powracają do dawnego, wojowniczo-bandyckiego procederu.

Wali-chan ponad głowami otaczających go gości spojrzął na mówiącego i odezwał się suchym głosem:

- Słusznie! Tak zawsze bywa, kiedy się podbija naród i nic poza niewolą i przemocą nie daje mu się.

Nikt na to nie odpowiedział pułkownikowi. Teoretyczne kwestie nikogo już teraz nie obchodziły. Przed pół rokiem jeszcze - ileż to rozlegało się w tym lokalu gorących słów, ile ścierało się przeciwnych zdań, jakie wypowiedano paradoksy i rzucano przepowiednie, a teraz? Teraz mówiono o giełdzie pracy, o zarobkach, o projektach związków zawodowych, o wewnętrznej polityce Chin, wpływającej tak lub inaczej na losy emigracji na rynek wolnych rąk roboczych. Mówiono poważnie i niezmiernie praktycznie ujmowano każdy temat. To ludzie, wycuci wszelkich iluzji i łzawego sentymentalizmu, rozważali najzawilsze zagadnienia, stanowiące o ich losie.

Wagin, przysłuchując się rozmowom rodaków, czuł głębokie zadowolenie i myśli swoje wypowiedział Ludmile i nieodstępującemu jej na krok Miczurinowi:

Na dobre wyjdzie nam emigracja, a nawet z czasem i bolszewizm! Wyzbędziemy się nareszcie naszej mglistej psychiki, porzucimy szumną frazeologię, którą tak imponowaliśmy Zachodowi, ciągle szukającemu na Wschodzie wartości prawdziwych i niezmiennych, drwić będziemy z naszego rosyjsko-słowiańskiego mesjanizmu narodu, noszącego Boga w sercu i odmiemy od siebie paraliżującą nas kosmiczną tęsknotę... Takie dzikusy jak my tyle włożyły na swoje barki obowiązków przed ludzkością całą, wszechświatem i Bogiem! Szaleństwo! Obłąd lub podstęp! - Ale jakież to było piękne! - westchnęła Ludmiła. - Czuło się, że życie posiada treść, że opromieniają je potężne i wzniosłe ideały!

- Piękne to było, gdy pradziad pani miał dziesięć tysięcy niewolników-chołopów, mógł ich siec batogami dla rozrywki, karząc, jak mówiono wówczas - po ojcowsku, mógł, nie obawiając się sądu, zabić swego poddanego, sprzedać wieśniaka jednemu sąsiadowi, a jego żonę - drugiemu, no i w międzyczasie pomiędzy chłostą a handlem niewolnikami pomyśleć chwilę nad tym, co się stanie, gdy wszystkie słowiańskie potoki wpadną do morza rosyjskiego, i pomarzyć o tym, jak to pięknie nieść żagiew prawdziwej wolności (proszę wsłuchać się w ironię tego słowa!) zgniłemu w więzach cywilizacji Zachodowi! Ale przyszli ci niewolnicy, te chamy zbuntowane i jak groszową świeczkę cerkiewną zdmuchnęli potężne i wzniosłe ideały pięknoduchów - szaleńców i ślepców!

- Czyżby przodkowie pana byli inni niż cała szlachta rosyjska? - spytała Ludmiła, wpatrując się w ściemniałe nagle oczy Sergiusza.

- Tacy sami - naturalnie! - odparł. - Chłosta, pogarda dla bydłęcia ludzkiego, uznanie nad nimi prawa życia i śmierci, prawa danego od Boga, ale ja, któremu wypadło żyć w okresie wielkiej wojny i jeszcze większej rewolucji, już jestem inny!

Spojrzenia ich skrzyżowały się i jak gdyby stopiły w jedną świetlistą smugę, co była niby to droga, którą pomknęły nieujęte w formę słów myśli, niby to nieprzerwany potok iskier elektrycznych, bijących z serca do serca, z mózgu do mózgu. Porozumieli się, zda się, bez słów, do dna prawdy i szczerości, aż oboje ogarnęło jakieś zmieszanie, jakiś lęk niepojęty. Jednocześnie spojrzeli na Miczurina. Lejtenant siedział ponury i zgnębiony. Poczawszy na sobie ich spojrzenia, otrząsnął się ze swego nastroju i spytał Wagina:

- Cóż myślicie o naszych emigrantach? Nie dokończyście zdania.

Sergiusz założył nogę na nogę i odpowiedział:

- Przepowiadam, że za dwa - trzy lata wszystko to mocną stopą stanie na gruncie szanchajskim! Tu nie wolno marzyć, tu działać trzeba, i to szybko, całą parą!

Miczurin westchnął i nagle zawstydził się tego odruchu.

- A to dopiero heca! - zawołał Wagin. - Wzdychający lejtenant, który ma takie potężne bary? Tegom to jeszcze nigdy nie spotykał!

Miczurin kiwał głową i milczał. Zapewne obmyślał odpowiedź. Wreszcie z dziwnie łagodnym i rozbrajającym uśmiechem powiedział:

- Wagin wie, panno Ludmiło, że ja tymi oto łapskami nieraz działałem szybko i mocno. Upewniam was, mili moi przyjaciele, że przez kilka lat o niczym zgoła nie marzyłem, chyba o dobrym koniaku, popijając cuchnącą chińską okowitę, ale czasy zmieniają się, a i ludzie wraz z nimi, bo oto lejtenant Miczurin czuje gdzieś tu, głęboko - przy tych słowach z całej siły uderzył się w pierś - czuje smutek i żal do czegoś czy do kogoś, że nie wolno mu już marzyć.

Znowu mimo woli oczy Wagina spotkały się ze źrenicami Ludmiły. Jakieś błyski, niby niewidzialne drobne istotki z malutkimi pochodniami rozbiegły się po wszystkich zakątkach duszy, mózgu i serca, szukając czegoś pilnie i frasobliwie, i znalazły coś, widać, bo stłoczyły się w jeden świecący punkcik, a z niego wyrzało kłopotliwe, ciężące im zrozumienie.

- O czymże pan marzy, lejtenancie? Może o Marcie, bo widziałam, że flirtowaliście ze sobą pod palmą, którą ona nazywa Love's tree? - spytała Ludmiła, nieszczerym śmiechem pokrywając swe zakłopotanie.

- Pani wie, że mówi to w tej chwili dla żartu lub... Ale nie! Marzenie, panno Ludmiło, jest rzeczą tajemną, ukrytym skarbem. Jakżeż można wydobywać z siebie marzenia i raptem na pierwsze zawołanie cisnąć je na ziemię, może nawet na poniewierkę i pośmiewisko. Moje marzenie jest tymczasem tylko dla mnie, i niech tam - w sercu tli się sobie cichutko, aż się rozpali. Zresztą, może

tylko tlić się będzie i zgaśnie! - dokończył ze śmiechem Wagin, ale umilkł od razu, bo Miczurin dorzucił jakimś dziwnym głosem:

- Wraz z życiem. Sergiusz poczuł na sobie wzrok Ludmiły, lecz nie podniósł na nią oczu. Ustalił już dziś jedną niepokojącą go, a zarazem dziwnie podniecającą okoliczność. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że od dzisiejszej rozmowy na Bundzie stosunek Ludmiły do niego zmienił się w sposób stanowczy i gwałtowny. Wykrył też, że ich organizacja nerwowa pozwalała im porozumiewać się bez słów i wyczuwać wspólne nastroje. Nawet gdy stał z dala od niej, rozmawiając z Wali-chanem i szyprem Bojcowem, odczuwał na sobie jej spojrzenie i podświadomie – chociaż jednocześnie sprawiało mu to przyjemność - usiłował przyłączyć jej myśl do toku własnych w tej chwili rozważań i wrażeń. Zdawało mu się, że mógł to osiągnąć. Gdyby byli po ostatnich słowach Miczurina, zrozumiałych dla nich obojga, spojrzeli na siebie, wyjaśniliby może od razu kilka powstających przed nimi zagadnień; takie wyjaśnienie jednak wymagałoby szczerości bezwzględnej, ale (pytał siebie Wagin) czy ta szczerość nie byłaby bolesna i, być może, dla wszystkich trojga niewymownie ciężka? Czy nie powikłałaby ona stosunków wzajemnych i nie wniosła rozterki duchowej, tak bardzo szkodliwej w ich życiu codziennym, żądającym ciągłego wysiłku, niewidzialnych ofiar i spokoju? Nie patrząc więc na Ludmiłę, wspomniął, że musi umówić się na spotkanie Wali-chanem, i odszedł. Ludmiła spostrzegła jednak, że miał chód nieco ociężały i powolny. Przycisnęła na chwilę rękę do piersi i zwróciła spokojną już twarz do Miczurina, mówiąc:

- Pan nie skończył swego opowiadania o życiu doktora Plena! Co się z nim stało potem, gdy zbiegł w końcu ze zbuntowanego krążownika?

Miczurin, przysunąwszy krzesło bliżej, głuchym głosem rozpoczął przerwane przez kogoś opowiadanie, lecz podeszła do niego pani So- mowa i szepnęła:

- Musimy już iść, bo inaczej nie zdążę przyrzędzić kolacji!

Przypomniawszy sobie wypadek z niezwykłymi gośćmi, zauważyła

półgłosem:

- Kogo tylko nie wyrzucają fale na szanchajski brzeg! Strach pomyśleć, z kim się można tu spotkać. Przywykliśmy już do fałszerzy, szulerów, szantażystów, ale żebyśmy mieli obcować ze zbójcami - to już wprost okropne!

Wzdrygnęła się, a tym samym ruchem odpowiedział jej natychmiast Miczurin i chmura opadła mu na oczy i czoło.

- No tak! Życie to nie romans, jak się mówi w powieściach - zauważył, patrząc w okno.

Nie odpowiedziały mu na to, więc chmurny i milczący pożegnał panią Ostapową, Martę i nowych znajomych.

Nie znalazłszy nigdzie Wagina, wyszli od Ostapowych. Ludmiła i lejtenant milczeli. Pani Somowa, wciąż jeszcze przejęta zajściem w pensjonacie, opowiadała z ożywieniem, że jedna ze znajomych pań spostrzegła w otwartej torebce bandytki rewolwer.

- A taka na pozór filigranowa, elegancka, światowa osóbką! - mówiła. - Co prawda chwilami miała dziwnie ciężkie, nieruchome spojrzenie, ale tylko chwilami. Wspaniała mogłaby być z niej aktorka!

Pani Somowa nie mogła się uspokoić i raz po raz powracała do wypadku w Wołdze, nie zwracając uwagi na zamyśloną córkę i zgnębnionego Miczurina.

## XV. PRZEDSIĘBIORSTWO TI-FONG-TAJA

Przy końcu Nanking Road, na skrzyżowaniu ulicy Tybetańskiej, wznoszą się naprzeciwko siebie dwa ogromne, krzykliwe, kolorowe gmachy, oblepione setkami afiszów, udekorowane reklamowymi obrazami, flagami i latarniami. Są to słynne miejsca rozrywkowe - Nowy Świat i Wielki Świat, połączone ze sobą tunelem pod jezdnią ulicy. Teatrzyki, dancingi, sale do jazdy na wrotkach, kina, menażerie, areny cyrkowe, restauracje, kawiarnie i setki innych widowisk znajduje tam publiczność, szukająca zabawy w dzień, a jeszcze bardziej w nocy, gdy gmachy te płoną olbrzymimi sztyldami świetlnymi, reflektorami i girlandami latarni papierowych. Dzielnica ta, niezwykle hałaśliwa i ruchliwa, szczególnie bliżej rogu Szeczuan Road, jest jednocześnie siedliskiem najbardziej energicznych i rozreklamowanych kompradorów chińskich - tych magów, co, mając do swojej dyspozycji dwie sale i kilka telefonów, podejmują się wykonania zawrotnych operacji handlowych i transportowych w każdym wskazanym im miejscu na kuli ziemskiej. Turysta, idąc od ulicy Szeczuańskiej do Thibet Road, natychmiast zwróci uwagę na domy oryginalnej kompradorskiej architektury, niepozbawionej swoistego piękna mieszaniny klasycznych chińskich, niezwykle wymyślnych, bogato rzeźbionych dachów i fasad, przeładowanych obfitością złocień, emalii i barwnej majoliki z zastosowaniem nieznanymi do niedawna współczesnych materiałów budowlanych, jak szkło, żelazobeton i bloki cementowe, importowane z wymarzonej USA, na których nowe Chiny usiłują wzorować się we wszystkim. W jednym z takich gmachów po krachującej niemiecko-chińskiej firmie, na pierwszym, całkowicie niemal oszklonym piętrze, zagnieździło się nowe biuro. Na czarnych, marmurowych tablicach, umieszczonych po obu stronach idealnie wypolerowanych drzwi mahoniowych, widniały napisy:

N.J. Ti-Fong-Taj Compradore

Właściwy człowiek osiadł na właściwym miejscu - na Nanking Road w pobliżu skrzyżowania z Szeczuańską ulicą i Nowego Świata, gdzie w małej, zacisznej, a bodaj najdroższej w Szanchaju restauracyjce Kwou-Czau w godzinach południowych gromadziła się najwyższa rada giełdy kompradorskiej - milionerzy, multimilionerzy i zuchwalcy, zaczynający karierę, wymagającą niepospolitych zdolności i wiedzy - ci, co to nagle, niby błyszczące meteory, przenosili się nad zbiegowiskiem i zgiełkiem szanchajskim i znikali bez śladu lub zostawali i budowali wkrótce nowy gmach w tradycyjnym od roku 1905 stylu China-America junction.

Jednak gdy na Nanking Road po raz pierwszy spostrzeżono szyldy Ti-Fong-Taja, w Kwou-Czau wiadomość o tym wywołała zdumienie i zrozumiały niepokój. Nazwisko nowego kompradora znane było dobrze i szeroko w kołach handlowych. Pamiętano tu dokładnie, ile świetnych interesów

zrobiono przy pomocy człowieka o tym głośnym na Dalekim Wschodzie nazwisku. Od roku 1917 nie figurowało ono jednak na fakturach i konosamentach chińskich firm transportowych. W pewnym okresie zdawało się, że właściciel tego nazwiska nigdy już nie wypłynie na powierzchnię życia i finansowych operacji międzynarodowego portu. Nikt nie wiedział, co się z nim stało, chociaż też nikt nie słyszał o bankructwie czy likwidacji jego firmy lub o śmierci Ti-Fong-Taja. Wprost zniknął bez echa i bez śladu, jak to często się zdarza w okresach wielkich przewrotów, a czyż można było sobie wyobrazić większy niż ten, kiedy to poruszono potworną masę prawie pół miliarda ludzi od Pacyfiku do Wielkiego Muru i od Heilunkiangu aż po granice Indochin i Tybetu? Gdy w ten mniej więcej sposób myślano i mówiono o Ti-Fong-Taju, nowy na gruncie szanchajskim komprador wchodził właśnie do swego biura. Wiekowy to już był człowiek, o niepomiernie dużej, niby opuchniętej, siwej głowie i szerokiej twarzy o rzadkim zaroście. Czarne oczy spokojnie i dobrotliwie patrzyły na nisko kłaniających mu się bojów i clercków, ni to z przestachem, ni to z szacunkiem spoglądających na jego długi, staromodny surdut europejski, szare spodnie i na miękki, welwetowy kapelusz z szerokim rondem. Każdemu z nich mignęła myśl, że ich patron zmuszony będzie wkrótce nosić się po chińsku, gdyż kompradorowie i ich personel biurowy, według nikomu nieznannej tradycji, skrupulatnie przestrzegali tej mody. Szefowie nosili jedwabne ciemnogrnatowe spodnie, związane przy kostkach, z czarnego pluszu krótką z obustronnym rozcięciem spódnicy i kurmę z długimi, zawijanymi rękawami z ciemnoszafirowej, grubej tkaniny jedwabnej, wyrabianej przez najlepszych tkaczy w Czangszy.

Ti-Fong-Taj, skinąwszy personelowi ręką i uśmiechając się, przeszedł do swego pokoju, gdzie stał garnitur miękkich mebli klubowych i długi stół z hebanowego drzewa, misternie rzeźbionego. Usiadłszy w fotelu i zapaliwszy papierosa, wziął do rąk słuchawkę telefonu i wywołał jakiś numer. Gdy odpowiedziano mu, rzucił jedno tylko słowo:

- Jestem - i położył słuchawkę na widełki.

Mrużąc oczy i delektując się dymem, wpadł w zadumę. Być może przypomniał sobie, jaką to drogą zawią i daleką doszedł do tego gmachu na Nanking Road, gdzie dudniły i dzwoniły tramwaje elektryczne i rozlegały się co chwila jak gdyby złośliwe i niecierpliwe klaksony aut.

Po chwili zadzwonił i powiedział coś do boja. Do gabinetu wszedł niebawem stary, przygarbiony Chińczyk w ogromnych okularach na małym, spłaszczonym nosie. Zacierał ręce i wesołymi, drwiącymi oczkami mrugał do Ti-Fong-Taja.

- Siadaj, mój stary Non-Kou. Jak się podoba memu głównemu kasjerowi i buchalterowi nowa siedziba firmy? - spytał szef, wydymając wargi.

Może chcesz papierosa?

Non-Kou, rechocząc skrzypliwie, zapalił i puszczając dym nosem, mówił szybkim głosem, niby suchy groch sypał do pustej skrzynki.

- Aj, aj, aj! Bardzo piękny lokal! Nie można go wszakże porównać do naszego kantoru w Błahowieszceńsku, no ale tam to był nasz dom - obszerny, piękny dom, czcigodny Ti! Żałujesz go czy nie? Śnił mi się wczoraj przez całą noc! Che, che, che! Wydawało mi się, że złodzieje zakradają się do suteryn, gdzie mieliśmy kasy pancerne, pamiętasz - te wielkie, co nam z Nowego Jorku przysłano?

Ti-Fong-Taj zaśmiał się i zawołał:

- A czy przypominasz sobie, jak one, gdy je wieziono na statku pod Amurem, przełamały pokład i omal nie wpadły do sali pasażerskiej?

Zaczęli obaj śmiać się głośno. Nun-Kou zapytał po chwili, przecierając zażawione od śmiechu oczy:

- Dobrych pięćdziesiąt lat minęło, jakeśmy z tobą, Ti, z Szanchaju wyruszyli w świat.

- Jako chłopcy do posług w kubryku marynarskim. Płynęliśmy wtedy coś ze dwa bodaj tygodnie do Mikołajewska. Okropny w tej pływanice mordował nas tajfun!

- A czyż potem było lepiej?! - wzruszył ramionami staruszek. - Całe tamte lato burzliwe było! Ścigały nas sztormy wszędzie: i koło Sachalinu, i na Ochockim Morzu, a koło Komodorów, pamiętasz - dwa razy omalże nie wpadliśmy na skały. Ale za to mieliśmy czas nauczyć się wszystkiego i przyjrzeć się temu, co się nam potem bardzo przydało!

Komprador westchnął jak gdyby z ulgą.

- Masz rację, Nun, w rok potem rozpoczęliśmy mały handelek i skromne wyprawy po skórki fok, soboli i białych lisów, no i co? Jakoś to nam poszło? Cha, cha, cha!

Chi, chi, chi! - wtórował mu kasjer. - Jakoś szło! W pięć lat potem mieliśmy we wszystkich miastach na Amurze swoje sklepy, a po dziesięciu

ani jednego! Chi, chi, chi!

- Ani jednego! Cha, cha, cha! Ani jednego, ale za to nic bez nas się nie robiło w całej wschodniej Syberii. Ti-Fong-Taj i Spółka - ho! Potęga!

- Spółka toja! Chi, chi, chi! - rechotał Nun-Kou, wydobywając z kieszeni srebrną tabakierkę i hałaśliwie wciągając nosem sporą szczyptę tabaki.

- Ty, ty, stary lisie! - kiwnął głową szef. - Kto dostarczał wojsku mąkę, mięso, kartofle, sukno, buty? - Ti-Fong-Taj i Spółka! Kto sprowadzał pługi amerykańskie, wszelkie narzędzia rolnicze, ślusarskie, tkackie, maszyny dla kopalni złota, broń myśliwską i proch? Ti-Fong-Taj i Spółka! Kto miał wszystkie statki na Amurze?

- Ti-Fong-Taj i Spółka - wtórował stary Nun.

- Kto skupował i posyłał do Irbitu, Moskwy, Lipska i Londynu najlepsze futra?

- My! Ty i ja!

- Kto dostarczał dobrych, uczciwych i tanich robotników na budowę szos, mostów, kolei, gmachów rządowych, więzienniczy i cerkwi?

- Ti-Fong-Taj i Nun-Kou, stary druhu.

- Kto płacił setki tysięcy łapownikom rosyjskim?

- Ti-Fong - zaczął kasjer, lecz szef przerwał mu, zanosząc się od śmiechu:

- A nie, bracie, to było już wyłącznie twoim obowiązkiem! Ja robiłem co innego - byłem przyjacielem generalnych gubernatorów i biskupów, ba - nawet prawosławnym się stałem chrześcijaninem i order wysoki na szyi nosiłem, cha, cha, cha!

- Kto był milionerem, największym nad Amurem? - z kolei zapytał Nun.

- Ti-Fong-Taj i Spółka! - zawołał wesołym głosem nowy komprador.

- Ta też spółka była jedyną, która wymknęła się bolszewickim zbójcom i oto rozpoczyna teraz nową pracę przy Nanking Road, stary Nun, na własnej ziemi i w rodzinnym, dawno opuszczonym przez nas mieście. To też czegoś warte!

- Warte jest tyle, ile pogodna, szczęśliwa starość, mój dobry Ti! - odpowiedział wzruszonym głosem Nun-Kou. - Zrobimy tu nowe miliony, lecz nie one już będą stanowiły o naszym szczęściu, stary druhu i towarzyszu wierny, nie one!

- Mówisz mądrze, Nun, nie one, bo, jak już uradziliśmy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju bez szmeru wślizgnął się boj.

- Gość, na którego czeka czcigodny szef, jest już w biurze! - zameldował z ukłonem.

- Proś - powiedział Ti-Fong-Taj i zwracając się do starego kasjera, mruknął: - Zostaw mnie samego.

Do kompradora wszedł pułkownik Wali-chan i serdecznie potrząsnął mu rękę. Usiedli i przez kilka chwil milczeli, jak gdyby ożywiając w myśli wszystko, co poprzedzało to spotkanie. W spojrzeniach, które rzucali na siebie, wyczuwała się szczerą sympatią i zupełne zaufanie. Zapewne sprawy najważniejsze, które obchodziły obu, od dawna już zostały omówione, przemyślane wszechstronnie i ustalone.

Pierwszy odezwał się Ti-Fong-Taj.

- Moi agenci porobili już oferty. Jak należało się spodziewać, pierwsi odezwali się Niemcy, wężący w Pekinie, w kołach, bliskich do rządu.

- Rząd był zmuszony przenieść swoją siedzibę dalej od przepętnionej szpiegami stolicy i w każdym razie być z dala od uwięzionego cesarza, jest to konieczne, gdyż partia radykalna i całe południe podejrzewa prezydenta i ministrów o zamiar powrotu do monarchii - przerwał mu Wali-chan.

Chińczyk kiwnął głową i ciągnął dalej:

- Nie wątpię, że tak będzie i dlatego posłałem tam jednego z agentów, aby rozejrzał się w sytuacji. Muszę jednak mieć tam Europejczyka, i to nie byle jakiego! Musi to być wykształcony, wytworny, energiczny i obrotny człowiek, znać języki i umieć wpływać na ludzi.

- Chce pan powiedzieć: na Chińczyków? To nie to samo co na zwykłych ludzi!

- Dlaczego? Pułkownik przecież bez trudu doszedł do porozumienia ze mną, a wszakże jestem Chińczykiem - zauważył komprador.



- Ee, co pan mówi! - machnął ręką Wali-chan. - Tyle lat mieszkał pan w Rosji i prowadził interesy z Europejczykami, zdążył więc pan nagiąć już swoją naturę do otoczenia. Zresztą nie wiem jeszcze, jakim się pan stanie na swoim gruncie!

Zaśmiał się i dodał:

- Opowiadano mi, że wpływ ziemi ojczystej bywa przemożny! Na przykład Murzyni, kształcący się zagranicą, ogromnie dbają tam o swoją powierzchowność i ubranie. Są to podobno najbardziej eleganccy młodzieńcy, ale cóż, kiedy ci lekarze, prawnicy i agronomi, powracając do swoich Sudanów, Gwinei i Liberii, natychmiast stają się rdzennymi Murzynami, to znaczy - zaczynają chodzić nago, zarzucają brzytwę i mydło i wołają dziki tam-tam od argentyńskiego tanga i amerykańskiego fokstrota!

Ti-Fong-Taj parsknął śmiechem i odpowiedział wesołym głosem:

- Ja nie będę paradował w stroju Adama! Najwyżej powrócę do szerokich pantalonów i kurmy, aby się zbyt nie odróżniać od tła i środowiska.

Ale, przechodząc do sprawy, muszę stwierdzić, że Chińczyk poddaje się dość łatwo wpływowi innego człowieka, lecz przy dwu warunkach. Ten człowiek musi mówić i postępować prawdziwie, szczerze i z wytworną stanowczością.

Wali-chan wstał, aby wziąć papierosa, i zapalając go, mówił:

- Jestem prawie przekonany, że takiego właśnie człowieka znalazłem dla pana! Mówił mi o nim dużo dobrego mój przyjaciel, doktor von Plen. Udało mi się odnaleźć go i dość długo z nim rozmawiać. Pokrótkę rozwinąłem przed nim nasz plan. Wydało mi się, że wzbudził w nim żywe zainteresowanie. W każdym razie spostrzegłem, że przewiduje wzmożenie zaborczości Japonii i dokonanie przez nią próby oderwania i zagarnięcia północnej części Chin. Muszę dodać, że mój nowy znajomy prawdopodobnie jest dobrze poinformowany, gdyż pracuje w koncernie prasy chińskiej.

- Jak się nazywa? - spytał Ti-Fong-Taj.

- Sergiusz Wagin, syn senatora, prawnik, dyplomata, człowiek z najwyższego w Petersburgu towarzystwa, świetnie ułożony i władający coś sześciu, zdaje się, językami - odpowiedział pułkownik.

- To odpowiada warunkom koniecznym w naszym przedsiębiorstwie, ale czy posiada dość energii i sprytu pański kandydat?

- Sądzę, że tak, drogi panie! - zawołał pułkownik. - Poinformuję pana poufnie, że ten młodzieniec zorganizował niegdyś zamach na cesarżową za jej tajne konszachty z Niemcami i o mało nie zabił Rasputina. Wyślizgnął się wszystkim - policji, agentom politycznym, ambasadzie i przepadł jak kamień w morzu! Brał udział w bitwach we Francji, a potem wrócił do Rosji i tam się bił, aż po upadku północnej grupy przedarł się przez całą Syberię, ścigany za to, że sprzątnął jakiegoś wybitnego komisarza. Wreszcie tu, gdzie tak trudno o pracę, zdobył sobie dobre stanowisko, o ile to istotnie możliwe jest dla emigranta w Szanchaju.

- Jednak zdumiewająco szybko odnalazł pan potrzebnego nam człowieka! - zdziwił się Chińczyk i zatarł ręce.

- Przypadek, zwykły przypadek! - zaśmiał się Wali-chan. - Dowiedziałem się niedawno o doktorze Pienie, od niego zaś - o Waginie. Nie mówiłem z nim jeszcze o możliwości zaangażowania go przez kompradorskie biuro Ti-Fong-Taj i Spółka, gdyż przedtem chciałem go przedstawić panu. Ma pan wprawne, doświadczone oko i zadecyduje sam.

Chińczyk potakiwał ruchem głowy, myśląc o czymś innym, wreszcie spytał szeptem:

- Nie widział się pan z księciem Tunem i najmłodszym bratem generała Li?

- W tych dniach będę miał z nimi naradę. Wpierw muszę porozumieć się z wpływowymi muzułmanami z Suszonfu, Kweitehu i Kaifengu, aby mieć już pewne atuty w ręku. Mam nadzieję, że mój projekt powinien się udać. Jediną przeszkodą dotychczas dla podniesienia ruchu mongolskiego i muzułmańskiego na terytorium Chin był baron Ungern von Sternberg. Ale baron popełnił szalone błędy!

- Cóż takiego? - zainteresował się Ti-Fong-Taj, podsuwając pułkownikowi kasetę z papierosami. - Dawno nie miałem o nim żadnych wiadomości. Nie znajduję nikogo, kto chciałby pojechać do Urgi i zbadać sytuację. Na moje ogłoszenie w pismach nie miałem ani jednej oferty.

- Zapewne! - uśmiechnął się drapieżnie Wali-chan. - Baron w jakimś szale okrucieństwa kazał wymordować wszystkich Chińczyków i tym popsuł sobie opinię w kraju, narobił sobie nieprzejednanych wrogów, nawet wśród książęcych rodów mongolskich, i zaniedbał najważniejszej sprawy - walki z bolszewikami i nawiązania stosunków z muzułmanami w Turkiestanie, Kirgizami i Tatarami. Jako buddysta miał nawet podobno zamiar zaniechać przymierza z wyznawcami islamu i sprzeciwia się, aby miał to uczynić arcykapłan - Żywy Budda. Jeżeli baron nie opamięta się - zginie! Wojsko jego topnieje, tymczasem z nielicznej, zaledwie dwa miliony liczącej ludności mongolskiej, której prawie dwie trzecie mężczyzn należy do kasty łamów, nie zdoła on zwerbować liczniejszego oddziału. Pierwsza zatem porażka i koniec!

Zapadło milczenie. Wyczuwało się napięcie, które wytwarza się zwykle przed jakąś stanowczą chwilą. I chwila ta istotnie nastąpiła, kiedy Ti-Fong-Taj niemal surowym i zarazem niespokojnym głosem zadał pytanie:

- Czy pan, pułkowniku, trwa w przekonaniu, że zdoła zjednoczyć wszystkich Mongołów do walki o Chiny?

Pułkownik wyprostował się i odpowiedział suchym, żołnierskim głosem:

- Jestem przekonany! Moje nazwisko - prawego spadkobiercy wielkich chanów wszystkich Kirgizów, sułtanów turkmeńskich i potomka Timurajest ręką tego. Zanim przyjechałem tu, zwołałem wodzów szczepów - do Chotanu, Jarkendu, Kuldży i Kobdo, omówiłem wszystko, dałem rady i rozkazy i wiem, że organizacja już się rozpoczęła. Gdyby wybuchła wojna z Rosją Czerwoną lub z Japonią, posiłki zostaną natychmiast wysłane. Potrzebna jest broń i amunicja! Broń i amunicja! Tutaj - u was tylko należy przygotować teren, przekonać, że jesteście Mongołami i że wszyscy inni Mongołowie nie są waszymi wrogami. Pragną oni widzieć Chiny wielkim jak dawniej mocarstwem. Obok niego może istnieć spokojnie sprzymierzone z nim, czerpiące siły duchowe z źródła chińskiej cywilizacji, ogromne państwo zjednoczonych Mongołów, aż nastanie dzień, gdy cała Azja stanie się jedną potęgą.

- A Japonia? - zmrużył nagle oczy stary Chińczyk.

- Japonia tego nie dokona, bo straciła w roku 1895 nasze zaufanie. Ona może tylko przyłączyć się do nas i tak postąpić będzie zmuszona, jeżeli nie zechce zginąć osamotniona i otoczona wrogami!

Rozmowę przerwał przeciągły sygnał telefonu.

- Kto mówi? - zapytał komprador po chińsku, ale po chwili nacisnął guzik dzwonka i rzekł do wchodzącego clercka: - Proszę porozumieć się!

Młody Chińczyk słuchał uważnie, mocno przyciskając słuchawkę do ucha, wreszcie zwrócił się do szefa, patrząc na niego dziwnym wzrokiem:

- Japoński konsul Kataoki prosi o przyjęcie go natychmiast.

Ti-Fong-Taj i pułkownik zamienili między sobą bystre spojrzenia.

- Proszę powiedzieć, że czekam w biurze na przybycie pana konsula - mruknął komprador.

- To ciekawe, z czym też przyjdzie ten pan? - spytał Wali-chan, gdy za clerkiem zamknęły się drzwi.

Chińczyk wzruszył ramionami.

- Pożegnaj już pana! - powiedział po chwili pułkownik, spojrzawszy na zegarek. - Będę czekał na wiadomość, kiedy zechce pan poznać Wagina.

- Poinformuję pana o tym niebawem, gdyż jutro muszę na parę dni wyjechać.

Pozostawszy sam, Ti-Fong-Taj kazał służącemu zawołać jednego z clercków.

- Czy dobrze pan zna język japoński? - spytał go.

- Ukończyłem handlową szkołę japońską w Dajrenie - odpowiedział młody Chińczyk w okularach.

- Za chwilę ma odwiedzić mnie konsul japoński. Wejdzie pan razem z nim, gdyż będę potrzebował pana jako tłumacza, ścisłego, sumiennego i dyskretnego tłumacza, panie So-Nong! Rozumie pan? Jest to niezmiernie poufna sprawa.

Chińczyk, uśmiechając się służalczo, suchym i zawziętym głosem, nielicującym zupełnie z pełnym pokory i uniżoności wyrazem jego twarzy, odparł:

- Szef mnie nie zna! Zawsze robię wszystko ściśle i sumiennie. Rozumiem, że skoro będzie rozmowa z Japończykiem i do tego takim przebiegłym dyplomatą jak konsul Kataoki - ścisłość i sumiennosc powinny być potrojone, a także i dyskrecja.

Ti-Fong-Taj przyjrzał się młodzieńcowi uważnie i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Widzę, że zrozumieliśmy się, panie So-Nong - mruknął i oczami wskazał na papierosy.

Clerck wziął jednego i schował go do kieszeni lekkiej niebieskiej kurmy.

- Proszę palić! - powiedział Ti-Fong-Taj.

- Pałę tylko po śniadaniu i obiedzie.

- To widzę, że nie wszystkiego się pan nauczył od ludzi o współczesnej cywilizacji.

- Wziąłem od nich to, co wydawało mi się wartościowym, od reszty wolę się powstrzymać -  
odpowiedział So-Nong, a głos jego brzmiał tak, jak gdyby recytował nauczoną formułę.

- Podoba mi się pan! - odezwał się komprador. - Więc proszę przyjść do mnie razem z panem  
Kataokim.

Clerck, ukloniwszy się nisko, natychmiast opuścił gabinet szefa. Ti-Fong-Taj przeszedł się kilka razy po pokoju. Zbliżywszy się do okna, stanął przed nim i przyglądał się tłumowi, sunącemu przeciwległym chodnikiem. Nieprzerwany potok ludzi płynął po Nanking Road. Chińczycy przeważnie w strojach europejskich stanowili większą jego część, chociaż przesuwali się też i postacie w starodawnych strojach, Europejczycy, drobni, krępi Japończycy, uśmiechnięte, barwne jak motyle Japonki, Chinki w jedwabnych wąskich szarawarach i ciemnokolorowych żakietach szły powolnie i spoglądały wokół pogardliwym, wszystko rozumiejącym wzrokiem - przenikliwym i ciężkim w swej nieruchomości. Były to przeważnie aktorki, tancerki lub po prostu kurtyzany z pobliskich New i Great World. Inne, młodsze, w strojach współczesnych, szły szybko, krokiem sportowym, poruszały się żwawo i patrzyły inaczej. Niosły teczki z książkami lub papierami. Studentki zapewne lub urzędniczki. Jezdnią mknęły auta i przepełnione publicznością tramwaje; szli pochyleni do ziemi kulisi, dźwigając na plecach ciężkie kosze i beły z towarami. Ti-Fong-Taj myślał o tym, że wygląd tłumu zmienił się nie do poznania przez czas długiej jego nieobecności w rodzinnym mieście. Zresztą wszystko się tu zmieniło od bruków aż do szczytów dachów. Domy, latarnie, sklepy i w ogóle wszystko stało się inne. Dawniej na rogu Nanking i Szeccuan Road stał chiński policjant w czerwonej kurmie z czarnymi hieroglifami na piersi i plecach. Trzymając bambusowy kij pod pachą, wplatał sobie do warkocza nowy sznur jedwabny - dar sąsiedniego sklepikarza - uśmiechając się rzewnie, myślał komprador. - A teraz? Na okrągłym podwyższeniu na środku jezdni tkwi... płomiennooki, brodaty Hindus w białym zawoju na głowie, emerytowany kapral indyjsko-brytyjskich wojsk, uzbrojony w rewolwer i mocny kij. Dopiero tam - przy samym chodniku stoi umundurowany na modłę amerykańską policjant chiński, odsunięty na drugi plan - śmieszny i bezradny wobec majestatycznej postaci dwumetrowego olbrzyma z Gangesu, pewnego siebie i dumnego dumą. Wielkie Brytanii, która dostarcza mu dobrego kurtu koloru khaki na ubranie ze złotymi guzikami i całe trzy metry cienkiego kaszmiru na turban. Myśli Ti-Fong-Taja prysnęły nagle, gdyż postyszał stuk do drzwi. Po chwili do gabinetu wchodził mały, chudy Japończyk o uśmiechniętej, niezwykle uprzejmej twarzy, a za nim sztywny, milczący So-Nong z blokiem papieru i ołówkiem w ręku. Komprador, ogarnawszy spojrzeniem szczupłą i nikłą postać konsula, zmarszczył czoło. Nie wątpił, że znał tego człowieka, lecz nie mógł sobie przypomnieć - gdzie i kiedy? Kataoki zapewne zrozumiał jego myśl, bo uśmiechnął się już nieco inaczej - wesoło, prawie figlarnie i naraz - przemówił po rosyjsku, trochę sepleniąc z japońska i co chwila głośno wciągając powietrze na znak wysokiego szacunku dla osoby gospodarza.

- Tłumacz, jak pan może się przekonać, nie jest nam potrzebny, a i stenogram również! - powiedział ze śmiechem. - Przybywam przecież do starego znajomego!

Ti-Fong-Taj skinął ręką w stronę clercka, który zniknął za drzwiami.

- Do starego znajomego? - powtórzył Chińczyk, wskazując gościowi fotel.

- Ależ tak, czcigodny panie! - zaśmiał się Kataoki. - Ileż to razy miałem zaszczyt golić i strzyc pana w moich zakładach fryzjerskich w Błahowieszczeńsku, Chabarowsku, Władywostoku i Mikołajewsku!

- Istotnie! Przypominam sobie teraz! Było to tuż-tuż przed wojną japońsko-rosyjską?

- Tak! Czego się nie robi dla dobra ojczyzny, czcigodny panie Ti-Fong-Taj?

- Zapewne! Właśnie przed półgodziną opowiadano mi o pewnym emigrancie - człowieku z ustosunkowanej rodziny w Petersburgu. Ten młodzieniec dla dobra ojczyzny zamierzał zamordować cesarzową, szkodzącą Rosji w ostatniej wojnie.

- Któż to taki? To niezmiernie ciekawe! - zainteresował się nagle konsul.

- Nie wymieniono mi jego nazwiska - uchylił się od odpowiedzi komprador.

- Moja robota dla ojczyzny była w znacznie skromniejszej skali, ale również ryzykowna - dorzucił Japończyk.

- Niezawodnie! Kariera szpiega urozmaicona jest groźnymi przygodami.

- Właśnie! - zgodził się Kataoki. - Zaszczytna to jednak kariera, zupełnie taka jak żołnierska, tym bardziej że jestem oficerem Sztabu Generalnego.

- Przypominam sobie teraz, że poszukiwano pana wkrótce po napadzie torpedowców japońskich na flotę rosyjską, spokojnie stojącą na kotwicy w Porcie Arthura.

- Och, wtedy byłem już w kraju! - machnął ręką konsul i zachichotał zgrzytliwie.

Po pewnym milczeniu ciągnął dalej:

- Dowiedziawszy się o założeniu przez pana przedsiębiorstwa kom- pradorskiego, bardzo się ucieszyłem, panie Ti-Fong-Taj! Mam do pana całkowite zaufanie, więc pragnąłbym nawiązać kontakt.

- Kontakt? Bardzo mnie to cieszy i pochlebia, panie konsulu, ale chciałbym wiedzieć, jakiego rodzaju ma być ten kontakt.

Japończyk obejrzał się dokoła i przysunął fotel bliżej do gospodarza.

- Dostawa karabinów i kulomiotów - szepnął.

- Dla kogo?

Konsul uczynił ruch, jak gdyby chciał ogarnąć cały świat, po chwili jednak uśmiechnął się chytrze i znowu szepnął:

- Tymczasem dla dwóch tylko klientów - Chin i Mongolii!

- Dla Chin? - spytał Ti-Fong-Taj. - Ale dla kogóż właściwie w Chinach?

- Wszystkim partiom bez różnicy, wszystkim generałom, za wyjątkiem oczywiście tych, którzy hołdują komunizmowi.

- Czy nie przypuszcza pan, że broń ta zostanie użyta przeciwko Japonii? - spokojnym głosem zadał pytanie Chińczyk.

- Obliczyliśmy tę możliwość, ale będzie ona miała znaczenie drobnego epizodu. Naszym celem byłoby uzbrojenie narodu chińskiego, aby mógł on wreszcie przeciwstawić się bezczelnej zaborczości Europejczyków i Amerykanów. Zresztą jesteśmy przekonani, że w ostatecznym wyniku cały zapas broni zgromadzi się w ręku jednej partii.

- Którą ma pan na myśli?

- Tego nie mógłbym jeszcze przewidzieć, lecz wiem, że z tą partią, jakkolwiek by się nazywała, dojdziemy do porozumienia.

Ti-Fong-Taj milczał, myśląc nad planami konsula, obliczając możliwy zysk dla firmy, ale szczególnie zastanawiając się nad niezrozumiałą i niepokojącą go szczerością Kataokiego, tak obcą psychice ludów Dalekiego Wschodu. Wreszcie powiedział, uśmiechając się z wytworną uprzejmością:

- Pan konsul zaszczyca mnie swym zaufaniem! Doprawdy, jestem w kłopotcie, gdyż nie wiem, czym na to zasłużyłem i jak mam dziękować.

Kataoki zaśmiał się z cyniczną szczerością i odparł natychmiast:

- Pan w tej chwili jest przekonany, że prowadzę z panem jakąś grę. Czyż nie mam racji?

Chińczyk milczał, nie zmieniając uprzejmego wyrazu twarzy.

- Zgadłem?! - zaśmiał się znowu Japończyk, lecz natychmiast spowaźniał. - Mam do pana zaufanie jako do Chińczyka, z którym można dojść do porozumienia bez obłudy i wykrętów. Opieram to na własnym doświadczeniu.

Dłuższe przebywanie wśród cudzoziemców o zupełnie odmiennej psychice dość szybko i gruntownie zmienia również naszą mentalność, która w obecnych czasach szybkich i ogromnych kataklizmów staje się zawadą nie do zwalczenia, niezmiernie szkodliwą i unicestwiającą najlepsze i konieczne zamierzenia. Dlatego to przede wszystkim popieramy od dawna wyjazdy naszej młodzieży zagranicę. Ale wróćmy do sprawy! To, co powiedziałem, jest zrozumiałe! Zgodzi się pan ze mną, że w Chinach, gdzie powstało kilka zwalczających się wzajemnie rządów, gdzie co godzina pojawia się jakiś nowy awanturniczy generał czy zwariowany dyktator, nie można dojść do ładu w żadnej kwestii.

Ti-Fong-Taj słuchał w milczeniu, uważnie przyglądając się gościowi.

- Chiny muszą się zjednoczyć i zlikwidować wojnę domową - mówił, zapalając się, Kataoki. - Wtedy poczynimy wam realne propozycje i nie wątpię, że dojdziemy do zgody! Nagromadziło się tyle palących dla obydwu naszych narodów spraw i wielkich zagadnień, żądających wspólnego rozwiązania, gdyż inaczej i was, i nas uczynią swymi niewolnikami Europejczycy i Amerykanie!

- Nie przypuszcza pan, że zwyciężą nacjonałiści, a ci nie zechcą z wami pertraktować? - spytał Chińczyk.

- Możliwe! Chociaż uważam wasz „nacjonalizm” raczej za ksenofobię, sztucznie zaszczepioną. Zresztą jeżeli Chiny pójdą drogą dzikiego nacjonalizmu - wtedy będziemy mieli wojnę i ona już rozstrzygnie

dalsze losy naszych państw. Muszę zaznaczyć, iż wojna nie jest dla nas najgorszym wyjściem z obecnej sytuacji! - zakończył Kataoki i wstał.

Przeszedłszy się kilka razy po pokoju, zatrzymał się przed gospodarzem i mówił dalej:

- Proszę się wczuć w to, co powiem! Jesteśmy narodem, niemającym pod stopami pewnego gruntu, gdyż wyspy nasze mogą każdego dnia zapaść się na dno otchłani Tuscarory!

Ti-Fong-Taj skinął potakująco głową i mruknął:

- To prawda! Zwiedzałem przed laty Tokio podczas wielkiego trzęsienia ziemi. Była to okropna klęska!

- Jesteśmy siedemdziesięciomilionowym narodem, który dusi się na swych ciasnych dla niego i zagrożonych stale wyspach! - mówił w coraz większym podnieceniu Japończyk. - Gdybyśmy nie mieli floty handlowej i handlu zagranicznego, dwadzieścia - trzydzieści milionów obywateli japońskich musiałyby wymrzeć z głodu!

Kataoki usiadł i pomilczawszy chwilę, począł dalej rozwijać swoją myśl:

- Sprawiedliwość wymaga, aby dano nam stałą ziemię. My musimy utrwalić się na lądzie azjatyckim. Przeznaczona jest do tego słabo zaludniona, bogata, żyzna i rozległa Mandżuria.

- Taaak? - przeciągnął Chińczyk. - Tyle się już o tym mówiło.

- I będzie się mówiło! - szorstkim głosem rzucił Kataoki. - Moglibyśmy zagarnąć część wschodniej Syberii, od oceanu do dowolnego punktu, ale cóż z tego, kiedy my nie możemy tam żyć!

- Więc Mandżuria? - spytał, mrużąc oczy Ti-Fong-Taj. - Tylko ta chińska prowincja jest wam potrzebna?

- Nie jest ona waszą prowincją! - żywo zaprotestował Japończyk. - Nie znacie historii! Chiny są raczej dominium Mandżurii i jej władców, bo oni to podbili was i przez setki lat panowali do roku 1911.

Pochyliwszy się ku gospodarzowi, w jakimś natchnieniu proroczym rzucał słowo po słowie:

- Odwdzięczymy się, odwdzięczymy się wam tym, że wraz z Chinami doprowadzimy do ostatecznego celu wspólne i drogie nam hasło: Azja dla Azjatów!

Ti-Fong-Taj w obawie, że zdradzi swoje zdumienie, jął zapalać papierosa i przymknął oczy. Nie słuchał już Japończyka, starał się przeniknąć w mrok przyszłości, a jednocześnie rozmyślał nad możliwościami, które się zarysowały podczas tej rozmowy. Nagle zaniepokoił się i spojrzawszy podejrzliwie na konsula, spytał:

- Co pana sprowadziło właśnie do mnie? Na Nanking Road kilku dawno tu pracujących kompradorów ma swoje biura - solidne to, znane firmy.

- Handlarze! Speculanci! Zakute głowy! - syknął Kataoki. - Znam pana z jego działalności na Syberii i powiedziałem już, że pan jeden może mnie zrozumieć, że jeżeli nie staniemy mocno obok siebie - wy i my - komunizm, jak pleśń, zeżre Chiny, a potem i Japonię na próchno, na próchno, bo, co tu ukrywać, stanowimy nacje straszliwie stare, znużone długim i burzliwym życiem, może nawet niezdolne już do przeciągającego się, systematycznego wysiłku!

Chińczyk potrząsnął głową. Kataoki mówił prawdę. Rozumiał najbliższe i najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Ti-Fong-Taj jednak mimo wszystko był Chińczykiem. Musiał więc odwlec ostateczną odpowiedź i upozorować to koniecznością gruntownego namysłu.

- Zasadniczo, jako przedsiębiorca, nie mam nic przeciwko propozycji pana konsula - powiedział jak gdyby w roztargnieniu. - Należałoby jednak omówić poważnie wszystkie szczegóły oferty pana konsula. Uprzedzam, że w tę transakcję oprócz nas byłbym zmuszony wtajemniczyć jeszcze dwie osoby, cieszące się moim pełnym zaufaniem. Razem z nimi więc przestudujemy całą sprawę w detalach!

Japończyk kiwał głową i wciągał powietrze. Po chwili Ti-Fong-Taj odprowadzał go już aż do drzwi biura, kłaniając mu się uprzejmie, na co Kataoki odpowiadał niskimi, pełnymi szacunku ukłonami i wyszukаныmi frazesami pożegnalnymi. Gdy zaś za gościem zamknęły się drzwi, szef biura kompradorskiego spojrzął w najdalszy kąt sali, gdzie pomiędzy dwiema kasami pancernymi urzędował naczelný buchalter i kasjer. Rzuciwszy na niego porozumiewawcze spojrzenie, prawie surowym głosem powiedział:

- Panie Nun-Kou! Każe pan kupić dla mnie bilet do Pekinu i telefonicznie zamówić pokój w Grand Hotel des Wagons Lits! Wyjeżdżam dziś na noc! Boj! Palto, kapelusz i laskę!

Dwie pary oczu baczenie śledziło każdy ruch Ti-Fong-Taja. Jedna należała do starego Nun-Kou, wężącego coś niezmiernie ważnego, druga - do So-Nunga, który gryzł ołówek, starając się przeniknąć tajemnicę rozmowy szefa z konsulem japońskim.

## XVI. STARE ŚMIECIE - NOWE TROSKI

Już od tygodnia zdjęto kwarantannę w dzielnicy Czapei. Fala wygłodzonej i zrozpaczonej ludności wypłusnęła przez wszystkie bramy. Największy potok przepłynął przez koncesję francuską i oparł się aż na Wusungu, od długiego czasu pozbawionego dostatecznej ilości kulisów, czyli ludzi, sprzedających swe siły, jak to w barwnej mowie określali Chińczycy; mniejszy - potoczył się ku północnej dzielnicy, gdzie budowano nowe gmachy publiczne i prywatne, i ku plantowi kolei; najmniejszy zaś - kilkoma naraz odnogami, w największym pośpiechu opuszczał Szanchaj, unosząc w swym prądzie tych wszystkich, których uwięziła nagle wybuchająca epidemia.

Pani Somowa z córką i Wagin przenieśli się już do dawnego mieszkania na posesji Jun-cho-Sana. Miczurin jednak nie powrócił do Gospody Czterech Stron Świata. Może nie mógł już znaleźć w sobie sił, by istnieć w budzącym w nim teraz odrazę otoczeniu ohydnyego i zgiełkliwego zajazdu chińskiego, gdzie wszystko przypominało mu dawne, upadające duszę życie, a może miał na to inne, głębsze powody. Przyjaciołom oznajmił, że będzie zmuszony bardzo wcześnie stawać do roboty i późno wracać do domu, wobec czego postanowił zamieszkać niedaleko gmachu Szun-Pao, znalazłszy dla siebie bardzo tani pokój w chińskiej kamienicy czynszowej. Nikt się temu nie dziwił, a nawet cieszą się, że lejtenant opuścił wreszcie swoją obrzydliwą siedzibę. Nikt - ani Wagin, ani pani



Somowa nie wiedzieli jednak o tym, że wieczorami jakiś niezmiernie wybujały, barczysty człowiek całymi godzinami przechadzał się w pobliżu domu Jun-cho-sana i gdy otwierały się drzwi kantoru kupca, zaglądał na podwórze, gdzie świeciły się okna małej oficyny wewnętrznej. Czasami, spostrzegłszy tam cień na firance, zamierał na miejscu, jak urzeczony, wpatrując się niby w zjawę.

Na trzeci dzień po przenosinach na stare śmiecie, Sergiusz postanowił odwiedzić doktora Plena. Wyszedłszy koło ósmej na ulicę, od razu poznał przechadzającego się Miczurina i okrzyknął go. Ten, zmieszany bardzo, podszedł do przyjaciela, mrużąc niewyraźnie:

- Wybrałem się do Plena. Mam dziś parę wolnych godzin. Dawno go już nie widziałem.

Wagin spojrzął na niego uważnie i nic nie odpowiadając, poklepał go po ramieniu.

- Co to ma znaczyć? - opryskliwym głosem spytał Miczurin, odsuwając się gwałtownie od Sergiusza.

Ten zająrzył mu w oczy przenikliwie i jak gdyby poczuwszy nagły ból, syknął:

- Cieszę się, cieszę się, że razem złożymy mu wizytę.

Miczurin odmruknął coś niewyraźnie i w milczeniu szedł obok przyjaciela, patrząc w ziemię. Tak, nic do siebie nie mówiąc, doszli do palarni Czeng-Si i nie znalazłszy Plena na jego zwykłym miejscu na pryczy, zapytali o niego. Sługa oczami wskazał na korytarz, prowadzący do ambulatorium. Doktor siedział przy stole i gotował coś w kolbie. Ujrawszy przyjaciół, przetarł oczy i długo patrzył na obu, jak gdyby nie poznając ich. Twarz jego przybierała stopniowo wyraz smutku i niepokoju.

- Powróciliście wreszcie - szepnął po chwili - powróciliście przecież! Nieraz myślałem, że pozostaniecie tam, gdzie wszystko jest inne niż tu. Myślałem też i o tym, czy warto było powracać do naszej dzielnicy, szczególnie tobie, stary przyjacielu?

Przyglądał się uważnie i troskliwie Miczurinowi. Lejtenant, unikając jego spojrzenia, milczał. Plen nie spuszczał badawczego wzroku z jego twarzy i szczegółowo, jak gdyby odmierzając cal po calu, oglądał potężną, a w tej chwili niby wyczerpaną i bezsilną postać olbrzyma. Po chwili spojrzął na Wagina i ze zdumieniem wpatrywał się w jego spokojne i łagodne oczy.

- To dziwne! - zamruczał. - To bardzo dziwne, ale...

Potrząsnął kilka razy głową, ni to zaprzeczając czemuś, ni to odpędzając od siebie natrętą i przykrą myśl. Sergiusz czuł każdym nerwem, że coś zawisło w tej chwili nad nimi, że musi coś się stać, paść jakieś słowo fatalne, niemożliwe do odwołania i zapomnienia, gdyż pozostawiłoby po sobie jadowity, bolesny ślad. Postanowił rozproszyć tak przykry i ciężki nastrój.

- Jakżeż powodziło się doktorowi przez czas trwania kwarantanny? - zapytał.

Plen z lekka uniósł głowę i dłonią otarł czoło.

- Jak zwykle! - odpowiedział znużonym głosem. - Jak zwykle! Osiem porcji opium i praktyka ogromna, ogromna.

Głos jego przebrzmiał ponurymi nutami.

- Przecież z miasta nikt tu nie mógł do was przychodzić? - zauważył Miczurin, ucieszony z nawiązanej rozmowy.

Ech! - machnął ręką doktor. - Miałem miejscowych pacjentów bez liku. Przychodzili do mnie Chińczycy i - rzecz nie do wiary, gdyż sprzeciwia się to przesądom i obyczajom - zapraszali do chorych na dżumę.

- Leczył pan zadżumionych? - zawołał przerażony Wagin.

- Leczyłem! - wybuchnął Plen urwanym, złym czy może rozpaczliwym śmiechem. - Policja pod naciskiem europejskich konsulów, żądających szybkiego zlikwidowania zarazy, szalała! Włamywano się do domów, wyciągano każdego chorego i wleczono do So-Pao-Lu, gdzie zamykano w barakach, a po nocach nieprzytomnych wrzucano żywcem do pieca.

- To straszne! - wyrwał się Waginowi okrzyk zgrozy.

- Ja myślę! - potrząsnął głową Plen. - Toteż przychodzili do mnie Chińczycy po to wyłącznie, abym bez cierpienia i męki wyprawiał chorych do państwa cieniów. Mój Czeng-Si obłowił się znakomicie na tym procederze, zarobiła też i policja, dając zezwolenie, aby chory mógł umrzeć w domu.

- Więc pan? - szepnął Wagin, już domyślając się strasznej prawdy.

- Nie bój się pan i dokończ! - zasyczał doktor. - Więc tak, tak! To ja właśnie wyprawiałem ich na tamten świat szybko i bezboleśnie. Jeden zastrzyk, lub jeżeli miał jeszcze siły, kilka kropel płynu i pacjent mój stawał się obojętny już na to, czy go wrzucą do dołu i zaleją wapnem, czy też spalą w piecu.

Zaczął się śmiać obłudnie, trzęsąc się całą i tupiąc nogą. Wagin zrozumiał, że doktor Plen miał wstręt do siebie czy też wyrzuty sumienia.

- Opowiemy teraz doktorowi, jak się nam wszystko ułożyło! - umyślnie bardzo głośno i wesoło odezwał się Sergiusz, udając, że nie spostrzega zdenerwowania Plena. Starał się rozproszyć prześladowające doktora myśli i rozweselić go, przedstawiając swoje codzienne, zabawne istotnie utarczki z prezesem Liao-Kaj-Fanem i współpracownikami Szun-Pao, którzy wciąż czegoś się obawiają, usiłując każdą nowinę polityczną zredagować w formie, dopuszczającej dowolne jej komentowanie; opowiadał też o Miczurinie, dowodzącym armią łobuzów i przechadzającym się wśród nich jak bocian pomiędzy żabami, o pani Somowej, ciągle pochłoniętej myślą o nakarmieniu głodnej zgrai, wpadającej na chwilę i z szybkością maszyny pochłaniającej obiad.

- Czy bardzo rozpaczają te biedne, smutne kobiety po śmierci chłopaka? - spytał nagle Plen i z bolesnym skurczem warg wbił nieprzytomne oczy w twarz Sergiusza. - Czy płaczą i biadają?

Wagin zrozumiał, co w tej chwili miał na myśli doktor, więc porozumiewawczo spojrzął na lejtnanta i odparł, wzruszając ramionami:

- Jak by to panu powiedzieć?! Być może, gdy odwiedzają grób Romana, płaczą tam i rozpaczają, ale w domu, stanowczo to twierdzą, są znacznie spokojniejsze i pogodzone już z losem. Uważam, że szczęśliwie się dla nich złożyło, że właśnie wybuchnęła ta dżuma i trzeba było zmienić miejsce pobytu i cały tryb życia. Nowe wrażenia, nowe kłopoty. Zresztą kilkakrotnie już w tych czasach

obserwowałem to dziwne zjawisko, że ludzkie nerwy jak gdyby zgrubiały, a wrażliwość stępsiała. Teraz, aby kogoś doprowadzić do rozpacz i pozbawić równowagi - potrzeba niezwykle silnych wstrząsów, ale i one działają na krótką już tylko metę. Coś się popsuło w naszym systemie nerwowym, a może nawet zaszły jakieś zmiany organiczne. Obawiałem się powrotu na dawne mieszkanie, bo tam wszystko przypomina Romana, ale zdaje mi się, że obawy moje były przesadzone. Panie nasze są na dobrej drodze, wkrótce życie pochłonie je.

Doktor słuchał uważnie, a wyraz bólu na twarzy i niepokój w oczach zniknęły powoli. Tak przecierają się na niebie czarne i szare chmury, odsłaniając wreszcie jasną tarczę księżyca.

- To bardzo szczęśliwie, to bardzo szczęśliwie! - powtarzał. - Dręczyła mnie myśl, że matka nie słyszała ostatniego westchnienia dziecka i nie zapamiętała sobie jego gasnącego spojrzenia. Ale - powiedźcie, powiedźcie, czyż nie lżej jej było znieść tę śmierć tak, jak ja nią pokierowałem! Powiedźcie!

Plen namiętnym głosem żądał twierdzącej odpowiedzi na pytanie, które, widać często - tak jak to było po śmierci małej Wiery - stawiało natarczywie jego sumienie, dręczone wyrzutami i pełne wahań.

- Tak było najlepiej! Któż mógłby twierdzić inaczej! - z całą stanowczością powiedział Wagin. - W znacznym stopniu dopomogło to pani Somowej do zniesienia łatwiej tego ciosu, gdyż uniknęła ona najcięższych chwil ostatniej, obłędnej walki ze śmiercią syna, żałosnego widoku jego cierpienia i strachu, i brutalnego zniszczenia podtrzymującej ją nadziei, gdy w obłędzie rozpacz rwał się z piersi przekleństwa i bluźnierstwa.

Plen, uśmiechając się cicho, potakiwał mu ruchem głowy.

- Właśnie tak samo myślałem przez cały ten czas! Usiłowałem rozproszyć ciężkie wątpliwości, które męczyły mnie - szeptał, wzdychając z ulgą.

- Nie mówiliśmy o tym z paniami, ale jestem przekonany, że są doktorowi wdzięczne - odezwał się lejtenant.

- Ach, jakżeż byłbym szczęśliwy! - zawołał Plen i po chwili znowu mówił szeptem, niby zwiierzając się z niesłychanie ważnej tajemnicy: - Kilka razy usiłowałem w wyobraźni ujrzeć panią Somową i jej córkę na nowym miejscu, zdawało mi się, że już docieram, lecz za każdym razem coś stawało mi na przeszkodzie, tak! Coś, jakieś zaburzenia dokoła nich i was obu. Co się tam z wami działo?

Wagin spokojnie wzruszył ramionami i odpowiedział zdziwionym głosem:

- Nie przypominam sobie nic nadzwyczajnego, zupełnie nic!

- Co się miało dziać? - mruknął Miczurin. - Pracowaliśmy wszyscy jak zwykle.

- Zresztą doktor ma poniekąd rację! - przerywając mu, zawołał Sergiusz i zaśmiał się: - Byliśmy przez dobrą godzinę w towarzystwie najprawdziwszych bandytów! Policja zastrzeliła ich niemal w naszej obecności. Wyptószył ich pański znajomy - pułkownik Wali-chan Bukrejew!

- Ach, Sulejman! - ucieszył się Plen. - Poznał go pan? Bardzo interesujący człowiek - nieprawdaż?

- Istotnie, zaciekał mnie swoimi, zdaje się, fantastycznymi planami stworzenia nowoczesnego imperium mongolskiego z udziałem Rosji - z ożywieniem odpowiedział Wagin. - Nie jest to zbyt dla nas pochlebne towarzystwo, lecz gdyby plan ten był wykonalny, warto by nad nim poważnie się zastanowić. Jedno tylko w tym wszystkim wydaje mi się nierealne. Taki plan powinni rozwijać i propagować wysłańcy narodów mongolskich, nie zaś były adiutant cesarski, uciekinier, człowiek prawdopodobnie, jak i my wszyscy tutaj, bez jutra!

Doktor słuchał uważnie, a gdy Wagin skończył, zauważył:

- Co do Wali-chana pan się myli! Ma on pełnomocnictwa wszystkich ludów mongolskich, mieszkających na terytorium Rosji, a oprócz tego od Turkiestanu Chińskiego, Afganistanu, Kurdów i muzułmanów z Kaukazu. Nie wiem, czy plan pułkownika łatwy jest do zrealizowania, ale pomyślany jest poważnie, a także solidnie finansowany.

- Przez kogo? - zainteresował się Miczurin.

- Nie wiem, ale podejrzewam, że biorą w tym udział monarchiści chińscy, muzułmanie hinduscy i kto wie, czy nie Japończycy nawet - odpowiedział Plen i spojrzawszy na Sergiusza, dodał półgłosem: - Pułkownik, o ile mi się zdaje, będzie starał się wciągnąć pana do tej roboty.

Wagin uśmiechnął się i mruknął:

- Napomykał mi coś o tym. Cóż, jeżeli będzie to praca nie gorzej opłacana niż u mego Liao-Kaj-Fana, przyjmę ją chętnie. Bądź co bądź będzie się coś robiło dla przyszłości.

- Dla zwalczenia czerwonego terroru motłochu! - syknął Plen, patrząc na niego jakimś niezwykle pałającym wzrokiem. Nagle, zwracając się do Miczurina, spytał go surowym tonem:

- A wy, czy też przyłączycie się do tej sprawy?

Lejtenant opuścił głowę na piersi i milczał.

- Mówcie! - nalegał Plen.

Miczurin jednak długo się nie odzywał. Nie było to wszakże milczenie potrzebne mu do namysłu nad odpowiedzią, lecz raczej cierpienie, że ktoś zmusza go do zmiany tego, co uważał teraz za najwyższe niemal dla siebie szczęście - zabezpieczony kąt i kawał chleba, normalne życie człowieka z kulturalnej sfery i możliwość codziennego widywania Ludmiły. Wreszcie potrząsnął głową i wzdrygnął się od stóp do głów:

- Nie! - rzucił złym głosem. - Nie namówicie mnie na żadne hece, na żadne nowe wojny! Dosyć namordowałem się i ledwom nie zginął z kretelem w tym brudnym mrowisku, gdyby nie Wagin.

Rozpaczliwym ruchem przyciskając pięści do czoła, wybuchnął:

- Ja się stąd na krok nie ruszę! Słyszycie?! Znowu zabijać, znowu codziennie oczekiwać śmierci?! Nie wierzę w żadne wasze plany! Runą, jak rozsypało się tyle innych! Inaczej być nie może, gdyż Rosja jest skazana na zagładę. Więc cóż - chcecie, żebym znów oszukiwał, ograbiał i mordował ludzi dla tego, żeby napchać sobie brzuch i wódką zalać robaka?! Cudem wyrwałem się z tego piekła i teraz każda kropla mojej krwi pragnie, bym się stał godnym.

Urwał i z przerażeniem badał wyraz twarzy przyjaciół, szukając na nich śladów zdumienia, pogardy czy podejrzliwości. Patrzyli na niego ze współczuciem. Uspokoił się trochę i dokończył zdanie:

- bym się stał godnym nazwy człowieka.

Nieszczerym, zmieszonym głosem wykrztusił te dwa ostatnie słowa z widocznym wysiłkiem czy też zawstydzeniem. Wagin spostrzegł to i zrozumiał, co się działo w duszy lejtenanta. Nie dał jednak znać po sobie, że się domyślił ukrytego znaczenia wybuchu Miczurina. Wzruszywszy obojętnie ramionami, powiedział:

- Nie mogę ukrywać tego, że i sam nie mam zbyt wielkich nadziei na powodzenie planu pułkownika. Uważam tylko, że skoro będą mi za to płacili, lepsza jest dla mnie jakaś ideowa i bądź co bądź interesująca robota niż ślęczenie nad piśmiłkami w redakcji Szun-Pao, gdzie nic się nie dzieje i skąd prędzej czy później mogą mnie wylać, jeżeli w Chinach tak dalej będzie wzrastał wrogi dla cudzoziemców ruch. No, ale przecież nikt was przemocą nie ciągnie! Skoro jesteście zadowoleni z swego losu - to pozostajcie.

- Tak! tak! Pozostanę! Pozostanę tu! - znowu się unosząc, wysokim falsetem krzyknął Miczurin. - Ja wiem, że wy, Wagin, chcielibyście, żeby mnie gdzieś wysłano daleko - daleko, a jeszcze lepiej, by mnie tam zakatrupiono. Ja wszystko wiem, wszystko czuję!

Doktor Plen bystro spojrzął na niego i niespokojny wzrok swój skierował na Sergiusza. Ten jednak, nie zmieniając pozy i wyrazu twarzy, zimnymi oczami spoglądał spokojnie na Plena i na lejtenanta, miotającego się po laboratorium.

- Ooo, to aż tak? - przeciągnął wreszcie. - Nigdy bym się tego po was nie spodziewał! Uspokójcie się, kochany przyjacielu, uspokójcie się! Przypomnijcie sobie, com już raz wam powiedział w swoim pokoju na Fu-Tien-Koo! Było to jeszcze przed wybuchem dżumy. Powiedziałem wam wtedy, że możecie zawsze liczyć na mnie.

Miczurin zatrzymał się przed nim. Rozstawiwszy nogi i pochyliwszy ku niemu swe potężne ciało, wbił oczy w źrenice Wagina. Sergiusz coś dojrzał we wzroku lejtenanta, bo namarszczył czoło i drapieźnie odrzucił głowę w tył.

- Tak powiedziałem wam tego wieczora - ciągnął dalej - a teraz dodam, że jeżeli nie wierzycie mi i choć jeden ruch uczynicie przeciwko mnie - biada wam, lejtenancie Miczurin! Unieszkodliwię was, bo tu nie chodzi już o mnie, ale o...

Machnął ręką i niecierpliwie szepnął:

- Wiecie, kogo mam na myśli.

Doktor Plen bacznie przyglądał się obu przyjaciołom, ale w jego oczach miotało się już, szukając ostatecznego łożyska, nagłe zrozumienie. Już domyślił się prawie wszystkiego i widział przed sobą szachownicę gry życiowej. Nie mógł tylko znaleźć na niej właściwego miejsca dla partnerów.

Uświadamiał sobie teraz w zupełności, jakie to zaburzenia, powstające dokoła tych ludzi, wznosiły tamę dla jego wzroku wewnętrznego, zwalczającego niekiedy przestrzeń i czas. Milczał, obserwując

Miczurina i Sergiusza. Lejtenant odszedł od Wagina i usiadł w kącie na krzeselku. Sergiusz z całym spokojem rozglądał się dokoła, aż wreszcie spytał:

- Coś jak gdyby wam tu przybyło, doktorze?

Plen zatarł ręce i odpowiedział z odcieniem radości:

- A jakże! Komisja sanitarna za pomoc moją w jej pracach (byłem przecież inspektorem na cały nasz sektor!) ofiarowała mi całe urządzenie do prac bakteriologicznych. Świetne to wszystko, amerykańskie, z fundacji Rockefellerowskiej! Mogę teraz fabrykować surowice, jakie tylko zechcę!

Wagin spojrział na Miczurina, a widząc, że lejtenant już się uspokoił, powiedział z niewinną miną:

- Poproszę was wkrótce, doktorze, o spreparowanie surowicy przeciwko zakochaniu, mam bowiem dla was jednego pacjenta w bardzo groźnej formie tej choroby.

Plen uśmiechnął się chytrze i zadeklamował z Heinego:

- Ich sah dich im Traum

Und sah die Nacht in deines Herzens Raum,

Und sah die Schlang', die dir am Herzen frisst,

Ich sah, mein Lieb, wie sehr du elend bist.

Miczurin wybuchnął głośnym śmiechem i śmiał się tak długo i szczerze, że aż mu kark krwią nabrzmiął i białka oczu szczerwieniały. Zerwał się z krzeselka i podszedł do Wagina.

- Wybaczcie! - szepnął, a w oczach błysnęły mu łzy.

Wagin mocno ucisnął mu dłoń i także szeptem odpowiedział:

- Daj Boże, aby wszystkie wasze pragnienia ziścić się mogły! Z serca wam tego życzę!

Plen ręce rozłożył i zamrugnął sinymi powiekami:

- Więc jak tam ze mną będzie? Czy dostaję zamówienie na tę yaccina antiamorosa, czy też to były tylko wstępne pertraktacje z moją firmą?

- Nie zamawiam tymczasem, lecz na wszelki wypadek radzę ze sto ampułek mieć na składzie! - zaśmiał się Wagin, mrużąc oczy. - A teraz wiecie co? Chodźmy do herbaciarni Pod Wierzbami! Pić mi się chce.

- Ja? Do takiego wytwornego lokalu, gdzie bywają cudzoziemcy? - wołał przerażony Plen. - W moim arcychińskim stroju z epoki dynastii Han?! Impossible! Zresztą musiałbym przedtem wypocząć trochę w obłokach dymu rozkoszy.

Wagin, niezwykle ożywiony i ucieszony, tarł rękawem kurmy i mówił do niego:

- Kładź się pan prędzej i wciągnij w siebie trochę tego gorzkiego świństwa! Nie chciałbym bowiem, żeby się pan nam nagle wytchnął i zwiądnął jak wyciśnięta cytryna. A co do wyglądu i stroju, to na

wstępie oznajmimy, że jest pan jednym ze stu mędrców, co to nie wiadomo gdzie żyją już od tysiąca lat. Zresztą nie ma obawy! Po dżumie cudzoziemcom się nie śpieszy do naszej dzielnicy. Opowiadał mi dziś nasz gospodarz - Jun-cho-san, że nawet kat z jaomynia skarżył mu się na marne interesy. Ma do ścięcia dziesięciu jakichś biedaków i karmi ich z własnej kieszeni już drugi tydzień, czekając, aż przybędą Amerykanie, aby się przyrzyć egzekucji, ale tymczasem amatorów nie ma. Mam nadzieję, że Pod Wierzbami w samotności i skupieniu napijemy się dobrej herbaty!

Gdy Plen wszedł do palarni, Miczurin, spojrzawszy nieśmiało na Wagina, spytał go:

- Może byśmy też zaprosili panią Somową i pannę Ludmiłę?

Wagin uświadomił sobie nagle, że imię Ludmiły nabrało teraz dla niego całkiem innego znaczenia i budziło w nim jakieś ostre zaciekawienie, bo przecież zakochany w niej Miczurin musi mieć chyba jakieś znane mu powody do zazdrości. Powodów tych sam dać mu nie mógł, gdyż poza przyjaźnią, a raczej współczuciem dla Ludmiły, nie czuł dla niej nic. Niezupełnie zresztą nic! Interesowała go tą swoją nadwrażliwością i dziwnym wyczuwaniem ludzi, co go zastanowiło i uderzyło przy pierwszej już znajomości. Powodów do zazdrości musiała nastęrczyć lejtenantowi chyba tylko sama Ludmiła. Tak, tylko ona! Ale co by to mogło być? Przypomniawszy sobie jednak wybuch, którego dziś nie mógł pohamować Miczurin, postanowił odrzucić plan przyjaciela. Zaśmiał się cicho i grożąc mu palcem, powiedział:

- Ej, bo polecę Plenowi wstrzyknąć wam z dziesięć ampułek surowicy, rekinie zakochany!

Śmiejąc się obaj, poszli do palarni. Rozróżowiony i wyprostowany Plen, patrzył na nich świecącymi się dziwnie oczyma i grzebieniem rozczesywał sobie powichrzone włosy i rudawą brodę. Jak się okazało, zdążył już nawet włożyć nowe trzewiki z zielonej, wytłaczanej skóry, upominek od szewca, któremu wyrwał sześć zębów, i fioletową kurkę, nieco przykrótką, gdyż pochodziła z garderoby So-hai, drobnego i chudego staruszka, którego ordynarni fagasi z sąsiedniego szynku bez należnego starcom szacunku witali zawsze jednym i tym samym pytaniem:

- Żyjesz jeszcze, suszona mątwo?!

## TOM II

### I. ŻYCIE PŁYNIE ZAWIŁYM ŁOŻYSKIEM

Spotkanie Wagina z Wali-chanem nastąpiło w gabinecie Ti-Fong-Taja na listowne zaproszenie pułkownika. Dziwnie krępująca była wytworna uprzejmość Mongoła, gdy z wylewną radością witał gościa. Sergiusz, patrząc na dziobatą twarz, skośne oczy i spłaszczony nos pułkownika, czuł się tak, jak gdyby popełniał zbrodnię.

Ten wychowanek Korpusu Paziów posiada zapewne wszystkie niezbędne dla drapieżcy cechy, - światała mu trwożna myśl. - Nie darmo przecież, jak sam mnie upewniał, pochodzi w prostej linii od

chromego Tamer-lana, nieba i bicia Boga! Posłuchajmy teraz, co i jak będzie mówił, aby serce moje do jego sprawy przykuć mocnym łańcuchem!

Mimo woli ogarnęła go jakaś wyjątkowa podejrzliwość i niemal męczące zaciekawienie. Dawno nie przeżywał tak wyraźnego przeczucia niezmiernie ważnych wypadków. Serce nawet żywiej mu bić poczęło.

Co to? - pytał siebie. - Czyżby niepokój, czy uda mi się zrobić interes i uzyskać lepsze stanowisko?

Wkrótce jednak odrzucił tę myśl. Zainteresowanie jego miało niezawodnie głębsze źródło i z niego to sączył się ten podniecający go niepokój.

Tymczasem Wali-chan, zapalając cygaro, mówił cichym, zakradającym się do mózgu głosem i uśmiechał się z podwójną uprzejmością człowieka Wschodu i byłego carskiego adiutanta, znającego najgłębsze tajemnice i umiejącego ukrywać je niby klejnoty w niedostępnych skrytkach.

- Musimy porozumieć się dokładnie, nie zatajać niczego! Odkrywam swoje, nasze karty bez zastrzeżeń - zależy nam bardzo na zdobyciu takiego jak pan współpracownika. Niezbędnym jednak wydaje mi się ustalenie wspólnej platformy ideologicznej.

Przez spokojną, skupioną twarz Wagina przemknął lekki uśmiech. Wstęp był obiecujący. Należało być na baczności, zrozumieć i wyjaśnić wszystko dokładnie. Głos Wali-chana płynął niepowstrzymanie i beznamiętnie. Tak mówią ludzie bardzo zdecydowani i absolutnie przekonani o swej słuszności:

- Materialna strona pańskiej współpracy należy do biura i nie ma obawy co do jej szybkiego i pomyślnego załatwienia. W tej chwili idzie mi o coś innego! Chcę streścić panu nasze poglądy i program. Musimy wszyscy wierzyć w ich wykonalność i uznawać doniosłość celu!

Wali-chan wypowiedział ostatnie zdanie ze szczególnym naciskiem i powtórzył:

- Uznawać doniosłość celu! Czy pozwoli pan, że zadam mu dwa pytania? Czy mogę?

- Ależ, pułkowniku, bardzo proszę!

- Czy nie uważa pan, że słabość Rosji polegała na jej ekspansji terytorialnej i na przeładowaniu organizmu imperium wchłoniętymi przez nią ludami? - spytał pułkownik.

- Nie ulega to żadnej wątpliwości - odparł Sergiusz. - Odczuwaliśmy to przy wszystkich zamieszkach i we wszystkich wojnach.

- Spodziewałem się takiej odpowiedzi! - ucieszył się Wali-chan. - A teraz drugie i ostatnie pytanie! Czy zgadza się pan z twierdzeniem, że naród rosyjski jest bardziej azjatycki niż zachodnioeuropejski?

Wagin spojrział bystro na pułkownika, gdyż przekonany już był, że zrozumiał po jakiej linii mają pójść zapowiedziane przez niego wyjaśnienia.

- Procent krwi mongolskiej w żyłach naszego narodu jest istotnie wysoki - potwierdził. - Na palcach wyliczyć można rodziny o czystej krwi słowiańskiej, w późniejszych dopiero okresach zmieszanej z niemiecką lub jak moja - z angielską, ale przynajmniej, że są to wyjątki niezmiernie rzadkie.

Wali-chan wyciągnął do niego obie dłonie.



- Widzę, że dojdziemy do zupełnego porozumienia! - zawołał prawie radosnym głosem. - Nasz plan ma na razie za zadanie uzbrojenie wszystkich ludów azjatyckich i ideowe ich związanie. W każdym z nich najsilniej przemawia krew i prastara idea mongolska o imperium uniwersalnym. Biała rasa narobiła sobie wrogów w każdym zakątku Azji. Musimy wyprzeć tę rasę z naszego kontynentu, a potem zaczniemy zewnątrz i wewnątrz przekształcać się i organizować. Czynną rolę odegrają zawsze aktywni i zdolni do fantastycznego porywu muzułmanie. Syberię aż po Ural zdobędziemy szybko! Idzie nam tylko o to, by tego nie dokonali Japończycy bez naszego udziału. W Turkiestanie staniemy niebawem na pograniczu Indii Brytyjskich, w Yunnaniu zagrozimy Francuzom, Holendrom i Anglikom - w Indochinach i na Malajach. Mandatowe kraje Azji Przedniej zrzucą z siebie opiekę Anglii i Francji bez trudu. Będą ofiary? Będą! Możemy sobie na to pozwolić, rozporządzając miliardem ludzi. Zapyta mnie pan może, dlaczego to pan - człowiek biały - ma w tym brać udział?

Wagin przytaknął skinieniem głowy, chociaż jednocześnie korciło go, by wyrazić zdumienie, iż słyszy to z ust oficera, który, jak sam w rozmowie z nim w restauracji pani Ostapowej wspomniał, iż stał przy stopniach najwspanialszego z tronów? Byłaby to jednak uwaga dość drastyczna, ale mimo to Sergiusz z trudem zmusił się do milczenia. Pozostała w nim jednak gorycz i coś, co gnębiło go niby doznana krzywda czy obraza.

Mongoł - mignęła mu myśl - człowiek obcy Rosji z krwi i myśli!

Jednak w tej samej chwili Wagin przypomniał sobie bałtyckiego Niemca, również oficera rosyjskiego - barona Ungern-Sternberga, marzącego o oderwaniu od Rosji ludów wschodnich, generała Siemionowa, orędownika tego zuchwałego planu, dawnego oficera Sztabu Generalnego Andogskiego, podpisującego w Brześciu wraz z bolszewikami haniebny pokój z Niemcami i wreszcie tak bliskiego dynastii Romanowów hetmana Skoropadskiego, wspólnie z dowództwem niemieckim rozczłonkującego Rosję europejską. Te wspomnienia sprawiły mu przykrość. Sposepniał i skupił się w sobie.

- Właśnie! - uśmiechnął się, nic nie spostrzegłszy, Wali-chan. - Odpowiem krótką formułą. Rosja z różnych powodów przyłączy się do ruchu mongolskiego i rosyjski naród - nie inny - stanie na czele jego w chwili, gdy zaczniemy budować olbrzymie, rozpostarte od Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego aż do Morza Śródziemnego, Bałtyku i Oceanu Lodowatego państwo Mongołów. Psychika rosyjska niezmiernie się do tego nadaje i nic jej zastąpić nie zdoła.

- A w związku z tym planem co pan myśli o Japonii? - wtrącił pytanie Sergiusz.

- Japonia niezbędna jest w okresie walki, zaś w czasie pokoju -jedynie Rosja wystąpi na arenę nowych zmagañ - odparł z siłą i przekonaniem pułkownik. - Pracując z nami, będzie pan jednocześnie pracował dla Rosji.

Umilkł, ale po chwili ciągnął dalej:

- Rozporządzamy nieograniczonymi kapitałami. Ledwie sprawa nasza stanęła na praktycznych i zrozumiałych przesłankach, natychmiast sypnęły się ofiary. Nie jestem upoważniony wymieniać cyfr i nazwisk, ale twierdzić mogę, że idea nasza z dniem każdym staje się ideą wspólną i drogą dla wszystkich ludów Azji. Powodzenie jej jest już przesądzone, w krótszym lub dłuższym ułamku czasu.

Milczeli długo, pogrążeni we własnych myślach. Wagin czuł, że gorycz, którą wzbudziło w nim bezceremonialne rozstrzygnięcie losów jego ojczyzny, znacznie osłabła. Dowiedział się przecież, że Rosja nie zostanie poza nawiasem wypadków, w pierwszym rzędzie ją właśnie dotyczących. Choć od lat młodzieńczych pod wpływem matki rozumiał zacofanie, błędy i zbrodnie swego narodu, a potem od tego narodu wycierpiał tyle męki i upokorzenia, że, zdawało się, mógł już z czystym sumieniem porwać wszystkie więzy z krajem, który w dzieciństwie przyzwyczał się nazywać imieniem tak każdemu człowiekowi drogim - imieniem ojczyzny - jednak, spostrzegając odcień lekceważenia lub pogardy dla niej, buntował się i uświadamiał sobie, że dojrzeła w nim protest. Wiedział, że był to bezsilny, śmieszny protest, lecz wyzbyć się tych odruchów nie mógł. Tajemnicą osłonięte są bowiem dziwne więzy, łączące człowieka z ziemią jego ojczyzny! Nie tylko działają w tym wypadku rzewne wspomnienia dzieciństwa i pierwsze najsilniejsze i najistotniejsze wrażenia. Zapewne można byłoby ustalić nieznanne nam dotychczas wpływy jakichś promieni, emanujących z ziemi a wpływających na normalne funkcjonowanie gruczołów i organów wewnętrznych, na indywidualny skład krwi, bo czymże inaczej, jak twierdził znakomity lekarz kolonialny Bastian, wytłumaczyć się dadzą głębokie zmiany fizjologiczne w przypadkach ostrej nostalgii? Tej strasznej choroby nie spostrzegł w sobie Wagin, bo w jego pamięci żyły jeszcze świeże obrazy niedawnej przeszłości. Nędza ucieczki jego, nikiemność dawnych przyjaciół, żałosny koniec zrozpaczonych, osamotnionych i bezbronych rodziców, jego własny dramat paryski, przerażający okres ścigania, czajenia się, podstępnych napadów, głodu i strachu, które niejednego doprowadziłyby do obłądzenia i śmierci - tego Wagin nie mógł zapomnieć.

Tak - myślał - moja ojczyzna macochą mi była!

Wreszcie Sergiusz wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Jeżeli tak jest, jak słyszałem od pana, gotów jestem pracować nad wykonaniem planu przekształcenia, wyrażmy to z pewną oględnością, mapy świata - powiedział z uśmiechem.

Wali-chan ujął go za rękę i mocno ją ścisnął.

- To najważniejsze, resztę załatwi mój przyjaciel, Ti-Fong-Taj. Zaraz sprowadzę go tu! - mówił pułkownik, zdejmując słuchawkę telefonu.

W niespełną pół godziny po tej rozmowie do gabinetu wchodził uśmiechnięty jak zawsze komprador.

- Panowie omówią sprawy materialne i warunki współpracy z nami pana Wagina - powiedział Wali-chan, potrząsając dłoń Chińczyka. - Muszę już iść, bo mam dziś jeszcze dwa spotkania.

Pułkownik pożegnał obydwu panów i wyszedł. Rozmowa z Ti-Fong-Tajem przeciągnęła się znacznie dłużej, niż przewidywał Sergiusz. Ti-Fong-Taj długo i z najdrobniejszymi szczegółami wtajemniczał nowego współpracownika w plan dostarczenia broni do różnych prowincji Chin. Wreszcie oznajmił:

- Najtrudniejsze zadanie będzie pan miał w tych okolicach, gdzie utwierdziły się chińskie oddziały komunistyczne, bo my właśnie zamierzamy w pierwszej kolejności uzbroić ludność, by sama powstała przeciwko okupującym i pustoszącym całe prowincje komunistom. Rząd nasz zupełnie niesłusznie obawia się tymczasem zatargu z poselstwem rosyjskim i do walki otwartej z komunistami nie chce przykładać ręki. Pan zrozumie, że w tym wypadku wskazana jest przeto najdalej posunięta ostrożność, bo z naszymi komunistami nie ma żartów!

- Wszyscy komuniści są jednakowo energiczni! - uśmiechnął się Sergiusz, myśląc o tym, że niejedną jeszcze sądzono mu przeżyć przygodę i nawet, kto wie, ale nie chciał o tym myśleć.

Omawianie sprawy wynagrodzenia nie zajęło zbyt dużo czasu. Ti-Fong-Taj wymienił tak znaczną sumę, że Wagin nie mógł nawet ukryć swego zdumienia. Komprador, spostrzegłszy to, wyjaśnił:

- Tej części naszego planu nie możemy dać do wykonania Chińczykowi, bo różne wpływy i okoliczności mogłyby wszystko pokrzyżować. Na pana chcemy patrzeć jak na naszego – powiedzmy - ministra spraw zagranicznych i postać w jednej osobie. Pan będzie musiał każde posunięcie nasze prawnie ugruntować, nadać mu cechy niebudzącej żadnych podejrzeń lojalności, na której opierać się też będą czynniki rządowe i Japończycy, gdyż oni również w pewnej mierze będą nam pomagali lub też szkodzili.

- Czyż nie istnieją obawy co do zachłanności Japonii i w pewnej chwili odstąpienia jej od wspólnej sprawy? - spytał zdumiony już zupełnie Wagin.

Ti-Fong-Taj przymknął oczy i po chwili namysłu odpowiedział:

- Do pewnego momentu istnieją. Do momentu, aż rządowi tokijskiemu uda się wyprzeć Rosję z Mandżurii i Mongolii, gdzie jej sąsiedztwo z Chinami nie jest pożądane ani dla Japonii, ani dla nas, no i dopóki Japonia nie otrzyma kopalni węgla i żelaza, potrzebnych im jak powietrze. Na tym się skończy ekspansja wyspiarzy, a potem, gdy będą oni już żyli wśród nas, przestaną być groźni, bo nie będą to już Japończycy. Cha, cha, cha! Tyle już ludów i ras wchłonęły w siebie i doszczętnie przetrawiły stare Chiny.

- Kiedy mam się stawić do pracy? - zadał pytanie Sergiusz, podnosząc się z fotela.

- Czy wystarczy panu miesiąc na zlikwidowanie swoich spraw?

- Najzupełniej! - oświadczył Wagin. - Więc za miesiąc rozpocznę swoje urzędowanie, chociaż, mówiąc szczerze, mógłbym to uczynić znacznie wcześniej.

- Ach, to doskonale się składa! - ucieszył się Chińczyk. - W takim razie proponuję panu zrobić wywiad w terenie jego przyszłej pracy. Nie zawadziłoby zwiedzić i rozejrzeć się po Pekinie, Nankingu i Kantonie. Na pierwsze żądanie pana mój plenipotent Nun-Kou zaopatrzy pana w pieniądze, bilety kolejowe i listy polecające.

- Pan pozwoli, że obmyślę sobie program i w najbliższych dniach zgłoszę się do pana Nun-Kou? - powiedział Wagin, zadowolony niezmiernie z możliwości wyrwania się z Szanchaju i oczekującej go podróży po nieznanym kraju.

- Ależ naturalnie, będę panu bardzo wdzięczny!

Ti-Fong-Taj odprowadził gościa do drzwi i pożegnał go uprzejmie.

Nazajutrz Wagin, wyszedłszy z redakcji, zbiegł schodami na podwórze, gdzie rządził Miczurin, i wzięwszy go na bok, szepnął:

- Za tydzień wystąpię z redakcji Szun-Pao. Otrzymałem inne, lepsze stanowisko. Jeżeli chcecie, mógłbym wyrobić wam dobrą posadę. Bylibyśmy w ciągłych rozjazdach po kraju. To ciekawsze przecież i dodam - popłatniejsze zajęcie!

Miczurin zbladł i z trwogą, przez którą przeglądała też źle ukryta podejrzliwość, patrzył na Sergiusza.

Toczyła się w nim walka, wahał się jeszcze i namyślał. Wreszcie spuścił oczy i mruknął ponuro:

- Dziękuję wam, ale wolę pozostać tu.

Wagin zrozumiał, co kieruje towarzyszem, więc skinął głową i odpowiedział:

- Jak chcecie! Obawiam się namawiać was, bo mógłbym potem mieć wyrzuty sumienia, a wy - żal do mnie. Niechże tak będzie, jak jest! Proszę was tylko nikomu nie mówić tymczasem, że porzucam redakcję, ale to - zupełnie nikomu! Zapewne też będę zmuszony wynieść się od pani Somowej.

- Wynieść się! - wyrwał się Miczurinowi radosny okrzyk.

Wagin udał, że nie spostrzegł jego radości i z obojętnym wyrazem twarzy, ciągnął spokojnie:

- Nie będzie to już ciosem dla pani domu, bo panna Ludmiła zarabia teraz więcej, nie mają już przy tym wydatków na chorego, a co do wolnego pokoju po mnie, to, doprawdy, radziłbym wam zamieszkać w nim!

Miczurin milczał i szeroko rozwartymi oczami patrzył na Sergiusza. Ten klepnął go po ramieniu i jakimś smutnym nagle głosem powiedział:

- Żył niegdyś taki filozof starożytny, który nazywał się Epiktet. Wypowiedział on myśl, która sama już wystarcza, aby tego filozofa umieścić w rzędzie największych mędrców. Otóż powiedział, że człowiekiem kierują nie rzeczy, lecz jego mniemanie o rzeczach, miły mój lejtenancie! Tak to! Odrzućcie więc teraz wszystkie wasze bezpodstawne mniemanie, zajrzyjcie w głębi rzeczy, która powinna wami kierować, bo tego pragniecie, i bądźcie szczęśliwi!

Miczurin zupełnie tym samym ruchem, jak wtedy, gdy Wagin oznajmił mu o znalezionej dla niego pracy, porwał go za rękę i przycisnął do ust. Sergiusz z trudem wyrwał swoją dłoń z jego potężnych łap i z jakimś ni to smutkiem, ni to niesmakiem, nic już nie mówiąc, powrócił do swego redakcyjnego pokoju. Tego samego dnia porozumiał się z prezesem Liao-Kaj-Fanem i prosił go o zwolnienie, obiecując, że przez cały tydzień będzie wprowadzał nowego współpracownika w zakres jego czynności. Widząc zakłopotanie prezesa, zaproponował mu, że sam postara się wynaleźć sobie godnego zastępcę. Liao-Kaj-Fan z wdzięcznością przystał na to istotnie najlepsze wyjście z trudnej sytuacji. Nie chcąc przeciągać tej sprawy, Wagin postanowił odnaleźć odpowiedniego kandydata w rosyjskiej kolonii i wprost z biura poszedł do Wołgi. Znalazłszy wolne miejsce przy osobnym stoliku, zażądał obiadu. Przybycie jego wywołało w willi Ostapowych prawdziwe poruszenie. Pensjonariusze jeden po drugim zaglądali do sali. Wreszcie przysłała panna Marta. Usiadła przy stoliku Wagina, zabawiając go wesołą rozmową. Była starannie uczesana, miała na sobie elegancki strój spacerowy i mały kapelusik z opuszczoną na oczy gęstą woalką. Rozmowa jednak urywała się co chwila, słabo przez gościa podtrzymywana.

- Pani, jak sądzę, wybiera się na przechadzkę? - spytał Sergiusz, aby coś powiedzieć.

- Nie! To się nazywa inaczej - odparła z drażniącym śmiechem, wyzywającym ruchem podnosząc główkę i mrużąc oczy.

Sergiusz nie zrozumiał odpowiedzi, więc spojrzał na nią pytająco.

- Wyznam panu wielką tajemnicę - szepnęła, dotykając go kolanami. - Idę na randkę z kochankiem.

- Hm! Pani wybiera się do kochanka? - powtórzył Wagin i zaśmiał się szyderczo. - Niedawno słyszałem, że ktoś nazwał panią niezdołym szczytem.

- Dziwi to pana? - szepnęła. - Wy, mężczyźni - wszyscy jesteście jednacy. Tak łatwo poddajecie się hipnozie! I w ogóle nic nie rozumiecie! Ach, panna Marta Ostapowa, mówią nasi panowie, niebosiężny szczyt, dziewiczym okryty śniegiem, generalska córka, biała lilia!

Sergiusz chciał zapewnić ją, że wcale tak nie myślał, gdyż widzi przed sobą jej wszystko już rozumiejące i nie tyle śmiałe, ile bezczelne oczy, ale panienska szepotała z coraz większym rozdrażnieniem, chociaż w źrenicach jej ciemnych oczu nie zniknęły zimne i drapieżne ogniki. Niezawodnie usiłowała ocenić wrażenie, jakie wywierają jej ośmielające zwierzenia i dotyk kolan, których ciepło, siedzący przed nią Sergiusz czuł wyraźnie przez cienką tkaninę.

- A tymczasem jestem przede wszystkim kobietą dojrzałą, kobietą - z krwi i mięsa!

- Mówi pani o sobie, jak o tym rostbefie! - zaśmiał się cicho Sergiusz i odsunął od siebie talerz z kawałkiem krwawiącego mięsa. - Tak to się mówi, a w samotności i w tajemnicy przed służbą wróży pani zapewne, stawiając karty na nieznanego wybrańca i małżonka! Króla pik lub trefl! Znamy się na tych panińskich sztuczkach!

- A stawiam, żeby pan wiedział! Tylko na króla coeur, bo wolę blondynów - odparła, ciężkim, wyzywającym spojrzeniem ślizgając się po postaci gościa. - Ale czyż kochanek przeszkodzi mi wyjść dobrze za mąż?

- No, to już będzie zależało od sumienia pani i od wymagań przyszłego szczęśliwego małżonka - zaśmiał się Sergiusz, czując już stopę panny Marty na swojej nodze.

- A, fe, fe! - parsknęła jak rozjuszona kotka. - Ależ zacofany z pana mamut! Mumia! Okaz paleontologiczny! Żyjemy, chwała Bogu, w dwudziestym wieku, mój panie z okresu jaskiń i kamienia łupanego!

Drugi wąski pantofelek nacisnął stopę Wagina. Zmrużył oczy i krzywiąc z lekka usta, niby nic nie spostrzegając, powiedział z westchnieniem:

- Ale, ale! Jaka szkoda, że dawny adorator pani - ów niestały zarówno w miłości, jak i w swoich poglądach politycznych docent nie jest ani kochankiem, ani mężem pani! Miałbym mu do zafiarowania doskonałą, jak na nasze warunki, posadę.

Stopki panny Marty w okamgnieniu ześlizgnęły się z trzewików Sergiusza, a z jej twarzy znikł wyzywający i kuszący uśmiech.

- Czy pan mówi to poważnie? - zapytała. - Bo mam kogoś.

- Jak najpoważniej! - potwierdził Wagin. - Ale uprzedzam, że ów ktoś musi znać dobrze angielski, francuski, niemiecki i rosyjski język, i to jest dopiero minimum wymaganych kwalifikacji, jeżeli poza tym umie porządnie pisać artykuły - niezupełnie głupie istotnie.

- Nie, tego on nie potrafi! - przeciągnęła rozczarowana panienska. - Za to ślicznie mówi, odznacza się rasowością i w ogóle jest czarujący, prawdziwy grand amant, ale pan go przecież poznał u nas!

Wagin nie mógł sobie przypomnieć nikogo podobnego do typu opisywanego przez pannę Martę.

- Adwokat Lubicz - szepnęła zupełnie już cicho, a w jej oczach zjawily się nagle gorące błyski.

Sergiusz nie był wcale wtajemniczony w sekrety życia pań Ostapowych, więc nie zdradził ani zdziwienia, ani zainteresowania osobą adwokata.

Przez ten czas w pensjonacie Wołga zaszły niespodziewane i nikomu jeszcze nieznanne wypadki. Wzdychający do pani generałowej, a raczej do jej rachunku w banku mecenas Lubicz, znudzony przeciągającą się rolą bezinteresownego, wciąż starającego się adoratora, zupełnie przypadkowo zastał pewnego razu w swoim pokoiku na najwyższym piętrze Martę, którą skusił do przyścia tam piękny wieczór księżycowy, a jeszcze bardziej z niezwykłą siłą wybuchający temperament, niezaspokojony chociażby jakimś podniecającym flirtem. Od tego czasu widywali się często w niezupełnie dla generalskiej córki odpowiednim miejscu. Był to mały, przytulnie urządzonej gabinetek, pełen różnych cacek, dużych waz cloisonne, w których wiodły pozbawione słońca wisterie i zimne, niby z wosku ulepione, magnolie. Panował tu zawsze półmrok, gdyż nie odślaniano tu nigdy grubych draperii. Tym ponętniej wyglądała w alkowie szeroka sofa, okryta jedwabną makatą - granatową w żółte smoki, stopy kolorowych poduszek na niej i jakieś dziwne obrazy chińskie na ścianach, wyobrażające kłębowisko nagich ciał w fantastycznych splotach i pozach. Ten przytulny zakątek wynalazła sobie panna Marta w najzwyczajniejszym domu schadzek pewnej Rosjanki, dawnej lokatorki pensjonatu pani Ostapowej i zarazem swojej przyjaciółki. U niej to właśnie odbywały się spotkania pięknej dziewczyny z Lubiczem - wytwornym i doświadczonego rzeczywiście grand amant, który dochodził coraz bardziej do przekonania, że stanowczo za dużo zmarnował czasu i okazji na zbyt opornie postępujące zdobycie serca generałowej. Marta wiedziała o planach mecenasa i o obawach matki, przewidywała nawet, że cała tak długo ciągnąca się heca skończy się wszakże małżeństwem, ale poniósł ją temperament dwudziestodwuletniej brunetki i znalazła ujście dla niego w obrębie rodziny. Tajemnica jak najgłębsza, dyskrecja gwarantowana, więc wszystko w porządku! Poza tym - tres moutarde, jak w kinie, z gęstą woalką na twarzy, tajemniczy dom schadzek i oddana jej powiernica - Mlle Wiera. Gdy ta mieszkała u nich na Bubbling Weil, sama Marta własnoręcznie wpuszczała po nocach do pokoiku przyjaciółki bogatych Amerykanów i wyprowadzała ich, mając klucze od drzwi willi i furtki, rozkazując dżentelmenom zdjąć lakierki i stąpać na palcach, aby mama o niczym się nie dowiedziała. Ruda jak płomień i biała jak mleko, zielonooka Wiera pałała do smagłej Marty grzeszną, jak się wyrażała, miłością i wtajemniczała ją w różne niewinne folies - tym przyjemniejsze, że nie pociągały za sobą żadnych przykrych skutków. Wyśmienicie się zabawiały obie panny: niedosiężna, dziewicza Marta i wyuzdana kokota, zamaskowana absolutnie swoją przyjaźnią z córką arystokratki - niemal że damy dworu cesarskiego. Tak przynajmniej niby w tajemnicy rozpowiadała wszystkim, a pani Ostapowa, posiadająca o tym ściśle informacje, nie usiłowała sprostować nieścisłości. Przecież ploteczki tego rodzaju dodawały splendoru jej i pensjonatowi Wołga. Czegóż się nie robi dla reklamy i interesu? Co zaś do rudej Wiery, to płomiennie rozkochana w Marcie i oddana generałowej, w stosunkach z przekradającymi się do jej pokoju mężczyznami,

porywając ich temperamentem, w gruncie rzeczy była zimna jak lód, wyrachowana i wymagająca - zupełnie wyjątkowy okaz wśród kobiet podobnych zawodów! Skąpa, przewidująca i ostrożna, szybko uciułała sobie wcale pokaźny kapitał i porzuciwszy tę dziedzinę profesji, która wymagała od niej eksploatacji własnych walorów i sztuki kapłanki miłości, Wiera założyła własny interes - dom schadzek w jednej z bocznic, wychodzących na Creek. Na mosiężnej tabliczce, umieszczonej na drzwiach jej mieszkanek, widniały tylko dwa słowa Mlle Vera. Słowa te jednak były wymowne i każdy elegancki dżentelmen (co w Szanchaju było synonimem zamożności) wiedział, że może śmiało kołatać do tych drzwi o dowolnej godzinie dnia i nocy. Mlle Vera telefonicznie lub przez milczącą zawsze Chinkę organizowała przypadkowe five o'clocki, kolacyjki, partyjki w brydża, zabawę w hazardowy fan-tan, dancingi, a nie jej to już była wina, że nie mogła wiedzieć, co robią mili goście, rozpraszając się po przytulnych gabinecikach, gdzie w lecie wirowały elektryczne wachlarze, a w zimie usposabiała do marzeń i słodkich porywów kominki elektryczne.

- Czy nie zna pani kogoś wśród emigrantów, odpowiedniego do zajęcia tej posady? - spytał wreszcie suchym głosem Wagin, bo brutalną i wstrętną wydała mu się ta piękna, a tak bardzo cyniczna dziewczyna.

- Nie, carobójco, nie znam! - syknęła złośliwie, wyczuwszy od razu jego antypatię do siebie.

- Cha, cha, cha! - zaśmiał się mimo woli Sergiusz. - Kto panią tak fałszywie poinformował?

- Ten, kto pana dobrze zna! - odpowiedziała, grożąc mu palcem.

- Niech mu pani powie, że jest głupi!

- Nie powiem, bo on już - gwizdnęła cicho, wskazując palcem na ziemię.

- Umarł?

- Pozwolił sobie na ten zbytek - kiwnęła główką. - Ale mnie pan nie nabije w butelkę! O nie! Wiem, że nieboszczyk rotmistrz mówił prawdę!

- Skądżeż znów takie przeświadczenie? - spytał Wagin, mrużąc oczy.

- Skąd? Stąd, mój panie, że w panu zakochała się ta zakonnica, ta ryba - Ludmiła! Ona może zakochać się tylko w jakimś mordercy lub w Antychryście, bo sama jest cicha, skromna, świętoszka, beznadziejnie przybita do ziemi, a marząca o zaświatach. Kobiety tego rodzaju kochają się w antytezie swego ideału. Ludmiła pana kocha, więc jesteście pan tym właśnie Waginem - carobójcą!

- Taak! - zaśmiał się Sergiusz. - Spostrzeżenie co do uczucia panny Ludmiły dla mnie jest również wnikliwie jak dowód mojej zbrodni! Winszuję pani niezmiernie udanego sylogizmu! No, a teraz życzę pani udanej wyprawy pod znakiem Amora, bo muszę już panią pożegnać.

Skinął na kelnerkę i zapłaciwszy za obiad, wstał.

- Szkoda, szkoda - szepnęła Marta - jesteśmy stworzeni dla siebie - dwaj drapieźce!

- Przeraza mnie pani - wybuchnął serdecznym śmiechem Sergiusz. - Przez cały czas myślałem, że pani gwałtownie dąży do tego, by stać się ofiarą drapieźcy - i w tym był nawet pewien urok bezpośredniości i szczerego, żywiołowego temperamentu. A tu raptem dowiaduję się, że pani uważa

się za drapieżną! Czymże, ściśle mówiąc, jest pani - wilczycą, panterą? To straszne i niebezpieczne kochanki!

- Orlica w połączeniu z tygrysią - rzuciła z wyzywającym śmiechem.

- Potwór mitologiczny! Bogowie, chrońcie mnie! - parsknął śmiechem i ukloniwszy się, poszedł do sieni.

Marta patrzyła w ślad za nim i nagle zagryzłszy wargi, syknęła jakieś przekleństwo.

Tak ją podrażnił i wprowadził w zły humor, że szybko wbiegła na trzecie piętro, aby uprzedzić Lubicza, że nie pójdzie dziś do Wiery.

- Co się stało, uwielbiana moja? - spytał mecenas, wciągając ją do pokoju i zamykając drzwi na klucz. Począł okrywać pocałunkami jej twarz, szyję i piersi, wprawnymi ruchami rozpinając żakiet i bluzkę.

- Co robisz, szalony? - broniła się. - Mama.

- Mama śpi po obiedzie - szeptał, pieszcząc jej obnażone ramię.

- Wariat kochany, ty, ty jedyny, najjedyńszy! – odpowiadała mu już nieprzytomnie, oplatając go ramionami i wpijając się w jego usta zimnymi wargami.

Wtem rozległo się łomotanie do drzwi i brzydki w tej chwili brzmiący głos pani Ostapowej:

- Otwierać! Natychmiast, bo w przeciwnym razie zawołam na służbę.

Nie było rady. Drzwi się niebawem otwały i generałowa wpadła do pokoju oszołomionego Gregoire'a. Był tak zmieszany, że zapomniał przygładzić mocno zwichrzone włosy i nie wyprostował krawatu. Marta spokojna, zapięta już starannie, siedziała na krzeselku i z obojętną miną przeglądała jakieś pismo. Bystre oczy właścicielki pensjonatu dojrzały jednak zmiętą poduszkę, zsunięty koc na łóżku adwokata i wyzierający spod materaca haftowany rąbek dessous koloru róż herbacianych.

Nawet bieliznę dobiera do koloru włosów i ciała - mignęła jej zazdrosna myśl. - Niegodziwa! Rozpustnica! Podła!

Teraz pani Ostapowa zaczęła komenderować po swojemu, czyniąc to zapewne energiczniej i bardziej stanowczo, niż kiedykolwiek umiał to robić świętej pamięci nieboszczyk generał.

- Marta, pójdiesz do swego pokoju, a zabierz to tam! - oczami wskazała na barwną szmatkę. - No, teraz marsz! A co do pana, panie Lubicz, to chyba nie będę miała sprzeciwu z pańskiej strony? Za godzinę pana już tu nie będzie. W przeciwnym razie zapowiadam, że jutro obudzi się pan w więzieniu. Jak wojna - to wojna! Stary lowelas, kanalia!

Pani Ostapowa zapomniała zupełnie o dobrych manierach i przyjęciach na dworze jego cesarskiej mości i wybuchnęła takimi wyzwiskami i obelgami, że gdyby ktoś, oprócz zupełnie zdruzgotanego Lubicza, mógł ją słyszeć w tej chwili i zobaczyć, zdumiałby się, ujrawszy pospolitą, rozwrzeszczaną kucharkę. Ten wybuch drogo jednak kosztował generałową. Zasnęła nagle i oparła się głową o framugę drzwi. Przerażony mecenas natychmiast pośpieszył jej z pomocą, jednak pani Ostapowa, zebrawszy resztki sił, odtrąciła ramię zdrajcy i wyrzuciwszy zbielełymi wargami - Precz, chwiejnym



krokiem, trzymając się ściany, schodzić poczęła ze schodów. Na ostatnim stopniu potknęła się i całym ciężarem ciała runęła na podłogę, uderzając głową o żelazną barierę poręczy. Z kuchni wybiegła służba i przeniosiła zemdloną generałową do jej pokoju.

Sergiusz Wagin nie podejrzewał nawet, że stał się przyczyną klęski dla całego domu Ostapowych i ludzi tak lub inaczej z nimi związanych. Nieraz tak się zdarza, że naturalny odruch jednego człowieka popycha ku zgubie kilku innych. Tak też stało się w tym wypadku. Wagin nie odpowiedział na nagły wybuch temperamentu panny Marty, która zraziła go swoim cynizmem, i to właśnie spowodowało nieobliczalne konsekwencje, których biegu nikt już zmienić nie mógł. Sam Wagin o przebiegu ich dowiedział się znacznie później, gdy po kilku wyjazdach z Szanchaju na krótko powracał do miasta i przypadkowo tylko spotykał dawnych przyjaciół i znajomych. Mógłby o tym zapewne wcześniej posłyszeć, gdyby odwiedzał domek pani Somowej, lecz nie robił tego umyślnie, nie chcąc podsycać niepokoju i zazdrości Miczurina i nawiązywać znowu tej dziwnej nici, która tak nagle przeciągnęła się pomiędzy jego światem wewnętrznym a Ludmiłą. Zresztą, gdyby nawet wiedział, jakie wypadki zaszły w pensjonacie Wołga, nigdy by nie podejrzewał o istnieniu jakiegokolwiek, najluźniejszego bodaj związku pomiędzy swoją ostatnią wizytą w willi na Bubbling Weil a katastrofą w rodzinie pani Ostapowej.

Wydarzyła się tam tymczasem prawdziwa katastrofa! Fani Ostapowa po kilku dniach ciężkiej choroby, spowodowanej upadkiem i rozbiciem sobie głowy, zaczęła po dawnemu rządzić Wołgą. O tym słyszał już coś Wagin, pracując ostatnie dni w redakcji Szun-Pao, gdy to musiał być instruktorem swego zastępcy - młodego Holendra, za trzykrotnie wyższe od pobieranego przez Sergiusza honorarium zaproszonego przez koncern pana Liao-Kaj-Fana. Obiła się nawet o jego uszy wiadomość, intrygująca koła emigranckie, że mecenas Lubicz wyprowadził się z pensjonatu generałowej i że od kilku dni panny Marty nikt nigdzie nie widział, chociaż zwykle pełno jej było na dancjach, koncertach przyjezdnych artystów, balach dobroczynnych, na korso, urządzanych w parku na Bundzie, i gardenparty w ogrodzie dawnego konsulatu rosyjskiego, nie mówiąc już o obiadach i zebraniach na Bubbling Weil, gdzie wszyscy podziwiali jej bujną, płomienną urodę i wyniosłe, dumne zachowanie niezdobytej wyżyny, jak ktoś dowcipnie i złośliwie przezwał czarnowłosą i czarnooką pannę Martę. Te dwie nowiny wywołały szereg domysłów, wiązano je nawet ze sobą w różnych kombinacjach możliwych i fantastycznych, lecz, jak się później okazało, nieodpowiadających rzeczywistości. Pani Ostapowa, mimo że z dawnym taktem i energią prowadziła swoje przedsiębiorstwo, coraz częściej zapadała na zdrowiu. Chwilami ogarniało ją straszliwe, przerażające zubożenie - był to zapewne skutek upadku albo też bardziej głęboka, intymna, dla wszystkich ukryta przyczyna. Zdruzgotało ją, być może, przekonanie, że ten, kto w tak cudowny i słodki sposób powołał ją na nowo do życia kobiety kochanej i uwielbianej, zdradził ją i porzucił dla przystojniejszej i co szczególnie ją bolało - dla młodszej. W chwili świadomości, że Lubicz uważa ją za starą, czuła, że życie uchodzi z niej jakimś niewidzialnymi porami, że dusza została złamana i że zgasła w niej wszelka chęć do życia. W innym znów czasie dostawała ataku szału, a wtedy służba drżała, chodziła na palcach, a nawet w sali jadalnej i w salonie z werandą, chociaż nic tam o stanie pani domu nie wiedziano, goście wpadali w ponure milczenie lub przyciszonymi głosami prowadzili niewesołe rozmowy. W takich chwilach generałowa, zupełnie już nie panując nad sobą, drapała sobie ręce i twarz, brutalnie wyrzucała z pokoju pokojówkę, gdy ta coś upuściła na ziemię, a pewnego razu zrobiła nawet gwałtowną burdę jednej z lokatorek, gdy zaś ta zaprotestowała, wczepiła się jej we włosy i poturbowawszy, wymówiła jej mieszkanie. Pokrzywdzona z płaczem wpadła do salonu, gdzie kilku panów grało w karty, i poskarżyła się na niedopuszczalne traktowanie lokatorów przez właścicielkę pensjonatu. Wybuchnął pierwszy w

Wołdze skandal wewnętrzny. Za lokatorką - starą panną, otrzymującą regularnie kilkanaście dolarów od brata, pracującego na kolei w Kalifornii, ujeli się inni mieszkańcy i stołownicy. W pensjonacie zwolniły się od razu trzy pokoje, a i publiczność, zbierająca się w jadłodajni, przerzedziła się znacznie, bo w tym czasie właśnie jakiś Ormianin z Rosji założył nowy bar, a przy nim kilka pokojików umeblowanych. Jak to zawsze bywa na początku, w barze dobrze karmiono, znacznie lepiej niż u pani Ostapowej, do lokatorów zaś odnoszono się z uprzedzającą grzecznością reklamową.

Poza ściany pokoiów generałowej i Marty nie wyszła jednak największa tajemnica domu. Pani Ostapowa trzymała córkę pod kluczem. Dlaczego to robiła? Obawiała się, że Marta pójdzie za niewiernym Lubiczem? Miała jeszcze, może, nadzieję, że mecenas powróci i będzie na kolanach błagał generałową o przebaczenie? Nie wiadomo, co powodowało obrażoną w najlepszych swych uczuciach i zawiedzioną w nadziejach panią Ostapową. Fakt faktem, że postąpiła po generalsku, niebawem stanowczo, zamknąwszy córkę w jej pokoju i oddawszy nadzór nad nią starej rezydentce, pomagającej pani domu w gospodarstwie i we wszystko prawie wtajemniczonej. Pewnego razu podczas kolejnego ataku szału pani Ostapowej, owa dozorczyńca - niejaka pani Wichlajewa - przyniosła Marcie list od matki. Generałowa pisała, że sporządziła już testament, którym cały kapitał zapisuje na rzecz cerkwi prawosławnej w Szanchaju, córce zaś i oddanej sobie Zenajdzie Wichlajewej pozostawia po swoim zgonie Wołgę. W dopisku stało, że spodziewa się już rychłej śmierci i przysięga, że zanim na zawsze nie zamknie oczu, córki spod klucza nie wypuści! Panna Marta zrozumiała, że matka wpadła w obłąd, a nie dowierając jej zapowiedzi rychłego końca żywota, postanowiła działać. Tego samego dnia jeszcze miała długą rozmowę z Wichlajewą i na piśmie ustąpiwszy jej część swego spadku po matce, uciekła z domu. Siedząc w zamknięciu, miała czas obmyśleć wszystko dokładnie. Z Bubbling Weil przyjechała wprost do Mile Wiery i opowiedziała jej o wszystkim.

- Wydaje mi się - mówiła do przyjaciółki - że moja matka skończy źle, i to już niedługo. Przyjm mnie do spółki w twoim przedsiębiorstwie, Wiero! Wejść do niego z tym kapitalikiem, który otrzymam po sprzedaniu swojej części Wołgi, no i z dobrze się rentującą, rozreklamowaną cnotliwą pięknnością demi-vierge'y- Pamiętasz, jakie kokosy robiła na tym ta niewinna Angielka - miss Maud?

Wiera, znawczyni swego fachu i rynku, należycie oceniała możliwe korzyści, płynące z podobnej spółki, i po chwili już obie przyjaciółki gorącymi, zbyt nawet gorącymi pocałunkami i objęciami przypieczętowały umowę. Istotnie - w dwa dni potem na mosiężnej tabliczce tajemniczego gniazdzka Mile Wiery zostało dodane: et miss Marth, bo to brzmiało dźwięczniej i bardziej z angielska niż zwykła Marta. Wkrótce potem wybuchnął drugi skandal w Wołdze, gdy po kątach publiczność uśmiechała się dwuznacznie i z obleśnymi minami pytała pani generałowej o cudną pannę Martę, do której wszyscy się stęsknili.

- Moja córka zachorowała, wysłałam ją w góry - oschle i krótko przerywała dalsze pytania pani Ostapowa.

- Hm, hm - mrużąc oczy, mruczał jakiś młodzieniec do sąsiada przy stole. - Te góry koło Creeku wyjdą na pewno na zdrowie pannie Marcie. Na własne oczy widziałem ją z tą rudą Wierą, jadącą autem z Amerykanami do pagody za miastem. Fiu, fiu, fiu! Jak była ubrana! Kokota najwyższej rangi.

Wiedziała też o tym i pani Ostapowa. Zrobiła nawet wysiłek, prawie heroiczny przy jej pogarszającym się z każdym dniem stanie zdrowia. Zawlokła się na cichą uliczkę Ku-Fu-Long i zadzwoniła do domu, gdzie na drzwiach niby wyrzut sumienia, niby godło hańby arogancko połyskiwała tabliczka: Mile Vera

et miss Marth. Skierował ją tam anonimowy list. Tyle zgromadziło się na świecie nikczemności najpodlejszej, że bryznęła ona i na umierającą generałową niby to błoto spod kół samochodu. Panią Ostapową wpuszczono do saloniku z wiszącymi na ścianach portretami znanych w Szanchaju pięknych i najdroższych kobiet. Wiera wyszła do niej w jedwabnym kimono, trochę jeszcze nietrzeźwa, bo w jej gniazdku do białego dnia tańczyli tej nocy, grali w karty, pili i łądaczli się przybyli z Tientsinu oficerowie marynarki angielskiej i francuskiej. Generałowa bez żadnego powitania i dyplomatycznego wstępu jazgotliwym głosem zwymyślała od brudnych rajfurek i miała zamiar popsuć młde Wierze jej misterną, zabezpieczoną cieniutką siateczką fryzurę, lecz ta, dobrze znając generałową (mieszkała przecież u niej przez całe trzy lata), nie czekała na rękoczynny, tylko zręcznie wykręciwszy jej ramię systemem jiu-jitsu, bez ceremonii wypchnęła z pokoju. Pani generałowa po raz pierwszy od śmierci męża zapłakała, wydając cienki, niezwykle żałosny jęk. Bez słowa już, przybita do ziemi i pokorna, wyszła na ulicę, gdzie, stąpając kilka kroków, zemdląła. Wichlajewa z trudem odnalazła ją tego samego dnia w szpitalu miejskim, tuż na Creeku, i przewiozła do domu. Wezwany lekarz kiwał tylko głową i mruzczał:

- Nic nie rozumiem. Chyba jakiś wstrząs nerwowy, Waleriana. Trochę ekstraktu koki. Stan nieokreślony. Należy czekać i obserwować.

Lekarz - stary Niemiec - Fryderyk Szulc mógł dawać takie rady, lecz życie nie chciało czekać na panią generałową. W tym samym czasie spadł na nią jeszcze jeden, tym razem - ostatni cios. Gdy jeszcze z trudem mogła chodzić, z wielkim wysiłkiem doglądając porządków w kuchni, pokojach i salonach na parterze, nagle otrzymała wezwanie do wydziału śledczego przy British Jail. Pojechała do więzienia angielskiego razem z Zenajdą Wichlajewą, gdyż sama bała się wyjść z domu. Przez całą drogę myślała o Grzegorzcu Lubiczu. Tak przydałby się jej teraz, zastąpiłby ją w śledztwie i obronił, jeżeli coś jej grozi, ale co by mogło grozić? Może zaskarżyła ją poturbowana stara pannica - ta idiotka? Dlaczegoż jednak miałby się mieszać w to sędzia angielski? Na chwilę zdjął ją strach, że może coś nabroić ta rajfurka Wierka, u której mieszka jej, jej córka?

Mój Boże, na co mi takie życie? - myślała, zaciskając zimne palce i wzdrygając się cała, bo silny tego dnia dął wiatr od oceanu. Niebo pożółkło, jak to zawsze bywa, gdy na Pacyfiku zbiera się na tajfun.

Mr John Brown - sędzia jego królewskiej i cesarskiej mości — przyjął panią Ostapową z zimną i sztywną uprzejmością i dopiero przy zapisywaniu personalii, postyszawszy, że stojąca przed nim blada, drżąca od wewnętrznego zimna lady jest wdową po generale, kazał bojowi podać jej krzesło. Sędzia ją wypytywał panią Ostapową o byłego rosyjskiego adwokata Lubicza, o jego życie w Włodze, o moralność i o ludzi, z którymi podtrzymywał stosunki. Generałowa zeznawała rzeczowo i ściśle, wyrażając jak najlepszą opinię o człowieku, którego w tajemnicy przed wszystkimi tak niedawno jeszcze nazywała swoim Gregoire'em.

- Inteligentny, prawdziwy dżentelmen, wykształcony, uczciwy, sumienny, ascetycznie wstrzemięźliwy, moralny, obracał się w najlepszym towarzystwie - padały przekonujące, chwilami nawet gorące słowa.

- To dziwne, to bardzo dziwne! - niedowierzająco wzruszał ramionami mr Brown. - Policja przedstawiła mi obciążające pana Lubicza dowody z okresu, gdy mieszkał jeszcze u pani. Na przykład zagadkowe przedostanie się jego do opieczętowanego pokoju fałszerza banknotów, sprawy z podstawionymi świadkami.

Pani Ostapowej wydało się, że w piersi jej gromadzić się poczęły zwały lodu. Dygotała z zimna i z trudem łąpała powietrze bladymi ustami.

- Czy pan sędzia oskarża o coś pana Lubicza? - rzuciła wreszcie pytanie, słysząc, jak szcękają jej zęby. Z przerażeniem niby w straszną zjawę wpatrywała się w mętne, zimne oczy sędziego.

Ten uśmiechnął się blado i odpowiedział:

- Tak jest! Lubicz został uwięziony za sfałszowanie testamentu obywatela brytyjskiego!

Odpowiedziawszy na kilka jeszcze pytań, generałowa wyszła z gabinetu sędziego i z pomocą swojej towarzyszki wsiadła do dorożki. Jechała, nie odzywając się ani słowem. W jej duszy, która nagle się załamała pod ciężarem spadających na nią ciosów, wyła rozpacz: Wszystko dokoła mnie rozpada się, ginie. Nicość, nicość. Jestem strasznie samotna, strasznie opuszczona!

Z podsiniących jej oczu popłynęły ciurkiem łzy. Drugi to i ostatni raz zapłakała generałowa od chwili, gdy na cmentarzu prawosławnym przed laty opuszczono do dołu trumnę ze zwłokami męża, którego też zabiły troski. Pani Ostapowa, położywszy się do łóżka, nie podniosła się już więcej. Czując, że zaczyna się konanie, posłała Wichlajewą po córkę. Nie wiadomo, czy Marta odmówiła pogodzenia się z umierającą matką, czy też przebiegła powiernica, obawiając się zmiany ostatniej woli dobrodziejki, nie powiadomiła Marty o życzeniu generałowej. Majestatyczna, wyniosła i energiczna pani Ostapowa - relikwiarz dobrych, starych czasów, śmieszny już, niepotrzebny anachronizm, na zawsze zamknęła oczy, nie ujrawszy już córki. W Wołdze rozgospodarowała się natychmiast pani Zenajda Wichlajewa, przezwana starą wydrą. Mlle Vera, po załatwieniu przez Martę formalności spadkowych, wynajęła mały pałacyk na wybrzeżu Creeku i zaczęła robić szaloną konkurencję innym zakładom tego rodzaju. Zawdzięczała to wyłącznie Marcie. Ona to - niewinna Messalina, jak nazywała ją złota młodzież cudzoziemskiego Szanchaju, panowała tam niepodzielnie i władczo. Dla niej rujnowali się bankierzy, magnaci eksportowi, kompradorowie, prezesi banków, do niej - zawsze niedostępnej i niezdobytej wyżyny - wdychali młodzi Anglicy i Amerykanie, marząc o niej beznadziejnie. Chodziły pogłoski o jej perwersyjnym wyuzdaniu, okrucieństwie i chciwości, ale nigdy nie wymawiano nazwiska tego, kto ją zdobył jako kobietę i kochankę. Takiego zdobywcy istotnie nie było na bruku wielkiej, zbrodniczej Babilonii. Miss Marth — fizycznie dziewicza, a do rdzenia duszy rozpustna i wyrafinowana - wyzyskiwała najbogatszych mężczyzn złudą uległości przed ich błaganiami, miłością i żądzą, lecz pozostawała niezmiennie niewinną Messaliną, umiejącą szaleć i doprowadzać do szału, coraz to nowe ofiary wciągając w swoje sieci.

- Nie przeholuj tylko, najdroższa! - pewnego razu ostrzegała rozkochana w niej Wiera, okrywając jej nogi obłudnymi pocałunkami, gdy Marta, wyszedłszy z wanny, rozcierała sobie wspaniałe smagłe ciało szorstkim ręcznikiem. - Mężczyźni mają granice cierpliwości.

Marta śmiała się cicho, poddając się szalonym pieszczotom przyjaciółki i lubieżnie się prężąc.

Pewnego razu w dziennikach szanchajskich pojawiły się sprawozdania z zakończonego procesu rosyjskiego adwokata Lubicza w British Court. Z toku śledztwa wynikało, że przedsiębiorczy prawnik nie tylko sfałszował testament niejakiego Springfildsa, naczelnego dyrektora fabryk tkackich, ale brał również udział w jak najszybszym zrealizowaniu zapisu. W tym celu, jak dowiodła sekcja zwłok Anglika, autorowi testamentu dana została jakaś nieokreślona ściśle trucizna. Wyrok sądu brytyjskiego dla bezbronnego obywatela bez ojczyzny wypadł wyjątkowo surowo. Więzienie

dożywotnie, na które został skazany wytworny, elokwentny grand amant, obrane zostało gdzieś w dalekiej kolonii. Na tym urwały się wszelkie wiadomości o Grzegorz Lubiczu, bo chyba nie sądzonym mu już było powrócić z więzienia na jakiejś tam z trudem na mapie odnajdywanej wyspie. Pozostał po nim posmak skandalu - tym razem zdawało się ostatniego, związanego z willą na Bubbling Weil, gdzie jeszcze tak niedawno z ożywieniem rozprawiano o rychłym upadku bolszewizmu, o groźnych przepowiedniach natchnionego autora Apokalipsy i o przyjęciach na dworze cara, gdzie, jak można było domyślać się z niedbale rzucanych szczegółików, Maria Piotrowna Ostapowa miała odgrywać niepoślednią rolę. Nazwisko Ostapowych znalazło się niebawem niemal na jednym szczeblu z nazwiskiem dynastii Romanowów, gdyż oba znikły w nurcie zapomnienia. Przeżytki, historyczne detale, prawie legenda! Mogłaby o nim przypomnieć jedna tylko Marta - grzeszna, zuchwała latorośl rodziny Ostapowów, lecz i o niej zapomniano wkrótce. Nikt z nią nie miał żadnej styczności. Zresztą, gdy przypadkowo opowiadano sobie plotki z osobliwego światka na Suczou Creeku, mówiono nie o Marcie Ostapowej, lecz tylko o miss Marth, bardzo zresztą znanej i popularnej w najwyższych, a więc mało dostępnym kołach.

Epilogu skandalu z Lubiczem generałowa nie doczekała się już, na szczęście. Nie zraniłaby jej śmiertelnie sama treść zbrodni adwokata, ale za to zgnębiłaby ją ostatecznie myśl, że ona - szanowana i wynoszona na szczyt dobrego tonu, prawdziwa dama prawdziwego wielkiego świata (biedaczka z biegiem czasu sama w to święcie uwierzyła), przedstawicielka świetności Rosji carskiej – omal że nie rzuciła się w objęcia człowieka, którego poddano chłóście, po ogoleniu wspaniałej, artystycznej czupryny przebrano w pasiaste, aresztanckie portki i strącono na dno steameru jailu, wiozącego go na dozgonną poniewierkę. O wypadku z Lubiczem Wagin dowiedział się z gazet w Nankingu, ale raz tylko widząc tego rodaka, nie przypominał sobie ani jego wyglądu, ani nawet tego, że o nim właśnie rozmawiał z Martą wtedy, gdy to o niczym nie wiedząc, rzucił się w ruinę katastrofy w willi na Bubbling Weil.

## II. ŻYWE SERCA NA GIEŁDZIE ŚMIERCI

Gdy, pożegnawszy na dobre kolegów redakcyjnych i zaniepokojonego prezesa Szun-Pao, przekonanego, że jego współpracownik przerzuca się do konkurencyjnej grupy pism, Wagin po raz ostatni rzucił spojrzenie na gmach koncernu, grymas cierpienia przemknął po jego dziwnie surowej w tej chwili twarzy. Myśl jego biegła w przyszłość, usiłując zajrzeć do jej nieznanych tajników. Poza tą niepewnością co do swego losu oczekiwała go niezmiernie przykra rozmowa. Z chodnika skręcił w bramę i na trzecim podwórzu szukał wszędzie Miczurina. Znalazł go wreszcie w składzie, gdzie z ciężarowych samochodów robotnicy staczali ryzy i rulony papieru. Ujrawszy go, lejtenant przeraził się nagle.

- Co się stało? - zapytał, chwytając go za ramię.

- Nic się nie stało! - odparł Sergiusz, zdziwiony zachowaniem Miczurina. - Przyszedłem pożegnać was, bo już nie jestem współpracownikiem Szun-Pao. Muszę też zapytać was, czy trwacie w zamiarze odziedziczenia po mnie pokoju u pani Somowej? Dziś muszę powiedzieć jej o tym, bo jutro przenoszę się już do miasta.

Miczurin patrzył na niego przerażonym wzrokiem, jak gdyby to, co mówił mu przyjaciel, było dlań niespodzianką.

- Więc istotnie opuszczacie domek pani Somowej? - szepnął.

- Przecież mówiłem wam już o tym - zauważył Wagin.

Lejtenant nagle rozpromienił się i ogarnął go ramieniem.

- Chwała Bogu! - zawołał, ale natychmiast pomiarkował się, że użył niestosownego wyrażenia, więc namarszczył brwi i powiedział oschłym tonem: - Tak, wynajmę ten wasz pokój!

- To dobrze! - kiwnął głową Wagin. - A zatem będę mógł zapewnić panią Somową, że nie traci lokatora. O to właśnie chciałem was spytać. Zobaczymy się wieczorem. Przyjdźcie dziś na herbatę do mnie - na pożegnalną ucztę!

- Przyjdę! - ucieszył się znowu lejtenant i z siłą potrząsnął dłoń przyjaciela.

Po chwili Wagin powolnym krokiem szedł przez miasto. Nagle przyszła mu do głowy dziwaczna na pozór myśl, że Miczurin o wiele jest szczęśliwszy od niego.

Znalazł drab dla siebie przystań życiową! Pracuje, nie ma zwątpień, wahań i wygórowanych ambicji, jest pewien powodzenia i trwałości swego stanowiska. Zerwał z dawnym życiem w zajeździe i ze wszystkim, co z tym było związane, wyrzucił to z pamięci tak, jak wyrzuca się z kieszeni wykorzystany bilet tramwajowy, ma swoje szczęście, kochając się w Ludmile, i zapewne nie wątpi, że cel swych marzeń osiągnie i poślubi ją. Słowem - zbudował sobie malutki, ciążniutki domeczek, ale teraz jest już spokojny i tylko ozdabia go, gdzieś tam coś po trochu zmienia, porobi z czasem jakieś facjatki i przybudówki, rozbija ogródeczek, kwiatki posadzi i będzie się czuł jeszcze szczęśliwszym i jeszcze bardziej zadowolonym. Tymczasem - ja? Coś mnie nieustannie gnębi i nie pozwala radości i marzeniom zrzucić z siebie tej jakiejś twardej, lodowej skorupy. Jestem stale jak gdyby głodny, jak gdyby do pełni życia brakowało mi niezbędnej części organizmu... Życie miota mną, ciągnie gdzieś, czegoś żąda ode mnie, a ja nie wiem, dlaczego muszę spełniać te żądania. Nie jestem pewien jutra, nie widzę siebie, jak Miczurin, we własnym domku z ogródkiem. Dlaczego tak się dzieje, że jednych życie wyrzuca na brzeg, a drugich - unosi wciąż, pędzi dalej i dalej? Skąd to wypływa? Z życia czy z nas samych? Zdaje mi się, że sam najwięcej jestem winien. Gdybym nie znał języków i nie umiał pisać, nie trafiłbym do Szun- -Pao; gdybym nie trafił tam - Wali-chan czy ktoś inny z jego przyjaciół nie przeczytałby moich artykułów i nie zwróciłby na mnie uwagi, a wtedy nie byłbym zaangażowany przez Ti-Fong-Taja, ach, taki to nieskończony, zawity łańcuch przyczyn i skutków i nie przewiduję nawet, gdzie i jak się on skończy. Spokojnie czy też urwie się nagle jak życie tego szpiega, co to mnie przydybał niegdyś w Bouveret i dał nura do Lemanu?

Wspomnienie to podniosło z dna jego duszy gorzycz.

Cóż to! - rozważał. - Może to działa jakieś tajemnicze prawo Karmy czy może beznamiętna Nemezys nałożyła na mnie swoją dłoń? Czy nie jest to kara wymierzona mi przez nieznaną kosmiczną, nadprzyrodzoną sprawiedliwość za to, że stając w obronie życia, zgładziłem kogoś potrzebnego ludzkości lub choćby dla idealnej równowagi sił w przyrodzie? Może nie miałem prawa zabić młodego Chackelesa za to jedynie, iż zabrał mi kobietę, którą kochałem? Nie! Jeżeli jest to kara za

nieświadome moje zbrodnie, to raczej noszę na sobie ich brzemień, za tę zabłądzoną ciężarną żonę smolarza i za piegowatą dziewczuchę z szynku, której strzelił w głowę stary Abram, wściekły, że mu się wymknął. Cóż robić? Muszę dźwigać na sobie to przekleństwo. Ale nie, nie!

Myśl Wagina burzyć się poczęła i buntować.

Jak to?! - wołał natrętny głos wewnętrzny. - Czy twoja jest w tym wina, że ludzkość dotoczyła się do wojny światowej, że wynikała z niej najpotworniejsza na ziemi rewolucja. Cóż? Miałeś kłaść głowę pod topór, jak bezmyślne zwierzę, przeznaczone na ubój? Prawo żywego stworzenia zezwala mu na obronę. Broniłeś się i to było twoim prawem! Jeżeli natura, Karma czy, jak chcesz, nazwij, żąda ofiar, a jednocześnie pragnie też ochronić pewne osobniki od zagłady, niech tedy odbierze ofiarom wolną wolę, pęd do życia i strach przed śmiercią. Niech sama przez się i z pomocą kosmosu wytępi jednych i pozostawi resztę. Po co dzieło zagłady oddaje w ręce ludzi? Ty jesteś człowiekiem i postępowałeś po ludzku - broniłeś się, bo wszystko wokół wrogie ci było i śmiercią groziło. Nie miałeś czasu i sposobności rozróżnić pospolitego mordercy od człowieka o anielskiej, świetlanej duszy. I ten, i tamten byli dla ciebie wówczas wrogami - skoro zawadzali ci. I tego, i tamtego miałeś prawo zmusić sobie do pomocy i do obrony życia. Świat by się zmienił w dom obłąkanych, gdyby każdy żołnierz czuł wyrzuty sumienia, że kogoś zabił w jakiejś tam bitwie! Śmieszne to i nie wytrzymuje krytyki.

Więc co? więc co? - doszukiwała się prawdy nie wiadomo czym wzburzona myśl. - Uważasz, że wszystko idzie normalną drogą? Masz prawo zabijać i innych na morderstwo i śmierć posyłać? Jakim kierowałeś się kodeksem, strzelając do kobiety, która była dla ciebie wszystkim na ziemi? Nie kłam tylko i powiedz, czyż nie tak myślałeś i nie tak czułeś?

Wagin zmarszczył czoło i zmrużył oczy. Uświadomił sobie w tej chwili, że dawno nienawiedzające go myśli budziły się nagle, niby uśpione w zimie poczwarki. Nie nurtowały go już i nie dręczyły od owego wieczora, gdy załatwił porachunki z towarzyszem Abramem. Dlaczego więc odżyty teraz, gdy powracał do domu, by powiedzieć pani Somowej i Ludmile, że wyprowadza się od nich? Ach, Ludmiła! Dziwna dziewczyna, posiadająca cudowną tajemnicę wyczuwania i zrozumienia ludzi, niepotrzebująca słów ani wyznań, aby wszystko pojąć i przeniknąć!

Znowu przyszło mu na myśl, jak bardzo niestosowną parę stanowiliby - ona i Miczurin. Strzepnął palcami z jakąś niecierpliwością i starając się o niczym już nie myśleć, przyspieszył kroku. Na ganeczku stała Ludmiła, wpatrzona w odcinające się na zachodzie sylwetki dzwonnicy katedry. Nie spostrzegła go i nie słyszała nawet odgłosów jego kroków na żwirze. Miała w tej chwili dobrze mu znane nieobecne oczy, zatopione w rozczwienione, niby żywą krwią nabrzmiałe niebo. Skądś na północy, może nad Wusungiem, podnosił się słup fioletowego dymu - podobny do wspaniałego pióropuszu.

Drgnęła, gdy Sergiusz stanął przed nią. Spojrzawszy na niego, przycisnęła ręce do piersi i wydała cichy jęk.

- Co pani jest? - zapytał zaniepokojony Wagin.

- Nie, nie, nie! - szepnęła i prawie wyrwawszy dłoń z jego ręki, szybkim krokiem weszła do sieni.

Smutny był ten ostatni wieczór, gdy pani Somowa i Ludmiła dowiedziały się, że Sergiusz opuszcza je. Roześmiany, nieumiejący ukryć swej radości Miczurin wnosił do tego nastroju rażący, chwilami przykry i nieznośny rozdźwięk. Czuł się tak szczęśliwym, że nie był w stanie spostrzec ogólnego

przygnębia. Oprócz niego wszyscy troje rozumieli, że z odjazdem Wagina zamyka się jakiś okres ich życia, ale nikt z nich nie mógł przewidzieć, co przyniesie im następny - nieznan i tu w tym po stokroć przeklętym mieście zawsze pełen zagadek.

Pożegnanie Sergiusza z paniami wypadło jakoś dziwnie. Czuło się napięcie, ukrytą potrzebę wypowiedzenia czegoś bardzo ważnego i istotnego, tymczasem ludzie ci utracili już zdolność do wynurzeń i słów, które mogłyby być tragiczną prawdą, a jednocześnie maską, ukrywającą pustkę serca i oziębłość duszy. Powiedzieli więc sobie tylko kilka zdawkowych zdań. Wagin, żegnając się z paniami, miał pofałdowane czoło, sztywną postać, zwartą w jeden zwał mięśni, i mocno zaciśnięte usta. Nie patrzył na nikogo i tylko, dotknąwszy ręki Ludmiły, poczuł, że drgnęła w jego dłoni i wysunęła się bezwładnie. Nastrój był ciężki i krępujący. Przydałby się w tej chwili Miczurin, lecz lejtenant był już w swoim biurze. Na szczęście, przybiegł Jun-cho-san. Dowiedziawszy się, że Wagin wyjeżdża, przyszedł pożegnać go. Gadał coś, bez sensu mieszając chińskie i angielskie słowa i co chwila powtarzając: A very serious, ever gentleman, co miało oznaczać najwyższy komplement. Wreszcie Wagin, załadowawszy na dorożkę swoje walizki i worek z pościelą, odjechał. Wiózł ze sobą gorycz w sercu i coś jeszcze - ni to niezaspokojony, dotkliwy głód, ni to niezadowolenie, że czegoś koniecznego nie zrobił i że już nie będzie mógł odrobić tego i naprawić. Wzdrygał się przed analizą swego nastroju, pocieszając się tym, że bądź co bądź w małym domku przy Fu-Tien-Koo pozostawił oddanych sobie przyjaciół i jednemu z nich odejściem swoim przysporzył spokoju i szczęścia. Miał w tej chwili na myśli Miczurina, lecz zaledwie przypomniał go sobie, skrzywił się i szepnął:

- Nieznośny, głupio rozradowany był ten śmieszny drab!

Zasmuciła go poruszająca się na dnie serca niechęć do lejtenantów,  
więc skarcił siebie za to surowo.

- Nikczemne, niewdzięczne zwierzę, zapomniałeś, że on uratował cię od głodu i otworzył przed tobą drogę do nowego życia!

Wagin poczuł ostry wyrzut sumienia. Ucieszył się, uświadomiwszy to sobie, i już z łatwością otrząsnął się z przytłaczającego go przygnębia. Wkrótce już urządzał się w dużym pokoju tuż nad biurem kompradora. Okna wychodziły na obszerne, wyasfaltowane podwórze z trawnikiem i klombami wzdłuż bocznych chodników. Można stąd było obserwować życie i pracę w warsztatach jubilerskich, mieszczących się w oficynach głównego gmachu. Po obiedzie wszedł do biura i poznał się z Nun-Kou.

Wagin rozpoczął nowy okres życia, może tylko jeden z jego etapów. W każdym razie i tu, w jasnym, przestronnym lokalu biura kompradora czuł się chwilowym gościem. Ta świadomość, że wciąż jest przechodniem - świadomość, która nie opuszczała go od chwili, gdy tam - w Paryżu, oddawszy dwa strzały do burzycielki swego trwałego, jak mu się wydawało, życia, wyszedł spokojnie na rue des Mathurins i przez nikogo nieścigany zmieszał się z tłumem ulicznym. Tak, od tego dnia wszędzie i zawsze był przechodniem i przeczuwał jeszcze daleką, ginącą gdzieś za horyzontem drogę. Dręczyła go myśl, że nie widzi jej końca, nie zna i co było najboleśniej - nie jest zdolny wytknąć sobie innego celu poza zwierzęcą, nieustępliwą trwogą o fizyczny swój byt. Chwilami zaczynał rozumieć tych, którzy bez walki i sprzeciwu kładli głowę pod topór kata. Był to znużenie, wyczerpanie nerwów? Nie! Raczej wyraźnie odczuwany wstręt do obłądnego chaosu, w którym on błąkał się bez określonej orbity, jak gdyby bolid, co wyzbył się siły ciężenia i, gdyby nie potężny, niezwalczony pęd do



zachowania życia, zginąłby zapewne od dawna. Uratował go w nieznanym dotychczas celu wszechsilny instynkt życia, zastępując mu, a może zawierając w sobie wszystko, co człowiek klasyfikuje i wyodrębnia pod różnymi nazwami - rozumu, woli, pociągu, etyki, skłonności. Zachował życie, lecz ani razu jeszcze nie czuł się szczęśliwym. Miał chwile dumy, zadowolenia, bujnej nieraz radości, lecz wszystkie te uczucia wypływały wyłącznie ze zwierzęcego instynktu życia. Gdy zaczynał mierzyć je i ważyć na miarę ludzką, według kanonów logicznych i szablonów moralnych, czuł niesmak, wyrzuty sumienia, a nawet pogardę dla siebie. Zupełnie jak przechodzień - dla wszystkich obcy i do nikogo nieprzywiązany. Dopóki taki przechodzień dąży gdzieś z uporem, o niczym poza samym procesem wędrówki nie myśląc, dopóty może zachować spokój, równowagę i podświadome zadowolenie, lecz biada mu, jeżeli zastanowi się poważnie nad tym, co pozostało za nim - tam, gdzie wije się nic jego śladów! Tu nie odwdzieczył się dostatecznie, tam skrzywdził i sponiewierał, w innym miejscu zawiódł czyjeś nadzieje, za ciepło serca zapłacił chłodem słów bez treści, oziębł i podeptał nagły wybuch szczerości milczeniem obojętnej i jałowej duszy. O, wtedy ciężkie napadają zgryzoty i wstyd, i wyrzuty ogniste, i łzy, które nic już zagasić nie mogą i nikogo przebłągać! Takim przechodniem czuł się Wagin, gdy napadała go potrzeba rachunku sumienia i rozmyślań o swoim życiu. Zdziwiło go i zaniepokoiło, że potrzebę tego oglądania samego siebie wyczuwał teraz coraz częściej, i to w tym nowym okresie, który zapowiadał się tak świetnie dla niego. Cóż powodowało te męczące i tak bardzo niepotrzebne pozornie nastroje? Wagin zadał sobie pewnego razu to pytanie, stojąc przy oknie i patrząc na pochylone postacie snycerzy i jubilerów chińskich z przeciwka. Zazdrościł im z całej duszy. Szczęśliwcy ci mieli własny świat i mogli go ogarnąć od kresu do kresu. Widzieli przed sobą osiągalny i dostępny cel - artystyczne wykonanie produkowanych przedmiotów i dobrobyt. Dwa światy ściśle ze sobą związane. Wzloty ducha i sprawiedliwe wymogi ciała. Istotnie - w tych to granicach zamykało się życie człowiecze. Jakżeż to wszystko układało się Waginowi? Co do potrzeb ciała - mógł już być o to spokojny. Będzie odżywiane, ubierane, pielęgnowane i wypoczęte. Inaczej w pewnych chwilach, gorzej niż przedtem czuł się duch, Wciąż się jeszcze miotał beznadziejnie lub obezwładniony siłą woli - wpadał w stan bierności. Dla ducha Wagin stanowczo nie miał jeszcze nic. Dawniej - zmuszony walczyć rozpaczliwie o byt codzienny - duch jego, choć jednostronnie, lecz intensywnie wysiłał się na samą walkę, a teraz został pozbawiony nawet tego bodźca i pożywki. Stan ten pogarszały jeszcze inne okoliczności. Zakończywszy rozmowy z Wali-chanem i Ti-Fong-Ta- jem, Wagin usiłował przekonać siebie (zdawało mu się nawet, iż osiągnął to), że może z całym spokojem oddać się współpracy z tymi ludźmi. Cóż mogło go od tego wstrzymać? Był obcy ich dążeniom i miał moralne prawo wyciągnąć materialne korzyści z pomyślanej dla siebie sytuacji. Pod tym względem nie mógł sobie uczynić żadnych wyrzutów. A jednak coś, niby stado czarnych, bezszmerynych myszy, tajemniczych w swej niemej chyżości, niepokoiło go coraz bardziej. Długo łamał sobie głowę nad przyczyną tej niejasnej trwogi i męczącego wahania. Ustalił wreszcie, że przyczyna tych nastrojów leżała w zrozumieniu pewnych prawd, przedtem uchodzących jego uwadze. Przeglądając wraz ze starym, wysuszonym jak mumia, Nun-Kou korespondencję kompradora, zupełnie niespodziewanie pogrążył się w istne bagno. Stało się ono wstrętnym, cuchnącym trzęsawiskiem, gdy w osobnym pokoju obok sali biura począł przyjmować interesantów. Dziwni to byli i straszni ludzie! Wagin dopiero wtedy zrozumiał paradoksalne, zda się, określenie - człowiek-rekin. Przed jego oczami jeden po drugim defilowały najprawdziwsze rekiny! Nawet ich ruchy, niby pewne siebie i powolne, zdradzały ukrytą chyżość i zdolność do napadu lub ucieczki drapieżców głębin morskich. A te paszcze potworne do ludzkich powierzchownie tylko podobne! Brakowało im tylko kilku rzędów zakrzywionych zębów. Wąskie, blade, zimne twarze Anglików, bezczelne, starannie wygolone amerykańskie oblicza i czerwone, ociekające potem, wyzute z resztek człowieczeństwa niemieckie

fizjonomie należały do jednego i tego samego typu międzynarodowych maklerów śmierci. W końcu Wagin nie mógł już odróżnić jednej twarzy od drugiej. Widział przed sobą złe, bezbarwne, chciwe oczy bez źrenic. Jakieś guziki z metalu, który stracił połysk! - znalazł dla nich porównanie Sergiusz. Drgające w drapieźnym uśmiechu, zawsze oślinione wargi, ciskały astronomiczne liczby i referowały mu straszne w nagiej prawdzie projekty, z których każdy w uczciwym społeczeństwie musiałby zaprowadzić na galery lub co najmniej do tego więzienia, gdzie miał do ostatniej iskierki wypalić pochodnię życia nieszczęśliwy w miłości i przedsięwzięciach adwokat - Lubicz, le beau Gregoire z Bubbling Weil.

- Sto tysięcy karabinów i dziesięć milionów naboju - syczał tajemniczy Anglik, dostawca broni wyrobu najlepszych fabryk Wielkiej Brytanii.

- Pięć tysięcy kulomiotów i dwadzieścia milionów naboju - ćmiąc cygaro, rąbał drewnianym głosem amerykański rekin.

- Samoloty, działa, karabiny, pociski! - sapiąc, rzucał opasy Niemiec. - Za zaliczkę dziesięciu procent należności zmienimy dla was fabrykę perfum i leków na laboratoria gazów trujących. Fabryki zabawek dla dzieci zaczną dostarczać wam naboju i zapalników! Tylko za dziesięć procent!

Japończycy przynosili ukryte w futerałach od saksofonów części swoich karabinów Arisaka i modele pocisków armatnich, pokornie i służalczo wciągając powietrze, z którym razem wchłaniali słowa Wagina. A oczy i wargi te same - jednakże u wszystkich - chciwe i drapieżne. Standard! Zdawałoby się, że w głowach tych handlarzy narzędziami śmierci nie powstała nigdy myśl o zbrodni, której służą. Padały obietnice szybkich i gwarantowanych dostaw, szubrawe plany oszukiwania władz celnych i konsularnych, obliczenia wysokości łapówek i podstępne, podle uniżone kuszenie Wagina procentami od ściśle wypłacanych im sum w ustalonych terminach.

Sergiusz wkrótce wiedział, że gdyby był rozporządzał nieograniczonymi środkami pieniężnymi, potrafiłby uzbroić kilkumilionową armię. Znał przecież dokładnie samo Czapci. Wystarczyłoby puścić w obieg wieść, że poszukuje jak najwięcej mięsa armatniego i że za potrzebną mu w pewnej chwili śmierć ochotnika obiecuje mu aż do chwili zgonu wydawać codzienną porcję ryżu, trochę mięsa i ryb. Z samego Szanchaju miałby milion żołnierzy! A ileż by dały całe Chiny z ich czterystu osiemdziesięcioma milionami mieszkańców i około trzydziestoma milionami dziedzicznych nędzarzy-kulisów? Przecież pomiędzy Wielkim Murem a oceanem około stu milionów Chińczyków nie miało już w owym czasie nic do stracenia oprócz najniebezpieczniejszego życia.

Tak - myślał ze strachem Wagin - okropna, straszna stanie się rzecz, jeżeli znajdzie się wódz, który potrafi wzbudzić ruch wśród tych mas zrozpaczonych! Podnieść i poprowadzić! Połowa zginie, ale druga dojdzie. Kilkanaście milionów! Działa europejskie i karabiny z przerażenia zaniemówią! Szarańcze! Wielka wędrówka ludów! A jeżeli będzie to wędrówka zbrojnych ludzi, świadomych celu, żywiących się ciałami poległych i padających z głodu? Przecież i to bywało na przestrzeni dziejów ludzkiego zwierzęcia! Wzdrygnął się na tę myśl, odpędzał ją jak zmore, lecz wciąż powracała i powracała coraz natarczywsza i wyraźniejsza, uzbrojona w nowe argumenty jak pancernik w działa. A niemieckie, angielskie, amerykańskie, włoskie i japońskie rekiny judziły ją i rozzuchwalały, wypływając z swych paszcz nowe i nowe oferty:

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy karabinów, dziesięć tysięcy kulomiotów, trzysta baterii, miliony naboji i pocisków.

- Dostarczymy samolotów bombowych, torped powietrznych z gazem trującym. Bagnetów.

Taka paszcza zbrodnicza nie powiedziała wszakże ani razu, że da materiały opatrunkowe, lekarstwa, lekarzy i sanitariuszy, wszczeła dopiero w końcu targ o ludzi:

- Damy instruktorów, lotników, artylerzystów. Poślemy inżynierów do budowy mostów, do naprawy dział. Damy saperów i minerów.

Wagin widział oblicze wojska z bliska. Strzelał sam i dźgał bagnetem, strzelali do niego i zamierzali się nań bagnetem. Był jednym z tych, z których składa się mięso armatnie. Wydało mu się to prostym i zrozumiałym. Jeden padał, drugi tratował go i biegł dalej, by zabić następnego, aż polegnie sam i zostanie stratowany. Teraz los kazał mu brać udział w obmyślaniu wojny, w obliczaniu ścisłym, ile mięsa ludzkiego należy poszarpać, rozrzucić po różnych polach bitew, aby nie zaszła pomyłka w obrachunku.

- Trzysta tysięcy karabinów i trzydzieści milionów nabojów! Jeszcze sto dwadzieścia baterii, więcej pocisków gazowych, kulomiotów najnowszych, najszybciej strzelających!

Nie wytrzymał wreszcie i bardzo oględnie zresztą zwierzył się ze wszystkich trosk swoich przed starym Nun-Kou, do którego poczuł od razu sympatię. Chińczyk począł szczyryć żółte zęby i coś mrużyć w swej łamanej mowie rosyjskiej.

- Biali ludzie rozumieją tylko cios pięści, musimy więc nauczyć się bić! Dlatego tak ustępliwi jesteśmy względem Japończyków. Już oni nas nauczą, a potem, jeżeli się nie opamiętają, wybuchnie wojna i z Japonią. My ją wygramy! Nikt na świecie nie będzie triumfował nad naszą cywilizacją, jak dotąd żaden jeszcze najeźdźca nie zwalczył jej, lecz roztopił się w niej jak miedź wrzucona do płynnego żelaza!

W głosie starego Nun-Kou odezwały się nuty dumy i tej pogardy, z jaką od wieków spoglądają żółci ludzie na wspaniały dorobek białej rasy. Przeraza ich czasem, ale nigdy im nie imponuje, bo czyż imponował kiedykolwiek dumnym patrycjuszom najgenialszy choćby niewolnik-barbarzyńca?

Ta rozmowa nie przyniosła ukojenia Waginowi, zirytowała go nawet, więc zauważył zimnym głosem:

- Chiny mogą być od wewnątrz rozsądzone przez rewolucyjną, postępową młodzież.

Nun-Kou uśmiechnął się z lekka i wzruszył ramionami:

- Młodzież ta za lat dziesięć będzie już dojrzała i opamięta się! Dla Chin dziesięciolecie to przecież jedno mgnienie oka. Mamy wszakże kroniki prawie sprzed sześciu tysięcy lat! Mamy cywilizację, która płynie w nas razem z krwią.

Zaczął chichotać cieniutkim głosem i zacierał kościste ręce, okryte pomarszczoną skórą, podobną do starego, zbutwiałego pergaminu.

- Japonia przekonana jest, że w końcowym wyniku ona i uzbrojone Chiny wyprą z Azji wszystkich białych ludzi. Robota idzie - w Indiach, Syjamie, Afganistanie, Persji i w Syrii. Hasło rzucone, ludzie oczekują tylko sygnału. Czekają, aby wyrzucić białych przybyszów za morza. Nienawidzą ich, bo

zarazili nas wszystkich strasznymi nałogami - chciwości, pogardy dla starych obyczajów i wiary, zatruli nas opium i dążeniem do zadowolenia ciała. A cóż dała nam biała rasa dla ducha? Co? Pytam! Kapelusze filcowe, rewolucję, żółte trzewiki, samochody i telegraf? Tego mało za wszystko to, co daliśmy jej my!

Głos Nun-Kou stał się syczącym jak dźwięk pary, wychodzącej ze szczelin kotła, co może lada chwila wybuchnąć.

Sergiusz ze zdumieniem słuchał starego, chudego jak mumia, Chińczyka. Buchaltera wywołano do telefonu.

Wagin nie wszczynał już dalszej rozmowy, a nawet starannie jej unikał. Wpadł w ponury nastrój, czując, że los rzucił go w wir nowych zjawisk i wypadków, z natury swej nie tylko obcych mu duchowo, ale, być może, wrogich nawet jako człowiekowi rasy białej, wyznawcy jej ideałów, filozofii i etyki, niemających nic wspólnego z tym, przeciw czemu podnosić poczynała coraz potężniejszy głos Azja. Widziała ona tylko rozdroże, na jakim znalazła się nagle Europa, popychana ku temu rozwojem swoich dziejów, a rozbieżnością ideałów groźna dla ludzi o innej barwie skóry i bardziej trwałym stanie ducha. Chwilami przychodził do przekonania, że jest zdrajcą wobec swojej rasy, jak ci niemieccy i amerykańscy inżynierowie i oficerowie, uczący spokojnych Chińczyków sztuki mordowania i wykuwający miecz na własne głowy i głowę całej rasy, która wydała tylu mędrców, natchnionych poetów, świętych i uczonych.

W takich to chwilach stawała przed nim matka. Widział wyraźnie jej wyniosłą postać, niebieskie oczy i puszyste, popielate włosy, co siwieć nie chciały. Może posiwiały potem, w więzieniu, gdzie wrzucono ją do zatłoczonej celi, zarażonej tyfusem plamistym.

Biedaczka moja, biedaczka dumna i nieustępliwa! - myślał syn, gryząc sobie usta w jakimś bezsilnym porywie. - Napadły ciebie wszy więzienne i dręczyły aż do chwili, gdy oczy twoje zaszklily się blaskiem nieżywym! Z jakąż to dumą mówiłaś, że Anglia dała Azji spokój i popchnęła ku prawdziwej cywilizacji - istotnie miałaś na myśli angielską cywilizację! Uczyłaś mnie, że nie ma na świecie innego szczęścia poza pokojem i wolą, bo one jedne tworzą doskonałą harmonię. Syn twój jednak nie zaznał pokoju, a woli swej używał dotychczas tylko do walki o życie. Ty zaś o innej mówiłaś harmonii. O woli Anglii, która umiała narzucić ją innym ludom i nakazać pokój, chociażby bagnietami strzelców jego królewskiej mości i armatami floty Wielkiej Brytanii. Wola i pokój! Potężną siłą ducha obdarzyła twoją ojczyznę ziemia jej wysp! Tak wielką, że wola Anglii zatrąta czterysta pięćdziesiąt milionów Chińczyków i Hindusów gorzkim dymem opium i zmusiła uznać za jej przywilej niepodzielne prawo w milczeniu i pokoju cmentarzyska zatruwać żółtych i brązowych bliźnich (tak przecież nazywa ludzi Biblia?), gdy tymczasem oni muszą milczeć i umierać. Ale patrz, patrz! Oto syn twój razem z tymi zatrutymi przez Anglię milionami pariasów pracować poczyna nad tym, aby zrzucić jej władzę!

Matka wpatrywała się w syna niebieskimi, coraz bardziej mglistymi oczami, aż rozwiewała się zjawa i pozostawiała Sergiusza Wagina na rozdrożu, w rozterce.

Pewnego wieczora, gdy napadła go udręka zwątpienia, odwiedził go Miczurin. Nadrabiał miną, udawał wesołego i szczęśliwego, jednak przed spostrzegawczym wzrokiem Sergiusza nie ukryły się nerwowe, niespokojne ruchy lejtenanta. Opowiadając o swym życiu w domku pani Somowej, zrobił przyjacielowi nieszczerzy wyrzut:

- Zapomnieliście o nas zupełnie i ani razu nie zajrzeliście do dawnego legowiska, a my was ciągle wyglądamy z niecierpliwością.

Wagin usprawiedliwił się brakiem czasu i nadmiarem pracy.

- Rozumiem, rozumiem! - potakiwał mu lejtenant. - Codziennie mówimy o was przy kolacji.

- To wy codziennie bywacie u pań? - spytał Wagin.

- A jakże! Staram się cały czas spędzać z nimi. Przecież mieszkam u nich i - Kocham się w panie Ludmile - z suchym śmiechem dokończył za niego Sergiusz. - Powiedzcież mi wreszcie, jak stoją wasze sprawy.

Miczurin, nie patrząc mu w oczy, odpowiedział cichym głosem:

- Wiecie, że Kocham pannę Ludmiłę. Staram się przyzwyczaić ją do tej myśli i do oświadczenia się ojej rękę. Zdaje mi się jednak, że ona coś innego ma na myśli i to przeraża mnie.

Wagin podniósł brwi i uważnie już słuchał, nie przerywając przyjacielowi.

- Będę szczery, choć trudno mi to wypowiedzieć. Na razie myślałem, że ona tęskni za wami, że zainteresowała się wami.

- Cóż znowu?! - wzruszając ramionami, mruknął z niechęcią Wagin.

- Właśnie, teraz to i ja tak myślę. Ale pierwsze dni. Były to ciężkie dni! Ludmiła w nocy płakała, a wiecie, tak żałośnie jak małe dziecko. Słyszałem to każdej nocy przez ścianę! Teraz już nie płacze, za to często chodzi do cerkwi, na cmentarz i na jakieś zebrania religijne.

- Rzeczywiście nie bardzo sprzyjająca atmosfera do wyznań miłosnych! - wtrącił Sergiusz i nagle przyłapał siebie na tym, że ucieszył się, posłyszawszy o nastroju Ludmiły. - Jakżeż to dalej będzie?

- Przesiaduję u nich wieczorami i staram się, jak umiem, rozerwać ją, rozweselić - mówił smutnym głosem lejtenant.

- Wnioskuje już z waszej miny, że nie bardzo wam się to udaje - zauważył Wagin. - I nie dziwię się! Też panie, o ile je poznałem, lubią samotność i ciszę. Mają w sobie tyle treści, że nie potrzebują ani rozrywki, ani pociechy, ale za to też żadne nieszczęście nie zmoże ich.

- Cóż mam robić? - szeptem zapytał zgnębiony zupełnie Miczurin.

- Trudno mi być waszym doradcą, szczególnie po tym, jak myśleliście, że Ludmiła tęskni za mną! Też dowcipny domysł! Powiem wam tylko, co bym ja zrobił i tak zresztą zawsze robiłem. Siedziałbym w swoim pokoju i pokazywałbym się im wtedy tylko, gdy same zechcą tego. Dusze samotne nie lubią tłoku i hałasu.

- Jakież tłok? Jakież hałas? Tylko ja - usprawiedliwił się Miczurin.

- Tylko wy?! - zaśmiał się Wagin. - Tego starczy, bo przecież gdzie wy jesteście, bracie, to już cały tłum z tłokiem i hałasem.

Lejtenant nic nie odpowiedział. Pochyliwszy głowę, ciężko wzdychał raz po raz. Spozrzegłszy, że Wagin nie zamierza o nic pytać, nieśmiałym, urywanym głosem począł mówić:

- Dla mnie całe życie zawarło się w Ludmile, całe, bez reszty. Wszystko, co przeżyłem do spotkania z nią, było to nieprawdziwe, jakieś sztuczne, jak gdyby cienie, ślizgające się po ścianie. Teraz są, a za chwilę już ich nie będzie i nigdy już nie powrócą. Żyłem bezmyślnie i wtedy, gdy nosiłem mundur i wtedy, gdy rozbijałem tły chińskie w Gospodzie i urządzałem bandyckie wyprawy. Żyły moje nogi, ręce, żołądek, a dusza na ten czas gdzieś odleciała. Teraz wszystko inaczej. Stałem się człowiekiem, rozumiem, do czego mam dążyć, pragnę szczęścia i zdobędę je albo...

Przygotowywał się do wypowiedzenia ostatnich słów, lecz Wagin przerwał mu:

- Złe z wami! Zbyt to tragicznie bierzecie. Przypomnijcie sobie, co u mnie z tego wynikło! Przyjrzyjcie się lepiej sobie i pannie Somowej. Przekonajcie się wpierw dobrze, ale to prawdziwie dobrze, czy wyniknie coś z tej waszej miłości z owym melodramatycznym albo! Nie pogniewacie się chyba na mnie, jeżeli powiem otwarcie, jak niezainteresowany przyjaciel - przyjacielowi, że Ludmiła nie byłaby odpowiednią dla was żoną!

Miczurin wydał głuchy jęk i głową upadł na złożone na stole ręce.

- Przykro mi to mówić, ale tak jest. Ludmiła może być świętą mniszką, męczennicą, sekciarką, natchnioną prorokinią, ofiarną sanitariuszką na polu bitwy, może być nawet Joanną d'Arc, ale żoną, waszą żoną?!

Wagin wysoko unióśł brwi i ramiona. Po chwili nerwowym krokiem zaczął chodzić po pokoju, zły na siebie, że na tak intymne tory sprowadził ważną dla przyjaciela rozmowę.

Po co? - robił sobie wyrzuty. - Nic przecież nie przekona tego zakochanego olbrzyma!

Zgadł, bo Miczurin zerwał się nagle z krzesła i walnął pięścią w stół.

- Tak? - zasyczał groźnie. - Ludmiła niestworzona jest na moją żonę? Myślicie zapewne, że za to wy bylibyście dla niej idealnym małżonkiem? Ona - sekciarka, prorokini, Joanna d'Arc, a wy - tajemniczy pięknoduch, który nie wiadomo nigdy, co myśli, a zbrodnię umie przybrać w jak najpiękniejsze szaty. Ale nie! Nie! Pójdę do niej i opowiem jej całe swoje życie, dzień po dniu, nic nie ukryję, a wtedy zrozumie moją mękę grzesznika, który pokochał świętą i...

Wagin z bladą twarzą słuchał Miczurina i postanowił sobie nie odpowiadać na jego wybuch, lecz posłyszawszy o zamierzonej spowiedzi jego, machnął ręką niecierpliwie i patrząc surowym wzrokiem na przyjaciela, powiedział dobitnie:

- Oszaaleliście! Jeżeli macie jakieś grzechy, nie mówcie o nich Ludmile! Daję wam przyjacielską radę. Możecie wyznać jej, że popełniliście największą zbrodnię - to przerazi ją, a potem zaciekawie. Kobiety są zawsze jednakowe - pociągają ich męskość naszych czynów. Ale przyznawać się do grzechów?! Co za naiwność! Wiecie co nastąpi - wy stare dziecko? Z waszych grzechów pozostanie jej w pamięci jeden jakiś - a niewątpliwie najmarniejszy i najśmieszniejszy, no - powiedzmy, że w Gospodzie Czterech Stron Świata kradliście kucharzowi słoninę! I nic już tego wrażenia nie rozproszy, choćbyście jej mówili potem, że zabiliście Lenina lub samego Lucyfera i że kochacie ją wierniej od Romeo i płomienniejszy od Otella! Nic to wam już wtedy nie pomoże! Będzie widziała was zawsze zakradającego

się do spiżarni na bosaka, aby nie zbudzić kucharza, i powracającego z poćciem słoniny pod pachą. Cha, cha, cha! Wielki bohater! Męczennik! Ofiara losu i kataklizmu dziejowego! Poćcie słoniny ukradkiem unosi pod pachą! Cha, cha, cha!

Miczurin aż zawył z bólu i Waginowi wydało się, że olbrzym runie na niego.

- A wy, wy, wy, czy macie prawo wszystko mówić o sobie?! - chrapliwym głosem rzucił, z nienawiścią patrząc na Sergiusza. - Opowiadał mi doktor Plen o bardzo porywającej legendzie waszej o dwóch aż naraz zbrodniach!

Wagin usiadł i spokojnym głosem odparł:

- Tak! Ja mogłem o tym mówić, bo o małżeństwie z panną Somową nie marzę, i dlatego jeszcze że opowiadałem o zbrodni, nie o jakichś tam wyczynach opryszków lub kieszonkowców. Ale skończmy już tę przykrą rozmowę! Chciałem was ostrzec przed błędnym krokiem, jakim byłaby ta spowiedź wasza. I co to za przekleństwo wisi nad rosyjską duszą, że ciągnie ją do kajania się, do dzikiej, ponurej spowiedzi przed narodem!

- To wy kajaliście się publicznie! Słuchali was Plen i pani Somowa, i Ludmiła! - warknął Miczurin.

- O mojej zbrodni, raczej - zbrodniach głośno było w Rosji. Kajać się nie potrzebowałem. Przyszła mi chętka opowiedzieć o tym, zresztą oględnie - w trzeciej osobie. Miałem do tego powody - powiedział cichym głosem Sergiusz.

- Cóż to za powody? - szepnął Miczurin, a w głosie jego zabrzmiała trwoga.

- Mógłbym wam na to pytanie nie odpowiedzieć, ale spełnię wasze życzenie. Pamiętajcie zapewne, że szedłem wtedy na rozprawę z Abramem Chackelesem i nie wiedziałem, jaki weźmie ona obrót. Mogłem być przecież zginąć. Chciałem, by niektóre szczegóły mego życia zostały zrozumiane, gdyż w naszej kolonii kursują o mnie różne plotki. Wiedziałem, że panna Ludmiła i doktor Plen rozumieją, o kim opowiadam. Tak się też stało, bo już i wy o tym wiecie. No, więc dość tego! Muszę jeszcze pójść do biura. Przed wyjazdem postaram się odwiedzić was w Czapei. Wybaczcie mi, że was wypraszam.

Uścisnęli sobie ręce. Miczurin miał głowę zwieszoną na piersi i patrzył uporczywie w ziemię. Wreszcie zamruczał:

- Ech, źle nam wypadło to spotkanie, a tymczasem spodziewałem się.

Urwał i westchnął.

- Dokończcie!

- Chciałem podzielić się tym, co mnie przeraża, ale teraz po cóż mam mówić? - westchnął znowu.

- Wiecie przecież, że jestem waszym przyjacielem. U mnie nie jest to puste słowo, gdyż przyjaźń opieram tylko na wdzięczności. Taka właśnie jest najtrwalsza. Mówcie więc, jeżeli czujecie potrzebę!

- Trwoży mnie Ludmiła - zerwał się przyduszony, namiętny szepł Miczurina - trwoży mnie i przeraża! Wy wiecie, jak cienkie są ściany w naszym domku? Słychać nawet tykanie zegara w pokoju pań i chrobot i zgrzyt jego kółek. Nie śpię po nocach i nadśluchuję. Oczekiwałem wciąż, że przez sen

Ludmiła wymówi wasze imię, ale nie, nie - tego ani razu nie było. Za to słyszałem - i serce mi się krajało - jak gorzko i żałośnie płakała, a teraz słyszę co noc, jak niemal do świtu modli się i głową uderza o deski podłogi. Liczę i liczę. Sto razy nieraz tak uderzy - mocno i ciężko. Pani Somowa śpi, a ona modli się i modli! Schudła i zbladła, a w oczach jej widzę dziwny, niedostępny, niedostępny dla mnie świat.

Mury klasztorne bez okien i drzwi - przypomniała się Waginowi rozmowa na Bundzie.

- Co powiecie o tym? - spytał Miczurin, dotykając jego ramienia.

Sergiusz wzruszył ramionami i odpowiedział:

Nie wiem. Może tęskni za bratem, może znużyło ją to bezcelowe i beznadziejne życie wygnańcze - ktoś to wie?

Mówił to automatycznie, a w sercu, w jednym małym punkciku czuł żar, niby jakaś iskra upadła tam i nie zgasła. Uścisnął raz jeszcze rękę Miczurinowi i sprowadziwszy go ze schodów, powrócił do siebie. Zupełnie nieoczekiwanie pełne zwątpienia myśli, dotyczące jego własnych spraw, odbiegły gdzieś daleko, a tuż przed sobą ujrzał głębokie, trochę ponure i niewymownie tęskne oczy Ludmiły. Trwało to jedno mgnienie oka, w chwilę potem wyłoniła się ciemna wnęka w grubym murze, okrytym freskami i plamami pleśni. Z mroku trochę jaśniejszy od niego sunął tłum przygarbionych, stąpających ociężałym krokiem mniszek w czerni, z chustami, zasłaniającymi czoła, policzki i oczy. Na samym końcu tego korowodu czarnych mrówek szła Ludmiła. I znowu ujrzał oczy, wpatrzone w jej tylko dostępną dal, a w rozszerzonych, obłądnych źrenicach miotła się ekstaza gorętsza od namiętności i potworniejsza od rozpaczy.

Odezwały się dzwony.

Wagin drgnął.

- To zegar ścienny wybijał dziewiątą godzinę.

- Otrząsnął się i ręką przetarł czoło, ale wrażenie, że widzi oczy Ludmiły, nie rozproszyło się wcale. Wzbudziło to w nim radosne podniecenie. Podeszedł do okna i otworzył je na oścież. Zimne powietrze orzeźwiło go.

- Dobrze, że wyniosłem się z Czapei! - szepnął do siebie. - Nie pójdę tam już nigdy. Biedak ten Miczurin! Doczekać się takiej udręki?! Cóż to za przyczyna tej religijnej manii Ludmiły? A zresztą co to wszystko może mnie obchodzić?! Jutro jadę do Nankingu!

- Westchnął z ulgą, lecz po chwili już marszczył czoło i znowu myślał o Miczurinie, Ludmile i jedynej bodaj po śmierci Romka szczerzej rozmowie z nią na Bundzie.

### III. NA NIEZNANYCH FALACH

Waginowi wypadło zmienić cały swój plan prac przygotowawczych, ustalony z Ti-Fong-Tajem. Wypadki rozwijały się z taką szybkością, że musiał z głową pogrążyć się w sprawy, chociaż serce jego i rozum buntowały się coraz częściej. Nie wiedział jeszcze, czy ma prawo brać udział w zuchwałym,



awanturycznym przedsięwzięciu. Nie uspakajały go cyniczne rozumowania, że nikogo sam nie zabija, nie okrada, a więc ma zupełne prawo pracować w każdym przedsiębiorstwie, skoro mu płacą sumiennie. Musi przecież w jakiś sposób istnieć na emigracji i zabezpieczyć się na starość. Nie marzył nigdy, że za swego życia będzie mógł powrócić do ojczyzny. Był zbyt trzeźwy, by budować coś na lodzie i w powietrzu.

- Ojczyzna moja jest teraz tam, gdzie mi jest dobrze - przekonywał siebie, ale ta sakramentalna formuła uświadomionego proletariatu bynajmniej nie rozproszyła jego wątpliwości.

Tymczasem musiał myśleć i działać od rana do nocy.

W Nankingu zamieszkał u bogatego kupca Lu-Huna, poleconego mu przez Ti-Fong-Taja. Dom kupca stał w pobliżu Baszty Dzwonów. Miasto leżało w gruzach. Stan niemal zwykły dla tej starej stolicy. Zburzył ją niegdyś doszczętnie słynny wódz piratów Koksiang, burzyły wojska mandżurskie, wypierając go z miasta; w perzynę obróciły ją wojska rządowe, gdy po długim oblężeniu dokonały w Nankingu rzezi buntowniczych Tajpingów; ucierpiało to miasto w dobie toczącej się wojny domowej, a rząd odbudowywał je teraz, znosząc całe dzielnice, niszcząc pozostałości dobrych, starych czasów, gdy nad stolicą Mingów dumnie strzelała pod obłoki słynna, uwieczniona przez Longfellowa porcelanowa pagoda.

Na miejsce starych stawiano nowe gmachy rządowe według projektów amerykańskich - takie obce i zimne na tle krajobrazu doliny Jangcy.

Wagin ze szczytu Baszty Dzwonów obejrzał okolice. Widniały tam łagodne, niewysokie pagórki, okryte roślinnością, z mniejszymi i większymi budynkami, tonącymi w zieleni. Dalej, jak okiem sięgnąć, ciągnęła się żyzna równina prowincji Kiang-Su - cała w złocie ściernisk, gdyż żniwa jesienne dochodziły już końca. Małe wioski, które sto razy zmiatała burza dziejowa, stały na grobach dawnych mieszkańców i niby przyglądały się w smutnej zadumie i pokorze potężnym grobowcom cesarskiej dynastii Mingów, wymordowanej przez Mandżurów, gdy ci barbarzyńcy północni zagarnęli tron Synów Nieba. Przez równinę, w promieniach słońca, niby stalowe, do białości rozpalone liny lśniły liczne kanały, a wszystkie biegły ku krętemu łóżysku Niebieskiej Rzeki. Wspaniała, szeroka i wartka jej smuga - to złocista, to szafirowa - wiła się jak wąż, uchodzący w nieogarniętą okiem dal i aż przeciąwszy całą prowincję, wpadała do Pacyfiku. Obojętny i dumny ocean nie wiedział, że niesie ona ze sobą wodę z niedostępnych, przez bóstwa zamieszkałych wierchów Tybetu i żółte piachy przez Boga wyklętej Gobi.

Wagin, naprędce obiegłszy miasto i rzuciwszy okiem na okolice, rozpoczął narady z rządem. Jak było już przewidziane, nikt nie chciał podpisać żadnej umowy. Przebiegli ministrowie i generałowie udawali nawet zdziwienie i przysięgali, że nic nie słyszeli o kompradorze - dostawcy broni. Dopiero ukazanie poufnych listów rozwiązało im języki. Rząd obawiał się narazić Japończykom i bolszewickim dyplomatom, szpiegującym każdy krok urzędników i wszystko, co się działo w kraju.

Rozmowy z chińskimi dygnitarzami i oficerami sztabowymi wikały się ciągle i przeciągały. Nikt nie chciał wziąć na siebie inicjatywy i odpowiedzialności. Każdy zastaniał się kim innym, ten znów, jak twierdził, nie miał upoważnienia do decyzji. I tak z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień Waginowi zdawało się, że musi w końcu dotrzeć do prezydenta. Dotarł wreszcie po długich staraniach i nic z tego nie wynikło. Sprawa, leniwie tocząca się aż do samego szczytu drabiny hierarchicznej, wlokła się

z taką samą zabójczą powolnością aż na najniższe szczeble biurokracji. Owszem - zapewniano go z stereotypowo uprzejmym uśmiechem: władze chętnie przyjmą broń i amunicję. Potrzebują jej jak ziemia deszczu. Przede wszystkim należy uzbroić ludność miejską i wieśniaków w Hupeh, bo podobno wszystko już tam przygotowano do wytępienia komunistów, wszystko za wyjątkiem broni. Jednak dostawa ma się odbywać na ryzyko czcigodnego Ti-Fong-Taja.

Prezydent, ministrowie, sztab i urzędnicy o niczym nic nie wiedzą. Istotnie o niczym nie chcieli wiedzieć, lecz ten i ów z wyższych nawet biurokratów i wojskowych szczegółowo informował się o tym, czy szanchajski komprador zamierza wypłacać urzędnikom premie za szybkie załatwienie spraw, związanych z dostawą broni. O ten przykry i hańbiący szczegół przedsięwzięcia - pozostałość słynnego w Chinach łapownictwa i przekupstwa - układał się wprawny w tych rzeczach Lu-Hun i zawdzięczając jego zabiegom, jeden z urzędników oznajmił wreszcie Waginowi, że władze polecą posterunkom granicznym i strażnikom celnym patrzeć w słońce, co miało oznaczać, że nie będą widzieć dążących do Hupeh transportów z bronią. Inny znów dygnitarz doradził przewóz ładunków rzeką aż do Ankingu, skąd dalej skrzynie przeniosą tragarze.

- To niemożliwe! - zawołał Wagin, posłyszawszy taką radę. - Przenieść pięć tysięcy karabinów i pół miliona ładunków?! Na to potrzeba co najmniej pięciuset tragarzy!

Ministrowie i urzędnicy uśmiechali się pobłaźliwie i pogardliwie. Zapewniali cudzoziemca, że może mieć nawet sto tysięcy ludzi. Po zatrzymaniu się statku w Ankingu, stawi się na jego pokładzie zaufana osoba i wszystko ułatwi. Kiedy dżentelmen spodziewa się ładunku? Jak ta sprawa się przedstawia? Jak to? Ładunek broni znajduje się już na statku Czangsza, którym dowodzi stary znajomy, kapitan Bojcow? Bardzo dobry marynarz! Zna Jangcy-Kiang lepiej od miejscowych rybaków! Wyruszyć jednak do Ankingu można dopiero pojutrze, gdyż goniec nie dotrze wcześniej do zaufanej osoby. Piękne ukłony, komplementy, wszystko płynne, na niczym nieoparte. Interes milionowy i tak - na gębę. Do wściekłości doprowadzało to Wagina, ale niebawem się przyzwyczyił. W Nankingu, siedząc z szyprem Bojcowem w restauracji w pobliżu stacji kolejowej, rozmawiali po rosyjsku. Bojcow wtajemniczał Wagina w burzliwe dzieje dawnej stolicy i przez okno pokazywał mu różne pagórki - gdzie teraz przyczytały się forty, broniące miasta.

- Do Nankingu rzeką mogą dopłynąć z oceanu największe nawet pancerniki, bo Jangcy jest dostatecznie głęboka. Ale teraz, gdy powstała tu twierdza - twardy to orzech do zgryzienia. Mocno się obwarował rząd w nowej stolicy, przeniesionej tu z Pekinu!

Ledwie padły te słowa, do stolika ich zbliżył się jakiś cudzoziemiec w pół wojskowym, pół cywilnym ubraniu i szepnął tajemniczo:

- Rodacy! Mam zaszczyt się przedstawić. Jestem kapitan Teodor Ozierow z konnego korpusu generała barona Ungern-Sternberga.

- Skąd pan tu przybył? Przecież tu dla Ungernowskiego oficera nie jest miejsce bezpieczne? Czy pan nie wie, że baron wyrznął sporo chińskich republikańskich wojsk? - pytał Bojcow.

- Klęska! - jęknął oficer. - Zdrada! W Mongolii od miesiąca kręcili się jacyś ludzie i namawiali niektórych oficerów naszych do buntu. Dużo rzucono na to pieniędzy! Wreszcie baron schwytał kierownika bandy. Okazał się komisarzem bolszewickim - Żydem.

- No i jakżeż się to skończyło? - niecierpliwie dopytywał się szyper.

- U nas to zawsze się kończy jednakowo - wzruszył ramionami Ozie- row. - Baron kazał powiesić tego Żyda, niejakiego Abrama Chackelesa.

- Abram Chackeles! - wykrzyknął Wagin i z jakimś nieokreślonym, ale sprawiającym mu ulgę uczuciem pomyślał: Wreszcie koniec wszystkiemu!

- Znal go pan? - spytali obaj, ze zdumieniem patrząc na niego.

Sergiusz skinął ręką i odpowiedział:

- Na Syberii przez cały rok tropił mnie. Cudem mu się wymknąłem zagranicę. Więc mówi pan, kapitanie, że skończyliście z tą bandą, a tymczasem przed chwilą słyszeliśmy coś o kłęsce barona Ungern-Sternberga. Cóż to za kłęska?

Ozierow zapalił fajkę i marszcząc czoło, powoli wypuszczał dym.

- Po zlikwidowaniu bandy bunt jednak wybuchnął! - szepnął z rozpaczą w głosie. - Baron został napadnięty przez swoich oficerów, związany i wydany bolszewikom. Czerwone wojska wkroczyły już do Mongolii i ogłosiły ją niezależną od Chin. Natychmiast połała się krew. Komisarze przekupili niektórych łamów, a ci otruli arcykapłana - Żywego Buddę i jego żonę. Biedota morduje książąt, potomków Dżyngisa! Nowy rząd, złożony z nieznanym nikomu ludzi, proklamował przyłączenie Mongolii do związku socjalistycznych sowieckich republik. Tymczasem krew się tam leje strumieniami! Piekło!

Była to niezmiernie ważna wiadomość. Wagin i Bojcow zamyślili się głęboko nad niespodziewaną sytuacją. Komunizm od zachodu stawał na progu Chin. Odwiecznymi drogami karawanowymi mógł już swobodnie sączyć się aż poza Wielki Mur. Nic nie stało mu na przeszkodzie. Bolszewicy mogli już zaniechać utrudnionych wypadów z Mandżurii, gdzie spotykali sprzeciw władz japońskich. Należało powiadomić o tym niezwłocznie Ti-Fong-Taja i Wali-chana. Kapitan Ozierow, który jechał właśnie do Szanchaju z doniesieniem do generała Siemionowa, podjął się odwiedzić kompradora i poinformować go o wypadkach, zaszłych w Mongolii. W godzinę po tej rozmowie siedział już w pociągu, odchodzącym do Szanchaju.

Wagin, pożegnawszy kapitana, długo przechadzał się po peronie, nie czując silnych podmuchów zimnego wiatru jesiennego. Pochłoneńły go różne myśli. Musiał dojść z nimi do ładu. Rzeczywistość jak gdyby przestrzegała go i raz jeszcze zmuszała do namysłu. Gdzieś głęboko odzywało się w nim mgliste jeszcze przecucie, że to, co się z nim dzieje, musi mieć ważne dla niego znaczenie i że rozważywszy wszystko i zajrzawszy możliwie daleko w przyszłość, znajdzie wreszcie dla swego życia jakieś niebudzące odrazy i wątpliwości łożysko. Nieuświadomione dotychczas wrażenia przez długi czas zaważały mu w spokojnym i zimnym myśleniu. Przypomniała mu się zupełnie wyraźnie i jak gdyby niepotrzebnie jego wizyta w redakcji pism angielskich w Szanchaju, gdy przyszedł do znajomych dziennikarzy, aby przejrzeć kolumny ofiarowywanych posiad. Niby na jawie zobaczył przed sobą drobnymi trzcionkami złożone ogłoszenie i poszukiwaniu amatorów do prowadzenia karawany do Mongolii. Odczuł i teraz to samo zaciekawienie, jak wówczas, kiedy po raz pierwszy rzucił okiem na dość tajemniczy tekst z powołaniem się na skrzynkę pocztową. W tej chwili jednak był przekonany, że autorem ogłoszenia był zapewne Abram Chackeles.

- Przecież udało się staremu nawiązać stosunki z bolszewickimi agentami, bo z ich to ramienia zapewne wybrał się na tę ostatnią w swym życiu wyprawę - rozważał Wagin i nagle twarz mu poweselała i rozjaśniły się oczy.

Właśnie, właśnie - pomyślał - ostatnia wyprawa Abrama! Ostatnia! Biedny, stary Żyd! Nic mu się w życiu nie udało. Nie doczeka się jego powrotu zgnębiona rozpaczą i stroskana żona będzie już przez całe życie opłakiwać syna i męża. Biedny Abram!

Westchnął, lecz uczucie radości, przenikającej całą jego istotę, nie znikło. Owszem - po tym westchnieniu jak gdyby nawet spotężniało. Wagin jednak nie dziwił się już temu, gdyż uświadomił sobie istotną przyczynę swego nastroju - przyczynę egoistyczną, lecz zrozumiałą i usprawiedliwioną.

Abram Chackeles nie żyje - sączyła się myśl, niby to dobre wino, łykane powoli dla większej rozkoszy. - Nie żyje! Z jego śmiercią zamykam raz na zawsze cały okres własnego życia! Gdyby nawet rozmyślił się i chciał mi nadal szkodzić - koniec! Już nie będzie mógł! A przecież obawa przed tą możliwością, odczuwana w pewnych chwilach, nie opuszczała mnie aż do dnia dzisiejszego. Teraz nie czuję już żadnego niepokoju! Na całym świecie nie ma nikogo, kto chciałby mi szkodzić. Mogę żyć i pracować z całym spokojem! Pomiędzy mną a przeszłością zerwała się ostatnia nić. Jestem sam - ale za to nie mam wrogów i przyjaciół. Dziwna to rzecz, nieprawdopodobna, że w redakcji wpadło mi do rąk właśnie to drobne ogłoszenie Chackelesa! Jak gdyby ostrzeżenie czy przepowiednia oczekujących mnie ważnych zmian.

W mózgu ludzkim rodzą się bardzo dziwne nieraz myśli, wywołane zapewne tajemniczym związkiem, istniejącym pomiędzy chwilą obecną a przeszłością, jakieś przebłyski dawno przeżytych wrażeń, jakieś niezwykle żywe wspomnienia. Wagin, myśląc o towarzyszu Abramie, przypomniał sobie nagle pewne spotkanie z Ludmiłą. Szedł z izolowanego, zamkniętego Czapei, aby szukać sobie pracy, a ujrawszy Ludmiłę, natychmiast poczuł już nie samą nadzieję tylko, lecz niezłomną pewność, że uzyska wszystko, do czego dąży. I jeszcze jedno spotkanie na Bundzie. Te jej naiwne, niezdarne usiłowania, by osłabić w nim przykre wrażenie ich pierwszej rozmowy, i ten pierwszy, gorący protest - pozornie obojętny, ale jakżeż rozpaczliwy - przeciwko jego wizji zamkniętego szczelnie klasztoru i czarnych, milczących, beznamiętnych mrówek. A ta wysuwająca mu się z ręki, drżąca dłoń dziewczyny w chwili pożegnania?

- Nie mam już wrogów na świecie! - powtórzył Sergiusz i z nagłym ożywieniem dodał: - Ale przyjaciół mam, nowych przyjaciół! Ludmiła, jej matka, wreszcie Miczurin. Musiał on przecież wyczuć, że głównie dla jego spokoju i szczęścia nie szukałem zbliżenia z Ludmiłą i po zamieszkaniu na Nanking Road ani razu nie byłem u Somowych? Wreszcie doktor Plen, lubi mnie ten ginący dziwak i cieszy się za każdym razem, gdy mnie widzi. Tak - mam już przyjaciół!

Radość, ogarniająca Wagina, przechodziła powoli w spokojny, najlepszy do rozmyślania nastrój. Odsuwając na drugi plan ważną nowinę o kłęsce barona Ungerna, co nie było bezpośrednio z nim związane, zaczął myśleć tylko o sobie. Teraz to już naprawdę mógł budować własne życie. Budować tak, jak to najbardziej odpowiadało jego poglądom. Mogło to być choćby najskromniejsze, lecz normalne już życie. Dotychczas nie zaznał go. Czuł się wciąż przechodniem, dążącym gdzieś bez wyraźnego celu. We wszystkim wyczuwał też nużący pośpiech. Nie miał, zda się, czasu pomyśleć o sobie. Stał się zdumiewająco obojętny do pożywienia i najwykleszych wygod. Pędził ascetyczne życie. Nigdzie nie bywał, nie potrzebował rozrywek, kobiety nie pociągały go. Wszelkie żądze i

wymogi zmysłów od dawna zapadły w stan letargu. Powabne nawet kobiety o wyzywających, natarczywych i kuszących oczach budziły w nim odrazę. Wagin skorygował natychmiast tę myśl, przypomniał sobie złotowłosą Angielkę - tenisistkę na Bundzie, którą spotkał prawie w tej samej chwili, gdy spostrzegł Ludmiłę, powracającą z cerkwi. Tak! Wtedy to poczuł pociąg zdrowego, głodnego mężczyzny do młodej i zapewne podnieconej zmysłowo kobiety. Zauważył to jednak raz tylko. Nie zrobiła na nim żadnego wrażenia ani atakująca go Marta Ostapowa, ani ta szczebiotliwa stenotypistka z Szun-Pao, miss Eveline Craw, co tak usilnie i przedsiębiorczo demonstrowała przed nim naprawdę piękne nóżki i bardzo nęcący biuścik, zaledwie przysłonięty cieniutką, przezroczystą bluzką jedwabną. Starano się biedactwo, jak mogło, by go skusić i zniewolić do miłosnej awanturki. Wagin uśmiechnął się chytrze i z lekka szyderczo. I znowu przyszła mu na myśl Ludmiła. Zawstydził się nagle wspomnień swoich o miss Craw. Zaczął myśleć o innym. Ha! Miał o czym, bo ciągle powracał do niewyraźnego jak dotąd zagadnienia swego nowego życia. Gdy już nic, ale to zupełnie nic nie stoi mu na przeszkodzie, sprawę tę należało wyjaśnić, sprecyzować w szczegółach i ustalić etapy dla szybkiego osiągnięcia celu. Nowe życie! Tymczasem zaczął je od wmieszania się w obcą mu i budzącą poważne zastrzeżenia awanturę z dostawą broni (po rozmowach z chińskimi ministrami nie mógł nazwać tej sprawy inaczej!)

Gdy z pewnym wyrzutem pomyślał o swej nieostrożności i niepotrzebnym pośpiechu, z jakim zgodził się z dowodami i propozycjami Wali-cha- na, w uszach zabrzmiał mu wyraźnie tragiczny głos kapitana Ozierowa, opowiadającego o klęsce, która spadła na Mongolię. Wagin powrócił do rzeczywistości i zamyślił się głęboko nad tym, co zaszło w tym kraju pasterzy stepowych, dumnych potomków zdobywcy Temudżyna-Dżyngisa i przeistoczonych bogów z Żywym Buddą na tronie wielkich chanów.

Pierwsze kroki na drodze do stworzenia państwa mongolskiego doprowadziły do katastrofy - myślał Wagin. - Ognisko samej idei i hasła wpadło w ręce komunistów! Zła przepowiednia! Jakżeż bezsilne są wysiłki ludzkie i jak zawodne wszelkie plany, jeżeli przeciwne są organicznej potrzebie ludzkości, marzącej o pokoju i szczęściu, a pracującej dla wojny i klęski! Dlaczegoż jednak nie mogą ziścić się marzenia ludzkości? Działa przeciwko nim jakiś zły duch - ten, co na wyżyny sławy, ubóstwiania i uroku wprowadził wielkich najeźdźców, zdobywców i wodzów, O ich wyłącznie życiu i czynach, o triumfach i tragicznych upadkach hałaśliwie rozpowiada historia. Tymczasem o stokroć większych, zasługujących na prawdziwy zachwyt uczonych, mędrkach, wynalazcach, artystach i genialnych pisarzach ta sama historia zaledwie coś niecoś przebąkuje, wspomina zdawkowym frazesem i nowy wrzask rozpoczyna o bitwach, pochodach, zwycięstwach! Co by się jednak stało, gdyby historyk pod koniec opisu żywotów i dzieł znakomitych wodzów podał krótką tabelę statystyczną? Taką na przykład — ile miast przez nich zburzono, ile stratowano pól, ile dorobku ludzkiego zginęło w płomieniach i podczas rabunku, dokonywanego przez wojowników; ilu ludzi padło na polu bitw, a ilu od chorób, głodu i rozpacz, ile kobiet zostało zbezczeszczone, ile dzieci zginęło w zawierusze wojennej, gdzie i jaki geniusz został zabity lub zmarniał i jakie straty spowodował błyskotliwy triumf zwycięzcy? A do tych strat należy też dodać, tak - koniecznie dodać należy - całe morze łez, nędzy, udręki i tęsknoty! Jakżeż inaczej wyglądałyby posągi triumfatorów wojennych, a słońce sławy, stojące nad nimi, krwawym stałoby się, zaćmiłoby się i przygasło! Za to inne, prawdziwe słońce opromieniłoby pomniki wielkich ludzi ducha, a opis ich dziejów nie potrzebowałby żadnej statystyki, bo ona ogarniałaby całą ludzkość od kresu do kresu ziemi, wdzięcznej im i pełnej uwielbienia. Tymczasem wszystko odbywa się na starą modłę i niczego nie nauczyła ludzkości krwawa, potworna wojna światowa. Po dawnemu zamierza historia rzucać do duszy młodego pokolenia jadowity siew

zachwytu i czci dla mocnej pięści i przekonać je raz jeszcze, że jedynie ta mocna pięść może wykuć najwyższe prawo, miłość i szczęście. Szaleńcy i zbrodniarze!

Nie zdając sobie sprawy, Wagin, pogrążony w myślach, wyszedł na placyk przed dworcem i szedł przed siebie. Nie spostrzegł nawet, że, wiedziony instynktem, powoli zbliżał się do domu Lu-Huna. Idąc, nie przestawał rozmyślać, na razie chaotycznie ślizgając się po różnych wypadkach, pozornie niemających żadnego związku z pochłaniającym go zagadnieniem znalezienia dla siebie upragnionego prawdziwego łożyska w obcym kraju, gdzie sądzone mu jest zapewne pozostać na zawsze. Jednak powrócił w końcu do nowych wypadków w Mongolii. Uprzytomnił sobie nieprzewidziane, wynikające z tej sytuacji trudności, ale jednocześnie wyzbył się nagle wahań dręczących go od pierwszej rozmowy z Ti-Fong-Tajem. Nie wątpił już, że z całym spokojem i czystym sumieniem nie tylko może, ale powinien nawet dopomóc Chinom w obronie przed oszukańczymi hasłami komunizmu, narzucanymi siłą bagnatów.

- Co się stanie z tym półmiliardowym mrowiskiem ludzkim, gdy tu rozsialeje anarchia i czerwony terror i gdy komuniści zniewalać poczną naród do przyjęcia zasad, tak wrogich całej naturze Chińczyka?! Zresztą jest to teraz poniekąd moja druga ojczyzna i muszę przyczynić się do jej obrony!

Takie postanowienie od razu ukazało Waginowi tak długo gęstą mgłą zasnuty horyzont. Pewna część jego planu na przyszłość została niemal w cudowny sposób zdecydowana ostatecznie. Pomyślał z wdzięcznością o dawnym strasznym wrogu - Abramie Chackelesie, bo on to, już nieistniejący, dopomógł mu wybrnąć z ciężkiego okresu wahań i zbliżyć się wreszcie do określonego punktu, od którego zacznie teraz wykonywać plan własnego życia.

W domu czekał na Wagina szyper Bojcow, zaproszony przez gościnnego Lu-Huna na obiad. Oprócz gospodarza obecni byli dwaj synowie jego - młodzi ludzie, niedawno przybyli do Chin z zagranicy. Jeden z nich studiował prawo w Londynie, z czego był bardzo dumny. Ledwie poznawszy obu Rosjan, zaraz wcisnął im do rąk swoje bilety wizytowe. Rzuciwszy na nie okiem, Sergiusz mimo woli uśmiechnął się, gdyż przeczytał: Ku-Lu-Hun of University of London. Wybadawszy ostrożnie młodzieńca, dowiedział się, że dopiero drugi rok ucześnie na prawo, co naturalnie nie upoważniało początkującego studenta do tak szumnego tytułu.

- Pozostało panu jeszcze trzy lub cztery lata do skończenia studiów - zauważył Wagin, chowając bilet do pugilaresu.

- Ani mi się śni! - zawołał pogardliwym tonem Ku-Lu, poprawiając krawat. - Profesorowie wygłaszają nam bzdury i komunały, którymi Anglicy usiłują nagiąć prawo do swoich interesów kolonialnych!

- Przepraszam, ale chyba nie tylko o kolonialnej polityce opowiadają panom profesorowie angielscy - wybitni zresztą prawnicy, ale i...

- Prawo angielskie i w ogóle europejskie nic mnie nie obchodzi! - wyduł wargi młodzieniec. - My - młodzi, inteligentni Chińczycy na innych zasadach zbudujemy nasze nowe prawo, wolne od wszelkiej religii, prawd, które stały się zabobonem, i od wpływów zachodnich!

Rozpoczął o ile długą, o tyle płytką orację, czczą i napuszoną, a zdradzającą cechy popularnych broszur agitacyjnych, nie podejrzewając nawet, że rozmawia z prawnikiem. Wagin nie miał wszakże zamiaru wdawać się z nim w jakąkolwiek debatę. Słuchał go jednak z ciekawością. Uderzała go

nieukrywana pogarda, gdy młodzieniec mówi o cywilizacyjnym dorobku europejskich narodów, co chwila używając zwrotów tak zwykłych dla prowadzonej przez pewne czynniki propagandy nacjonalistycznej, która była jednak niczym innym jak tylko brutalną i ponurą ksenofobią. Wagin wiedział i kilkakrotnie osobiście się przekonał z rozmów swoich z Jun-cho-sanem i kompradorem, że szkoły chińskie usiłują tą wrogością dla cudzoziemców obudzić w Chińczykach nacjonalizm, na ogół niezrozumiały dla tego zbiorowiska ras i szczepów, postępujących się różną mową, a posiadających różnorodną ideologię i przekonania wyznaniowe. Podczas swych wizyt u ministrów i urzędników chińskich spostrzegał również wyraźną lub ukrytą pogardę dla obcokrajowców, dla ich praw i kultury.

Czyżby Chińczycy, których tak gościnnie i serdecznie przyjmują w swych murach uczelnie europejskie, otwierając im drogę do najwyższego poznania swego dorobku cywilizacyjnego, wywozili z zagranicy tylko tę pogardę, szyderstwo i wrogość? - myślał Sergiusz i zadawał sobie następne pytanie: - Jakaż jest tego przyczyna? Czyżby wyrażały się w tych objawach zasadniczo niepodobne lub nawet mające cechy idiosynkrazji cechy umysłowości i poziomu etycznego? Jeżeli istnieją aż tak głębokie różnice, wpływające z psychofizjologii rasy, to oczekiwać należy nieuniknionego starcia się dwóch tych światów, co byłoby groźnym zjawiskiem!

Pewny siebie, głupawy Ku-Lu nie interesował go więcej; postarał się natomiast nawiązać rozmowę z młodszym jego bratem - Janiem. Ubrany jak model z wystawy krawieckiego zakładu, pachnący jakimś Guerlainem, bawiący się monoklem, najmłodszy potomek sędziwego i statecznego Lu-Huna nudził się straszliwie i ziewał. Okazało się, że mieszkał cały rok w Paryżu i uczęszczał do akademii dziennikarskiej - prywatnej, słono sobie każącej płacić za dyplom. Przeprowadziwszy z nim pobieżny wywiad, Wagin przekonał się, że chłopak nie tyle uczęszczał do jakiejś tam akademii, ile na dansingi, do kabaretów i innych miejsc uciech życiowych. Z łatwością można było takie właśnie porobić spostrzeżenia, gdyż elegancki Jań cytował na pamięć wszystkie paryskie vedettes, pamiętał, a nawet fałszywym falsecikiem nucił modne przeboje, szafował hojnie nazwiskami artystek z Folies Bergeres, słynnych modelek i, jak z dumą to podkreślał, kurtyzan, które niewytłumaczonym zbiegiem okoliczności wszystkie mieszkały w bliskim sąsiedztwie - na rue de Constantinople lub na Place Pigalle.

Ponieważ Jań po francusku mógł porozumieć się tylko z Waginem, gdyż inni języka Moliere'a nie znali, nie krępował się w uplastycznieniu swojej jednorocznej akademickiej kariery, dowodząc, że czasu bynajmniej nie zmarnował. Opowiadał więc o swoich romansach, wyrażając się bez cienia nie tylko szacunku, ale zwykłej przyzwoitości o kobietach, i stawał się coraz wstrętniejszym. Na twarzy jego pojawił się ohydny, pożądliwy uśmiech - maska o zwierzęcym wyrazie, tępym, lubieżnym i drapieżnym. Waginowi przyszły na pamięć jakieś bardzo starożytne opisy napadów tatarskich na miasto Riazań, które z niewyjaśnionej bliżej przyczyny przez długi okres stale nawiedzane było przez czambuły chanów Złotej Ordy.

Drewniane miasto płonie. Nad nim kołusze się i pełga, to wzbierając, to przygasając, łuna. Trzask i łomot walących się domów, syk i świst płomieni, dzikie, radosne wycie skośnookich i barczystych Mongołów i inne jeszcze wycie - również dzikie, lecz jęklliwe, pełne rozpachy wycie w popłochu uciekającego tłumu, rżenie konających, zawodzenie i skowyt psów, łopot skrzydeł przerażonego, lecącego w ogień ptactwa, ryk krów i kwilenie koni, daremnie szukających wyjścia z płonących budynków. Na rynku, oświetlonym czerwoną poświatą pożaru, zdobywcy wywlekają z cerkwi ukryte w przybytku bożym młode kobiety. Próżno bronią się i wołają o pomoc! Jeźdźcy stepowi, owinąwszy ich włosy dokoła dłoni, ciągną je tam, gdzie zaczął się mrok. Wydając chrapliwe okrzyki, nasycają swe

żądze białymi ciałami, bezwładnymi z rozpacz i bólu, a potem z głośnym śmiechem nożami zadają cios śmiertelny chwilowym, sponiewieranym kochankom.

Wagin, chcąc się zemścić na bezczelnym Chińczyku, spytał go nagle:

- Zna pan w Paryżu Monę Lizę?

Jań zmarszczył czoło i wstawiając monokl do oka, odpowiedział niedbale:

- Słyszałem o niej, tak, tak, coś mi o niej mówiono. Jakiś skandal. Nie miałem jeszcze czasu poznać jej.

Sergiusz parsknął śmiechem i zadał nowe pytanie:

- Pan zapewne niebawem już zacznie pisać artykuły w dziennikach?

- Naturalnie. Właśnie obmyślam sobie temat - odpowiedział z namiętną powagą absolwent akademii dziennikarskiej.

- Doskonale! - uśmiechnął się Sergiusz. - Niech pan tylko nic nie pisze o Luwrze, ale nie o tym od grands magasins, gdzie pan nabył ten garnitur, krawat, lakierki i monokl, lecz o Luwrze - skarbcu sztuki, bo tam właśnie mógłby się pan poznać z Moną Lizą pędzla genialnego Leonarda da Vinci. Wie pan, tego, co to był malarzem i rzeźbiarzem w wiekach średnich we Włoszech i namalował.

- Ach, sztuka europejska! - przeciągnął pogardliwie Jań, wyrzucając z oka szkło. - My - Chińczycy nie mamy tam nic do podziwiania! Farby, farby, farby i bezmyślne kopiowanie natury!

- Lepsze są kurtyzany europejskie - nieprawdaż?

- A tak! - prężąc się lubieżnie, zgodziła się młoda latorośl Lu-Huna.

Stary Chińczyk z wyraźnym niepokojem przysłuchiwał się niezrozumiałej rozmowie.

- Muszę jednak pana nieco rozczarować, drogi panie Jań - szepnął młodzikowi do ucha Wagin. - W okolicy placu Pigalle, jak Paryż - Paryżem, nigdy nie mieszkały kurtyzany, ba - nawet porządne kokoty! Te, co kochały się w panu i pozwalały się targać za włosy i kopać nogami (widziałem to w Paryżu na własne oczy), były to pospolitego, a nawet raczej najgorszego gatunku grzes. Można obserwować wieczorami na rogach ludnych ulic te biedne petites femmes, które muszą pozwalać na różne świństwa, by nie umrzeć z głodu.

To oświadczenie dopiero zdruzgotało Jania, a tak głęboko, że nawet nie zdołał powstrzymać okrzyku oburzenia:

- Co pan mówi! Czyż to możliwe? A ja myślałem...

- Źle pan myślał! - zakończył rozmowę Wagin i podszedł do Lu-Huna. Obok niego stali jego starsi synowie. Poważni, milczący i skupieni wyglądali dostojnie w ciemnych strojach narodowych. Rozmawiali z Bojcowem po niemiecku. Musieli się nauczyć tego języka, gdyż firma ojca przed wojną prowadziła rozległe interesy z Hamburgiem.

Sergiusz, nie zwracając już uwagi na Ku-Lu-Huna of University of London i na Jania, który w ciągu roku nie miał czasu poznać się z Moną Lizą, wdał się w ożywioną rozmowę z gospodarzem i jego starszymi



synami z pierwszej żony. Uświadomił sobie, że byli to ludzie rozumni, wnikliwi i skromni w wypowiedaniu własnych myśli, lecz z niektórych ich powiedzeń wyzierała wszakże z różnych źródeł zaszczerpiona Chińczykom nieufność i niechęć, a nawet lekka pogarda do wszystkiego, co nie było rdzennie chińskim lub przynajmniej japońskim.

To pozostawiało, jak zwykle po rozmowie z obywatelami tego kraju, przykry po sobie osad. Za to obiad był wspaniały - prawdziwie chiński, wytworny i starannie obmyślony. Wagin po raz pierwszy uczestniczył w takiej uczcie. Najwyszukańsze przysmaki zjawiały się na stole w ściśle przez kulinarię chińską ustalonym porządku z siedmiu gam smakowych o interwałach z zup, o tercję ostrzejszych od poprzedzającej je gamy. Ostrygi i ślimaki lądowe w różnych postaciach - od zupy do pasztetu, młode pędy bambusów, rdzeń pewnego gatunku palmy, kapusta morska, raki, głowonogi, potrawka z gniazd jaskółczych, galareta z płetwy rekina, jakieś pieczone ptaszki z sałatką z hub, hodowanych na gnijących dębach, ryby w niezliczonych odmianach, ryż z różnymi sosami, dodatkami i okrasą - wszystko to popijano dobrym winem francuskim z piwnic firmy Lu-Huna.

Po obiedzie, podczas deseru i herbaty przybył jeden z generałów chińskich, ale posłyszawszy od Wagina o zajęciu Mongolii przez bolszewików, przeraził się i czym prędzej pomknął do sztabu. Sergiusz nie wątpił, że władze wojskowe nie posiadały żadnych informacji o tak ważnym dla Chin wypadku. Mimo woli pomyślał, że widocznie organizacja wojskowa stała na niedostatecznie jeszcze wysokim poziomie i że Chińczycy przynajmniej pod tym względem nie mają powodu do bezwzględnej pogardy dla Europejczyków.

- Nie wątpię, że w Londynie i Paryżu wiedzieli o proklamowaniu niezależnej Mongolii w tym samym już dniu, kiedy czerwone oddziały wkroczyły na jej terytorium, tymczasem rząd wasz dotychczas, jak mogę sądzić, nie został o tym powiadomiony - zauważył Wagin.

Chińczycy milczeli i tylko Jań nucił głupi kuplet francuski:

Et voici et voil L 'amour par la.

Ojciec, zgorzony i zawstydzony, spoglądał na syna karcącym wzrokiem, lecz ten nic sobie z tego nie robił, powoli cedząc wino przez zęby.

- W pięknym miejscu zbudowaliście państwo swój dom! - powiedział Wagin, aby przerwać zapadłe nagle milczenie.

Lu-Hun wzruszył ramionami i odparł:

- To ojcowie zbudowali, synowie zaś odbudowywali go już kilka razy.

- Pięknie stąd musiała wyglądać porcelanowa pagoda! - ciągnął Sergiusz

zwracając się do Ku-Lu, dodał: - Być może, stąd właśnie spoglądał na nią natchniony Longfellow, gdy napisał (pamięta pan ten ustęp z Keramosa?):

And yonder by Nanking, behold

The tower of porcelain strange and old.

Wagin zaczął obierać gruszkę, rozwijając jednocześnie swoją myśl:

- Tak! Zdumiewająca była ta starożytna, niezwykła pagoda! Tyle pokoleń spoglądało na nią, a przecież przyszedł czas i zburzono ją. Z jej kopuły z brązu, jak zapewniał mnie profesor Cist Gee z Szanchaju, mieszczuchy zrobiły sobie sadzawkę, a cały przepych emalii i porcelany sprzedają angielskim i amerykańskim zbieraczom okazów sztuki. Nic nie ma trwałego pod słońcem!

Powiedział to po niemiecku, aby wszyscy mogli go zrozumieć. Chińczycy spojrzeli na niego bystro. Zapewne wyczuli w jego słowach aluzję do samych Chin. Nie chciał jednak, żeby zrozumieli go fałszywie, więc dodał:

- Na całym świecie w różnych czasach burzono stare zabytki i stare tradycje, a jednak kraje i ludy nie ginęły razem z nimi, lecz przeciwnie - potężniały nieraz.

Lu-Hun uprzejmie uśmiechał się i kiwał głową.

Jeszcze dzień jeden spędził Wagin w Nankingu, używszy go na rozmowy z ministrami. Miał nadzieję, że wiadomość o ostatecznym odpadnięciu Mongolii pobudzi rząd do bardziej energicznych posunięć. Zawiódł się jednak. Chińczycy zupełnie nie byli zdolni do natychmiastowego reagowania na grożące im niebezpieczeństwo. Zdawało się, że byli pozbawieni instynktu pośpiechu. Minister spraw zagranicznych przygotowywał się z wolna do wystosowania protestacyjnej noty, która miała być doręczona poselstwu bolszewickiemu. Władze wojskowe otrzymały rozkaz by niczym nie zaostrzać sytuacji. Wytworzył się stan tak beznadziejny, że Wagin zmuszony był znowu żądać stanowczej odpowiedzi, gdyż w końcu nie miał już pojęcia, czy rząd w ogóle ma zamiar przyjmować broń, dostarczaną przez kompradora. Po raz dziesiąty chyba posłyszał, że powinien robić to na własne ryzyko, a potem - te same niedomówienia, mgliste obietnice, jak gdyby zdumienie lub zupełna obojętność.

Wagin wpadał w szal. Bojcow uspakajał go.

- Daj im pan spokój! Swoim natarczywym żądaniem stanowczej odpowiedzi przeraża pan tylko ministrów. Chińczyk samemu Bogu nigdy nie da od razu ostatecznej odpowiedzi! To nie leży w ich naturze. Ale broń jest potrzebna, więc swoje zrobią! Bądź pan dobrej myśli! Jutro rano już odpywamy.

- Wagin wyszedł z domu pełen najczarniejszych przeczuć i długo błąkał się po mieście. Nie podobał mu się ogólny jego wygląd ani też tłum, spotykany na ulicach. Jasne, prawie białe gmachy z bloków cementowych amerykańskiej architektury i konstrukcji wydawały mu się zupełnie niestosownymi - zbyt ciężkie i nieharmonizujące z tak tradycyjnym miejscem, gdzie nieraz rozstrzygały się zagmatwane losy Chin. Również raziły go brzydkie, nieprzemawiające do wyobraźni zabudowania licznych protestanckich misji religijnych, wieżyczki nad kaplicami gotyckimi i nudne postacie pastorów, wykładających w szkołach dla Chińczyków. Nawet współcześnie zbudowany i urządzony uniwersytet z jego zakładami pomocniczymi nosił pieczęć jakiegoś intruza w tym mieście, siedem razy podnoszonym do godności stolicy Państwa Nieba. Wrażenie to wzmagало się, gdy skądś nagle wyłaniała się starożytna, obrośnięta tamaryndami brama w burzonych obecnie murach miejskich, słynących na całe Chiny ze swojej grubości i wysokości, dochodzącej do sześćdziesięciu stóp. Te to mury służyły dawnym poetom chińskim za temat do opiewania niezdołanego nigdy Kin-Lingu, Tan-Jangu, Kiang-Nanu i Szang-Czou, gdyż takie miana nadawano Nankingowi na przestrzeni dwóch

tysięcy trzystu lat jego istnienia na tym samym miejscu nad Jangcy-Kiangiem. Tam i sam przetrwały jeszcze kamienne mostki rzeźbione z czasów panowania Mingów, łączące brzegi nieistniejących już teraz potoków, ujętych w sieć podziemnej kanalizacji. Groźny wódz piratów Koksang i muzułmańscy Tajpingowie, przez jedenaście lat trzymający w swoich rękach Nanking, zrównali z ziemią najwspanialsze pomniki byłej świetności stolicy, a potem nowy rząd republikański zakończył ich burzycielską robotę, planując nowoczesną stolicę i fortecę na Lwim Wzgórzu, dokoła którego bogaci Chińczycy pobudowali swoje pałacyki i wille. Jakże raziły oko Wagina gmachy nowoczesne, koszary wojskowe, kable elektryczne i tramwajowe, gdy na Pagórku Gwiazdy Północnej wyrosły przed nim ciemnowiśniowe, lakierowane ściany i fantastycznie powyginane czarne dachy świątyni Tao z majestatyczną bramą Paj-lu, opisaną przez Marca Polo, przyjaciela i doradcę wielkiego Bogdo-chana. Na szczęście nie zwiedzał położonych za miastem mauzoleów cesarzy z dynastii Mingów - na szczęście, gdyż zasmuciłby się, widząc, że wszystkie te stare budowle od dawna potraciły swe dachy i ozdoby zewnętrzne, a prowadzące do nich drogi zarosły burym zielskiem i krzaczkami dzikich irysów. Architekci, przeistaczający odwieczne miasto na współczesne, amerykańizowane city, niechętnym okiem spoglądają na te ruiny królewskie. Nie darmo wszakże są republikanami i demokratami! Zdaje się, nikt już nie pamiętał prawdziwie wzruszającego momentu, gdy wódz ostatniej rewolucji, stanąwszy wśród grobowców Mingów, duchom ich oznajmił, że dynastia mandżurska, która pozbawiła ich tronu, sama też już istnieć przestała. Gdyby Wagin widział to i wiedział wszystko o dawnych dziejach stolicy, poczułby nienawiść do aroganckich buildings nowoczesnych i ich twórców, ale Sergiusz, nie mając ze sobą przewodnika, nie podejrzewał nawet, że już zniesiony został taki przeżytek, jak sławetna sala egzaminacyjna, gdzie dwadzieścia tysięcy kandydatów na urzędy państwowe rokrocznie ubiegało się o przyszłą swoją karierę; że od dawna zasypano jezioro lotosów i z trudem udało się tymczasem obronić przed zniesieniem starożytną świątynię Konfucjusza.

Ulice i place były zatłoczone, gdyż przeszło półtora miliona mieszkańców pędziło obecnie życie w Nankingu. Wygląd tłumu zwrócił na siebie uwagę Sergiusza, gdyż wydało mu się, że, za wyjątkiem przekupniów ulicznych i kupców, stojących przed sklepami, widzi przed sobą jedynie urzędników i wojskowych. Cywile przechadzali się powolnym krokiem, gapiąc się na wystawy i afisze kina i teatru lub wchodząc do kawiarni z minami ludzi, oczekujących jakiegoś zlecenia, które nie nadchodziło. Wojskowi gdzieś się śpieszyli i widocznie wiedzieli ściśle, co mają robić. W tym tłumie na każdym niemal kroku można było spostrzec Japończyków i Japonki. Pierwsi mieli na sobie europejskie płaszcze z kołnierzami z jakiegoś rudego futra, drugie - ciemne, skromne kimona i geta, włożone na białe skarpetki, odsłaniające żółtawosmągłe, silne, chociaż nieco krzywe łydki. Dopiero w południowej części miasta Wagina znalazł się w prawdziwie chińskiej dzielnicy. Nabyta w Czapei wprawa pozwalała mu odróżniać znane mu od dawna typy - kupców, rzemieślników, kulisów, żebraków, pstro ubranych prostytutek i bandytów, spokojnie rozmawiających z żołnierzami i policjantami w europejskich mundurach i czapkach.

W tej dzielnicy przechowały się jeszcze stare świątynie i tak zwykłe dla miast chińskich - brudne, wąskie, ciągle załamujące się uliczki, szarożółte, kryte trzcina domy i szopy, potrzaskane, osypujące się mury, chude, głodne psy, parszywe, łyse kotki i umorusane dzieci, grzebiące się w kupach śmieci i odpadków. Powrócił do domu, kiedy w nowym mieście zapalono już latarnie elektryczne.

Nazajutrz około godziny ósmej z rana statek, wyciągnąwszy kotwicę, gwizdnął krótko i przewalając się ciężko, ruszył w górę rzeki. Sergiusz stał przy burcie i przyglądał się wirującej, mętnej strudze, która mknęła ku morzu. Na ostrych zakosach łożyska rzeka biła potężnie w brzeg, podmywając żółtą ziemię.

Całe warstwy jej wraz z trawą, krzakami i nawet gaikami obsuwały się do rzeki, a potężny prąd porywał wszystko w swe wiry, niby szczękami potwora druzgotał, miażdżył i mełł na drzazgi, na miął, na męty. Z żółtego nurtu wylaniały się chwilami rozdęte kadłuby krów i świń, unoszonych wartem, na łasze leżał wyrzucony przez rzekę trup Chińczyka bez głowy. Widniały szerniałe strzępy skóry, żył i mięśni. Obok niego, kwiląc cienko i wyciągając wstrętą, gołą szyję, stał sęp. Statek sunął ostrożnie i bardzo powoli, bo kapitan obawiał się zderzenia z płynącymi konarami drzew. Gdzieś, być może, na spychach tybetańskich powódź zerwała całe połacie lasów i zdobycz swoją oceanowi posyłała w ofierze. Nie dopłynąwszy do Ankingu, zanocowali przy wysokim brzegu. W pobliżu nie było zapewne żadnego osiedla, bo wśród niewysokich pagórków przez całą noc zawodziła para wilków, im znów odpowiadały trwożne i złośliwe krzyki nocujących gdzieś wron. Pluskała i syczała Jangcy, wzbierając coraz bardziej. Koło południa nazajutrz rzucili kotwicę w Ankingu. Tłum Chińczyków zgromadził się na brzegu. Podpływały czółna i zabierały towary, przywiezione dla kupców miejscowych, i worki z pocztą. Bojcow załadował na pokład plecione kosze z olejem soja, worki z ryżem, prosem i solą. Gdy skończył już ładowanie, do burty podpłynęła mała łódeczka, poruszana jednym wiosłem, umocowanym na rufie. Wysiadł z niej i wszedł na pokład wysoki, chudy, niestary jeszcze Chińczyk. Wąska twarz o orlim nosie i ostrych rysach jak gdyby węszyła coś i groziła komuś. Z rozmowy okazało się, że jest to owa zaufana osoba, o której uprzedzono Wagina w Nankingu. Człowiek ten, mówiący biegle po angielski i rosyjsku, nie przypominał wcale ani z powierzchowności, ani też z charakteru niezdecydowanych, chwiejnych i nieuchwytnych Chińczyków. Zrozumiałe, zwięzłe i stanowczo wyjaśniał, jak należy postępować, aby przedsięwzięcie udało się i zadowoliło rząd.

- Gdyby to zależało ode mnie, mianowałbym pana, panie Hung-Wu, ministrem zaopatrzenia! - zawołał zachwycony nim Wagin.

Groźna twarz Chińczyka poweselała nagle, a w czarnych źrenicach zamigotało szyderstwo.

- Pan mi pochlebia! — odpowiedział z ukłonem. — Ale, wydaje mi się, że kandydatura moja upadłaby natychmiast! Cha, cha, cha! Jeden tylko z moich dawnych kolegów zrobił tak błyskotliwą karierę! Jest nim czcigodny marszałek Dżan-Dżo-Lin, wielkorządca w Mukdenie. Należeliśmy przed piętnastu laty do jednej i tej samej organizacji.

- To znaczy, że pan był hunhuzem?! - wyrwało się Bojcowowi, który przysłuchiwał się całej rozmowie.

- Do usług! - zaśmiał się Hung-Wu. - Grasowałem na pograniczu rosyjskim i koreańskim, a potem przeniosłem się do floty, bo byłem piratem w zatoce kantońskiej i psułem tam krew Anglikom z Hongkongu i Portugalczykom z Makao!

Wagin uważnie przyglądał się mówiącemu. Niezmieszany tym bynajmniej Hung-Wu przedstawił mu cały plan transportu broni.

- Popłyniemy kilka godzin jeszcze w górę rzeki. Tam za Huangczou, gdzie zaczyna się już pagórkowata kraina, staniemy na kotwicy. Zaprowadzę was do miasta mężczyzn.

- Co to jest? - spytał Sergiusz.

Na to odpowiedział mu Bojcow:

- To już jest chyba wyłącznie chiński wynalazek! Wyobraźcie sobie jakąś klęskę, która tysiące ludzi skazuje na śmierć głodową. Takie klęski stale, bo już od wieków, nawiedzają Chiny. Mam na myśli wojnę domową i wszystko, co jest z nią związane. Otóż tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy.

- Nawet setki - dorzucił Hung-Wu przez zaciśnięte zęby. Tak! - opowiadał dalej szyper. - Te tłumy od czasu do czasu zbierają się w jakimś określonym miejscu i stąd ruszają w świat. Suną jak te mrówki koczujące i jak one - drapieżne. Nigdy nie wiadomo, kto prowadzi tych włóczęgów, gdzie i co ich w końcu zatrzyma! Wcześniej wszakże lub później sunąca horda osiedla się na jakimś odludziu i zakłada miasto. Jakie - to sami ujrzycie, więc nie będę opowiadał. Żyją ci biedacy w sposób nieprawdopodobny i niezrozumiały. Z rzadka przybiega do nich ten lub ów z agentów, pozostawionych po miastach, i uprowadza potrzebną ilość ludzi na jakieś roboty, wymagające niewybrednych, najtańszych na świecie robotników. Takie to jest właśnie miasto mężczyzn!

- To znaczy, że kobiet tam nie ma? - spytał Wagin.

- Ani jednej! Zakazane jest to pod strachem śmierci - uśmiechając się, powiedział Chińczyk.

- Od kogo pochodzi tak dziwny, sprzeczny z naturą zakaz?

- Tego to nikt nie wie, lecz każdy mieszkaniec uznaje niewidzialną władzę! - z zagadkowym uśmiechem objaśnił Hung-Wu. - Byłem i ja, zanim wstąpiłem do organizacji bandytów, mieszkańcem miasta mężczyzn. Znajdzie pan tam tylu tragarzy, ile panu będzie potrzeba. W mieście tym zgromadziło się około siedemdziesięciu tysięcy mężczyzn! Wybór duży! Pójdą oni na każdą robotę! Żadne niebezpieczeństwo nie przerazi ich i nie wstrzyma!

- Pan nam dopomoże? - spytał go Wagin.

Hung-Wu wzruszył ramionami i skinął głową.

- Tak jest! - powiedział. - Przecież i teraz pędzę życie z tymi nędzarzami.

- Pan w mieście mężczyzn? - zdumiał się Bojcow.

- Spełniam pewne zlecenia rządu - odparł wymijająco Chińczyk i spojrzawszy na słońce, powiedział: - Moglibyśmy już ruszyć.

Szyper gwizdnął. Majtkowie poczęli wyciągać kotwicę. Zgrzytał łańcuch kabestanu. Syczała para.

#### IV. MIASTO MĘŻCZYZN

Już słońce kryć się poczynęło za dalekim horyzontem. Jego czerwone promienie w strugę gęstej krwi zmieniły mętną wstęgę rzeki. Rybitwy szybowały nad wodą, wymachując żarżółtymi skrzydłami, wpadały do nurtu i odlatywały unosząc zdobycz. Na ich miejsce przybywały inne i walcząc z wichrem, jęczały drapieżnie, wpatrując się w mknącą zwarę, całą w pianie, wirach i syczących lejach. Statek, lawirując wśród licznych w tym miejscu wysepek, pokrytych lasem lub wysokimi trzcinami, spotykał ciężko naładowane dżonki żaglowe, o wysoko podniesionych rufach i płaskich dziobach. Wiozły one ryż, proso, pszenicę, herbatę i towary z uprzemysłowionych i niedawno jeszcze przysłowiowo bogatych miast, leżących tuż obok siebie nad Jangcy. Hanyang, Hańkou i Wuczang na tych krypcach

posyłały eksporterom na Wusungu swoje słynne na cały świat wyroby i najwyższe gatunki herbaty dla Rosji i Anglii. Na końcach masztów, łopocząc, miotaly się na wietrze i głośno furkotały barwne papierowe smoki i trójkątne banderki z hieroglifami właścicieli. Fałdziste, czerwone lub żółte żagle prężyły się na grubych rejach bambusowych i dudniły, chwytając wiatr. Na wysokiej rufie przy radłę rzeźbionego i w jaskrawe pasy pomalowanego steru siedział sztywny szyper, zapatrzony w dym tlejącej fajki o długim cybuchu. Chociaż czerwień zachodzącego słońca dobrze jeszcze rozświetlała łożysko rzeki, na dziobie zapalono już białą latarnię, wiszącą na wysokim słupku. Dżonki, przepływając obok burty statku, jak gdyby witały go poświstem i poszumem wiatru wśród lin i graniem przetłuszczonych żagli. Czasem tylko z pokładu jakiś majtek, niewidzialny wśród skrzyń, koszów i baryłek, rzucał krótki, chrapliwy okrzyk.

Z lewego brzegu aż do samej wody zbiegać zaczęły coraz częstsze pagórki, pocięte głębokimi wąwozami. Tam i sam widniały prawie czarne, małe gaje grabowe - zwykła oznaka cmentarzy. Wreszcie statek stanął w pobliżu brzegu i mocno się zakotwiczył. Na maszcie i na rufie majtek pokładowy zapalił białe latarnie; na burtach rozbłysły, odbijając się w wodzie, zielone i czerwone znaki ostrzegawcze. Zmrok zapadł i zaległa cisza, przerywana z rzadka głośniejszym pluskiem fali, głuchym uderzeniem płynącego drzewa o żelazny kadłub statku i dalekimi pokrzykami rybitw. Podpłynęła łódka z Chińczykiem na wiosle rufowym. O coś zapytał i natychmiast odbił od burty, posłyszawszy krótką odpowiedź Hung-Wu. Noc mijała powoli. Umilkły ptaki. Zgrzytał o poszycie statku unoszony prądem piasek i szeleściły gałęzie płynących krzaków, czepiając się dziobu i kół.

O świcie Wagin z Hung-Wu, przebrany w jakieś łachmany, odpłynęli do brzegu. Długo szli potem krętym, głębokim wąwozem, gdzie biegł potoczek, warcząc i dzwoniąc po kamieniach. Na wilgotnej ziemi widniały ślady ludzkie. W jednym miejscu na piargu leżało rzucone pudełko od zapalek. Żaden jednak dźwięk nie zdradzał obecności człowieka do czasu, aż spoza załamania wąwozu wyszło trzech Chińczyków. Jakieś dziwne postacie, owinięte w stare, brudne worki konopne, z szmatami na głowach i stopach. Wychudzone twarze, płonące oczy i ziemista skóra, zdawało się, krzyczały o nędzy i głodzie. Podejrzliwie, a jednocześnie z nadzieją przyglądali się cudzoziemcowi, a na skinienie Hung-Wu poszli przed nimi, wskazując drogę. Wąwóz rozgałęział się nagle, tworząc całą sieć węższych i jeszcze bardziej zawitych jarów i rozłóg. W tym właśnie miejscu, z dala od większych miast i osad, prawie niewidzialne dla niewprawnego oka powstało ludne miasto. Miasto nędzy, ohydy, obłudnej, rozpaczliwej rozpusty i śmierci. Ostatnia próba ratunku, prawie beznadziejna, tragiczna bezmiernie. W żółtej, miękkiej ziemi, przez wichury przyniesionej tu niegdyś z pustyni, ukryły się tysiące bezdomnych, nikomu niepotrzebnych skazańców. Zgrubiałymi, drżącymi z wyczerpania, skostniałymi z zimna rękami, zdzierając skórę z palców i odrywając paznokcie, ci nędzarze, zbiegowie przed śmiercią, ryli sobie schrony podziemne, do grobów podobne. Tysiące ich powstało w ciągu kilku dni, a w następnych powiązano je i połączono siecią przejść, przełazów i szczelin ogromnego kretowiska. Wodą skropiono sklepienie i ściany, rękami i drzazgami wypolerowano te nory, aż się scementowała żółta, lepka ziemia i połysku marmuru nabrały te barłogi ludzkie.

Płonie, podsycane suchymi trzcunami i odłamkami gałęzi, ognisko, rzucając czerwone, ponure światło dokoła. Tam, na kupie rupieci, sen litościwy ukoił łachman ludzki, co chrapie, niepomyślny już nędzy minionego dnia; obok, w takiej samej norze - ludzie, pochyleni nad blaszanym kociołkiem, laseczkami i palcami coś wyciągają z niego i jedzą, żując w skupieniu starannie, powolnie, by przedłużyć radość oszukańczego i krótkiego nasycenia; tu znów - ktoś omotany szmatami wydał ostatni w życiu jęk, drgnął i zeszywniał. Wielkie jest jednak to kretowisko i ileż w nim ukrywa się różnych ludzi, a z nimi

razem ileż ludzkich namiętności, pomysłów i udręk?! Szczególnie w nocy. Jakżeż dziwnie i strasznie pod tymi wysmyganymi sklepieniami, co przytłaczają wszystko swym ciężarem i mętym połyskiem, brzmia pocałunki, słowa zazdrości, obietnic i groźby, a potem - odgłosy bitwy zacieklej i okrutnej, walki mężczyzn o mężczyznę. Tam i sam w miejscach najtajniejszych unosi się gorzko-słodkawy zapach dymu opiumowego - zamierające echa przeszłości, ostatej ucieczki i radości; w innym znów zakątku rozlega się zgrzyt zębów i urywany, groźny oddech graczy, stawiających na kartę wszystko - do ostatej łachmana, a nawet siebie samych. Po nocach również, gdzieś w obszerniejszej norze gromadka mieszkańców straszliwej osady podziemnej rozważa i przygotowuje jakiś plan zuchwały i zbrodniczy. Mroczny obraz życia ludzkiego, co jak iskra w mętym, zniszczonym zwierciadle odbija się i przełamuje w bagnie tego kreciego, ohydneho istnienia. Dokoła czarnych szczelin zarażają powietrze kupy nieczystości, cuchnące kałem i zgnilizną odpadków. Śmigają tu myszy i gryzą się o resztki jada szczury rude, głodne.

Straszne są noce w kretowisku miasta mężczyzn. Czyjeś oko, wszystko widzące, czyjeś ucho, pochwytujące każdy szmer, czyjaś dłoń, nieznająca miłosierdzia, czuwają tam i działają przez całą noc - od pierwszych chwil powstania miasta i do ostatej, gdy mieszkańcy legowisk porzucą to miejsce przeklęte, przywalając wejścia i chodniki, paląc drobne, z gałęzi sklecone szałas i zacierając wszelkie ślady swego w nich pobytu. Tam w nocy ktoś nieznany, a pieczołowity szczelnie zamuruje norę z nieboszczykiem; gdzie indziej porwie bez szmeru i krzyku młodzieńca, o którego swarzą się inni, uduś go i ukryje na zawsze od oczu ludzkich; tu - jak duch zniszczenia i śmierci zakradnie się do graczy i błyskiem noża zgasi płomień hazardu; czasami - przez nikogo niespostrzeżony jednemu zabierze nadmiar pożywienia i podrzuci je temu, który osłabł już z głodu i zmarniał do reszty. Wielki On, tak nazywa go ludność kretowiska, nie widząc i nie słysząc go nigdy, lecz w każdej chwili wyczuwając obecność jego, władzę i mądrość. Jest on wodzem i bogiem, ale biada temu, komu późnej godzinie nocnej zajrzy źrenicami w źrenice. Wielki On staje się wtenczas czarnym duchem śmierci, sędzią bez litości i katem. Takie to są noce, płynące leniwie pod niskim sklepieniem nory podziemnej. A dzień? Dzień są inne, odmienne zupełnie. Pustoszeje to miasto ponure

chyba tylko rozlegnie się czasami jęk chorego lub rżenie konania. Wszystko, co żyje, co może myśleć, pragnąć i działać, wykrada się przed brzaskiem na walkę o ten dzień, co zaledwie świtać poczyna.

Jak robactwo, nagle spłoszone, wypełzają nędzarze ze swych nor i rozpraszają się po bliższej i dalszej okolicy. Wyłapują ryby w rzece, zbierają muszle mięczaków; wykopują krety i pożywne korzenie; chwytają w sidła szczury, myszy i ptaki; skradają się do wiosek i czatują na kury, psy i koty, błakające się po polach; zuchwalsi i silniejsi robią wyprawy do daleko nawet położonych miast, gdzie łatwiej o zdobycz, bo nadarzyć się tam może sposobność włamania się lub zbrojnego napadu na bogaty sklep czy skład, uda się nieraz ograbić karawanę z ryżem i herbatą, nastraszywszy furmanów, a nawet podpłynąć do stojącej na kotwicy dżonki i związawszy załogę, wyładować wory z pożywieniem. Nikt tam potem nie będzie optakiwać lub choćby wspominać towarzysza, który nie dopłyne do brzegu i krzyknąwszy przeciągle, zniknie na zawsze w żółtym nurcie, albo innego, gdy go pochwyci policja i odrąbawszy mu głowę w jaomyniu, ciało strąci do rzeki! Biada jednak takiemu mieszkańcowi, który, z nawyku zbrodniczego, zamorduje sąsiada albo z głodu porwie innemu placek ryżowy czy flaszkę z oliwą. Wielki On dowie się o wszystkim, a ledwie noc zapadnie, wślizgnie się do nory mordercy lub rabusia, z nim zaś razem zawita śmierć. Ten niewidzialny człowiek czy duch rządzi i kieruje tu wszystkim. Gdy przychodzi wieść o robotach i zapotrzebowaniu ludzi do niej, Wielki On w sposób

niewytłumaczony daje niezbędne wskazówki. W pierwszej kolei wyruszają najstabsi, najbardziej znękanii. W dzień odejścia znajdą oni pożywienie, podrzucone do ich nory, aby mogli nabrać sił na drogę. W drugiej kolei pójdą zdrowsi i silniejsi. Nikt tam nie złorzeczy, nikt się nie sprzeciwia, gdyż wie, że musiałby to życiem przepłacić.

Tak żyło to straszne miasto mężczyzn, do którego pewnego dnia wchodził Wagin, rozglądając się dokoła ze zdumieniem. Widział tylko ścieżki, wydeptane po zboczach pagórków. Gdzieś czerniały mroczne szczeliny w spychach jarów, zarośniętych szczeciniastą trawą lub burymi krzakami. W rozłogach widniały nędzne szałas i długie, niskie szopy o strzechach trzcinowych. Tam i sam z otworów ziemi wysączał się niebieskawy dym, lecz, smagnięty wiatrem, rozwiewał się bez śladu.

Hung-Wu wskazał Waginowi wejście do podziemi. Schyleni wpół sunęli wąską szczeliną, aż po długim kluczeniu w ciemności znaleźli się w dość obszernej pieczarze. Snop światła, wpadający przez otwór w sklepieniu, rozpraszał mrok. W najciemniejszym kącie w małej wnęce płonął, kopiąc, czerwony płomyk nad jakimś czerepem glinianym. Rozchodził się dokoła cikliwy zapach przypalonego oleju.

- Proszę nikomu nie mówić, że jestem panu polecony przez rząd! - szepnął nagle Chińczyk. - Byłoby to szkodliwe dla sprawy. Niech pan zaczeka chwilkę, zaraz powrócę.

Zniknął w jakimś niewidzialnym otworze w ścianie. Wagin nie mógł pochwycić nawet odgłosu jego kroków. Chrząknął cicho i przekonał się, że głos ginął tu bez echa.

Grób! - pomyślał mimo woli i dreszcz przebiegł mu po grzbiecie.

Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej, gdyż spostrzegł powracającego Hung-Wu. Za nim jeden po drugim do pieczary weszło kilkunastu Chińczyków. Hung-Wu zwrócił się do nich z mową, a potem, mrużąc oczy i krzywiąc usta, w milczeniu słuchał chrapliwych, skrzeczących głosów obdartusów, którzy od razu zaczęli spierać się o coś i skakać sobie do oczu, najwyraźniej nie mogąc dojść do ugody. Ponieważ kłótnia się przeciągała i nic nie zapowiadało prędkiego zakończenia jej, Hung-Wu porozumiewawczo spojrział na Wagina i skierował się ku wyjściu. Gdy byli już na brzegu rzeki, milczący przez cały czas Chińczyk syknął:

- Jutro rano będą tragarze!

- Nie wydaje mi się, żeby ci tam porozumieli się prędko - uśmiechnął się Wagin.

- Jutro rano będą tragarze! - powtórzył z naciskiem Hung-Wu, a źrenice jego zwięzły się gwałtownie.

Wagin wsiadł do łódki, gdzie czekał na niego marynarz ze statku, i odpłynął, nie bardzo polegając na energicznym zapewnieniu aczkolwiek zaufanej, lecz niezmiernie tajemniczej osoby, polecanej mu przez panów z rządu nankińskiego. Na wszelki jednak wypadek, powróciwszy na pokład statku, poprosił szypra, aby kazał wydobyć spod pokładu skrzynie z bronią i ładunkami. Sergiusz przez cały dzień pozostawał na mostku kapitańskim, wpatrując się w faliste zarysy łańcucha pagórków, we wnętrzu swoim ukrywających miasto mężczyzn. Nic nie wskazywało na to, że w tej miejscowości mogło się znajdować tak wielkie zbiorowisko ludzkie. Nawet dymów, wychodzących z labiryntu kryjówek podziemnych i z pieca szopy, nie wykrywał wytężony wzrok Wagina. Raz tylko w oddali przecięła rzekę mała łubanka, lecz i ona natychmiast zapadła do chaszczki trzcin nadbrzeżnych i więcej się nie pokazała.



Wagin poza sprawą wystania broni długo nie mógł o niczym innym myśleć, coraz bardziej poddając się uczuciu niepokoju. Nie wiedziałby przecież, jak ma postąpić w wypadku, gdyby mu się nie udało znaleźć tu pewnych tragarzy. Drażniło go też poniżające poczucie zależności w całej tej sprawie wyłącznie od nieznanego mu i bardzo dziwnie zachowującego się Hung-Wu.

- Ależ miał na kim polegać rząd w Nankingu! - oburzał się. - Czyż ministrowie nie mają już innych ludzi, żeby aż szukać zaufanej osoby wśród dawnych bandytów?

Zmęczyły go wreszcie niepewność i niepokój. Wpadł w stan zgnębienia nerwowego, nie spostrzegając prawie, że jakieś myśli przesuwają mu się w głowie, niby mgliste, nierealizowane w mózgu obrazy, niby cienie, majaczące na dalekim, półciemnym ekranie. Ponieważ jednak powtarzały się one raz po raz, natarczywie dopominając się ujęcia ich w czasie, przestrzeni i kształcie, Wagin zaczął doszukiwać się przyczyny dotychczas podświadomej pracy mózgowej i drażniących go, niejasnych wrażeń, pozostawiających po sobie wyraźnie odczuwane ślady. Dziwnym procesem psychicznym przeniósł się nagle do palarni opium w Czapei i szepnął do siebie:

- Doktor Plen przydałby mi się tu ze swoją wspaniałą chińszczyzną!

W wyobraźni odtworzył sobie dziwną postać przyjaciela. Stał

przed nim jak żywy, wpatrzony niebieskimi oczyma w jego źrenice. Doktor głaskał chudą, pomarszczoną dłoń rudawą brodę i uśmiechał się do Wagina życzliwie, a nawet radośnie. Sergiusz ujrzał, jak poruszyły się świeże wargi prawie kobiecych ust Plena i padły słowa, natychmiast pochwycone słuchem:

- Tylko silni wytrwają.

Wagin był tak pochłonięty realnością swej wizji, że nawet nie zdziwił się, postyszawszy zagadkowe słowa Plena, ale w tej samej chwili myśl jego, zdać się mogło, bez żadnego związku z wrażeniami, pobiegła ku Ludmile i natarczywie pytała kogoś:

- Czy wytrwa ona? Czy jest silna?

Wagin poruszył się gwałtownie. Zjawa rozproszyła się w szarości oparów nad rzeką, ale dziwnie niepokojące teraz pytanie nie odbiegło i wciąż żądało odpowiedzi. Sergiusz wzruszył ramionami i starał się odtworzyć sobie postać Ludmiły. Niezbadanym wzrokiem wewnętrznym szukał jej wszędzie w domku Jun-cho-sana, na ulicy, przy której mieściło się biuro reklam, w mieszkanku, na czas dżumy wynajętym przez niego w pobliżu dworca kolejowego, w zadymionej i zatłoczonej salce pensjonatu generałowej Ostapowej, a nawet na cmentarzu przy grobie małego Romka. Nie udało mu się dotrzeć do niej w żadnym z tych miejsc, aż nagle ujrzał ją. Stała w ciemnym pokoju nieruchoma i zapatrzona przed siebie. Czarne kotary niby w żałobę przybranej kaplicy zwisały dokoła ciężkimi fałdami. Skądś z wysoka wdierało się wąskie, mdłe pasemko światła i rzucało słabe refleksy na twarz Ludmiły. Wagin zdumiał się. Raz jeden przez cały czas znajomości z tą zgnębianą i milczącą dziewczyną spostrzegł u niej taki wyraz. Było to wtedy, gdy podczas rozmowy z Wali-chanem u Ostapowych przyłapał na sobie jej wzrok. Ludmiła miała wówczas niezwykle łagodnie uśmiechniętą twarz i oczy pełne blasków, które czyniły ją niemal piękną i natchnioną. Zapamiętał to dokładnie, a teraz, nie zdając sobie sprawy, uśmiechnął się do niej radośnie i rzewnie, pomyślawszy, że czułby się szczęśliwym, gdyby ta zawsze smutna i zapewne niczego już od życia nieoczekująca dziewczyna na długo zachowała pogodny,

promienny nastrój. Przypomniał sobie natychmiast Miczurina, ale w tym momencie wyobrazić go sobie nie mógł. Spojrzał na zegarek i zaśmiał się cicho.

- Za kwadrans szósta! - mruknął. - Ruchliwe chłopisko odbiera teraz zwrotne egzemplarze dziennika, podpisuje kwity i kontroluje skład... Może komuś tam daje porządnego szturchańca, ale łagodnie, łagodnie, bo wszakże serce jego jest pełne miłości dla Ludmiły.

Koło ust Wagina poruszyły się zmarszczki. Siłą woli otrząsnął się z tych zjaw i myśli. Jak gdyby malarz szmatką strzepnął rysunek pastelowy. Niby zniknął, a jednak można było rozróżnić jeszcze kontury. Tak też przed wzrokiem Sergiusza nie było już prawie przerażająco wyraźnych postaci, a jednak przez ledwie uchwytną mgiełkę patrzyły na niego dziwnie promienne i uduchowione oczy Ludmiły. Zamyślony i podniecony przeszedł do messy, skąd dobiegał już brzęk talerzy. Czuł głód, więc z przyjemnością zasiadł do kolacji. Rozmowa toczyła się dokoła sytuacji, w której znalazła się wyprawa. Bojcow niczym nie mógł pocieszyć Wagina, a nawet przeciwnie - zasmucił go. Opowiedział właśnie Sergiuszowi o niewojowniczości Chińczyków i o ich panicznym strachu przed natychmiastową decyzją i szybkim działaniem.

- Naród ten zapewne z tego powodu nie lubi wojny. Woli nawet dostać w skórę i czekać, aż broń przeciwnika zardzewieje i stanie się nieużyteczną. Nic to nie znaczy, że trzeba zachować cierpliwość przez długie lata, nawet stulecia! Naród się doczeka i zemstę wyrze rękami przyszłych pokoleń! Słyszałem nieraz, że podobno jedynie w Chinach wojsko nie cieszy się miłością ogółu. Zapewniano mnie, że przyczyna tego zjawiska jest zrozumiała. Chiny nie miały nigdy armii narodowej i stałej, za to cisnęły je oddziały zbrojne dynastii najeźdźców jak też tyranizujących i wyzyskujących ludność mandarynów. Panoszyły się tu często i gwałty czyniły wojska wrogów zewnętrznych. Nie mogło to istotnie wzbudzać szczególnej sympatii do stanu wojskowego, tym bardziej że i wojska chińskie, werbowane zwykle z różnych mętów i biedoty, po rozpuszczeniu ich, stawały się maruderami i długo trudniły się bandytyzmem, zanim nie wyłapano swawolnego żołdactwa i nie oddano w ręce katów. Zrozumie pan, że sprawy, związane z wojną, najmniej pociągają ku sobie spokojnych Chińczyków. Musiał się pan zresztą sam przekonać o tym, chociażby dziś jeszcze w mieście mężczyzn. Nawet zaufany ministrów i generałów - Hung-Wu, skoro tylko oznajmił, że pan szuka tragarzy do przenoszenia broni, spotkał się ze sprzeciwem. Takie to właśnie cechy usposobienia Chińczyków spowodowały znane tu zjawisko istnienia uświęconej tradycji kasty bandytów. Przeciwno nim nikt się nawet nie broni; wypłacają im cierpliwie okup, a nawet korzystają z ich pomocy. Chińczycy to dziwny, tajemniczy naród, drogi panie! Zapewne niegdyś tak ich przerażono i przyciśnięto, że w duszach pozostały tylko uległość, bezgraniczna cierpliwość i niewolnicza bierność.

- A jednak rewolucja świadczy o czymś zupełnie innym, a potem ta przewlekła wojna domowa, ci generałowie we wspaniałych mundurach i strasznie wojowniczy porucznicy, uzbrojeni od stóp do głów? - zauważył Sergiusz.

- Ach, tak! - potwierdził szyper. - Ale rewolucję zrobiła zeuropeizowana młodzież liberalna (radikalizmu wówczas jeszcze tu nie było!), a wojnę domową podsycają ambitni macherzy, sprytni kombinatorzy i awanturnicy najgorszego nieraz gatunku. Generałowie, których poznaliśmy w Nankingu, dążą zapewne do obrony kraju, ale miesząc się do spraw rządu, osłabiają jego wpływ i autorytet, a co najważniejsze - paraliżują wszystkie jego poczynania! Porucznicy, no, jak to zawsze porucznicy, pragną stać się czym prędzej generałami ze wszystkimi ich błędami,

przywarami i przywilejami.

- Przecież w kołach rządowych są zapewne ludzie mądrzy i daleko widzący? - zapytał Wagin.

- Jest ich nawet sporo! - zgodził się Bojcow. - Pracując z instytucjami rządowymi, nieraz stykałem się z wybitnymi politykami, których mogłoby pozazdrościć każde państwo europejskie. Jednak są oni bez głosu. Nie mają nic, na czym można byłoby się oprzeć. Bo i na czym? Naród nie ma żadnych dążeń poza pragnieniem spokoju i możliwości pracy - powolnej, systematycznej i jednostajnej. Rządząca zaś partia pędzi przed siebie na łeb na szyję, aby w kilka lat wyprzedzić Japonię, Europę i Amerykę razem wzięte! Przekonana jest, że dojść do tego może, a tymczasem w kraju panoszy się i pogłębia nędza nie do opisania, wzmagający się, powiedziałbym, milczący sabotaż całego narodu, broniącego się biernością, a niemającego nic wspólnego ani z europeizowanymi liberałami i radykałami, ani tym bardziej - ze spekulatorami od sławetnego nacjonalizmu i podżegaczami do wojny. Północni Chińczycy mruczą z pogardą: Wszystko, co nowe i hałaśliwe, idzie z Kantonu, południowcy zaś krzyczą wściekle: Pekin i Nanking - gniazdo zacofania!. Jak to wszystko pogodzić i w jedno skierować łożysko? Za sto lat chyba jeszcze nie uda się tu dojść do ładu!

Wagin westchnął ciężko. Słowa szypra obudziły w nim jeszcze większy niepokój, a jednocześnie - upór i zaciętość.

- Jeżeli Hung-Wu nic do jutra nie zrobi, pójdę do tego miasta sam i obiecuję sutą zapłatę i prowianty, które zabraliśmy ze sobą z Ankingu, tym, którzy podejmą się dostarczenia broni do granicy Hupeh! - powiedział, uderzywszy pięścią w stół.

Bojcow potrząsnął głową.

- Nic pan tym nie wskóra! - mruknął. - Nie zna pan Chińczyków! Jeżeli większość wypowie się przeciw takiej robocie, ani jeden z tych nędzarzy, choćby z głodu zdychał, palec o palec nie uderzy!

- Czyżby aż taka panowała wśród nich solidarność? — spytał z niepokojem Sergiusz.

- Bynajmniej! Wiedzą tylko, że zginęliby jeszcze tego samego dnia!

- zawołał szyper. - Widziałem to nieraz już podczas strajków marynarzy i kulisów portowych. Strach i przemoc tak już urobiły Chińczyków!

Na statku zapalono lampy. Wieczór zapadł. Ucichnął nagle dmący bez przerwy północno-wschodni wiatr. Cicho szemrała rzeka, liżąc burty, ni to łasząc się do nich, ni to szepcząc coś tajemnie. Wagin wyszedł na pokład. Brzeg tonął w mroku i żadne światełko nie rozpraszało ciemności. Na niebie przecierały się chmury, co niby nici ciągnęły się przez całą jego kopułę - od zenitu aż do krańców horyzontu. Wyjrzał księżyc. Srebrną łuską okryła się nagle i roziskrzyła Jangcy. Wagin, tuląc się w ciepły płaszcz, chodził po pokładzie, pogrążony w niewesołych i trwoźnych myślach. Przeczucie, podobne do znanej mu z lat ubiegłych stałej czujności, zmuszało go bacznie oglądać brzeg i lśniący przed nim łuk rzeki. Nie mógłby zapewne określić, jak długo pozostawał na pokładzie, gdzie na dziobie siedział skulony majtek i spał spokojnie. Nagle Wagin spostrzegł coś w oddali. Uniósł głowę i wy tężył wzrok. Na zachodzie, gdzie Jangcy robiła ostry zakręt, spora łódka przecinała srebrne, potyskliwe pasmo rzeki. Siedziało w niej kilku ludzi. Niby czarny cień przemknęła oświetloną

księżycem drogę i utonęła w mroku, zaczajonym pod wysokim brzegiem. Do uszu Wagina długo jeszcze dobiegał chrobot wiosł i cichy plusk wody, aż zaległa dawna cisza.

- Zapewne nieznani ludzie wciągnęli łódkę na łachę! - domyślił się Wagin, posłyszawszy po chwili trwożny i jękliwy krzyk kulika, wypłoszonego spomiędzy kamieni. Przeżony ptak długo miotał się w powietrzu, niewidzialny na tle nieba, przepojonego zwodniczym, bladym światłem. Odleciał gdzieś wreszcie, a jęk jego urwał się nagle. Znowu napływała cisza

- ciężka i nieruchoma. Tylko woda z rzadka pluskała głośniejszą koło burty i syczała - wściekła, że nie ma mocy wdrzeć się poza żelazną przegrodę.

Wagin usiadł na schodkach mostku i oczy zwrócił ku brzegowi, gdzie w wąwozach i jarach czaiło się ponure miasto nędzarzy. Nowy majtek zastąpił śpiącego kolegę i przykucnąwszy przy burcie, znieruchomiał. Wypłynąwszy wyżej, księżyc oświetlił ciemny dotychczas brzeg. Natychmiast wystąpiły z mroku okrągłe pagórki i czarne korony drzew po rozłogach. Jakiś ruch - raczej wyczuły niż spostrzeżony - powstał w czeluści wąwozu. Chybki cień wychynął z niej i jak gdyby chyłkiem doszedł do wody. Stał tam długo bez ruchu. Wkrótce na brzeg wyszło sześciu ludzi, dźwigających mozolnie długie, bezkształtne nosze. Wszyscy weszli do rzeki, opuścili coś do wody i drągami odepchnęli na nurt. W srebrnych, skrzących się strugach na nieuchwytnie krótką chwilę zamajaczyło coś czernią i pomknęło z prądem. Siedmiu ludzi, stąpając ostrożnie, powracało w stronę wąwozu. Jeden z nich przykuł do siebie wzrok Wagina. Sergiusz poznał tę wysoką, sprężystą, z lekka przygarbioną postać.

Hung-Wu? - pomyślał, wpatrując się w znikającą w wąwozie grupę.

- Co on tu robi po nocy?

Jak gdyby odpowiadając na to pytanie, z daleka, tocząc się ponad wodą, dobiegło i zatrwożyło go przeciągłe, ponure zawodzenie:

- Oooo!

Trwało to nieuchwytnie krótką chwilę. Próżno potem nadśluchiwał Wagin. Zgrzytał piasek, mknący wraz z wodą, cicho ocierały się strugi wody o żelazne boki statku i coś mrucał przez sen skulony na dziobie majtek.

- Przecież nie mogłem się pomylić? Na czele tych ludzi szedł Hung- -Wu! - gubił się w domysłach Wagin. - Cóż zaszło tam w tych strasznych barłogach i tu - na brzegu?

Nikt nie mógł rozwiązać niepokojącej go zagadki i tylko ten beznadziejnie rozpaczliwy krzyk ludzki wciąż brzmiał mu w uszach.

Zatarł zziębnięte ręce i poszedł do kajuty. Nie mógł jednak zmrużyć oka przez całą noc i w jednej chwili był na pokładzie, posłyszawszy głos Hung-Wu, rozmawiającego z majtkiem na wachcie.

- Wszystko się ułożyło - mrucał Chińczyk. - Ludzie porozumieli się w końcu i wybrali trzystu tragarzy - najzdrowszych i najtęższych. Już posłałem kilku ludzi na zwiady. Musimy wiedzieć, jaką drogą mamy przynieść broń.

Wagin nie posiadał się z radości. Z wdzięcznością i nawet podziwem patrzył na Chińczyka.

Hung-Wu, spokojnie nabijając fajeczkę, mówił dalej:

- Trzeba przygotować prowianty dla mieszkańców miasta. Podzielią się sami - z tym nie będzie kłopotu! Niech majtkowie otworzą już skrzynie z karabinami.

Te ostatnie słowa powiedział już, odepchnąwszy swoje czótenko od burty i pochylając się nad wiosłem.

Wkrótce do statku przybiła duża łódź z czterema wioślarzami. Szybko opuszczono na jej dno: worki z ryżem, prosem, mąką i solą, a w ślad za tym ładunkiem - olej sojowy w skrzyniach i plecionych koszach, oklejonych wewnątrz papierem. Ledwie łódź dotknęła dziobem brzegu, zaroilo się tam od ludzi.

W jednej chwili wyładowano wszystko i uniesiono do labiryntu miasta. Ludzie ci mieli ruch, wygląd i system mrówek, usiłujących przenieść do mrowiska niespodziewaną zdobycz. W okamgnieniu wszystko było podzielone na drobne nosze, oliwa przelana do blaszanek od nafty i do butelek i cały tłum znikł w mroku zawitych szczelin podziemnych.

Na miejscu tych, co odeszli, stanęli inni. Podpłynęli do statku na tej samej łodzi, na której piętrzyły się teraz stosy trzciny i cienkich prętów. Ze zdumiewającą szybkością i ścisłością wiązali po dziesięć karabinów, maskowali je trzcinią i faszyną i znosili do łodzi. Czółno, spuszczone ze statku, zwoziło na żwirowy dziedziń skrzynie z nabojami. Przed południem brzeg opustoszał i wszystko ucichło tak bardzo, że stadko dzikich kaczek - czujnych i płochliwych - nadleciało i tuż przy nim żerowało spokojnie.

Wagin nie mógł wyjść z podziwu. Wszystko, co zaszło, wydało mu się jakąś fantastyczną feerią czy snem. Uświadomił sobie, że przez cały czas trwania wyładunku ani razu nie mignęła mu postać Hung-Wu. Myślał teraz, że przecież w Nankingu wiedzieli, kogo uczynić zaufanym człowiekiem na pograniczu zagrożonej komunizmem prowincji! Nabierał szacunku do wywijających się jak węgorze, ciągle zdumionych ministrów i suto wygalonowanych generałów, milczących i zagadkowych niby kapłani nieznanego bóstwa. Zerwał się na nowo wicher, pomarszczył i wzburzył rzekę. Statek kołysał się i przewalał na ich płaskich grzbietach. Zgrzytały i skrzypiały łańcuchy kotwiczne. Dopiero o zmierzchu do burty podpłynęła dłubanka. Na pokład wdrapał się Hung-Wu i szeptem opowiedział, że jeden z wywiadowców powrócił już, porozumiewawszy się z posterunkiem strażniczym i ustalwszy hasło dla tragarzy. Chińczyk wyraził nadzieję, że przed świtem powrócą inni i powiedzą, jakimi drogami najbezpieczniej przekradać się należy do miasteczka Ki-Ling, gdzie ktoś ma odebrać i pokwitować ładunek. Wagin, zaprosiwszy Hung-Wu do messy i częstując go chlebem z szynką i herbatą, szepnął:

- Wczoraj wieczorem wydało mi się, że widziałem was na brzegu, gdzie jacyś ludzie wrzucili coś do rzeki.

Ostra, drapieżna twarz Chińczyka zastygła nagle, przenikliwe oczy jego ślizgnęły się po twarzy Sergiusza.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - zamruczał. - Po cóż bym miał w nocy włączyć się po brzegu Jangcy?

Wagin zrozumiał, że nie powinien być wspominać o swych spostrzeżeniach, więc udawał, że wierzy słowom Chińczyka i począł wypytywać go, kiedy wyruszą tragarze. Hung-Wu uniósł ramiona i odparł spokojnym głosem:

- Ludzie są już w drodze. Hasło i wskazówki otrzymają na granicy prowincji. Musi pan tu zaczekać na ich powrót, aby zapłacić im za robotę.

Chińczyk poinformował Wagina o sumie, jakiej zażądali tragarze. Wydała się Sergiuszowi śmiesznie małą, lecz w tej samej chwili odżyły w nim wspomnienia z czasów, kiedy sam łądował bele z bawełną i skrzynie z herbatą na Wusungu. Płacono mu wtedy za tak ciężką pracę jeszcze nędzniej. Ruchem głowy potwierdził umowę i zapytał:

- Czy ci, co wczoraj tak się wściekle kłócili, też są w liczbie wynajętych ludzi?

Krótki skurcz na surowej twarzy, ostry błysk źrenic i obojętny głos Hung-Wu:

- Zapewne że tak, bo były to mocne chłopcy.

- Dlaczego powiedzieliście były? - padło pytanie.

Chińczyk podniósł na Wagina ponure oczy i odparł krótko i niechętnie:

- Tak się powiedziało.

Długo jeszcze rozmawiali o różnych rzeczach. Hung-Wu z zaciekawieniem słuchał opowiadania Wagina o wypadkach w Rosji po wybuchu bolszewizmu, o wojnie domowej i o zajściach w Czapei. Sergiusz wypytywał Chińczyka o organizację bandytów, o ich romantyczne życie, jak gdyby zamarte w średniowiecznych tradycjach, o warunki, w których przebywają nędzarze w mieście, ukrytym wśród pagórków, zbiegających ku rzece.

Posłyszawszy opowiadanie o nieuchwytnym władcy ponurego zbiorowiska ludzkiego, o nieubłaganym jedynym sędzim, kierującym męczeńskim życiem w kretowisku ludzkim, Sergiusz aż porwał się z krzesła i zawołał:

- Któż to jest? Bóstwo czy szatan?

Hung-Wu wbił w niego groźne źrenice i rzucił urywanym głosem:

- Człowiek, człowiek, który nie stracił jeszcze woli i rozumu, człowiek, pragnący uratować siebie i innych. Człowiek, pamiętający, że najnędzniejsza nawet gromada jest wielką siłą, niezwalczoną, przed którą milkną nawet karabiny i armaty! Wielki On wie zawsze, co czynić należy.

Powiedział to z przekonaniem, chociaż głos jego stał się ponury i zimny. Przed oczami Wagina zamajaczyła ciemna sylwetka Hung-Wu na brzegu i dobiegło czyjeś słabe rozpaczliwe wołanie: Ooo! - słyszane ubiegłej nocy. Po długim milczeniu, raptownie zapadłym, zauważył:

-bChciałbym bliżej przyjrzeć się waszemu miastu.

Hung-Wu spokojnie już patrzył na Wagina, mówiąc:

- Niech pan przyjdzie tam jutro. Obejrzymy wszystko, co warte jest zobaczenia. Najodpowiedniejszy to dzień, gdyż prawie wszyscy udają się jutro na jezioro Huan-su na połów ryb!

Wkrótce Hung-Wu odpłynął, podziękowawszy za poczęstunek i ofiarowaną mu blaszankę mocnych papierosów amerykańskich.

Nazajutrz od rana, zaopatrzwszy się w paczkę ze śniadaniem i flaszkę z herbatą, Sergiusz wyruszył do miasta mężczyzn. Tajemniczy agent rządu nankińskiego spotkał go przy wylocie wąwozu. Znowu szli chyłkiem, a nawet pełzli na kolanach po śliskiej, jak posadzka wypolerowanej ziemi i wglądali do różnych zakamarków. Były to ohydne legowiska, gdzie na kupach trzciny lub wstrętnych łachmanów spędzali noc ludzie, z rzadka tylko przy świetle kaganków. Tam, gdzie unosił się w powietrzu zapach opium, Hung-Wu szeptał ni to z bólem, ni to z wyrozumiałością:

- Ten i ów przechował resztki smoły cudnych snów. Któż odważy się pozbawić ich tej jedynej złudy?

Przenikliwe oczy jego zaglądały wszędzie i wszystko widziały. Nie ukrył się od jego wzroku nóż, zatknięty w szczelinie pod sklepieniem pieczary, ani schowana w kupie słomy butelka z zielonkawym płynem, ani talia kart pod płaskim kamieniem i krótki, z włosia spleciony sznur z pętlą na jednym końcu i żelaznym ciężarkiem - na drugim. Obejrzał każdy z tych przedmiotów uważnie i na dawnym pozostawił miejscu. Miał przy tym skupiony wygląd sędziego śledczego, a w oczach czujność psa, tropiącego zdobycz. Długo krążyli w labiryncie nor i galeryjek, jakichś schowków i skrytek, aż doszli znów do oświetlonej pieczary, gdzie odbyła się pierwsza burzliwa narada. Usiedli na wykutej w ścianie ławeczce, gdyż Wagin poczuł się zmęczonym. Hung-Wu opowiadał o tym, jak przed laty w mieście mężczyzn, powstałym nad Żółtą Rzeką, nagle powódź zalała chodniki i nory.

- Nikt stamtąd nie wyszedł! Rozmokła ziemia zawaliła się, grzebiąc prawie piętnaście tysięcy ludzi. Po dziś dzień miejsce to okoliczni włościanie nazywają Wąwozem Śmierci.

Nagle zerwał się na równe nogi, a oczy błysnęły mu złowrogo. Wagin spojrzał na niego pytająco, lecz w tej samej chwili posłyszał wściekłe krzyki, wycie i tupot nóg. Nie miał wątpliwości, że gdzieś niedaleko wrzała bójka.

- Proszę tu na mnie zaczekać! - mruknął Hung- Wu. - Coś się tam stało. Muszę zobaczyć.

W jednej chwili jak wąż wślizgnął się do ciemnego przejścia i zniknął w nim. Wagin po chwili wstał i wszedł za nim. W wąskiej szczelinie nikogo już nie było. Posuwał się więc dalej, klucząc po sieci niezliczonych korytarzyków i nagle stanął jak wryty. Skądś, jak gdyby spod ziemi, dobiegły go stłumione jęki i słaby głos. Sergiusz drgnął, posłyszawszy mowę angielską. Jął macać ściany, sklepienie i ziemię. Długo nie mógł zrozumieć, skąd dochodzą te dźwięki. Wreszcie domyślił się, że rozlegają się w jednej z bocznych pieczar. Wpełznął przez wąski otwór i zapalił zapałkę. Był to zapewne skład słomy. Wagin czym prędzej zdmuchnął ogień i po ciemku rozrzucał wiązki suchej trawy i cienkiego sitowia, aż ręce jego namacały leżącego człowieka. Przekonał się wkrótce, że jeniec był skrupowany sznurami.

- Kto pan jest i skąd pan się tu wziął? - szeptem zadał pytanie Wagin.

- Przedwczoraj porwali mnie jacyś ludzie w Huanczongu - wyjąkał słabym głosem. - Nazwisko moje Fred Hastings, jestem bankierem z Li- verpoolu. Przyjechałem do Chin z grupą angielskich turystów.

- Dlaczego pana porwano?

- Ci, którzy wieźli mnie przez rzekę, mówili, że chcą zażądać za mnie okupu.

- Czy to w nocy przywieźli tu pana? - dopytywał się Wagin.

- Tak, przedwczoraj - jęknął. - Cierpię strasznie, bo nawet więzów ze mnie nie zdjęli, jestem głodny i spragniony.

Wagin szybko rozciął sznury, krępujące Anglika, pozostawił mu paczkę zjedzeniem i butelkę z herbatą, mówiąc:

- Proszę zachować ciszę! Muszę coś obmyśleć dla pana.

Wyślizgnął się z nory i długo błąkał się po ciemnych chodnikach,

aż wreszcie odnalazł oświetloną pieczarę. Zastał już w niej Hung-Wu. Chińczyk stał niespokojny i wzburzony.

- Zwiedziłem część miasta - powiedział Wagin. - Co się tam stało? Pożar czy bójka?

Chińczyk milczał, marszcząc czoło.

- Powiedźcie mi, czy mieszkańcy miasta porywają Europejczyków? - spytał Wagin.

Hung-Wu drgnął i szybkim ruchem pochylił ku niemu głowę.

- To pan już wie o tym? - szepnął z przestraszeniem.

- O czym? - udając zdumienie, zadał nowe pytanie Sergiusz.

Hung-Wu zmrużył oczy i jak gdyby porozumiewając się z nim ostatecznie, szepnął:

- Zaraz przyprowadzę tu jeńca, a pan pójdzie z nim ku wyjściu, trzymając się wciąż prawej strony chodnika. Od wąwozu proszę biec ku łodzi. Jeżeli będę mógł, podpłynę do statku dziś wieczorem albo o świcie.

W kilka minut potem Wagin pomagał już majtkowi wiosłować i przyglądał się Anglikowi. Błady i wystraszony, może czterdziestopięcioletni człowiek, staniał się na wąskiej ławeczce i z jękiem rozcierał sobie ramiona i nogi. Gdy łódka dobijała do statku, nad pagórkami uniosły się nagle gęste kłęby dymu. Natychmiast rozległy się krzyki, nawoływania, lament. Coś się paliło w mieście mężczyzn, chociaż Sergiusz nie mógł dojrzeć odbicia płomieni na czarnej płachcie dymu.

Zapewne pożar wybuchnął w podziemiach - mignęła Sergiuszowi myśl.

Nie miał prawie wątpliwości, że to Hung-Wu podpalił skład słomy w schronie, gdzie ukrywano więzionego Anglika.

Będą myśleli, że spalił się żywcem, tym bardziej że przepalone sklepienie zawali się niezawodnie i nikt już nie odgadnie, co się stało z tym niefortunnym Fredem Hastingsem! Trzeba będzie jednak dobrze go ukryć i nakazać naszym majtkom, by milczeli jak ryby! - rozważał Wagin, pomagając Anglikowi wdrapać się na pokład.



Ani tego wieczora, ani też nazajutrz Hung-Wu nie odwiedził statku. Przybył dopiero na czwarty dzień razem z pięciu innymi Chińczykami. Wskazał na nich jako na wysłańców grupy tragarzy. Wagin i Bojcow przejrzeni pokwitowania z odbioru broni na terytorium sąsiedniej prowincji, gdzie miało właśnie wybuchnąć powstanie przeciwko skomunizowanym oddziałom. Tragarze opowiadali im, że część ludzi, niosących trzysta karabinów, dostała się w ręce komunistów i z wyjątkiem dwóch, którym udało się zbiec, zginęła. Otrzymawszy umówioną zapłatę pieniędzmi i prowiantem, tragarze rozgościli się na podłodze, gdzie załoga, z rozkazu kapitana statku, wystąpiła z poczęstunkiem. Spostrzegłszy, że Chińczycy dobrze już sobie podchmielili, mówiąc wszyscy razem i gestykulując energicznie, Hung-Wu porozumiewawczo spojrzał na Wagina i wycofał się na dziób, gdzie piętrzyły się skrzynie i duże kosze.

- Potrzebna ilość tragarzy będzie tu zawsze gotowa na każde zawołanie. Jutro sam wyruszę na wywiad, aby na przyszłość nie było żadnych strat przy transporcie - szepnął, a po chwili, obejrzawszy się podejrzliwie, spytał: - Czy dobrze ukryliście tego Anglika? Nie mógłbym was obronić, gdyby tam - skinął głową w kierunku brzegu - dowiedziano się, że więzień wcale nie zginął w płomieniach i że wy daliście mu przytułek na statku!

Wagin położył mu rękę na ramieniu i uspokoił:

- Nie obawiajcie się! Anglik jest w bezpiecznym miejscu i polecił mi powiedzieć, że potrafi odwdziżyć się wam przy pierwszej sposobności. Dopomogę mu w tym, bo przecież nieraz jeszcze będziemy się widywali.

Chińczyk spojrzał na niego jakimś dziwnym wzrokiem i szepnął:

- Człowiek może tylko domyślać się, co ma mu przynieść jutro.

Przed wieczorem dopiero Hung-Wu z pijanymi tragarzami wsiadł do

łodzi i odpłynął. Wczesnym rankiem, zanim jeszcze rozproszyły się siwe płachty mgły nad rzeką, Bojcow poprowadził swój statek z biegiem rzeki.

Prąd znosił go niepowstrzymanym pędem, pchając ku oceanowi. Niby na ekranie filmowym przesuwała się szybko barwna panorama, w każdej chwili inna. Tonące w bladym, jesiennym słońcu małe gaiki, wioski, pola, koleiste drogi z ciężkimi na nich arbami, wiozącymi suchy gaolian; gdzieś spoza drzew wyglądał grzebieniasty dach skromnej wiejskiej pagody; czasami mignął większy dom o barwnej lace na gzymsach frontonu, jakaś kapliczka, porośnięte tamaryndami ruiny murowanej przed wiekami świątyni, a może - fortecy lub grobowca. Dalej znów poprzez płachtę deszczu, co nagle siepać poczynał, majaczyły zarysy pagórków, zarośnięte trzcin i krzaków wzdłuż brzegu niewidzialnej rzeki, zdążającej do Jangcy, nudne, dwupiętrowe gmachy nowoczesne, zapewne koszary, bo w pobliżu tkwiły wieże strażnicze. Miejscowość stawała się coraz bardziej zaludniona. Wioski ciągnęły się jedna przy drugiej, nieprzerwanym łańcuchem, a za nimi bure, żółte i zielone kwadraciki i trójkąciki najmniejszych na świecie poletek, z których pracowity rolnik chiński wyciągał wszystko, co potrzebował do cichego, skromnego życia, od kilku lat wicherzonego raz po raz i burzonego w imię czyjegoś tam szczęścia.

Nazajutrz Bojcow zakotwiczył swój statek koło przystani w Nankingu. Ledwie majtkowie zdążyli przerzucić mostek, na pokład wbiegł urzędnik celny i witając kapitana, wręczył mu paczkę listów i jakichś druków.

- Oo! - zawołał Bojcow, zwracając się do Wagina, wyglądającego z okna messy. - Jest tu list do pana!

Sergiusz wyszedł na pokład. Spojrzawszy na kopertę, podniósł brwi. Charakter pisma był mu nieznany. Rozerwał kopertę i rozwinąwszy papier, rzucił okiem na podpis. Zdumiał się, ujrawszy wielkimi, nierównymi literami wypisane - Oskar von Plen. Był to niezmiernie lakoniczny i zagadkowy list:

- Drogi przyjacielu - pisał doktor - obecność wasza w Szanchaju jest tak niezbędna, że właściwie powinienem był wysłać wam depeszę. Niestety adres wasz nie jest nam znany, przeto wyprawiam ten list na ręce przyjaciela mego Amfitriona - Czeng-Si, dla odszukania was w stolicy i doręczenia go wam. Powtarzam - obecność wasza jest tu niezbędna! Pozdrowienia!

- Co by to mogło znaczyć? - począł łącać sobie głowę Wagin. - Nie wchodzi tu w grę Ti-Fong-Taj, gdyż komprador obrałby sobie inną drogę, a więc... Przed oczami jego przesunęły się jedna po drugiej postacie przyjaciół - Ludmiła, pani Somowa, Miczurin, wreszcie sam autor listu - dziwaczny, dogorywający Plen. Z pośpiechem i gorączkowo analizował każdą z tych postaci z osobna, usiłując ujrzeć ją w okolicznościach ostatniej chwili, wczuć się w te wypadki, które zmusiły doktora aż do takiego heroicznego wysiłku jak napisanie listu. W tej analizie odpadli wkrótce sam Plen i pani Somowa; Wagin zamierzał już nie zatrzymywać się dłużej nad Miczurinem, bo i cóż mogło się przydarzyć temu olbrzymowi, jednak jego to właśnie postać zasłoniła mu wszystkie inne i stała się źródłem ostrego, z każdą chwilą wzmagającego się niepokoju.

Miczurin, Ludmiła - przewijały mu się w głowie te dwa imiona. - Co by się z nimi mogło stać?

Zaczął myśleć o Ludmile, lecz po chwili widział znowu tylko Miczurina - i to takim właśnie, jak wtedy, kiedy po raz pierwszy spostrzegł jego trwożny i podejrzliwy wzrok, którym ogarniał go, gdy Wagin rozmawiał z Ludmiłą na werandzie u generałowej.

Niepokój ogarniał go coraz bardziej.

- Co robić? Co robić? - pytał siebie, chodząc po messie.

Wreszcie postanowił wysłać telegram do Szun-Pao na imię Miczurina z zapytaniem, co znaczy list Plena. Gdy powrócił z miasta, Bojcow oznajmił mu, że nazajutrz obaj są zaproszeni do ministra wojny na naradę. Wagin nie zwrócił prawie uwagi na tę wiadomość. Cały był pochłonięty myślą o małym domku przy ulicy Fu-Tien-Koo, gdzie mieszkali w gruncie obcy mu, przypadkowo związani z nim ludzie, a tymczasem o nich to właśnie tak boleśnie troskało się jego serce, nagle do głębi wstrząśnięte złym przecuciem.

## V. KTO W POJMANIE WIEDZIE, W POJMANIE PÓJDZIE

(Obj. Jana Apostoła)

O tym, co się stało w Szanchaju i co spowodowało wysłanie listu Plena, Sergiusz Wagin szczegółowo nie dowiedział się nigdy. Może tak właśnie było lepiej, bo nie wszystko wiedzieć należy o bliźnim, związanym z nami więzami przyjaźni lub miłości. Ludzie to świąty! Niech więc mają swe najgłębsze

tajemnice, są to wszak wnętrza światów, lecz ukazywać ich nie wolno. Niezrozumiałe są bowiem, obce, a jakżeż często wrogie najbliższemu nawet człowiekowi.

W Szanchaju zaś po odjeździe Wagina z domku Jun-cho-sana przez długie tygodnie niewidzialne i ciche pozornie gromadziły się chmury, aż szerniały i burzą wybuchnęły.

Miczurin z troską i trwogą przyglądał się Ludmile. Dziewczyna schudła, twarz jej nabrała żółtawych odcieni, w oczach pojawiały się coraz częściej dawne, ponure błyski. Szła chwiejnym, ociężałym krokiem, przygarbiona, z ramionami opuszczonymi niby w rozpacz. Zwykle powściągliwa w słowach, stała się teraz zupełnie milcząca. Nie słyszała zwróconych do siebie słów, pogrążona we własnych myślach - zapewne ciężkich i nieradosnych, bo świadczyły o tym cienkie zmarszczki koło ust i drgające powieki. Coraz częściej powracała do domu dopiero późnym wieczorem. Błąda i wyczerpana odsuwała przygotowaną przez matkę kolację. W niedzielę wymykała się z domu bardzo wcześnie, a po obiedzie, gdzieś znowu wychodziła, aby powrócić dopiero wieczorem.

O swoim niepokoju o córkę pani Somowa zwierzyła się Miczurinowi. Lejtenant, postyszawszy to, aż drgnął i zachwiał się na nogach. Przedtem już spostrzegł zachodzące w Ludmile przemiany i spostrzegł jej dziwny teraz tryb życia, myślał jednak, że matka wiedziała, co się z nią dzieje i gdzie bywa. Teraz zajrzała mu w oczy jakaś groźna tajemnica. Leżąc na łóżku, rozważał wszystko - dzień po dniu, zestawiał słowa i wypadki, aż w końcu przyszedł ponownie do od dawna w nim już dojrzałego wniosku. Ludmiła, którą on kochał miłością męczeńską, sam zapewne nie rozumiejąc jej głębi i siły, pokochała Wagina. Teraz, gdy zniknął jej z oczu, ogarnął ją ponury, milczący szal tęsknoty. Miczurin mógł to pojąć i wyczuć, ileż to bowiem razy nękała i gryzła go taka sama tęsknota, gdy nie widział Ludmiły i nie mógł posłyszeć jej ciepłego, niskiego głosu? Rozumiał nastrój, smutek i ból Ludmiły. W swej treści były one skierowane przeciwko niemu samemu. Rozbijały wszystkie jego nadzieje i burzyły cały gmach, budowany w marzeniach z miłosną bojaźnią i wstydliwym uporem, gdy powściągliwość walczyła z nieustępliwością, skromną, a pełną wewnętrznej mocy. Miczurin jednak nie szalał z zazdrości, nie przeklinał Wagina i w duchu nie robił wyrzutów Ludmile. Nawet nie spostrzegł, kiedy i dlaczego opanowało go to zrozumienie cierpienia i rozpacz ukochanej kobiety. Myślał tylko o niej, z obawą przyglądając się, jak zżerała ją i gnębiła tęsknota, bo już wiedział, że zwalczyć jej nie mogła. Szukając Ludmiły na cmentarzu lub w cerkwi, stawał przed ołtarzem i zatapiał się w nieuświadomianej, z serca tylko płynącej modlitwie. Gdyby mógł rozejrzeć się uważnie w swoich myślach i niemych błaganiach, zdumiałby się zapewne i nie uwierzył sobie samemu, że wpatrując się w umęczone oblicze Chrystusa, żarliwie prosi Go o rychły powrót Wagina i o to, by rozjaśniły się wreszcie bezmiernie smutne oczy kochanej dziewczyny i uśmiech zagościł na jej stroskanej i jak gdyby skamieniałej twarzy, na której rozpacz - rzeźbiarka nielitościwa - ostrym dłutem żłobiła wciąż boleśniejsze zmarszczki. Gdyby ktoś postronny odkrył mu całą prawdę, ukrytą w jego uczuciu dla Ludmiły, Miczurin nigdy by temu nie uwierzył i zapewne oburzyłby się nawet, jak uczyniłby to na jego miejscu każdy mężczyzna - posiadacz z ducha i zdobywca z czynu. Jednak ta właśnie ukształtowała duszę jego miłość potężna a nieszczęśliwa. Było coś mistycznego w tej głębokiej przemianie, odbywającej się w nim. Zdać się mogło, że cios, spadający na niego, przyniósł mu dziwny, niezamącony spokój, nawet więcej - jak gdyby radosną pewność, że już połączył się z kochaną dziewczyną nierozzerwalnymi więzami trwalszymi od życia i śmierci, że nabył już sobie prawo być jej opiekunem, doradcą i obrońcą najwierniejszym, nic nie żądając w zamian dla siebie i będąc przygotowanym na niemożliwe nawet ofiary. Odczuwał tęsknotę do bohaterskiego czynu w imię niepojętej miłości, która pochłonęła go bez reszty i stała się najistotniejszą i jedyną treścią życia.

Pozostawało wszakże niewyjaśnione pytanie - dokąd Ludmiła wychodzi tak często z domu, gdzie przebywa i co robi?

Na razie wykrył, że Ludmiła modli się i płacze na grobie brata i spędza długie godziny w cerkwi, klęcząc, wpatrzona nieruchomo w obraz Chrystusa Ukrzyżowanego. Ale ten okres religijności przeminął po pewnym czasie, a idący tropem dziewczyny Miczurin nie mógł jej znaleźć ani na cmentarzu, ani w domu bożym.

Długo się wahał, lecz wreszcie powziął postanowienie. Wydawało mu się ono krzywdzącym Ludmiłę, obraźliwym i wstrętnym, lecz nie widział innego sposobu wyjaśnienia niepokojącej go zagadki. Usprawiedliwiał swój postępek jeszcze tym, że zdecydował się na niego dla dobra Ludmiły i Wagina i dla spokoju pani Somowej. Zaczaił się więc pewnego dnia na rogu ulicy, w pobliżu biura Ludmiły i gdy dziewczyna, wyszedłszy na ulicę, skierowała się w stronę Bundu, niespostrzeżenie poszedł za nią. Zdumiał się, ujrawszy ją wchodzącą do pałacyku prywatnego, stojącego w głębi parku w jednej z wytwornych ulic koncesji angielskiej. Spostrzegł wkrótce, że musiało się tam odbywać jakieś zebranie, gdyż do bramy raz po raz z cichym szelestem opon podjeżdżały samochody, a wychodzący z nich panowie i panie znikali we wnętrzu gmachu. Po pewnym czasie, widząc, że do pałacyku zdąża cały tłum młodych ludzi i panienek, przyłączył się do nich i wkrótce znalazł się w obszernej sali, po brzegi wypełnionej publicznością. Z trudem przycisnąwszy się przez tłum, stanął przy ścianie i począł rozglądać się dookoła. Niebawem spostrzegł Ludmiłę. Siedziała w jednym z ostatnich rzędów. Spuszczone oczy i blada, tęskna twarz jej wyrażały chwilami niecierpliwe oczekiwanie. Na sali przeważała znana Miczurinowi z widzenia bogata anglosaska publiczność - ta rozbijająca się samochodami, przechadzająca się po Bundzie pomiędzy szóstą a siódmą i własnymi motorówkami, jachtami żeglownymi i łodziami podpływająca do białego pawilonu przystani na Huangpu. Miczurin poznawał wszystkie te twarze rozzuchwalonych, znudzonych i beczelnie brutalnych dżentelmenów i ich żon i córek - głodnych wrażeń i niezwykłych przygód, jednak stawiała się tu i bardziej szara publiczność - młodzi biuraliści, przepisywaczki (lejtendant dojrzał w ich grupie niezwykle poważnie nastrojoną miss Evelinę Craw z Szun-Pao), a nawet służba domowa.

Na sali panował ruch (istotnie w pierwszych rzędach) i toczyły się głośne rozmowy. Jedne - bezceremonialne, prowadzone przez plutokrację i arystokrację szanchajską. Mówiono tam o wszystkim, tylko nie o tym, dlaczego tu przybyli ci prezesi, dyrektorzy, adwokaci, eksporterzy, wicekonsulowie (konsulowie nie byli obecni, uważając podobne zebrania za niezastługujące na zaszczytowanie ich swoją obecnością), starsi urzędnicy placówek dyplomatycznych, redaktorzy pism i agencji telegraficznych angielskich i amerykańskich. Opowiadano tu sobie o wynikach wczorajszych regat, o ciekawej partii w golfa i o przygotowywanym konkursie na puchar honorowy dla pierwszej rakiety Szanchaju; jakiś młody sekretarz ambasady angielskiej, w przejeździe bawiący w mieście, półgłosem zwierzał się swemu sąsiadowi o mile spędzonej nocy w uroczym pałacyku rosyjskiej miss Very, gdzie pokazano mu niedostępną, a diaboliczną dziewicę (areaf virgin, yon know, it's thrilling, indeed!), niejaką miss Marth; najwięcej zaś z nabytego od lat nawyku rozprawiano o interesach i wieściach z giełdy. Gdy padało słowo podwyżka akcji, ze wszystkich stron wyciągały się chciwe, drapieżne, żylaste szyje, a oczy, niby kły jadowite, szukały ofiary, aby się wpić w nią czym prędzej, uprzedzając inne żmije. Ladies plotkowały o tym i owym, obmawiając nieobecne przyjaciółki i podejrzewając, że przyczyny niestawienia się ich należałoby szukać w kawalerskich apartamentach kochanków. Opowiadano sobie o najnowszych modach i nowej mistrzyni kosmetyki, przybywającej wkrótce z Paryża z całym sztabem lekarek, masażystek, manicurzystek, fryzjerów i malarek do

makijażu. W dalszych rzędach i wśród tłumu, podpierającego ściany sali, przyciszonymi głosami prowadzono inne zupełnie rozmowy. Dzielono się tam sukcesami związków zawodowych, wieściami o strajku służby domowej, kelnerów, windziarzy i szoferów w Stanach Zjednoczonych, o obniżce płac w Szanchaju z powodu niesłychanej konkurencji Chińczyków i Japończyków, o podniesieniu procentów od polis ubezpieczeniowych i dzielono się różnymi troskami zawodowymi i osobistymi. Przy tej sposobności obgadywano swoich pracodawców, wywlekano najintymniejsze szczegóły ich życia, a wtedy rozlegał się suchy, zły śmiech i syczącym głosem rzucane pogardliwe żarty, dowcipne przezwiska i porównania.

- Do kogo należy ten dom? - spytał Miczurin sąsiada swego, szofera, bo zanościło od niego benzyną i smarem.

- Jesteśmy w pałacu mrs Ellen Bosthaft, głównej akcjonariuszki General China's Electric Mills Factories Limited - odpowiedział irlandzkim akcentem. - Straszna milionerka, ale i filantropka!

Lejtenant zamierzał dowiedzieć się innych jeszcze szczegółów, aby zorientować się wreszcie, po co zgromadziło się tu naraz tylu ludzi, do tak różnych należących kół, lecz w tej samej chwili na niewysoką estradkę z mahoniową katedrą weszła pani domu. Mała, gruba, o zwisających workach pod ciemnymi oczami, spłaszczonym nosie i wydętych wargach, pochodziła niezawodnie z najbardziej południowych stanów republiki amerykańskiej, gdzie do anglosaskich żył dolano sporo iberyjsko-mauretańskiej krwi, niepozbawionej, jak się to często zdarza, domieszki pogardzanej rasy czarnej. Niepokazna i nieestetyczna sylwetka mrs Bosthaft w czarnej powłóczystej sukni (ktoś może powiedziałby - staromodnej, a nawet pretensjonalnej) brzydką plamą odcinała się od seledynowego tła lekkiej jedwabnej kotary, zasłaniającej drugą połowę sali lub może tylko głęboką alkowę.

Niskim prawie męskim głosem, nawykłym jednak do publicznych wstąpień (zapewne długoletnia praktyka dorocznych zebrań akcjonariuszów General China's Electric Mills Factories Limited!) przemówiła:

- Bracia i siostry w Duchu! Oznajmiam wam radosną nowinę. Brat nasz i mistrz, Artur Carling, powrócił z Indii i wystąpi publicznie z nauką pokrzepienia i pocieszenia!

To powiedziawszy, zeszła z estrady, wołając:

- Cisza! Cisza! W skupieniu powitajmy mistrza!

Po chwili kotara zaczęła się powoli rozsuwać, aż ukazała się głęboka nisza - cała w ciężkich draperiach z czarnego aksamitu W środku - biały marmurowy blok z wyrzeźbionymi na nim słowami, życie-szczęście - śmierć.

Odczytawszy ten napis, Miczurin mimo woli się wzdrygnął. Stojące obok siebie słowa: „szczęście” i „śmierć” jemu - dążącemu każdą myślą do szczęścia - wydały się czymś potwornym. Spojrzał na Ludmiłę. Siedziała sztywna i wpatrywała się w głębię niszy. Na sali tymczasem umilkły ostatnie pogwary, szmery i szurganie nóg. Po sali przebiegł poszept. Nad blokiem, na tle czarnej tkaniny białała teraz twarz ludzka i mocno szczipione palcami dwie blade, długie i wąskie dłonie. Nikt nie spostrzegł, jak z fałdów kulis wyślizgnął się człowiek, ledwie znaczący się na czarnym aksamicie. Z trudem dojrzał Miczurin wysoką, wiotką postać niezwykle przystojnego młodzieńca o wielkich, rozmarzonych oczach i świeżych, namiętnych ustach Miał na sobie czarne ubranie, jakie noszą zwykle

duchowni prezbiteriańscy a blade, piękne dłonie przyciskał do piersi. Gdy podniosło oczy i jął się wpatrywać w zebranych na Sali, Miczurin przypomniał sobie pociągające jak magnes, jak gdyby nieobecne, a jednocześnie straszne źrenice tygrysa Radzy, którego niegdyś oglądał w Kalkucie, długo stojąc przed jego klatką w ogrodzie zoologicznym.

Brat Artur powolnym krokiem zbliżył się do katedry i rozpoczął mowę od słów:

- Pokój wam i dokonanie w Duchu, bracia moi i siostry moje!

- Amen! - przeniósł się szept po sali i wszystkie głowy pochyliły się.

Młodzieniec melodyjnie brzmiącym, bogatym w całą gamę intonacji i najsubtelniejszych oddani głosem niezwykle utalentowanego mówcy mówił płynnie i barwnie, zapalając się coraz bardziej i w pewnych chwilach nadając swemu przemówieniu - działające na słuchaczy, a szczególnie słuchaczki - nuty natchnionej namiętności i wytwornej, pełnej umiaru egzaltacji. Każde jego zdanie, wyczelowane i starannie dobierane, każdy ruch rąk i ramion, kalejdoskopy nie zmienny wyraz twarzy odpowiadał ściśle znaczeniu i sile słów. Zdawało się, że niewidzialny, a genialny wirtuoz gra na tym doskonałym instrumencie, mającym ludzki kształt.

Miczurin nie znał tak wykwintnej mowy angielskiej, ale bądź co bądź zrozumiał, do czego zmierzał w swoim kazaniu brat Artur. Dowodził on, że Bóg Ojciec, stworzywszy świat i człowieka, pozostawił ich własnym siłom, a gdy ludzie stanęli na rozdrożu, posłał im Zbawiciela, który natchnął ludzi Duchem i odszedł. Duch więc kierował wszystkim - dobrem i złem, więc wszystkie czyny ludzkie należy uważać jako uświęcone i tylko ślepi i małowierni rozróżniają dobre od złego, gdy tymczasem są to tylko widzialne formy przejawu Ducha.

- Siedziba jego - serce człowiecze, bracia i siostry! - przekonywał dziwny kaznodzieja. - Serce jest zawsze dobre i dobre tylko daje nam rady, należy przeto bez sprzeciwu iść za jego popędem.

Posłyszawszy to, Miczurin zamyślił się głęboko. Po chwili jego własne serce podniosło bunt przeciwko nauce brata Artura, gdyż poczęło bić mocno i żądać odpowiedzi na pytania: Doktor Plen otruł chorą Wierę, bo umiłował tę biedaczkę, a potem tak dręczyło go sumienie, że stary omal na śmierć nie zakurzył się opium? Więc i to było z Ducha? A ty, ty sam, który rozbijałeś kasy i planowałeś napady, czyż nie męczyłeś się potem, gdy pokochałeś Ludmiłę? Więc znaczy, że powodem twojej męki był Duch? A pamiętasz, jak ledwie się wstrzymałeś od schwycenia za gardło Wagina? I ten popęd do zemsty miał ci również podszeptać Duch ze swej siedziby w twoim sercu?!

- Łże ten blagier! - zawyrokował Miczurin i już więcej go nie słuchał. Czasem tylko zaciskał zęby i myślał: Za długo pieje ten wypieszczony prorok!. Znienawidził brata Artura od razu i nie mógł tylko wyjść z podziwu, że inni słuchają go z zachwytem i przejęciem. Uświadomił sobie, że na sali znajdują się dwa rodzaje słuchaczy. Jedni o zawiedzionych nadziejach lub nieziszczonych pragnieniach. Tacy zawsze łakną pocieszenia i skłonni są do mistycyzmu. Drudzy - bogacze, przychodzący tu z nudów, ze snobizmu, zupełnie dla tego samego, co pociągało ich do jaomynia w Czapei, gdzie mogli patrzeć na strugę bluzgającej krwi, gdy kat odrąbał głowę prawdziwemu lub domniemanemu bandycie.

Niech no tylko te worki z dolarami wsiądą do swoich limuzyn, wnet szydzić zaczną z tego Artura Carlinga i opastej mrs Ellen Bosthaft, z serca, w którym usadowił się jakiś mocno ustępliwy Duch, z tej niebieskiej kotary, marmurowego ołtarza (po co tam jednak ustawiono ten biały kamień?) i z długiego

tużurka elokwentnego blagiera, który, jak widzę, jest cwaniakiem nie lada i umie ogłupiać szanowną publiczność. Płaci mu za to hojnie zapewne ta zakazana akcjonariuszka od młynów, a nie wątpię, że i inni milionerzy ubiegają się o niego, zapraszając do swoich cottages. Spryciarz! Wynałazł sobie dobry Job. Nie ma co - ani zakładowego kapitału nie potrzebuje takie gadane przedsiębiorstwo, ani wielkiej pracy! Że też ona może spokojnie słuchać takiego wyszczezanego oszusta!

Wypowiedziawszy sobie w duchu tę tyradę, spojrzął na Ludmiłę. Słuchała z opuszczoną głową, nie patrząc na mówcę. Lejtenantowi wydało się nawet, że jest pogrążona we własnych myślach, więc ucieszył się szczerze i nawet uśmiechnął się do sąsiada - szofera.

- Well, co takiego? - spytał go szeptem pocziwy Irlandczyk z wypiekami na policzkach - niezawodną oznaką malarii.

Miczurin pochylił mu się do ucha i odpowiedział:

- Plecie jak najęty, co mu ślina przyniesie! Na przykład wy! Macie gorączkę, więc serce dobrze wam radzi: Łyknij dwa proszki chininy i włącz do łóżka, pod pierzynę. Tymczasem za chwilę powieziecie swego pana na świeży luft - do pagody Lunghwa albo malowniczą szosą do Kaszingu, gdzie najwięcej moskitów i bakcyliów febry! Puste to gadanie, nie dla nas, towarzyszu!

Szofer spojrzął na lejtenanta i uśmiechnął się do niego życzliwie.

- Robicie też przy aucie? - szepnął.

- Nie! - potrząsnął głową Miczurin. - W innym fachu, ale to na jedno wychodzi, bo i dla mnie takie wygłupianie się to na szmelc!

Brat Artur skończył wreszcie swoją mowę. Zeszedłszy z estrady, chodził wśród publiczności z pierwszych rzędów, witał znajomych, uśmiechał się do nich skromnie i melancholijnie, od czasu do czasu rzucając jakieś zatrważająco przenikliwe spojrzenia. Nagle zbliżyła się do niego Ludmiła i o coś go zapytała. Na przystojnej, wrażliwej twarzy młodzieńca odbiło się głębokie zdumienie. Milczał długo, wpatrując się w ciemne, mądre oczy dziewczyny. Wreszcie ujął ją pod ramię i odprowadził na bok. Coś mówił do niej, gestykulując i patrząc na nią z nieukrytym już przerażeniem. Ludmiła, pożegnawszy wkrótce karnodzieję, poczęła przeciskać się przez tłum. Miczurin, niespuszczający z niej oczu, spostrzegł jednak, że do pięknego Artura zbliżyła się wysoka, zgrabna Amerykanka o obłoku złocistych włosów nad głową. Lejtenant znał ją z widzenia, a nawet przypomniał sobie jej imię. Tak! Jej towarzysz - doradca techniczny rady miejskiej - nazywał ją poufale Golden Jenny. Miczurin kilka razy widział ich w Czapei, gdzie przyjeżdżali do herbaciarni Pod Wierzbami, a stamtąd na plac stracenia. Golden Jenny lubiła widok i aromat krwi, maczając w niej koronkową chusteczkę, talizman na szczęście. Raz nawet zwiedzili Gospodę Czterech Stron Świata i wtedy to właśnie Miczurin, pełniący wówczas obowiązki cerbera i tłumacza, posłyszał jej imię, bo młody inżynier, pogardliwie i ze wstrętem oglądając brudne legowiska zajazdu, spytał towarzyszki: Czy mogłabyś wyobrazić sobie, my sweet golden Jenny, nasze miłosne schadzki w tym okropnym barłogu?. W tej chwili, tu na sali, gdzie błąkało się jeszcze echo nauki o dziwnie ujętym Duchu - tak bardzo dogodnym i tolerancyjnym dla ludzi bogatych i nieobawiających się niczego, nawet kodeksu karnego - złotowłosa Jenny, spoglądając nieco z góry na brata, nieznacznie przyciskała się do jego ramienia dość wybujałą piersią i mówiła coś do niego, ledwie poruszając wargami.

Miczurin bez ceremonii roztrącił łokciami stłuczoną przy wejściu publiczność i zbiegł schodami za Ludmiłą. Coś podszeptało mu, żeby nie zbliżać się do niej, gdyż szła zamyślona, patrząc w ziemię. Wlókł się więc o kilkanaście kroków za nią, dziwiąc się, że nie wychodzi na Bund, aby skierować się ku Czapei. Nagle Ludmiła stanęła i powolnym ruchem obejrzała się, jak gdyby czekając na kogoś. Lejtenant ledwie zdążył uskokczyć w bok i ukryć się we framudze drzwi sklepu zegarmistrza chińskiego. Jednak pod naciskiem jego potężnych barów drzwi z brzękiem wysadzonej szyby rozwarły się i Miczurin wpadł do wnętrza sklepu. Powstał krzyk i panika. Uspokoiwszy właściciela i jego pracowników i zapłaciwszy za stłuczoną szybę, lejtenant wytknął głowę i ostrożnie rozejrzał się po ulicy.

Na rogu stała Ludmiła, a przed nią - gestykulujący, zaniepokojony brat Artur. Miczurinowi krew odpłynęła od serca. Nie rozumiał, w jaki sposób i z jakiego powodu ukochana, święta dziewczyna ma schadzki z tym szczekającym psem, jak pomyślał o nim w tej chwili. Podejść do nich, jednym kopnięciem odrzucić bladoliczego proroka, a potem ująć Ludmiłę pod ramię i poprowadzić przez miasto do cichego domku, gdzie umieścić całe swoje szczęście i wszystkie najpromienniejsze nadzieje. Nie śmiał jednak zrobić tego. Stał i patrzył, a nic nie uszło jego uwagi. Ludmiła nie zmieniała poważnego, a nawet surowego wyrazu twarzy, gdy tymczasem Artur Carling zdradzał coraz to silniejsze zdenerwowanie i zakłopotanie. Tajemnicza rozmowa trwała jeszcze kilka minut, aż wreszcie dziewczyna skinęła mistrzowi głową i odeszła. Brat Artur nie ruszał się, patrząc za nią. Wreszcie tupnął nogą i mruknął coś do siebie, skinął na taksówkę.

Takie były wyniki wywiadu Miczurina. Tryb życia Ludmiły nie zmienił się wcale. Tak jak dawniej powracała późno do domu, nic nie jadła i prawie nie rozmawiała, usprawiedliwiając się bólem głowy lub przepracowaniem. Lejtenant, nie śpiąc po nocach, pogrążony w najczarniejszych myślach, pełen wahań i zgryzoty, słyszał, jak pochrapywała pani Somowa, gdy tymczasem Ludmiła modliła się, gorącym szeptem powtarzając: Ratuj mnie, Boże! i głucho uderzając czołem o deski podłogi. Wtedy prawie bezwiednie ześlizgiwał się z łóżka, starając się, aby nie skrzypnęło, klękał i powtarzał za Ludmiłą: Ratuj ją, Boże! Ratuj nas!. Kto widział lejtenanta w Gospodzie Czterech Stron Świata, a potem na podwórzu i w składzie Szu-Pao, gdzie klął tak, że muły się nawet zachały, i rozdawał potężne szturchańce, niby orkan, rozrzucając bandę nicponiów, kulisów i furmanów, ten nigdy by nie uwierzył, że potężny, groźny olbrzym płakał żałośnie i gorzko jak małe dziecko. Tak go zmoęła miłość jego, co dziwnym i zawiłym poszła szlakiem, coraz bardziej tonąc w mroku, którego nie rozjaśniał najśłabszy choćby promyk nadziei.

Miczurin uświadomił już sobie, że nadziei mieć nie mógł. Nie śmiał jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Chwilami łudził się jeszcze, czekał, a wtedy rozpacz, jak podskórna woda - skałę, żłobiła duszę jego i serce, szarpała nerwy, żądała jakiegoś czynu stanowczego czy szalonego, lecz w tej samej chwili napływała rzewna, przenikająca całą jego istotę miłość, gasząc przebłysk budzącej się woli.

W najbliższą niedzielę Miczurin zamieszany w tłumie, zgromadzonym w pałacyku pani Bosthaft, próżno szukał Ludmiły. Nie mógł jej odnaleźć nigdzie, chociaż stał przed bramą i doczekał się chwili, aż wyszły ostatnie grupy słuchaczy, a w końcu odjechała biała limuzyna, uwożąc brata Artura i złotowłosą Jenny, czule przytuloną do proroka.

Powróciwszy do domu, zastał tam już Ludmiłę. Słyszał jej cichy, zmęczony głos przez ścianę. Widocznie postyszała jego kroki, bo obie panie zaczęły rozmawiać szeptem. Nie chciał im przeszkadzać i zresztą wyczuwał, że obecność jego skrępowałaby je, przerywając jakąś ważną



zapewne i poufną naradę. Ubrał się więc i wyszedł na Fu-Tien-Koo. Na razie zamierzał odwiedzić Plena, lecz przeraził się myśli, że doktor, o ile będzie przytomny, swoim zwyczajem zacznie zaglądać mu do duszy, domyślając się jego nastrojów lub narzucając mu chęć do wynurzeń. Zawrócił więc w stronę bramy miejskiej. Ledwie jednak doszedł do świątyni, gdy oko w oko spotkał się z bratem Arturem. Amerykanin, nastawiwszy kołnierz i opuściwszy rondo kapelusza, szedł, odczytując tabliczki z numerami domów.

- Kogo on tu może szukać? - szepnął do siebie zdumiony i nagle zaniepokojony lejtenant. - Czyżby śmiał?

Odpędził od siebie tę myśl i zagłuszając wszelkie wyrzuty sumienia, poszedł za Amerykaninem. Stanąwszy przed domem Jun-cho-sana, Artur Carling jak gdyby się zawahał, lecz po chwili stanowczym krokiem wszedł na podwórko. Miczurin przeczekał dobry kwadrans i dopiero wtedy, stąpając cicho po schodkach ganeczka, bez hałasu otworzył drzwi do sieni i wślizgnął się do swego pokoju. Nie zrzucając płaszcza i kapelusza, z ręką na klamce, stał bez ruchu i słuchał.

Przekonał się wkrótce, że pani Somowa wyszła z pokoju. Słyszał jej nerwowe kroki w kuchence i głośne westchnienia.

- Pani pozbawiła mnie równowagi ducha! - dobiegł Miczurina wzburzony głos Amerykanina. - Jasnowidzenie pani wstrząsnęło mną jak burza. Tak dłużej być nie może!

Ludmiła milczała. Lejtenant usiłował odtworzyć wygląd dziewczyny. Zapewne swoim zwyczajem siedzi z bezwładnie opuszczonymi ramionami i patrzy na mówiącego głębokim spojrzeniem wszystko rozumiejących oczu. Na smutnej twarzy jej zamarł wyraz obojętności, bo cóż może ją obchodzić wzburzenie tego śmiesznego proroka, tak długo i kwieciste rozprawiającego o Duchu, który w zrozumieniu Miczurina wcale nie był duchem, lecz zwykłym popędem do złego lub dobrego, zależnym od okoliczności, nastroju, stanu zdrowia czy nawet, być może, pogody. Czym jednak mogła ona tak bardzo wzburzyć tego wygadanego blagiera? W jego głosie brzmiały nuty nieudawanej twogi. Patrzy teraz na brata Artura i wie, że ten powie jej całą prawdę, wytłumaczy uczciwie czy też wprost się zdradzi, co go do niej sprowadziło. I Miczurin również wiedział, że zagadka i dla niego też zostanie wyjaśniona, że rozproszą się wszelkie podejrzenia i znikną powody do męczących go domysłów. Artur Carling nie odzywał się jednak, wreszcie zerwał się z krzesła i kilka razy przeszedł się po pokoju. Usiadł gdzieś na uboczu, zapewne na łóżku, bo skrzypnęły i brzękły sprężyny - kombinował lejtenant.

- Niech pan weźmie krzesło - rozległ się surowy głos Ludmiły, a nigdy przedtem niesłyszane nuty rozkazu uderzyły Miczurina. - Na tym łóżku umierał mój brat! Dziękuję. Ale musimy skończyć tę niewyraźną dla mnie rozmowę! Co spowodowało pańską tu wizytę, mr Carling?

Te słowa: mr Carling przebrzmiały jak odgłos policzka lub smagnięcie batem. Wyczuł to prorok opastej pani Bosthaft, bo w jego odpowiedzi było już znacznie więcej pokory, a nawet strachu.

- Muszę przecież usprawiedliwić się przed panią.

- Po co? - odparła. - Nie obchodzi mnie pan. Mówiono mi o natchnionym mistrzu, dlatego długo przysłuchiwałam się panu na zebraniu kółka w Astor, wreszcie przyszłam na ten wielki publiczny występ. Mam ciężkie zmartwienie i pragnę wskazówek, które pozwoliłyby mi żyć dalej. Dlatego przyszłam.

Urwała i więcej się nie odzywała. Milczenie trwało tak długo, że Miczurin aż zaniepokoił się i już nacisnął klamkę, by wejść do sieni, gdy w tej samej chwili postyszał namiętny głos Carlinga:

- Pani przyszła tam po to, by zburzyć cały gmach, który tak uporczywie i pieczołowicie wznoszę cegła po cegle. Życie po wojnie stało się tak bardzo trudne! Największe talenty, najpotężniejsze indywidualności o żelaznej energii wegetują. Tylko ten, kto potrafi znaleźć swoją drogę, wypłynie na szerokie wody. Ja ją znalazłem! Posiadam talent mówcy, pochwytyję z łatwością nastroje mas i - wyznaję to szczerze - umiem zagrać na nich. Zrozumiałem przed trzema laty, że znużona śmiertelnie i żyjąca z dnia na dzień ludzkość potrzebuje mistyki - nie tej jednak - dalekiej, nieuchwytej, zaświatowej i pokornej Bogu, lecz mistyki, wykrzesanej z nędznej, najpospolitszej istoty ludzkiej, prostej i zuchwałej! Udało mi się to, bo nauczam, że sam człowiek właściwie jest już bóstwem, gdyż kieruje nim w każdej chwili duch. Mam w Stanach Zjednoczonych i w Indiach Brytyjskich pięćdziesiąt tysięcy braci i sióstr mojej sekty, na wiosnę tego roku w Holandii zrobiłem konkurencję samemu Kriszna-Murtiemu i nagle pani!

Znowu przeszedł się po pokoju i rzucił beznadziejnie rozpaczliwym głosem:

- Przychodzi pani i opowiada mi o takich szczegółach mego życia... To straszne! Straciłem równowagę ducha! Jestem zgubiony! A przecież ja chcę żyć!

Zaskrzybiało krzeselko. Miczurin zrozumiał, że Carling, zdruzgotany zupełnie, usiadł.

- Musiałam to panu powiedzieć i zażądać, aby pan zaniechał tu swoich kazań. Czuję wewnętrzny nakaz pozbawić pana tego prawa! Pan głosi straszną herezję, nie uznaje Boga i Syna Bożego i na ołtarz wprowadza chwiejnego, słabego i nędznego człowieka! Cała nadzieja znękanych ludzi zawarła się teraz, jak nigdy przedtem, jedynie w Bogu! A pan, a pan chce zabić, wypalić ją w duszach i sercach ludzi, podstępnie usprawiedliwiając i uświęcając wszystkie najstraszliwsze zbrodnie, które gnieźdzą się w Wielkiej Babilonii, miastach bestii i nierządu! Musiałam to uczynić i powtarzam - jeżeli pan ośmieli się raz jeszcze.

- Groźba? - szeptem przerwał jej brat Artur.

- Uprzedzenie! - dobiegł stanowczy głos Ludmiły. - Jestem przekonana, że to, co zobaczyłam oczami duszy swojej, nietrudno byłoby sprawdzić, gdyby znalazł się ktoś, kto całą sprawę tę wzięłby do serca. Więc - pan rozumie?

Carling długo nie odpowiadał, aż wreszcie zaśmiał się złośliwie:

- Kto by tam zwracał uwagę na brednie jakiejś nędzarki - emigrantki?!

Ludmiła milczała.

Miczurin słyszał, jak Amerykanin włożył palto i otworzył drzwi do sieni, syknął:

- Ostatni raz zapytuję, czy pani będzie nadal żądała ode mnie niemożliwego.

Pytanie to zostało bez odpowiedzi. Uduchowiony prorok (Amerykanki twierdziły, że podobny był do Jana Apostoła!) mistrz i sprytny gracz - mr Artur Carling szybkim krokiem wyszedł na podwórze.

Pierwszym odruchem Miczurina było wypaść za nim i... Powstrzymała go jednak inna myśl, szalona - a jednak najistotniejsza i najszczęśliwsza, która tylko w głębi wiernego serca począć się może.

Zapukał ostrożnie do pokoiku Somowych.

- To ja - Miczurin - powiedział cichym głosem. - Czy mogę wejść?

- Proszę - odpowiedziała Ludmiła.

Lejtenant stanął tuż przy progu, zapominając nawet zdjąć kapelusza. Przycisnąwszy złożone ręce do policzka, wpatrywał się w pytające i nagle zaniepokojone oczy Ludmiły.

Wreszcie z wysiłkiem poruszył ustami i począł szeptać, śpiesząc się i co chwila urywając, bo myśl wyprzedzała słowa:

- Słyszałem rozmowę z tym Carlingiem. Byłem dwa razy na jego kazaniach. Pierwszy raz, gdy pani z nim rozmawiała, i drugi... ale wtedy już pani nie przyszła. Niech mi pani każe, a ja, ja przysięgam na Boga, ja, ja...

Uderzył się z rozmachem w piersi i łzy mu wystąpiły na oczy. Gorące łzy, łzy oddania bez granic, krzyczące, zda się: Weź całe moje życie, bez reszty, bez reszty!

Ludmiła milczała, z lekka marszcząc brwi.

Miczurin mówił dalej, jeszcze szybciej pędząc za mknącym niepowstrzymanie potokiem myśli:

- Niech pani niczego się nie obawia! Jestem przy pani - wierny jak pies, jak brat kochający i stroskany! Jak pani każe, tak będzie. Ja kocham panią, ale tego mową ludzką, nędznymi, bezsilnymi słowami wyrazić nie potrafię. To już nie sama miłość, to jest wszystko, czym żyję.

Nagle zamilkł, bo przed oczami jego mignął biały blok marmurowy z ponurym napisem: życie - szczęście - śmierć!

Z milczenia lejtenant skorzystała Ludmiła. Niezwykłym porywczym ruchem zerwała się i wyciągnęła do niego dłoń. Schwycił ją i przycisnął do ust. Nieznane moce oderwały go od ziemi, od ludzi, od samego siebie. W tej chwili wyznania, co nadeszła tak niespodziewanie, oddawał Ludmile duszę swoją, a czuł z przenikającą go świadomością, że była to dusza ostatecznie oczyszczona i promienna cichą radością i spokojem miłością dokonanego dzieła. Całą istotą swoją wyczuwał ją, wyzwolony ze wszystkich swoich nędznych pragnień, drobnych nadziei i egoistycznych marzeń człowieczych. Wreszcie podniósł głowę i zająrzył w oczy Ludmiły w pokorze i milczeniu oddania się i zrozumienia. Patrzyła na niego uczciwie, śmiało i łagodnie. Porozumieli się bez słów, przeniknęli najgłębsze tajniki swoich dusz, a wtedy to, co przed godziną jeszcze Miczurinowi wydawało się strasznym, niemożliwym do przeżycia, teraz zostało przyjęte przez niego z całym spokojem, który nie był ani rezygnacją, ani ofiarą, tylko zwolnioną już z pęt egoizmu miłością.

Kiwnął kilka razy głową, potarł sobie czoło i szepnął:

- Tak bardzo kocha pani Sergiusza Wagina?

- Jego pierwszego i ostatniego! - odpowiedziała z rozpaczliwym porywem, a cała twarz jej płonąć poczęła, stając się coraz piękniejszą i bardziej uduchowioną. Ujął ją za ręce i stali tak bardzo długo, wpatrzeni w siebie, pełni zaufania i przyjaźni, jak dwoje kochanków, co oddali już sobie wszystko, co mieli najlepszego i najpiękniejszego.

Dopiero powróciwszy do siebie, Miczurin usiadł przy stole i nagle, upadłszy głową na stół, począł łkać bezdźwięcznie. Nie uświadomił sobie tego, że opłakuje kogoś przed chwilą zmarłego, bardzo mu bliskiego i zrozumiącego, który nagle stał się dlań strasznie obcym i dalekim. Nowy Miczurin, który, sam tego nie wiedząc, osiągnął szczyt miłości, opłakiwał innego, co umarł, nie zgłębiwszy jej treści i nie przeżywszy najwyższego uniesienia.

Oprzytomniał, posłyszawszy, że zegar za ścianą wydzwonił siedem razy. Obejrzał się i zdumienie odbiło się najego twarzy. Za oknem mżył deszcz jesienny. Kulawy Chińczyk zamiętał podwórko. Juncho-san, drapiąc się w głowę, zdejmował kłódki z drzwi składu. Miczurin zrozumiał, że minęła noc i że trzeba było śpieszyć się do pracy. Szybko się umył i zastukał ostrożnie w ścianę.

- Za chwilę będzie śniadanie! - odezwała się natychmiast Ludmiła.

Z jakimś strachem oczekiwał teraz brzmienia własnego głosu.

- Trochę jesteśmy spóźnieni. Pogoda marna.

Poczuł wielką radość. Głos jego ani razu się nie załamał, tchnął prawdziwym spokojem i męską, szczerą łagodnością. Uśmiechnął się rzewnie i oparłszy głowę o ścianę, powiedział:

- Panno Ludmiło! Niech pani przyłoży uszko do ściany! Chcę pani coś powiedzieć.

Posłyszawszy szmer tapety, szepnął, starannie rozdzielając słowa:

- Proszę być dobrej nadziei, wszystko skończy się pomyślnie! On panią też kocha, chociaż sam jeszcze tego nie rozumie, ale zrozumie, zrozumie!

Na razie nic nie odpowiedziała, lecz po chwili Miczurin posłyszał:

- Gdybym nie kochała jego, pokochałabym tylko pana, bo pan jest...

Do pokoju weszła pani Somowa, mówiąc:

- Kawa na stole.

Miczurin, wciąż jeszcze uśmiechnięty, odszedł od ściany i szczotką zaczął sobie otrzepywać ubranie.

Na tym jednak nie zatrzymały się wypadki w małym domku na Fu- -Tien-Koo i nie skończyły się troski dawnego cerbera Gospody Czterech Stron Świata. Bieg ich, sam tego nie podejrzewając, zmienił doktor Plen. Przywłókł się pewnego wieczora do Miczurina i bez przygotowania i oględnego wstępu, jak zawsze, powiedział to, z czym przychodził.

- Wczoraj - zaczął słabym, leniwym głosem, co chwila przymykając znużone oczy - nie spałem całą noc. Wypaliłem pięć fajek i nic! Żadnego wrażenia! Gdy leżałem i, jak puchacz, wpatrywałem się w ciemność, miałem widzenie.

Lejtenant poruszył się niespokojnie i nie przerywając przyjacielowi, słuchał.

- Tak, najprawdziwsze widzenie! Dziwne, doprawdy, dzieją się dokoła nas rzeczy, ale z rzadka tylko jesteśmy w stanie pochwycić coś niecoś. Ujrzałem wczoraj Wierę - nie malutką jednak i zapłakaną, lecz taką, jaka była zapewne niegdyś - dziwnie uradowana i wesoła. Uśmiechała się do mnie i oczami dawała mi znaki, żebym szedł za nią. Nie wiem, jak się to stało, ale jestem przekonany, że poszedłem. Było to, bracie, dziwne uczucie, trochę straszne, ale dziwne! Wkrótce znalazłem się w jakiejś obszernej sali czy może świątyni - tego zrozumieć nie mogłem. Widziałem tylko wyraźnie na tle czarnej ściany biały ołtarz.

Miczurin drgnął i pochylił głowę, wsłuchując się w słaby głos Plena.

- Biały ołtarz, a przed nim stała kobieta, Ludmiła Somowa. Mówiła coś, czego nie mogłem słyszeć, bo coś mi przeszkadzało. Potem nastąpiła ciemność, a z niej wynurzyliście się wy - jaśniejący i bardzo piękny. Po chwili znikliście mi z oczu. Nie widziałem was już więcej. Ciemność stawała się czerwoną, aż rozprysła się strugami krwi. Widziałem dużo krwi!

Plen wzdrygnął się i umilkł. Nie odzywał się też Miczurin. Siedział z opuszczoną głową i starał się zgłębić widzenie doktora. Wreszcie westchnął i szepnął:

- Częściowo ma to wszystko związek z moimi przeżyciami, częściowo jest niezrozumiałe i, zdaje mi się, niemożliwe.

Doktor nic nie odpowiedział. Zgnębiony i słaby pożegnał niebawem przyjaciela i skierował się ku drzwiom, szurgając nogami. Na progu obejrzał się i powiedział jak gdyby z wyrzutem:

- I po coście porzucili Gospodę?! Co do mnie to za żadne skarby

świata nie chciałbym umrzeć gdzie indziej niż w palarni Czeng-Si! Człowiek najczęściej przypadkowo znajdzie dla siebie prawdziwie bezpieczną przystań.

Drzwi zamknęły się za nim bez hałasu. Z dziedzińca dobiegł zgrzyt żwiru pod pantoflami Plena, skrzypienie zawiasów w furtce, a potem - tylko syczące tykanie zegara za ścianą.

W kilka dni po tej rozmowie, wracając z biura, Miczurin spostrzegł Chińczyka, nalepiającego na murach białe afisze o jakimś zawiłym ornamentcie. Zatrzymał się i zaczął czytać. Nieznany mu Komitet Czcieli Ducha i Towarzystwo Przyjaciół Mistrza Artura ogłaszały publiczne zebranie w wielkiej sali rady miejskiej, gdzie miał wystąpić mistrz. Dochód z tego przedsięwzięcia miał być ofiarowany na założenie w Nowym Jorku Akademii Ducha z filiami w różnych miastach, a między innymi również i w Szanchaju.

Miczurin, przeczytawszy afisz, poczuł, że serce mu nagle bić zaczęło gwałtownie. Powracał do domu smutny i zamyślony. Dostatecznie poznał Ludmiłę, aby nie wątpił, że nie zatrzyma się przed wystąpieniem przeciwko fałszywemu prorokowi. Gdy przyjrzał się jej uważnie, jeszcze bardziej utwierdził się w tym przekonaniu. Z niepokojem więc oczekiwał dnia wyznaczonego na zebranie.

Nie wiedział o tym, że jacyś ludzie przychodzili do biura Jun-cho-sana, wypytyując go o ceny różnych produktów i obiecując mu znaczne zamówienia. Zwiedzając jego składy, zachwycali się małym domkiem i zrećnie wypytywali Chińczyka o jego mieszkańców i tryb ich życia. Ci sami ludzie przyglądali się też powracającym do domu Miczurinowi i Ludmile, a nawet nieznacznie sfotografowali ich. Wreszcie nastął dzień publicznego wystąpienia mistrza. Była to niedziela. Od samego rana Miczurin czuł trwogę, której niczym nie mógł rozproszyć. Wreszcie zapytał Ludmiły, czy wybiera się do rady miejskiej. Otrzymałszy twierdzącą odpowiedź, gorąco prosił ją, by zaniechała swego zamiaru.

- Co panią obchodzić może ten amerykański szkekacz i spekulant?

- wołał.

Spojrzała na niego poważnie i odpowiedziała z porywem:

- Muszę bronić idei Boga i Świętej Trójcy! - mówiła z siłą. - Jeżeli ludzkość porzuci jedyne Boga, zginie w strasznej katastrofie, o której mówi w Objawieniu apostoł Boży Jan: Oto stało się wielkie trzęsienie ziemi i słońce pokazało się czarne, jako wór włosiany, i księżyc wszystek stał się, jako krew. Gwiazdy z nieba upadły na ziemię, niebo odstąpiło, jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy z swoich miejsc poruszone są. Muszę tam iść i utracić nędznego sługę Antychrysta.

Miczurin nie sprzeciwiał się już więcej. Poszli razem. Zegar na ratuszu wybijał trzy kwadransy na dwunastą, gdy wchodzili do obszernego hallu gmachu. Ledwie zamieszali się w ciżbie, mocno trzymając się siebie, powstał nagły tłok, rozległy się krzyki i tłum, cisnący się na schody, w jednej chwili rozłączył Miczurina i Ludmiłę. Zginęła mu z oczu, uniesiona rwącym potokiem setek ludzi, popychających się, walczących o każdy stopień schodów i usiłujących czym prędzej dostać się na salę. Lejtenant, przeczekawszy, aż odpłynie pierwsza fala, nie bez trudu jednak dotarł do otwartych na oścież ogromnych drzwi. Tylko mocne jego i odporne barki dały mu możliwość wcisnąć się poza próg. O tym, żeby uczynić choć krok dalej, nie można było nawet marzyć. Tłum zwarł się głowa przy głowie w jeden potworny zwal. Komitet Czcieli Ducha umiejętnie rozreklamował wystąpienie swego mistrza na szerszej arenie. W sali stanowczo brakło powietrza. Ludzie oblewali się potem i oddychali z trudem.

- Otworzyć okna! Okna otwierać! - rozlegały się coraz częściej niespokojne okrzyki.

Tam i sam wynikały kłótnie. Jakaś kobieta, wydawszy głuchy jęk, zemdlała, lecz nie upadła, ze wszystkich stron ściśnięta w tłumie. Długo nie udawało się jej wynieść z sali. Wreszcie ponad głowami publiczności podano nosze i tą samą drogą zwrócono je ze złożoną na nich nieprzytomną czcicielką Ducha. Ktoś ryczał z wściekłością, że mu wyciągnięto zegarek z kieszeni. Nastrój z każdą chwilą stawał się coraz bardziej podniecony. Lada powód mógłby spowodować panikę, straszliwą w tym niebywałym tłoku.

- Na co tak długo czekamy w tym diabelskim zaduchu?! - krzyknął jakiś wzburzony głos. - Sala wypchana jak beczka śledzi. Szpilki nikt tu nie wetknie!

- Jeżeli pan pozwoli, wbiję w pana choćby ze sto sztuk! - odpowiedział na ten protest jakiś dowcipniś spod ściany.

Rozległ się śmiech i żarty. Na estradę wszedł barczysty młodzieniec w sportowym stroju i usiłując przekrzyczeć panujący zgiełk, wołał:

- Chwilę cierpliwości, ladies, gentlemen, czekamy na przybycie panów generalnych konsulów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych! Sygnalizowano nam, że już wyjechali.

- Niech się spieszą ci dżentelmeni! - poczęły rwać się okrzyki. - Za chwilę wcale nie będziecie mieć publiczności, tylko jakąś potrawkę z ludzkiego mięsa i flaków!

- Cha, cha, cha!

- Policja! Skradziono mi portfel z dwustoma dolarami!

- Akurat pomoże ci tu policja, gapo!

- Nie noś ze sobą dolarów, idąc do Ducha, poganinie!

- To właśnie duchy buchnęły mu forszę!

Śmiechy, żart, dowcipne uwagi i skargi nie ustawały. Wreszcie, gdzieś daleko kolo samej estrady powstał ruch. Kilku panów zajęło honorowe fotele a w chwilę potem podniosła się kurtyna. Na tle seledynowej kotary widniał biały blok marmurowy.

Miczurin uśmiechnął się pogardliwie. Zrozumiał, - niepokojący go ołtarz i ta niebiańska kotara, stanowiły niezbędne dla proroka akcesoria.

Fałszywy prorok i fałszywy marmur! - pomyślał.

Na estradę weszła wzruszona tym razem mrs Ellen Bosthaft i skrzeczącym głosem prosiła o ciszę, albowiem mistrz już się zbliża. Gdyby ona słyszała psi strach w głosie tego mistrza, gdy rozmawiał z Ludmiłą! - sztych w duchu lejtenant.

Publiczność o kilkakrotnych dzwoneczkach i upomnieniach z estrady zaczęła się uciszać. W pewnej chwili kotara się poruszyła i na estradę powolnym krokiem wkroczył brat Artur w swoim tużurku z rękami na piersiach. Był bledszy niż zwykle, a w szeroko otwartych oczach nie miał już drapieżnych błysków, za to Miczurin pochwycił bojaźliwe spojrzenia, którymi Carling ogarniał salę, szukając kogoś w tłumie. Powoli zacichały głosy, kaszel i sapanie stłoczonej publiczności, - Bracia i siostry w Duchu, pozdrawiam was i przynoszę wam dobrą nowinę! Duch, który jest bo... W tej chwili prorok zobaczył coś, co przeraziło go ostatecznie. Z trzeciego rzędu podniosła się ciemno ubrana kobieta i uczyniła znak ręką, jak gdyby prosząc o głos. Brat Artur w chaosie ludzkich oczu i twarzy teraz dopiero poznał Ludmiłę. Urwał raptownie rozpoczęte przemówienie i przycisnąwszy ręce do serca, jęknął głośno i jak długi runął na deski estrady.

Wpółotwartymi oczyma śledził jednak uważnie to, co się dzieć

poczęło na sali. Mrs Bosthaft, młodzieniec w sportowym ubraniu i kilka osób z pierwszych rzędów podbiegło ku niemu, tłocząc się przeszkadzając sobie przy wąskich schodkach. Tłum, niby wielka fala, drgnął, posunął się w przód i odpłynął z powrotem. Ludzie wspinali się na palce, wskakiwali na krzesła, wykrzykiwali coś strwożonymi głosami i wymachiwali rękami.

Wtem rozległ się przeraźliwy krzyk: - Ratujcie się! Podłoga się zawala!

Wszystko, co żyło, w jednej chwili, tracąc zimną krew i orientację, rzuciło się do ucieczki. Część widzów usiłowała przebić się przez tłum, aby przez estradę wydostać się na inne schody. Naprzeciw nim sunęło zbite kłębowisko ludzkie, kierując się ku głównemu wejściu. Wynikła walka na pięści i zęby. Czerwone, spocone twarze wykrzywiały się potwornie. Zachrypnięte, ściśnięte strachem gardziele rzucały i rzygały przekleństwami. W przekrwionych, wybałuszonych oczach miotał się obłąd i nienawiść. Głucho uderzały pięści w piersi i głowy przepychających się ludzi. Jakiś wysoki, chudy człowiek, podskoczywszy, uczeplił się ręką ramiy obrazu, wiszącego na ścianie. Zapewne miał zamiar wdrapać się na gzyms, ale kilka naraz rąk chwyciło go za poły płaszcza. Runął na głowy tłoczących się ludzi, a zerwany z mosiężnego łańcucha ciężki obraz spadł na tłum. Rozprysła się w kawałki szeroka rama, ze zgrzytem rozdarło się mocno naciągnięte płótno. Spomiędzy jego skrawków i płacht wynurzyły się krwawiące głowy ludzkie. Niektóre z nich oszołomione uderzeniem znikły gdzieś naraz, a bezładny, oszalały tłum deptał po leżących, łamiąc im ręce i obcasami wybijając zęby i oczy. Jazgotały przeraźliwie zgniecione kobiety. Głosy ich, niby ostre zawrosczenie syreny okrętowej, przebijały się przez zgiełk i wichurę wrzasków i ryków nieludzkich. Coraz częściej osuwać się poczynali słabnący i poranieni ludzie. Padali, a setki nóg tratowały ich i gnioły. Przy drzwiach jeszcze raz zawrzała walka na pięści, gdyż utworzył się tu wał z zemdlonych ciał i nikt już nie mógł wydostać się na zewnątrz. Na schodach ludzie, pędzący na oślep, padali, ślizgali się po marmurowych stopniach i staczali się na dół, rozbijając sobie głowy i łamiąc nogi. Panika przechodziła w obłąd i nic już jej powstrzymać nie mogło. Woźnych i policję, usiłujących uspokoić oszalały, ryczący ze strachu potok ludzki, zgnieciono i poturbowano.

Miczurin, wyteżając całą swoją niepospolitą siłę, próżno starał się utrzymać przy ścianie w pobliżu wyjścia, aby wyrwać z tłumu unoszoną jego prądem Ludmię. Ściśnięty masą ludzką, czując ostry ból w biodrze, został wyparty do holu i wypchnięty na ulicę. Dopiero tu, kulejąc mocno, roztrącił rozpraszające się szybko zbiorowisko przerażonych ludzi i stanął naprzeciwko bramy, aby nie przeoczyć Ludmię.

Widział wypłuskające z drzwi wejściowych tłumy mężczyzn bez kapeluszy, w rozdartych płaszcach, potarganych kołnierzach; gromady pokrwawionych ciosami pięści kobiet o rozwichrzonych fryzurach i poszarpanych na strzępy sukniach. Wszyscy nieprzytomni ze strachu i bólu, wyjąc nieludzkimi głosami, wypadali na ulicę i długo jeszcze pędzili przed siebie, pokaleczonymi rękami zastaniając głowy. Ryczały klaksony nadjeżdżających karet pogotowia ratunkowego i straży ogniowej. Nawoływali przeraźliwie wysłani z rezerwy policjanci, próżno usiłując uspokoić pędzący bez celu, przerażony potok ludzki i przywrócić porządek na ulicy, zatłoczonej przez uciekających.

Wreszcie ostatnie fale wypłynęły z gmachu. Wraz z sanitariuszami i policją Miczurin, czepiając się poręczy schodów, przywalonych ciałami zgniecionych i pokaleczonych ludzi, przedzierał się do sali. Stanął w przerażeniu, jak na straszliwym pobojuisku. Wszędzie, wśród szczątków krzesel, stołów i ław, widniały całe stosy nieprzytomnych czy może nieżyjących już ludzi. Zniekształcone twarze, wyciekające oczy, rozwichrzone i wydarte włosy, rozrzucone szmaty ubrania, pogubione obuwie, kapelusze, laski, rękawiczki, porwana w strzępy seledynowa kotara ze śladami krwi na jedwabnej tkaninie, przewrócony na bok biały marmurowy ołtarz - taki to ponury wygląd przybrała wspaniała sala, gdzie zamierzano założyć podwaliny pierwszej Akademii Ducha.



W stosie nieruchomych ciał, zgromadzonych w przejściu bocznym, Miczurin odnalazł Ludmiłę, leżącą pod ścianą, gdzie wyparł ją i zgniółł uciekający tłum. Blady, z zaciśniętymi zębami uniósł ją i ostrożnie złożył na estradzie. Nie oddychała, chociaż miała oczy otwarte i beźmiernie przerażone.

Jakiś sanitariusz, przemocą zatrzymany przez lejtenanta, obejrzał ją.

- Lewe ramię złamane - zamruczał i nagle pochylił się nad leżącą, oglądając coś uważnie.

Syknął cicho i znowu mruknął:

- Dziwne! Ktoś pchnął ją nożem w bok. Cały płaszcz we krwi!

Miczurin mocniej zwarł szczęki i nic nie odpowiedział. W jednej

chwili zrozumiał wszystko: i porwanie mu Ludmiły przy wejściu, i nagłe zemdlenie brata Artura, i zapewne sztucznie wywołaną panikę. Przede wszystkim jednak należało działać niezwłocznie, aby uratować Ludmiłę. Lejtenant uczynił wszystko, co było w jego mocy. Już w pół godziny potem samochód pogotowia odwiózł ją do szpitala angielskiego, gdzie, po złożeniu złamanego ramienia i po opatrzeniu rany, umieszczono ją w osobnym pokoju.

Młody, poważny lekarz, wyszedłszy do oczekującego w korytarzu Miczurina, spytał go:

- Czy to żona pańska, czy krewna?

- Znajoma - odpowiedział lejtenant, wbijając w niego ponury wzrok.

- Mogę więc powiedzieć szczerze, że stan tej osoby jest ciężki. Kość złamana w trzech miejscach, ale z tym to chyba damy sobie radę. Gorzej jest z raną! Płuco naruszone poważnie i wewnętrzny wylew krwi nie dają mi podstaw do nadziei, że uda nam się ją uratować. Niezmiernie ciężki wypadek!

Lekarz natychmiast pożegnał Miczurina i pobiegł na salę opatrunkową, gdzie przywożono coraz to nowe ofiary paniki. Niektóre z nich po chwili już odnoszono do trupiarni.

Lejtenant, nie czując bólu w nadwyrężonym biodrze, prawie automatycznie wyszedł ze szpitala i skinął na taksówkę. Wkrótce był już na Fu-Tien-Koo. Z całą oględnością opowiedział pani Somowej o zajściu na zgromadzeniu w magistracie i o wypadku z Ludmiłą. Wpadłszy po Plena, tą samą taksówką jechali wkrótce we troje do szpitala. Miczurin jakimś dziwnym wzrokiem przyglądał się stroskanej i nagle zgrzybiałej pani Somowej i żółtej, steranej twarzy doktora Plena. Długo potem siedział w poczekalni szpitalnej, wpatrzony w obraz, przedstawiający sanitariuszów pod ogniem pękających szrapneli wynoszących rannych z pola bitwy. Wszystkie myśli jego, wola i całe życie zogniskowane było w krótkim pytaniu: Co powie doktor Plen?

Nie wiedział, ile czasu upłynęło od chwili, gdy wszedł do poczekalni, gdzie powietrze przepojone było eterem i kseroformem. Oprzytomniał, ponieważ ktoś otworzył drzwi i przekreślił kontakt elektryczny. Do oświetlonego nagle pokoiku chwiejnym i ciężkim krokiem wszedł Plen i z cichym jękiem upadł na białą, trzciniową kanapkę. Z trudem łapał powietrze zbielełymi ustami i oddychał porywczo, jak ryba wyciągnięta z wody. Miczurin z przerażeniem wpatrywał się w krwawą plamkę na dłoni doktora. Pochylił się wreszcie nad nim i zajrzał mu w oczy.

Plen przesunął ręką po czole i szepnął:

-Jeżeli nie wda się zakażenie krwi - wyżyje. Lekarze robią wszystko, co można i należy czynić w takim wypadku, Pani Somowa pozostanie przy chorej. Bądźcie dobrej myśli, a teraz prędeż, prędeż do domu! Umieram z osłabienia, tak długo nie paliłem. Prędeż!

Lejtenant prawie że zniósł go ze schodów i wraz z nim wsiadł do taksówki. W drodze spokojnym i obojętnym głosem, jak gdyby mówiąc o kimś niezmiernie obcym mu i dalekim, opowiedział Plenowi o bracie Arturze, jego kazaniach przed białym marmurowym ołtarzem, który okazał się zwykłą drewnianą skrzynią, oblepioną warstwą alabastru, o rozmowie pomiędzy prorokiem a Ludmiłą i wreszcie o panice, która wynikła na ostatnim zgromadzeniu czcicieli Ducha. Zupełnie osłabiony, jak gdyby zwiędły i nieprzytomny doktor ożywił się nagle i mruknął z oburzeniem:

- Zakrawa to na zamach na życie Ludmiły. Przeholowano jednak. Tyle ofiar!

Miczurin w milczeniu przytaknął głową. Jechali, już nic do siebie nie mówiąc. W palarni lejtenant, czekając aż Plen pokrzepi się swoją porcją trucizny, posłał sługę po papier i kopertę i napisał krótki list do dyrekcji Szun-Pao. Doczekawszy się powrotu doktora, Miczurin podszedł do niego i, ściskając mu rękę, powiedział:

- Tymczasem żegnam was i z całego serca proszę o opiekę nad Ludmiłą! Zapewne dziś jeszcze wpadnę tu do was, ale gdybym nie mógł - będziecie wiedzieli, gdzie mnie szukać.

Plen roziskrzonym wzrokiem patrzył na Miczurina, jak gdyby chcąc przejrzeć go na wylot. Nic jednak nie mówił. Rozumiał, że nie mógłby już odwieść przyjaciela od zamiaru, którego domyślał się od chwili, gdy postyszał opowieść jego o zebraniach w pałacyku mrs Ellen Bosthaft.

Gdy za zgnębionym, kulejącym olbrzymem zawarty się drzwi, doktor opuścił powieki i przycisnąwszy pięści do skroni, począł szeptać rozpaczliwie:

- Szaleńcy, szaleńcy, szukający szczęścia na ziemi, przez którą przechodzą z niewyczuwaną przez siebie, błyskawiczną szybkością, jak nieuchwytnie dla oka cienie obłoków ruchomych! Nędzne chwilowe majaki - mgliste, a jakżeż chciwe życia, co jest tylko urojeniem!.

Wyszedszy z palarni, lejtenant powolnym krokiem skierował się ku domowi. Zajrzał do pokoiku Somowych, gdzie wydało mu się, że widzi oświetloną żółtym płomieniem lampy, pochyloną nad stołem głowę Ludmiły i jej bezwładnie opuszczone ramiona. Ból w nodze zmusił go powrócić do rzeczywistości. Zamknął drzwi starannie i wszedł do swego pokoju. Zrzucił płaszcz i kapelusz i z jękiem położył się na łóżku. Otoczył go szary, mętny zmierzch. Na podwórku zapalono latarnię. Na suficie przeciągnęło się natychmiast jasne, żółte pasemko. Miczurin rozglądał się dokoła. Widział stolik, szafkę, umywalkę i jak żartobliwie mawiał, swoją skrzynię wyprawną - o wymyślnych kształtach chiński kufer, rzeźbiony w smoki i kwiaty - pospolity zresztą sprzęt rynkowy. Przyłapał siebie na tym, że w mózgu tkwi i judzi go jedna i ta sama myśl. Długo nie mógł ściśle określić jej treści. W końcu jednak zrozumiał, że nie była to myśl, lecz raczej wrażenie, uporczywie powtarzające się i drażniące nieodstępne.

- Ach! - westchnął z ulgą, znalazłszy wreszcie rozwiązanie. - Mam wycucie, że wszystko, o czym myślę teraz i na co pada mój wzrok, jest po raz ostatni. No tak! No tak! Zapewne.

Urwał tok myśli i spojrzął na zegarek. Dobiegała godzina siódma.

- Muszę czekać co najmniej jeszcze trzy godziny - obliczył i wydawszy głośny jęk, przewrócił się na bok.

Posłyszał już przez sen, że zgrzytliwy zegar za ścianą wybił siedem razy. Znużonego i wyczerpanego człowieka zmorzył sen.

Miczurin obudził się raptownie. Poczuł wyraźnie dotyk czyjejs ręki, która lekko potrząsnęła go za ramię. Przetarł oczy i obejrzał się. W pokoju nikogo nie było. W tej samej chwili stary zegar zazgrzytał i zasyczał, a potem, niby nabrawszy rozpędu, jął wydzwaniać.

- Dziesiąta! - mruknął do siebie Miczurin i zwlókł się z łóżka. - Czas na mnie.

Z grymasem bólu schyliwszy się nad skrzynią wyprawną, wydobyl z niej jakiś przedmiot i schował go do kieszeni marynarki. - Czas na mnie - powtórzył głośno. Włożył płaszcz i kapelusz i zaciskając szczęki, bo go straszliwie bolało biodro, wyszedł na ganek i zamknął drzwi. Oddawszy klucz od domku Jun-cho-sanowi, ruszył w drogę, utykając i sycząc z bólu. Taksówkę znalazł dopiero za północną bramą, przy ulicy Konsularnej i z trudem wgramolił się do karetki.

- Centrala telefoniczna! - rzucił szoferowi.

Z kabinki, zabezpieczonej od podsłuchu korkową warstwą, zatelefonował do pałacyku pani Ellen Bosthaft, a gdy odezwał się jej sekretarz, spytał:

- Czy nie mógłbym prosić o ścisły adres pana Artura Carlinga? Zostałem wydelegowany przez koncern prasowy Szun-Pao dla wywiadu. Zamierzamy umieścić obszerny artykuł o tak wybitnym myślicielu i znakomitym mówcy.

- Za chwilę dam odpowiedź! Muszę zreferować prośbę pana mrs Bosthaft - posłyszał Miczurin głos sekretarza, a z brzmienia jego zrozumiał już, że odpowiedź będzie przychylna. Istotnie sekretarz podał adres proroka i w imieniu protektorki jego wyraził zadowolenie z powodu zainteresowania się prasy tak świetlaną i niezwykłą postacią.

Lejtenant wyszedł z kabiny i skierował się do gmachu koncernu. Doręczywszy portierowi list do dyrekcji, wsiadł do taksówki i wkrótce stanął przed wykwintną willą prywatną, rzęście oświetloną. Na tle pomarańczowych firanek przesuwały się sylwetki panów i pań. Drzwi wejściowe otwierały się co chwila, wypuszczając odjeżdżających gości. Do bramy podślizgiwały się natychmiast z cichym szelestem opon samochodu, ustawione w długi sznur, niby nagle skamieniałe czarne chrabąszcze.

Miczurin, siedząc na podmurowaniu sztachet przed sąsiednim domem, doczekał się, aż odjechała ostatnia limuzyna i w salonie zgaszono lampy. Skądś z daleka dobiegło go głucho uderzenia zegara. Jedenasta! Wstał i trzymając się lewą ręką żelaznego ogrodzenia, pokulał ku wejściu do willi. Nacisnął dzwonek i czekał. Otworzył mu drzwi służący w pasiastej biało-czerwonej kamizelce i w pantoflach.

- Muszę widzieć się natychmiast z panem Arturem Carlingiem! Sprawa niecierpiąca zwłoki i niezmiernie dla niego ważna. Ba! Radosna nowina, tak, wyjątkowo radosna nowina!

Spokojny, a nawet wesoły głos Miczurina i wsunięty do ręki lokaja banknot pięciodolarowy przekonały go najzupełniej.

- Mr Carling jest już w swoim pokoju, zaraz na parterze. Czy pan nie raczy zrzucić płaszcza? - pytał sługa.

- Nie! - zaśmiał się gość. - Za chwilę wyjdę. Proszę zaczekać tu na mnie. Jak mam przejść do pana Carlinga?

- Korytarzem na prawo, drugie drzwi z lewej strony.

- Dziękuję!

Miczurin przeszedł się i znalazłszy się w półciemnym korytarzu, gdzie paliła się niebieska lampka matowa, śmiało zapukał do drzwi.

- Proszę - dobiegł go barytonowy, chociaż senny już głos.

Lejtenant pchnął drzwi i zamknął je za sobą szczelnie.

- Zapewne bardzo się ucieszył mr Carling z dobrej nowiny? - z uśmiechem spytał służący, gdy spóźniony gość powrócił do hallu, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Nieznajomy spojrział na niego dziwnym wzrokiem i bezdźwięcznie poruszył lekko drżącymi wargami. Po chwili był już na ulicy, zbiegającej wprost ku Bundowi, gdzie znalazł konną dorożkę.

- Zawieziesz mnie do Pałacu Siedmiu Snów na Fu-Tien-Koo - mruknął do Chińczyka, siedzącego na koźle.

- Do czcigodnego Czeng-Si? - zwracając ku pasażerowi bezczelną, dziobatą twarz, spytał woźnica.

Miczurin skinął głową, usiłując znaleźć najdogodniejszą pozycję dla obolałej nogi. Dorożka ruszyła, dzwoniąc i turkocząc na każdej nierówności asfaltowej jezdni. Chińczyk niemiłosiernie siekł biczem małe, opaste koniki mandzurskie, dogadywał im coś bez przerwy i nie mógł widzieć, że pasażer nieznacznym ruchem wsadził pod poduszkę siedzenia długi klucz nikłowy.

- Wiesz, ta-je, co to znaczy dobra nowina? - spytał nagle woźnicy.

Ten obejrzał się i wyszczerzył żółte zęby. Nie wątpił już, że wioził pijanego dżentelmena, gdyż trzeźwy nie wdawałby się z nim w rozmowę i nie nazywałby go panem.

- Dobra nowina? Pff! - parsknął cicho.

- Nie wiesz, a tymczasem to bardzo proste! - zaśmiał się pasażer. - To cisza i spokój, dobry człowieku!

Woźnica zaklął na konie, dla porządku walnął je batem i zachichotał zgrzytliwie:

- Niby tak jak na cmentarzu?

Barczysty dżentelmen podniósł tylko oczy i wzruszył ramionami. Po męczeńskiej jeździe po wyboistej Fu-Tien-Koo, powóz stanął wreszcie przed palarnią.

- Niech słodki dym przyniesie szlachetnemu dżentelmenowi siedem razy po siedem najpiękniejszych snów! - mamrotał dorożkarz, ucieszony z hojnej zapłaty. - Niech siedem duchów szczęścia osiedli się w domu wspaniałomyślnego dżentelmena!

Sypał życzeniami jak z rękawa, chociaż pasażer dawno już zniknął w ciemnym przedsionku długiej szopy Czeng-Si.

Doktor Plen leżał na swoim zwykłym miejscu na końcu pryczy. W roztargnieniu, bez przejścia się aktem palenia, ćmił fajkę. Ujrawszy podchodzącego Miczurina, natychmiast odłożył bambusowy cybuch i usiadł, podwinąwszy pod siebie chude nogi. Patrzyli na siebie długo i szczerze.

- A co dalej będzie? - szepnął Plen, unosząc brwi.

Miczurin zmarszczył czoło i natychmiast odpowiedział:

- Pomyślałem o wszystkim. Nikomu nie zrobię kłopotu.

Znowu szepili się żrenicami, niby dwoma ogniwami łańcucha, i przyglądali się sobie długo. Plen zmrużył oczy i mruknął:

- Tylko głupcy lub tchórze, jak ja, ponad wszystko wynoszą życie. Ale nie mogę odżałować, żeś porzucił wtedy Gospodę Czterech Stron Świata i z zamkniętymi oczami poszedłeś w świat, bracie nierozważny i niesz...

Miczurin nie dał mu skończyć zdania. Ująwszy rękę Plena, ścisnął ją mocno i pokulał ku wyjściu.

Nie czuł już bólu w nodze, nie gryzły go troski, odstąpiły nadzieje i pragnienia. Za to ogarnęła go jedna jedyna tylko myśl, że zrobił wszystko, co mógł - uczciwie i sprawiedliwie; że gdzieś, kiedyś spotka Ludmiłę i Wagina i wszyscy, wszyscy pozostaną już na zawsze razem, wiecznie szczęśliwi, związani ze sobą, bardziej niż tu - na ziemi, gdzie stają na drodze splot sprzeczności, przeszkód i powikłań, chociaż... W każdym razie, nawet tu byli ze sobą bardzo związani! Bo jakżeż?! Wagin wyrwał go z ohydy i dał mu wiele jasnych, niezapomnianych dni, opromienionych miłością dla Ludmiły; Sergiusz postąpił szlachetnie i nie stawał mu na drodze, ba - nawet odszedł zupełnie. Czymżeż się on - Miczurin, nędzny robak, odwdzieczył i dlaczegóż jeszcze bardziej połączył się z Ludmiłą i Waginem? Na to miał gotową i szczerą odpowiedź. Ludmile oddał całego siebie do ostatniego tchnienia, a w końcu z takim podeptaniem własnego serca, że znalazł nawet w sobie siły, by błagać Ukrzyżowanego o połączenie się tych dwojga, w imię jego miłości.

Cały we władzy jasnych myśli szedł przed siebie, bez kierunku i bez drogi. Dawno już minął ostatnią szopę dzielnicy Czapei, brnąc teraz przez suche chwasty i ścierniska, pozostałe na grzędach ogrodów i półkach podmiejskich, zapadał się w jakieś doły i koleiny, aż wyszedł na szosę, biegnącą ku wielkiej pagodzie. Kulał, idąc środkiem drogi i wyciągając ręce ku świetlnej smudze, co raz po raz pełgała po zboczach szosy, pobieliała raptem gałęzie drzew, to znów wsiąkała w kłęby gęstej mgły jesiennej.

Tam, tam świeci się i woła mnie kraina, gdzie cierpliwie czekać będę na nich! Spoza zakrętu szosy, na ostrym wirażu wypadł spóźniony autobus, przepełniony turystami. Ogniste oczy jego oślepiły Miczurina, lecz on, cały w mocy myśli o nowym szczęściu, wydał okrzyk radości, że oto doszedł nagle.

Ryknęła syrena, zazgrzytały i jęknęły nagle naciśnięte hamulce, ciszę nocną rozdarły przeraźliwe krzyki, rozległ się tupot nóg biegnących ludzi i nawoływania:

- Dawać latarnie! Człowiek pod kołami.

Pasażerowie i szoferzy zawiedli się jednak. Człowieka bowiem już nie znaleźli. Na drodze unosiła się i stapiała z mgłą gorąca para nad porzucanymi tam i sam skrwawionymi szmatami i strzępami, co przed chwilą jeszcze stanowiły część istoty ludzkiej.

- W tej to właśnie chwili doktor Oskar Plen, leżąc na pryczy, przy niepewnym, migającym płomyku lampki, otoczony słodko-gorzakawym dymem opium, drżącą ręką pisał zagadkowy list do Wagina. Skończywszy go, wypalił jedną po drugiej trzy fajki. Nie brały go jednak. W końcu usiadł na pryczy i wpatrzony w mrok, gdzie spali lub, być może, umierali inni palacze, szeptał:

- Szczęścia mu się zachciało! Efemeryda nędzna, co błędny, oszukańczy cień uważała za życie! Cma nierozumna, lecąca na odbicie nigdy niedoścignionej gwiazdy w ciemnym zwierciadle stawu. Boże, który wiesz, po coś takim uczynił człowieka, otwórz przed tym, co odszedł z tej ziemi, wrota krainy jasności, prawdy i wieczności!

Upadłszy na matę, Plen długo i ciężko łkał. Echo jak gdyby przerażone, trwożnie szemrało po kątach Pałacu Siedmiu Snów i Siedmiu Marzeń, bo zgrozą przejmowały te odgłosy - straszne i beznadziejnie tęskne w ponurym legowisku, gdzie ludzie szukali dla siebie porywających mamideł i rozkoszy nieziemskich, nieznacznie w powolne przechodzących konanie.

## VI. OBJAWIENIE

Trzy dni trwały narady Wagina z generałami chińskimi, a tylu ich było, tak sprzeczne nieraz wystawiali żądania, że przy wrodzonej im powolności myślenia, nieposzanowaniu czasu i ciągłym cofaniu raz przyjętego postanowienia, Sergiusz nie przewidywał rychłego końca bezcelowych, jak mu się wydawało, rozmów i konferencji, przybierających chwilami charakter znęcania się i drwin, podkreślanych nieraz z umyślną, wyzywającą arogancją. Wagin jednak przyzwyczał się już do tego obronnego systemu Chińczyków i mając ściśle wskazówki Wali-chana i Ti-Fong-Taja, nieustępliwie bronił swoich ofert i nie dawał się sprowadzać na manowce niewykonalnych i bałamutnych planów. Te trzy dni ciągnęły mu się jak rok cały. Z chwili na chwilę, z godziny na godzinę oczekiwał odpowiedzi na telegram swój do Miczurina. Minęło jednak trzy dni, a lejtenant wciąż milczał. Wagin, czując w piersi kawał lodu, nie mógł znaleźć sobie miejsca, a nawet siedząc we wspaniałych salach i gabinetach, gdzie się toczyły narady, myślał wciąż o tym, co się stało w małym domku na podwórku Jun-cho-sana. Mógłby, co prawda, zatelegrafować do pani Somowej, wstrzymał się wszakże od tego zamiaru, obawiając się, żeby nie było to przyjęte za usiłowania jego, by przypomnieć się Ludmile i naprawić tak łatwe, jak mu się zdawało, i naturalne rozluźnienie stosunków i dawnej przyjaźni. Nie chciał też, aby zakochany w Ludmile Miczurin pomyślał, że przyjaciel jego zamierza wejść mu w drogę.

Ale o co mi właściwie chodzi? - zapytywał w duchu. - Cała ta draż- liwość moja byłaby na miejscu, gdybym istotnie chciał im się narzucać lub gdybym... miał jakieś cieplejsze dla Ludmiły uczucie, tymczasem... Tymczasem nie mógł uśmiechnąć się pogardliwie na to jak gdyby absurdalne przypuszczenie. Gdzieś bardzo głęboko w sercu ożyły nagle wspomnienia - nic nieznaczące, ale niezwykle wyraźne i wyłącznie jego jedynie obchodzące. Same drobiazgi! Jakiś błysk w głębi oczu Ludmiły, niezwykła, nigdy przedtem niesłyszana intonacja jej głosu, nagłe wzruszenie, cieplejsze spojrzenie, skierowane w jego stronę; miękki, kontraltowy śmiech, krótki i przypadkowy, gdy lśniła

się na jedno mgnienie oka wspaniała biel zębów; pięknie oświetlone, bujne włosy, niepokorne pasemko ich, spadające na ciemną, śmiało zarysowaną brew, gęste cienie, odrzucone od długich, czarnych rzęs. A to ukryte oburzenie jej, gdy rozповідаła o niedostępnym klasztorze, o jakichś tam nieośmielających się powiek podnieść milczących mniszkach we włosiennicach i czarnych chustach na pochylonych głowach?! W jej ledwie podniesionym głosie wyczuł wtedy namiętny bunt. Nie znał tej dziewczyny i nie zadał sobie nawet trudu wniknąć w treść jej życia, w myśli i plany na przyszłość! Musi przecież do czegoś dążyć, a jeżeli tak - to oddaje się marzeniom - być może skromnym, łatwo dostępnym, lecz w każdym razie marzeniom. A wtedy, czy on sam znalazł w nich to lub owo odbicie? Jakie? Kiedy? Przy jakich wreszcie okolicznościach po raz pierwszy pomyślała o nim w bezpośrednim związku z własnym życiem?

Przylapał siebie znowu na nieściskości w określeniu swego stosunku do Ludmiły. Posunął się nawet w dociekaniach uczuciowych o jeden krok naprzód i ustalił, że ilekroć myślał biegł do małego domku, w którym miał w tak krótkim czasie kilka doniosłych przeżyć, tyle razy powtarzał sobie, że nic go nie wiąże z tą dziwną dziewczyną, co przejrzała go z pierwszego rzutu oka. Uświadomił sobie, że podobne to było do obrony przed prawdą. Starał się odpędzić od siebie tę myśl i znowu, po raz tysięczny, zaczynał łamać sobie głowę nad znaczeniem listu Plena. W pewnym momencie uprzytomnił sobie, że nie może wyobrazić sobie teraz Miczurina w całej jego okazałości; lejtenant odszedł na bardzo daleki plan i niby przez mgłę tylko mógł go dojrzeć Wagin. Za to w każdej chwili stawała przed jego oczami, jak żywa, Ludmiła. Zdawało mu się nawet, że widzi nowe zmarszczki, odbiegające od kącików mocno zaciśniętych i dziwnie bladych warg, ale zobaczyć oczu jej nie był w stanie, gdyż stale ukrywały się pod opuszczonymi powiekami.

Znowu zaciskał zimne palce i pytał natarczywie, nie wiedząc, do kogo się zwraca w swej trosce:

- Co się z nią stało? Boże!

Wołanie to padło z ust Wagina po raz pierwszy. Wychowany przez matkę Angielkę miał do religii stosunek niemal oficjalny. Zwyczajny konwencjonalizm, wykluczający zarówno krytycyzm, jak też cieplejsze i głębsze uczucie. Anglia przecież, zrównoważona, nieznaną wstrząsów i słynna ze swego ładu, nie potrzebowała Boga na co dzień, jako jedynej i najmożliwszej ucieczki w nieszczęściu i cierpieniu. Ale wyszeptane w tej chwili słowo Boże miało zupełnie inne znaczenie i tragiczną treść, gdyż odezwał się szczerzy, najprawdziwszy głos ściśniętego niepokojem serca. I Bóg odpowiedział. Odpowiedział nie z burzliwej, strasznej chmury synajskiej, nie z krzaku gorejącego i nie ze słupa z obłoków i piasków pustyni, lecz z własnej duszy Wagina. Wszystkie wspomnienia o Ludmile w pewnej chwili zogniskowały się w brzmącym głębokim przeświadczeniu szepcie zrozpaczonego Miczurina: Ona was kocha!. Nie pocieszyła go na razie ta myśl i nie wzbudziła radości. Stała się tylko źródłem następnych rozumowań niezbitie logicznych, niebudzących już żadnych wątpliwości. Rozmyślał tak, jak gdyby paciorki nizał na mocną nitkę.

Ludmiła pokochała mnie, zrozumiałem, że wszystko, co złego zrobiłem, nie wypływało ze mnie samego. Pociągnęły ją ku mnie mój spokojny a zacięty upór, siła woli, spokój wobec niebezpieczeństwa i klęski, śmiałość w sądzie o samym sobie i nienarzucająca się nikomu skłonność do niesienia pomocy ludziom, potrzebującym jej. Wynikało to z jej jak gdyby przypadkowo rzucanych myśli. Nie mogła więc przyjąć oświadczenia Miczurina, nie mogła, bo zbyt uczciwa jest i samodzielna ta cicha, pokorna, smętna mrówka! Przecież znam Miczurina? Nie miałby on sumienia zniewalać Ludmiły, ale też jest zbyt żywotny, by nie móc znaleźć w sobie sił do przeżycia odmowy. Cóż się więc

stało po tym fakcie? Ludmiła musiała szukać ujścia dla swej troski i zgryzoty, pogłębionej obecnością Miczurina. W tym właśnie tkwi zagadka listu Plena! Cóż mogła zrobić Ludmiła, cicha, zgnębiona, zapracowana? Niezawodnie zjawił się ktoś, kto bezwiednie czy umyślnie wziął udział w tych powikłanych przeżyciach dwojga ludzi - bardzo dla siebie przyjaznych, ale idących różnymi drogami serc. Jak w tym wypadku postąpił Miczurin? Cofnął się czy też rozpoczął walkę?

Na tym utknęły rozumowania i intuicja Wagina. Rozum nie dał mu żadnej odpowiedzi na tak bardzo ważne pytanie. Intuicja zaś stanęła na rozstaju. Wagin widział mglistą, ginącą w oddali postać Miczurina w dwóch naraz odmianach. Zdumiewająco cichego i jak gdyby ukojonego i tuż obok innego - ponuro groźnego i nieustępliwego. I znowu zjawiła mu się Ludmiła - blada,

bezwładna, o skrzepłej, ale jakżeż natchnionej i uduchowionej twarzy. Gdybyż mógł zobaczyć jej oczy! Zrozumiałby wtedy wszystko i wiedział, co powinien robić.

Wagin miotał się i dręczył jak skazaniec. Pragnął podzielić się z kimś swoją troską i niepokojem. Ta potrzeba odezwała się w nim nagle. Nawet nie bardzo się temu dziwił, chociaż po raz to pierwszy po tragicznie zakończonej miłości jego pociągnęło go do ludzi, aby znaleźć u nich zrozumienie, współczucie i ukojenie. Na razie nie widział nikogo w swoim otoczeniu, z kim by mógł o tym pomówić szczerze i poważnie. Szyper Bojcow zupełnie się do tego nie nadawał. Po szalonej walce o byt w obcym środowisku stał się człowiekiem z żelaza i kamienia. Pozbawiony wszelkich iluzji, nie był również zdolny do żadnych sentymentów. Stanąwszy na twardym gruncie, Bojcow wyznaczył sobie etapy dalszej drogi i szedł, na nic nie bacząc, zapatrzony w cel ostateczny - niczym niezachwiane stanowisko i bogactwo. Wagin nie mógłby rozmawiać z nim o tym, co go obchodziło teraz najwięcej i pochłaniało całkowicie. Zupełnie przypadkowo znalazł jednak człowieka, z którym mógł dzielić się myślami i wypowiadać mu swoje trwożne domysły i utajone obawy.

Podczas narad w gmachu Ministerium Wojny poznał i przy bliższej współpracy zbliżył się z pułkownikiem Chaj-Czinem. Był to trzydziestopięcioletni oficer, wychowanek szkoły wojennej w Berlinie, rozumny i odcytany. Długi pobyt w Europie pozbawił go niektórych przykrych cech nowoczesnego chińskiego inteligenta. Nie krytykował wszystkiego, co nie było chińskie, należycie oceniał dobre i złe strony cywilizacji zachodniej, widział zasadnicze wady i braki swego społeczeństwa i nieustalonego jeszcze systemu, odważnie wypowiadając swoje zdanie, nie cofał się nawet przed poważnymi rozmyślaniami nad istotą i etyką chrześcijaństwa.

Na tym właśnie tle nastąpiło pomiędzy nim a Waginem pierwsze zbliżenie. Sergiusz zwrócił na niego uwagę, posłyszawszy pewnego razu na jednej z nieskończonych narad zdanie, wypowiedziane przez pułkownika, prostującego zbyt ogólnikowe twierdzenie jakiegoś butnego generała.

- Nie doceniamy Europejczyków, panowie! - zauważył wtedy surowym głosem Chaj-Czin. - Biała rasa ma podwójną psychikę. Jedną - opartą na przeświadczeniu mesjanizmu cywilizacyjnego, zgodzę się tu z twierdzeniem pana generała, że niewłaściwie pojętego, gdyż Europa opiera się obecnie na kapitalizmie, podstępnej dyplomacji i, jak to było zawsze, na sile pięści; druga zaś psychika - niezależna, chociaż przytłoczona przez pierwszą (taki przeżywa ona okres!) zrodzona jest w najczystszych źródle niezrównanej z niczym Chrystusowej nauki o miłości bliźniego, o miłości, która nie robi różnicy pomiędzy białymi, żółtymi i czarnymi ludźmi, panowie! Nie możemy twierdzić z całą stanowczością, że ta druga psychika skazana jest bezwzględnie na zagładę, jak też nie mamy podstaw



do przeświadczenia, że wśród Europejczyków nie znajdują się osobniki, a nawet całe warstwy społeczne, dla których nauka ich Mistrza - Chrystusa pozostanie na zawsze jedyną filozofią życiową.

Posłyszawszy to, Wagin zainteresował się Chaj-Czinem i zebrał o nim potrzebne mu informacje. Z zadowoleniem przyglądał się jego ściągniętej, energicznej i poważnej twarzy i wierzył temu, co mu opowiadano o pułkowniku, robiącym szybką i świetną karierę. W roku 1912 w randze kapitana brał udział w marszu republikańskich wojsk z Nankingu do Pekinu, a potem przez cały czas walczył w szeregach północnej armii przeciwko awanturniczemu generałowi południowego rządu. Jemu to zawdzięczała republika rozproszenie znacznej liczebnie i dobrze wyekwipowanej komunistycznej armii pod wodzą czerwonego generała Ma, wspomaganego przez bolszewickich agentów. W okresie, w którym poznał go Wagin, pułkownik Chaj-Czin pełnił obowiązki szefa operacyjnego wydziału sztabu. Poznali się i zaprzyjaźnili ze sobą, prowadząc długie rozmowy na różne tematy. Złożywszy wizytę pułkownikowi, Sergiusz zwrócił uwagę na umieszczoną na biurku dużą fotografię młodej kobiety o otwartej i rozumnej twarzy. Spostrzegłszy, że gość przygląda się portretowi, Chaj-Czin ujmującą szczerością i prostotą powiedział:

- Trzy lata temu byłem delegowany jako obserwator wojskowy do Rzeszy Niemieckiej. Poznałem tam tę pannę. Pochodzi z Alzacji, ze starej, tradycyjnej rodziny, chociaż ma charakter i umysł na wskroś współczesny w najlepszym tego słowa znaczeniu! Pokochałem ją i nie ukryję przed panem, że odpowiedziała mi wzajemnością. Na przeszkodzie do naszego połączenia stanęła rodzina. Zrozumiałe! Antypatie, może nawet idiosynkrazja rasowa, różnice kultur, religii i poglądów. Dramat, tak - dramat, tym głębszy, że Iza oświadczyła, iż bez wahania pójdzie ze mną w życie. Nie chciałem jednak narażać siebie i jej na ryzyko zbyt pospiesznej i gorączkowej decyzji. Uważam, że lepiej jest przeżyć kilka lat szczęśliwie, niż przez całe życie iść obok siebie z zimnym sercem, z obowiązku.

- I cóż pan zrobił, pułkowniku? - spytał zaciekawiony Wagin.

- Zaproponowałem próbę. Próbę czasu i trwałości niczym nie- podsycanego uczucia - odpowiedział Chaj-Czin z jakimś zagadkowym uśmiechem. - Pięć lat próby! Jeżeli wynik jej będzie dobry, wtedy warto już walczyć, łamać tradycje i wiedzieć, że czyjeś tam łzy okupione zostaną szczęściem dwojga ludzi, dla których całe życie zamknęło się w nich samych jak promienie słońca, przetłamsane i odbite po tysiąc razy w kryształach.

Pułkownik zapalił papierosa, lecz natychmiast cisnął go do stojącej w kącie popielnicy z piaskiem.

- To dziwne! - cichym głosem odezwał się Wagin. - Nie zdając sobie sprawy i ja też odbyłem podobną próbę.

- Czyżby? - z żywym współczuciem spytał Chaj-Czin.

- Tak! - potwierdził Wagin. - Bezwiednie dokonałem na sobie próby, właściwie nie ja sam, lecz los czy jakaś nieznana wyższa siła, próby, aby przekonać się, czy kocham, ale - machnął ręką - muszę panu pokrótce opowiedzieć całą tę dziwną, doprawdy, historię.

Wynikiem tej rozmowy było zorganizowane przez pułkownika telefoniczne połączenie Wagina z biurem kompradora. Wagin prosił Ti-Fong-Taja o informacje o Miczurinie, którego mógł z łatwością odnaleźć w administracji Szun-Pao. Odpowiedź kompradora zaniepokoiła jeszcze bardziej i zdezorientowała Sergiusza. Dowiedział się bowiem, że Miczurin nie pracował już w koncernie i nawet

nie zażądał wypłacenia mu zaległej pensji. Wagin nie mógł sobie wyobrazić, co robi ten olbrzym, widać raptownie zaniechawszy pracy w przedsiębiorstwie prasowym. Tylko bardzo nagłe i ważne wypadki mogły popchnąć go do tak ryzykownego w jego sytuacji kroku, stawiającego go znów w obliczu nędzy.

Muszę mu pomóc - myślał stroskany i niespokojny Sergiusz - nie dopuścić, aby Miczurin, wyrwawszy się z ohydneho bagna Gospody - miał do niego powrócić. To złamałoby go do reszty!

Przypomniał sobie bohaterskie, chociaż nieraz przesadne i śmieszne wysiłki lejtenanta, aby stać się członkiem kulturalnego społeczeństwa.

- Miły, zabawny drab! — westchnął z rzewnym uśmiechem. — Takie to wielkie zwierzę, a jakżeż dziecinne nieraz i zdumiewająco wrażliwe!

Niestety, nie mógł natychmiast pędzić do Szanchaju. Narady ciągnęły się nieskończenie. Próżno Wagin skarżył się Chaj-Czinowi i klął na zwłokę. Pułkownik wzruszał ramionami i odpowiadał z cichym śmiechem:

- Cóż pan chce? My nie cenimy czasu, gdyż żyjemy niezmiernie długim życiem narodu i jesteśmy bezpośrednio związani z cieniami poprzednich tysięcy pokoleń. Taki pogląd, jak tego dowodzi nasza historia, zawsze wychodził nam na dobre, pozwalając przetrwać najcięższe i przedłużyć najświetniejsze okresy. Nawijając stosunki z nami, przede wszystkim należy uzbroić się w zimną krew i cierpliwość, dlatego to największym w Chinach powodzeniem cieszą się Anglicy. Oni to umieją spokojnie czekać! Postanowili wzbogacić się na zatruwaniu czterystupięćdziesięciomilionowego narodu naszego na nic innego nieprzydatnym produktem swych plantacji indyjskich, jakim jest właściwie opium, i cierpliwością narzucili nam swoje wyłączne prawo handlu tym narkotykiem. Nawet Chińczycy stracili pewnego razu równowagę ducha, no, ale szybko odnaleźli ją, gdyż dała im się we znaki ciężka, rujnująca kraj wojna z Anglią o opium. Jako prawnik zna pan zapewne te smutne i mroczne karty historii?

Wagin potrząsnął głową i odpowiedział:

- Jeden z naszych profesorów prawa międzynarodowego specjalnie zwracał naszą uwagę na ten okres białej ekspansji w Azji Wschodniej! Jeszcze teraz nawet pamiętam kilka nazwisk uczestników wypadków i niektóre okoliczności zatargu. Nienawidzący Europejczyków gubernator kantoński Liń aresztował macherów rozpanoszonej indyjskiej kompanii handlowej i spalił olbrzymie składy opium, ale potem nadpłynęła flota brytyjska i okrutny sir John Gordon Bremer zbombardował Kanton, zdobył Szanchaj i zablokował Nanking. Nie pamiętam tylko ściśle roku.

- W 1843 roku ratyfikowana została umowa, czyniąca Anglików nieograniczonymi władcami naszego rynku - mruknął niechętnym głosem pułkownik. - Na dodatek dopłaciliśmy do tego poniżającego nas traktatu dwadzieścia jeden milionów dolarów! Nikt się wówczas za nami nie ujął! Przeciwnie - inne państwa, zaniepokojone sukcesem Wielkiej Brytanii i rozzuchwalone naszą klęską wojenną, poczęły się wdzierać na naszą ziemię!

Umilkli obaj, bo każdy z nich w tej chwili myślał o losach swej ojczyzny.

- Rosji też nikt nie przyszedł z pomocą, gdy ogarnął ją szal bolszewizmu - zauważył smutnym głosem Wagin.

- A tak! - zgodził się Chaj-Czin. - Ta polityka już zaczyna się mścić!

Rozmawiali jeszcze długo, a potem poszli razem na obiad do kasyna oficerskiego. Lubili te chwile wypoczynku na neutralnym gruncie. Zapominając o sprawach, powracali do swych intymnych przeżyć, obaj jednakowo żądni zwierzeń i wspomnień o istotach drogich im i dalekich. Pocieszali się wzajemnie, doradzali sobie, usiłowali złagodzić bóle i troski. Wagin podświadomie niemal przekonał się, że kocha Ludmiłę i że miłość ta osiedliła się w jego sercu od dawna. Było to objawienie. Pewnego razu, gdy na wszelkie sposoby tłumaczyli właśnie niezrozumiały, a niepokojący list doktora Plena, do pułkownika podszedł żołnierz ze sztabu i podał mu kopertę.

Chaj-Czin przeczytał nadesłany rozkaz i nachmurzył czoło. Po długim milczeniu szepnął do przyjaciela:

- Ważna nowina! Komunistyczny generał Feng-Loo rozbił w prowincji Kiangsi oddział wojsk rządowych na południe od jeziora Pojang. Jestem mianowany dowódcą ósmego pułku, który ma zatrzymać Fenga i odrzucić go. Rozkaz dotyczy też pana. Zdaje mi się, że denerwująca pana mitręga z decyzją sztabu skończy się już niebawem! Pojedzie pan ze mną w teren, gdzie ustalimy etapy, do których należy czym prędzej podciągnąć transporty pocisków do dział polowych. Jutro o siódmej rano przyślę po pana samochód. Niestety musimy się teraz rozstać, gdyż biegnę do sztabu, aby załatwić różne formalności i otrzymać rozkazy ściśle. Pan rozumie już, że na to - zaśmiał się chytrze - będę potrzebował sporo czasu! Po drodze proszę wpaść do mego mieszkania i powiedzieć ordynansowi, aby spakował walizę.

Uścisnęli sobie ręce przed wyjściem z kasyna. Wagin, powróciwszy do hotelu, przygotował bagaże i poszedł do Bojcowca, aby uprzedzić go o swoim nagłym odjeździe i ustalić dalszy plan działalności. Postanowili, że szyper wyruszy natychmiast do Szanchaju, i załadowawszy na statek pociski, powróci do Nankingu, gdzie będzie czekał na rozkazy. Wagin gorąco polecał Bojcowowi zaopiekować się Hastingsem, który rozchorował się poważnie. Należało więc czym prędzej przywieźć go do Szanchaju i zwrócić się o pomoc dla niego do konsulatu brytyjskiego. Skończywszy rozmowę, Sergiusz przeszedł do messy, usiadł na kanapie i pogrążył się w myślach o Ludmile. Stały się one teraz o wiele prostsze i bliższe mu, gdyż przepojone już były miłością i żądały od niego ofiary. Nie obawiając się już tego, co mogą sobie pomyśleć pani Somowa i Ludmiła, zamierzał wszystko wytłumaczyć Miczurinowi i przysiąc mu, że nie stanie na jego drodze, jeżeli lejtenant zachowuje jeszcze choć iskrę nadziei, zaczął pisać do nich list, prosząc w nim o zupełnie szczere i wyczerpujące wiadomości o przyjaciółach, ich życiu i wypadkach, które mogły zajść przez czas jego nieobecności. List ten choć napisany w wesołym, energicznym tonie, wypadł bardzo serdecznie, szczególnie w części, w której Wagin wyrażał nadzieję prędkiego z przyjaciółmi spotkania. Sergiusz był zadowolony z siebie. Zdawało mu się, że uczynił coś bardzo ważnego i niezbędnie potrzebnego. Na kopercie wypisał adres pani Wiery Somowej i polecił szyprowi osobiście zanieść go do małego domku przy ulicy Fu-Tien-Koo i zobaczyć się z obiema paniami, Miczurinem i doktorem Plenem.

- Niech pan tylko pójdzie do doktora na ostatku, bo ten opiumowany komin fabryczny gotów będzie zacządzić pana do reszty i nie spełni pan mojej prośby! - zażartował Sergiusz.

Bojcow obiecał wykonać polecenie Wagina pierwszego zaraz dnia, w którym zarzuci kotwicę swojej Czangszy na Huangpu.

Sergiusz odetchnął z ulgą. Po raz pierwszy od kilku dni uczuł się spokojniejszym i weselszym. Nazajutrz razem z Chaj-Czinem nową szosą ruszyli samochodem na południe. W prowincji Anhui, jak i w jej stolicy - Nankingu, panował wszędzie niezamącony spokój. Wieśniacy, nie spiesząc się, rydlami przekopywali ścierniska, oczyszczali i pogłębiali sieć kanalików na drobnych kwadracikach pól ryżowych, sprząтали sterty słomy, zbierali szkodliwe poczwarki, gnieźdzące się w glebie, rozrzucali nawóz pieczęłowicie, uporczywie, miłośnie oddając się uprawie roli, jak gdyby nad olbrzymią przestrzenią państwa zawisną na białych skrzydłach Tao, przedwieczny geniusz, błogosławiący cnotom, potępiający wojnę i pogardzający bogactwem.

Chińscy rolnicy nie chcieli myśleć o wicherze, szalejącej nad krajem, a nawet zapominali o niej natychmiast, gdy mijała, pozostawiając rumowiska, zgliszcza i trupy. Drobni kupcy po małych miasteczkach, oddani w opiekę Tsai-Szinowi, niebiańskiemu opiekunowi ludzi handlujących - robili zwykłe interesy; studenci i uczeni, ufni w pomoc bóstwa Wan-Czanga, ducha literatury, ślęczeli nad księgami, nawet tysiącne rzesze żebraków - tych, co to dokładnie wiedzą, co się dzieje pomiędzy Rzeką Perel na południu a Zieloną Zagrodą na pograniczu północnym, nawet ci wólczego wie spali spokojnie w rowach przydrożnych i pod ścianami pagód, gdzie rozpościerał nad nimi ramiona dobrotliwy, chudy jak kościotrup, przykryty łachmanami i liśćmi fajunia - Koel, beztroski, skory do błazeńskich wybryków bożek ludzi, którzy jako ptaki niebieskie nie orali i nie siali, a przecież wszechmogący Ju-Huang-Shang-Ti żywił ich i rzucał okruchy radości. W spokoju niezamąconym, powolnie, nie zaglądając do otchłani zaświatów, a nawet najbliższej przyszłości, ludność prowincji, dumna, że do jej naczelnego grodu ponownie przeniesiono stolicę państwa, pracowała sumiennie i wytrwale, zamykając oczy i uszy na to, iż szosą maszerowały kolumny wojsk, dudniły baterie i szczękały kopyta jazdy. Nie chcieli ci pracowici, łaknący pokoju ludzie myśleć o tym, że rozhulał się i rozpanoszył po świecie wyzwolony z pęt zdrowego rozsądku i czci dla cnót ludzkich, drapieźny, chciwy krwi i łupu Kuan-Ti - groźny bóg wojny i zniszczenia.

Jednakże nazajutrz, gdy wczesnym rankiem samochód pozostawił za sobą spokojną prowincję i wjechał do Kiangsi, Wagin zdumiał się, spostrzegłszy nagłą zmianę. Szosą i bocznymi drogami ciągnęły całe tłumy Chińczyków, uchodzących przed jakąś groźną klęską. Szli wieśniacy, unosząc ze sobą ubogi swój dobytek i dźwigając na noszach niedołączonych czy chorych rodziców; jechali na arbach kupcy, wywożąc najdroższe towary; konno i w powozach umykali zamożniejsi rolnicy i dzierżawcy gruntów; kulisi nieśli w lektykach lub wieźli w małych wózkach dwukołowych urzędników swojej prowincji; czasami przemknął samochód z jakimś dostojnikiem, a przez pola, na przełaj, nawykli do takich wędrówek, wlekli się żebracy, nie wiadomo dlaczego porzucający zagrożone miasta, gdzie przecież nic gorszego od codziennego życia nędzarzy spotkać ich nie mogło. Jednak brnęli po rozmięklej roli, gdyż wszystkie drogi były zatłoczone jak plac jarmarczny, jęklivymi głosami śpiewali pieśni błagalne do swego Koela, uskarżali się na złą dolę, zerkając na wszystkie strony i kombinując, czy nie udałoby się porwać czegoś z szarych wozów taborowych, powoli sunących z boczem szosy. Tam i sam powstawała panika, gdy spostrzegano w oddali idący boczną drogą patrol konnych wywiadowców wojsk nankińskich, a nawet większą grupę jeźdźców cywilnych. Wtedy mieszały się nagle wozy, bydło i ludzie. Poczynały rwać się krzyki przerażenia. Tłumy, niby fale, spływały z szosy i mknęły w pole, bez kierunku, bez myśli. Rozlegały się jęki i lament. Ludzie padali, pędzący zaś na oślep tłum tratował ich. Zawodziły rozpaczliwie kobiety, pogubiwszy dzieci w ogólnym zamieszaniu. Kulisi i żebracy poczynali

myszkować po polu, zbierając porzucane toboły i koszyki, a nawet zdzierając ubranie z ludzi, leżących bez przytomności. Po pewnym czasie cała fala, rozproszona po okolicy, nadpływała ponownie i wciskała się w koryto szosy, aby sunąć dalej i dalej. W tłumach długo jeszcze jazgotały żalosne skargi łkających kobiet, drgały w powietrzu przeciągłe nawoływania mężczyzn, poszukujących zaginionych w panice dzieci, żon i matek, wynikały kłótnie i bójki, gdy pochwycono kogoś na rabunku.

Chaj-Czin kazał zatrzymać samochód dopiero w Jaoczou, gdyż stąd właśnie miały się rozpocząć operacje wojenne. Sytuacja wytworzyła się nader ciężka. Silne oddziały komunistów podchodziły już do jeziora Pojang i zagrażały dużemu miastu Nań-Czang, liczącemu około miliona mieszkańców.

- No, obaczmy, czy będzie ono wreszcie zdobyte! - uśmiechnął się pułkownik. - Dziewięćset lat broniły go wiernie od wszelkich wrogów mury, ciągnące się na przestrzeni trzydziestu kilometrów. Nawet Tajpingowie nie zdołali zagarnąć tego miasta, w którym bohater narodowy, przepraszam - muszę być ścisły - bohater prowincji Kiangsi zabił smoka, zamierzającego zatopić Nań-Czang. W każdym razie można polegać na jego konserwatywnej i zamożnej ludności, że będzie się broniła. Obywatele tego starego miasta podejrzliwie spoglądają na wszelkie nowe wynalazki i idee, a cóż może być dla nich bardziej nowe niż komunizm, burzący całe życie posiadaczy? Przywiązanie do prawa własności jest taką samą cechą przyrodzoną Chińczyka, jak brak poszanowania czasu!

Zaśmiali się obaj.

- Drugi pułk i trzy baterie posłane są koleją na prawy flank armii Fenga, ja mam za zadanie nacisk na komunistów - z lewego - ciągnął dalej pułkownik. - Muszę czym prędzej dojść do Nań-Czangu, gdyż tam mamy dobrze zaopatrzone składy żywnościowe. Dam panu samochód, aby mógł pan zwiedzić północną część prowincji i zarówno sąsiednią - Fukien, gdzie można byłoby ustalić punkt dostawy pocisków drogą morską, nie tylko jednak do głównego portu - Fuczou, ale szczególnie do kilku małych, na przykład w Santuao i Hingwafu! Gdy pan opracuje plan, proszę mnie odszukać na froncie. Przedyskutujemy tę sprawę i wyślemy raport do sztab z moimi uwagami, co znacznie przyspieszy zatwierdzenie urzędowe, po czym, o szczęśliwcu, będzie pan już mógł wsiąść w Fuczou na statek, za trzy niespełna doby być w Szanchaju i powiedzieć tam komuś o tym, co dopiero teraz zostało zrozumiane przez serce, ale za to ostatecznie i niezmiennie!

W parę godzin po tej rozmowie rozstali się. Wagin odjechał samochodem na północ, do miasta Kin-Kiang, obrawszy je za poradą pułkownika za punkt centralny swoich wypadów w prowincji, skąd dopiero miał się przenieść do Fukien. Chaj-Czin przygotowywał się do wystąpienia przeciwko czerwonemu generałowi.

Wagin był człowiekiem poważnym i sumiennym. Mimo że stroskane i nagle ożywione serce jego żądało pośpiechu, metodycznie i wszechstronnie badał sytuację i analizował wszelkie możliwości. Musiał przecież przyjechać z gotowym i dobrze ugruntowanym planem do swego kompradora i tak wszystko zaprojektować, aby nie spotkać się ze sprzeciwem i krytyką władz wojskowych. Zabrało mu to cały tydzień. Siedem długich, męczeńskich dni! Siedem dni nieprzerwanej jazdy, rozmów i pracy! Wreszcie siedem dni wielkiego rozgoryczenia i wstydu!

W Kiukiangu, Fuczou i w mniejszych miasteczkach Sergiusz miał sposobność przejrzeć działalność niektórych misji chrześcijańskich wyznania anglikańskiego i prezbiteriańskiego, zarówno jak stanowisko nauczycieli szkół misyjnych i niektórych organizacji społecznych, przez misjonarzy

założonych i kierowanych. Ideowa strona tych wyznań bynajmniej nie pociągała ku sobie Chińczyków, a ci prozelici, którzy garnęli się do misji, czynili to ze względów czysto utylitarnych. Mogli przecież za darmo uczyć swoje dzieci, korzystać z pomocy lekarskiej i zapomóg pieniężnych albo żywnościowych, w razie zaś napadu komunistów i bandytów korzystać z powagi flagi brytyjskiej lub gwiaździstego sztandaru Stanów Zjednoczonych. Korzyści prozelityzmu były nader zrozumiałe i namacalne, więc pewna ilość Chińczyków uczęszczała na niedzielne nabożeństwa i słuchała słów Biblii w języku chińskim, cierpliwie i godnie nudziła się na kazaniach pastorów, mówiących do żółtych ludzi tak jak do swoich rodaków z Birminghamu lub z Filadelfii. Misjonarze widocznie sami całkowicie uprzytomniali sobie bezcelowość i nierealność swej pracy, bo robili wszystko bez żadnego zapędu, urzędowo, z najmniejszym możliwie wysiłkiem spełniając polecone im czynności oświecania dzikich, pogańskich Chin, nie zdając sobie sprawy z tego, że w Chinach istniała wspaniała cywilizacja, piśmiennictwo, nauki i rozwinięty kult religijny już wtedy, gdy dalecy przodkowie dumnych Anglosasów pędzili jeszcze życie jaskiniowców. W tej apatii i bierności misjonarzy wyczuwało się przynajmniej szczerłość, lecz poza zbożną pracą głoszenia Słowa Bożego, rządy państw, ich ambasadorowie i konsulaty narzuciły im inną jeszcze robotę, za którą w wieku osiemnastym i dziewiętnastym niezmiernie drogo zapłaciły placówki holenderskie w Chinach i Japonii. Zawierając znajomości z różnymi ludźmi w miasteczkach prowincji Fukien, Wagin dowiedział się o agitacji, którą uprawiali misjonarze protestanccy. W swoich szkołach pogłębiali oni ksenofobię Chińczyków, kierując ją, w zależności od otrzymanych wskazówek, przeciwko temu lub innemu państwu konkurującemu na rynku chińskim, szczególnie jednak - przeciwko Japonii. Waginowi pokazywano ulotki, drukowane w drukarniach misyjnych, a nawołujące do zbrojnego napadu na kupców, urzędników i żołnierzy japońskich. Druki te rozpowszechniali młodzi ludzie, należący do niektórych organizacji chrześcijańskich. Pewien stary Chińczyk, który, jak się z rozmowy okazało, znał Ti-Fong-Taja, więc do przedstawiciela jego miał zaufanie, mrużąc oczy, zauważył:

- Nasz filozof, dostojny Ku-Hung-Ming, bardzo chwalił zasady nauki Mistrza białych ludzi, ale wskazywał, że słowa jego padły na ziemię kamienistą i że z tego nasienia wyrosły chwasty cierniste, twarde i trujące. Misjonarze ciągle rozpowiadają o miłości bliźniego, tylko niestety nie tłumaczą nam, kogo uważają za swoich bliźnich! W każdym razie na pewno nie nas, bo gdyby tak było, dawno już powinni byliby wystąpić przeciwko handlowi opium, który rujnuje zdrowie i zabija zdolności naszego narodu! Na pewno nie widzą w nas takich samych istot jak Amerykanie i Anglicy, bo nie wicherzyliby i tak już zwichrzona i wzburzona do dna życie republiki!

- Dlaczegoż nie protestujecie, nie krzyczycie na cały świat?! - zawołał dotknięty do żywego tym wyrzutem Sergiusz. - Niechby posłyszano o całej prawdzie!

Chińczyk wybuchnął suchym, zgryźliwym śmiechem i odpowiedział natychmiast:

- To nie pomoże! Europa i Ameryka posługują się na poparcie swej słuszności potężną flotą, armią, samolotami i tankami. Cóż im możemy na razie przeciwstawić oprócz słów? Zagłuszy je ryk dział i grzechot karabinów maszynowych! Cha, cha! Biała rasa uważa nas za niższy gatunek rodzaju ludzkiego - za taki, co to rozumie tylko dobry cios w szczękę lub kopnięcie w brzuch! Bardzo uważnie śledziliśmy przebieg wielkiej wojny w Europie i przyszliśmy do przekonania, że Niemcy i Austriacy zostali przekonani o słuszności Anglii i Francji tą samą metodą. Cios w szczękę i tęgi kopniak w brzuch! Metoda, system, a może nawet wrodzona białej rasie psychika! Cha, cha, cha!

- Teraz w Europie nie ma wojny i wszystkie państwa zaniechały nowych podbojów w Azji - mruknął Wagin, aby choć cokolwiek powiedzieć na usprawiedliwienie swojej rasy. - Umysły i nerwy uspokoiły się i można byłoby teraz znaleźć do nich drogę przekonującym, żywym, mocnym słowem.

Chińczyk jednak zaczął trząść głową przecząco.

- Wątpię, bardzo wątpię, czcigodny panie - mówił zgrzyźliwie. — Europa i Stany Zjednoczone ze strachem patrzą na rozpaczliwe wysiłki zjednoczenia naszego rozbitego, niejednoczonego narodu! Będą one zawsze przeciwne temu, bo pomyślnie zakończenie naszego planu stanie się końcem wyzyskiwania nas na każdym polu przez cudzoziemców. Tylko chyba Japonia może pragnąć zjednoczenia i uspokojenia Chin. Bez naszej współpracy nie znajdzie ona w sobie samej potrzebnych sił, surowców, pożywienia i niezbędnego ludzkiego materiału do zwalczania Rosji czerwonej, wypłeniczenia komunizmu w Azji i rozpoczęcia ery samodzielnej polityki żółtej rasy, do której wcześniej czy później należeć musi cały nasz kontynent.

- Na podstawie pańskiego oświadczenia sądzę, że jest pan stronnikiem Japonii - wtrącił Wagin.

- I tak, i nie! - odparł Chińczyk. - Razi mnie i oburza obcesowość polityki Tokio w stosunku do nas, chociaż pojmuję, że Japończycy muszą się spieszyć z częściowym choćby rozwiązaniem swego zadania, bo czas nagli! Jednocześnie - tak ja, jak też - zapewniam pana - i dobra połowa zdrowo i spokojnie myślących ludzi, od wieśniaka podmiejskiego do ministra i generała w stolicy, czują, bojąc się wypowiedzieć to szczerze, że tylko Japonia zdolna jest dopomóc nam w uzyskaniu jedności, porządku wewnętrznego i w opracowaniu planu naszej działalności państwowej na przyszłość. Nie widzę w tym nic dziwnego, zresztą Japonia jest jednolita, nieostabiona regionalnymi sporami, nie pozwala się zatruwać opium i kieruje duszami swej młodzieży, posyłanej na naukę zagranicę. Młodzi Japończycy powracają do ojczyzny z wiedzą i doświadczeniem europejskim i z wzmożoną czcią dla rodzimej kultury obyczajowej i duchowej.

- Czyżby w Chinach było inaczej? - rozpoczął pytanie Sergiusz, lecz urwał, bo przypomniał sobie nagle głupekowatych, nieokrzesanych i aroganckich synalków pocziwego i rozsądnego Lu-Huna, kupca nankińskiego.

Chińczyk natychmiast podchwycił pytanie cudzoziemca i dał brutalną niemal w swej szczerości odpowiedź:

- Europa i Ameryka instynktownie obawiały się zawsze Japończyków, więc zachowywały się względem nich z oględną ostrożnością i tym waszym szacunkiem do człowieka, który może walnąć w pysk! Z naszą młodzieżą było inaczej! Chińczyk może być szczerzy i wylewny, a że jest zawsze wytwornie uprzejmy, więc łatwo jest dojść z nim do poufałości i przyjaźni. Miało to dla nas fatalne skutki, bo naszą młodzież wciągnięto zagranicą w najgorsze towarzystwo, nauczono wręcz innych rzeczy niż te, po których zdobycie posyłałiśmy ją tak daleko. Lepsze wyniki dał pobyt naszych młodych ludzi w Stanach - bez porównania moralniejszych i mimo wszystko bardziej uduchowionych, chociaż, jak to zwykle się mówi, szalony, gorączkowy pośpiech życia amerykańskiego zabija podobno wszelkie wymogi ducha. Najlepsi z naszych młodych polityków i administratorów przeszli właśnie amerykańską szkołę.

- Poznałem jednak kilku wojskowych, którzy studiowali w Europie. Są to bardzo wartościowi ludzie! - wtrącił Wagin, mając żywo w pamięci sympatycznego i rozumnego pułkownika Chaj-Czina.

- Ma pan słuszość! - uśmiechnął się uprzejmie Chińczyk. - Ale ci młodzi oficerowie ukończyli szkoły w Niemczech. Oo! - zaśmiał się. - Niemcy dobrze i sumiennie ich uczyli i musztrowali, bo Berlin poważnie zapatruje się na dobre z Dalekim Wschodem stosunki! W planach polityków niemieckich my - Chińczycy mamy odegrać pierwszorzędą rolę sojuszników dla podboju Europy Wschodniej, a nawet równoważnika zbyt potężnego rozpędu Japonii.

- Jak widzę, pan doskonale orientuje się w dalekich planach polityki europejskiej - zdziwił się Sergiusz.

- Mam sporo przyjaciół-Niemców, a w Berlinie bywałem nieraz! - uśmiechnął się. - Rozmawiano tam ze mną bardzo szczerze, zapewne dlatego, że moimi siostrzeńcami są słynni generałowie Lee, którzy - Chińczyk westchnął ciężko - w obecnej chwili wtrąceni są do więzienia jako wybitni działacze grupy monarchistów. Są to zresztą rzeczy znane. Co do innych państw, to należy zawsze pamiętać, iż patrzą na nas jak na potwory lub dziwaków z nieprawdziwego zdarzenia, którzy drzwi otwierają nogą, a nie ręką, jedzą nie widelcem i nożem, lecz laseczkami, do niedawna jeszcze nosili warkocz (zresztą było to narzucone nam przez panującą dynastię mandżurską!) i byli zawsze, nawet wtedy, gdy ich bito i znieważano, uprzedzająco grzeczni, zdumiewająco cierpliwi i wyrozumiali!

Rozmowa ta otworzyła Waginowi oczy na wiele niejasnych mu przedtem cech charakteru chińskiego i zjawisk, zachodzących przed jego oczami. Był bardzo wdzięczny za to staremu kupcowi.

Wreszcie skończywszy z objazdem prowincji, przyjechał do Jaoczou. Nie zastał już tam Chaj-Czina z jego pułkiem. Nietrudno mu było odnaleźć go, gdyż każdy wieśniak i spotkany na szosie włóczęga wiedzieli najdrobniejsze szczegóły o przesunięciach i ruchach wojska. Sergiusz zastanawiał się nad tym, jak trudno jest zachować w Chinach tajemnicę strategiczną wobec skłonności do szerzenia przez ludność wszelkich wiadomości, bardzo dokładnych z powodu niezwykle rozwiniętego daru spostrzegawczości, wrodzonej wszystkim ludom azjatyckim, jak też i dlatego, że Chińczycy, zupełnie zdezorientowani co do roli tego lub innego oddziału, wszystkie w czambuł nienawidzili, uważając je za wrogów ludzi spokojnych, uczciwych i pracowitych.

Posługując się zbieranymi po drodze wieściami, dotarł wreszcie do sztabu ósmego pułku, którym dowodził Chaj-Czin. Pułkownik przegrodził drogę komunistom na froncie pomiędzy Nań-Czangiem a Jaoczou.

W małej wiosce w pobliżu tego miasta Sergiusz odszukał pułkownika. Był on właśnie zajęty ustaleniem łączności z oddziałem, który dojechawszy koleją do Czangszy, rozwijał front z lewego skrzydła w stronę Nań-Czan-gu, a prawym opierał się na zachodnim brzegu jeziora Tung. Od daleko wysuniętych ku południowi pozycji dobiegały salwy karabinowe, turkot kulomiotów i z rzadka głucho strzały armatnie. Pułk Chaj-Czina, jak się okazało, po raz drugi już nawiązywał bitwę z czerwonymi oddziałami generała Feng-Loo, awanturnika, subsydiowanego przez bolszewicką misję dyplomatyczną w Pekinie.

Pułkownik bardzo przyjaźnie przywitał Wagina i znalazłszy wolną chwilę, przejrzał przygotowany raport i bez zastrzeżeń i poprawek podpisał go.

- Dziś jeszcze pocztą połową wyprawię go do Nankingu - obiecał, poklepując przyjaciela po ramieniu. - Otrzymacie, panowie, odpowiedź w Szanchaju. Może pan teraz jechać do Fuczou, wsiąść na pierwszy odchodzący statek i płynąć aż do Wusungu! A kiedy będzie pan czuł się szczęśliwym - proszę przypomnieć sobie o mnie, bo od kilku dni mam na sercu ciężar, a w duszy - pustkę.



Spędziwszy godzinę w sztabie, Wagin nie zobaczył więcej Chaj-Czina. Telefonowano po niego z czołowych placówek, więc odjechał bez pożegnania. Sergiusz, nie doczekawszy się go, wsiadł do samochodu i triumfującym głosem krzyknął szoferowi:

- Jedziemy, byle jak najprędzej, do Fuczou! Muszę dziś jeszcze złapać statek do Szanchaju!

Maszyna pomknęła. Nic nie przypominało tu późnej jesieni. Słońce świeciło i grzało. Zieleniły się pola, gajki morwowe, plantacje bawełny, herbaty i trzciny cukrowej. Nad ziemią unosiły się drgające strugi pary. Ludzie pracowali w polu; świergotały jakieś ptaszki, całymi stadami przenosząc się nad szosą. Dymiły się stosy podpalonej słomy, a kobiety i dzieci rozsypywały po podorywie pozostające po niej popioły. Gdzieś cienko i niecierpliwie rżał niewidzialny za pagórkami koń. Na ogrodzonej łączce pasło się stadko owiec. Tuż za rowem, biegnącym wzdłuż drogi, czarne, szczeciniaste świny o długich, opuszczonych uszach ryły ziemię, chrząkając głośno. Droga wybiegła wreszcie na brzeg głębokiej i wartkiej rzeki Min. Z obydwu jej brzegów do samego warty podchodziły zielone pagórki, w oddali strzelały ku niebu jakieś wysokie, ostrowierche szczyty górskie. Czasami pagórki rozstępowały się nagle, odsłaniając widoki na równiny, okryte ciemną zielenią krzaków herbacianych, sadami, gdzie rosły drzewa morwowe, kamforowe i pomarańczowe. Nad brzegiem rzeki i na płaszczyznach pomiędzy wzgórzami rzucały ciemnogrnatowy cień rozłożyste baniany. W okolicach miasta mignęły Waginowi zabudowania klasztorne i malownicza świątynia księżycy starożytnej architektury chińskiej - szlachetnej i majestatycznie prostej. Szofer, śmiejąc się szyderczo, wskazał Sergiuszowi pobliską wioskę i objaśnił, że zamieszkuje ją odrębny, niełączący się z Chińczykami szczep czcicieli psa - bóstwa i dalekiego ich praojca. Zaludnione gęsto okolice zdradzały zamożność wieśniaków, których herbata, owoce, jedwab i wyroby z czerwonej laki znane były na rynkach całego świata. Fuczou z przylegającą do niego doliną rzeki przez długi czas korzystało z niezależności i miało nawet swego króla. Ślady tego świetnego okresu pozostały w dumie, z jaką mieszkańiec tego miasta mówi: Jestem człowiekiem z ziemi Min!

Późno wieczorem dojechał Wagin do Fuczou i kazał się zawieźć do biura kapitanatu portowego. Spotkał go jednak przykry zawód, gdyż najbliższy statek odpływał dopiero o szóstej rano. Był to japoński parowiec, po drodze z Formozy zawijający do Fuczou, gdzie ładował towary, przeznaczone dla Szanchaju. Kazawszy szoferowi złożyć swoje bagaże w pobliskim hotelu, Sergiusz wyszedł na miasto. Choć dawno już minęła północ, oświetlone rzęsiście ulice i niewielkie placzki były zatłoczone, a sklepy - otwarte. Szukając restauracji, Wagin przyglądał się wystawom okazałych sklepów, przepełnionych skrzynkami i szkatułkami z herbatą, jedwabnymi tkaninami, artystycznymi wyrobami z drzewa, rzeźbionymi bogato meblami, przedmiotami ze srebra, inkrustowanymi barwnymi piórkami zimorodków. Angielski szyld nadjednym z domów handlowych zwrócił na siebie uwagę Sergiusza.

Tu znajdziesz najpiękniejsze wyroby z laki, wytwarzane przez rodzinę Sze-Szao-An, która w ciągu piętnastu pokoleń wydała największych artystów i majstrów - z jakimś dostojeństwem mówiły stylizowane złote litery na czarnym łąkowym tle szyldu.

Wagin rzucił okiem na Czarną i Białą pagodę i na unoszące się kłęby pary nad basenem gorącego źródła leczniczego. W pobliżu malowniczego gmachu Sze-Szao-An wstąpił do restauracji i posiliwszy się naprędce, powrócił do hotelu, aby wypocząć po uciążliwej, całodziennej jeździe. Nie mógł jednak usnąć. Duszo było i parno. Wstał i usiadł przy otwartym oknie. W świetle księżycy, spomiędzy czarnych skal błysnęła srebrny skrawek morza. Ruchliwa powierzchnia jego jarzyła się milionami

błysków. Jakaś czarna krypa o wysokim żaglu niby ciemna zjawa przesunęła się po świetlnej tafli i zniknęła za skałami.

Nędzny, ślepy i głuchy człowiek nigdy nie wie, jaki los spotyka ludzi przyjaznych mu i drogich. Nie przeczuwał więc Wagin, że w tej samej chwili przypadkowo spotkany przez niego, a związany z nim pokrewieństwem uczuć i trosk pułkownik Chaj-Czin przeżywał ciężkie i niebezpieczne chwile. Wezwany na front, gdzie rozwijać się poczyniała walna bitwa, rozejrzał się w sytuacji i przekonał się, że była dlań wygodna. Natychmiast wydał rozkaz, aby wszystkie baterie otworzyły ogień huraganowy. Pod osłoną rwących się pocisków pchnął dwie kompanie do ataku, by przełamać linię przeciwnika. W pewnej chwili dopadł go ordynans i krzyknął:

- Zdrada! Nasi żołnierze zamierzają przejść na stronę Fenga! Obiecano im po trzy dolary na głowę i po pięć za każdy przyniesiony karabin! Strzelcy zabili już kilku oficerów i wybiegają z rowów!

Chaj-Czin nachmurzył czoło i ręce mu opadły. Spotkała go klęska, tak zwykła w niedyscyplinowanej, z różnych żywiołów zwerbowanej armii. Wiedział o często powtarzających się podobnych wypadkach, gdy żołnierze, a nawet niżsi oficerowie po kilka razy przechodzili do przeciwnika i powracali skuszeni większym żołdem lub nagrodą pieniężną. Rozumiał dobrze, że przyczyna tego tkwi we krwi i mózgu młodego, niemającego tradycji wojskowych żołnierza, który - niewojowniczy z usposobienia - nie lubi, a nawet pogardza armią i nie ma najmniejszego bodaj pojęcia o znaczeniu i celu toczącej się kampanii. Pułkownik od dawna uświadomił sobie jeszcze jedno bardzo niebezpieczne, prawie uniemożliwiające prowadzenie wojny zjawisko. Polegało ono na wytworzeniu się osobnej kasty żołnierzy, uważających wojnę za zwykły zawód i przemysł. Tę z każdym miesiącem liczniejszą kastę stanowili przeważnie dawni bandyci z północnych prowincji i z Mandżurii, Mongołowie z Czacharu i Ordosu, piraci z zatoki kantońskiej, zwolnieni z więzień przestępcy, najzuchwalsi spośród milionowych tłumów bezdomnych i bezrobotnych kulisów - ludzie o szalonej nieraz odwadze, obojętni na śmierć, chciwi i okrutni, szukający możliwości przeżycia choć kilku dni w dostatku i bujnej radości. Tworzyła się nowa warstwa społeczna - najemne wojsko, liczące się tylko z wysokością żołdu i warunkami, w których łatwiej było o zdobycz, o bezkarne plądrowanie zajętego terytorium i wszelkie gwałty, dokonywane w ogólnym zamęcie, jak gdyby z zemsty za podłe, nikczemne życie tych milionów dziedzicznych nędzarzy, pozostawionych przez rząd i społeczeństwo na łasce ich straszego losu. Cały wysiłek kół wojskowych skierowano na wytworzenie kadr armii z wieśniaków i mieszczan, posiadających pewną ustaloną ideologię i dobrze przeszkolonych. Szło to jednak opornie. Na przeszkodzie bowiem stała tradycyjna odraza Chińczyków do armii i ich łagodne usposobienie. Jednak udało się już w każdym niemal pułku utworzyć mocny rdzeń z pewnych i dyscyplinowanych żołnierzy. Słaba to jeszcze była i nieliczna siła, jednak pozwalała już na oparcie się na niej. Do tych to ludzi w krytycznej chwili pobiegła myśl Chaj-Czina. Wydał potrzebne rozkazy. W chwilę potem z obu flanków zagrzechotały karabiny maszynowe, kosząc przebiegające do przeciwnika grupy żołnierzy. Zatrzymały się one nagle, odpiły o kilkaset kroków i znowu ruszyły naprzód. Natrafiwszy na nieprzebytą przegrodę z siekących kul, cofnęły się do rowów, pozostawiając kilkunastu zabitych i rannych. Artyleria tymczasem biła coraz potężniej. Podbiegł telefonista i zameldował pułkownikowi, że wezwany batalion sąsiedniego pułku wchodzi już w linię ognia.

Chaj-Czin odetchnął z ulgą. Nie uświadamiał sobie, ile czasu trwało to wszystko, bo przeminięło jak jedna chwila w straszliwym napięciu nerwów i pracy mózgu.

- Rzucić ludzi do ataku! - krzyknął. - Kulomioty mają posuwać się tuż za szeregami i w razie ucieczki i zdrady - ognia, nie szczędząc nikogo. Obiecać nagrodę szeregowcom... Po cztery dolary na bagnet!

Żołnierze, zrozumiałwszy manewr dowódcy, szli do ataku sprawnie i z całą odwagą, właściwą tym najemnym żołdakom. Nic już nie stało na przeszkodzie ich brawurowemu uderzeniu. Dawny pracodawca przelicytował nowego.

Strzelcy biegli jak szaleńcy, błyskając bagnetami i zachęcając się ochrypłymi, dzikimi okrzykami. Komuniści nie wytrzymali ataku i szybko opuszczając rowy, w popłochu cofali się ku południowym pagórkom, gdzie wnet namacały ich działa Chaj-Czina i rzucić poczęły pociski. Front został przerwany, rozpoczynało się uderzenie od skrzydeł. Pułkownik ruszył ku zdobytym okopom przeciwnika. Obejrawszy je i sprawdziwszy straszliwą kość kompanii karabinów maszynowych, wyjechał na drogę. Rozkazawszy adiutantowi rozwinąć mapę odcinku, pochylił się nad nią. Z przydrożnego rowu wyszedł niespostrzeżenie ukryty w czasie bitwy żebrak - wstrętny i kulawy, zbliżył się do oficerów i jął skamlać o jałmużnę.

- Idź tam, gdzie stoją kuchnie polowe i powiedz, że dowódca kazał dać ci miskę ryżu - mruknął do niego pułkownik, nie odrywając się od mapy.

Nagle z suchym kłaśnięciem padły dwa strzały. Młody adiutant bez słowa spadł z konia, Chaj-Czin schwycił się za brzuch i pochylił ku grzywie końskiej, jęcząc przez zaciśnięte zęby. Żebrak, mierząc starannie, wypuścił trzecią kulę. Pułkownik, nieprzytomny już, zsunął się z konia i zawisł na jednej nodze, która nie wyslizgnęła się ze strzemienia. Wierzchowiec, przerażony strzałami i upadkiem jeźdźcy, pomknął w cwał, wlokąc za sobą bezwładne ciało. Zobaczywszy to, morderca zerwał z twarzy naklejone na niej plastry, rzucił ohydne, brudne łachmany, a pozostawszy w zwykłym europejskim stroju, przeskoczył rów i pobiegł ku widniejącym w rozłodze pomiędzy pagórkami murom długiej szopy.

Koń zniknął na zakręcie drogi. Cwałował tam, gdzie nad obszerną równiną, którą posuwała się rozciągnięta tyraliera, rozedrgała się nagle trąbka sygnalisty.

## VII. POŁÓŻCIE SERCA SWOJE NA DROGI WASZE

Stary, rozklekotany statek Fudzi-Maru, zdawało się, dodał kilka węzłów do przepisowej szybkości - pędzony nie tyle siłą swych od dawna już zużytych maszyn, ile wolą i niecierpliwością Wagina. Sergiusz stał ciągle na dziobie, obojętny na wichry i słońce bryzgi oceanu, burzliwego o tej porze roku. Wpatrując się w szary horyzont, jak gdyby się wczepiał wzrokiem w niewidzialne, dalekie łachy leżącego na północy Żółtego Morza i z nieustającą siłą ciągnął ku nim cały statek, po burty wypchany towarami chińskimi i nielicznymi pasażerami. Oprócz Wagina na Fudzi- -Maru płynęło pod pokładem dziesięciu żołnierzy - rekonwalescentów z Formozy i Peskadorów, gdzie ich zżerała dysenteria tropikalna, na deku zaś - kilka gejsz z Kantonu. Jaskrawo uszminkowane, po kilka razy dziennie zmieniające strojne kimona, barwne pasy - obi i białe sandały

geta, a nawet fryzury, ozdobione dużymi złotymi szpilkami lub sztucznymi kwiatami, śmiały się bez przerwy, szczebiotały jak ptaki, figlowały, urządzały gry towarzyskie i od czasu do czasu rzucały

porozumiewawcze i drwiące zarazem spojrzenia na obojętnego i zamyślonego cudzoziemca. Te gejsze nie miały istotnie nic wspólnego z kastą prawdziwych gejsz

pieśniarek i tancerek, przechowujących w swoim środowisku najstarsze tradycje narodowe. Jechały z koncesji japońskiej w Kantonie, gdzie na samym jej końcu, tuż koło dzielnicy Szamin z labiryntem wąskich, ciemnych uliczek ciągnęły się urocze herbaciarnie, obsługiwane przez te dziewczyny - śmiałe, zaczepne i skrycie chciwe. W chińskim Paryżu - tym zbiorowisku przeważnie amerykańskimi tubylcami, Anglikami, Japończykami, turystami i kupcami z Filipinami, Formozy i Jawy, Amerykanami i Portugalczakami z Makao - gejsze robiły świetne interesy i po trzech już latach wracały do ojczyzny, uwożąc ze sobą znaczne kapitały. Każda z nich marzyła o domowym ognisku i jeszcze o czymś, co stanowiło cel najgorętszych pragnień, a co można było osiągnąć, mając przy sobie poważnego małżonka, umiejącego dobrze rachować i rządzić. Małe, barwne gejsze widziały już siebie właścicielkami pięknie urządzonej lokali, wydzierżawianych w josiwara - mieście prostytutek, paniami życia i śmierci jego mieszkanki - sprzedawanych jak bydło, bezprawnych joro.

Jedna z gejsz, mrugnawszy do przyjaciółek, pofrunęła na dziób Fudzi-Maru i oparłszy się o burtę, udawała, że podziwia groźne piękno morza. Przekonawszy się jednak, że dziwny cudzoziemiec nie zwrócił na nią żadnej uwagi, przeszła do ataku. Mijając Wagin, upuściła mały wachlarzyk, cudownej roboty kantońskiej, gdzie umieją ozdobić różne przedmioty rysunkami z artystycznie dobranej skrzydełek motyli, umocowując je na drzewie, kości lub sztykrecie przezroczyście i twardym jak szkło - lakierem. Sergiusz schylił się natychmiast i podał jej wachlarz.

- Ach, dziękuję! - zawołała po angielsku. - Dżentelmen taki uprzejmy! Dżentelmen zapewne nudzi się? Czy nie zagralibyśmy sobie w domino lub mahjong?

Wagin obrzucił ją roztargnionym wzrokiem i zrozumiał, kogo widzi przed sobą, z lekka skrzywił usta i w milczeniu potrząsnął głową. To nie zmieszało bynajmniej dziewczyny. Przymilnie patrząc na jego jasne oczy, powiedziała znacząco:

- W kabinie numer siedem drzwi są zawsze otwarte.

Zaśmiała się cichym, melodyjnym śmiechem i pobiegła do towarzyszek, szepcząc każdej do ucha, że milczący cudzoziemiec zaprosił ją na kolację w Jokohamie.

- Kiedy wiem od stewarda, że on płynie tylko do Szanchaju! - zawołała przekornie jedna z gejsz.

- Tak mu się podobałam, że postanowił towarzyszyć mi do Japonii! - parszając stłumionym śmiechem, improwizowała dalej mała kurtyzana, zasłaniając przebiegłe oczki barwnym wachlarzem. Ułożyła go jednak w taki kształt, że przyjaciółki, znajdując się na wymowie wachlarzy, zrozumiały żart.

Wagin jadł mało, bo wzmagający się niepokój i niecierpliwe wyglądanie Szanchaju nużyły go i odbierały apetyt. Lekka gorączka i dreszcze nie opuszczały go przez całą drogę. Zapadał chwilami w ciężki sen i miotał się, gnębiony przez jakieś zmyły i widziadła - beładne, przerażające i budzące trwogę. Zmuszał się wtedy do zrzucenia więzów majaków, zrywał się z łóżka i szedł na pokład. Ze wszystkich stron rozbiegła się aż do krańców horyzontu szarozółta pustynia oceanu. Niby siwe grzywy lub zakrzywione kły nieznanymi potworami morskimi ciskały się i pędziły pienne bałwany, smagane przez silną bryzę. Na północnej stronie kłębiły się granatowe chmury - posępne i tajemnicze. Wagin nie mógł się uspokoić. Dręczył się jak potępieniec. Nie mógł nawet myśleć o Ludmile, gdyż zaledwie

odtwarzał w wyobraźni jej postać, natychmiast dokoła kotłować się poczynają jakieś nieznane twarze, machały rozpaczliwie ręce, biegly jak gdyby oderwane od tułowia nogi, dochodziły go niejasne krzyki, jęki, ryk nieznanymi sygnałów, jazgot żelaza i łomot bijących młotów. Potem wyłaniała się blada, nieprzytomna i straszna jak oblicze zmory twarz Miczurina. Z jego otwartych, nieruchomych oczu płynęły łzy. Majaczyła siwa głowa pani Somowej i sylwetka przygarbionego Plena, ale Ludmiły ujrzeć już więcej nie mógł i próżno szukał jej w natłoku postaci, w zamęcie i zgiełku zjaw.

- Co się z nią dzieje? — rzęził Wagin, nie znajdując odpowiedzi na męczące go i nieodstępne pytanie.

W takiej udręce wylądował wreszcie na Wusungu. Na wieży kapitanatu portowego zegar wskazywał godzinę ósmą. Załatwiwszy niezbędne formalności w sali komory celnej, wszedł do taksówki i kazał się wieźć do Czapei. Jun-cho-san opowiedział mu, że od trzech tygodni już domek pani Somowej stoi zamknięty. Nic poza tym nie mógł mu powiedzieć poczciwy kupiec. Trząś tylko brodą i wzdychał głośno, rozkładając ręce bezradnie. Wagin, nie pożegnawszy nawet strapionego Chińczyka, natychmiast pojechał do palarni. Musiał zobaczyć się z Plenem i dowiedzieć się całej prawdy. Był już zupełnie przekonany, że będzie to prawda straszna. Gdyby nie czuł się tak zgnębionym, zdumiałby się niewymownie, posłyszawszy, że doktor przed trzema dniami wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił. Wagin zażądał wtedy widzenia się z Czeng-Si. Właściciel palarni mało co wiedział.

- Pewnego wieczora przyszedł do doktora ten rosty lejtenant i razem pojechali gdzieś taksówką. Od tego czasu doktor prawie całymi dniami, a nawet w nocy przebywa poza domem! - z goryczą w głosie skarżył się Chińczyk. - Tylu przychodzi tu pacjentów, a jego nie ma i nie ma! Muszę wszystkich odprawiać z niczym.

- Kiedy ostatni raz widział pan Miczurina? - spytał Sergiusz.

Czeng-Si podniósł oczy do góry, namyślając się nad możliwie ścisłą odpowiedzią. Wreszcie powiedział:

- Mniej więcej około trzech tygodni temu.

Trzy tygodnie! Nie wносиło to nic nowego do dręczącej Wagina zagadki i nie mogło go uspokoić. Zaciśnąwszy zęby i czując wewnętrzny dreszcz, pojechał na Nanking Road. Musiał zreferować różne sprawy kompradorowi i wypytać go o swoich przyjaciół, którzy tak nagle zginęli mu z oczu.

Ti-Fong-Taj ucieszył się na widok Wagina, wysłuchał uważnie krótkiego i treściwego raportu jego i zaaprobował samodzielnie opracowany przez Sergiusza plan dalszej kampanii.

- Dziś nie będę pana fatygował. Musi pan odpocząć, bo nie podoba mi się pański wygląd, ale jutro zrobimy naradę z Wali-chanem i jeszcze kilkoma panami, którzy w naszej akcji biorą czynny udział - powiedział cichym głosem, ze współczuciem patrząc na wychudłą, ziemistą twarz i zapadnięte, połyskujące niezdrowymi ognikami oczy Wagina.

Sergiusz zapytał go, czy nie słyszał czegoś o Miczurinie i o pani Somowej. Komprador powtórzył tylko to, co już telefonicznie komunikował mu do Nankingu, dodał tylko, że dotarł do amerykańskiego biura ogłoszeń, gdzie pracowała panna Somowa, ale tam nic o niej nie wiedzą, gdyż bez uprzedzenia porzuciła przedsiębiorstwo. Wagin westchnął i zgrzytnął zębami.

- Przekleństwo! - mruknął. - Nie mogło przecież troje tych ludzi przepaść jak kamień w morzu?! Ktoś musi wiedzieć o nich całą prawdę!

Kazawszy bojowi odnieść walizki do swego mieszkania, wybiegł na ulicę i szybkim krokiem poszedł do redakcji Szun-Pao. Długo chodził po poczekalni, zanim w gabinecie redakcyjnym posłyszał kroki Liao-Kaj - Fana. Prezes przyjął go natychmiast i z całą wytwornością jął wypytywać o zdrowie, interesy i o podróż, bo doszły go słuchy, że przebywał w Nankingu, o czym doniósł mu korespondent pisma.

Wagin, w krótkich słowach zaspokoiwszy ciekawość prezesa, spytał go o Miczurina. Liao-Kaj-Fan zrobił zafrasowaną twarz i mruknął:

- Obawiam się, że posłyszycie pan smutną nowinę, chociaż są to jedynie domysły, zbieg okoliczności.

- Proszę mówić! - prawie rozkazującym tonem rzucił Sergiusz, a serce jego jak gdyby runęło w przepaść i ściskając się coraz bardziej, mknęło gdzieś z zawrotną szybkością. W piersi pozostała pustka i chłód, w mózgu za to miotał się taki nieprzewyższony strach, że Waginowi zaczęły szczekać zęby.

- Pan lejtenant bez żadnego powodu, nawet nie podjąwszy należnych mu pieniędzy, listownie zwolnił się z posady w koncernie, który tak wysoko cenił jego niespożytą energię i zdolności administracyjne - zaczął swe opowiadanie Chińczyk. - Tegoż samego dnia, w którym otrzymaliśmy od niego list, na szosie pomiędzy pagodą Lunghwa a Szanchajem autobus turystyczny Withwall and Company wpadł na idącego środkiem jezdni nieznanego człowieka. Była mglista noc i do tego wypadek miał miejsce na wirażu, słowem autokar zabił, raczej zmiażdżył przechodnia, wlokąc go ze sobą kilkaset metrów, ciało było zupełnie poszarpane, głowa, ach, lepiej o tym nie mówić! W trupiarni centralnego szpitala były wystawione na widok publiczny żałosne szczątki ofiary katastrofy, części ubrania i jakieś znalezione w nim przedmioty. Pan zna naszego reportera od sensacji. Otóż on to wszystko oglądał i przyszedłszy do mnie, w tajemnicy powiedział mi, że rozpoznał pana lejtenanta po spinkach i wytatuowanej na dłoni kotwicy z szybującą nad nią mewą.

Liao-Kaj-Fan umilkł, z przerażeniem patrząc na Wagina. Zdawało mu się, że oczy wyjdą mu z orbit, a z szeroko rozwartych ust nie mógł się wyrwać krzyk. Rzęził tylko urywanym skowytym:

- Miczurin nie żyje, nie żyje!

- Tak, tak! - potwierdził Liao-Kaj-Fan. - Zabroniłem opublikowania domysłów reportera, zresztą w ciągu kilku dni mieliśmy niebywale sensacyjne wypadki. Pan zapewne nie czytał gazet, bo ma pan teraz inne zainteresowania - te ostatnie słowa prezes wymówił z wyraźnym ich podkreśleniem. Widocznie nankiriski korespondent Szun-Pao, sygnalizując pobyt byłego redaktora działu cudzoziemskiego, doniósł również o celu przybycia jego do stolicy. - Na bruku szanchajskim pojawił się jakiś prorok i miał niezwykle powodzenie wśród Amerykanów i Anglików, raczej – Amerykanek i Angielek. Otóż wypadek, którego ofiarą padł (są to tylko domysły reportera!) niezapomniany nasz lejtenant, zdarzył się tego samego dnia, gdy na wystąpieniu mr Carlinga (tak się nazywał ów prorok, podobno niezwykle przystojny i elokwentny!) powstała panika, która wkrótce zamieniła się w prawdziwą katastrofę. Tej samej nocy w willi dyrektora Hill-Owarta nieznanym mordercą udusił proroka. Zdumiewająca jest niezaradność naszej policji! Lokaj Owartów otworzył mordercy drzwi do willi, rozmawiał z nim, dostał od niego napiwek i wypuścił go z domu. Przyjrzał mu się doskonale i dokładnie go opisał sędziemu śledczemu. Pamiętam jego określenie: takiego goliata nigdy nie widziałem, a takie bary mają tylko adeci cyrkowi.

Wagin targnął głową i wsłuchiwał się w każde słowo prezesa. Krew przestała mu krążyć w żyłach. Jakaś myśl, sprawiająca mu ból fizyczny, miotła się w mózgu.

- Łatwo byłoby znaleźć takiego olbrzyma, tym bardziej że zgodnie z rysopisem, danym przez lokaja, człowiek ten utykał na jedną nogę.

Sergiusz westchnął z ulgą, krew rozpoczęła swój bieg normalny, a niepokojąca myśl ukryła się w zakamarkach mózgu.

- Nie! Nie był to Miczurin, bo nigdy nie kulał! - przekonywał siebie Wagin, ale po chwili nowa fala strachu zachłusnęła go, zasnuła oczy mętną mgłą i zacisnęła gardło. Zachwiał się i głowę odrzucił na wysokie oparcie fotela. W mózgu jego odbywała się gorączkowa, chaotyczna praca. Wspomnienia mistycznych słów Ludmiły, jej nocne modlitwy, które sam słyszał ze swego pokoju, wreszcie obawy Miczurina, przerażonego wybuchem jej religijności, jakiś nieznany prorok - zestawienie, sieć hipotez, odrzucenie jednych i zatrzymanie się na drugich, publiczne wystąpienie tego Carlinga, zamordowanie jego - nie! Nie ma pomiędzy tym wszystkim żadnego związku! Potem wypadek z Miczurinem, kotwica z mewą na rozpostartych skrzydłach! Ileż to razy przyglądał się temu tatuowaniu, wykonanemu przez niezrównanych artystów maoryjskich, katastroficzne wypadki podczas paniki. Boże, Wszechmocny Boże, co się stało z Ludmiłą. Gdzie ona jest? Dlaczego znikła pani Somowa? Co za przyczyny dziwnych wędrówek Plena? Boże, zlituj się nad nami!

- Czy pan prezes nie pamięta nazwisk ofiar? - prawie nieprzytomnie zadaje Wagin pytanie.

- Ależ to niemożliwe! - rozkłada ręce Liao-Kaj-Fan. - Cała kolumna.

Cała kolumna! Te słowa działają jak dotyk rozpalonego żelaza. Powraca

świadomość, a z nią razem obezwładniający strach. Cała kolumna! Spiesz się! Coś zrobić, aby raz wreszcie wiedzieć wszystko, wszystko! Błyska myśl:

- Pan prezes pozwoli mi przejrzeć komplet Szun-Pao? Dziękuję. Więc zdarzyło się to? Tak, tak. Mniej więcej trzy tygodnie temu.

Migają przewracane płachty dziennika i szeleszczą z jakąś syczącą złośliwością. A - A - A - A, długa kolumna nazwisk nieszczęsnych ofiar dzikiego popłochu w sali magistratu szanchajskiego. Nawet ułożona w porządku alfabetycznym: P, R, S - serce pada znowu. Na jego miejscu - pustka i przerażenie: Salstores, Sewerlane, Summerset. jeszcze pięć czy sześć obcych nazwisk. Nie ma nazwiska, którego z takim lękiem szukał. Jakież to szczęście! Pod kolumną krótki, drobnymi czcionkami drukowany dodatek. Nie umieszczamy około trzydziestu nazwisk nikomu nieznanym, gdyż należą do emigrantów rosyjskich i włoskich.

- Ach, tak! - spostrzega dopiero teraz, że na liście poszkodowanych figurują wyłącznie nazwiska anglosaskie. - Uprzywilejowana rasa nawet w obliczu śmierci! Litości, Niebo! - rozpacz znowu wyje w duszy Wagina.

Wzrok ślizga się jednak dalej po kolumnach opisów strasznego wypadku. Długie, nieskończenie długie szeregi linii - obojętnie jednakowych, zimnych i okrutnych. Napracowali się reporterzy! Miały nie lada żer uganiające się za wszelką sensacją dzienniki! Nieszczery patos i jeszcze wstrętniejsza, bo już bezczelnie nikczemna cklliwość opisów! Nędzne wysiłki w kierunku dramatyzmu i realizmu. Podłe

mizdrzenie się ulicznicy! Ale wreszcie coś niezmiernie ważnego! Spis szpitalów. Tam złożono rannych i stratowanych na śmierć. Szybko przenosi ręka czytającego Wagina nazwy i adresy na czystą stronę notatnika. Ambulatoria kolejowe i pogotowia, szpital dla zakaźnych chorób, lecznica przy szkole pielęgniarek, centralny szpital, szpital angielski, szpital misyjny, szpital przy British Jail, wreszcie wszystko zostaje zapisane. Wagin zamyka gruby, oprawny kwartalnik kompletu Szun-Pao, bełkocząc coś, żegna zdumionego prezesa i wybiega.

- Taksówka! - woła i po chwili krzyczy do zdziwionego szofera jakimś wysokim, zdławionym głosem. - Do wszystkich szpitali po kolei! Aby prędeż, aby prędeż tylko!

Sprytny szofer rozumie, że może dziś dobrze zarobić. Miota się więc taksówka od dworca kolejowego, leżącego na krańcu miasta, do murów Czapei na drugim jego końcu, gdzie znajduje się szpital misyjny, stąd znowu na tamten brzeg Suczou Creek do szpitala na Jalu Road, a potem do innych, krążąc po całym mieście. Radują się chciwe oczy szofera, zerkając na licznik. W biurach zwiedzonych szpitali nie znalazł Sergiusz nazwiska Ludmiły. Pozostaje jeden jeszcze szpital - angielski. Znika już nadzieja. Czyżby przyjęto tam jakąś bezprawną emigrantkę, której los nikogo w Wielkiej Babilonii obchodzić nie może? Nie umieszczamy nazwisk nikomu nieznanym, gdyż należą do emigrantów rosyjskich i włoskich - urąga, wypłynąwszy w pamięci, krótka uwaga redakcji Szun-Pao, umieszczona pod listą ofiar.

Bądźcie przeklęci! - z nienawiścią wybucha na to wspomnienie dusza Wagina, ale po chwili korzy się przed nieznaną mocą, błaga ją o pomoc i pocieszenie.

- British Hospital! - woła szofer, gdy obejrzawszy się, zobaczył skamieniałą, nieprzytomną twarz pasażera. - Czy mam czekać? Nie? Wypada dwadzieścia pięć dolarów siedemdziesiąt pięć centów. I thankyou, sir!

Szybko odjeżdża, zaciskając w dłoni pieniądze. Udało się! Licznik wskazywał zaledwie dwadzieścia dolarów i pięćdziesiąt centów. Trudno! Ciężko pracujący człowiek musi wykorzystać każdą dogodną koniunkturę

Wagin ociężałym krokiem wszedł do hallu. Portier wyjrzał przez okienko i oznajmił, że w godzinie obiadowej biuro jest zamknięte. Informację można otrzymać dopiero o drugiej. Wagin spojrzął na zegarek. Pięć minut po pierwszej.

Wyszedł ze szpitala i spostrzegłszy na bulwarze wolną ławkę, usiadł Wpatrzony w ziemię, nie widział nic, co się działo dokoła. Jakiś mały Chińczyk podkraść się do ławki i rozścieliwszy na chodniku matę rozpoczął sztuki akrobatyczne. Spostrzegłszy, że biały dżentelmen nie podnosi głowy, jął skamlać:

- Pidzim, sir, some money for eat, good sir.

Stojący na pobliskim posterunku policjant dojrzał chłopaka i odpędził go. Przyjrzawszy się siedzącemu Waginowi, dotknął jego ramienia i spytał:

- Niech dżentelmen uważa, bo łobuzy mogą go okraść, ale może pan zachorował nagle?

Sergiusz popatrzył na niego obojętnym wzrokiem i mruknął:

- Jestem zdrów, dziękuję, czekam tu na coś.



Policjant odszedł, spełniwszy swój obowiązek. Wagin zaczął się przechadzać przed szpitalem, wpatrując się w umieszczony nad jego frontonem zegar. Straszliwie wolno, jak gdyby znęcając się nad nim, sunęły wskazówki. Chyba nigdy nie dojdą do drugiej! Jednak zegar wybił w końcu dwa razy. Poczekawszy jeszcze trochę, Wagin, szepcząc coś do siebie, ruszył ku wejściu. Urzędnik, dyżurujący tego dnia, spóźnił się. Na drzwiach biura wisiała ta sama tabliczka w żółtej ramce: Zamknięte w porze obiadowej. Wagin, tracąc siły, plecami oparł się o ścianę. Nie był już w stanie postąpić nawet kroku. Stał bezmyślnie wpatrzony przed siebie. Nagle zadrżał cały i zaczął przecierać sobie oczy. Przez hall sunęło czarne widmo. Wysoka, chuda postać o rudawych, siwiejących włosach i żółtej, steranej twarzy. Dziwnie wyglądał ten człowiek w zbyt szerokim dla niego czarnym stroju chińskim i w żółtych europejskich pantoflach.

Plen! Doktor Plen! - zaskowytała dusza Wagina.

Z nieludzkim wysiłkiem jęknął:

- Doktorze! Doktorze!

Plen obejrzał się i stanął jak wryty.

- Wagin?! Pan tu?

Zajrząwszy w przerażone, męczeńskie oczy Sergiusza, ogarnął go ramieniem i pomógł usiąść na drewnianej kanapie.

- Tak, tak - mrucał doktor, przenikliwie patrząc na bladą twarz i kurczące się niby do płaczu usta przyjaciela – tak, tak.

Wreszcie pochylił się nad siedzącym Waginem i szepnął mu do ucha:

- Chodźmy do jadalni, gdzie pozwalają mi palić w osobnym pokoiku. Trzeba coś zjeść, dawno nie paliłem i jestem trochę głodny. Nie śpię już trzecią noc.

Wagin nie słyszał słów Plena. Pozwolił się prowadzić gdzieś, idąc obok doktora posłusznie jak dziecko. Wszystkie myśli, dręczące go tak długo, ukryły się gdzieś, tylko w sercu, w jednym małym punkcie coś jak gdyby dyszało straszliwie szybko, a po chwili wytrysnęła z niego gorąca struga, pobiegła do gardła, do oczu, wdarła się pod czaszkę. Wagin zatrzymał się raptownie i zaciskając wyciągnięte przed sobą ręce, zapłakał bezdźwięcznie. Plen spostrzegł to dopiero wtedy, kiedy kilku przechodniów obejrzało się za nimi.

- Tak, tak - mruknął znowu, mocniej biorąc Wagina pod ramię i uprowadzając go w boczną uliczkę.

Plen, spiesząc się, chciwie wypalił fajkę i kazał podać jakąś potrawę. Wagin jadł, nie myśląc o tym, co robi, i nie czując smaku. Jednak pożywienie zrobiło swoje. Organizm, nerwowym wstrząsem zahamowany w swoich czynnościach, ożywił się znacznie. Oczy nabrały przytomniejszego wyrazu. Doktor zmuszony był jednak kilka razy zadać Waginowi jedno i to same pytanie, zanim dotarło ono do jego świadomości.

- Czy wiecie, co tu zaszło?

Wreszcie Sergiusz podniósł na Plena wylęknęte spojrzenie i wyszeptał:

- Mówcie!

Plen zaczął od opowiadania Miczurina o Arturze Carlingu i doszedł wreszcie do ostatniego z lejtenantem spotkania, gdy kulejący, blady i przerażająco spokojny przyszedł do niego do palarni.

- Miczurin zabił Carlinga?! - szeptem zapytał Wagin.

Plen w milczeniu skinął głową i otarłszy spocone czoło rękawem, mruknął:

- Tej samej nocy Miczurin zginął na szosie za miastem.

- Samobójstwo? - wyszeptał Sergiusz, zaciskając rękami głowę.

- Nie wiem, nie myślę - odpowiedział Plen. - Miczurin musiał umrzeć, bo Ludmiła...

Ludmiła! To przecież najważniejsze! O niej tylko myślał przez tyle dni pełnych zgrozy i troski serdecznej. Ludmiła! Ach!

- Ludmiła też nie żyje?! - syknął Wagin, chwytając doktora za rękę i gniotąc ją rozpaczliwym skurczem palców.

- Ludmiła żyje, ale jest ciężko chora - usiłował uspokoić go Plen. - Posłuchajcie, jak to było.

Wagin z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w usta doktora i czując, że serce zatrzymało się w swym rytmie, słuchał, jak gdyby oczekując wyroku śmierci.

Plen opowiedział mu o katastrofie na zgromadzeniu czcicieli Ducha i o nieszczęśliwym wypadku, który spotkał Ludmiłę.

- W tłoku złamano jej ramię, a ktoś, obłądnie przebijając sobie drogę w tłumie, pchnął ją nożem - starając się zachować spokój, mówił doktor.

- Umiera? - padło i niby szklana tafla rozbiło się z jazgotem pytanie.

Plen nachmurzył czoło i spuścił oczy.

- Umiera? - zgrzytnęło jeszcze rozpaczliwsze słowo.

- Nie wiem — szepnął doktor. — Wywiązało się ropne zapalenie płuc. Stan jest bardzo groźny. Od dziesięciu dni chora nie powraca do przytomności i coraz bardziej słabnie. Dziś wieczorem zrobimy ostatnią próbę. Lekarze otrzymają dziś z fundacji Rockefellerowskiej zamówioną surowicę. Zastrzyki mogą zabić bakterie, a wtedy, prawdopodobnie, uda się ją ocalić. Przez cały dzień prawie, a teraz nawet i noce spędzam przy niej razem z panią Somową. Lekarze pozwolili mi nie opuszczać chorej.

Wagin nie słuchał już. Zerwał się na równe nogi i żądał coraz groźniej i natarczywiej:

- Idźmy do Ludmiły! Idźmy natychmiast!

- Pójdziemy! - zgodził się Plen. - Musimy jednak poczekać do czwartej, kiedy zaczną wydawać przepustki. Czy możecie zapłacić za jedzenie i dać parę centów kelnerowi? Dziękuję! Tymczasem wypalę jeszcze jedną fajkę, bo następna oczekuje mnie dopiero późnym wieczorem, po zastrzykach.

Nabijając fajkę i zapalając lampkę, opowiadał, że wybierając się do szpitala, po raz pierwszy przyjął pieniądze od pacjentów, przychodzących do jego ambulatorium w palarni, ale że wydał wszystko, bo już prawie trzy dni nie odchodzi od Ludmiły.

- Musiałbym zjeść dziś na kredyt, gdybym was nie spotkał - zakończył słabnącym głosem i położywszy się na macie, pociągnął dym z fajki, trzymając metalowy koniec jej nad migającym płomykiem lampki.

Wagin, oddychając ciężko i kurcząc palce, chodził po pokoju. Na dworze zaczął kropić deszcz i wkrótce przeszedł w ulewę. Zerwał się północno-wschodni wiatr i strugami wody siekł szyby. Przemoknięci do nitki doszli do szpitala. Wyrobiwszy przyjacielowi przepustkę, Plen poprowadził go długim, posępnym korytarzem, który załamywał się kilka razy i biegł dalej. Zdawało się, że nigdy nie dojdą. Stanęli wreszcie przed drzwiami i doktor ruchem ręki zatrzymał Sergiusza.

- Zaczekajcie tu - szepnął i ostrożnie nacisnął klamkę.

Wagin długo stał przed drzwiami, każdą kroplą krwi uświadamiając sobie, że tam za nimi znajduje się Ludmiła. Do duszy jego wstępował dziwny spokój. Usta poruszały się, powtarzając trzy słowa niby jakieś tajemne i potężne zaklęcie:

- Teraz zawsze razem! Teraz zawsze razem! Teraz zawsze razem!

Nie wzruszyło go nawet pojawienie się Plena i skinienie jego, oznaczające, że może już wejść. Nic nie widząc, nie czując słodkiego zapachu eteru i kamfory, wszedł na palcach do półciemnego pokoju i stanął przy łóżku. Wbił rozszerzone nagle, migocące dziwnym blaskiem źrenice w twarz Ludmiły. Nie przeraziła go ani przezroczystość i bladość jej uduchowionej i pięknej dla niego twarzy, ani mocno zamknięte oczy, otoczone sinymi cieniami, ani bezkrwiste wargi i leżąca nieruchomo na prześcieradle chuda, żółta dłoń, ani nawet obandażowane, bezwładne ramię, umieszczone w metalowej podstawie, przymocowanej do ramy łóżka.

Nic z tego nie widział, bo wszystko zasłoniła mu przepojona radością i szczęściem świadomość, że oto widzi przed sobą Ludmiłę, i spokój, że jest przy niej. Twarz jej mieniła się w jego oczach coraz to innymi uczuciami - i tymi, które dawniej pochwytywał w niej, i nowymi, które rozumiał od razu, czując gorącą falę krwi, wzbierającej mu w sercu. Wreszcie ukląkł przy łóżku i pochyliwszy głowę, powtarzał z uporem:

- Teraz na zawsze razem! Nikomu nie oddam! Nikomu!

Szeptał to głośno, wyraźnie. Ktoś dotknął jego ramienia. Obejrzał się i poznał panią Somową w białym fartuchu i czepku. Uśmiechnął się do niej oczami i rękę jej przycisnął do ust. Po chwili znowu wpatrywał się w Ludmiłę i bezdźwięcznie poruszał wargami. Plen i sanitariuszka podnieśli go i usadowili na stołku przy oknie. Nie sprzeciwiał się, nie odrywając wzroku od chorej i szepcąc coś, czego nikt już posłyszeć nie mógł. Mówił z duszy do duszy Ludmiły, mówił tak, jak nie potrafiłby powiedzieć, gdyby słuchała go, patrząc na niego; odsłaniał przed nią całą swoją duszę, mówił o tym, jak rosta w nim i wzmagala się miłość, aż stała się dla niego wszystkim, czym i w imię czego pragnął żyć. Całą istotą swoją wyczuwał, że Ludmiła słyszy tę niemą mowę, że jego słowa bezszelestnie padają do jej duszy i że uczyni znak, potwierdzający zrozumienie ich mocy i wiarę w ich prawdę.

Ludmiła, nieruchoma i wyczerpana gorączką i słabością, leżała wyciągnięta i sztywna, ale na białych ustach jej zabłąkał się nagle łagodny, szczęśliwy uśmiech i zgasł w okamgnieniu, jak zapalający się świetlny punkcik w kropli rosy. Po chwili usta jej drgnęły lekko i szepnęły cicho, jak stłumione westchnienie:

- Sergiusz Wagin.

Plen, schylony nad przyjacielem, mówił do niego stłumionym głosem.

- Zapewne temperatura się podniosła, bo zaczyna bredzić. W malignie nieraz wspomina was i woła.

Wagin nie słyszał objaśnień doktora. W uszach rozbrzmiewał mu szept Ludmiły:

- Sergiusz Wagin!

Posłyszała głos jego duszy i odpowiedziała! Radosny szloch wyrwał mu się z piersi. Podrzucając wysoko ramiona, zapłakał łzami szczęścia. Płakał długo, a gdy otarł sobie oczy i rozejrzył się dokoła, Plen i pani Somowa nie poznali go. Znikł bez śladu skamieniały wyraz twarzy, rozjaśniły mu się oczy; wyprostował się cały i potrząsnął głową, jak gdyby gotowy do walki. Sanitariuszka, oczami wskazawszy na zegar, przypomniała mu, że musi już opuścić szpital. Godzina, przeznaczona dla odwiedzających, minęła.

- Kiedy będą zrobione zastrzyki? - spytał Plena.

- Pomiędzy siódmą a ósmą - szepnął doktor.

- Gdy wszystko będzie skończone, znajdziecie mnie przed szpitalem. Będę czekał na was - powiedział mu na ucho i znowu spytał: - Kto będzie robił zastrzyk?

- Starszy ordynator doktor Downport.

- Dobrze! - uśmiechnął się nagle Wagin i pochylając głowę, na palcach poszedł ku drzwiom.

Wszedł do biura, zwrócił urzędnikowi przepustkę i zapytał o ordynatora.

- Doktor Downport o tej godzinie przyjmuje u siebie w domu - objaśnił go urzędnik. - Do szpitala przyjdzie o siódmej. Doktor mieszka w tym samym gmachu - wejście od ulicy na lewo. Goodbye, sir!

Odnalazłszy mieszkanie ordynatora, Wagin nacisnął guzik dzwonka elektrycznego. Otworzył mu drzwi sanitariusz.

- Czy mogę widzieć się z doktorem Downportem? - spytał Sergiusz.

- Pan zaczeka chwilkę, doktor ma u siebie chorego, lecz wkrótce będzie już wolny. Ostatni to pacjent.

Wagin wszedł do poczekalni i z całym spokojem zaczął przerzucać dzienniki, leżące na stole. Minął kwadrans i doktor zaprosił go do gabinetu.

- Czym mogę służyć? - spytał, uważnie przyglądając się nieznanemu.

- Dziś wieczorem doktor będzie robił zastrzyki leżącej w pokoju numer sto dwa Ludmile Somowej - zaczął Sergiusz, lecz Downport przerwał mu:

- Ach, tak! Bardzo ciężki stan! Jeżeli ten zabieg nie poskutkuje, nie ręczę za dalszy przebieg choroby. Ropne zapalenie ogarnęło całe płuco!

Wagin schwycił nagle rękę doktora i zanim ten mógł się opamiętać, począł okrywać ją pocałunkami, mówiąc urywanym, gorącym głosem:

- Doktorze! Niech pan włoży w ten zabieg całą wiarę i przekonanie, że wszystko się uda jak najlepiej, że chora wyzdrowieje! Ocal pan tę dziewczynę!

Zwolnił wreszcie dłoń doktora i patrzył na niego błagającym wzrokiem.

Wzruszony i zmieszany Downport pytał go:

- Czy panna Somowa jest siostrą pana?

- Nazywam się Wagin, Sergiusz Wagin, i kocham ją nad życie, doktorze! Pan powinien mnie zrozumieć! Słyszę głosiki dzieci w sąsiednim pokoju. Ma pan żonę i kocha ją pan!

Lekarz skinął głową i odpowiedział z niespodziewanie ogarniającą go szczerością:

- O tak! Pobraliśmy się już cztery lata temu, a wydaje mi się, że dopiero wczoraj odbył się nasz ślub. Mamy dwoje prześlicznych dzieciaków.

- Widzi pan, widzi pan! - szeptał radośnie Wagin. - Ja też kocham! Uratuj mi ją pan! Doktorze! Na Boga!

- Uczynię wszystko, co jest w mojej mocy - poważniejąc od razu, obiecał Downport. - Czuję prawdziwą sympatię dla tej chorej panienki, jej matki (co za zdumiewająca dostojność i niezachwiana wiara - prawdziwie chrześcijańska!), no i dla tego rosyjskiego lekarza. Taki dziwak i nałogowy niestety opiumista, a jednocześnie co za głęboka wiedza i niewiarygodna wprost intuicja przy diagnozie?! Bardzośmy się z nim zaprzyjaźnili, chociaż nie daje się zaciągnąć do mnie, mówi, że odzwyczaił się już od kulturalnych manier. Przemiły dziwak!

Wagin słuchał doktora z uśmiechem i pożegnawszy go, wyszedł na ulicę. Nie czuł ani znużenia, ani głodu. Chodził przed gmachem szpitala, od czasu do czasu spoglądając cierpliwie i spokojnie na zegar. Myślał o Ludmile i w duszy jego utwierdzała się pewność, że od chwili, gdy stanął przy niej, powrócą do niej siły i że zwalczy toczącą ją chorobę. Widział z daleka idącego do szpitala Downporta i wzniosłszy oczy ku szaremu, zasnutemu ciężkimi chmurami niebu, szepnął z przejęciem:

- Boże, dopomóż mu! Boże, którego miłosierdzie nie ma granic, ratuj nas!

Spokój jednak nie prysnął.

Wagin chodził od rogu gmachu do rogu, wcisnąwszy ręce do kieszeni płaszcza. Wybiła dziewiąta, gdy ujrzał Plena, wychodzącego z gmachu. Tuż za nim szedł doktor Downport. Wagin szybkim krokiem zbliżył się do nich.

- Mogę dać panu trochę nadziei! - zawołał ordynator. - Zastałem chorą w znacznie lepszym stanie. Gorączka spadła, puls bardziej wyraźny, serce działa sprawniej. Nastąpił jakiś przełom w chorobie,

choć nie daje się on wytłumaczyć naukowo... Zrobiliśmy zastrzyk, chora usnęła. Nie wiem dlaczego, ale dziś dopiero wstąpiła we mnie nadzieja!

Potrząsnąwszy mocno dłoń Wagina, odszedł.

Wagin zajął w zgasłe oczy Plena. Doktor zrozumiał nieme pytanie przyjaciela i natychmiast mówić zaczął:

- W stanie Ludmiły nastąpiło nagłe polepszenie. Przy takich warunkach zastrzyk może mieć zbawienne skutki. Jestem już prawie przekonany, że ocalimy ją.

Sergiusz tuż na ulicy przycisnął Plena do piersi i trzymał go długo w objęciach, patrząc w niebo i przypominając sobie dawno zapomniane słowa modlitwy, cicho szepnął jej w dziękczynnym i błagalnym porwy. Wagin zawiózł doktora do siebie, a gdy Plen po wypaleniu fajki umył się i uczesał, poszli razem na kolację. Mówili o Miczurinie i jego smutnym zgonie pod kołami autobusu. Imienia Ludmiły nie wspominali obaj, jak gdyby obawiając się sponżyć powracające do niej życie.

Nazajutrz rano Sergiusz znowu chodził przed szpitalem, czekając na Plena, który miał być obecny przy drugim zastrzyku. Wyszedłszy do niego, doktor oznajmił, że Ludmiła od samego rana jest przytomna, że temperatura wciąż spada i że dopiero teraz, dostawszy nowy zastrzyk, usnęła i lekko gorączkuje.

- Ale to tak już być powinno! - uspokoił go Plen i zaczął się nagle spieszyć, mówiąc: - Muszę jechać do palarni, bo mój Czeng-Si niepokoi się zapewne, że uciekłem od niego.

- Panie doktorze, spotkamy się więc o czwartej w szpitalu - powiedział, żegnając go Wagin, lecz Plen zamachał rękami.

- Nie, nie! - mruzczał. - Teraz musi pan poczekać, aż nastąpi prawdziwe, zupełnie pewne polepszenie. Widok pana i nagła radość może zaszkodzić chorej. Niech pan pamięta, że jej serce osłabione jest do reszty. Trudno zrozumieć nawet, w jaki sposób było tak długo! Co je podtrzymywało - to pozostanie dla mnie na zawsze zagadką!

Wagin patrzył na niego głębokim, skupionym spojrzeniem, jak gdyby robiąc mu wyrzut. Plen zrozumiał myśl przyjaciela i powiedziawszy: No, tak, tak!, prawie biegiem skierował się ku przystankowi tramwajów z napisem Station Czekiang Road - West Czapei.

Wagin poszedł do domu, lecz po chwili przyszło mu coś do głowy, bo skręcił nagle w inną stronę. W kilka minut potem wchodził bocznymi drzwiami do cerkwi. Młody mnich ścierał kurz z lichtarzy i zdrapywał wosk z posadzki. Sergiusz, nie zwracając na niego uwagi, ukląkł przed ołtarzem i zaczął się modlić. Z półmroku, panującego w głównej nawie, patrzyły na niego pełne rzewnej dobroci, przebaczenia i cierpienia oczy Chrystusa Ukrzyżowanego. Wagin modlił się długo, bez słów i bicia pokłonów, modlił się w milczeniu głosem duszy stroskanej, wzburzonej błyskającą w niej nadzieją i pełnej namiętnych i kornych prośb i wdzięczności.

- Tylko Ty - Zbawicielu, tylko Ty! - szepnął gorąco i wyszedł z domu bożego.

Powróciwszy do siebie, zaczął przygotowywać materiały do wyznaczonej przez Ti-Fong-Taja narady. Pozostawała mu jeszcze cała godzina. Zatelefonował więc do biura i kazał przynieść sobie gazety. Przeglądając China's Daily News, przeczytał opis bitwy w rejonie jeziora Pojang.

Historyczny i konserwatywny Nań-Czang został uratowany, co zawdzięczyć musi talentowi dowódcy południowej grupy, dzielnemu pułkownikowi Chaj-Czinowi, który w najtrudniejszych warunkach nie stracił spokoju prawdziwego wodza. Cała armia nankiriska wstrząśnięta jest śmiercią pułkownika. Dziwnym zbiegiem okoliczności zginął on przy samym końcu ataku. Zabitego Chaj-Czina wraz z adiutantem jego znaleziono na szosie, gdzie dosięgły ich zbłąkane kule, gdy śledzili za przebiegiem bitwy. Świadczy o tym mapa, znaleziona przy poległym adiutancie.

Tak pisał korespondent wojenny z Czangszy.

Chaj-Czin nie żyje! - westchnął Wagin. Po chwili na twarzy jego pojawił się uśmiech gorzkości. Ze smutkiem, kiwając głową, szepnął:

- Biedny, biedny pułkowniku, nie udało ci się próba! Zastosował tę myśl do własnych przeżyć i natychmiast uczynił trzykrotny znak krzyża świętego i powtórzył z wiarą:

- Tylko Ty, Zbawicielu! Tylko Ty możesz sługom swoim dać łaskę szczęścia!

Zadzwonił telefon. Komprador zapraszał Wagina na naradę.

## VIII. DZIEJE CZTERECH DNI

W gabinecie Ti-Fong-Taja zgromadziło się około trzydziestu osób. Wagin poznał wśród nich jednego z generałów chińskich, biorącego udział w denerwujących naradach z nim w Nankinie. Reszta, z wyjątkiem kompradora i Wali-chana, który ucieszył się na widok Sergiusza, składała się z ludzi zupełnie mu nieznanymi. Łatwo było jednak spostrzec rękę, kierującą tym zebraniem. Zaproszono bowiem równą ilość Chińczyków i Japończyków. Przeważali młodzi wojskowi; obecne zaś osoby cywilne należały do starszego pokolenia. Chińczycy nie różnili się pomiędzy sobą sposobem zachowania. Poważni, zrównoważeni i ugrzecznieni trwali w niezmaconym spokoju, z rzadka tylko rzucali na siebie porozumiewawcze spojrzenia i zamieniali krótkie zdania. Zupełnie inaczej przedstawiali się Japończycy. Dwóch cywilów, zajmujących wysokie stanowiska w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, przybyło specjalnie na zebranie z Tokio. Oficerowie zaś dzielili się wyraźnie na dwie grupy. Starsi rangą, jak Waginowi szepnął Wali-chan, należeli do rodów samurajskich, młodszy zaś wyszli z demokratycznych sfer. Ruchliwi i podnieceni zbierali się grupkami i gestykułując energicznie, porozumiewali się ze sobą. Urzędnicy ministerialni z uwagą przysłuchiwali się rozmowom, a Wagin spostrzegał nagłe błyski w ich czarnych, przenikliwych oczach, umiających patrzeć dokładnie i spostrzegać wszystko.

Ti-Fong-Taj zadzwonił i poprosił zebranych, by zajęli miejsca, po czym oddał głos Wali-chanowi. Pułkownik mówił po rosyjsku, gdyż wszyscy obecni znali ten język, ale nie polegając na tym, Mongoł polecił tłumaczowi powtórzyć po chińsku i japońsku ważniejsze ustępy swojej mowy.

- Panowie! - oświadczył Wali-chan. - Nie robiliśmy tajemnicy z celu naszego przedsięwzięcia. Mieliśmy na widoku zbrojenie Mongołów, aby ci mogli powstrzymać zalewającą ich falę komunizmu. Z rozmów moich w Tokio, czcigodnego zaś Ti-Fong-Taja - z przedstawicielami rządu nankińskiego wynika jednak nieodzowna potrzeba uzbrojenia pewnych oddziałów chińskich, a nawet ludności cywilnej niektórych szczególnie zagrożonych przez komunizm prowincji. Zgodziliśmy się na to i staliśmy się pośrednikami

pomiędzy japońskimi i europejskimi fabrykantami broni, a rządem chińskim, gdyż rozumieliśmy absurdalność sytuacji i niebezpieczeństwo jej dla obu stron, kiedy to jedno z państw, prowadzących spór, uzbraja swoich przeciwników! Zdobyliśmy sobie dostawców we wszystkich państwach. Zaczęliśmy już dostarczać karabiny zwykłe i maszynowe. I nagle na przeszkodzie stanęła nam Japonia, która nałożyła areszt na statek z bronią i pociskami, przybywający do Tientsinu ze Stanów Zjednoczonych. Powoduje to zamęt w naszych planach. Nie zanosimy bynajmniej skargi, lecz żądamy wyjaśnień!

Wali-chan usiadł i spokojnie zapalił papierosa. W gabinecie zapanowało milczenie.

- Panowie raczą się wypowiedzieć z całą szczerością i stanowczością, gdyż nienormalne warunki naszej współpracy muszą być usunięte - powiedział Ti-Fong-Taj.

Podniósł się jeden z generałów chińskich i kłaniając się na wszystkie strony, z uśmiechem na ustach zwrócił się do obecnych:

- Tyle razy już mieliśmy namacalne dowody mądrości i daru przewidywania naszych sąsiadów i współbraci - Japończyków, iż nie wątpimy o poważnych racjach zatrzymania amerykańskiego statku z bronią. Jednak nie mogę nie zaznaczyć, że ładunek tego statku przeznaczony był dla Drugiego Korpusu armii rządowej, która miała być wysłana do południowych prowincji, szczególnie przez komunizm opanowanych. Wstrzymanie tego ładunku, przykro mi o tym mówić, by słowa moje nie zostały zrozumiane jako zarzut, unicestwienia nader ważne dla rządu posunięcia. Bylibyśmy więc niezmiernie wdzięczni, gdyby nasi czcigodni sąsiedzi raczyli uwzględnić naszą prośbę i zwolnić zasekwestrowany ładunek, wysłany pod adresem czcigodnego kompradora, pana Ti-Fong-Taja!

Skłoniwszy się w stronę gospodarza, generał powrócił na swoje miejsce.

- Dodam w imieniu sztabu - odezwał się nankiński znajomy Wagina - że uzupełnienie uzbrojenia Drugiego Korpusu po sukcesach ósmego pułku w rejonie Nań-Czangu jest niezbędne, gdyż osłabiliśmy pierwszy korpus o dwa pułki i całą brygadę artylerii.

Przy tych słowach Japończycy zamienili pomiędzy sobą bystre spojrzenia, aż wszystkie zatrzymały się na małym, barczystym pułkowniku, który siedział, odrzuciwszy głowę na oparcie fotela. Spozrzegł to i zmrużył oczy.

- Panowie! - zaczął swoje przemówienie. - Istotnie władze wojskowe nakazały sekwestr statku w Tientsinie. Potwierdzam to! Pragnąłbym teraz dać wyjaśnienie powodów. Są one z japońskiego punktu widzenia usprawiedliwione i niezbędne. Przypomnę kilka faktów, których nie mogę nie potwierdzić wysoko postawione osobistości, które tu widzę po chińskiej stronie. Czyż nie tak, panie wiceministrze i panowie generałowie? W Szanchaju, Tientsinie i Pekinie rośnie z dnia na dzień wrogi nastrój młodzieży uniwersyteckiej w stosunku do nas. W Kantonie wśród piratów, zatrzymanych podczas napadu na pocztę japońską, zostali rozpoznani oficerowie miejscowej załogi. Sztab w Nankinie dokonał dyslokacji wojsk w ten sposób, że staje się to groźnym dla okupowanej przez nas Mandżurii. Drugi Korpus, o którym tu była mowa, według raportów naszego wywiadu, należy uznać za najbardziej skomunizowany, a więc po jego uzupełnieniu kompletnym i uzbrojeniu - niebezpieczny dla tak bardzo pożądanego spokoju i normalnej pracy w waszej republice. Proszę szanownych panów zaprzeczyć mi, jeżeli w zakomunikowanych przed chwilą informacjach znajdują się jakieś nieścisłości!



Umilkł i zmrużonymi oczyma zaczął przyglądać się siedzącym Chińczykom. Nikt z nich nie odzywał się, więc pułkownik mówił dalej:

- Panowie! Na wszystkich urzędowych i półurzędowych, jak na przykład dzisiejsze, zebraniach naszych i naradach, powtarzamy zawsze jedno i to samo i jednakowe wysuwamy żądania - o ile potrzebne nam, o tyle też wprost zbawienne dla was, wciąż jeszcze unoszonych na falach anarchii! Nasz kraj jest wysoce uprzemysłowiony, mogliśmy się stać dostawcami wszystkich niezbędnych towarów na rynki świata, ale my tak daleko nie sięgamy, musimy jednak zdobyć i zdobędziemy rynki azjatyckie! Tymczasem przemysł nasz przeżywa ciężki kryzys, nie posiadając węgla i żelaza. Kapitał nie znajduje dla siebie tchu, bo na drodze mu stanęły kapitały anglo-amerykańskie. Wreszcie zaczęliśmy cierpieć od groźnego bezrobocia i nie tylko dlatego, że przemysł przeżywa kryzys i jest w zastoju (z tym zjawiskiem dalibyśmy sobie radę!), ale najwięcej dlatego, że wieśniacy z braku ziemi i drożyzny produkcji rolnej, która już się nie popłaca, napływają do miast w poszukiwaniu pracy. Zwracaliśmy się do was z apelem: pozwólcie nam eksploatować na wygodnych dla was warunkach węgiel i żelazo w prowincjach Szantung i Szansi; dopomóżcie tym lub innym sposobem wyprzeć Rosję z Mandżurii, abyśmy mogli bezrolnym wieśniakom naszym dać nowe tereny kolonizacyjne, za co my przyczynimy się do zorganizowania waszego państwa. Wobec takich zadań my nie możemy tolerować czegokolwiek, co zagrażałoby z takim trudem ustalającym się sąsiedzkim stosunkom!

- Proszę o głos!

Z grupy japońskiej podszedł do biurka Ti-Fong-Taja młody kapitan Sztabu Generalnego i wyprostował się po wojskowemu.

- Słyszeliśmy przemówienie pana pułkownika Arisagawy - zaczął śmiałym, chrapliwym głosem. - Było to przemówienie rasowego samuraja, prorządowca i zwolennika kapitalistycznego przede wszystkim ustroju Dai Nippon. Podkreślam, że rozgraniczam ściśle rząd i parlament, gdzie rej wodzą kapitaliści, od osoby Jego Cesarskiej Mości, potomka bogini Amaterazu - władcy, który powinien być ponad rządem, poza wpływami i podszeptami dworaków, spełniających rozkazy kapitalistów. Chociaż pochodzę z narodu, rozumiem odwieczną psychikę samurajów i przeto daleki jestem od oskarżenia pułkownika Arisagawy! Samuraje są wierni rządowi do czasu, aż mikado nie zwolni ich od tego. Boski cesarz tymczasem nie poszedł jeszcze za przykładem swego wielkiego dziada, Mutsuhito-Odrodźciela, twórcy okresu Meidzi. Ale rychło nastanie czas, gdy nasz monarcha wyda dekret, jak to uczynił niegdyś Mutsuhito, który zwolnił samurajów od wierności szogunowi Keiki, i każe wojsku rozpędzić przekupny, służalczy parlament i obcy duchowi narodu rząd - chwiejny i ustępliwy!

Oficer skłonił się przed zebranymi i przeprosiwszy za długi wstęp, niezbędny jednak dla zrozumienia poglądów demokratycznej większości wojska, mówił dalej:

- Gdybyśmy się jednak nie doczekali w najbliższym czasie tak niecierpliwie wyglądanego dekretu, zrozumiemy to w ten sposób, że źli doradcy utrudniają cesarzowi zamiar postąpienia według programu Szowa - sprawiedliwości społecznej, pogwałconej przez wrogów narodu i ojczyzny. Wtedy, spełniając utajoną wolę mikada, ujmiemy władzę w swoje ręce i znajdziemy ludzi, zgadzających się na przeprowadzenie planu Kokuhonszu dla budowy podstaw narodowych środkami kapitału upaństwowionego. Wali-chan szepnął do Wagina:

- Czy nie uważa pan, że tego rodzaju kapitalizm państwowy i groźba pronunciamiento mocno trąci skrajnym nacjonalizmem, faszyzmem i komunizmem?

Wagin skinął głową i dodał:

-I nie wiadomo, czy wszystko to razem wzięte będzie w stanie w czymkolwiek uzdrowić fatalny stan gospodarczy Japonii? Jeszcze jeden śmiały eksperyment na modłę bolszewicką! Może się on zakończyć katastrofą.

Przysłuchiwali się temu, co mówił kapitan.

- Zanim to nastąpi, musimy czym prędzej wyrzucić na kontynent ze dwadzieścia milionów bezrobotnych i bezrolnych obywateli i uczynimy to! Musimy mieć wolną rękę w całej Mandżurii aż do Dałaj-noru. Musimy otrzymać koncesje w Szantungu i wy - tu zwrócił się do Chińczyków - nam to dacie, bo w tym wasz ratunek, jedyny! Objaśnię swoją myśl, panowie! Przyjrzyjcie się Europie! Cóż tam widzicie? Wojna wyzwoliła się spod praw pokoju. Pokój tam potrzebny jest o tyle, o ile pozwala przygotować zwycięską wojnę, o tyle, o ile starczy czasu, aby tak urobić ludność, że wojna stanie się, jak nazwał ją marszałek Ludendorff, wojną totalną, w której bierze udział i ryzyko cały naród, a wtedy zanika jednostka i działa jedynie cały naród. Panowie! Przecież ślepy tylko nie widzi, że ta nowa teoria skierowana jest przeciwko Rosji, a potem przeciwko nam - ludom Azji. Cóż mamy jej przeciwstawić? Jest sposób - plan Tanaka, aby skonsolidować Azję, zmilitaryzować ją i raz na zawsze skończyć z agresją białej rasy! Uczynimy to - my i wy! Nie ukryjcie przed nami tego, że w mózgach waszych nie gaśnie przeświadczenie, iż tylko my potrafimy zorganizować waszą różnorodną i różnojęzyczną republikę i pchnąć ją ku wielkiej przyszłości. Musimy więc być czujni, aby broń, o której dziś mowa, w godne trafiła ręce, bo inaczej zaostrożą się będą nasze stosunki i wszystko podlegnie zwłoce, tymczasem czas nagli, panowie, nie mamy chwili do stracenia!

Kapitan odszedł, a inny, podnosząc rękę, wykrzyknął:

- Stawiam konkretny wniosek! Ustalić z rządem nankińskim procedurę powołania tajnego obserwatora japońskiego w kwestii rozmieszczenia broni i amunicji. W tym wypadku dostawa materiałów wojennych nie będzie niczym krępowana.

Chińczycy milczeli, aż przemówił chiński wiceminister. Uśmiechając się uprzejmie i pocierając wypieszczone ręce, mówił cichym, chwilami lekko szyderczym, to znów schlebającym głosem.

- Byłoby nierozsądnym, dziecinnym wykrętem twierdzenie, że nie mamy sympatii do naszych sąsiadów zza morza - zaczął.

- Korea i Mandżuria nie leżą za morzem - mruknął głośno jeden z Japończyków.

Chińczyk z jeszcze bardziej uprzejmym uśmiechem spojrzał na mówiącego i odpowiedział:

- Zapewne! Mapy naszych dominiów ściśle określają geograficzne położenie tych obu krajów, aleja mówię o Japonii, czcigodny panie! Więc stwierdzam istniejące sympatie dla naszych sąsiadów i na dowód tego przytoczę fakt, że zapominając o bolesnej dla nas okupacji Korei i Mandżurii, przechodząc do porządku dziennego nad częstymi przekroczeniami naszych granic i dość, jak by się tu wyrazić, swobodnymi posunięciami Japończyków w Szantungu, rząd chiński ograniczył się li tylko do pisemnych not protestacyjnych, ale nigdy - czcigodni panowie stwierdzą to na pewno - nie zwracał się

o pomoc i obronę do państw europejskich! Wystarczyłoby tylko obiecać Amerykanom szantuńskie koncesje, Anglikom zaś - kopalnie południowe i od tej chwili Japonia miałaby do czynienia wyłącznie już z naszymi potężnymi koncesjonariuszami! Nie uciekaliśmy się jednak do tych sposobów, bo bliskie są nam ideały panazjatyckie, bo i my pracujemy dla ich urzeczywistnienia, spiesząc się z organizacją stałej armii i ustaleniem ogólnochińskiego silnego rządu. Nie możemy jednak, nie ubliżając honorowi narodu, spełniać ślepo i pokornie wszystkich i - uznajmy to za aksjomat - z dniem każdym rosnących pretensji i żądań Japonii. One to daleko silniej niż inne przyczyny powodują te tarcia, o których tak wyczerpująco informował nas pułkownik Arisagawa. Dla naszego narodu niezrozumiałe będą wzniosłe myśli i piękne marzenia tak gorąco przemawiającego tu kapitana, kapitana?

- Nadoku! - odpowiedziało kilka naraz głosów.

- Tak jest! - pochylając głowę, ciągnął dalej wiceminister. - Zdumiewająco wymowny kapitan Nadoku wzruszył nas i przekonał o ciężkiej istotnie sytuacji swojej ojczyzny. Czyń innym dobrze, a nie będziesz miał wrogów - uczy nas mądry Lao Tse, ale trudne jest zaprawdę zadanie rządu, gdyby musiał narzucić prawie półmiliardowi obywateli przekonanie, iż każdy z nich powinien uwieńczyć marzenia stronników Kokuhonszu i Szowa i wciąż dawać i dawać! Zapytają nas w końcu te setki milionów ludzi Pe-Siń: A cóż my za to dostaniemy?. Mamyż odesłać ich po odpowiedź do czcigodnego pana pułkownika Arisagawy czy też do natchnionego pana kapitana Nadoku, a może wprost wyznaczyć tajnego japońskiego obserwatora, jak to doradzał w swoim niezmiernie logicznym i pełnym werwy wniosku młody porucznik, a ten już będzie miał wykłady o Kokuhonszu, Szowa, Meidzi i planie Tanaka, o czym, mówiąc nawiasem, nasi cesarze i mędracy myśleli poważnie przedtem jeszcze, niż brzegi Chin po raz pierwszy ujrzały żagle japońskich okrętów? Pogwarka ludowa mówi: Nie przeciągaj struny w Lu-szu, bo pęknie i za swoją grę nie dostaniesz nawet czocha! Zdaje mi się, że to powiedzonko - takie prostackie, a jednak trafne - możemy zastosować całkowicie do wysuniętego na naradzie wniosku, częściowo zaś do innych również przemówień. Nie jestem bynajmniej upoważniony przez rząd do przyjęcia jakiegokolwiek decyzji, wyrażam tylko swój osobisty pogląd. Rad bym widzieć większe do nas zaufanie naszych sąsiadów i wyczuwać ich przekonanie, że zamieszki i wrogie przeciwko Japonii wystąpienia są samorzutne, podszeptywane przez skrajnych nacjonalistów (zdaje mi się, że kapitan Nadoku również hołduje zasadom nacjonalizmu, istotnie - japońskiego, komunistów, w przemówieniu pana kapitana uderzyły mnie także akcenty komunizmu) i - nie ukrywajmy tego przed sobą - przedstawiceli rasy białej. Tymczasem nie jesteśmy w stanie wziąć na siebie odpowiedzialności za wszystko i za wszystkich! Żyjemy w okresie budowy gmachu. Zrobiliśmy, co mogliśmy. Otoczyliśmy budujący się gmach ścianą, ale czyż jesteśmy obowiązani płacić odszkodowanie temu, kto przełazi przez ścianę, a tam spadająca cegła nabiła mu guza? Proszę więc o zaufanie do nas! Użyjemy dostarczonej broni wyłącznie w dwóch kierunkach - na zwalczenie komunizmu i na wzmocnienie władzy i autorytetu jedyne go rządu, któremu będę miał zaszczyt zreferować przemówienie szanownych panów, zdumiewających mnie swoją mądrością, szlachetnością i niezrównanym taktem!

Po przemówieniu wiceministra nikt nie zapisywał się do głosu, więc wstał Wali-chan i wygłosił krótką, żołnierską mowę:

- Nie jestem ani Chińczykiem, ani Japończykiem! U tych i u tamtych sojuszników jasno widzę robotę nad wymiecieniem z Azji komunizmu. Grozi on Chinom, grozi też i Japonii przeludnionej, cierpiącej od bezrobocia i uprzemysłowionej. Jestem przekonany, że gdyby Japonia na pierwszym planie postawiła

walkę z komunizmem, a następnie - współdziałanie w zorganizowaniu republiki chińskiej, odpadłyby wszystkie kwestie sporne. Do takiej współpracy ja, jako przedstawiciel Mongołów i muzułmanów zachodnich i południowych, nawołuję oba wielkie narody Dalekiego Wschodu, któremu przyświeca olbrzymi cel - zjednoczenie Azji!

Rozpoczęły się narady grupowe, odczytywanie wniosków, korygowanie i uzgodnienie ich, aż wreszcie osiągnięto porozumienie. Japończycy ustąpili i przyrzekli uchylić sekwestr statku. Miał za dwa dni rzucić kotwicę na Wusungu. Ti-Fong-Taj wydał śniadanie na cześć uczestników narady. Wagin, przysłuchując się rozmowom gości, przychodził do przekonania, że zbliża się czas zupełnego porozumienia i sojuszu pomiędzy Ziemią Smoka a Krajem Wschodzącego Słońca. Myślał też o tym, że nastąpi okres, w którym te sześćset milionów ludzi potrafi podnieść inne ludy, wypłenić wpływy europejskie i w Indiach zakończyć dojrzewające powoli zagadnienie wolnej Azji.

Na szczęście nie będę już wtedy żył! - pomyślał, wyobraziwszy sobie gigantyczne rozmiary i potworne napięcie tego kataklizmu dziejowego.

Słowa: nie będę żył wszystkie jego uśpione na chwilę myśli i tęsknoty skierowały ku Ludmile. Spojrzał na zegarek. Dopiero za dwie godziny pójdzie do szpitala i wywoławszy Plena, dowie się o stanie jej zdrowia.

- Za dwa dni musi pan wyruszyć do Fuczou - oznajmił mu komprador, gdy po odejściu gości pozostali sami w osobnej sali restauracyjnej.

Wagin zbladł śmiertelnie.

- Co panu jest? - zapytał zaniepokojony Chińczyk.

- Nic - szepnął Sergiusz. - Przeraziłem się na wieść, że to już za dwa dni, tymczasem...

- Niechże pan powie, co się stało.

- Ktoś bardzo mi bliski walczy w tej chwili ze śmiercią. Lekarze mogliby mi coś pewnego powiedzieć dopiero za pięć dni - szeptął Wagin, zzymając się na myśl, że będzie gdzieś tam w Fuczou umierał ze strachu i trosk.

Zrozumiał to Ti-Fong-Taj i zawołał:

- Ależ naturalnie! Powinien pan doczekać się ostatecznej opinii lekarzy. Jechać z takim niepokojem w sercu - byłoby to szaleństwem! Miałem i ja niegdyś w życiu podobny wypadek! Nie mogłem wtedy nic robić i o niczym innym myśleć! Zrobimy tak: zamiast statku, który wlecze się straszliwie długo, poleci pan samolotem pasażerskim do Tamsujo na Formozie, a stamtąd to już dwa kroki - statkiem przez cieśninę i jest pan w Fuczou!

Wagin z wdzięcznością spojrział na starego Chińczyka. Wszedł kelner i oznajmił, że ktoś wzywa Wagina do telefonu. Okazało się, że mówił sekretarz z biura, meldując, że jakiś angielski dżentelmen pragnie go widzieć. Wagin razem z kompradorem wyszedł z restauracji i wbiegłszy do biura, zajrzał do poczekalni.

- Mr Fred Hastings! - zawołał uradowany. - Cieszę się, że widzę pana! Myślałem, że pan już dawno odpłynął do Anglii. Jakżeż się pan czuje?

Anglik, potrząsając rękę Waginowi, uśmiechał się do niego i mówił:

- Wylizałem się ostatecznie i byłbym dawno już wyjechał, gdyby nie pan, bo czyżbym mógł tak postąpić, nie zobaczywszy się raz jeszcze z panem, mr Wagin!? Przecież zawdzięczam panu życie!

Sergiusz uściśnął mu dłoń i odpowiedział wesołym głosem:

- Życie jak życie, ale zaoszczędziłem panu pokaźną sumę w funtach sterlingów, gdyż zapewne zażądano by od pana znacznego wykupu w tej właśnie solidnej walucie!

- Niech i tak będzie! - zgodził się Anglik. - W każdym razie musiałem raz jeszcze widzieć pana i załatwić nasze porachunki.

- Porachunki? - chmurząc czoło, powtórzył Wagin.

- Yes! Indeed! - kiwnął głową Hastings, sięgając po pugilares i uważnie przyglądając się Sergiuszowi.

Wagin zatrzymał jego rękę i nic nie mówiąc, popatrzył na niego z wyrzutem. Anglik zmieszał się nagle, a po chwili suchą, zimną twarz jego rozjaśnił prawie dziecienny, pogodny uśmiech.

- Tak... przepraszam! - szepnął, ogarniając Sergiusza ramieniem. - Ale to, co pan robi, w naszych czasach i w pańskich warunkach jest rzeczą tak niebywałą, jak, jak...

Nie mógł nawet znaleźć dostatecznie trafnego i ścisłego porównania.

- Niech się pan nie głowi nad tym, mr Hastings! - wybuchnął szczerym śmiechem Sergiusz, obserwując zakłopotanie i zdumienie bankiera. - Jestem bardzo zadowolony, że udało mi się wyświadczyć przysługę półrodakowi po kądzieli!

Hastings zaczął trzeć sobie czoło i mówić bardziej do samego siebie niż do Wagina. Zdawało się, że rozumował na głos:

- Dowiedziałem się pewnych szczegółów o panu i wiem, jak niewesołe były koleje pańskiego życia tu w Szanchaju. Pracuje pan ciężko. Tu, na tym podminowanym zawsze gruncie nigdy nic nie jest pewne... Miałbym czuć ciągłą zgryzotę i wyrzuty sumienia, że człowiek, który uratował moje życie, dał mi możliwość wrócić do rodziny i mego przedsiębiorstwa, w tej samej chwili, gdy ja będę zadowolony i szczęśliwy, walczy o kawałek chleba?! Nie! Tego być nie może! Nie chce pan przyjąć ode mnie czeku, z trudem, co prawda, ale zdolny jestem zrozumieć taką biblijność uczuć i czynów. Jednak jakoś muszę się zrewanżować! W biurze tego pańskiego kompradora mówiono mi, że jest pan prawnikiem i byłym dyplomata, władającym kilkoma językami. Czy to prawda?

- Biograficzne dane są tym razem ścisłe! - uśmiechnął się Wagin.

Hastings, jak gdyby ucieszony tym niezmiernie, porwał w objęcia

Sergiusza i mówił dalej:

- Nie wątpi pan, że żywię dla niego jak najprzyjaźniejsze i najwdzięczniejsze uczucia? Więc pozwoli pan, że zwrócę się teraz do pana z pewną realną propozycją? Bank mój prowadzi rozległe operacje w różnych częściach świata, muszę więc mieć liczny zespół pracowników, szczególnie troskliwie dobieranych. Jakimżeż prawdziwie przyjacielskim zaufaniem obdarzyłyby i zaszczylił mnie pan, mr

Wagin, gdyby zechciał przyjąć w banku Fred Hastings and Bros odpowiednie dla siebie i, zapewniam pana, poważne stanowisko! Czekać ono będzie na pana w każdej chwili. Z naszych rozmów pod pokładem Czangszy, gdzie ukrywaliście mnie na Jangcy, wyrobiłem sobie, jak widzę teraz, zupełnie trafne o panu mniemanie i, przyznam się, że mimo wszystko miałem pewną obawę, że odmówi mi pan przyjęcia czeku. Ale ta nowa propozycja to co innego! Robi ją panu oddany przyjaciel, my dear, zupełnie oddany!

Wagin gorąco dziękował Hastingsowi, a potem obszernie opowiadał mu, że nie mógłby natychmiast przyjąć jego oferty. Mówił o wypadku z Ludmiłą, o swoim niepokoju o nią, o marzeniach na przyszłość, o stosunkach z Ti-Fong-Tajem, którego nie wypadało porzucić, zanim się nie znajdzie odpowiedni zastępca.

- Jednak - zakończył swe opowiadanie Wagin - będę zawsze pamiętał, że mam w Anglii wiernego przyjaciela, do którego w chwili potrzeby będę mógł zwrócić się z prośbą o pracę. To da mi tak niezbędny teraz spokój i możliwość wyzbycia się wielu dręczących mnie wątpliwości co do mojej akcji w Chinach. A mam co do niej nader poważne zastrzeżenia, drogi mr Hastings! Tak poważne, że w pewnych momentach patrzę na swoją pracę - jako na szczytną misję walki z komunizmem, w następnej zaś - jak na zdradę wobec rasy, do której należę organicznie i duchowo! Te wątpliwości zatruwają mi życie i gdyby nie warunki, zmuszające mnie do niewątpliwie lojalnego zarobku, od dawna porzuciłbym mego bardzo miłego, zresztą, kompradora!

Wagin znowu, idąc za prądem ciągle nurtującej go myśli, powrócił do Ludmiły i opowiedział słuchającemu go uważnie Anglikowi wszystko, co przeżył z nią i z jej powodu, przedstawił kochaną dziewczynę w świetle swego serca, nie ukrył własnej przeszłości, dając tym dowód pełnego zaufania, i opisał ze wszystkimi szczegółami ludzi, z którymi w tak przypadkowy sposób związał go los.

- Prawdziwa tragedia, gehenna życia! - mruzczał coraz bardziej wzruszony Hastings, ściskając dłoń Sergiusza. - Boże, jakżeż będę szczęśliwy, gdy skończy się ta męka wasza i znajdziecie wszyscy cichą i pewną przystań u mnie! Będę wyglądał tego dnia niecierpliwie i nie zaznam spokoju, aż się go nie doczekam!

Umilkł i przeszedł się kilka razy po pokoju. Po chwili stanął przed Waginem i z kieszeni marynarki wydobyl długą, wąską kopertę, mówiąc poważnym głosem:

- Tu znajdzie pan blankiet telegraficzny z gotowym już adresem i tekstem. Podpisze pan tylko swoje nazwisko i w potrzebnym momencie wyśle mi pan tę depezę. Wszystko przygotuję i będę czekał z radością na pana, my dear mr Wagin! Jestem teraz więcej przyjazny panu niż nawet wdzięczny! Myślałem o panu długo i jak pan widzi, wszystko już zdecydowałem. Jeżeli mam być zupełnie szczery, to powiem, że przez pewien czas miałem w sercu taką prawdziwie ludzką, nikczemną nadzieję, że wszystko skończy się na wręczeniu panu czeku i byłbym all right względem pana. Gdy jednak dowiedziałem się coś niecoś o panu, zakradło mi się podejrzenie, że z tym moim czekiem nie pójdzie bardzo gładko, więc przygotowałem na wszelki wypadek ten blankiet telegraficzny. Teraz, wysłuchawszy pańskiej opowieści, rad jestem niezmiernie, że mogę podrzeć czek, bo pragnę mieć pana w gronie najbliższych swoich przyjaciół i współpracowników. No, to już i koniec! Muszę iść teraz do naszego konsulatu.

Wyszli razem. Hastings dowiózł Wagina do szpitala i tam się pożegnali prawie bez słów, długo trzymając się za ręce i patrząc sobie w oczy.

Chodząc po hallu w oczekiwaniu Plena, Wagin uświadamiał sobie, że jest prawie zupełnie spokojny i pewny dobrych nowin. Ujrawszy idącego korytarzem doktora, podszedł do niego z uśmiechem i w milczeniu spoglądał na niego.

Plen, który widocznie niedawno dopiero wypalił swoją czarodziejską fajkę, gdyż oczy mu błyszczały, a na pożąłkłej twarzy wystąpił jaskrawy rumieniec, radośnie kiwał głową.

- Znacznie lepiej! Bez porównania! Bez porównania! Temperatura powoli, ale stale opada. Ludmiła rozmawiała dziś trochę z matką i nawet mnie poznała i uśmiechnęła się! Następnym zastrzyk odłożony został do jutra wieczorem, bo jeżeli nie będzie gorączki, doktor Downport nie uważa go za konieczny. Organizm sam już potrafi walczyć. Tak się cieszę, że mogę zwiastować panu tę radosną nowinę!

Sergiusz wyściskał Plena, a potem powiadomił go, że za pięć dni najdalej musi wyjechać z Szanchaju. Doktor się nagle ucieszył.

- To bardzo szczęśliwie się składa! - zawołał. - Ciągłe się obawiam, że będziecie pragnęli zobaczyć się z Ludmiłą, co uważam za niewskazane i niebezpieczne dla niej. Długo jeszcze będzie zbyt słaba, by znieść bezkarnie choćby najprzyjemniejsze wzruszenie. Natomiast tęsknota z daleka stanowczo jej nie zaszkodzi!

Zaśmiał się chytrze i poklepał go po dłoni.

- Przed odjazdem muszę się widzieć z panią Somową - powiedział Wagin.

- Oooo! - robiąc wielkie oczy i podnosząc palec do góry, przeciągnął Plen.

- Cóż w tym widzicie dziwnego, że chcę pomówić z matką o jej chorej córce? - szepnął, mrużąc oczy, Sergiusz.

Plen znowu poklepał go po rękę i mruknął:

- Nauczyliście się już od Chińczyków przebiegłości, jak widzę!

Zaczął śmiać się cicho.

- Posłuchajcie mnie uważnie, doktorze, a nie chichoczcie, bo macie nie uronić ani jednego mego słowa! - przerwał mu Wagin. - Dam wam całą swoją miesięczną pensję, abyście mogli opiekować się Ludmiłą, kupować, co będzie dla niej potrzebne, i zapłacić komorne Jun-cho-sanowi, bo to już miesiąc upływa. Rozumiecie?

Plen skinął głową.

- Ale róbcie to wszystko niby w swoim imieniu, z własnych oszczędności, w formie pożyczki, bo od takiego niebywałego dziwaka panie przyjmą pomoc - ciągnął Wagin. - Ale o mnie ani słowa! Pamiętajcie!

Doktor uśmiechał się i kiwał głową.

- Ani słowem nigdy nie wspomnę nawet Ludmile o was - obiecał, robiąc poważną minę.

Wcale o to was nie prosiłem - wykrzyknął Sergiusz. - Owszem, mówcie jej o mnie, mówcie jak najwięcej, tylko nie w związku z pieniędzmi. Błagam was, opowiedzcie jej, jak bardzo byłem o nią niespokojny, jak dręczyłem się, nie mogąc niczego się o niej dowiedzieć. Mówcie ciągle, bodaj od rana do nocy!

Trząśł Plena za ramię i ścisnął. Doktor śmiał się i rzucał na niego chytre spojrzenia. Wreszcie mruknął:

- No, no, no, no! Nigdy was takim nie widziałem!

- Teraz innym już nigdy nie ujrzycie!

Jeszcze trzy dni spędził Wagin w Szanchaju. Pracował w biurze, przygotowując potrzebne mu dokumenty na broń, którą miał dostarczyć do Fuczou, i sprawdzając faktury statku, zatrzymanego przez Japończyków i zwolnionego nazajutrz po naradzie u Ti-Fong-Taja. Resztę dnia spędzał w poczekalni i hallu szpitalnym, naradzając się z ordynatorem i Plenem co do warunków, w jakich należałoby zorganizować życie Ludmiły, gdy wyjdzie wreszcie ze szpitala i będzie przechodziła ważny okres rekonwalescencji. Lekarze nie wątpili już, że chora jest na drodze do zupełnego powrotu do zdrowia.

- Niech pan nie suszy sobie głowy o naszą pacjentkę! - powiedział z naciskiem doktor Downport. - Obmyślimy tu dla niej wszystko, co będzie potrzeba! To już nasza sprawa i obowiązek!

Kiedy pewnego dnia Wagin zaprosił obu lekarzy na kieliszek wina do pobliskiego baru, Downport, zaciągnąwszy się cygarem, spytał nagle Wagina:

- Niech mi pan powie, czy wielu pan spotykał w swoim życiu ludzi życzliwych sobie?

- Bardzo wielu, a raczej wyłącznie życzliwych od pierwszego rzutu oka lub w niedługim czasie po pierwszej znajomości.

- Właśnie, oczekiwałem potwierdzenia mojej obserwacji - zaczął ordynator, lecz Wagin przerwał mu:

- Przepraszam, że dopowiem swoją myśl! Muszę stwierdzić, że nawet w szalonym, krwawym okresie mego życia, gdy byłem bezprawnym, ściganym zwierzęciem, na drodze mojej stawali ludzie niezmiernie dobrzy dla mnie, chociaż widzieli mnie po raz pierwszy i musieli uważać za niebezpiecznego dla siebie jako wyjętego spod prawa (co prawda, że wówczas wszyscy okazali się poza prawem!). Mało tego - same okoliczności, nawet pozornie straszliwie trudne i beznadziejne, układały się w wyniku na moją korzyść, i to tak, iż gdybym nie obawiał się szafowania głośnymi określeniami, mógłbym powiedzieć, że wokoło mnie raz po raz działały się cuda!

Downport słuchał uważnie i potakiwał ruchem głowy. Gdy Wagin, podniecony nagle wspomnieniami, zamilkł, doktor począł rozwijać przerwana mu myśl:

- Pamiętam dokładnie pierwszą pańską wizytę u mnie w mieszkaniu! Badałem pacjenta i nic nie wiedziałem o przyjściu pana, gdy nagle coś zmusiło mnie do pośpiechu i jak najszybszego odprawienia chorego. Ujrzawszy pana, zupełnie podświadomie wiedziałem już, że zrobię wszystko, co będę mógł, i że nawet powinienem to zrobić, jak gdyby na tym polegał mój obowiązek. Był w tym jakiś nakaz zewnętrzny a nieprzewyciężony i sprawiający mi radość. Pamiętacie kolego - zwrócił się



do Plena - że pytałem was, czy mieliście podobne wrażenie przy obcowaniu z naszym przyjacielem. Potwierdziliście mi to wtedy, nieprawdaż?

Plen wzruszył ramionami i uśmiechając się łagodnie, zamruczał:

- Wagin był jedynym człowiekiem, który potrafił bez żadnego wysiłku ze swej strony zmusić mnie do przekroczenia progu palarni, gdzie urządziłem sobie dozgonne legowisko.

Sergiusz dotknął jego ręki i spojrzał na niego z wdzięcznością. Downport spytał w zamyśleniu:

- Czym to można objaśnić? Gdyby dało się zbadać naukowo taki wpływ jednego człowieka na drugiego, poddać pewnemu prawu, pomyślcie tylko, jak można byłoby szybko i gruntownie zreformować życie ludzkości?! Wszyscy ludzie wzajemnie sobie życzliwi! W ciało oblokłoby się najszczytniejsze hasła chrześcijaństwa: Kochaj bliźniego swego! Kochać to za trudne dla zwykłego śmiertelnika, ale być życzliwym to przecież byłoby wykonalne?! Wspomnienia niby piasek porwany przez nagły podmuch wiatru zakłębiły się przed oczami Wagina. Patrząc szeroko rozwartymi oczyma na obu przyjaciół, mówił powolnym, głębokim głosem:

- Dziwnym to wyda się, nieprawdopodobnym, ale przysięgam, przysięgam na życie Ludmiły, że powiem prawdę! Przypominam sobie chudego, piegowatego chłopaka. Nie wiem dlaczego ukrywał się w tym samym domu noclegowym, gdzie czaiłem się pod brudną pryczą, gdyż bolszewicy przetrząsali całą dzielnicę, szukając znienawidzonych inteligentów. Ten piegowaty wyrostek - zapewne ulicznik, może nawet drobny złodziej - kieszonkowiec - poszedł z napisaną przeze mnie kartką do dawnego naszego kucharza, którego zapytywałem o los rodziców. Chłopak został przez niego oddany w ręce bolszewików. Żołdacy zatłukli go kolbami, ale on nie zdradził miejsca mego pobytu. I jeszcze... Uciekając przed szpiegiem, wpadłem do szynku portowego. Usiadłem przy oknie, aby widzieć, co się dzieje na ulicy. Kelnerka - młoda, przystojna, ruda dziewczyna przyglądała mi się długo, aż usiadła obok i spytała: Ukrywacie się?. W jej głosie wyczułem życzliwość i współczucie, więc przyznałem się, że jestem ścigany. Wtedy to ona obmyśliła dowcipną sztuczkę! Wyprowadziła mnie przez wyłom w płocie na sąsiednią uliczkę, a sama pobiegła szukać szpiega i donieść mu, że jakiś nieznajomy ukrywa się w szynku. Uprzedzałem ją, żeby tego nie robiła, ale ona tylko ręką machnęła i poszła. Policja wtargnęła do domku szynkarza, przeszukała wszystko, a ja przez ten czas zdążyłem już wsiąść na koreańską krypę.

Wagin umilkł i spuścił głowę.

- Jakżeż to się skończyło? - spytał zaciekawiony Downport.

- Skończyło się dla niej źle! - szepnął Sergiusz. - Mnie udało się zniknąć z oczu, ale ta biedna dziewczyna (świeć, Panie, nad jej duszą!) zginęła. Zastrzelił ją wywiedziony w pole szpieg, domyśliwszy się podstępu. Sam mi o tym opowiedział już tu, w Szanchaju. Doktor Plen pamięta moje spotkanie z towarzyszem Abramem w Gospodzie Czterech Stron Świata, bo brał w nim wtedy udział nasz zmarły przyjaciel - lejtendant Miczurin. Ale nawet stosunek do mnie tego straszego wprost, nieodstępnego jak przeznaczenie, szpiega w pewnych momentach, jak teraz mogę to osądzić, był nacechowany, jak gdyby namysłem, wahaniem i nie wiem jak to nazwać. Powiedzmy, czymś w rodzaju życzliwości! Porozumieliśmy się z nim wreszcie i rozstaliśmy się bez nienawiści, zrozumiałwszy, że inaczej postępować nie mogliśmy. Obiecałem mu nawet przy rozstaniu pomoc, ale towarzysz Abram już nie żyje.

- Dziwne to wszystko, bardzo dziwne! - szeptał zasłuchany Downport - lecz nikt nie potrafi tego wytłumaczyć!

Plen poruszył się nagle i oparłszy głowę na rękach, zapatrzył się w przestrzeń. Po chwili począł szeptać, jak gdyby wtajemniczając przyjaciół w rzeczy dla innych ukryte. Z każdym słowem podniecał się coraz bardziej. Niezawodnie to, o czym mówił z takim przejęciem, nieraz już przemyślał, zamknął w ramach własnego systemu.

- Nikt nie zgłębia teraz istoty ludzkiej. Nikt! Nawet my - lekarze, bo mamy do czynienia z człowiekiem chorym, a w każdym razie pozbawionym idealnej równowagi, więc zastosowanie naszych poglądów do człowieka fizycznie i psychicznie normalnego w pewnych, chociaż nielicznych zaledwie wypadkach ma rację bytu i daje dodatnie wyniki. Człowiek, ta przewspaniała istota, musimy to przyznać, odbywa coraz szybszą ewolucję ku jeszcze bardziej doskonałej formie duchowej! To doskonalenie się idzie w parze z groźącym rodzajowi ludzkiemu zanikiem wskutek zmian, zachodzących w dziedzinie jego anatomii, ale ujemny wpływ braków tego rodzaju umiemy tymczasem zastępować sztucznymi środkami... Straciliśmy naturalną zdolność do szybkiego zwalczania przestrzeni, zdobyliśmy za to w samochodach i samolotach skutecznych i pożytecznych sojuszników. Coraz bardziej słabnie nasz wzrok - z pomocą nam przychodzi optyka; żołądki nasze tracą możliwość do trawienia pospolitych rodzajów białka - chemia usłudze podsuwa nam lekko przez organizm przyswajane jego formy. Znane to są rzeczy w tym wyjątku kierunku poznania człowieka wyęzione są wszystkie siły. Chodzi tu bowiem o to, by w skomplikowanej maszynie społecznej każde kółeczko, jakim uczyniono człowieka, pracowało sprawnie. Za to o tym, co i jak myśli i czuje to kółeczko, i co z takiej drobnej cząstki wielkiego, mechanizmu można jeszcze wykrzesać, z braku czasu, w obłądnym pośpiechu zapomniano! A wszakże, co za precudowne jest to kółeczko-człowiek! Tysiąclecia świadomego życia, niebywale ciężkie okresy naturalne, żywiołowe, jak też wytwarzane przez współżycie społeczeństw i państw, klęski, przystosowanie się do coraz trudniejszych warunków walki o byt i mimo biegu, pędu i zgiełku życia, nienasycony nigdy duch wciąż kształci się, zmienia, odbywa przedziwne i szybkie etapy ewolucji.

Plen przerwał nagle swój szept i zawstydyził się:

- Wyglądam zapewne bardzo komicznie, wygłaszając podobne komunały? - spytał zmieszany bardzo.  
- Zdaje mi się, że zacząłem taniec od pieca i jeżeli tak dalej pójdzie, nigdy do właściwego tematu nie dojdę.

- Proszę mówić, bo kolega ujmuje to bardzo zajmująco! - powiedział Downport, pociągając wino. -  
Rzadko pozwalamy sobie na syntezy.

Plen, ośmielony nieco, usiadł wygodniej i mówił pewniejszym już głosem:

- Ludzie, żyjący w chaosie współczesnym, mają chaos w duszy. Trudno byłoby znaleźć kogoś, kto wiedziałby ściśle po co żyje, do czego dąży i jak to osiągnąć zamierza. Straciliśmy równowagę i dlatego to wywierają na nas nieprzeparty wpływ nader rzadko spotykani ludzie zrównoważeni. Takim typem zrównoważonym jest nasz przyjaciel - Wagin! On wie wszystko o sobie, nie pomniejsza i nie przecenia swoich sił, rozumie, do czego ma dążyć i nieświadomie z drogi swojej nie schodzi. Wprowadzając spotkanych ludzi do równowagi, tym samym bez udziału własnej woi zmusza ich do

współdziałania z nim, do tej niepojętej życzliwości, o której mówił kolega, a która istotnie towarzyszy, jak widzimy, naszemu przyjacielowi, chociaż życie jego nie było i nie jest łatwe ani słoneczne.

- Teraz dni mego życia są pełne słońca, ale za to nie mam już tej równowagi, o której mówicie, doktorze! - uśmiechnął się Wagin.

- Wagin narzuca swoją wolę, narzuca jednak innymi sposobami niż te, które są nam znane z praktyki lekarskiej. Hipnotyczny wpływ polega zwykle na pogwałceniu obcej woli i usypianiu niektórych zmysłów. Wagin zapewne podświadomie postępuje inaczej - on wyzwala wolę i zmysły, przytłoczone chaotycznymi wrażeniami i zbyt szybko następującymi po sobie i nieskoordynowanymi przez to odruchami emocjonalnymi. Dziwne zaprawdę zmysły posiada istota ludzka - ta nieszczęśliwa, zagnana, znużona śmiertelnie i ciągle przerażona istota! Ośrodki ich znajdują się, jak i innych znanych nam zmysłów, w mózgu, chociaż anatom, fizjolog i neurolog nie odnaleźli ich jeszcze, bo nie mają czasu zwracać uwagi na takie drobiazgi, jak zmysł dobroci, sprawiedliwości, współczucia, jak zmysł intuicji, jasnowidztwa, reagowania na każde drgnienie duszy bliźniego, jak wreszcie najsubtelniejszy zmysł wyczucia ducha świata i nakazów kosmicznej woli. Oto dlaczego Wagin, który przeszedł piekło na ziemi, z prawdziwym rozrzewnieniem powiedział nam, że wszędzie i zawsze spotykał życzliwych sobie i dobrych ludzi, nie wyłączając nawet czyhającego na jego życie szpiega - Abrama Chackelesa, i dlatego też ja na początku swego chaotycznego, zdaje mi się, przemówienia podkreśliłem, że człowiek to przewspaniała istota! Tak - przewspaniała, bo, wiercie mi, moi drodzy, że zdolni już jesteśmy jak najczulsze odbiorniki pochwytywać wszystko, co się dzieje na ziemi, w duszach i organizmach ludzkich i w nieskończoności wszechświata i jeszcze wyżej i dalej - w otchłani nadświata, gdzie panuje wszystkim rządząca jedyna Wola - Bóg! Doprawdy, Sebastian Franek miał słuszość, twierdząc, że natura nasza jest boska. Jestestwo absolutne wciela się w nas i stajemy się przejawem działalności Boga!

Westchnął, znużony tym niezwykle dla niego długim przemówieniem i wstydliwie przyglądał się przyjaciołom.

- Tak! - mruknął Downport. - Bardzo pochlebna macie, kolego, opinię o człowieku, tymczasem on ze swoim zmysłem dobroci i sprawiedliwości marzy o wynalezieniu promieni śmierci, błyskawicznie trującego gazu, najsilniej i najszybciej działających bakcyliów, które zamierza zrzucić z samolotów na spokojną ludność! Coś mi się tak wydaje, że spomiędzy tych wszystkich zmysłów, wybujał i rozwinął się ponad inne zmysł wojny i zniszczenia, bo już ten i ów mądry skądinąd człowiek przebąkuje o konieczności wojen narodów, o kulcie wojny, o podniesieniu jej do stopnia religii, filozofii i etyki!

Plen kiwał głową i szeptał:

- Chaos! Chaos!

Wagin, przypomniawszy sobie naradę u kompradora, zauważył:

- Słyszałem z ust pewnego japońskiego oficera o wojnie totalnej i o wojnie kontynentów i ras.

Plen powtarzał jedno i to samo słowo:

- Chaos! Chaos!

- Diabło ciekawy, ale kłopotliwy przeżywamy okres! - zaśmiał się Downport, wstając i biorąc kapelusz.

Obaj lekarze powrócili do szpitala, Sergiusz zaś skierował się do biura, w którym pracowała Ludmiła. Kierownicy przedsiębiorstwa z zacięciem wysłuchali opowiadania Wagina o wypadku, któremu uległa Ludmiła, i zawołali jednocześnie:

- Teraz staje się zrozumiałym, dlaczego tak nagle przestała przychodzić do biura! Bardzo ją ceniliśmy za sumienność i pracowitość i pragnęliśmy, żeby jak najdłużej u nas pracowała!

- Z tego wnioskuje, że panna Somowa po powrocie do zdrowia, będzie mogła zająć dawne stanowisko? - wtrącił pytanie Wagin.

- Ależ naturalnie! Uważamy ją za pierwszorzędną siłę! - oświadczył jeden z dyrektorów.

- Panowie pozwolą, że ich opinię o niej i obietnicę powtórzę panie Somowej?

- Upoważniamy pana do tego i nawet prosimy! - potwierdzili obaj Amerykanie.

Nazajutrz Wagin pojechał na Wusung, aby pożegnać odjeżdżającego Hastingsa. Znalazł go już na dużym statku angielskim White Star. Bankier był wzruszony pamięcią o nim Sergiusza i opowiadał kapitanowi, ambasadorowi Wielkiej Brytanii, płynącemu z Jokohamy do Londynu, i znajomym pasażerom o swojej przygodzie z bandytami, nazywając Wagina swoim zbawcą. Na prośbę Anglików Sergiusz był zmuszony opowiedzieć im o mieście mężczyzn, a gdy wspomniał imię tajemniczego Hung-Wu, który był tym, kogo mieszkańcy przerażającego miasta ze strachem nazywają Wielki On, Hastings pochylił mu się do ucha i szepnął:

- Kapitan Bojcow doręczył mi ode mnie czek i wyrazy wdzięczności.

- Dobrze pan to zrobił, mr Hastings - odpowiedział na to Sergiusz - gdyż bez jego pomocy nie miałbym przyjemności rozmawiać dziś z panem na White Star!

Zaśmiali się obaj porozumiewawczo i uścisnęli sobie dłonie. Wagin powrócił do Szanchaju stateczkiem, kursującym po Huangpu, i wysiadł na przystani w pobliżu Pałace Hotel.

W wilię odlotu z Szanchaju, o godzinie czwartej Sergiusz był już w poczekalni. Wywołał Plena, powiedział mu, że chciałby się widzieć z panią Somową. W kilka minut potem wchodziła już do pokoiku, w którym, na szczęście, nikogo nie było.

Wagin, ucaławszy jej rękę, wyrażał tak gwałtownie i serdecznie swoją radość z powodu coraz lepszego stanu Ludmiły, że pani Somowa patrzyła na niego zdumionymi oczyma. Nigdy nie przypuszczała, że ten zrównoważony, niezmiennie spokojny, a nawet zimny i skryty, niemal tajemniczy Wagin mógł mieć aż tak ciepłe i przyjazne dla nich uczucie. Zdumienie jej przeszło wkrótce w rozrzewnienie, gdy Sergiusz z prostotą i szczerością, głosem wzruszonym, drgającym od tłumionego porwy, opowiedział jej, jak wzrastała w jego sercu miłość dla Ludmiły, jak ogarnęła go całego i nie opuściła już aż do śmierci. Słuchała i patrzyła na mówiącego Wagina uważnie i czujnie, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przyszedł do domku Jun-cho-sana, ale z każdego słowa jego, z wyrazu twarzy, z błysku oczu biła prawda i niezłomna wola. Gdy skończył, milczała długo, starając się stłumić wzruszenie. Wreszcie powiedziała:

- Sam pan pomówi o tym z Ludmiłą. Myślę, że nie jest jej pan obojętny, o, nawet bardzo nieobojętny! Jednak - zająknęła się nagle.

- Na litość Boga! Dlaczego pani nic więcej nie mówi?! - zrywając się z miejsca, krzyknął Wagin.

- Chciałam przypomnieć panu o nieszczęśliwym Miczurinie - drgnął jej głos i załamał się. - Ludmiła nie wie, że on już nie żyje. Tymczasem był on tak dobry dla niej i szlachetny, że pan tego sobie wyobrazić nawet nie potrafi, bo złożył nadludzką ofiarę. Nie wiem, jak przyjmie moja córka wiadomość o śmierci jego i jakie to wywrze na niej wrażenie. Pan przecież wie, że...

Pani Somowa na chwilę umilkła, ale znalazła potrzebne określenie:

- Użyję pańskiego porównania, o którym opowiadała mi Ludmiła, że jest ona milczącą, czarną mniszką posępną, niewychodzącą poza ponure mury klasztorne. W jej duszy smutnej zawsze i stroskanej wszystko przełamuje się w sposób odmienny.

- Pomówię z panną Ludmiłą, gdy powrócę! - szepnął Wagin, a w jego duszy nagle obudził się strach. - Zresztą może będzie lepiej, jeżeli napiszę?

- Nie! - zaprzeczyła. - Takie ważne rzeczy należy powiedzieć, patrząc sobie w oczy. Myśli wtedy znajdują dla siebie bezpośredni, prawdziwy wyraz i najprostszą drogę.

Zadawszy kilka pytań, dotyczących stanu chorej, pożegnał panią Somową i ze ściśniętym sercem odszedł. Słońce, przyświecające mu przez całe cztery dni, zgasło nagle. W sercu niósł trwogę, w duszy - ból tępy, nieokreślony i gorzki trapiącej go znów niepewności.

W takim ciężkim, nieradosnym nastroju odleciał nazajutrz na Formozę.

## IX. WIDMA I ŻYCIE

Cały tydzień upłynął Waginowi w Fuczou, zanim udało mu się załatwić wszystkie formalności i znaleźć odpowiedzialną firmę, która podjęłaby się przedstawicielstwa kompradorskiego biura Ti-Fong-Taja. Powracał znowu tym samym Fudzi-Maru, pływającym pomiędzy portami Formozy a Jokohamą. Tym razem statek przepełniony był rannymi Japończykami. Konwojujący ich lekarz, mówiący po angielsku, opowiedział o napadzie dobrze uzbrojonej bandy Chińczyków na japońską koncesję. Kompania, ochraniająca ją, odparła niespodziewany napad, lecz w wyniku ucierpiało około dwustu cywilnych i pięćdziesięciu wojskowych Japończyków. Rannych odwożono teraz do Jokohamy, ponieważ konsulát posiadał wiadomości poufne, że wystąpienia przeciwko Japończykom mają się powtórzyć w większych jeszcze rozmiarach, gdyż miał wziąć w nich udział rozpropagowany przez nacjonalistów pułk, zajmujący forty nad zatoką kantońską.

- Jutro mają przybyć na redę dwa nasze krążowniki i kontrtorpedo- wiec - śmiejąc się, mówił lekarz. - Być może ostudzi to zapalę chińskich szaleńców!

Były to złe nowiny i znaczenie ich dla spraw kompradora Wagin ocenił należycie, przewidując nowe powikłania stosunków chińsko-japońskich. Rozumiał, że rząd nankiński w wielu wypadkach czuł się bezsilny wobec zbyt samodzielnej polityki rządów prowincjonalnych i awanturniczych wystąpień niektórych generałów, nie liczących się ani z rządem centralnym, ani nawet z rozkazami sztabu. Cała akcja Wali-chana i Ti-Fong-Taja wydawała mu się wobec tego wątpliwą, zbudowaną na chwiejnych podstawach i skazaną w końcu na zupełne niepowodzenie.

Powracał do Szanchaju niezwykle wyczerpany i zgnębiony. Z dwu telegramów Plena wiedział, że Ludmiła czuje się coraz lepiej, więc nie miał już o nią obawy, za to napadła go inna, wywołana słowami pani Somowej. Nie śmiał zapytać jej wtedy, jak się ułożyły stosunki pomiędzy jej córką a Miczurinem i o jakiej wspominała jego nadludzkiej ofierze, tak ogromnej, że nawet on nie mógłby jej pojąć. Jakaś nowa wstawała przed nim tajemnica i czarną płachtą zasłaniała całą jego przyszłość.

Czyżby to była zemsta Miczurina spoza grobu? Zemsta za to, że przyjaciel, uratowany przez niego od głodowej śmierci, przez niego też zaopatrzony w tak niezbędną w owym czasie, zbawienną przepustkę z Czapei, zabrał mu serce ukochanej dziewczyny?

Wagin bronił się przed niby w imieniu Miczurina stawianymi mu zarzutami, przypominając sobie każdą chwilę obcowania z Ludmiłą. Wszakże ani słowem, ani czynem nie usiłował wzbudzić jej uczucia dla siebie, a gdy miał już cień podejrzenia, że jej lęk przed nim minął i że myśli jej nieraz krążą dokoła niego, przedtem przerażającego ją człowieka, żyjącego pod jednym z nią dachem, usunął się dobrowolnie, unikając możliwego zbliżenia; a potem, czyż i on nie złożył ofiary, gdy spostrzegłszy zazdrość lejtenanta, wyprowadził się od Somowych i ani razu nie zajrzał do domku przy Fu-Tien-Koo? Za cóż mści się na nim tak tragicznie zmarły Miczurin? Wagin nie uczynił ani kroku, by w czymkolwiek zaszkodzić mu. A jednak zmarły przyjaciel stanął czy ma stanąć na jego drodze. Napomknęła mu o tym wyraźnie pani Somowa. Znowu jął zgłębiać tajemnicę śmierci Miczurina. Wagin był już przekonany, że lejtenant zabił brata Artura. Czy ten jakiś tam prorok zagrażał szczęściu Miczurina? W jaki sposób i w jakim stopniu? Więc Ludmiła... Odpędzał natychmiast tę myśl, nie tylko dlatego, że bolała go i, jak wyczuwał, obrażała Ludmiłę, ale wydawała mu się wręcz nieprawdziwą. Tak - nieprawdziwą! Przecież słyszał, jak pani Somowa w cichym, pełnym głębokiego uczucia westchnieniu powiedziała, że Miczurin złożył dowód nadludzkiej ofiary? Na co potrzebna była jego ofiara i co uważa ona za ofiarę? Tego zapewne nigdy się nie dowie, bo tajemnicę tę uniósł ze sobą Miczurin. Ludmiła nie będzie mogła mu tego wyjaśnić, bo dotychczas nie wie jeszcze o śmierci lejtenanta. Skąd powstała u pani Somowej pewność, że tragiczny epilog życia Miczurina był wynikiem jego ofiarności? Nie wykryła całej prawdy policja ani prasa, żerujące na sensacji. Zapewne wnioski te powstały z rozmów z Plenem, lecz, na Boga, są to domysły, intuicyjne wnikanie w splot wypadków i pobudki ich uczestników! Tymczasem te zagadkowe, groźne dla niego słowa: Nie wiem, jak przyjmie moja córka wiadomość o śmierci Miczurina i jakie to wywrze na niej wrażenie.

Tak właśnie wyraziła swoją obawę pani Somowa. Pamięta każde jej spojrzenie, każdy ruch jej ust, wymawiających te straszne słowa. Dlaczego jednak on nazywa je próżnymi?

Zamyślał się nad tym pytaniem kilkakrotnie, lecz bez wyniku. Jednak lęk i gorycz nie opuszczały go. Czuł, że w śmierci Miczurina i w przerwany nagle katastrofą stosunku Ludmiły do lejtenanta utajona została jakaś niedostępna dla niego tajemnica.

Z tego przeklętego koła Wagin wyjść nie mógł. Po powrocie do Szanchaju i załatwieniu bieżących spraw w biurze, pojechał do Czapei. Przeczytał, że zastanie Plena w palarni. Istotnie, doktor leżał jak zwykle na końcu pryczy. Dopiero co wypalił fajkę, więc nie zapadł jeszcze w stan odrętwienia. Wagin zmusił go usiąść i nie witając, patrzył na doktora surowo i pytał:

- Dlaczego Miczurin zabił Carlinga? Jaką ofiarę uczynił dla Ludmiły? Co zmusiło go umrzeć, bo sami mówiliście, że musiał umrzeć?

Plen przyjrzał się uważnie przyjacielowi, a jakiś bolesny grymas przemknął mu przez twarz.

- Za dużo pytań naraz - zamruczał. - Nie na wszystkie mogę odpowiedzieć. Z niektórych powieści zmarłego biedaka mogłem wywnioskować, że nadzieje jego na pozyskanie serca Ludmiły rozbiły się na zawsze. Tak! Przypominam sobie dokładnie, że dwa razy dał mi to do zrozumienia w takiej formie, która uniemożliwiła rozmowę na ten temat. To wszystko, co wiem od niego samego. Reszta to moje domysły. Z oczu Miczurina i wyczuwanych prądów jego myśli wyczytałem, że postanowił zabić Artura Carlinga. W parę godzin potem nie wątpiłem, że i sam już nie żyje. Być może w tej jego śmierci zawierała się ofiara? Usunął się na zawsze z życia Ludmiły i waszego.

Wagin usiadł na krawędzi pryczy i zamyślił się nad słyszonym przed chwilą. Wszystko, co mówił Plen, wydawało się jasnym i dla niego pomyslnym. Radość jednak nie powracała do serca, a w duszy, jak przez wszystkie te ponure dni, miotał się nieokreślony, a jadowity strach. Wagin pogrążył się w myślach i nie widział, że podniecony rozmową doktor zdążył wypalić jeszcze jedną fajkę. Błady i nieprzytomny leżał na wznak i patrząc w mrok pod sufitem, częstotliwie poruszał słabnącymi wargami.

Spostrzegłszy to wreszcie, Sergiusz zaniepokoił się i skinął na siedzącego przy piecu So-hai. Stary Chińczyk uważnie przyjrzał się Plenowi i krzywiąc usta, zamruczał chrapliwie:

- Uczony ta-je nie pociągnie już długo! Pali po dziesięć fajek dziennie. To bardzo dużo! Pewnego wieczora z krainy siedmiu marzeń przejdzie na zawsze do krainy cieniów.

Mrucząc, z fachową zręcznością przyłożył nieprzytomnemu doktorowi płaską blaszankę z gorącą wodą do stóp i owinął głowę ręcznikiem, zwilżonym zimną wodą, po chwili powtórzył ten sam zabieg w odwrotnym kierunku i podważywszy pacjentowi zęby, wlał kilka kropel płynu z flaszki, którą zawsze miał w kieszeni.

Plen poruszył się wkrótce i uniósł obrzękłe powieki. Zapewne poznał obydwu, bo szepnął:

- Nie dręczcie mnie więcej, chcę spać.

Z pomocą Wagina przewrócił się na bok i usnął. So-hai trzął głową i szczerząc rzadkie, żółte zęby, charkotał półgłosem:

- Chcę spać! Tak właśnie przez cały tydzień powtarzał lichwiarz Bao-Kun aż wczoraj wieczorem, leżąc na tamtej tam pryczy, coś krzyknął i po północy wywieźliśmy go na wózeku, przykrytego gaolianem do glinianki za murami. Dym siedmiu snów i siedmiu marzeń robi swoje chi, chi, chi, swego nie popuści, zbierze - chi, chi, chi - swoje żniwo!

Machnął ręką i usiadł na stołku, na którym przez trzydzieści pięć lat spędzał noce, podając truciznę, cucąc zemdlonych i po kryjomu wywożąc zmarłych gości za mury miasta, gdzie błąkały się zgraje głodnych psów.

Wagin, zgnębiony ostatecznie, wyszedł z palarni. Idąc ulicą Fu-Tien-Koo, zatrzymał się przed jeszcze bardziej w jesiennej szarudze ponurą i ohydłą rudera Gospody Czterech Stron Świata. W pamięci jego przesuwaly się przeżyte już wypadki, związane z Miczurinem. Przymknął oczy i nie zwracając uwagi na deszcz i przechodniów, zdjął kapelusz. Modlił się za duszę przyjaciela i wołał bezdźwięcznie, przysięgał namiętnie, że na sumieniu swoim nie ma plamy zdrady lub podstęp. Oprzytomniał, z

niezwykłą ostrością uświadomiwszy sobie, że stoi, być może, na tym miejscu, skąd stary Chackeles obserwował Gospodę Czterech Stron Świata, w której szpiega miała spotkać śmierć.

- Miczurina już nie ma na świecie i Abram nie żyje - szepnął głośno i westchnął.

Powlókł się dalej coraz bardziej smutny i ponury.

Skład Jun-cho-sana. Wszedł do kantoru.

- Starsza pani była tu wczoraj - mówił kupiec, zginając się w ukłonach - zapłaciła za mieszkanie. Taka uczciwa pani! Opowiadała nam, że panienka prędko już będzie zdrowa i że wkrótce wyjadą na dwa miesiące do Shaohing, na kurację.

Wagin więcej o nic nie pytał Jun-cho-sana. Zmuszony był jednak wypić u niego filiżankę herbaty i wysłuchać skarg na ciężkie i niepewne czasy. Wreszcie zwolnił się i niemal biegnąc, zdążył ku północnej bramie. Wsiadłszy do taksówki, pojechał do szpitala. W poczekalni, gdzie tego dnia pełno było ludzi, rozmówił się z panią Somową.

- Niech pan tu zaczeka na mnie - powiedziała. - Muszę sprzątnąć trochę w pokoju. Bardzo to dziwne, ale Ludmiła dziś rano już wiedziała, że pan przyjdzie.

- Czy pani mówiła jej o mnie! - przejmującym głosem zadał pytanie.

- Mówiłam, że pan po kilka razy dziennie dowiadywał się o jej zdrowie i że pan znowu wyjechał.

- I więcej nic?

- Resztę powie jej pan sam - odpowiedziała i wyszła, kryjąc przed nim nagle zasmuconą twarz.

Minęło kilka minut, zanim do poczekalni zajrzała sanitariuszka i skinęła na niego. Stanąwszy przy drzwiach pokoju, Wagin drżącą ręką nacisnął klamkę i jednocześnie z rozpaczliwą siłą zwarł szczęki. Obawiał się, że będzie krzyczał czy też wybuchnie płaczem.

Wszedł i natychmiast wszystko znikło mu sprzed oczu. Widział tylko świetlną plamę, a na jej tle - sylwetkę Ludmiły, opartej o wysoko ułożone poduszki. Biła od niej jasność tak przejmująca, że zmrużył oczy, lecz w tej samej chwili poczuł w nich nieznośny żar i kilka łez stoczyło mu się po policzkach. Patrzył na Ludmiłę, nic nie mówiąc i nie oddychając. Wydała mu się piękną, najpiękniejszą. Głębokie oczy jej utraciły ponurość swoją i smutek, jaśniały teraz łagodnym błyskiem, przez który przebijała się szalona niemal radość. Trwało to jedną chwilę zaledwie, bo pohamowała nagły wybuch. Oczy jej przygasty natychmiast, ukrywając się pod drgającymi powiekami, co długo jeszcze uspokoić się nie chciały. Napływały poczęły wspomnienia dni minionych, a z nimi razem smutek cichy i rzewny. Wagin stał jak skamieniały i wzroku od niej oderwać nie mógł. Nie płakał już, lecz na twarzy jego wystąpił zachwyt, skupienie i ekstaza modlitwy. Ludmiła zrozumiała wszystko i lekki rumieniec zaróżowił jej blade, przezroczyście jeszcze policzki. Poprawiła biały czepek i nagłym ruchem wyciągnęła obie ręce do Sergiusza. Wagin z jękiem przypadł do niej i począł okrywać pocałunkami te najdroższe dłonie, krzycząc na cały świat kocham, chociaż głosu jego nie słyszała nawet Ludmiła. Pani Somowa, spojrzawszy na sanitariuszkę, wyszła z nią razem. Wagin ukląkł przy łóżku, nie wypuszczając dłoni Ludmiły, wpatrzony w nią jak w obraz.



- Nie potrzeba nic mówić, nic! - szepnęła. - Czuję wszystko, wiem i widzę wszystko! Niech pan słucha. Nasz dobry przyjaciel - Miczurin zginął, najechany przez samochód. Nie żyje już! On i ja wiedzieliśmy dawno o tym, co pan chce mi powiedzieć. On przełamał siebie, wielka to była i święta ofiara jego, bo on oddał mnie panu w dobroci nie ludzkiej, w miłości, na którą ja niczym nie zasłużyłam. Oddał i zniknął. Czy pan to może ogarnąć sercem?

Wagin pochylił głowę i znowu patrzył i słuchał. Znane mu ponure cienie wypełniły oczy Ludmiły. Mówiła przejmującym szeptem:

- Między mną a panem padła jego krew. Łzy rozpaczy zatruwają nawet życie winowajców, a tu - krew! Szczęście nie dla nas, bo nie mieliśmy mocy, by złożyć ofiarę z pragnień własnego serca i zabiliśmy Miczurina. Leżąc w gorączce, widziałam go ciągle. Przychodził tu, stawał tam, gdzie stoi szafka i mówił: Nic więcej oddać wam nie mogłem! Jak gdyby usprawiedliwiał się i żalił, że tak mało uczynił dla nas. Gdy odchodził, cały pokój stawał się czerwony od krwi. Było to okropne! Wtedy postanowiłam.

Wagin skulił się, niby oczekując strasznego ciosu, i powieki mocno zacisnął. Spozobegła to i zwołniwszy dłoń, położyła ją na jego głowie. Od razu uciszyła się w nim trwoga i burza, zrywająca się w piersi.

- Cicho, cicho! - szepnęła. - Musimy się rozstać i zapomnieć o sobie albo zwalczyć siebie i pozostać przyjaciółmi, nie myśląc o wspólnym szczęściu. Inaczej nie mogłabym żyć.

Zapłakała nagle żałością, ściskając rękę Wagina drżącymi palcami.

- Czyż mogłabym przeżyć chwilę, kiedy stanąwszy przede mną, skarżyłby się w rozpaczy, że nic oprócz życia oddać nam nie mógł? Niech pan pomyśli, jakie to byłoby straszne! - szepnęła z przerażeniem i tęsknotą.

Wagin powtórzył przez zaciśnięte zęby:

- Byłoby to straszne.

Wypowiedział te słowa, nie słysząc ich brzmienia. Ktoś inny, żyjący w duszy człowieczej, rzucił je i czekał, co uczyni Wagin. Tymczasem w nim zachodziły gwałtowne przemiany - być może głębsze i mocniejsze niż te, które popchnęły Miczurina do pokoju Carlinga, a potem cisnęły go pod koła autobusu. Błyskawicznie szybko przekształcały się uczucia jego, myśli, zamiary i marzenia; ni to mgła nad krzakami, gdzieś wsiąkła tęsknota tylu tygodni; ni to kurzawa, co ją wicher zmiata i rozprasza, opadła dręcząca obawa. Pozostało coś wielkiego i jasnego, czego nawet ogarnąć i zgłębić nie potrafiłby, ale owa istota czy duch, żyjący niewidzialnie w głębi ciała człowieczego, podszepnął mu słowa jedyne - zrozumiałe jak najprostszą prawdą:

- Przysięgam przyjaźń cichą i wierną do grobu! Wytrwam w niej, wytrwam, bo wiem, że szczęście osiągniemy w innym życiu i pójdziemy razem w nieskończoność wieków - powiedział Wagin głosem spokojnym i twardym.

- Bóg wynagrodzi pana za tę przysięgę! - szepnęła Ludmiła.

- Bóg wynagrodzi - powtórzył z wiarą i wstał.

Wygląd jego, ruchy, głos i spojrzenie zmieniły się nagle. Ludmiła ze zdumieniem podniosła na niego oczy. Stał przed nią dawny Sergiusz Wagin - Wagin z ostatnich dni choroby Romana, Wagin, krzątający się koło pogrzebu, Wagin w czasie przeprowadzki z zagrożonej Czapei i wreszcie spokojny, wesoly, zrównoważony Wagin w małych pokojach w pobliżu stacji kolejowej - najpiękniejszy okres jej życia w Szanchaju!

Sergiusz tymczasem postawił przy łóżku dwa krzeselka i zaprosił panią Somową, jak oznajmił, na walną naradę wojenną. Gdy usiadła, niespokojnym wzrokiem badając oboje, powiedział z całą swobodą, chociaż uważny obserwator spostrzegłby drgające mięśnie na jego zapadłych policzkach, ociężałe powieki i głuche brzmienie głosu:

- Już wiem, że ze zdrowiem będzie dobrze! Teraz chciałbym usłyszeć raport, jakie są plany na przyszłość. Ale, ale! Zapomniałem powiedzieć, że Amerykanie, panno Ludmiło, z upragnieniem oczekują powrotu pani do biura. No, więc jakież postyszę nowiny?

Pani Somowa, wciąż jeszcze zdumiona, niepewnym głosem opowiedziała Waginowi o radach doktora Downporta i w końcu oznajmiła:

- Byłyśmy w bardzo kłopotliwej sytuacji, gdy doktor twierdził, że jedyną drogą do całkowitego wyzdrowienia jest wyjazd do kuracyjnej miejscowości Shaohing. Przecież nie mogłyśmy sobie na to pozwolić?! Doktor Downport jednak uspokoił nas. Okazało się, że generalny konsul Wielkiej Brytanii, nie wiem z jakiego powodu, zainteresował się losem Ludmiły i wyrobił nam prawo na sześciotygodniowy pobyt w sanatorium jakiejś misji. Podobno położone jest w najczudniejszej okolicy, urządzone wspaniale i posiada znakomitych lekarzy, do których nasz miły ordynator napisze listy polecające.

Wagin ucieszył się i klasnął w dłonie.

- No, proszę! - zawołał. - A ludzie zwykle mówią, że Anglicy to zimne manekiny!

Rozmawiali jeszcze o różnych rzeczach, Wagin zdążył opowiedzieć trochę o sobie, lecz nielitościwa sanitariuszka wetknęła głowę do pokoju i oznajmiła, że godzina minęła.

Wagin ucałował ręce pani Somowej i zbliżył się do Ludmiły. W jej oczach spostrzegł znów łagodne, ciepłe spojrzenie i delikatny rumieniec na uduchowionej, głęboko wzruszonej twarzy.

- Panna Ludmiła przez tę chorobę niebywale wyładniała! - zawołał porywczo i serdecznie. - Cóż to dopiero będzie po kuracji, jak się to wabi w Szu-sza.

- Shaohing! - podpowiedziała Ludmiła, śmiejąc się cicho. - Znajduje się tam grobowiec najstarszego cesarza chińskiego Ju z dwóch tysięcy dwustu lat przed Chrystusem, latające wzgórce i największe dzwony, a poza tym ludzie Shaohing - podobno najbardziej na świecie przedsiębiorczy.

- Niechże panie torebki trzymają stale w obydwu rączkach! - zażartował Sergiusz i raptem szybkim krokiem prawie wybiegł z pokoju.

Wyszedł na ulicę i ciężko upadł na ławkę, która była świadkiem tyłu jego udreń i oto dziś powraca znowu, kto wie - może z najcięższą i najboleśniejszą. Przycisnął sobie palce do skroni i syczeć zaczął,

jak gdyby czuł w całym ciele straszliwy żar do białości rozpalonego żelaza. W duchu powtarzał całą rozmowę z Ludmiłą, a przypomniawszy sobie imię Miczurina, zmrużył nagle oczy i syknął z nienawiścią:

- Ty, ty, mścicielu!

Długo siedział na ławce, nie czując zimnego deszczu i nie spostrzegając, że zapaliły się już latarnie uliczne. Wreszcie wstał i ociężałym krokiem powlókł się ku domowi. Jakaś myśl nie dawała mu spokoju. Z trudem przyłapał siebie na tym, że powtarza w kółko:

- Trzeba podziękować konsulowi! Trzeba podziękować konsulowi!

Taka drobna, nieważna w tej chwili myśl zastanowiła go. Dlaczego

zjawiała się tak nagle i tak uporczywie domagała się wykonania? Nie mógł jednak tego sobie objaśnić. Resztę wieczora i noc spędził w domu. Miotając się po pokoju, to znów siadając na fotelu, borykał się ze sprzecznymi uczuciami. Męczeńska była ta noc rozpaczliwej rezygnacji z własnego szczęścia i gorączkowego obmyślenia planu niezmiernie teraz trudnego życia. Będzie ono żądało od niego ciągłego ukrywania swego uczucia, walki o każde słowo i spojrzenie, udawania spokoju i przyjaźni w chwili, gdy będzie miał w sercu tęsknotę i burzę, a każdą kroplą krwi oczekiwać będzie cudu, widomego znaku przyjęcia ofiary i zwolnienia obojga od okrutnej przysięgi. Wmawiał w siebie, że im głębiej sięgać będzie pragnienie ofiary, im pełniejszym i istotniejszym stanie się jej dokonanie - tym prędzej zawita dzień cudu, tym wyraźniej ujrzą oboje jakiś znak nieomylny, posłyszają radosną nowinę, że nic już nie rozdziela dusz ich i serc. Walka i męka Wagina ustały z pierwszym brzaskiem. Westchnął i ze zrywającą się w nim siłą wiary szepnął do siebie:

- Niech minie życie w cierpieniu i tęsknocie, tym mocniejszej i jaśniejszej dostąpimy miłości w zaświatach, na wieki wieków połączeni ze sobą!

W tym momencie jakiś cień przysłonił mu słabą poświatę poranną, sączącą się leniwie przez mętne szyby i wyraźnie wyczuł obecność Miczurina.

Żarliwie i szczerze, czyniąc szeroki, powolny znak krzyża świętego, począł modlić się za wieczny spoczynek i światłość wiekiustą dla tego, który dla Ludmiły i dla niego poświęcił swoje życie, a którego on w rozpacz i zapalczywość nazwał mścicielem. Po modlitwie uspokoił się zupełnie i usiadłszy na fotelu, zapadł w półsen.

Tego samego dnia w godzinach urzędowych Sergiusz odwiedził generalnego konsula brytyjskiego. Niestary jeszcze, uprzejmy Anglik przyjął go natychmiast.

- Przecież znamy się! Byliśmy sobie przedstawieni na White Star, gdy odjeżdżał Fred Hastings - zauważył, gdy Wagin wymienił swoje nazwisko. - Czym mogę panu służyć?

- Przychodzę w imieniu pani Wiery Somowej i w swoim również, gdyż łączy nas serdeczna przyjaźń, podziękować panu konsulowi za opiekę nad panną Ludmiłą Somową, która ucierpiała podczas paniki na zebraniu w sali ratuszowej!

Konsul rozłożył ręce i zawołał:

- Do najmniejszej choćby wdzięczności dla mojej osoby nie ma powodu, drogi mr Wagin! Mam polecenie od mego kolegi, Hastingsa, by zarządzić wszystko na jego rachunek, no i wszystko już zostało zarządzone, może pan być tego pewny!

Po wizycie w konsulacie Wagin poszedł na pocztę i wyprawił do Liverpoolu list, dziękując w nim Hastingsowi za najistotniejszą w tym okresie i tak delikatną pomoc, za którą on gotów jest odwdziżyć się wszystkim, czego od niego zażąda.

Ti-Fong-Taj, spotkawszy go w biurze, dał mu do przeczytania dwa telegramy. Oba zawierały wiadomość, że z Holandii wypłynęły przed kilku dniami dwa statki z ładunkiem broni i pocisków wyrobu fabryk niemieckich. Dostawcy prosili o poinformowanie kapitanatu portowego w Kolombo o miejscu wyładowania statków.

- Najpewniejszym portem byłby Fuczou - oświadczył Wagin. - Wszystko jest już tam zorganizowane!

Ti-Fong-Taj potrząsnął głową przecząco i szepnął:

- Otrzymałem poufne wskazówki rządu, że pragnąłby on, aby transport ten dostarczono do Kantonu, a to z tego powodu, że rząd osiągnął w tym mieście ważne sukcesy w sprawie uznania swego autorytetu w najbardziej rewolucyjnej prowincji Chin. Podobno udało się tam utworzyć dwa pułki, zwerbowałszy zupełnie pewnych ludzi. Nanking ma zamiar po uzbrojeniu ich natychmiast rozpocząć uśmierzenie swawoli jakiegoś niedyscyplinowanego pułku i zlikwidowanie bandyckich wypraw piratów. Za jakiś tydzień najdalej musi pan jechać do Kantonu. Na pańskie szczęście, rząd połączył już Czangszę z kantoniskim odcinkiem kolei. Jutro dostaniemy bilety wolnej jazdy po wszystkich liniach i prawo na posługiwanie się telegrafem i telefonem wojskowym. To znacznie ułatwi panu zadanie!

- Rzeczywiście! - zgodził się Wagin. - Teraz w każdej chwili gotów jestem do drogi.

Zdawał sobie sprawę, że poczuł ulgę, posłyszawszy o możliwości prędkiego wyjazdu. Miał niezłomne postanowienie dotrzymać przysięgi, przełamać w sobie dążenie do własnego szczęścia; wiedział, że potrafi ukryć udrękę serdeczną i być tylko dobrym, wyrozumiałym i wiernym dla Ludmiły przyjacielem, mimo to w pewnych chwilach wybuchał w nim i szaleć poczynił protest namiętny, rwał się rozpaczliwy krzyk o krótkim i tak kruchym życiu ludzkim, które oni oboje, miłością ogarnięci, z własnej woli ponurym uczynić zamierzają, zgasić blask słoneczny i jak mroźny wiatr wybijały trawy - zwarzyć promienną radość istnienia.

- W imię czego? Dla kogo? - pytał siebie, zaciskając zęby. - Z wdzięczności Ludmiły dla Miczurina? Ale czyż czuje on tę ofiarę i czy jest mu ona potrzebna tam, gdzie podobno wszystko, co ziemskie, drobnym się wydaje i nędznym, gdzie roztaczają się inne, bezkresne horyzonty, gdzie z nieznanych promieni wszechpotężna ręka w twórczości nieustannej i przemożnej tka nieznaną śmiertelnym istotom zjawy innego szczęścia i majaki niepojętej radości?

Nieraz, kiedy opadały go roje tych myśli judzących, bezdźwięcznie poruszał ustami i wołał do zmarłego przyjaciela, co tak urągliwie na życiu jego zaciężył:

- Tyle już razy stawałeś mi przed oczami jak żywy. Stańże w tej oto chwili, jeśli raduje się twój duch, widząc naszą w imię twoje składaną ofiarę!

Czynił to prawie codziennie, ale nie widział już mglistego cienia Miczurina. Wagin nie mógł wszakże uznać tego za odpowiedź na swoje coraz natarczywsze, prawie obłądne inwokacje. Rozumował, że duch przyjaciela, ich ofiarą ukojony, porzucił już ziemski padół. Sergiusz stawał się przeczulonym, a nastrój jego zbliżał się chwilami do granicy mrocznego mistycyzmu. Wtedy otrząsał się z tego, marszczył czoło i przekonywał siebie, iż nie powinien nikogo - ani Ludmiły, ani Miczurina - o nic pytać, bo to, na co przystał, czyni dla ukochanej dziewczyny, dla jej spokoju i dla miłości swojej, która nie może się skończyć jedynie na tej nędznej ziemi. Robił sobie gorzkie wyrzuty, iż zapomniał o innej przysiędze, ukrytej w mocnych i namiętnych słowach, gdy klęcząc przy niej - umierającej i nieprzytomnej - powtarzał:

- Teraz razem na zawsze!

A więc w doli i w niedoli i w każdej okoliczności życia, której nie potrafiłby nawet przewidzieć i przeczuć. Oto teraz, gdy życie łamie jego nadzieję, mógłbyż cofnąć swoją przysięgę, choć na chwilę jedną zawahać się i zwątpić w uczciwość swoją i siłę woli? Szamocąc się z samym sobą, starał się zapomnieć o wszystkim. Czym prędzej brał się do roboty. Toteż ucieszyła go bardzo wiadomość o oczekującej go podróży. Oddalenie, nawet pracy i nowe, nieznanne mu otoczenie muszą osłabić jego cierpienia i oderwać od ścigających ciągle, nieodstępnych zawsze myśli. Codziennie odwiedzał Ludmiłę. Przeżywał trudne do określenia chwile, rozmawiając spokojnie i patrząc na nią. Nastroje jego zmieniały się wtedy z nieuchwytną szybkością. Porównywał je do powierzchni morza w godzinie nadlatującego sztormu. Pod smaganiem wichru tak rzadko pozostająca w spokoju i bezruchu lazururowa płaszczyzna marszczyć się nagle poczyniała, piętrzyć się, żółknąć i syczeć, gdy to z rozmiotania ciężkiej wody wyrastały nieskończone wały fal o powichrzonych, siwych grzywach i z pluskiem i łomotem przewalając się i załamując, mknęły ku dalekim brzegom. I tuż raptem, na miejscu, gdzie zderzywszy się wściekle, rozprysły się, opadły i wsiąkły bez śladu dwa potworne bałwany, tworzy się nieraz w pienne arabeski zdobna, śladami wirów poznaczona płaszczyzna, gładka i cicha jak zwierciadło jeziorne. Na chwilę tylko, na chwilę! Bo oto już podnosi się jej pierś i wzdyma, aż rozsadzi ją z głębin powstały nowy bałwan, jeszcze wyższy, jeszcze wścieklejszy. I znowu inny obraz! Wicher podciął fale, zniósł ich białe czuby, przechylił i niby z krawędzi skał, szeroką strugą zlał do morza. Na ich miejscu pomarszczone milionami fałd zalega już nieruchome niemal pole wodne, którego, zda się, nie tknął podmuch potężny, tylko bryza łagodna musnęła lekko. I to zmieni się w okamgnieniu, bo już, już spiętrzyły się, jak śnieżny łańcuch górski, pianą uwieńczone fale, wyjące, wściekłością ciężarne.

Tak właśnie zmieniały się uczucia, wrażenia i nastroje Wagina. Przychodził cichy, skupiony, pokorny, przynosząc bądź bukiet irysów lub rododendronów, bądź koszyczek z owocami. Przyglądał się prawie surowym wzrokiem Ludmile i wreszcie oznajmiał żartobliwie, że od wczoraj utyla niebywale i nabrała takich kolorów, że mimo woli podejrzewa istnienie w pobliżu szpitala plantacji buraków. Ludmiła uśmiechała się wesoło, a Wagin, ujrawszy biel jej zębów, śmiejące się oczy i tak dobrze mu znany lekki skurcz warg, wytężał całą wolę, aby nie paść do jej nóg, wołać błagającym głosem i krzyczeć w zapamiętaniu:

- Kocham, kocham! Pamiętajmy, że życie jest chwilą tylko i biada temu, kto z przekleństwem pożegna ostatni jej przebłytek!

Ledwie jednak poczuł na sobie zaniepokojone nagle spojrzenie Ludmiły, znowu nakładał na siebie więzy woli, skupiał się w sobie, w pośpiechu gorączkowym zaczynał wypytywać i opowiadać, wciągając do rozmowy panią Somową, zapisując do notatnika różne zlecenia i żartując.

- Dawno już nie był u nas doktor Plen - przypomina sobie raptem chora.

Sergiusz udaje oburzenie i woła:

- Cóż pani sobie myśli, że taka sława całej Czapei będzie się fatygowała do osoby, która tylko leży sobie jak królowa i tyje demonstracyjnie? Ale, co do tego dziwaka - dodaje, poważniejąc nagle - to obawiam się o niego! Mówiono mi w palarni, że nadużywa opium.

Rozmowa przechodzi na Plena, opium i jego skutki. Wagin, korzystając ze sposobności, wyjaśnia pochodzenie tego nałogu i rozwój handlu trucizną; to znów zahacza o pułkownika Chaj-Czina, więc opowiada o nim - rad, że może i musi mówić, gdyż serce nie kołaczy mu wtedy i nie pada w jakąś otchłań, a oczy tylko w przelocie zatrzymują się na drogiej, łagodnej, kochanej postaci. Wtem nie tyle spostrzega, ile wyczuwa, że Ludmiła patrzy na niego dziwnym wzrokiem, szukającym czegoś w jego źrenicach, w ruchu warg i rąk, w wrażeniach, odbijających się na jego twarzy. Łagodny to, ciepły, może nawet. Wagin nie chce niczego się domyślać, boi się tych przelotnych spostrzeżeń, pragnie tylko jednego: zajrzeć do jej oczu, tak, tak - głęboko, z miłością i oddaniem.

- Błagam! Jeszcze chwilę! - skamla dusza.

Powieki Ludmiły, drgające niby skrzydła ćmy, opadają powolnie. Czarne rzęsy rzucają zasłonę na roziskrzony oczy i krew odpływa od nagle zaróżowionych policzków. W sercu Sergiusza - znowu smaganie wichru, ryk i łomot fal i nigdzie, na całej przestrzeni oceanu - ani śladu ciszy i ukojenia!

Gdy powiadomił Ludmiłę o prędkim już wyjeździe do Kantonu, wydała żalostny okrzyk, a na twarzy jej odbiło się przerażenie. Oczy jej o coś pytały, żądały odpowiedzi i umierały ze strachu przed nią. Nie zrozumiał tego Wagin, bo był to już nowy człowiek. Miłość zdławiła w nim tajemnicze zmysły, których kolebką jest samotność i walka. Samotności nie czuł, gdyż serce jego i dusza pełne były kochanej istoty, walczył zaś tylko ze sobą, lecz w walce tej coraz bardziej przeradzał się dawny Wagin - morderca, żołnierz, ścigane zwierzę umykające, Wagin - o potężnej intuicji, wrażliwości przerażającej i zimnej rozwadze. Nic mu nie powiedziały ten krótki, bolesny okrzyk, przerażenie i pytające spojrzenie dziewczyny. Objaśnił je jako przejaw sympatii i zawodu, że nie będzie obecny przy ich odjeździe do sanatorium. Tak to odbiło się na nim na razie. Później - w godzinie troski nieznośnej okrzyk ten wdrążył mu się w serce i wstrząsnął nim jak ciosem pioruna, przerażenie Ludmiły potężnym światłem rozjaśniło mózg, pytanie zaś, zaczące w oczach i żadne jakichś mocnych słów czy nowych przysięg, stało się znakiem ognistym na bezdrożu.

W przeddzień wyjazdu swego, którego pragnął i bał się zarazem, przyszedł do szpitala z paczką książek i tygodników ilustrowanych dla Ludmiły i od progu już zaczął opowiadać o chińskim Paryżu, jak nazywają Kanton konserwatywni mieszkańcy północnych prowincji.

- Naczytałem się o tym mieście, przestudiowałem plan i wydaje mi się, że znam je lepiej od kantończyków! - chwalił się podnieconym i nienaturalnym głosem. - Napiszę do pani długi list o tej stolicy, o twórcy rewolucji, doktorze Sun Jat-Senie, o piratach z Rzeki Pereł i ludziach, całe życie

spędzających na łodziach, gdzie stoją domki na pokładzie, a na ich strzechach zielenią się drobne ogródki warzywne!

- Bardzo ciekawa oczekuje pana podróż! - zawołała zainteresowana ni Somowa.

Ludmiła słuchała z opuszczonymi oczyma i nie odzywała się. Jej cienkie palce przebierały rąbek prześcieradła i chwilami kurczyły się nerwowo. Sergiusz udawał, że wpada w coraz lepszy humor. Żartował, śmiał się i dowcipkował, nie pozostawiając w spokoju nawet suchej jak sztokfisz i kościstej sanitariuszki, miss Dittl - milczącej i zawsze rozgoryczonej.

Zwrócił się wreszcie do Ludmiły i grożąc jej palcem, powiedział:

- Czcigodna zaś osoba ani mi się waży powracać do Szanchaju, zanim jej waga nie dojdzie do stu kilo! Taki warunek postawił pani HBM konsul, a to już nieodwołalny rozkaz!

Uśmiechnęła się kącikami ust i spojrzała mu wprost w oczy. Skamieniał, bo nigdy jeszcze z taką mocą i śmiałością nie patrzyła na niego. Po chwili szepnęła:

- Nie wiem, kto to powiedział, że natura i wypadki życiowe czynią człowieka tak chwiejnym, że nigdy nie wie, jak postąpi w następnej sekundzie, ale to prawda.

- Do czego pani to stosuje? - spytał, zniżając od razu głos do szeptu.

Potrząsnęła głową i westchnęła.

- Jak mam rozumieć słowa pani? - szepnął znowu, wpatrując się w nią.

- Mama opowiadała mi, co pan mówił, gdy stał na tym samym miejscu. Nie słyszałam wtedy, bo byłam nieprzytomna - odparła bardzo cichym i smutnym głosem.

- Powiedziałem wtedy, że... - Wagin urwał i zacisnął zęby.

Pomilczawszy chwil kilka, dokończył, patrząc w ziemię ponuro:

- Można być razem, zupełnie razem, chociaż się jest bardzo daleko. A nawet na tamtym świecie.

Ludmiła wzdrygnęła się i raptem podniosła rękę do oczu.

- Na miłość Boską, niech pan tego nie mówi! - szepnęła. - To straszne!

Wagin z trudem powstrzymał się od okrzyku. Zrozumiał wreszcie, że i ona buntowała się przeciwko władzy Miczurina nad nimi. Rozradowany do głębi serca, usiłował uspokoić ją. Mówił znowu wesołym głosem, bo do łóżka chorej podeszła pani Somowa, podając jej lekarstwo.

- Codziennie w godzinie przyjęć szybciej od fal radia będę myślą mknął do pokoju numer sto dwa i kontrolował, czy dobrze się panie sprawują!

Ludmiła znowu westchnęła i jeszcze raz zatrzymała na nim długie, głębokie spojrzenie. Była mu wdzięczna, że rozumiał jej przerażenie, wyczuła to bowiem i ucieszyła się z jego wrażliwości. Serdecznie i ciepło spytała go weselszym już tonem:

- A co będzie, jeżeli pan nie znajdzie drogi? Przecież za tydzień będziemy już w Shaohing. Pan nawet nie wie, gdzie to jest!

Pochylił się i ucałował ją w rękę, mówiąc:

- Byłem na wojnie i umiem czytać mapy. Niech się pani nie łudzi, będą panie codziennie miały moją wizytę. Proszę tylko o czwartej myśleć o mnie i czekać!

Ta żartobliwa pozornie rozmowa niespodziewanie ułatwiła i uprościła samo pożegnanie, gdy miss Dittl, nic nie mówiąc, palcem wskazała na zegar. Wagin zajął raz jeszcze w oczy Ludmiły i coś, widząc, dojrzał w nich, bo kilka razy pocałował obie jej ręce i miał rozpromienioną twarz, a potem omal nie wyściskał pani Somowej, prosząc, aby pobłogosławiła go na drogę.

Wyszedł z pokoju szybko, i nie oglądając się i czując na sobie wzrok Ludmiły.

Miss Dittl w swoim staropanieńskim mózgu kombinowała coś, widząc, bo z taką ciekawością obserwowała Ludmiłę, że aż ta zwróciła na to uwagę i westchnąwszy, powiedziała spokojnym głosem:

- Zawsze jest ciężkie rozstanie z prawdziwymi przyjaciółmi, a szczególnie tu, gdzie nigdy nie wiadomo, co nam jutro przyniesie, angikańskiego kaznodziei sanitariuszka.

- Doskonale to pani ujęła, miss Dittl! Tak jest istotnie! Jedyna nasza nadzieja w Bogu! - jakimś dziwnie radosnym głosem zawołała Ludmiła, czym jeszcze bardziej zaintrygowała starą pannę.

Wagin tymczasem wpadł do palarni, chcąc pożegnać Plena. Doktor jednak spał i pożałowawszy go, Sergiusz pozostawił dla niego na pryczy swój bilet wizytowy, napisawszy mu, że panie Somowe stęskniły się za nim, on zaś jest niezadowolony z podtrzymywania przez przyjaciela angielskiego importu opium. Wieczorem podczas kolacji raz jeszcze omówił sprawy z Wali-chanem i Ti-Fong-Tajem.

Nazajutrz rano koleją odjechał do Kantonu. Poranek był prawdziwie jesienny. Mgła snuła się nad burymi polami; siekł deszcz; silne porywy wiatru szarpały konary drzew i strząsały z nich suche liście. Miotły się w powietrzu stada wron, walczących z wiatrem i kraczących trwoźnie. W duszy Wagina panowała jednak pogodna cisza.

## X. MIASTO, KTÓRE NIE ZAZNAŁO POKOJU

Statki holenderskie z ładunkiem broni niemieckiej przysły w dwa dni po przybyciu Wagina do Kantonu, ale jeszcze całe trzy dni musiał on kląć i słuchać, jak klęli kapitanowie rotterdamscy, gdyż przedstawiciel rządu nankińskiego nie spieszył się bynajmniej. Dopiero w jego obecności mogło się rozpocząć wyładowanie obu statków i sprawdzanie dostarczonych skrzyń. Chiński kontroler i odbiorca w jednej osobie, młody, niezwykle elegancki urzędnik, nie był wcale pilny w spełnieniu swych obowiązków, więc cała procedura odbywała się straszliwie powolnie. Holendrzy włosy sobie rwali i klęli coraz siarczyściej, przysięgając, że nigdy już nie podejmą się drugiego rejsu. Z rozpaczy każdej nocy jeździli do położonej naprzeciwko Kantonu dzielnicy Fati, gdzie upijali się jak nieboskie stworzenia, robiąc burdy i demolując raz po raz obrany sobie za siedzibę bar o idyllicznej nazwie



Dzwonny Podmuch od Białochmurnej Góry. Istotnie dzwoniły tam szklanki i talerze, tłuczone przez biało ubranych, a chmurnych Holendrów.

Wagin miał dostatecznie czasu, aby zwiedzić miasto, którego sława rozeszła się po całym świecie. Starożytność jego, przechowana w zabytkach sztuki, architektury i rzemiosłach, tylko Kantonowi właściwych, na każdym kroku biła w oczy, za to tłum uliczny, stroje i obyczaje podległy gwałtownej i tak radykalnej modernizacji, że nawet nie powodowało to uśmiechu ironii lub politowania. Sławetny wódz rewolucji chińskiej, Sun Jat-Sen, wychowanek angielskiego kolegium w Hongkongu i uniwersytetu amerykańskiego, z miejsca wypowiedział wojnę tradycjom i wszelkim kultom, z wyjątkiem kultu stałej rewolucji, na co niezawodnie wpłynęły broszury zadzierzystego Lwa Trockiego-Bronszteina oraz kultu nienawiści i pogardy dla białej rasy. Usiłowania jego uwieńczone zostały pożądanym dla niego skutkiem. Kantończycy i obywatele całej kwantuńskiej prowincji błyskawicznie szybko wyzbyli się warkoczy, czarnych mycek, strojów narodowych, dobrych obyczajów i moralności; architekci i inżynierowie zaczęli burzyć świątynie i budynki historyczne, planując nowe, szerokie ulice, place i parki współczesne na wzór londyńskiego Regent's Parku lub paryskiego Lasku Bulońskiego, przekładając arterie kanalizacyjne i wznosząc olbrzymie gmachy publiczne. Z religią było tak krucho, że bonzowie wyznania Tao, idąc za przykładem swego założyciela Lao Tse, porzucili bezbożne miasto i ukryli się na pustyni, a żółci i czerwoni lamowie buddyjscy spakowali manatki i drapnęli do Pekinu, do ziemi Czaharów, a nawet, naładowawszy całe swoje mienie i relikwie na wielbłądy, wyruszyli do Tybetu i Nepalu.

Prawie trzy miliony mieszkańców liczył wówczas Kanton, nazywany pospolicie miastem baranów, albowiem na tych to zwierzętach przybyło tu w czasach przedhistorycznych pięciu czarowników, a dumny z tego, co o nim głosiła gadka, iż wszystko, co jest nowe, pochodzi z Kantonu. Zapewne tkwi w tym spora doza prawdy i nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli uprzytomnić sobie, że cała emigracja chińska do Ameryki głównym źródłem swym miała właśnie Kanton, powracający zaś do rodzinnego miasta Chińczycy budzili w nim pęd do nowości, najczęściej madę in USA. Południowa stolica prawie zawsze uważała się za miasto wolne i niezależne od jakiegokolwiek rządu centralnego, a separatyzm Kantonu dawał się we znaki ministrom nankińskim.

Wagin podziwiał doskonale brukowane i wyasfaltowane ulice, rozległą sieć tramwajów i ożywiony w amerykańskim tempie ruch automobilowy. Sprytny przewodnik oprowadzał go po pozostałych pagodach, opowiadając zabawne i drastyczne nieraz szczegóły z życia bogów i czczonych ludzi, podniesionych do godności dobrych geniuszów. Kwitnąca pagoda z pięknymi wazonami, które pociągały ku sobie bogatą paletą różnobarwnych kwiatów, zmieniających się o każdej porze roku, zachwycała Waginę zadumaną ciszą. Turkały tam melodyjnie gołębie, w zaroślach azalii śpiewały jakieś ptaszki, śmigały barwne jaszczurki, stary bonza ze smutkiem przyglądał się cudzoziemcowi, przychodzącemu tu codziennie o godzinie czwartej. Wagin istotnie spędzał tu najprzyjemniejszy czas, gdy skwar słabnął i uciszał się wiatr, dmący z zatoki. Siadał zwykle na stopniach pagody i myślą dążył do Ludmiły, usiłując wyobrazić sobie, jak żyje w sanatorium i co myśli. Żałował, że nie może przyprowadzić jej tutaj i razem stopić się z ciszą, przelewającą się leniwie w wonnym powietrzu. Chociaż dochodził już drugi tydzień pobytu jego w Kantonie, listu do Ludmiły nie wysłał. Wstrzymywała go obawa, że nieprzychylnie przyjmie taki właśnie objaw przyjaźni, uważając go za dążenie do nawiązania serdeczniejszych stosunków.

- Będzie myślała - rozumował - że, spostrzegłszy ten dziwny wyraz jej oczu, ożywiłem w sobie nadzieję i zmieniam postępowanie. Zresztą po co mam pisać? Wiem przecież, że wyczuwa ona każdą moją myśl, każdą tęsknotę i każde żywsze dla niej uderzenie mego serca.

Pewnej niedzieli wraz ze swymi Holendrami oglądał świątynię Pięciu Geniuszów i inną, gdzie zgromadzone były starożytne posągi dziesięciu tysięcy bóstw buddyjskich i taoistycznych. Długo chodzili po świątyni Przerazenia, zaglądając do różnych zakątków i wynajdując coraz to nowe bóstwa o straszliwym zaprawdę wyglądzie. Holendrzy zaśmiewali się, dziwiąc się, w jaki sposób i kto może myśleć o modlitwie w obecności podobnych potworów. Bogowie tak podziałali na szyprów, że wskoczyli na jedną chwilkę do małej restauracyjki, należącej do Portugalczyka z sąsiedniego Makao, i wyszli z niej w nader wesołym i figlarnym usposobieniu. Przejawiło się ono w chwili, gdy oglądali Dzwon Klęski. Podanie głosiło, że wydawał jęk, uprzedzając o zagrażającej miastu baranów katastrofie. Kapitanowie usilnie namawiali dozorcę, ażeby z całej siły uderzył w dzwon, ale ten, widząc podpitych dżentelmenów, uśmiechał się tylko i dowodził, że zaśniedziały brąz pęknął od dawna. Wtedy jeden z Holendrów zaproponował zainscenizować klęskę, a mianowicie wrzucić do morza kontrolera rządu nankińskiego. Taki projekt niespodziewanie przypadł do gustu dozorczy, chociaż po chwili zupełnie poważnie już mruknął:

- Niestety, dżentelmeni, dzwon się nie odezwie, gdyż wrzucenie całego nawet rządu nankińskiego do morza nie byłoby klęską! Na wieść o tym brzęknąłby raczej srebrny gong w Amoy, bo nosi nazwę Głosu Radości!

Wspólna wycieczka Wagina skończyła się na tym, że upodobawszy sobie dowcipnego kustosza Dzwonu Klęski, wilki morskie zabrały go ze sobą i trzymając kurs podług kompasu pijackiego, wylądowali w Fati, skąd powrócili dopiero nad ranem.

Kontroler, który napomykał wcale niedwuznacznie, by go tytułowano excellency, marudził i przewlekał każdą sprawę. Zapewne otrzymywał dobre diety, więc robił biznes, a nawet prawdziwy, świetny job. Każda najmniejsza wątpliwość powodowała długą telegraficzną korespondencję z Nankingiem lub rozmowy telefoniczne, przy czym telefon, jak na nieszczęście, dla ekscelencji był zawsze zajęty, chociaż Wagina w tym samym czasie bez trudu kilka razy już porozumiewał się tą drogą z kompradorem i z brytyjskim konsulem, dowiedziawszy się od niego, że panie Somowe w samochodzie sanatoryjnym zostały już przewiezione do Shaohing. Wszakże wszystko ma swój koniec! Kontroler, podpisawszy przeróżne akta, pożegnał Holendrów, mrużących sobie pod nosem przekleństwa i wyzwiska, uściśnął rękę Waginowi i zniknął - elegancki, uperfumowany, europeizowany a very new chinese gentleman, jak sam siebie oceniał. Kapitanowie po raz ostatni urzędli się w Fati, obrócili w perzynę przytulny Dzwonny Podmuch, dobrze zarabiający na wojowniczych temperamentach obu żeglarzy, i wyciągnęli wreszcie kotwice z zamulonego dna zatoki kantońskiej.

Dla Wagina zaczęła się druga część jego roboty. Musiał doręczyć broń dowódcom brygad, sprzyjających rządowi. Praca szła szybko, gdyż oficerowie robili wszystko z wielkim pośpiechem, jak gdyby groził im rychły wybuch wojny. Młodzi generałowie podobali się Waginowi. Spokojni, energiczni i poważni odrzucili od siebie tym razem chińskie mitręgi, zwłokę i wykrety. Pomiędzy nimi a Waginem ustaliły się przyjazne i pełne zaufania stosunki. Jednak to też wzbudziło jego obawy, z rozmów bowiem wynioskował, że Korpus Kwantuński i Garnizon Kantoński bynajmniej nie żywiły przyjaznych dla Nankingu uczuć.

- Wiemy tu dokładnie, że japońska dyplomacja ma znaczne wpływy na prezydenta i na rząd - mówił komendant twierdzy, generał Mi-Hun-Szi. - Niewykluczone jest, że tam się dogadają do japońskiej okupacji północnych prowincji, a kto wie - może nawet do uszczuplenia naszego terytorium. Musimy być przygotowani do wojny z ustępliwym rządem i w tym samym czasie - z Japonią! Jak pan widzi, musimy mieć karabiny, aby powiększyć kadry uzbrojonych żołnierzy i zaopatrzyć artylerię w pociski!

Zaśmiał się chytrze i zatarł ręce. Wagin czuł się nieco upokorzonym. Mogło się wydać, że został wywiedziony w pole, lecz uspokoił siebie tym, że lojalnie spełniał zlecenie rządu chińskiego i rozkaz kompradora, najwięcej jednak tym, że przyszedł mu na myśl poczciwy Fred Hastings, po czym Sergiusz natychmiast zaśmiał się w duchu i pomyślał: Zresztą co mnie to wszystko może obchodzić? Czyż nie mam większych zmartwień?

Właśnie, że miał. Nie przyznając się sobie do tego, wyglądał listu od Ludmiły lub przynajmniej od pani Somowej. Mogły być przecież przesłać mu wieść o sobie przez biuro Ti-Fong-Taja. List jednak nie nadchodził. Drugie zmartwienie szło z innego źródła. Sergiusz otrzymał telegram, w którym komprador nakazywał mu czekać w Kantonie na przybycie angielskiego statku Plymouth z Singapuru z pociskami armatnimi i drugiego - Illinois, płynącego z amerykańskimi karabinami. Ten ładunek, jak depeszował Ti-Fong-Taj, zgodnie z zleceniem sztabu, miał być również doręczony Korpusowi Południowemu.

W oczekiwaniu przybycia statków Wagin w towarzystwie oficerów chińskich poznawał życie miasta, któremu jego założyciele - czarownicy przynieśli talizmany bogactwa i pokoju. Zapewne ten drugi był fałszywy, bo pokój Kanton nie zaznał nigdy; bogactwo za to, jak oswojone króliki, samo szło mu do rąk. Tak bogate, że nawet niszcząca rewolucja i wojna domowa nie były w stanie doprowadzić je do ruiny. Miasto zdumiewało gorączkowym handlem, ogromnymi transakcjami i natężoną pracą w fabrykach tkackich, metalurgicznych, olejarniach i w warsztatach rzemieślniczych. Te szczególnie zainteresowały Wagina. Poznał majstrów z rodów od pięciuset lat trudniących się w jednym i tym samym zawodzie. Byli to przeważnie artyści rzeźbiarze, wyrabiający przedmioty z kamieni, kości słoniowej i perłowej masy; stolarze, produkujący najdroższe meble z hebanu; tkacze i hafciarze; majstrowie w branży wyrobów z laki czarnej, czerwonej i złotej. W małych pracowniach przygotowywano wonne pomady i świece, robiono papierosy, szkła do okularów i zwierciadła; barwniki z roślin, papier jedwabny i inny z drzewa papierowego oraz tysiące innych towarów. Wszystkie te warsztaty i warsztaczki mieściły się w ciemnych, wąskich uliczkach dzielnicy Szamin, gdzie przewalały się tłumy Chińczyków i Europejczyków. W płynących potokach ludzkich widniały skupione i podejrzliwe twarze Japończyków; kroczyli majestatycznie sztywni, o płonących oczach Hindusi i uśmiechnięci, przebiegli Arabowie, których przodkowie założyli tu niegdyś swoją kolonię, o czym świadczył meczet, gdzie rozlegało się jęklive wołanie do Allaha i jego proroka - Mahometa. Barwne japońskie joro, szczebiocząc jak ptaki, flirtowały zawzięcie ze smagłymi Filipińczykami, a jakaś drobna, zwinna Jawajka targowała się z kupcem chińskim, pokazującym jej bogato rzeźbiony wachlarz z szylkretu, i poruszała rytmicznie biodrami i ramionami, niby to tancerka z Bali, bo spostrzegła zapewne, że przygląda jej się pożądliwie jakiś rozrostły, rudy jak marchew, Kanadyjczyk.

Nie mając nic do roboty i nudząc się straszliwie, Wagin na całe godziny zapadał w stan męczącego odrętwienia, gdy przed jego wzrokiem wewnętrznym przesuwają się postacie Ludmiły, Hastingsa, Chaj-Czina, tajemniczego Hung-Wu i mieszały się w niepokojący go chaos, by w końcu zogniskować się w majaczącej gdzieś daleko i mgliście sylwetce Miczurina, który stał się władcą nielitościwym,

rozporządzającym losami dwojga ludzi. Z radością przyjmował Sergiusz zaproszenie oficerów, bo odrywało go to od niewesołych, gnębiących myśli. Większość oficerów Garnizonu Kantońskiego pochodziła z prowincji Kuangsi i Yunnan. Przybyli tu niedawno na rozkaz sztabu i w wolnych od służby chwilach zwiedzali chiński Paryż i jego okolice. Pewnego wieczoru Wagin z całą grupą oficerów pojechał do Fati - malowniczego zakątka, w którym niedawno jeszcze bujni Holendrzy każdej niemal nocy wyładowywali swój temperament i niezadowolenie z ekscelencji - kontrolera rządowego. Niewysokie, malownicze góry, pokryte wspaniałym płaszczem roślin i drzew tropikalnych, tworzyły tło starannie utrzymanego parku, gdzie pomysłowi i wyrobieni ogrodnicy chińscy - mistrzowie w sztuce dekoracyjnej - stworzyli jedno z najpiękniejszych i najestetyczniejszych miejsc na kuli ziemskiej. Krzaki w kształcie żurawi, tygrysów, leżących koni i wielbłądów, sosny i dęby o powyginanych dziwnie konarach, wyobrażające smoki lub ludzi o rozwichrzonych włosach i wzniesionych ramionach; gazony, ozdobione porcelanowymi figurami; potoczki z przerzuconymi przez nie mostkami z laki lub porcelany; jeziorka, pełne lotosów i jaskrawozielonego sitowia, gdzie pluskały czerwono-złote karpie; kwietniki - tu jednobarwne, tam znów niby paleta rozszalałego malarza - stanowiły czarowną ozdobę parku Fati. Stawało się zrozumiałym, dlaczego miejsce to dawało natchnienie poetom południa chińskiego. Koło ścieżek, posypanych grubym żwirem morskim, tkwiły wykute w miękkim kamieniu kapliczki i misternie ozdobione latarnie. Tam i sam, nad zielonym kobiercem gazonów i ustronnych łąk wznosiły się mahoniowe i hebanowe arki paj-lou o najszlachetniejszych zarysach i ozdobach. Za nimi w odległości kilkuset kroków, w cieniu drzew, w otoku kwitnących krzewów, oplecione pnącymi się roślinami tonęły w zieleni wytworne restauracyjki i herbaciarnie. Gdy Wagin z towarzyszami swymi wszedł do jednej z nich - milczący, biało ubrani i ugrzecznieni młodzieńcy podali im krzesła i przyjęli zamówienie, uważnie i pieczołtliwie zaglądając gościom w oczy, jak gdyby pytając ich o coś. W małej, półciemnej i przewiewnej salce zgromadziło się sporo gości. Większość ich stanowiły kobiety. Wyzwolone, europeizowane i najzupełniej współczesne Chinki - żony i córki urzędników, przemysłowców i bankierów, przyjeżdżały tu samochodami i rikszami, aby pokazać nowe suknie, okrycia i obuwie, a klejnotami w uszach i na rękach wywołać zazdrość koleżanek i znajomych. Rozmawiały swobodnie i głośno, wtrącając co chwila angielskie wyrazy i niezwykle arogancko ukazując nogi aż powyżej kolana, aby zademonstrować modne pończoszki z jedwabnej siatki lula koloru marocaine z czarnymi strzałkami.

Wagin, rzuciwszy na nie okiem, był przekonany, że widzi przed sobą wytworne kokoty chińskie, choć w Szanchaju tego typu kapłanek wolnej miłości nie spotykał. Pamiętał jednak, że siedzi w herbaciarni kantońskiej, w mieście, skąd wszystko, co jest nowe, rozchodzi się po całym kraju - od zniesienia monarchii do pończoch ze strzałkami.

- Są to damy z towarzystwa! - zawołał ze śmiechem siedzący obok niego major, postłyszawszy uwagę Wagina, że kokoty kantońskie są zbyt wyzywające.

Sergiusz przyjrzał się uważniej damom z towarzystwa, ale gdy spostrzegł ich badawcze, ciężkie spojrzenia, skierowane w stronę jego stolika, długo nie mógł uwierzyć, że cywilizacja tak prędko mogła zmienić szlachetną chińską kobietę, która, jak twierdził uczoney Ku-Hung-Ming, jest pełna uroku dobroduszości, etyki i tak całkowitego samozaparcia się dla męża i rodziny, że nie ma sobie od chwili, gdy przy ceremonii tien-jen, w obliczu dzikiej gęsi złożyła przysięgę na wierność małżeńską.

Obecnie to zapewne mąż nie ma siebie, wprowadzając do domu taką zmodernizowaną lalkę - pomyślał i zapytał żartobliwie sąsiada, co porabiają gęsi, biorące tak czynny udział w obrzędach ślubnych.

Oficer wybuchnął głośnym śmiechem:

- Bonzowie zjedli z kasztanami i daktylami te stare, nikomu już niepotrzebne emerytki! Ale! Interesował się pan kokotami?

- Bynajmniej! - zaprotestował Sergiusz. - Nawinęło mi się tylko takie porównanie.

- To na jedno wypada! - zaśmiał się major. - Tam usiadły dwie przedstawicielki tej kasty, i nie byle jakie! Najwyższa klasa i stosownie do niej - najwyższa taryfa!

Istotnie, na miękkiej, białej kanapce, stojącej w rogu sali, usadowiły się dwie Chinki, ceremonialnie ustępując sobie miejsca i coś mówiąc do siebie uprzejmie.

Wagin zdumiał się. Miały wygląd najcnotliwszych niewiast. Ich ciemne, z błyszczącej jedwabnej tkaniny stroje - ciemnowiśniowy i fioletowy - były szczytem skromności. Wąskie pantalony ukrywały nogi aż do lakierowanych pantofelków francuskich, żakieciki, pozbawione wszelkich ozdób, oprócz jednego złotego guza na prawym boku, były zapięte pod samą szyję, a długie rękawy osłaniały ramiona. Gładkie, napomadowane obficie włosy związane były w duże, podłużne węzły, opuszczone na kark. Dwie złote szpilki, ozdobione koralami podtrzymywały całą fryzurę. Damy z towarzystwa wpatrywały się chciwie w ogromne brylanty w uszach kokot i piękne pierścionki, zdobiące cienkie palce o wypolerowanych paznokciach, lekko pociągniętych złocistym lakierem. Kokoty, uśmiechając się dystygownie, rozmawiały cichymi głosami, od czasu do czasu wybuchając dyskretnym śmiechem. Zdawało się, że nie zwracały uwagi na publiczność, lecz ich czarne, przenikliwe oczy widziały wszystko i pochwytywały każde spojrzenie. Jedna z nich nieznacznie prawie przywitała kogoś lekkim wzniesieniem brwi, a mały wachlarzyk, niby semafor miłości, wykonał kilka szybkich i tajemniczych ruchów, ni to przypadkowych, ni to umówionych. Druga przyglądała się siedzącemu na werandzie, zapatrzonemu w nią, opasłemu i mocno podstarzałemu Chińczykowi w białych spodniach sportowych i granatowej marynarce. Zapewne też sygnalizowała, gdyż wyjąwszy z wazy białą magnolię, manipulowała nią, powtarzając wciąż trzy jednakowe ruchy. Wagin zobaczył wreszcie, że chiński dżentelmen nałożył okulary i dojrzawszy wreszcie tę mowę kwiatów, skinął głową. Kokota w odpowiedzi na to opuściła oczy i wrzuciła kwiat do wazy. Po chwili obie kobiety siedziały spokojnie i rozmawiały, pochylając ku sobie czarne, gładko uczesane główki. Koło artystycznie emaliowanych policzków drgały i jarzyły się ogromne butony. Damy z towarzystwa, napatrzwszy się na kokoty i nazłościwszy się do syta, skrzeczały i piszczwały z nową arogancją, co chwila wykrzykując:

- Okay! Indeed! Weil! Without doubt! I begyourpardon! AU right! Surely! - i inne pospolite w potocznej mowie angielskiej wyrazy, mające w tym wypadku świadczyć o dobrym tonie i europejskim wykształceniu.

Od strony morza rozległ się nagle krótki jazgot przeraźliwej syreny. Podpływał właśnie biały statek Queen Victoria, kursujący cztery razy dziennie pomiędzy Kantonem i Hongkongiem. Spłynął z niego tłum turystów angielskich. Białe hełmy, białe stroje, niby płatki śniegu, rozsypały się na ciemnozielonym ekranie gór, parku i trawników. Anglicy - sztywni i majestatyczni - przechadzali się przed herbaciarnią, zamieniając pomiędzy sobą krótkie zdania. Mieli znudzone, zblazowane, obojętne

miny. Przecież tyle już widzieli krajobrazów we własnym imperium, od Tamizy i źródeł Nilu, Gangesu i Hindu po rajską wyspę - Cejlon, Borneo, Nową Zelandię, Góry Skaliste, południową Australię, Gujanę, Bermudy, Jamajkę, Wyspy Salomona i jeszcze, i jeszcze, bez końca, aż opasawszy całą kulę ziemską, nie mogli już wykrzesać z siebie podziwu ani zachwytu. Widziane po tysiąc razy widoki, sceny i życie. Palili więc fajki i patrząc w ziemię, ciskali od niechcenia krótkie zdania o polityce, interesach, walorach statku, którym przyплыли tu z Wysp Brytyjskich, a nawet o brydżu. Za to ich ladies wykrzesaly z siebie więcej ciekawosci i zainteresowania. Wkraczały tłumnie do herbaciarni i restauracji i przez szkła okularów i face-a-main oglądały malowidła ściennie, meble, nakrycia stołów i wreszcie gości, bezceremonialnie wskazując na przedmioty i ludzi niedbałym ruchem ręki, jak gdyby stały przed gablotami muzealnymi albo przed klatkami ze zwierzętami w londyńskim zoo.

Do herbaciarni podtoczyła się ze zgrzytem drobnych kamieni olbrzymia hispano-suiza o jakimś zawitym herbie na drzwiczkach. Lokaj otworzył auto i zdejmując czapkę, patrzył na wychodzącą z wozu kruczowłosą i czarnooką damę w powiewnej białej sukni, plastycznie ujawniającej bujny biust i nogi, wysmukłe jak łodygi lotosów. Piękna, młoda kobieta w białym kapeluszu o szerokim rondzie i spadającej z niego lekkiej, białej frędzli, zwróciła na siebie powszechną uwagę. Na powitanie jej pośpieszył sam właściciel, maitre d'hôtel i cały zastęp kelnerów. Oczekiwano na nią zapewne, bo w łoży na werandzie przygotowany był dla niej stół, upiękuszony różowymi nenufarami, które pływały w opalizującej wazie kryształowej. Jeden z oficerów pobiegł do bufetu na zwiady i powróciwszy, oznajmił, że cudowne zjawisko jest córką portugalskiego gubernatora z Makao.

- Señorita po raz pierwszy przybyła na Daleki Wschód po skończeniu pensji w klasztorze - szeptał młody porucznik, z lekka pobrzękując ostrogami.

Wagin i oficerowie, obszedłszy park, zbliżali się właśnie do bramy, gdy koło nich śmignęła limuzyna portugalskiej seniority i wtoczyła się na asfaltowaną drogę. Rozparta na miękkich poduszkach, rozleniwiona i nudząca się panna niedbałym ruchem pudrowała sobie noski i pogardliwie ślizgała się wzrokiem po okolicy i przechodniach, unoszona przez potężną maszynę, połyskującą kryształami i niklem. Ledwie opadł obłok szarego kurzu, podniesionego pędem samochodu, gdy przy bramie rozległy się krzyki i zgrzytliwy, zły śmiech. Jeden z riksów, popychających wózki dwukołowe, chudy, siwy już, zwykły dwunogi koń dorożkarski, wydawszy głośny jęk, runął na ziemię. Drgnął kilka razy i zsiniał nagle, szeroko otworzywszy usta i oczy, które już szkliwem śmierci okrywać się poczęły. Gromada riksów otoczyła go, przyglądała się nieruchomemu towarzyszowi i dotykała jego zimnym potem okrytego czoła. Każdy z tych ludzi-koni inaczej na zjawisko śmierci reagował. Jedni mruczełi do siebie, że stary Ho-Lan odwalił kitę, że i tak niebywale długo kłusował po pagórkowatych okolicach, bo aż całe trzydzieści lat, chociaż zwykle serce rikszy pęka znacznie wcześniej; jakiś młody popychacz wózka opowiadał, że jeszcze dziś rano na placu Republiki nie dał mu się wyprzedzić zmarły przed chwilą kolega, bo jakiś biały, którego wioził, obiecał mu napiwek; inny znów, krzywiąc bezzębną gębę i plując po każdym słowie, charkotał:

- Biegał całe życie i wykopycił się w Fati! Też znalazł miejsce? Żeby oczy białych dżentelmenów widziały chińskie ścierwo.

Zgrzytnął zły śmiech i zjadliwe głosy:

- Ich tam nikt nie zadziwi! Słyszałem, że podczas swojej wojny takiego ścierwa całe góry nawalili!

Nie skończył, bo biało ubrani Anglicy i angielskie ladies i panienki wyszli właśnie poza bramę parku, aby rzucić okiem na malownicze zygzaki drogi, zbiegającej ku morzu. Ujrzeni gromadę riks i ich barwne wózki. Zaczęły pstrykać kodaki.

- Ściągnij z Ho-Lana portki i pokaż tej chudej babie, że on też miał nogi jak tyki! - zamruczał przez zęby jeden z Chińczyków.

Osiem dni czekał jeszcze Wagin na przybycie statków. Znużyło go i zdenerwowało bezczynne oczekiwanie. Codziennie przychodził do biura kapitana portu, pytając, czy Plymouth i Illinois nie sygnalizowały przybycia.

- Nie! - słyszał wciąż jedną i tę samą odpowiedź. Żadnych pocieszających wiadomości nie mogli mu zakomunikować urzędnicy w konsulatach angielskim i amerykańskim, raczej niepokojące otrzymał informacje, że na Pacyfiku, w pobliżu kontynentu azjatyckiego, już drugi dzień szalał i srożył się tajfun.

- Nic dziwnego, jeżeli statki przybędą z opóźnieniem kilkudniowym nawet! - uspokajali go flegmatyczni Anglicy.

Sergiusz, siedząc w hotelu i błąkając się samotnie po mieście, spostrzegł w sobie nową, zastanawiającą go zmianę. Mógł teraz, a może coś zmuszało go do tego, nie myśleć o Ludmile. Porównywał ten stan swój do uczucia człowieka, który lubiąc bardzo jakiś przedmiot, nie myśli o nim i nawet nie czuje potrzeby oglądania go, gdyż wie, że ma go zawsze przy sobie. Wyczuwał chwilami nasilenie tęsknoty, lecz już nie rozpaczał i nie miotał się. Wgryzło się bowiem w jego świadomość przekonanie, że nie w jego jest mocy przełamanie przeszkód, wyrosłych na drodze do połączenia się z Ludmiłą. Los zniewolił go do oczekiwania w milczeniu i beznadziejności. Kiedy się skończy i czy skończy się kiedykolwiek to bierne oczekiwanie? Jeszcze tak niedawno podobne pytanie wyprowadzało go z równowagi i stawiało na granicy szału, tymczasem teraz to straszne w swej treści a jałowe zagadnienie nie zjawiało się już w jego duszy, jeżeli zaś niekiedy przypominał sobie o nim - z jakąś niewytłumaczoną obojętnością tłumili te myśli.

- Zupełna rezygnacja? Bierność woli i pragnień, spowodowana ciężkim i niesprawiedliwym ciosem? - zastanawiał się Wagin, analizował sytuację, w której się znalazł, odtwarzał spotkania i rozmowy z Ludmiłą, zagłębiał się we własnych, niecodziennych przeżyciach i szukał w nich źródła następujących w nich zmian charakteru i nastroju. Za każdym razem po skrupulatnych rozważaniach, kiedy to jak górnik gmerający w kupie piasku, co przed chwilą został wydobyty z szybu, szuka, przebierając każde ziarnko, odłamka drogiego kamienia, Wagin docierał do zawsze jednakowego wniosku. Wydawał mu się niezmiernie kojącym i podsycającym nadzieję, chociaż ten dar Bóstwa, jak nikła iskra, przysypana szarym popiołem, ledwie się już w nim tliła, a lada przyczyna mogła ją zgasić na zawsze. W duszy samotnego człowieka, pozbawionego horyzontu dla nadziei, rozpoczął się zawity proces. Nie wpływały na niego rozmyślenia, tęsknota ani też nędzna i ślepa resztką nadziei. Działo tu coś innego, a szło to spoza duszy, z nieznanego źródła, niepoddającego się określeniu. Na razie nazwał je intuicją, lecz nie mógł znaleźć na to dowodów, tym bardziej że wyczuwał, iż w odbywającym się procesie on sam brał tylko bierny udział, więc jego właściwości duchowe nie mogły grać czynnej roli.

Działające na niego siły miały niezawodnie źródło mistyczne. Pojęcie to, podług jego zrozumienia, ogarniało wszelkie zjawiska, niepodlegające żadnej z istniejących miar przestrzeni, czasu i ciężenia i niepodpadające pod prawa logiki. - Można to tylko czuć i czując, rozumieć poza nawiasem

jakiegokolwiek formuły! - określił wreszcie interesujące go zjawisko i idąc tą drogą, wyczuł, że coś nowego gromadzi się i wzbiera dokoła niego i Ludmiły. Co właściwie - tego zgłębić nie umiał, ale jakiś głos wewnętrzny krzyżeć w nim począł o jakichś nieznanym mu, zachodzących już okolicznościach, które będą tak potężne, że zburzą i do rdzenia przekształcą wszystko, wszystko! Zdumienie go ogarnęło i niemal pogarda dla swej bierności, gdyż uświadomił sobie, że nawet takie wyczucie nie mogło zmusić go do nagłego wybuchu radości. Przeciwnie - cierpliwość jego i spokój spotęgowały się po stokroć.

Pewnego dnia dawne przeżycia jego i wspomnienia wdarty się do jego zamkniętego świata wewnętrznego. Przypadkowo wpadło mu do rąk kilka numerów szanchajskiego Szun-Pao, niemającego tu chętnych czytelników. Któż by bowiem czytał galaretowate artykuły współpracowników prezesa Liao-Kaj-Fana, truchlejącego na widok własnego cienia, i zwracał na nie uwagę tu - w Kantonie, zawsze buntowniczym i zuchwałym tak szalenie, że za czasów panowania surowych mandżurskich cesarzy na ulicach w piosenkach jurnego Ko-Miania tłum otwarcie wyśmiewał barbarzyńców Dao-Cynów, a w chwili dogodnej rzucił zarzewie rewolucji?! Tymczasem bezbarwny zawsze Szun-Pao wstrząsnął Waginem. Śród wiadomości o zamieszkach studenckich, o strajku kulisów, odmawiających wyładowania statków cudzoziemskich, o nowych żądaniach japońskich konsulów i generałów, domagających się cofnięcia wojsk chińskich od granicy mandżurskiej i z Dzeholu, o starciu zbrojnym straży japońskiej z sowieckimi łowcami wielorybów, o pożarze jaomynia w Czapei, Sergiusz znalazł artykuł pod niedowcipnym, płytkim i niestosownym tytułem: Do czasu dzban wodę nosi, czyli ponura i krwawa tragedia kochającego serca.

Reporter od sensacji (Sergiusz pamiętał tego bezczelnego, namolnego kretyna z monoklem w skośnym oku) opisywał dramatyczny wypadek w znanym w najbogatszych sferach pałacyku mlle Vera i miss Marth na Suczou Creek. Autor rozpisywał się szczegółowo o panujących w tym przybytku rozpusty i namiętności obyczajach i nareszcie po długich kolumnach sensacyjnych świństw, rozplynął się w melancholijnym westchnieniu: A jednak - pisał - nawet w takim bagnie wyuzdania i perwersji rozkwitł piękny kwiat gorejącej i czystej miłości!.

Z dalszego toku kabotyńskiej twórczości wynikało, że niejaki James Wells, młody inżynier, ceniony przez dyrekcję gazowni miejskiej, odwiedziwszy pewnego razu pałacyk dwóch zalotnic, upodobał sobie wybitnie piękną miss Marth, lecz spotkał się z jej zupełną obojętnością. Od tego czasu sympatyczny mr Wells wziął na kiel i stał się codziennym gościem na Creeku, obsypując przedmiot swej miłości podarkami i błagając piękną Messalinę o wzajemność. Wyrachowana i zimna - zwodziła rozkochanego w sobie adoratora, to dając mu nadzieję, to odpychając go cynicznie i okrutnie. Dramatyczna sytuacja musiała mieć fatalny epilog. Istotnie - nieszczęśliwy, zdruzgotany moralnie mr James Wells, przyszedłszy, jak zwykle do pałacyku, złożył u stóp pięknej dziewczyny kwiaty i etui z naszyjnikami z pereł, a potem spytał, czy może mieć nadzieję na pozyskanie jej względów. Otrzymałszy ironiczną odpowiedź, zrozpaczony inżynier strzelił do miss Marth, kładąc ją trupem na miejscu, po czym, złożywszy ciało zabitej na łóżku, otoczył je kwiatami i wpakował sobie kulę w usta. Śledztwo, prowadzone przez czcigodnego sędziego Curtis-Billforda, ustaliło, że zabita zrujnowała kilku już dżentelmenów z europejskich koncesji taktyką, stosowaną również do Wellsa; że sympatyczny i dzielny inżynier James Wells sprzeniewierzył około czterdziestu tysięcy dolarów, wydawszy je na pozyskanie uczucia miss Marth, i wreszcie, że z imieniem zabitej niewinnej nierządniczy łączą się nazwiska mlle Vera i niejakiego Grzegorza Lubicza, którego w swoim czasie trybunał szanchajski skazał na dożywotnie więzienie na jednej z dalekich wysp oceanicznych. Prawdziwą sensacją stało się



jednak ustalenie prawdziwego nazwiska ofiary morderstwa. Była ona córką słynnego w cesarskiej armii rosyjskiej generała Ostapowa, należącego do najbliższego otoczenia ostatniego cesarza Rosji - Mikołaja II. Na zakończenie artykułu autor opłakiwał śmierć młodego, zdolnego, wyjątkowo rasowego dżentelmena angielskiego i wyrażał przekonanie, że gdyby Wells sam sobie nie był wymierzył kary, sąd jego brytyjskiej mości wydałby zapewne łagodny wyrok, uwzględniając pochlebne o denacie referencje jego przełożonych oraz to, że zbrodnia dokonana została na niekorzystającej z dyplomatyczno-prawnej opieki emigrantce byłego Imperium Rosyjskiego.

- Kretyn i nikczemnik! - syknął Wagin, miętosząc i ciskając do kosza płachtę Szun-Pao.

Cały rój wspomnień, wichura odgłosów i ech, ukrytych od dawna w zakamarkach mózgu i tajnikach serca, otoczyły go. Marta Ostapowa. Rozmawiał z nią w jadalni, kiedy szukał dla siebie zastępcy w redakcji; wtedy Miczurin odmówił mu przejścia na służbę do kompradora i ucieszył się, posłyszawszy, że przyjaciel nie będzie mieszkał u pani Somowej, a przecież on postanowił porzucić Czapei, właśnie by nie stać się zawadą dla lejtenanta i przerwać nawiązujące się tajemnicze nici pomiędzy nim

samym a Ludmiłą. Takie to niedawne dzieje, a Sergiusz ma wrażenie, że to już lata upłynęły.

- Przedziwna to istota - człowiek! - przypomniały mu się słowa Plena. - Tak, bardzo dziwna, zdolna do szybkiego przenoszenia się z przeżywanego okresu czasu do zupełnie innego, bardzo odległego, bez mostów, rzuconych nad przebywaną wyrwą!

Przez kilka dni pamiętał o Marcie Ostapowej, która, zdawało mu się, nienawidziła go, choć najmniejszego ku temu nie dał powodu. Wreszcie, wykorzystując wiadomość o jej tragicznej śmierci, napisał do pani Somowej bardzo oględnie, bez szczegółów donosząc o tym, że grono emigrantów rosyjskich uszczupliło się o jedną jeszcze znajomą osobę. Przy tej sposobności donosił o swoim życiu, pracy i kłopotach, opisywał Kanton i prosił o wiadomości o obu paniach, dla których żywi zawsze te same, niezmiennie uczucia przyjaźni i oddania. Sam zaniósł list na pocztę i po drodze wstąpił do biura pewnej angielskiej kompanii okrętowej, gdzie dowiedział się wreszcie, że Plymouth zawita do portu w nocy. Ucieszyła go ta nowina.

Nazajutrz od rana Wagin pracował w kajucie kapitana Jimmy'ego Goatha, przeglądając faktury, sprawdzając rachunki i pertraktując z urzędnikami celnymi. W dobę później nadążył mocno przetrzepany przez tajfun Illinois, którego kapitan - smagły Kalifornijczyk - Roy Murdock od razu począł kląć na cały Kanton, zły na burzę, bo mu fale zniosły prawą fałszburkę, złamały maszt i zalały dynamo, wymagające teraz gruntownej naprawy.

- Powiadam wam, panowie - ryczał - że pierwszy raz w życiu (a pływam już dwudziesty trzeci roczek!) nie mogłem dać sobie rady z tym dmuchaniem! Ja robię pełny obrót koła szturwałowego, a tajfun - jak gdyby nic - i na milimetr nie popuści, znosząc prościutko na nord-east! Niechby ta diabelna dmuchawica potrwiała jeszcze dobę, to moja stara waliza Illinois jak wieloryb wwaliliby się na mielizny koreańskie! Niechże to poszarpią wszystkie zardzewiałe kotwice! Tłuc się z takim lekko fukającym ładunkiem, mając beczynny ster - it's the very dirty job!

Wysoki, cienki jak anemiczna palma, o oczach niby mlekiem nalanych, kapitan Jimmy Goath patrzył ironicznie na kolegę i gryząc bursztynowy cybuch fajki, cedził przez zęby:

- Podczas wojny wiozłem żołnierzy hinduskich do Flandrii i złapał mnie huragan za Lakkadiwami. Potrzepał nas wtedy Ocean Indyjski! Fale zmyły mi pięciu ludzi z załogi i trzydziestu strzelców essekskich rekiny pędziły za nami potem aż do Perimu, wciąż spodziewając się, widać, nowej wyżerki, Kapitanowie okazali się ludźmi dzielnymi i doświadczonymi. Załoga pod ich kierownictwem pracowała szybko i sprawnie. Na trzeci dzień wyciągnięto spod pokładów ostatnie skrzynie, lecz odpłynąć statki nie mogły, gdyż zaszła zwłoka z kontrolą wojskową. Goath, by wykorzystać ten czas, zarządził malowanie kadłuba Plymouthu, a czarny Murdock naprawiał swoje dynamo.

Razem z kapitanami Wagin zwiedził największą niewątpliwie osobliwość chińskiego Paryża - pływające miasto. Rzeka Czu-Kiang wpada do zatoki kantoriskiej, płynąc niezliczonymi korytami przez szeroką deltę, jeszcze bardziej pociętą licznymi kanałami, łączącymi poszczególne łożyska rzeki. Właśnie tu - w rozwidleniach rzeki w niepamiętnych czasach powstało pływające miasto, zaludnione przez trzysta tysięcy nie wiadomo skąd ciągle tu przybywających mieszkańców - różnojęzycznych, różnowierczych i róż- naplemiennych. Istna wieża Babel, gdyby nie swoisty żargon Rzeki Pereł, który ułatwia porozumienie się między sobą tego zbiorowiska ludzkiego prawdziwym chińskim esperanto, dającym się słyszeć niekiedy nawet w Tientsinie, Szanchaju i w Fuczou, bo i tam dociera przedsiębiorczy, niemający nic do stracenia obywatel cudacznego miasta. Wszystko w nim jest własne i odrębne, a bardziej tradycyjne niż gdziekolwiek, bo stare obyczaje stały się podstawą samego istnienia tych setek tysięcy ludzi wodnych. Mają oni swoich, nigdzie więcej niespotykanych i nieczczonych bogów i duchów. Legendy czukiańskie opiewają miejscowych bohaterów, a ich najślawniejszy heros - drapieźny i okrutny pirat Koksing - co miał własne państwo na wyspie Hainan, ciężką stopą nadepnął niegdyś na całe imperium, gdyż rozzuchwalony sięgnął niemal po koronę Synów Nieba, zagarnął kraj aż do Jangcy, długo odpierając w Nankingu szturm wojsk mandarynów, wiernych cesarzowi. Do pływającego miasta nie wdarta się jeszcze cywilizacja europejska z wyjątkiem broni współczesnej, toteż obyczaje przetrwały tu w pierwotnej swojej formie. Potworzyły się kasty, niełączące się ze sobą w drodze małżeństw mieszanych. Coś niecoś mają tu jeszcze do roboty bonzowie - słudzy i czciciele nieznanymi, fantastycznymi bóstw, czarownicy - wróżbici i znachorzy, leczący proszkami z oczu żmij, wątroby rekina, serca tygrysa i żółci jakiejś tajemniczej ryby, trzymającej się mulistych zatoczek i ślepych odnóg rzecznych. Istnieje tu plebs, a nad wszystkim góruje arystokracja. Plebs, pariasi to ci, co wywożą na krypcach nieczystości miejskie i wrzucają je koło Sa-so-lin do morza; klasa średnia to rybacy, flisacy i wyrobnicy; arystokraci prawdziwi, książęta feudalni to piraci, mocne, liczne społeczeństwo zuchwałych drapieźców, nieuchwytnych i przedsiębiorczych do szaleństwa. Wszystkie ich tradycje, prawo i ustroj wciągnęły od dawna do ryzykownego procederu i społy w jednolitą całość kobiety i dzieci nawet, co pozwoliło im władzę swoją narzucić innym ludziom wodnym - od Hainanu i Kowloonu do najdalszych osiedli, przeglądających się w mętym prądzie Rzeki Pereł i jej dopływów. Rząd i władze miejscowe nie ośmielają się i nie dążą do ujarzżenia pirackiego bractwa, bo nie żywią nadziei na udaną wyprawę, a najważniejsze, że mają tu kadry w każdej chwili dnia i nocy gotowych i chętnych do wojny ludzi, odważnych i po swojemu dyscyplinowanych, to znaczy, że, zdradzając rząd lub innego najemcę, zdradzają wszyscy naraz, całą gromadą i sprawa od razu staje się jasną. Bogate firmy płaciły im haracz, zabezpieczając się w ten sposób od napadów; konsulaty problematycznie bardzo i ostrożnie ujmowały się za swoich obywateli, uszkodzonych przez bandytów wodnych; policja posługiwała się nimi do wytropienia, schwytania jakiegoś samorzutnego i luzem chadzającego zbrodniarza; słowem - z biegiem długiego czasu kasta piratów została uznana za niezbędną i naturalną część ludności bogatej prowincji Kwantung i jej wspaniałego wykwit - Kantonu. Tajemnice i ponure

zbrodnie chińskiej dzielnicy Frisco - źródło natchnienia sensacyjnych romanistów i fabrykantów filmów - zostały importowane przez Pacyfik do kraju Waszyngtona i Lincolna przez emigrantów, którzy porzucili swoje niedostępne kryjówki w labiryncie delty kantońskiej i skalistych brzegów zatoki, skąd ich jastrzębie źrenice widzą dumny Hongkong, barwne Makao i wszystko, co wznosi się ponad poziom oceanu i co bruździ i tnie jego bezkresne rozlewisko.

Kapitan Goath, który kilka lat bez przerwy uprawiał mały kabotaż w morzach chińskich i znał tam każdy zakątek, pewnej niedzieli po śniadaniu zaprosił Wagina i Roya Murdocka na przejażdżkę do pływającego miasta. Pożyczywszy od znajomego armatora łódź motorową - starą, rozklekotaną dziezę, okrutnie strzelającą, bo motor nie spalał całej benzyny, ale bądź co bądź poruszającą się na wodzie, czekali na brzegu, aż stróż przystaniowy zetrze kurz z ławek.

- Niedaleko zanieś nas ta motorówka! - zaśmiał się Murdock, gdy siedzieli już w łodzi, a mechanik i sternik w jednej osobie pocił się nad puszczeniem w ruch maszyny.

- Akurat dobra dla takiej podróży - odpowiedział Anglik, pykając fajkę - przynajmniej nie podniesie dużej fali i nie rozkołyszże pływających bud. Nie będą nas kląć paskudnie ich mieszkańcy, a to w podobnej wyprawie niepozbowione jest pewnego znaczenia.

Popłynęli wreszcie i z głównego koryta, na dany przez Goatha znak, sternik skręcił w boczną jego odnogę. Wkrótce łódź przybiła do burty dość dużej, czarnej krypy.

- Hej, jest tam jeszcze który z Dzianiów?! - zawołał Anglik.

Przez kwadratowy otwór w drewnianym poszyciu barki wyrzała opalona twarz Chińczyka z blizną, biegnącą przez czoło i krogulczy nos.

- Czy jest w domu stary Dziań? Powiedźcie mu, że Jimmy Goath chce go odwiedzić!

Na pokład wybiegł ten sam Chińczyk z blizną, a za nim trzech również rosyłych i zwinnych ludzi, kilka kobiet i cały tłum dzieciaków, ponuro przyglądających się przybyszom.

Jeden z Chińczyków, przyjrawszy się gościom uważnie, uśmiechnął się przyjaźnie i krzyknął:

- How do you do, captain Goath?! Dawno nie widzieliśmy pana w naszych stronach!

- Jak się macie? — odpowiedział kapitan. — Tłukę się teraz innym kursem - z Singapuru na Jawę i Borneo, a stamtąd do Australii. Ale nie widzę waszego starego?

Chińczyk machnął ręką i mruknął:

- Trzy lata temu zmarło się ojcu.

- Patrzcie no go?! - zdumiał się Goath. - Taki był jeszcze krzepki.

- Bo i był! - zgodził się syn. - Ale w zatoce wynikła pewnej nocy jakaś strzelanina, gdy ojciec zastawiał sieć na kraby. Zbłąkana kula utkwiała mu w gardle, a nasz stary nie mógł jej przełknąć i musieliśmy oddać go bogom morza.

- Ach, to tak było! - kiwnął głową kapitan i zwrócił się z prośbą, żeby młody Dziań dał mu przewodnika po mieście.

- Sam z wami popłynę - zaproponował chętnie Chińczyk i jednym skokiem był już na dziobie łodzi.

Kapitan wdał się z nim w rozmowę, której Sergiusz ani Murdock nie mogli słyszeć, bo motorówka turkotała ogłuszająco. Przyglądając się Chińczykowi, Wagin zrozumiał, po co Goath zaprosił go na przewodnika. Od czasu do czasu, gdy łódź przeciskała się pomiędzy zbiorowiskiem małych i dużych kryp, łodzi, starych, osadzonych na mieliźnie dżonek o wysoko wzniesionych dziobach i rufach, czółenek, zwykłych dłubanek i do kadzi podobnych podjazddek, człowiek z blizną robił nieznaczne prawie ruchy ręką, głową lub oczami tylko, a wtedy ukryta gdzieś ludność wysypywała się na pokład i brzeg i spokojnie śledziła przepływającą motorówkę, z sapaniem, zgrzytem i wybuchami gazu wolno sunącą przeciwko prądowi.

Wagin przyglądał się wszystkiemu, co się działo na rzece i jej obu brzegach. Na kotwicach lub przywiązane na linach do pali kołysały się większe i mniejsze krypy i tratwy. Stały na nich domki, sklecone z bambusów i oblepione mułem dennym, a pokryte trzciniowymi strzechami.

Płaskie to były strzechy, przesycone grubą warstwą czarnej, rodnej ziemi. Pracowici i pomysłowi ludzie urządzili na niej pola i ogrody warzywne. Kłosiło się tam proso, zieleniły się soja, kapusta, rzodkiew i marchew; na tratwach, obciążonych kamieniami i zalanych wodą, malachitową zielenią odbijały się w mętnej wodzie poletka ryżowe. Na pokładach dymiły się piecyki żelazne; kobiety warzyły na nich strawę lub rozgrzewały smołę do malowania zmuszających desek burtowych; na przeciągniętych sznurach suszyły się ryby i kraby; całe grupy ludzi wiązały sieci, plotły z prętów i bambusowych pasm więcierze, koszyki i kobiałki; warczały i turkotały kołowrotki, rozwijając jedwabne i jutowe nici; ziały straszliwym smrodem wystawione na słońce skóry ryb, psów i baranów. Głównym korytem rzeki spływały z prądem niskie, płaskie barki, dowożące do portu wszystko, co rodziła ziemia kwantuńska: jedwab, trzcinę cukrową, indygo, ryż, herbatę, tytoń, sól, oleje roślinne, bambusy, liście palmowe na wachlarze, skóry panter, owoce i jarzyny. Wszystko to musiało się dostać na rynek kantoński lub do wnętrza dżonek kupieckich - jaskrawo pomalowanych, ozdobionych rzeźbami na grzebieniastych dziobach i trzypiętrowych rufach, skąd chińscy bosmani mogli widzieć dokładnie pracę majtków przy pofałdowanych żółtych, czerwonych i czarnych żaglach. To dżonki, niby widma dawno przebrzmiałych stuleci, ślizgały się po falach mórz, docierając aż do Korei na północy, a Jawy - na południu i walcząc z tajfunami. Szyprowie nie obawiali się żółtego demona oceanu, bo przecież na ostrych topach masztów połyskiwały mosiężne kulki z zakłęciami, a na końcach rej, igrając z bryzą, warczały papierowe smoki - sprzymierzeńcy śmiałych żeglarzy. Na brzegach, wśród chaszczy krzaków i trzciny, ciągnęły się niskie ziemianki i szopy z prętów bambusowych - wioski rybaków, kowali, tkaczy i innych rzemieślników, barłogi kulisów i czyścicieli miasta; tam też pod jakimś samotnym drzewem stały murowane kapliczki, a przy nich - ubogi szałas bonzy, co chwila bijącego w gong; w jaskiniach, wrytych w urwistych brzegach, gnieździło się zebrzące bractwo i ci, którzy nawet w tym mieście nosili pogardliwą nazwę - nic. Nie należeli bowiem do żadnego społeczeństwa, pozostawali poza prawem, nie mieli własnej organizacji, żyli nie wiadomo jak, zapewne po trochu z kradzieży, po trochu na wzór mieszkańców ponurych miast mężczyzn, jednak o tyle gorzej, że nie rządził nimi i nie bronił ich niewidzialny i nieznanany Wielki On. Ciężkie i tragiczne zapewne było to życie, bo Wagin kilka razy wzdrygał się, gdy wzrok jego padał na kołyszące się przy burcie łodzi rozpuchnięte kadłuby topielców z odpadającą skórą i oczami, wydziobanymi przez rybitwy i jastrzębie. Nadpłynęły nagle zupełnie obce dla przeżywanej chwili wspomnienia wzrokowe. Białe stroje Angielek z kodakami w ręku i rozparta w aucie z herbami na drzwiczkach młoda seniorita portugalska, pudrująca sobie oliwkową piękną twarz.

Gdy motorówka wpływała do bocznych rozwidleń rzecznych, na łodziach i krypach powstawał popłoch. Jacyś ludzie wskakiwali do czółen i wiosłując pośpiesznie, znikali za ścianą trzciny lub w wąskich kanałach, przecinających bagnistą deltę, podzieloną na tysiące kwadratów pól ryżowych. Jęczały tam białe i szare rybitwy, przechadzały się żurawie i czaple, beczały i piszczały kuliki i kumkały żaby. Pluskała ryba, przedzierając się przez pędy grążeli i zarosłe sitowia. Tam - w labiryncie rowów i kanałów, w matecznikach trzęsawisk i dżungli krzaczastej kryli się ludzie, co nocą tylko, jak kuna i lampart, wychodzili na żerowisko, tajemniczy i drapieżni.

Na Czu-Kiangu motorówka rozminęła się z barwną krypą o wysokich burtach i wymyślnej nadbudówce nad pokładem. Zdobyły ją powyginane, grzebieniaste, upstrzone emalią i porcelaną starochińskie dachy i piękne latarnie. Przez rozsunięte szerokie okna z różnobarwnych szkielec Wagin dojrzał chińskich i europejskich dżentelmenów, pijących wino i whisky, które dolewały im wystrojone dziewczyny w kolorowych, lekkich i powiewnych szatach. Na małej estradce kilka tancerek przy dźwiękach monotonna instrumentów wykonywało jakąś, sądząc z ruchów i póz, erotyczną pantomimę.

- Co to jest? - spytał Murdock kapitana Goatha, a nozdrza rozdęły mu się chciwie.

- Weil!- krzyknął Anglik z dziobu. -Jest to pływający pałac rozkoszy! Można to też określić inaczej, ale chińska nazwa jest bez porównania piękniejsza! Ta krypa porusza się motorem i ma nawet swoje dynamo. Drogo kosztuje taka przejażdżka z Kantonu w górę rzeki do wąwozu Laomyj i z powrotem! Niedawno jeszcze te pałace były gratką dla piratów. Wpadali po nocach i grabili do cna podpitych pasażerów, oszołomionych opium i rozanielonych od pieśczęt namiętnych dziewcząt. Niejeden też z nich dał nura na zawsze do mętnego warty. Teraz kompania, eksploatująca pałace rozkoszy, przyjęła piratów na udziałowców i wypłaca im dwanaście procent od zysku, mając na burcie dwóch kontrolerów -jednego swego, a drugiego ze strony udziałowców. Cha, cha, cha! Czyż źle mówię, Dziań?

Chińczyk z bliźną, przyglądający się bacznie płynącej powoli ozdobnej krypie, posłyszawszy pytanie, obejrzał się i uśmiechając się chytrze, odpowiedział po angielsku:

- Wszystko w porządku, panie! Tak przecież lepiej, no nie?

Motorówka zawróciła i z biegiem rzeki ruszyła w powrotną drogę.

Słońce zapadać już zaczynało za dalekimi górami. Od morza powiało świeżą bryzą. Wysadziwszy po drodze Chińczyka, sternik wypłynął wkrótce do zatoki.

Przy cuchnącym brzegu rybackiego portu nie zdążono jeszcze spuścić kolorowych żagli na kutrach łowieckich. Ludzie wynosili z łodzi kosze z rybami i ogromne, do potwornych pajaków podobne kraby. Drobnymi handlarze, targując się i kłócąc, licytowali plon wieczornego połowu. Od strony miasta dobiegał pogwar jego zgietkliwy, z tysięcy niezgodnych dźwięków złożony, gorączkowy i jak gdyby trwożny. Ryczała i zawodziła syrena parowca francuskiego, już zrzucającego ostatnie cumy, trzymające go przy kamiennym molo. Przy wejściu do zatoki, na tle nieba kreślił się wyraźnie trzema kominami zielono-szary krążownik japoński, a z otwartego oceanu, pozostawiając za sobą czarne smugi dymu i niosąc na ostrym dziobie pienną falę, pochylony na prawą burtę, pędził ku niemu konwojujący go torpedowiec. Długie szyje armat, jak gdyby z drapieżną ciekawością, prężyły się w stronę miasta. Orkiestra na Fati grała melancholijnie namiętne tango. Jakieś towarzystwo

europęjskie, siedząc na pokładzie białęgo jachtu, śpiewało półgłosem przy dźwiękach bandžo i mandolin. Pojękiwały mewy, a morze oddychało cicho i wonnie. Nad zatokę z okolicznych gór przyględały się wszystkimu milczące, groźne działa fortów.

Wagin powrócił do hotelu dopiero po kolacji. Pożęgnawszy w kilka dni później Goatha i czarnęgo Murdocka, zatelefonował do Ti-Fong-Taja, prosząc o dalsze rozkazy. Komprador polecił mu pozostać w Kantonie, gdyż skierowano tam kilka jeszcze statków z materiałem wojennym. Długę, jednostajną czeredę wlec się poczęły tygodnie nudów, beczynu i ciszy, to znów następowały dni wytężonej pracy, ciągłych narad i nieprzewidzianych kłopotów. Tęsknota i myśl o Ludmile nigdy nie opuszczały Wagina. Stały się one niezbędne do życia i gdyby tu, w Kantonie, znikły od razu, czuł, że byłoby to początkiem konania. Na święta Bożęgo Narodzenia dopiero nadszedł list od Ludmiły. Oznajmiała na wstępie, że jest to już drugi jej list, gdyż na pierwszy, wysłany do biura kompradora, odpowiedzi nie otrzymała. Zaginał widocznie lub też adresat wyjechał z Kantonu - takie wyrażała domysły. Z listu jej Wagin dowiedział się, że powróciła już z matką do Szanchaju, że w sanatorium spędziła czas z korzyścią dla zdrowia i czuje się prawie tak silną jak wtedy, gdy spotkał ją na Bundzie, kiedy to pędzili razem, jak biegacze olimpijscy, do dworca kolejowego, a stamtąd znów aż hen - na Bubbling Weil. Pisała, że od nowego roku zacznie znów pracować u swoich Amerykanów i że matka wynajęła pokój pannie Szmidt - nauczycielce, która mieszkała niegdys u Ostapowych. Wiele innych nowin komunikowała mu Ludmiła, a z nich Sergiusz mógł sądzić, jak szybko topniała kolonia emigrancka. Ludzie bądź umierali, bądź staczali się na dno upadku i znikali na zawsze, bądź też, jak Ableuchow, wyjeżdżali, odnalazłszy zagranicę kogokolwiek z krewnych, który zgodził się przyjąć biedaków i zaopiekować się nimi. Dowiedział się też Sergiusz, że ci emigranci, którzy przetrwali już najcięższy okres, powoli dźwigali się z nędzy i krok po kroku wywalczali sobie miejsce w społeczeństwie. Arystokratyczne i wykształcone panie, umięjące tylko haftować niepotrzebne nikomu rzeczy, paplać po francusku i płakać o minionych, pięknych dniach Aranjuezu, zabrały się do zwykłej, mieszczkańskiej, rzetelnej roboty. Powstały praczkarnie, salony mód, pracownie bielizny i piekarnie. Mężczyźni wzięli się do rzemiosł i zakładania małych sklepów i warsztatów. Pojawiły się kadry zrzeszonych szoferów, kelnerów, uczestników orkiestr i chórów, sanitariuszów, komisjonerów i służby hotelowej. Wagin, myśląc o tych ludziach, był już przekonany, że ta część emigrantów o własnych siłach pazurami i kłami wyrwie okrutnemu Szanchajowi prawo do istnienia, a nawet dobrobytu. Ludmiła nie zapomnięła opisać życia Plena, chociaż nie mogła donieść nic pocieszającego, gdyż, jak zaznaczała, doktor wygląda mizernie, chwilami staje się nieprzytomny i - najprawdopodobniej - nadużywa opium. Prosiła Sergiusza, aby napisał i zburczał Plena, który mówiąc o nim, ożywia się zawsze i uśmiecha radośnie. Po tych nowinach załączała ukłony od matki, Plena, doktora Downporta, nawet od miss Dittl, bo stara panna mile go sobie wspomina, i wreszcie od Jun-cho-sana. Podpis brzmiał: Szczerze przyjazna Ludmiła, a na marginesie ostatniej stronicy widniał dopisek, jak gdyby inną, zdenerwowaną rękę w pośpiechu rzucony: Zamówiłyśmy nabożeństwo żałobne za duszę świętej pamięci naszego wspólnęgo przyjacięla - Miczurina. Modliłam się goręco za niego i za nas wszystkich, wszystkich! W dymie kadzideł i w mroku nawy pragnęłam ujrzeć drogiego nieboszczyka, lecz próżne były moje wysiłki. Od pewnego czasu nie mogę go ujrzeć, a nawet - wstyd mi się przyznać do tego - z trudem przychodzi mi odtworzenie jego postaci w pamięci i wyobraźni!

I tylko tyle, a przecięż tak wiele i właśnie to, co było najistotniejsze! Przecięż i on stracił już zdolność do wyraźnych wspomnień o Miczurinie i modlił się za jego duszę jak za coś bardzo dalekiego w przestrzeni i czasie. Oznaczałoby to, że zmarły przyjaciel odszedł od nich i nie żęda już dłużej dobrowolnie składanej mu przez nich ofiary? Należałoby spokojnie i jak najgłębiej roztrząsnąć to

ważne zagadnienie ich życia i przyszłości, przemyśleć wszystko razem z Ludmiłą, szczerze patrząc sobie w oczy i nie wywierając na siebie żadnego nacisku. Tak! Jest to niezbędne i wnet po powrocie do Szanchaju postara się o taką rozmowę sam na sam. Sergiusz kilka razy przeczytał dopisek Ludmiły, znał go już na pamięć i powtarzał w duchu, jak gdyby modlitwę. Wielka jasność - ciepła i łagodna - zaległa w sercu jego i w duszy. Promieniami jej przesiąkły zdawało się wszystkie żyły jego, mózg i każda kropla krwi. Cały świat wydawał mu się skąpanym w dobrotliwej światłości, kojącej niepokoje i troski, a sączącej z swej głębi nadzieję, że wszystko, co jest nędzne, brzydkie, żałosne i straszne, przeminie, gdyż chwilą nieuchwytnie krótką jest szczęście i nieszczęście, życie i śmierć, nadzieja i rozpacz. W momencie tym Wagin, sam tego nie wiedząc, zajrzał w zawrotną przepaść nieskończoności i zobaczył kolejność planów istnienia - od chwili obecnej aż... Krew odpłynęła mu od mózgu i serce ścisnęło się gwałtownie, gdyż wiedział już, że jeszcze jeden wysiłek jasnowiedzenia i stanie w obliczu Najwyższej Potęgi, rządzącej światem. Nie był w stanie wyobrazić sobie, co zasłoby wtedy, zresztą inne wrażenia opanowały jego myśl i uczucia. Wrażenia te sprawiły mu tak głęboką i wstrząsającą całą jego istotą radość, że nie spostrzegając tego, zapłakał. Wszystko, co widział nieznanym sobie wzrokiem, znikło. Pozostała tylko pewność, że na stopniach okiem nieogarniętych schodów wieczności widział siebie i Ludmiłą i nikogo więcej. Stanowili monadę, wspólny kosmos, dążący przez ocean nieskończoności ku celowi, który krył się przed wzrokiem jego duszy na promiennym szczycie tych olbrzymich schodów, gdzie każdy stopień był epoką, erą nawet, wciąż dalszą i wyższą, jaśniejszą i wspanialszą. Zjawiła się w nim pewność, że istota ludzka, ten wytwór kosmicznego tworzywa w rękach Wielkiego Sternika, przełamuje w swej duszy nieskończoność w jednej tylko płaszczyźnie i jak gdyby polaryzuje ją, wytykając w ten sposób nieistniejące, urojone granice, a więc i pojęcie czasu z tym wszystkim, co się z nim wiąże - epokami, stuleciami, okresem życiowym jednostki i widmem śmierci jako przejścia na wyższy stopień innego już istnienia.

Ogarnięty przeżyтыми wrażeniami, żył teraz, myślał i czuł inaczej, bo wszystko wypełniło się i uszlachetniło inną treścią i odmienną celowością. W takim nastroju odpisał Ludmile w tonie przyjaznym i spokojnym, lecz w ton ten podświadomie włożył przeświadczenie nierozzerwalnych już więzów, łączących ich oboje nie na tej tylko planecie, gdzie lada fałszywy prorok mógł zgasić życie kochanej istoty, a najszlachetniejszy przyjaciel, jakim był Michał Miczurin, przez swoją śmierć - oderwać ich od siebie, ale i tam, tam, gdzie, skrząc się milionami blasków, widniały, tonąc w nieskończoności, gigantyczne stopnie. Drugi list wysłał do Plena. Wagin prosił go, aby oszczędzał zdrowie swoje i życie, potrzebne oddanym mu przyjaciołom, i opisywał szczegółowo Kanton i swoją w nim pracę, namawiając doktora do odwiedzenia pań Somowych i odczytania im jego listu. Tą prośbą chciał wyrwać Plena z jego otoczenia i nastroju, wierząc, że Ludmiła i pani Somowa obudzą w nim chęć do życia i wstrząsną jego słabnącą już wolą.

Coraz to nowe przybywały do Kantonu statki, skierowywane przez Ti-Fong-Taja. Wagin miał dużo kłopotu z nimi i pracy. Pewnej nocy przyjechał rowerem do mieszkania Sergiusza posłaniec z telegrafu i oznajmił, że Szanchaj wzywa go natychmiast do telefonu. Wagin, zamknąwszy się w kabinie, miał długą rozmowę z kompradorem. Stary Chińczyk uprzedzał go o możliwości buntu wśród załogi kantoriskiej i żądał, aby trzy parowce, zbliżające się do Kantonu, nie zawijając do portu, płynęły do Fuczou! Po załatwieniu spraw, związanych z transportem, Sergiusz miał powrócić do Szanchaju. Waginowi tej samej nocy udało się połączyć telegrafem bez drutu z kapitanami płynących z bronią statków i skierować je do bezpiecznego portu. Spędziwszy jeszcze dwa dni w Kantonie, wyjechał do Fuczou. Była już połowa marca, gdy statek mijał Hainan, z daleka, od strony fortów dobiegły go

odgłosy strzałów armatnich. W chińskim Paryżu wybuchnął bunt pułku, wrogiego rządowi nankińskiemu, zdobywającemu sobie coraz większą ilość stronników na prowincji.

Na początku kwietnia dopiero Wagin miał możliwość wsiąść na jakiś statek angielski i odpłynąć do Szanchaju. Nazajutrz, gdy byli na pełnym morzu, radiotelegrafista przyjął depeszę, nadaną przez kapitanat angielski na Wusungu. Telegram ten brzmiał zatrważająco: Rozkazuję zawinąć do Hanczou - stop - w Szanchaju rozruchy - stop - możliwy sekwestr - stop - wszystkie statki angielskie mają unikać spotkania z torpedowcami japońskimi.

Wiadomość ta zaniepokoiła Sergiusza. Wiedział, jaki obrót mogłyby być wziąć rozruchy, wynikające w Czapei, gdzie zgromadziły się setki tysięcy ludzi zrozpaczonych, głodnych i nienawidzących. Na myśl o tym ogarnęło go przerażenie. W Hanczou wsiadł do pociągu, odchodzącego do Szanchaju. Na stacjach do wagonu wchodziłi policjanci i patrole wojskowe, kontrolujący dokumenty pasażerów. Większość jadącej publiczności została zatrzymana na różnych stacjach, wreszcie o jakie dziesięć kilometrów od Szanchaju pociąg stanął i konduktor oświadczył, że ruch kolejowy został wstrzymany. Na przystanku, gdzie się zebrał duży tłum okolicznych mieszkańców i uciekinierów z Szanchaju, kursowały trwożne i sprzeczne wieści. Wreszcie Wagin ujrzał kilka samochodów, pędzących szosą. Wybiegł naprzeciwko i zatrzymał jeden z nich. Jechała w nim rodzina kupca włoskiego. Jakaś przerażona i rozczochrana dama opowiedziała, że zaczęło się od napadu studentów na patrol japoński, a gdy żołnierze zrobili użytek z broni, spoza murów Czapei wyplusnęła fala najstraszniejszych typów i rozpoczęły się grabieże i akty gwałtu nawet w dzielnicach koncesyjnych.

- Na Nanking Road i Bundzie kulisi i żebracy powybijali kamieniami wszystkie szyby! - krzyczała nieprzytomnym głosem opasła Włoszka. - Tłum wdarł się do hallu rady miejskiej i zdemolował go! Japończycy zamierzają bombardować Czapei. Na ulicach patrole angielskiej i francuskiej policji!

Wagin nie słuchał już. Ze ściśniętym sercem biegł szosą, zdążając do miasta. Spotykał coraz więcej samochodów, spieszących ukryć się w Hanczou i innych spokojnych tymczasem miasteczkach. W tym samym kierunku ciągnęły tłumy Chińczyków, uchodzących z zagrożonego Szanchaju.

Biegnącego Sergiusza zatrzymywano i krzyczano mu:

- Miasto otoczono wojskiem! Nikogo tam nie wpuszczają! Na ulicach gwizdzą kule! W nocy będą się tam działy straszne rzeczy! Na Huangpu stanęły właśnie kontrtorpedowce japońskie. Konsulowie posłali gubernatorowi ultimatum.

Wagin, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia, biegł dalej. Około godziny szóstej zbliżył się już do miasta od strony dworca kolejowego. Nic mu jednak nie pomogły dokumenty, wydane przez rząd nankiński. Nie pozwolono mu wejść do miasta.

- Ogłoszono stan wyjątkowy - objaśniał go jakiś wyższy urzędnik policji chińskiej. - Załoga jest w ostrym pogotowiu. Przepustki wydaje tylko gubernator.

Nie wdając się z nim w dalsze rozmowy, Wagin pobiegł wzdłuż plantu dalej. Okrążył całe miasto i od strony cmentarza usiłował przeniknąć do Szanchaju, słysząc trajkotanie kulomiotów i rzadkie, basowe strzały armatnie. Nie spostrzegłszy z tej strony posterunków, bocznymi uliczkami koncesji francuskiej doszedł wkrótce do murów Czapei. Biegł teraz ku zamiejskim ogrodom z zamiarem wejścia do chińskiej dzielnicy przez południową bramę. Zatrzymał go jednak patrol, czuwający nad tą częścią



miasta. Stał tu pluton z karabinem maszynowym. Zrozpaczony Wagin zmuszony był zawrócić do miasta. Wygrał tylko tyle, że bądź co bądź był już w Szanchaju, poza linią blokady. Pędził więc co tchu do swego biura, w nadziei, że ustosunkowany Ti-Fong-Taj wyrobi mu przepustkę od gubernatora. Przekonał się wkrótce, że ruch po opustoszałych ulicach nie był wcale rzeczą łatwą i bezpieczną. Na każdym rogu zatrzymywały go posterunki żołnierzy angielskich i francuskich, wypytywały o nazwisko i adres. Raz po raz jakiś sierżant rzucał przez zęby:

Nie czas na przechadzki! Dobrze jeszcze, że uciszyło się nieco, inaczej na pewno dostałby pan kulę, bo od rana gorąco tu było! Nie wiadomo jeszcze, co noc przyniesie. Z wielkimi trudnościami, stosując różne wybiegi, dotarł w końcu do Nanking Road i wreszcie przedostał się do domu, w którym mieściło się biuro kompradora. Nikogo, oprócz boja, zamiatającego lokal, nie zastał. Sługa opowiedział mu, że Ti-Fong-Taj przedwczoraj jeszcze wyjechał nagle do Nankingu, a w czasie jego nieobecności przybyli do biura oficerowie japońscy i mieli długą i burzliwą rozmowę z pułkownikiem Wali-chanem. Dziś, po strzelaninie w mieście i napadach złych ludzi na przechodniów i sklepy, personel biura nie stawiał się do pracy.

- Boją się - usprawiedliwiał ich Chińczyk, uśmiechając się tajemniczo - bo wesoło wczoraj było w Szanchaju, ale i dziś będzie wesoło! Ruszyli już do miasta kulisi z Wusungu i ludzie z dżonek na kanałach. Jeden batalion przeszedł na stronę buntowników. Jutro, a może dziś w nocy rozpocznie się napad na japońską koncesję.

Wagin wbiegł po schodach do swego mieszkania, naprędce się umył, chmurząc czoło i coś obmyślając. Czuł, że wszystko, co robi, jest tylko częściowo potrzebne do ważnych czynów. Jakże one być mają - nad tym się nie zastanawiał. O niczym, poza tym, że musi dojść do Czapei, nie myślał. Tam dopiero i tylko tam wszystko się wyjaśni na zawsze i ostatecznie.

Do Czapei, do Czapei! - krzyczało coś w jego duszy, zmuszając do pośpiechu.

Jednocześnie działał rozsądek - działał z niezwykłym spokojem i dokładnością. Po chwili Wagin znowu zadzwonił do biura, a gdy boj otworzył mu drzwi, zaczął przeglądać koperty papierów, dostarczonych z poczty. Cały stos ich leżał na stole sekretarza, który dnia tego nie urzędował. Przerzucał kopertę po kopercie i nagle błysnęły mu oczy. Na jednej z nich ujrzał drukowany napis chiński i pod nim angielski: Ministerstwo Wojny. Właśnie tego szukał. Schowawszy kopertę do kieszeni tużurka i sprawdzwszy, czy ma przy sobie wszystkie urzędowe poświadczenia, zbiegł do sieni.

## XI. NA PRZECIWLEGLYM BRZEGU KANAŁU

Pierwszy napad chińskiej czerni nie udał się zupełnie. Dowodzone przez studentów i jakieś młode, uzbrojone w rewolwery kobiety w europejskich strojach, tłumy kulisów, bezrobotnych, umierających z głodu wieśniaków, bandytów, przemytników i piratów, ukrytych w im tylko znanych barłogach i czyhających na zdarzającą się od czasu do czasu sposobność bezkarnych napadów, ledwie zdołały wedrzeć się w uliczkę, zabudowaną małymi domkami wesołych, beztroskich joro i wybiwszy drzwi i okna w kilku sklepach japońskich, rozgrabić je i zdemolować, gdy dwa plutony piechoty japońskiej zamknęły tę pułapkę z obydwu wylotów. Dano kilka salw, po których na jezdni i chodnikach pozostały

kupy zabitych Chińczyków. Reszta napastników podnosiła ręce i skamtała o litość. Bez sprzeciwu odprowadzono jeńców na podwórza w koszarach, gdzie skierowano na nich lufy dwu karabinów maszynowych i pozostawiono tam do końca zaburzeń w mieście. Gdy jednak kilku hersztów-studentów zaczęło zbyt głośno protestować i żądać zwolnienia, młody porucznik - komendant placu podszedł do nich i bez słowa położył trupem pięciu młodzieńców, najśmielej krzyczących.

W pół godziny potem japońscy strzelcy zajęli już wyznaczone im placówki na peryferiach koncesji, a działa polowe stanęły na wybrzeżu Huangpu i Suczou Creeku. Dostęp do koncesji został szczelnie zamknięty. Na rzece, w pobliżu konsulatu, i dalej, aż do parku na Bundzie, burtami ku miastu wyciągnęły się groźnym szeregiem dwa lekkie krążowniki i trzy kontrtorpedowce. Japończycy w niesłychanie krótkim czasie z niezwykłą sprawnością przygotowali się do obrony swojej dzielnicy i konsulatu. Na okrętach usilnie pracowali radiotelegrafści, komunikując się z rządem w Tokio i flotą, stacjonowaną w wodach Korei i Szantungu.

Zdecydowana i energiczna postawa Japończyków przeraziła chińskie władze w Szanchaju. Gubernator i członkowie rady miejskiej udali się do generalnego konsulatu, lecz konsul, rozkładając ręce, oznajmił, że bieg wypadków zależy teraz wyłącznie od dowódcy japońskich sił zbrojnych - generała Utagawy Tojokuniego, który z kolei odprawił delegację z niczym, powoławszy się na wyższą władzę wojskową, sprawowaną przez admirała Okamurę Morikagiego. Admirał miał długą rozmowę z gubernatorem i ławnikami, aż w końcu poradził im udać się powtórnie do konsula, z którym obiecał porozumieć się telefonicznie.

Konsul generalny, z jeszcze większą, ostentacyjną niemal uprzejmością powitał delegatów, długo uchylał się od stanowczej odpowiedzi co do istotnych zamiarów Japończyków, aż w końcu oznajmił, że wszystko zależy będzie od dalszego rozwoju smutnych i ubolewania godnych wypadków, zaostrzających dobre, sąsiedzkie stosunki dwu wielkich narodów. Taka mętna odpowiedź nie uspokoiła chińskich generałów i radnych. Powracali zgnębieni, nie wiedząc, co mają przedsięwziąć. Telefoniczne rozmowy z rządem nankińskim również nic im nie wyjaśniły. Zapowiedziana natychmiastowa decyzja rządu nie nadchodziła, chociaż od chwili zakończenia rozmowy minęła już prawie cała doba.

Ten i ów z szanchajskich dostojników oburzał się na ministrów i kłął energicznie.

Konsul japoński, jak się okazało wkrótce, nie mógł dać im innej odpowiedzi, gdyż sam nie miał pojęcia, jaki obrót weźmie sprawa. Otrzymał bowiem przed chwilą doniesienie, że w sztabie generała Tojokuniego odbywa się tajna narada i że wojskowe patrole nikogo do gmachu sztabu nie wpuszczają.

Istotnie w gabinecie generała zachodziły niezmiernie ważne wypadki.

Utagawa Tojokuni, zarządzający obronę koncesji i wysławszy telegraficzny raport do Tokio, chodził po swoim gabinecie, oczekując wieści ze stolicy, gdy drzwi uchyliły się bez szmeru i na progu stanął adiutant meldując:

- Kapitan Tojogiri Nadoku prosi o pozwolenie stawienia się przed ekscelencją!

- Niech wejdzie! - odpowiedział zdumiony nieco generał, gdyż nie spodziewał się o tej godzinie żadnego raportu.

Zapiął mundur na wszystkie guziki i nałożył okulary. Jeszcze nie zdążył dojść do biurka, gdy do gabinetu szybkim krokiem wszedł młody kapitan i zatrzymał się w służbowej postawie.

- Słucham kapitana! - powiedział dowódca.

- Panie generale - zabrzmiał głuchy, chrapliwy głos młodego oficera - przychodzę w imieniu związku oficerów, jednakowo ze mną myślących

- Kapitanie! - przerwał mu natychmiast generał, surowo marszcząc brwi. - Kapitanie! Ustawa zabrania tworzenia się jakichkolwiek grup i związków w wojsku!

- Panie generale! - jeszcze bardziej głuchym i już groźnym głosem odpowiedział Nadoku. - Przychodzą niekiedy chwile, gdy ustawa idzie w ką, na pierwszy plan natomiast wysuwa się dobro kraju! Związek, o którym melduję, żąda rozpoczęcia natychmiastowych działań wojennych przeciwko buntownikom chińskim, zburzenia ich gniazda – Czape i posunięcia naszych wojsk od Szanghaj-Guań poza Wielki Mur! Skomunikowaliśmy się już z oficerami Północnej Dywizji i teraz stoję tu przed panem generałem, prosząc go o odnośny rozkaz!

Generał Tojokuni zbladł. Pomilczawszy chwilę, odparł krótko:

- Czekam na rozkazy Sztabu Głównego.

Kapitan Nadoku podniósł ramiona.

- Odpowiedź można przewidzieć! Brońcie się, lecz nie drażnijcie ludności. Minister spraw zagranicznych wysłał notę. Tak będzie brzmiał rozkaz sztabu, znajdującego się pod wpływem dyplomatów, którzy liczą się z całym światem, a najmniej z pragnieniami i dobrem własnego narodu.

- Proszę milczeć, kapitanie! - krzyknął oburzony generał. - Słowa pana kwalifikują się do oddania kapitana pod sąd wojskowy!

- Wiem o tym! - potrząsnął głową Nadoku. - Mimo to gotów jestem powtórzyć wszystko, com tu powiedział. Nie chodzi tu o mnie lub o pana generała, tylko o Japonię! Zbyt długo, zbrodniczo długo myśleliśmy o dobrym towarzystwie i na śmierć zapomnieliśmy o własnym domu! Ogarnął nas snobizm dyplomatyczny, szkodliwy i nienaturalny. Domagaliśmy się przyjaźni białej rasy, parliśmy nieproszeni do salonów europejskich! Wstyd, hańba, śmieszność i natręctwo! Jesteśmy najpotężniejszym, najzdolniejszym narodem azjatyckim i miejsce nasze jest tu, w Azji, gdzie my, tylko my powinniśmy stanowić o wszystkim! Nie my o kogoś tam, lecz o nas powinien zabiegać cały świat - stara Europa i rozpanoszona, brutalna Ameryka! Panie generale - to mówiąc, kapitan wyprostował się i groźne oczy wbił w żółtą, sterczącą twarz Tojokuniego - mamy powód do pokazania rządowi chińskiemu naszej stanowczości i siły. Należy pamiętać w dzień i w nocy, że ministrowie nankińscy są pod wpływem młodych Chińczyków, z których połowa jest na łożdzie i w rękach czerwonej Moskwy. Jeżeli nie potrafimy przekonać ich, że nie cofniemy się przed niczym, aby dojść do swego celu, Chiny podpiszą niebezpieczną dla nas umowę z komunistami rosyjskimi i zginiemy, panie generale, zginiemy! Czekam na odpowiedź pana generała!

Utagawa Tojokuni poczuł się w ciężkiej sytuacji. Od dawna wiedział, jakie prądy nurtują w kołach młodszych oficerów, miał informacje, że sztab armii zwraca baczną uwagę na ideologię młodzieży wojskowej, przeczuwając, że wcześniej czy później będzie zmuszony przyjąć te idee lub rozpocząć

walkę z nimi. Być może kierownicy armii uznaliby słuszność żądań młodych oficerów, lecz na przeszkodzie temu stała dyplomacja, wpływająca na cesarza i przerażająca go niebezpieczeństwem tej ideologii, zagrażającej nie tylko kapitalistom i systemowi rządzenia państwem, ale nawet władzy cesarskiej, gdyż, jak twierdzili dyplomaci, młodzież wojskowa hołduje hasłom socjalistycznym, a nawet bezwiednie w wielu kierunkach skłania się ku komunizmowi lub wojskowej dyktaturze radykalnej.

Generał, patrząc surowo na kapitana, powiedział:

- Nie mam prawa i obowiązku słuchać wynurzeń kapitana! Proszę odejść do swojej kompanii, a po uśmierzeniu buntu kapitan stanie do raportu!

- Panie generale - zniżając głos prawie do szeptu, odparł Nadoku - w takim razie proszę dobrowolnie przekazać swoją władzę pułkownikowi Kamo Jamato.

- Kapitanie, proszę wyjść natychmiast! - krzyknął generał, ale w tej samej chwili rozległ się strzał.

Kapitan Nadoku pochylił się nad drgającym jeszcze ciałem Tojokuniego, a potem podbiegł do biurka i jął przecinać kable telefoniczne i druty sygnalizacyjne. Wyszedłszy do poczekalni, mruknął do oczekującego go oficera i dwu telegrafistów:

- Założyć telefon polowy, a szybko!

Opuścił gmach sztabu, do którego weszło wkrótce kilkudziesięciu oficerów z pułkownikiem Jamato na czele. Znalazłszy się w gabinecie dowódcy wojsk, pułkownik zwrócił się do adiutanta:

- Wynieść ciało generała i natychmiast zarządzić pogrzeb! Aresztować pułkownika Torii Arisagawę!

Gdy te pierwsze posunięcia nowego dowódcy zostały wykonane, pułkownik zaczął dyktować adiutantowi rozkaz bombardowania Czapei i oczyszczenia sąsiednich z koncesją dzielnic od band powstańczych.

- Gdyby wojska chińskie lub policja chińska czy cudzoziemska okazały sprzeciw, nie wahać się przed zaatakowaniem ich w sposób najbardziej stanowczy - padały słowa rozkazu.

Odpowiadał im trzask underwooda i cichy brzęk ostróg pułkownika Kamo Jamato, chodzącego po gabinecie krokiem twardym i zdecydowanym.

W kwadrans potem przemówiła bateria japońska, ustawiona na wybrzeżu Huangpu.

Posłyszawszy ryk dział i przekonawszy się, że szrapnele pękają już nad chińskim miastem, dowodzący flotą, admirał Morikagge, posłał komandora Josibumi Jamagucziego do sztabu.

Dowódca kompanii, ochraniającej gmach, kapitan Nadoku oznajmił jednak komandorowi, że ma rozkaz niedopuszczenia nikogo do dowodzącego wojskiem lądowym.

- Co to ma znaczyć? - spytał zmieszany i zdziwiony Jamaguczi.

- Pan komandor raczy zapytać o to dowodzącego zbrojnymi siłami w Szanchaju, jutro po południu - odpowiedział kapitan, dotykając dłonią daszka czapki.

Otrzymał meldunek komandora, admirał od razu zrozumiał, co zaszło w sztabie, jeszcze nie podejrzewając zresztą zamordowania generała Tojokuniego. We flocie, tak jak w armii, od dawna ścierały się dwa prądy. Dotychczas udawało się podtrzymać bezwzględny dyscyplinę, ale to z tego tylko powodu, że większość oficerów marynarki należała do klasy samurajów, oddanych cesarzowi. Jednak różne prądy istniały i z każdym rokiem przybierały na sile. Wystąpienie przeciwko Dywizji Szanchajskiej w tej chwili nie byłoby wskazane. Admirał udał, że namyśla się i dopiero wieczorem wysłał szyfrowany radiotelegram do Tokio, prosząc o wskazówki.

Tymczasem dwie kompanie japońskie prawie doszły już do dworca kolejowego i do posesji konsulatu brytyjskiego, wypierając zewsząd uzbrojone, bezładne tłumy za Suczou Creek i zamykając wszystkie przejścia przez mosty.

Dopiero w kilka minut po północy nadeszła odpowiedź z Tokio. Sztab marynarki polecał admirałowi podtrzymać wojsko lądowe, a po wygaśnięciu buntu chińskich nacjonalistów aresztować pułkownika Jamato i kapitana Nadoku dla przypomnienia, iż oficerom nie wolno łamać dyscypliny. Rozkaz dotyczył też pułkownika Arisagawy, który miał objąć dowództwo nad Dywizją Szanchajską.

- Innych oficerów wezwać do raportu, udzielić surowego pouczenia, lecz kar nie wyznaczać - odczytywał admirałowi treść rozkazu radiotelegrafista.

Nie zdążył jeszcze skończyć odcyfrowania depechy, gdy oficer wachtowy zameldował admirałowi przybycie szalupy pułkownika Kamo Jamato.

- Zatrzymać pułkownika na deku i za dziesięć minut wprowadzić do messy. Niech natychmiast przyjdą tam komandor Jamaguczi i dowódca krążownika - rzucił rozkaz Morikagge.

Mały, szczupły, o pociągłej twarzy admirał szybkim krokiem zaczął chodzić po kajucie, marszcząc czoło.

- Czy nie będzie innych rozkazów? - zapytał oficer.

- Niech dowódca każe postawić w messie sześciu majtków, wydawszy im ostre naboje! - powiedział admirał. - Lejtenant może już iść!

- Rozkaz!

Za oficerem zamknęły się drzwi, a dowódca zaczął znowu chodzić po kajucie w głębokiej zadumie. Miał wykonać rozkaz sztabu, chociaż serce jego było po stronie młodych oficerów. Miał na to poważne powody. Admirał znał dobrze Chińczyków i dzielił ich na trzy kategorie.

- Naród chiński - spokojny, przywiązany do tradycji - dowodził nieraz swoim kolegom Morikagge - z nadzieją spogląda w stronę Japonii, skąd jedynie może przyjść ład do wstrząśniętego kraju, pewność jutra, możliwość istnienia i pracy; ministrowie są to ludzie mądrzy nieraz i energiczni, lecz miotają się pod naciskiem różnych sił, przeciwko którym, poza podstępny, śliską dyplomacją, pozorną chwiejnością i przewlekaniem każdej decyzji, nie mają innej broni, nie zasłużywszy na uznanie i autorytet; nie mogą oni ocenić należycie rozmiarów i nasilenia nowych potęg i prądów, rodzących się w oceanie ludzkim, wzburzonym nagle od kresu do kresu kraju i od powierzchni do dna jego życia; wreszcie coraz energiczniej poczynają występować młoda inteligencja chińska - zeuropeizowana,

zamerykanizowana lub też wyłaniająca się z modnego i skrajnego nacjonalizmu, głuche na wszystko i ślepego.

Admirał Okamura Morikage, były profesor akademii morskiej nie ukrywał przed sobą i członkami rządu, że ten ostatni odłam społeczeństwa chińskiego miał największe znaczenie i zagrażał najistotniejszym niebezpieczeństwem sprawie japońsko-chińskiego porozumienia i wielkiej misji Japonii, dążącej do zjednoczenia Azji. Młodochińczycy spadkobiercy znacznie już spaczonyj idei doktora Sun Jat-Sena, osiągnęli z dniem każdym coraz to silniejszy wpływ na umysły Chińczyków i raz po raz wywierali nacisk na rząd nankiński, to podtrzymując go, to znów podnosząc przeciwko niemu prawie autonomiczne rządy prowincjonalne oraz poszczególnych generałów, dowodzących dywizjami i korpusami. Ci zmodernizowani politycy: jedni - z przekonania, drudzy - ze względów polityki realnej, w pewnych okresach oczy swoje zwracali ku Rosji Sowieckiej, skąd napływały pieniądze, obietnice, rady i propozycje, nic zdawałoby się, wspólnego niemające z komunizmem, w swoim kraju topiącym w potokach krwi i w wirze wszelkich zbrodni dawny ustrój, światopogląd, tradycje, socjalistów i nacjonalistów.

Z Moskwy przez Pekin, a w ostatnich czasach przez Ułan Bator - dawną stolicę Żywego Buddy - Urge szły podstępne przyrzeczenia. Bolszewicy gotowi byli podtrzymać skrajny, bezwzględny ruch nacjonalistyczny skierowany na pierwszym planie przeciwko Japonii, dopomóc w walce Chin przeciwko wpływom Europejczyków i Amerykanów, w wypowiedzeniu wszystkich istniejących umów i w nacjonalizowaniu przedsiębiorstw cudzoziemskich. Czerwoni dyplomaci w Pekinie dawali wpływowym młodochińczykom do zrozumienia, że Moskwa gotowa jest przyłączyć się do ruchu wyzwolenczego Azjatów, a nawet z całą stanowczością pokierować nim, sfinansować i wzmocnić groźną siłą swej armii. Admirał Morikage posiadał ściśle, poufne wiadomości o naradach, jakie mieli południowi działacze chińscy z generałem Bliicherem, dowódcą czerwonych wojsk na Dalekim Wschodzie, i Jureniewem - kierownikiem dyplomatycznej misji sowieckiej w Pekinie. Wiedział też o zagadkowej roli w tej sprawie niemieckich oficerów i agentów, kręcących się i węszących wszędzie. Nie wierzył admirał w szczerłość pośrednictwa niemieckiego na rzecz Sowietów, domyślając się, że ukrytym celem jego był raczej zamiar wytworzenia niezmiernie ciężkiej i zawiłej sytuacji politycznej dla Anglii, Francji i Ameryki i nadzieja, że wzmocniwszy i zorganizowawszy rosyjskimi kapitałami i siłami Chin, uda się Berlinowi uzyskać to olbrzymie państwo do walki z konkurentami Niemiec na politycznym i ekonomicznym rynku światowym, a nawet wciągnąć to potwornie przeludnione państwo w wir stanowczej rozgrywki z Rosją na jej wschodnich, pozbawionych dostatecznej obrony rubieżach.

Obawiał się też admirał jeszcze jednej możliwości. Było nią porozumienie angielsko-niemieckie w sprawie Pacyfiku. Anglia z trwogą śledziła postęp fortyfikowania należących do Japonii wysp w południowej części oceanu i na Formozie; nie można było również ukryć planów kół wojskowych zagrożenia potędze Wielkiej Brytanii w Indiach, od północy z Mongolii, Chińskiego Turkiestanu i z pogranicza Birmanii, od południa zaś - przekopaniem kanału na Malakce, przedarciem się na Ocean Indyjski i obezwładnieniem głównej bazy wojennej w Singapurze. Agenci japońscy, znajdujący się w Londynie i Berlinie, sygnalizowali kilkakrotnie oznaki wszczętych układów o otwarciu Australii dla kolonizacji niemieckiej. Anglia obawiała się już zagarnięcia tego słabo zaludnionego lądu przez Japonię i ufając asymilacyjnej zdolności anglosaskiej rasy, gotowa była dopuścić napływ do swego dominium kolonistów niemieckich, którzy, przejąwszy się po pewnym czasie ideologią brytyjską,

stanęliby na drodze ekspansji rasy żółtej, a jednocześnie stworzyliby konkurencję Amerykanom, wdzierającym się do Ameryki Południowej.

Admirał należał do nielicznych ludzi w Japonii, którzy byli przekonani, że przebiegła i czujna Moskwa zgłębiła już ukryty plan niemiecki i zaczęła gwałtownie, nie szczędząc żadnych ofiar, fortyfikować wschodnią linię graniczną, motoryzować armię i zwiększać jej liczebność, otaczając jednocześnie Chiny murem z dawnych ich dominiów, które czyniła prawie niezależnymi i związanymi z Rosją, jak Mandżuria, Mongolia Zewnętrzna i Turkiestan Chiński. Stąd mogła płynąć bez przeszkód propaganda komunistyczna, działająca na wyobraźnię zubożałego i zrozpaczonego ludu, w razie zaś wojny z Chinami po stronie Niemiec - zagarnięcie tych krajów ościennych zabezpieczało Rosję przed dywersyjnymi wyprawami na jej tyły i dawało możliwość operowania na dwóch frontach - północnym i zachodnim, zdobywając jednocześnie bogate rynki żywnościowe i ośrodki remontu dla kawalerii.

Okamura Morikagge rozumiał to wszystko i w duchu przyznawał słuszność kołom młodych oficerów, żądających natychmiastowego uregulowania najważniejszych spraw w Chinach i wypowiedzenia wojny Rosji Sowieckiej, zanim ruchliwi komisarze zdołają przetrzymać na Daleki Wschód zmotoryzowane wojska, wytknąć linię fortyfikacyjną, założyć lotniska i zakończyć plan obrony olbrzymiej wschodnioazjatyckiej granicy.

Otrzymał przed chwilą rozkaz sztabu sprawił mu niezwykłą przykrość - tym głębszą, że szedł wbrew jego przekonaniom i sympatiom. Jednak był samurajem z krwi i kości. Nie mógł pomyśleć nawet o tym, żeby złamać dyscyplinę i nie wykonać rozkazu władz. Ważyłby się na to w jedynym tylko wypadku, gdyby zapragnął tego mikado. Cesarz jednak milczał i aprobował tymczasem wszystkie posunięcia swego rządu, jak gdyby głuchy na odzywające się tam i sam żądania wojska i ostrzegawcze głosy niektórych posłów do parlamentu, niezależnych od wpływowych partii kapitalistów i konserwatystów.

Teraz admirał miał dokonać aresztowania dzielnego pułkownika Kamo Jamato.

Wszakże ród Jamato również samurajski, jak i Morikagge, a przecież pułkownik nie zawahał się przejść na stronę młodych oficerów? - mignęła mu myśl.

- Niech lejtenant idzie do kancelarii i wpisze radiotelegram do księgi rozkazów! - mruknął do radiotelegrafisty, a gdy oficer wyszedł, przypiął do boku pałasz marynarski i wcisnął czapkę na głowę.

Z ciężkim westchnieniem opuścił swoją kajutę i schodkami zaczął wstępować na pokład. Szedł tak zamyślony i zgnębiony, że nie słyszał nawet gwizdków bosmańskich i nie zwrócił uwagi na salutujących go majtków wachtowych i oficera, stojącego na mostku kapitańskim.

Na szczęście mam rozkaz podtrzymania ataku wojsk lądowych na Czapei! - pomyślał z ulgą admirał i skierował się do messy.

Odsalutowawszy znajdujących się tam oficerów i majtków, usiadł przy stole i zdejmując czapkę, podniósł oczy na pułkownika Jamato i młodego kapitana, stojącego przy nim.

- Pułkownik z raportem do mnie? W jakiej sprawie? - spytał.

Kamo Jamato - barczysty, prawie kwadratowy człowiek, o szerokiej,

ponurej i brzydkiej twarzy, chociaż jej twardy, nieprzejednany i śmiały wyraz budził ostre zainteresowanie i sympatię, z lekka brzęknąwszy ostrogami i prostując się, odpowiedział:

- Mam zaszczyt zameldować, że przedstawione przez oficerów załogi żądanie energicznych działań przeciwko Czapei nie zostało uwzględnione przez generała Utagawę Tojokuniego. Nie będę tłumaczyć, co kierowało nami, bo pan admirał jest poinformowany o nastrojach przeważającej części armii. Generał Tojokuni został zabity przez obecnego tutaj kapitana Tojogiri Nadoku. Na stanowisko dowódcy sił zbrojnych zostałem powołany ja, pułkownik Sztabu Generalnego, Kamo Jamato. Wydałem rozkaz oczyszczenia z band chińskich dzielnicy za kanałem i bombardowania chińskiego miasta.

Nowy brzęk ostróg i cisza.

Admirał w milczeniu przyglądał się obydwu oficerom. Komandor Jamaguczi i dowódca krążownika zatamowali oddech w piersi. Znali swego admirała. Słyszał ze swojej surowości i stanowczości.

Czyżby kazał ich rozstrzelać po natychmiastowym sądzie doraźnym? - zadawali sobie pytania. - Po cóż by inaczej kazał wprowadzić do messy uzbrojonych majtków?

Admirał, spuszczać oczy, spytał cichym głosem:

- Czy pułkownik ma mi coś więcej do zameldowania?

Jamato odpowiedział bez wahania:

- Tak jest, panie admirale! Muszę zameldować, że gdybym był na miejscu pana, kazałbym nas obydwu niezwłocznie rozstrzelać. Tego żąda kodeks. Nie czując się jednak pospolitymi zbrodniarzami, oznajmiamy, że zamierzamy skorzystać z przysługującego nam prawa harakiri. Jesteśmy do tego przygotowani i prosimy o wyznaczenie świadków naszego samobójstwa. Jutro, a raczej dziś o godzinie siódmej rano, czekamy na ich przybycie do mego mieszkania. Więcej nie mam nic do zameldowania, panie admirale!

- A pan, kapitanie Nadoku? - rzucił pytanie Morikagge.

- Pan pułkownik Jamato mówił również w moim imieniu, panie admirale! - prostując się, odpowiedział oficer.

Po długiej chwili milczenia admirał oznajmił swoją decyzję:

- Pułkownik dziś jeszcze złoży swoją rezygnację na ręce pułkownika Arisagawy. Sposób rozwiązania niedopuszczalnej w wojsku sytuacji, obrany przez panów, apróbuję i przyjmuję. Komandorowie Jamaguczi i Ito stawią się na czas w mieszkaniu pułkownika. Żegnam panów!

Krótkie ukłony, brzęk ostróg i szabel, uderzających o cholewy butów, gwizdek bosmana na deku, urwana komenda i za chwilę plusk trzech par wiosła. Szalupa odpłynęła.

- Tak - mruknął admirał.

Oficerowie milczeli, wpatrzeni w surową zwykle, a teraz smutną twarz dowódcy.

- Patrol na pokład! - rzucił komendę kapitan krążownika, przyłapawszy wzrok admirała.



Majtkowie jeden po drugim znikali za wąskimi drzwiami messy.

Admirał powstał i jakby w zamyśleniu oglądał czapkę. Trwało to jedną krótką chwilę.

- Komandor Ito i komandor Jamaguchi o siódmej stawią się w mieszkaniu pułkownika Jamato i...

Urwał i po chwili dokończył:

- Zmieniam rozkaz! Będę sam obecny przy ceremonii harakiri. Komandor Ito będzie mi towarzyszył. A teraz posłać ludzi do dział!

Szybkim ruchem nałożył czapkę i wyszedł z messy. Krążownik Asahi przemówił niebawem głosem swych armat i ryczał przez całą noc, wbijając w stłoczone zbiorowisko domów Czapei oślepiając ostrza projektorów i zasypując ją stalowym deszczem pękających pocisków.

Admirał Morikagge, nie opuszczając kabiny, raz po raz tupał nogą i przez zęby rzucał komendę stojącemu przy nim dowódcy krążownika:

- Ognia! Ognia!

Zakrawało na prawdziwą bitwę. Komandor Ito od czasu do czasu ze zdumieniem podnosił oczy na admirała. Nie rozumiał, że Morikagge miał w sercu burzę i rozpacz, myśląc o zbliżającym się poranku.

Za ich życie! Za ich życie! - judził go jakiś głos wewnętrzny, więc znowu tupał nogą i syczał przez zęby:

- Ognia! Ognia!

Pułkownik Kamo Jamato aż do brzasku sypał szrapnelami z dział, ustawionych na wybrzeżu, a potem kazał zwolnić aresztowanego pułkownika Arisagawę, odczytał mu otrzymany rozkaz admirała, polecający zburzenie Czapei i oznajmił, że podaje się do dymisji.

Pułkownik bez słów zrozumiał, co ma się stać, i w milczeniu uściśnął rękę kolegi.

- Pułkowniku! - zwrócił się do niego Jamato. - Za parę godzin dokonam obrządku harakiri i mam zaszczyt prosić pana na kaishaku - świadka tej ostatniej w moim życiu ceremonii. Jako samuraj nie odmówi pan samurajowi?

- Istotnie! - odparł Arisagawa. - Jestem do waszych usług, pułkowniku!

- Dziękuję!

Uściśnęli sobie ręce. Jamato odprowadził pułkownika do drzwi i poszedł do swego mieszkania, gdzie już czekał na niego kapitan Nadoku.

- A więc za dwie godziny? - rzucił Jamato, spojrzawszy na zegarek.

- Tak jest, za dwie godziny - jak echo padła odpowiedź.

- Czy kapitan ma jakieś życzenia?

- Tylko jedno - doręczenie tego listu mojej matce.

- Dobrze! Tymczasem żegnam kapitana.

- Sajonara, pułkowniku!

Wzięli się za ręce i zajrzeli sobie w oczy głęboko, głęboko. Czuli obaj, że było to pożegnanie. Po chwili narodowym obyczajem pochyłali się w ukłonach, gdy kapitan cofał się ku drzwiom.

Nadoku wyszedł. Pułkownik usiadł przy biurku i zaczął pisać list do ojca i żony. Krótki, żołnierski, surowy list o tym, że musi umrzeć.

Musi. Tak! Wierzył święcie, że umrzeć musi. Urodził się wszak samurajem. To wkładało nań ciężkie obowiązki. Skończywszy list, krzątał się po pokoju, z szafy wydobył świeżą bieliznę, ciemne kimono i nowe geta, a potem obejrzał starą szablę i krótki, ostry sztylet. Spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta.

- Jeszcze cała godzina! - szepnął do siebie i usiadł na kanapce.

Przymknął oczy i pogрузzył się w myślach.

Szeroka, brzydka twarz jego złagodniała nagle i stała się uduchowioną. Nie słyszał już odgłosów strzałów armatnich i bicia zegara.

Zdumiał się nawet, gdy do pokoju wpadł ordynans i zameldował:

- Admirał Okamura Morikage i komandor Ito przybyli do pana pułkownika!

- Zaproś panów do salonu, Szizu - cichym głosem powiedział Jamato do wystraszonego żołnierza.

Ordynans wypadł z pokoju, ale wnet powrócił i znowu meldował:

- Pułkownik Arisagawa i kapitan Nadoku proszą o widzenie się z panem pułkownikiem!

- Do salonu, Szizu, wszystkich prosz do salonu! - uśmiechnął się do niego oficer.

Przeszedł do sypialni, szybko zmienił bieliznę i obuwie i narzucił na ramiona kimono.

Dopiero wtedy wyszedł do salonu, gdzie na kobiercu białała nowa mata. Złożywszy gościom niski ukłon, oznajmił twardym głosem:

-Jestem gotów!

Powiedziawszy to, usiadł na ziemi, ręką wskazując admirałowi i oficerom na krzesła.

Gdy świadkowie, oddawszy mu ukłon, zajęli miejsca, pułkownik zwrócił się do kapitana:

- Nadoku, towarzyszu, podaj mi too i wakinashi! Leżą w gabinecie na biurku.

Kapitan powrócił, niosąc na wyciągniętych rękach starą szablę samurajów i mały sztylet obosieczny. Przykląkł przed pułkownikiem i oddał mu broń. Jamato podniósł szablę do czoła i złożył ją na macie, a potem uczynił to samo z wakinashi.

Z odrzuconą w tył głową przyjrzał się wszystkim bacznie i przemówił:

- Za chwilę połączę się z cieniami przodków moich, czcigodni samuraje, i ty, druhu Nadoku. Umrę, gdyż tak się stało, że złamałem przysięgę na posłuszeństwo boskiemu cesarzowi! Inaczej jednak uczynić nie mogłem! Kierowała bowiem mną miłość do ojczyzny i troska o jej przyszłość. Niechże wieść o mojej śmierci i słowa moje - te najprawdziwsze, bo ostatecznie w życiu - dojdą do mikada i niech pobudzą go do czynów śmiałych wbrew podszeptom chwiejnego rządu! Oby wielki Bishamonten, bóg odważnych, i mądra Amaterasu natchnęli samurajów do podniesienia swego głosu i oby go postyszał mikado, latorośl Mutsuhito, odrodziciela Japonii! Ja - Kamo Jamato - proszę teraz samuraja Torii Arisagawę, aby raczył stanąć przy mnie, gdyż jest on moim kaishaku. Żegnam wszystkich!

Pułkownik złożył głęboki ukłon i spojrzał na Arisagawę, który zbliżył się do niego. Szybkim ruchem zrzuciwszy z ramion kimono, Jamato obnażył sobie pierś i górną część brzucha. Wziąwszy do rąk sztylet, podniósł go na wysokość twarzy. Prawie w tej samej chwili błysnęła stal i po rękojeść wbiła się w lewy bok, przesuwając się coraz powolniej i mozolniej ku prawemu. Żaden muskuł nie drgnął na skamieniałej nagle twarzy samuraja. Zbladł tylko straszliwie i oczy przykrył powiekami. Zachwiał się wkrótce i padł twarzą naprzód. Spod ciemnego kimona wypłynęła struga krwi i zbierać się poczęła na białej macie w czarną kałużę. Szerokie bary pułkownika drgnęły kilka razy i zwiotczały w budzącym strach bezruchu.

Arisagawa pochylił się nad leżącym i podniósłszy mu głowę, zajrzał w twarz. Po chwili, wyciągnąwszy z pochwy too, zbliżył klingę jej do warg pułkownika. Na gładkiej stali nic nie zamgliło jej zimnego połysku.

- Samuraj Kamo Jamato spełnił rycerski obowiązek i nie żyje! - oznajmił wzruszonym głosem.

Zdawało się, że chciał dodać coś jeszcze, zanim pieczołowicie złoży ciało samobójcy na kobiercu, lecz przeszkodził mu w tym kapitan Nadoku.

- Teraz moja kolej! - oznajmił krótko suchym, chrapliwym głosem. - Umrę, ażeby śmierć moja była jako żagiew, rzucona na stertę słomy i suchego drzewa. Niech zapłonie ona wielkim ogniskiem miłości dla Japonii i czynów śmiałych, niezbędnych!

Złożył ukłon wojskowy i twardym krokiem skierował się ku drzwiom.

Stanąwszy na progu, wyjął rewolwer z kieszeni i strzelił sobie w usta. Z głuchym łoskotem runęło bezwładne ciało na posadzkę i zesztyniało od razu. Z białych desek drzwi potoczyło się, pozostawiając czerwony ślad, kilka kropel krwi. Obecni długo milczeli, patrząc na leżących oficerów.

Wreszcie admirał powstał i nałożywszy czapkę, wyprostował się. Salutował tych, co odeszli z własnej woli w imię obowiązku.

Po chwili szepnął:

- Tak, tak! Szczęśliwa jest Japonia, mając takich synów! Pułkowniku Arisagawa, proszę zająć się pogrzebem i ułożyć protokół, który wszyscy podpiszemy. Cześć zmarłym!

Admirał opuścił pokój, a za nim ze zwieszonymi głowami wychodzili oficerowie. Musieli przestąpić przez leżące w drzwiach ciało kapitana.

Tuż przy wejściu do domu oficerskiego admirał Morikagge spostrzegł drobną Japonczkę w barwnym kimonie, ściągniętym szerokim, wymyślnie zawiązanym obi. Klęczała na ziemi, twarzą dotykając niemal płyt chodnika. Lśniły się czarne, starannie uczesane włosy, ułożone w misterny węzeł. Wąskie ramiona podnosiły się gwałtownie i opadały w rozpaczliwej niemocy.

- Nadoku sanwo! Nadoku sanwo! - łkała dziewczyna, a łzy zmywały z jej drobnej twarzyczki puder, bielidło i róż.

Admirał uświadomił sobie, że widzi przed sobą pospolitą joro, których setki przybywało do Szanchaju po zarobek i po możliwość urzędu swego życia tam - na słonecznych wyspach Dai Nippon. Tak! Była to zwykła joro - barwna jak motyl, szczebiotliwa niby skowronek, uszminkowana, ufryzowana i pozornie beztroska, ale teraz ta pogardzana, bezprawna istota łkała i rozpaczała jak prawdziwa kobieta, co może być kochanką, żoną i matką.

Admirał, cicho stąpając, przeszedł obok niej, ale długo jeszcze drgały mu w uszach łzawe westchnienia dziewczyny i namięta jej skarga:

- Nadoku sanwo! Nadoku sanwo!

W kilka minut potem krążownik Asahi znowu rozedrgał się i rozszalał w poryku swych działań.

## XII. W OGNIU WIELKIEJ TROSKI

Nanking Road, zgiełkliwa zawsze i zatłoczona, wymarła. Okna domów, zasłonięte firankami, nadawały ulicy dziwnie ponury wygląd. W sklepach spuszczone stalowe żaluzje. Z wnętrz wytwornych, a zawsze ciemnych restauracji chińskich nie błyskało żadne światło. Drzwi i okna niektórych zostały nawet zabite deskami. Rozkrzyczane zawsze, upstrzone barwnymi afiszami gmachy Nowego i Wielkiego Świata miały wygląd opuszczonych ruder, gdyż tłum powstańców pozrywał plakaty i kolorowe latarnie, połamał szyldy i potłukł neonowe reklamy. Na chodnikach widniały kupy barwnego papieru, kamienie, którymi bombardowano pałace rozrywek i zabawy, drzazgi szyldów i odłamki szkła. Na obszarpanych, poszczerbionych kulami murach biły w oczy białe płachty odezw władz do ludności w różnych językach - chińskim, japońskim i angielskim. Wytknąwszy głowę z sieni domu, Wagin rozejrzał się na wszystkie strony. Na jezdni i chodnikach nikogo nie spostrzegł. Zrozumiał, że zapewne obawiano się strzałów wzdłuż ulicy. Przyciskając się do murów domów, szybkim i śmiałym krokiem szedł, kierując się ku ostatniemu skrzyżowaniu tej przecinającej całe miasto arterii, skąd po Thibet Road zamierzał dotrzeć do zachodniej bramy, słabo, jak już miał możliwość przekonać się, obsadzonej przez policję i wojsko. Udawał, że nie spostrzega stojących na rogach poprzecznych ulic policjantów chińskich. Widząc tak swobodnie idącego Europejczyka, nie śmieli go zatrzymać, spoglądając na siebie zdumionym wzrokiem.

Dopiero gdy przecinał ulicę Fokien, usłyszał wreszcie okrzyk

- Halt!

Zatrzymał się i obejrzał.

Z niszy bramy wyszedł sierżant angielski, a za nim dwóch hinduskich strzelców z karabinami. Anglik spojrzał na Wagina bladymi, podejrzliwymi oczyma i mruknął:

- Co jest? Dokumenty!

Sergiusz pokazał mu natychmiast dużą kopertę ministerstwa i powiedział, że dostał zlecenie z kancelarii gubernatora natychmiast dostarczyć ją adresatowi, mieszkającemu w pobliżu cmentarza. Podstęp udał się Waginowi znakomicie. Sierżant zwrócił mu kopertę począł objaśniać, że bocznymi ulicami prędzej i bezpieczniej dojdzie do cmentarza.

- Idę od pałacu gubernatorskiego i żadnego niebezpieczeństwa nie spostrzegłem - zauważył Sergiusz.

- A tak! - potrząsnął głową Anglik. - Jednak zobaczycie, co będzie się działo, gdy nadciągną tłumy od Wusungu. Bandy poukrywały się po domach i niech no tylko zaczną się pukanina, wypełzną ze swoich kryjówek!

Wagin dziwił się w duchu, skąd biurowy boj mógł mieć informacje, potwierdzone teraz przez angielskiego sierżanta. Nie wiedział tego, że ruch studencki znalazł głośny oddźwięk wśród chińskiej ludności miasta. Nie tylko bowiem marzące o zemście i grabieży męty Czapei, ale rzemieślnicy, kupcy, a nawet najbogatsi eksporterzy i fabrykanci sprzyjali młodzieży, powstającej przeciwko bezwzględny Japończykom i milczeniem swoim podtrzymującym ich konsulom cudzoziemskim, urzędnikom, przemysłowcom - wreszcie w ogóle przeciwko ludziom białym. Młodzież rzuciła zarzewie protestu do wszystkich serc, zmuszając jednych do wyjścia na ulicę z okrzykami: Precz z Japonią! Precz z panowaniem cudzoziemców!, drugich - do zagadkowego milczenia, nieprzychylnego dla obcych rezydentów; innych znów, najbardziej gorących lub najbardziej zrozpaczonych - do chwycenia za broń. Wypadki tego rodzaju, w pewnych odstępach czasu powtarzające się w wielkich miastach chińskich, przerażały zwykle konsulów europejskich i amerykańskich, nieprzygotowanych do wrogich wystąpień gospodarzy kraju.

Szły one jednak po myśli Japończyków. Tokio chciwie wyglądało zaburzeń studenckich, popieranym przez tłum uliczny i kulisów. Zaledwie bowiem nadchodziły pierwsze doniesienia o wypadkach, oddziały piechoty i artylerii z pogranicza mandżurskiego maszerować poczynęły poza Wielki Mur i za każdym razem posuwały się bliżej i bliżej do Szantungu i sąsiednich prowincji. Flota wojenna stawała przed Wusungiem, a torpedowce i lekkie krążowniki wchodziły do Huangpu i wysadzały na jej brzegi nowe, coraz to silniejsze oddziały, aż przewyższyły liczebnie stały Garnizon Szanchajski.

Szczególnie cieszą się z każdego ruchu antyjapońskiego w kołach oficerów japońskich i nie tylko dlatego, że przemysł i rolnictwo mogły przy tej sposobności zdobyć nowe kopalnie i ziemie orne, ale przede wszystkim, że dawało to powód do coraz natarczywszych żądań jak najgłębszych zmian w konserwatywnym rządzie, w ustroju państwowym i w wykonaniu wielkich planów Państwa Wschodzącego Słońca, już obciążonego wziętym na swoje barki brzemieniem posłannictwa dziejowego.

Tak też i było tego wieczora, kiedy Wagin przybył do Szanchaju. Pancerniki i torpedowce japońskie zdążyły już dopłynąć do Wusungu; jedna część ich stanęła na redzie, druga - weszła do Jangcy i sunęła ku Nankingowi; torpedowce i dwa lekkie krążowniki - gotowe do bitwy, groźnie dymiąc, w milczeniu zamaryły tuż przed Szanchajem.

Ze wszystkich okien na poddaszach i dachach, ze szczelin między domami na peryferiach miasta, spoza murów i płotów, otaczających składy handlowe, z suteryn gmachów na Bundzie, z krzaków w parkach i z łodzi rybaków i przewodników, niby tysiączne żrenice pajaków, skierowane były oczy Chińczyków ku najważniejszym punktom Szanchaju. Szczególnie uważnie obserwowano przybyłe okręty wojenne i koncesję japońską, koszary policji angielskiej i pałac konsulatu, stację policji francuskiej, ponury blok budynków, mieszczących milicję chińską i koszary wojsk rządowych, gdzie na zmianę stały poznaczone flagami narodowymi, nietykalne samochody dyplomatycznych przedstawicieli Wielkiej Brytanii i Cesarstwa Wschodzącego Słońca. W podziemiach świątyń i czynszowych domów chińskich, przepełnionych kramikami, niezliczonymi warsztatami i jadłodajniami, jacyś ludzie odbierali broń, rozdawaną przez studentów i zbiegłych z baraków żołnierzy. Kretowiskami, ciągnącymi się pod miastem, przez arterie kanalizacyjne i rury betonowe, z biegnącymi w nich przewodami gazowymi i kablami, niby termity, pełży szeregi przygarbionych ludzi, roznoszących karabiny i naboje na wyznaczone punkty. Nieuchwytnie drukarnie wypuszczały coraz to inne, bardziej podżegające, namiętne ulotki.

Nawoływały one kochających ojczyznę Chińczyków, by nie szczędzili swej krwi i życia, żeby przerazić białych zaborców, wytepić chciwych Japończyków i zmusić do ustąpienia słaby, powolny wobec żądań przybyszów rząd.

Asfaltowe jezdnie i chodniki głównych ulic, placów i przedmieść zasypane były drukowanym papierem; na ścianach, niemal tuż pod nosem biwakujących na ulicach patrolów, nieznani ludzie i młode kobiety nalepiali ogromne plakaty, ozdobione działającymi na wyobraźnię rysunkami.

Przed wieczorem w najważniejszych miejscach - koło gmachu rady miejskiej, dworca kolejowego, urzędu policji, więzienia, centrali telegrafu i telefonów, elektrowni i gazowni niewidzialne w skrytkach i zakamarkach podziemnego miasta zgromadziły się oddziały uzbrojonych ludzi.

Cisza tam panowała i groźne skupienie.

Jawnie i hałaśliwie przygotowywano się do ataku w Czapei, gdzie mieścił się sztab studentów-powstańców, wychowanków szkoły podchorążych i kilkunastu sierżantów, zbiegłych z pułku, kwaterującego w Szanchaju i po okolicznych miasteczkach. Tu od dwóch już dni rozdano broń i uformowano oddziały. Reszta, dziesiątki tysięcy nędzarzy, głodomorów, żebraków, bezrobotnych kulisów, ukrywających się przed policją zbrodniarzy, zbroiło się i łączyło w bandy na własną rękę. Chwymano gorączkowo, co się dało. Noże, siekiery, stare halabardy i włócznie, złożone niegdyś w pagodach, zardzewiałe falkonety i karabiny, przechowywane potajemnie od wojny chińsko-japońskiej i bardziej nowe, zdobyte podczas ostatniej rewolucji, najczęściej jednak - mocny kij sękaty, uwiązany do rzemienia kawał żelaza lub nawet podręczny, wygodny do zaciśnięcia w garści kamień.

Niezliczone tłumy, rozwrzeszczane, podniecone, ruchliwe i złe czekały niecierpliwie na sygnał. Nikt nie wiedział, kto go poda i skąd; rozumiano tylko, że ma to nastąpić w nocy, gdy zmrok zawadzać będzie krwawej robocie kulomiotów i dział.

Czujni i ostrożni Japończycy, zgromadzeni w swojej koncesji nad Huangpu, gdzie do rzeki wpada brudny Suczou Creek, i strzeżeni przez gęste posterunki milicji i żołnierzy, nie mogli jednak przeszkodzić niewidzialnym napastnikom zbliżyć się od strony posesji niemieckiego konsulatu i Seward Road i tu się zacząć w szerokim tunelu kanalizacyjnym.

Patrole chińskie i angielskie strzegły północnej i wschodniej bramy Czapei, nikogo nie wypuszczając z niej i nie wpuszczając do chińskiego miasta.

Francuscy strzelcy-Annamici leniwie i niechętnie ochraniali zachodnią bramę.

Zapomniano natomiast zupełnie o bramie południowej, przez którą raz po raz wymykały się liczne gromady Chińczyków, biegły przez ogrody i pola ku drogom, prowadzącym do pagody Lunghwa i do podmiejskiego letniska Szio-Fa-Jun, skąd labiryntem glinianek i karierów okrężały miasto i zatrzymywały się w wyznaczonych im miejscach.

Wagin, idąc wąskimi zaułkami i małymi placzkami, kilka razy spostrzegł wyglądające z suteryn głowy Chińczyków, nieruchomym wzrokiem oglądających go. Zatrzymał go wreszcie patrol francuski w pobliżu cmentarza. Młody oficer, przyjemnie zdziwiony doskonałą francuszczyzną Sergiusza, wylegitymowawszy go z całą uprzejmością, radził, aby nie szedł dalej, gdyż ludzie jego dojrżeli uzbrojonych Chińczyków na dachu jednego z domów.

- Nie jestem pewny, czy są to buntownicy, czy może mieszkańcy domu przygotowują się do odparcia napadu bandytów, gdyż wczoraj bractwo to w paru miejscach pohulało po swojemu! - mówił, częstując Wagina papierosem i wyjmując z kieszeni frencza srebrną zapalniczkę.

Wagin, w obawie wzbudzenia podejrzeń oficera, musiał zgodzić się i podziękowawszy porucznikowi za dobrą radę, przysiadł się do niego na stopniach domu.

Słońce dawno już zgasło na zachodzie. Przepłynęły nad miastem ostatnie mewy, nawołując się cicho i odlatując na łachy nadbrzeżne lub na czerwone boje, gdzie spędzały krótką noc wiosenną. Mrok gęstniał z każdą chwilą i wypełniał wąskie szczeliny ulic. W oknach domów nie rozbłysło najślabsze choćby światełko. Milczenie panowało wszędzie - tak bardzo niezwykle dla zgiełkliwego Szanchaju, że aż mimowolny strach zakradać się począł do serca, a oczekiwanie nieuniknionych i ważnych wypadków przygnębiało ludzi. Zapalały się jedna po drugiej gwiazdy, a gdy niebo szerniało i stało się jak gdyby bliższym - miliony ich zamigotały na jego sklepieniu. Wagin słyszał tylko ujadanie psa na dziedzińcu pobliskiego domu i ciche, charczące głosy siedzących pod bramą strzelców annamickich. Z daleka dobiegł przeciągły gwizdek policyjny. Odpowiedziały mu w kilku miejscach psy, ale wszystkie te dźwięki utonęły bez śladu w ciężkiej, zatajonej ciszy.

- Parbleu, nie podoba mi się ten spokój! - mruknął do Sergiusza oficer, rzucając na jezdnię niedopałek papierosa. - Nie wróży to nic dobrego. Trzecia noc bez snu - mamy już dość tej przyjemności! Dla obrony kilku kupców japońskich i setki gejsz uganiaj się tu, człowiecze, po Szanchaju!

W tej samej chwili wstrząsnął powietrzem ogłuszający wybuch. Czerwony słup ognia strzelił wysoko i oświetlił północno-zachodnią połąć nieba.

- Zapewne wysadzono zbiornik w gazowni - szepnął oficer, lecz urwał, bo z różnych stron rozległa się bezładna strzelanina i dobiegło głucho wycie tłumu.

Porucznik wstał, lecz nagle potknął się i runął na ziemię. Wagin słyszał uderzenie kuli o kamień i spostrzegł krwawe pasemko, spływające z policzka oficera. Podbiegł sierżant i zajrzawszy w oczy dowódcy, krzyknął coś do żołnierzy. Dwóch z nich podniosło oficera i oddziałek zaczął wycofywać się ku koszarom policji francuskiej.

Wagin pozostał sam. Wcisnąwszy się głębiej w ciemną wnękę drzwi, nadstuchiwał. Ze wszystkich stron dobiegały go już odgłosy bitwy. Ponad zgiełk strzałów, wycia, przeraźliwych krzyków wybijało się grzechotanie salw regularnych, jazgot i złośliwy skrzek karabinów maszynowych.

I nagle - krótkie, a silne pęknięcie na czarnym niebie, brutalny ryk działa, po chwili inny-jazgot pękającego szrapnela nad Czapei, w mroku – ostro promienna gwiazda ognista i białożółty obłok - gęsty i prawie nieruchomy.

Jacyś ludzie wybiegać zaczęli na ulicę. Oglądali się i naradzali, aż popędzili w stronę miasta. Po nich przemykały się mniejsze i większe grupy uzbrojonych ludzi. Tupot ich nóg i zdyszany pogwar ginął w trzasku strzałów i w wybuchach pocisków, padających gdzieś niedaleko zapewne, bo nozdrza Sergiusza pochwytowały już zapach gazów i prochu. Z przeciągłym świstem szyły powietrze kule. Wreszcie cały zgiełk i chaos tych odgłosów skupił się w północno-wschodniej dzielnicy i tylko nad Czapei raz po raz pękały pociski. Spoza dachów niewysokich zabudowań wybił się płomień i machnął czerwonymi płachtami. Wagin przypomniał sobie podobny obraz, widziany w nocy, gdy spalono w cegielni chorych na dżumę.

Spalił się wówczas i ten chłopak, którego półnaga, stara wiedźma nie chciała oddać policji! - mignęła mu nagle myśl pełna nagle uświadomionego przerażenia, gdyż stanęła przed jego oczami blada twarz Ludmiły i jej głębokie, wylękłe oczy.

Tam wybuchają pociski i płoną domy! - zawyła rozpacz w jego duszy.

Wytknął głowę spoza framugi i obejrzał się na wszystkie strony. W całej dzielnicy, przylegającej do francuskiej koncesji, panowała cisza. Wyszedł ostrożnie na chodnik i począł przekradać się tuż pod domami, plecami przyciskając się do ich murów i kryjąc się za każdym ich załamaniem, we wnękach bram i wejść. Z rzadka, pogwizdując żałośnie, przemknęła jakaś zbłąkana kula i odłupała kawałek tynku lub ugrzęzła w słupie telegraficznym. Wagin posuwał się wciąż dalej i dalej, omijając biuro policji francuskiej, gdzie byłby z pewnością zatrzymany.

Wąziutkim i ciemnym zaułkiem dotarł wreszcie pod mur Czapei i kryjąc się w jego cieniu, zbliżał się do zachodniej bramy. Przekonał się, że cofnięto już wystawiony tam przedtem patrol. Francuzi, przekonawszy się, że buntownicy nie zamierzają rozpocząć przeciwko nim działań wojennych, ściągnęły swoje oddziały na terytorium koncesji, jak gdyby podkreślając tym swoją neutralność.

Wagin popędził co tchu do bramy. Była rozwarta na oścież, gdyż przed dwoma dniami jeszcze tłum wyłamał jej podwoje. Sergiusz wpadł poza mury i zatrzymawszy się za nimi, orientował się, w jakim ma iść kierunku. Zdziwiło go, że nie spotyka ludzi. Czasami tylko przemknął pies lub śmignęła wystraszona kotka.

Ostrożnie się skradając, wyszedł na Fu-Tien-Koo. Ta ludna zawsze ulica, zdawało się, wymarła. Skądś z daleka dobiegała beładna wrzawa.

Pędził jak nieprzytomny ku składom Jun-cho-sana. Jęknął, ujrawszy zerwane z zawiasów drzwi i na chodniku głęboki lej, wyszarpięty przez pocisk. Odbity tynk i połupane na drzazgi drzwi i okiennice świadczyły o wybuchu. Wagin przebiegł podwórko i wpadł na ganeczek małego domku, tyle razy widzianego w samotnych marzeniach. Otwarte drzwi do sieni i drugie - do pokoju Ludmiły. Domek był pusty i zapewne niedawno porzucony, bo na stole stał półmisek z kotletami i bułka ze sterczącym w



niej nożem, którym nie zdążono jej przekrajać. W swoim dawnym pokoju, gdzie po jego odjeździe tyle udręki wycierpiał biedak Miczurin, i w kuchni nikogo nie znalazł. W sieni, na podłodze leżał zgubiony przez kogoś żółty szalik.

Wagin wypadł na dziedziniec i wbiegłszy do kantoru, zasypanego ryżem i mąką, gdyż tu odłamki pocisku poszarpały wory i zdruzgotały skrzynie, stojące na półkach, począł krzyczeć rozpaczliwym głosem:

- Jun-cho-san! Jun-cho-san!

Drewniana pokrywa nad luką, prowadzącą do piwnic, uniosła się z lekka. Błysnęły przez szparę czyjeś wystraszone oczy. Po chwili deska odsunęła się na bok i z czarnego otworu wyjrzała głowa kupca.

-Ach, ach! - jęknął - myślałem, że Japończycy już przyszli, czy...

- Gdzie są one?! - krzyknął nie swoim, przeraźliwie wysokim głosem Sergiusz, wpijając mu palce w ramię.

Jun-cho-san kiwnął głową i nie rozumiejąc, dlaczego to robi, krzyczał jeszcze głośniej i przeraźliwiej:

- Są, są tu, z całą moją rodziną. Są, są!

Wagin nagle poczuł słabość i oparł się o półki z towarami. Chińczyk zniknął w mroku piwnicy, lecz po chwili jednak znowu wytknął głowę i świecąc latarką, bełkotał:

- Ostrożnie, stopnie, strome schodki.

Przepuściwszy Wagina, długo i starannie zasuwał pokrywę i ryglował ją żelazną sztabą.

Weszli do ciemnej, niskiej i długiej izby o grubym sklepieniu. Wagin, nic nie widząc w mroku, bo zasłaniał sobą nikłe światełko latarki, szedł wprost przed siebie, wyciągając ręce i powtarzając nieprzytomnie:

-Jestem, jestem.

Poczuł, że dotknął dłoni Ludmiły i że nadeszła chwila straszliwego niemal w swej potędze przeniknięcia dusz i serc zrozumieniem bezkresnym, które w postanowienia przeistacza męczące wahania, a najgłębsze tajemnice rozświetla do dna. Żadne słowo nie padło z ich ust w tej chwili splotu serc i dusz, stopionych w jeden świat. Poza nim nic już nie istniało, bo było w tym świtanie dopełnienia i wieczności. Wagin nie słyszał nawet przeraźliwych krzyków żony i córek Jun-cho-sana, płaczu starej służącej i skarg kupca; nie doszły go ponure wycia i tupot pędzących ulicą ludzi, wybuchy pocisków, raz po raz targające powietrzem, odgłosy salw karabinowych. Wszakże w pewnym momencie coś zmusiło go puścić dłonie Ludmiły. Przez chwil kilka powracał do rzeczywistości. Znalazł wreszcie równowagę i niby człowiek, od wielkiej jasności przechodzący do mroku, zaczął rozglądać się dokoła, to szeroko otwierając, to mrużąc oczy. Słuch jego pochwyił odgłosy, wyrrywające się z ulicy, okrzyki przerażenia i lament w piwnicy. Spozregł latarkę. Unosząc ją nad głowę, poświecił sobie, rozglądając stłoczone w kącie postacie. Z uśmiechem szczęścia na twarzy począł całować po rękach Ludmiłę i panią Somową; ścisnął dłoń Jun-cho-sana i kiwał głową żonie jego i córkom.

- Ludzie krzyczą, że Czapei pali się, że Japończycy i policja przeszła do ataku! - bełkotał, dygocąc ze strachu, stary Chińczyk, dotykając ramienia Wagina.

Sergiusz ostatecznie uprzytomnił sobie, co się dzieje w miejscu, gdzie się znalazł, by ratować kochaną istotę. Obejrzał wszystko dokładnie - ściany i sklepienie piwnicy, drewniane schodki, prowadzące do niej, i blade twarze przerażonych ludzi. W oczach ich odczytał pierwsze znaki obłądnego strachu i nagle wybuchnął głośnym, beztroskim śmiechem.

- Spokój! Więcej spokoju! - zawołał. - Nic tu nam nie grozi, tymczasem. Poczekaście, zaraz dowiemy się, co się dzieje w mieście i dlaczego ci ludzie poszaleli.

Pociągnął za sobą Jun-cho-sana i począł odsuwać rygle. Po chwili stali w sieni domu i przyglądali się pędzącym na oślep ludziom. Biegli kulisi, ciągnąc karabiny za lufy, przerażone kobiety, wlokąc ze sobą dzieci, i potok innych ludzi tego mrowiska. Wykrzywione ształem strachu twarze, nieprzytomne oczy, a wszystkie - czerwone w blasku płonących domów, coraz bardziej obłądne w wirze ryku, wycia, wybuchów pocisków, rzygających białym płomieniem i ulewą żelaza. Jeden z przebiegających Chińczyków wpadł do leju przed domem Jun-cho-sana i nie mógł się wygramolić. Korzystając z tego, zaczęli wypytwać go. Chińczyk bełkotał i płakał:

- Nasi wyłamali północną bramę, aby iść z pomocą tym, co zdobywają japońską dzielnicę! Policja i żołnierze spotkali ich ogniem z karabinów maszynowych. Japończycy zrzucili z samolotu oznajmienie, żebyśmy uchodzili z Czapei, postanowili ją spalić. Gdzie mamy uciekać? Wszędzie wojsko i kulomioty. Śmierć! Giniemy!

Pomogli mu wydostać się z dołu. Wymachując rękami i krzycząc, popędził dalej. Z dołu ulicy gruchnęła salwa, po niej - jeszcze jedna i zaturkotawszy rytmicznie, odezwał się karabin maszynowy, lecz urwał nagle. Wagin widział, jak kilku Chińczyków bez krzyku zwinęło się na miejscu niby przecięte nożem robaki; inni potykali się, zastaniali sobie głowy rękami, ale biegli i biegli. Ten i ów usiadł nagle, dłonią starał się zatrzymać krew, uchodzącą z rany, ale zniknął wszakże wkrótce pod nogami tłumu. Młoda kobieta z dzieckiem na grzbiecie, płacząc się w opadającej spódnicy, krzyknęła piskliwie, niby to przedrzeźniając kogoś, i zaczęła bezmyślnie kręcić głową, a z każdym jej obrotem twarz stawała się coraz czerwieńsza od gęstych strug i sopli krwi. Padła wreszcie i jęła zginać i prężyć nogi. Z koszyka, umocowanego na jej grzbiecie, wysunęło się nieruchome już ciało martwego dziecka ze strzaskaną czaszką. Wściekły z przerażenia biały pies ciskał się w tłumie i skakał ludziom do gardła. Nad miastem coraz bardziej rozjaśniała się i potężniała łuna. Na jej drgającym tle miotano się stadko gołębi, to zniżając lot, to wzbijając się wysoko, aż ukośnym lotem wpadły w strzelający do góry słup ognia i iskier nad płonącym jaomykiem.

Wagin milczał, marszcząc czoło. Drżący Chińczyk czepiał się jego ramienia i bełkotał:

- Panie, panie!

- Chodź! - mruknął do niego Sergiusz, patrząc przed siebie twardym, zimnym wzrokiem.

Powrócili do piwnicy. Krótka trwała narada. Właściwie słuchano tylko pytań i rozkazów Wagina. Należało czym prędzej wydostać się ze skazanej na zagładę Czapei. Wagin nie wątpił, że Japończycy postanowili zburzyć chińską dzielnicę - niebezpieczne dla nich gniazdo buntu - i rozpędzić jej ludność na cztery wiatry. W głowie roilo mu się od planów, ale jeden tylko wydawał mu się najpewniejszym.

Zachodnia brama! Może i teraz nikt jej nie strzeże? Uciekający Chińczycy umykali ku południowej, by czym prędzej wydostać się poza miasto. Stara brama przy pagodzie od dawna była zamknięta i nawet zabita deskami. Dopiero teraz podwoje jej zostały wyłamane, a przed nią Wagin nie spostrzegł posterunków.

Przez sąsiednie posesje, wyjmując deski z płotów lub przełaząc przez niskie ogrodzenia, Wagin uprowadzał całą grupę. Zrozumiał wkrótce, że w zachodniej dzielnicy panuje cisza. Przerażony, oszalały tłum zapomniał o tej drodze.

Zgromadzili się wreszcie wszyscy w wąskim zaułku. Za ostatnim jego załamaniem wznosiła się już od dawna nieczynna brama zachodnia. Ustawwszy uprowadzaną przez siebie gromadkę za murem, Wagin, przyciskając się do niego, posunął się do wylotu bramy i wbił oczy w ciemność. Przypomniawszy sobie czasy tułaczki i ucieczki, gdy jak dziki zwierzę, tracąc w chwili groźnego niebezpieczeństwa uczucie strachu i potężnym wysiłkiem woli skupiając miotające się myśli, wypatrywał, węszył i nadśluchiwał, aby znaleźć wolne i bezpieczne przejście. Obudził się w nim nagle uśpiony już instynkt pierwotnej czujności i sprytu. Chwytał każdy dźwięk i rozumiał go dokładnie.

W ciemności, gdyż tej nocy przerwano prąd i zamknięto przewody gazowe, nie dostrzegł najmniejszego ruchu; słyszał chwilami poświst kul i ciche ich kłaśnięcia, gdy uderzały w ścianę domu lub pnie drzew; rozumiał, że nadlatują tu od wschodniej strony międzynarodowego Szanchaju. Innych dźwięków nie pochwytывał jego niezwykle teraz zaostrzony słuch. Nie dobiegł go zgrzyt zawadzającego o mur bagnetu ani głucho uderzenie kolby o chodnik lub odgłosy cichej rozmowy żołnierskiej. W pobliżu bramy patrolu nie wystawiono - był już prawie pewien tego. Przywołał do siebie wszystkich i nauczył ich, jak należy posuwać się pod murem i przebiegać chyłkiem ulicę, posłał naprzód Jun-cho-sana, a w pewnych odstępach - kobiety jego i służącą.

Gdy zacichły ich kroki, przeżegnał się pobożnie i w ciemności poszukał ręki Ludmiły. Ścisnąwszy ją mocno, szepnął:

- Idźmy! Najpierw ja.

Zasłaniając sobą postępującą za nim Ludmiłę, za którą sunęła pani Somowa, skradali się bez szmeru.

Mur skończył się, skręcając ku północnej bramie.

Sergiusz stanął tu za narożnikiem i nadśluchiwał.

Dychawicznie chrząkał tam kulomiot, to znów milknął. Od czasu do czasu padały strzały i rozlegały się chrapliwe okrzyki chińskich policjantów czy żołnierzy. Na wschodniej stronie, zapewne już na przeciwnym brzegu rzeki, niby ostrza brzytwy sunęły pomiędzy domami i oświetlały nagle wyloty ulic dwie smugi reflektorów, pełgały na niebie czerwone błyski i toczyły się brutalne poryki armat. W huku ich ginęły salwy karabinowe i zrywające się różnych naraz miejscach trajkotanie kulomiotów - bliżej i dalej.

Sergiusz musiał przeprowadzić swoje towarzyski przez szeroką aleję Dwóch Republik. Czołgał się na kolanach obok Ludmiły, zasłaniając ją od najniebezpieczniejszej strony, a potem powrócił po panią Somową. Miał surową, skupioną twarz i mocno zwarte szczęki. Oczy patrzyły drapieźnie i spostrzegały wszystko w mroku.

Przedostawszy się przez szeroką aleję, wąskimi uliczkami zdążyli w stronę biura policji francuskiej, gdzie Sergiusz zamierzał prosić o przytułek. Wyszli na nieduży plac, zabudowany prywatnymi willami i długim gmachem szkoły misyjnej. Pośrodku widniał nieduży skwer z jakimś pomnikiem, ogrodzony żelaznymi sztachetami; wzdłuż chodników rosły drzewa. Okna domów ciemne były, jak gdyby mieszkańcy porzucili swoje siedziby.

Ledwie weszli na plac, ciszę, panującą w tej dzielnicy, rozdarły ogłuszające wybuchy granatów ręcznych, zamiatały się echa bezładnej strzelaniny, zwichrzyła się wrzawa setek głosów, rozedrgała się trąbka i po chwili, jak gdyby coś runęło i rozbiło się na tysiące kawałków, gruchnęła salwa, której odgłosy pokryło po chwili częstotliwe, zdyszane kucie kulomiotu.

Wagin w jednej chwili postawił Ludmiłę i panią Somową za podmurowaniem małej werandki przed wejściem do willi, sam zaś przyskoczył do drzwi i zadzwonił. Słyszał wyraźnie czyjeś ciche, skradające się stąpania i strwożone szepty, lecz nikt nie wszedł do sieni i nie otworzył drzwi.

Zgiełk i strzelanina wzmagały się z każdą chwilą.

Głosy wyjącego tłumu zbliżały się szybko. Niezawodnie cofały się pod ogień strzelców i policji.

Po chwili z czeluści ciemnej ulicy wyplusnęła pierwsza fala uciekających ludzi, a za nią - zбитy w jeden zwal, przerażony, ryczący tłum.

Ukryty za werandą Wagin, zasłaniając sobą wciśnięte w kąt kobiety, wyglądał ostrożnie, ledwie wystawiając głowę. Tłum pędził chodnikami i przez plac, tratując się, przebijając sobie drogę przez tłum, wyjąc i klnąc. Ten i ów strzelał w powietrze lub w okna domów. Zamęt i popłoch doszły do obłędu, gdy na plac wypadł pluton strzelców i począł rzygać kulami. Ostre, czerwone żądła wystrzałów śmigały w mroku.

Uciekający ludzie poczęli padać. Jakiś barczysty człowiek, przebiegający tuż przy zaczajonym Waginie, bluznął nagle krwią, obryzgując mu ubranie, i padł na twarz, a setki uciekających nóg niemal wdeptały go w kamień i ziemię. Kilku Chińczyków, trafionych kulami, wiło się na jezdni, jęcząc i skamłając, obok nich czerniały ciała zabitych. Potykając się o leżących rannych, ludzie padali, tworząc miotający się zwal ciał. Jakaś młoda Chinka w europejskim ubraniu, zgarniając jedną ręką rozwiane włosy, wymachiwała flagą narodową, coś krzycząc z wściekłością i rozpaczą. Po chwili płachta wypadła jej z ręki. Kobieta, schwyciwszy się za brzuch, usiadła na asfalcie, ale w tejże chwili nadleciała nowa kula. Chinka padła na wznak, a mknący tłum tratował ją i miażdżył.

Kilku chłopaków, wrzeszcząc wniebogłosy, poczęło się wdrapywać na sztachety, lecz strzelcy annamiccy podnieśli karabiny wyżej i dali salwę. Niby dojrzałe owoce, strząśnięte z drzewa, pospadały chłopaki, uderzając się głucho o chodnik. Jeden tylko z nich czołgał się jeszcze na boku, usiłując wstać, lecz osunął się nagle i znieruchomiał.

Plac opustoszał wkrótce. Czerniały na nim tylko kałuże krwi i ciała zabitych. Mętnie połyskiwały lufy porzuconych karabinów. Tam i sam poruszali się jeszcze ranni. Czasem jęk się rozległ, rżenie i głośny zgrzyt zębów. Francuski patrol, wysłany na rozproszenie napastników, szybko wycofał się do gmachu policji. Gdzieś daleko przebrzmiał przeciągły sygnał pędzącego ambulansu. Przez wyloty ulic coraz częściej wdzierały się snopy światła reflektorów.

Waginowi zdawało się, że odgłosy salw dobiegają teraz ze wszystkich stron. Tak też było istotnie. Japończycy na Bundzie przeszli do ataku, odpierając Chińczyków ku stacji kolejowej, gdzie znów wojska chińskie osadziły na miejscu tłumu kulisów portowych, zdziesiątkowały je ogniem kulomiotów i poszarpały pociskami. Oddział Hindusów bronił posesji angielskiej przed napierającymi od gazowni robotnikami, walczącymi pod czerwonym sztandarem.

Wagin obawiał się teraz zbliżyć do gmachu francuskiej policji, gdyż, wyszedłszy z ciemnej ulicy, mogli być powitani ogniem warty. Przekradali się więc bocznymi ulicami - długo czając się na każdym skrzyżowaniu.

Doszli wreszcie do Nanking Road w chwili, gdy z rykiem klaksonów i trąbieniem przemknęły w szalonym pędzie wozy straży ogniowej. Otwierały się okna ciemnych domów i wyglądali przez nie zaniepokojeni mieszkańcy. Na chodniki wysypywać zaczęli ludzi i skupiać się w gromady. Rozlegały się trwożne okrzyki. Biegli policjanci i tłukąc pałkami, usiłowali rozproszyć tłum. Wzbierał jednak jak przypływ morski, wchłonął w siebie beznadziejnie szamocące się patrole i przegrodził ulicę, w bezruchu zapatrzony w jedną stronę.

Wagin wybiegł spoza rogu i rozejrzał się. Szanchaj płonął.

Czerwone płachty miotały się w różnych częściach miasta. Szkarłatna poświata wsiąkała w mrok nocny, aż wszystko stanęło niby we krwi - stokroć bardziej ponure w tej chwili i groźne, przerażająco złowrogie. Ożywiła się nagle kanonada w kierunku Bundu i salwy od strony Creeku; buchały strzały armatnie koło stacji kolejowej. Nad Czapei rwały się pociski i szalał ogień. Głuchy i trwożny pomruk przebiegł po tłumie. Niby jakieś cienkie ostrza przeszywały go zgrzytliwe, drażniące krzyki kobiet. W tej chwili zrywającej się już paniki, z hukiem wyleciał w powietrze oszklony dach Wielkiego Świata, a wnet potem płomień smagnął czerwoną poświatę, drgającą nad miastem, i odłamkami szkła zasypał ulicę i gromadzący się tłum. Jak gdyby odpowiadając wybuchowi, ze świstem i skowytem wygięły się i rozwarły, niby od dołu potężną pchniętą siłą, blachy na dachu dwupiętrowego domu narożnego, a we wszystkich oknach jego naraz miotać się począł ogień. Z żalosnym brzękiem pękały szyby i czerwone języki płomieni lizać poczęły mur i syczeć złośliwie. Coraz to nowe setki i tysiące przerażonych ludzi wylegały na ulicę, a gdy buchnął płomień z wyższych pięter gmachu Lloyd, wszystko, co stało, skamieniałe i oniemiałe ze strachu, poczęło się miotać, szukając drogi ucieczki. Tupot nóg, ryk, jęki, płacz, wycie, niby odgłos rozszalałej na morzu wichury, zagłuszył cały chaos dźwięków tej ponurej nocy. Bez kierunku, tracąc przytomność, tłum pędził w różne strony, przegradzając drogę i tworząc zatory z powalonych ludzi i przewróconych kiosków ulicznych. Walczono na pięści, torując sobie drogę w stłoczonej ciżbie. Ktoś strzelił kilka razy z rewolweru. Ktoś wył cienkim, zduszonym głosem.

Wagin obejrzał się i spojrzął na Ludmiłę. Miała taką bladą twarz i ogromne oczy, jakie widział w swoich marzeniach o niej w Fuczou. Patrzyła w surowe oczy Sergiusza i w jego zaciętą twarz z ufnością i prawie spokojem, trzymając matkę pod ramię.

- Spróbujmy! - krzyknął Wagin i wdarł się w tłum, pociągając za sobą Ludmiłę.

Musiał skorzystać z tego, że nie grozi im salwa spoza rogu i razem z tłumem mogli dotrzeć wreszcie do biura kompradora. Ruszył naprzód, lewym ramieniem, niby lemieszem, roztrzając i odrzucając popychających się ludzi i co chwila oglądając się, aby nie odcięto go od Ludmiły, której kurczowo trzymała się matka. Na zbiegu trzech ulic do potoku ludzkiego wdzierać się poczęły inne – beładn i

oszalałe. Skłębilo się tam wszystko i zwarło, zatrzymawszy się nagle. Niby prąd rzeki, napotkawszy wał lodowy, staje nagle i wzbiera, aby przełamać go i unieść w swych wirach lub wypłusnąć ponad jego zwór, tak stłoczył się burzliwie mknący potok ludzki i parł przed siebie w różnych naraz kierunkach.

Wagin zdążył wbiec na stopnie, prowadzące do opancerzonego żaluzją ganku sklepu i wciągnąć za sobą Ludmiłę z panią Somową.

Śledził bacznie bezładne, rozpaczliwe zmagania się skłębionych ludzi, nagle wstrzymanych w swym biegu, ale potok ruszył znów naprzód, wdzierając się na stopnie ganku. Zepchnięty z nich, został uniesiony przez tłum. Obejrzał się, z trudem odwróciwszy głowę. O kilka już kroków za nim mignęła mu na chwilę twarz Ludmiły. Robiąc nagły zwrot na miejscu i zbijając z nóg sąsiada, zwrócił się twarzą do napierających ze wszystkich stron i wyjących ludzi. Pochyliwszy głowę, nadstawił ramię i zaczął przeciskać się w odwrotnym kierunku przeciwko prądowi toczącej się lawinie ludzkich ciał. Roztrzącał, kopał nogami, wrzynał się ramieniem w to bezładne kłębowisko i udało mu się przez kilka sekund utrzymać się na miejscu. Starczyło to, żeby znowu znaleźć się przy Ludmile i torować przed nią drogę. Czuł się jak podczas ataku, baczny na wszystko i szybki w postanowieniu wobec tego tłumu, gdzie każdy człowiek był mu wrogiem. Wykorzystując każdy szczegół, najmniejszą zmianę sytuacji, prowadził za sobą obie kobiety, potrafiwszy nawet lawirować w potoku ludzkim tak zręcznie, że udało im się wkrótce dotrzeć do chodnika na przeciwległej stronie ulicy. Tu z jednej z bocznic runął do głównego łóżyska nowy tłum i nowy, jeszcze potężniejszy wywołał zamęt, zgiełk i ścisk.

Byli to ludzie - zapewne studenci, idący na czele bandy zbuntowanych żołnierzy i wypuszczonych z więzienia na Moa kryminalistów, kulisów i różnych mętów. Uzbrojeni w kije, kastety i rewolwery wbili się ostrym klinem w zwartą masę ludzką, rozplatali ją w poprzek i przepołowili. Wagin, baczny na wszystko, przywarł ze swymi towarzyszami do stalowej okiennicy jakiegoś sklepu i nie dał się porwać potokowi uzbrojonych ludzi, a gdy pierwsze najliczniejsze ich szeregi wtoczyły się już w koryto Nanking Road, wślizgnął się w bocznicę, gdzie stanęli obok siebie we wnęce bramy. Przez krzyki, tłok, rozpaczliwe zawodzenia przenikała do słuchu groźna, ponura pieśń nowej nadciągającej gromady. Poprzedzał ją olbrzymi Chińczyk z czerwoną flagą, podniesioną wysoko nad głowę. Za nim biegł oddział z karabinami w rękę. Młodzieńcy opasani ładownicami, dzięki z podniecenia bojowego dziewczyny w poszarpanych bluzkach śpiewali ponurą rewolucyjną pieśń i szli gdzieś, niosąc w oczach śmierć. Skrwawione przeważnie twarze, omotane bandażami ręce i szyje mówiły o tym, że gdzieś, w innym miejscu, ludzie ci zaglądali już w jej przepastne oczy.

Wagin, osłoniwszy Ludmiłę i panią Somową prawie przemocą zatrzymanymi Chińczykami, którzy po trosze odzyskali przytomność, wyszedłszy ze ścisku i nieco ochłonawszy, śledził przebieg wypadków, które, jak przeczuł to od razu, musiały zajść na najbogatszej ulicy, najbardziej drażniącej dumę i chciwość Chińczyków. Nie pomylił się. Ledwie uzbrojeni ludzie wtoczyli się na jezdnię i chodniki Nanking Road, padły pierwsze strzały. Brzęk szkła, zgrzyt łamanych okiennic, bydlęcy ryk strachu, przekleństwa i gęsta strzelanina przytłoczyły wszystkie inne odgłosy zgiełkowej, przerażającej nocy, rozświetlonej łunami i płomieniem palących się domów. Ponad wszystkim jednak niby ciężka lawina zgrzytała ponura, namiętna pieśń:

Wytężmy siły - haj!

Do gardła skoczmy wrogom - haj!

Japońskich wymordujemy katów - ho!

Za morza białych wypierajmy czartów - ho-ho!

Ktoś rzucił ręczny granat do wnętrza sklepu. Jazgot, żółty dym, wrzaski, wycie, kłęby rozbitego tynku.

- Pali się! Pali!

Głosy dzikiej radości czy obłądnego strachu. I przerażająca chwila ciszy. Nagłej jak piorun w pogodny, słoneczny poranek. A potem salwy jedna po drugiej, jeszcze i jeszcze.

- Żołnierze! Wojsko!

Wichura krzyków i jęków.

Wagin nie czekał dłużej. Już wiedział, co ma nastąpić.

Obejrzał się.

Brama była zamknięta. Trącił ją, z całej siły wparłszy się w nią ramionami. Grube podwoje poruszyły się z lekka. Brzękły rygle. Nie była to zaporą nie do zdobycia. Począł krzyczeć i zachęcać stojących przed nim Chińczyków, znakami objaśniając, jak należy działać.

Kilkunastu ludzi, wsadziwszy ręce pod bramę, podważyło ją, inni walili w nią pięściami i pchali ze wszystkich sił. Nie wytrzymały wreszcie zawiasy i jedna połowa bramy, zerwawszy się z haków, utworzyła szeroką szczelinę.

Tłum wdzierał się w nią niby woda przez pęknięte tarcice okrętu, aż obsunęła się zupełnie, otwierając przejście na podwórze. Chińczycy na oślep mknęli przed siebie.

Wagin ogarnął ramieniem Ludmiłę i trzymając drugą ręką panią So-mową, przedzierał się pomiędzy biegnącymi ludźmi, aż dotarł do drzwi, prowadzących na schody. Były otwarte, a klucz sterczał od zewnątrz. Wbiegli do sieni. Przekręciwszy klucz, poprowadził kobiety o piętro wyżej, gdzie wreszcie stanęli. Patrzyli na siebie w milczeniu i jakimś tępych odrętwieniu. Napięte nerwy odprężyły się nagle.

Pani Somowa upadła prawie na stopnie schodów i cicho płakała. Ludmiła usiadła obok i tuliła ją do siebie, nie spuszczać wzroku z Wagina. Sergiusz, blady i znużony, oddychał ciężko. W tłumie zgubił kapelusz i jasne włosy zlepily mu się na czole. Miał pokrwawione ręce i popuchnięte palce z wyrwanymi paznokciami. Znalazł jednak w sobie dość siły i świadomości, by się uśmiechnąć do Ludmiły oczami. Mówić nie mogli, bo skurcz zaciskał im szczęki.

Z ulicy dobiegały coraz bliższe salwy. Żołnierze ogniem z karabinów oczyszczali bocznicę, by przedostać się na Nanking Road, pociąć tłum na części i rozproszyć go, pędząc na wschodnie krańce, ku Bundowi, gdzie na szerokim terenie można było przypuścić szarżę kawalerii.

Krwawa noc dobiegała kresu. Nikt w Szanchaju nie widział świtu nowego dnia. Ginał on w czerwieni łun i w zwałach czarnych dymów. Nikt nie liczył godzin. Zatrzymał się bieg czasu. Przysłoczył wszystko strach, pomieszał obłąd i pochłonęła śmierć.

Tej nocy rozszalała ona! Pożarła ognistym oddechem Czapei, gazownię i aroganckie gmachy na Nanking Road, żelaznymi pazurami pocisków poszarpała tysiące ludzi, wytoczyła potoki krwi,

nagromadziła stosy trupów i śmiała się jazgotem kulomiotów na widok tłumów rannych i stratowanych, rzeżących na poplamionych krwią jezdniach i wrzucanych na wozy sanitarne, aż cisza zaległa, cisza wielkiego cmentarzyska, gdzie nad świeżymi grobami jęczała i zawodziła nienawiść. Nad miastem płynęła przeciągła skarga, a w jej drgającym zawrocie brzmiały stłumione grozą tej ognisto-krwawej nocy słowa wieszczki: Jako się wiele wynosiła Babilonia wielka i w rozkoszach była, tyle dajcie jej męki i żałości!

Ta noc czy ten dzień trwały długo, bo nie chciały ustąpić i uciszyć się fale nienawiści i wichura mściwości. Ustąpiły wszakże, odpłynęły i gdzieś wsiąkły do czasu. Uciszyły się jednak w milczeniu bladych warg, zaciśniętych zębów i zwartych szczęk. Zagaśły za tajemną zasłoną oczu czarnych, co są niby jaskinie, gdzie nienawiść i zemsta mają swe legowiska.

Wojsko i policja rozpędziły tłumy i zmiotły zbrojne bandy.

Umilkły basowe poryki dział japońskich, ustały grzechotania karabinów. Przemknęły tabory straży ogniowej, ugasiły pożary, zmyły do kanałów krew i rozprysnięty mózg.

zadzwończyły tramwaje, chodnikami popłynął zwykły już tłum - ciekawy i oburzony zuchwałością bandytów. Miał się tu rządzić swobodnie, aż nowa noc krwawa rzuci strach błądliwy i rozetka się pieśnią złowrogą.

Stojąc przy oknie w swoim pokoju, o tym właśnie mówił cichym głosem Wagin do Ludmiły i leżącej na kanapie pani Somowej. Doszli tu wreszcie, gdy umilkły ostatnie strzały i w boczne ulice wepchnięto oszalałe tłumy chińskich mieszczuchów i oddziały powstańców.

Sergiusz przed chwilą powrócił z miasta. Smutny był i zgnębiony. Długo chodził po pokoju, rzucając niespokojne, pełne troski spojrzenia na Ludmiłę i chmurzył czoło. Wreszcie odezwał się:

Samo życie żąda od nas śmiałych postanowień i wielkich zmian. Jeden po drugim zerwały się wszystkie więzy z przeszłością. Pozostaliśmy sami. Przed godziną przechodziłem koło naszego domku na Fu-Tien-Koo, gdzie pozostały zgliszcza i rumowiska, a potem modliłem się za duszę doktora Plena. Dziwne to, że w tym miejscu, gdzie stała palarnia, spadło najwięcej pocisków. Jak gdyby potworny pług odwalił tam beładne skiby i nic, nic nie pozostawił, trochę cegły i czarnych zgliszcz. Siedem snów i siedem marzeń - westchnął Sergiusz. - Spłonęła do reszty stara, ohydna Gospoda, skąd przyszedł do nas Michał Miczurin. Ruiny i śmierć rozgościły się w murach Czapei! W duszy mojej różne runęły tam plany. Już rozmówiłem się z Ti-Fong-Tajem. Nie potrzebowałem przekonywać go, bo sam już rozumiał, że inną drogą należy uczynić Chinę silnym państwem. Broń w ręku dzieci to zbrodnia i szaleństwo! Gdy ujrzałem to, sumienie moje podniosło bunt!. Jestem wolny teraz. Mogę robić wszystko, czego zapragnę!

Ludmiła podniosła na niego łagodnie, głębokie oczy.

- Tak! - odpowiedział, pochwytyjąc jej myśl. - Zrobię tak, jak uradzimy razem. Myślę, że nastał czas, abym wysłał depezę do Freda Hastingsa.

Pochyliła w milczeniu ciemną główkę, aby ukryć gorący rumieniec i rozradowane oczy.



Wagin podszedł do niej i ujął jej ręce ruchem męskim, stanowczym. Wyrażał tym wszystkie przeżycia swoje - tęsknotę, mękę niepewności, troski i cierpienia, zrozumienie głębi miłości, poczucie prawa, zdobytego ofiarą, i błogą, jasną ciszę dokonania, co spłynęła na nich sama z otchłani wieczności.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

### Tom I:

- I. I widziałem niewiastę, siedzącą na czerwonej bestii
- II. Synu człowieczy, w pośrodku domu drażniącego ty mieszkasz
- III. I upaleni byli ludzie upaleniem wielkim
- IV. Oaza na Bubbing Weil
- V. Uchylony rąbek zasłony
- VI. Dawne życie odzywa się brutalnie
- VII. Któż odgadnie duszę ludzką?
- VIII. Oko za oko, ząb za ząb
- IX. Nie zaznasz radości bez goryczy
- X. Głód
- XI. Koncern prasowy Szun-Pao
- XII. Przepowiednie doktora Plena ziszczają się
- XIII. Dusze człowiecze
- XIV. W salonie pani generałowej
- XV. Przedsiębiorstwo Ti-Fong-Taja
- XVI. Stare śmiecie - nowe troski

### Tom II:

- I. Życie płynie zawitym łożyskiem
- II. Żywe serca na giełdzie śmierci
- III. Na nieznanym falach

IV. Miasto mężczyzn

V. Kto w pojmanie wiedzie, w pojmanie pójdzie

VI. Objawienie

VII. Połóżcie serca swoje na drogi wasze

VIII. Dzieje czterech dni

IX. Widma i życie

X. Miasto, które nie zaznało pokoju

XI. Na przeciwległym brzegu kanału

XII. W ogniu wielkiej troski